

Waldemar Urbanik



**ELITY POLITYCZNE III RP  
I ICH ELEKTORATY**

Szczecin 2008

**Waldemar Urbanik**

**ELITY POLITYCZNE  
III RZECZPOSPOLITEJ  
I ICH ELEKTORATY**

Szczecin 2008



**Redakcja**

Jarosław Dąbrowski  
Iwona Urbanik  
Karina Czernicka

**Recenzenci**

Prof. zw. dr hab. Ryszard Dyoniziak  
Prof. dr hab. Jan Nikołajew

**Korektor**

Karina Czernicka

**Opracowanie bibliograficzne**

Anna Skotarczak

**Projekt okładki**

Iwona Urbanik

© Copyright by Waldemar Urbanik & „Poligraf”

Wydanie I  
Szczecin 2008

ISBN: 83-916908-3-0

WYDAWCA i DRUK  
FPW „Poligraf”  
ul. Boh. Warszawy 7A, Nowogard

## Elity polityczne III Rzeczypospolitej

### Ogólna charakterystyka zagadnienia

1. Wprowadzenie .....	7
2. Dylematy teoretyczne .....	10
3. Źródła i charakter materiału empirycznego .....	20

### Część I

#### Elity polityczne w procesie przebudowy struktur społecznych w Polsce

1. Wymiar skutków Sierpnia '80 .....	23
2. Mitologizacja rzeczywistości jako forma uprawiania polityki .....	33
2.1. „W ogniu walki proletariackiej” - mity Rzeczypospolitej 2,5 .....	34
2.2. „W ogniu walki wolnorynkowej” - mity III Rzeczypospolitej i nie tylko .....	39
3. Dramatyzacja elit politycznych .....	49
3.1. „Zwarte szeregi i oblegana twierdza” - krótka historia elit postkomunistycznych .....	56
3.2. Syndrom „Titanica” - na gruzach Sierpnia 80 .....	59
3.3. „Cień wielkiego imienia” - Marian Jurczyk - symbol, legenda, złoty róg i mieszkania za złotówkę .....	64

### Część II

#### Autoportret elit politycznych III Rzeczypospolitej ..... 70 |

1. Władysław Frasyniuk .....	71
2. Marek Słomski .....	97
3. Senator - Zbigniew Zychowicz .....	120
4. Poseł / Wicepremier IV RP - Andrzej Lepper .....	149
5. Radna / Minister IV RP - Teresa Lubiąska .....	167

### Część III

#### Kilka słów o Suwerenie

1. Dryfujące elektoraty, wierni pretorianie i wielcy nieobecni .....	187
2. Intelktualny proletariat - rezerwowi elektorat .....	197
3. „Gdzie bije serce Rzymu”?	206

Zamiast zakończenia .....	215
---------------------------	-----

Bibliografia .....	218
--------------------	-----

3

3

*Mojej żonie Iwonie i dzieciom moim...*



Podziękowania składam, w pierwszej kolejności, Panu profesorowi Janowi  
Nikołajewowi za to, że nigdy nie zwątpił. Profesorowi Ryszardowi Dyoniziakowi  
za to, że miał wątpliwości, które uczyniły moją książkę lepszą.  
Markowi Słomskiemu, bo nie pozwolił mi zwątpić w sens polityki.  
Ani Skotarczak, bo rozwiała wszelkie moje wątpliwości.  
Osobne podziękowania należą się mojej rodzinie,  
bez której wsparcia nic by nie było możliwe.

*Najwyraźniej można dostrzec to,  
że żyjemy w okresie przejściowym, ale Bóg jeden wie,  
czy zmierzamy ku wolności, czy ku despotyzmowi.*

*Alexis de Tocqueville*

## Ogólna charakterystyka zagadnienia

### 1. Wprowadzenie

Pomysł tej książki rodził się w trakcie realizacji przeze mnie badań preferencji wyborczych, które prowadziłem na zlecenie ugrupowań politycznych w latach 2000 - 2005. W maju 2000 roku zgłosił się do mnie jeden z pracowników sztabu wyborczego kandydata startującego w wyborach uzupełniających do Senatu z propozycją przeprowadzenia badań socjologicznych i określenia strategii wyborczej kandydata. Wkrótce okazało się, że kandydatura ta straciła, w wyniku targu politycznego, poparcie centrali. Nowy kandydat „zjednoczonej prawicy” przegrał wybory, co było w tym czasie do przewidzenia, z kandydatem lewicy<sup>1</sup>. Nie to jednak jest ważne. To co zwróciło wówczas moją uwagę to zaskakujący instrumentalizm elity władzy, nieliczenie się z opinią w ł a s n y c h wyborców i nonszalancja wydatkowania środków finansowych<sup>2</sup>.

Tak oto rozpoczęła się moja, trwająca do dziś, przygoda empiryczna w obszarze marketingu i doradztwa politycznego. W tym czasie przygotowałem i przeprowadziłem kilkadziesiąt badań o zasięgu regionalnym i krajowym. Łącznie, przeprowadzono ponad 20000 wywiadów standaryzowanych. Efektem badań było piętnaście kilkudziesięciostronicowych raportów zawierających zarówno analizy statyczne, jak i propozycje strategii wyborczych, socjotechnik i działań marketingowych, możliwych do zastosowania przez sztaby wyborcze ugrupowań i partii politycznych zlecających badania<sup>3</sup>. We wszystkich tych przypadkach zachowałem prawa autorskie, co pozwoliło mi na wykorzystanie wyników badań w prezentowanej książce. Dodatkowym, ciekawym i ważnym poznawczo doświadczeniem, była możliwość bezpośrednich kontaktów z politykami, bardzo często z pierwszych stron gazet. Ta swoista obserwacja uczestnicząca pozwoliła mi na poczynienie kilku przynajmniej konstatacji, którymi chciałbym podzielić się z czytelnikami tej książki.

Tematyka badań nie zawężała się tylko do preferencji wyborczych, obejmowała bowiem m.in. takie zagadnienia jak: ocena kierunków polskich przemian; stosunek respondentów do prywatyzacji, uwłaszczenia i reprivatyzacji; stosunek wyborców do integracji europejskiej - ich nadzieje i obawy; poczucie bezpieczeństwa; sferę wolicjonalną badanych w obszarze problemów społecznych - głównie bezrobocia, ochrony zdrowia,

<sup>1</sup> „Nowy kandydat prawicy” został aresztowany w 2002 roku, decyzją sądu apelacyjnego w Poznaniu na okres 3 miesięcy, w związku z upadkiem Stoczni Szczecińskiej - Porta Holding S.A. Dość warto, iż człowiek ten sprawował przez kilka lat funkcję wojewody szczecińskiego. Zwycięzcą tych wyborów został dr Zbigniew Zychowicz z SLD, z którym został przeprowadzony przez autora wywiad socjologiczny w roku 2004. Czytelnik odnajdzie go w II części książki - „Autoportret elit politycznych III Rzeczypospolitej”.

<sup>2</sup> Przeniesienie poparcia na „nowego” kandydata odbyło się na dwa tygodnie przed terminem wyborów, a więc w czasie kiedy już trwała kampania „starego” kandydata, który w tej sytuacji wycofał się udziału w wyborach. Zostały więc, zaprzepaszczone znaczące środki przeznaczone na jego kampanię. Prasa regionalna spekulowała, że łączny koszt billboardów, banerów, plakatów, ulotek i innych narzędzi marketingowych oscylował wokół kwoty 100 tys. zł.

<sup>3</sup> Pełne wersje raportów, w formie powielonych maszynopisów, znajdują się w bibliotece Wyższej Szkoły Humanistycznej TWP w Szczecinie.

problemów polskiej wsi; a nade wszystko - ocenę i stosunek wyborców do establishmentu politycznego.

Z uszczegółowionych analiz materiału empirycznego, zaczął wyłaniać się zwolna, dość ponury obraz. Z jednej strony, oceny i oczekiwania wyborców, częstokroć nieomal całkowicie różniły się z ocenami i programami polityków. Jednocześnie, obserwowałem wśród polityków gorączkowe próby „dostosowania” tych programów, często stojące w opozycji do własnych przekonań i wartości, a nawet zdrowego rozsądku, których celem było jedynie osiągnięcie jak najlepszego wyniku wyborczego.

Z drugiej strony, badania i obserwacje poczynione podczas ich trwania, ujawniły relatywnie niski poziom świadomości politycznej znaczącej części wyborców<sup>4</sup>. Powoduje to sytuację, w której zachowania wyborcze części elektoratu, są w zasadzie nieprzewidywalne. Jego decyzje są nieracjonalne, nacechowane dużym ładunkiem emocji, obarczone często całkowitą przypadkowością.

Innym jeszcze zjawiskiem jest dezorientacja części wyborców powodowana stałą dekompozycją sceny politycznej. I trzecim wreszcie zjawiskiem, najbardziej moim zdaniem niebezpiecznym z punktu widzenia przyszłych losów polskiej demokracji, jest pojawienie się specyficznego elektoratu, będącego wynikiem dysfunkcyjnych zmian struktury społecznej - intelektualnego proletariatu. Większość zagrożeń wynikających z tych zjawisk jest ignorowana przez elity polityczne, lub co gorsza, wykorzystują one frustrację, dezorientację i niski poziom świadomości politycznej części wyborców w celu maksymalizacji własnych korzyści politycznych.

Podczas samorządowej kampanii wyborczej w 2002 roku, prowadząc badania na zlecenie sztabów wyborczych w Szczecinie, obserwowałem pojawienie się i rozwój niezwykle ciekawego zjawiska. Otóż, jeden z kandydatów na prezydenta miasta zastosował - świadomie lub nie - kampanię wyborczą polegającą na jej braku. Jakkolwiek, brzmi to paradoksalnie, tym w istocie była kampania pana Mariana Jurczyka, którego sztab wyborczy prowadził coś na kształt antytezy kampanii wyborczej. Ascetyczne plakaty, brak bilbordów, oraz całkowita „cisza medialna” dopełniały obraz „kampanii wyborczej” tego kandydata. Było to całkowite przeciwieństwo działań podejmowanych przez jego kontrkandydatów. Co zatem spowodowało, że p. M. Jurczyk zasiadł w fotelu prezydenta bliskó półmilionowego miasta? Próbę odpowiedzi na to pytanie czytelnik odnajdzie w rozdziale zatytułowanym „Cień wielkiego imienia”.

Podczas dość sennie prowadzonej kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego, prowadząc badania preferencji wyborczych w okręgu nr 13 (woj. zachodniopomorskie i lubuskie), obserwowałem nieomal dziecięcą bezradność kandydatów i popierających ich partii, bezradność będącą wynikiem niewiedzy o instytucji, do której zamierzali się dostać.

W kampanii parlamentarnej 2005 roku, przeprowadziłem ogólnopolskie badania, które można określić mianem panelowych. Otóż, dokładnie po czterech latach, które wyznaczają trwanie jednej kadencji Sejmu, przeprowadziłem badania na tej samej próbie reprezentatywnej, z wykorzystaniem tego samego narzędzia badawczego (było ono jedynie zmodyfikowane ze względu na emergencję rzeczywistości). Wyniki badań doprowadziły mnie do, kilku przynajmniej, wniosków, dotyczących prawideł zachowań wyborczych Polaków, wniosków, które w moim odczuciu, zasługują na chwilę uwagi Czytelnika.

W obliczu wyżej wskazanych, ogólnych obserwacji, pojawia się wiele pytań. Zasadniczym jest, jak mi się wydaje, pytanie o przyczyny takiego stanu rzeczy. Co spowodowało, że dotychczasowe elity polityczne komunikują się z wyborcami w sposób dla nich niezrozumiały i nie akceptowany? Co sprawia, że politycy w swych programach tworzą coś na kształt rzeczywistości wirtualnej? Jakie są przyczyny radykalizacji nastrojów społecznych i jakie mogą być tego konsekwencje? Co oznacza dla polskiej

<sup>4</sup> Do takiego wniosku upoważniają mnie wyniki badań. Będzie o nich mowa w dalszej części książki.

demokracji pojawienie się „nowych”, populistycznych elit? Jakie są przyczyny i jakie mogą być skutki wycofania się znaczącej części wyharców z życia politycznego? Innymi słowy: jakie są przyczyny i możliwe do przewidzenia skutki, społecznych antynomii elit politycznych i ich elektoratów?

Prezentowana książka jest próbą odpowiedzi na postawione wyżej pytania i choć większość zawartych w niej tez jest wynikiem obserwacji empirycznych, a ich weryfikacja opiera się na standaryzowanej analizie materiału empirycznego, to jednak nie należy prezentowanego czytelnikowi tekstu traktować jako kolejnego raportu badawczego czy też próby ustalenia „teoretycznego modelu zachowań politycznych”, cokolwiek miałyby to znaczyć. Jest on raczej próbą refleksji naukowej ukonstytuowanej i popartej moimi doświadczeniami badawczymi. Owa refleksja jest także próbą podzielenia się z czytelnikiem obawami wynikającymi z obserwacji życia politycznego naszego kraju, które coraz bardziej w ostatnich latach przypomina „targowisko próżności” i nieustający „karnawał elit politycznych”, których udziałem jest często utrata kontaktu z rzeczywistością społeczną.

W cieniu walczących z e s o b ą elit politycznych III Rzeczypospolitej, rosły i tworzyły swoją przestrzeń polityczną nowe elity, który celem stało się zakwestionowanie siedemnastu lat polskich przemian, a być może, redefinicja dotychczasowego porządku społecznego. Ich główną bronią polityczną jest populizm, posiadający różne oblicza: od konserwatywno - nacjonalistycznego Ligi Polskich Rodzin do socjalno - agrarnego „Samobrony”. Żądają zerwania ze „starym porządkiem” - porządkiem Okrągłego Stołu. Może dlatego, że ich przy nim nie było.

To, co wspólne dla „nowych” elit, to fakt, że nie odwołują się one do żadnej znanej ideologii, nie mają programów gospodarczych, posługują się drapieżną retoryką, a ich głównym argumentem jest negacja dotychczasowych elit politycznych i totalna krytyka polskich przemian. Ich programy stanowią eklektyczny zbiór prostych, „zdroworozsądkowych” ogólników, całkowicie podporządkowanych socjotechnice. Kapłani „trzeciej drogi”, „trybuni pokrzywdzonych” są wśród ludu, wsłuchują się w jego głos, pilnie śledzą wyniki badań opinii społecznej i dzięki temu ich powiększające się elektoraty są w stanie uwierzyć we wszystko, co usłyszą z ust tych, „którzy dbają o interes prostego człowieka”. Ci nowi „wyraziciele woli mas” mówią to, co można usłyszeć w kolejce do „pośredniaka”, to co mówi emeryt w osiedlowym sklepie kupując tzw. okrawki poprodukcyjne, to o czym rozmawia się na upadającym bazarze - w cieniu hipermarketu, to co czuje dawny pracownik PGR, któremu w ramach walki z bezrobociem darowuje się kozę<sup>5</sup>.

Niestety, radykalizacja zachowań i programów nie ominęła zrównoważonych do niedawna polityków i partii. Budowa IV Rzeczypospolitej - w domyśle: na gruzach III - speckomisje, delegalizacja przeciwników politycznych, personalne ataki na uczestników Okrągłego Stołu (głównie na Lecha Wałęsę), „śmierć” zamiast negocjacji i zdrowego rozsądku, to tylko niektóre przykłady zbliżania się umiarkowanych dotąd polityków do pozycji, od których „na prawo jest już tylko ściana”. W pogoni za notowaniami sondażowymi chcą i muszą - tak im się zdaje - przebić wyrazistością, ostrością, radykalizmem i często absurdem tych, którzy i tak są niedoścignieni w socjotechnice mas.

Jednak najbardziej bolesne i znamienne są, moim zdaniem, przejawy aberracji intelektualnej części przedstawicieli świata nauki, że użyję eufemizmu, uwikłanych w konotacje polityczne. Historyk wystawia publiczne świadectwa lustracyjne, socjolog snuje przed kamerami opowieść o ponadnarodowym spisku służb specjalnych, którego centrum dowodzenia znajduje się w pałacu prezydenta, socjolog polityki w audycji radiowej, nawet

<sup>5</sup> Mowa w tym miejscu o szeroko nagłaśnianych przez media akcjach, podejmowanych przez niektóre samorządy, których celem jest „poszukiwanie sposobu” na biedę i ubóstwo występujące na obszarach popegeerowskich. Jakkolwiek intencje nie przyświecałyby tym działaniom, nie zmienia to faktu, iż odbiegają one od standardów europejskich i są dowodem znaczącej dysfunkcji państwa w obszarze polityki społecznej.



nie kryjąc swoich poglądów politycznych, mówi o nowo powstałej partii „mutacja” i snując przez wiele miesięcy w mediach „eksperyckie” dywagacje, łąduje na czołowym miejscu listy wyborczej jednej z partii politycznych.

W trakcie prowadzonych badań, przeprowadziłem osobiście kilkaset wywiadów wśród różnych kategorii wyborców. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że zdecydowana większość „argumentów”, którymi posługują się populistyczni politycy, jest prostą transkrypcją opinii tych spośród wyborców, którzy uważają się za „przegranych” w procesie przemian. „Złodzieje”, „oszuści”, „nieudacznicy” - to najczęściej powtarzające się określenia charakteryzujące polityków, które można było usłyszeć podczas badań. „Grabież”, „katastrofa”, „przekręt” - to słowa, którymi znacząca część wyborców określała prywatyzację. Do nich właśnie zwracają się populistyczni liderzy, używając tego samego języka, stosując tę samą argumentację i wskazując tych samych co ulica, sprawców niedoli prostego człowieka - zdemoralizowany establishment polityczny; Balcerowicza, „który musi odejść”; Brukselę, która nas ograbia; Niemca, który wykupi naszą ziemię; hipermarkety; banki i .... No właśnie, kto jeszcze pozostał?

Jeśli zatem, polscy populiści wykorzystują niezadowolenie części społeczeństwa z kierunków przemian, jeśli ich poszukiwania winnych błędów popełnionych w procesie transformacji, są ściśle związane z „głosem ulicy”, to jest jedynie kwestią czasu sięgnięcie przez nich do nowych argumentów z rezerwuaru społecznych fobii i nieoswojonych lęków. „*Nie ma - pisze Eric Hobsbawm - skuteczniejszego sposobu na wytworzenie więzi między różnymi grupami niespokojnego narodu niż zjednoczenie ich przeciw tym z zewnątrz.*”<sup>6</sup>

## 2. Dylematy teoretyczne

Jednym z podstawowych dylematów, z którym przychodzi się zmierzyć badaczom podejmującym zagadnienia roli elit politycznych w procesie zmiany społecznej, staje się problem *lokalizacji teoretycznej* tego rodzaju analiz i studiów empirycznych. Trudność ta nie wynika z jakkolwiek rozumianej „ograniczoności” dotychczasowego dorobku nauk społecznych w obszarze analiz politycznych czy też problemów w zakresie ich operacjonalizacji. Wręcz przeciwnie. Zagadnieniom elit politycznych jest poświęcona znacząca ilość publikacji. Trudność, o której mowa wynika raczej z wątpliwości koncentrujących się wokół problemu stosowności dotychczasowych ustaleń teoretycznych w analizie zjawisk, będących wynikiem innych czynników niż te, które stanowiły asumpt ich ukonstytuowania. Innymi słowy, czy możliwe jest wykorzystanie uogólnień powstałych pod wpływem wydarzeń z początku wieku, do prób wyjaśnienia procesów i zjawisk z jego końca? Prezentowany tekst jest jedynie głosem w dyskusji, której celem winna być odpowiedź na wyżej postawione pytanie.

Znaczącymi impulsami decydującymi o wzroście zainteresowania elitami politycznymi i ich rolą w kształtowaniu rzeczywistości społecznej XX wieku, stały się wydarzenia w Rosji 1917 roku oraz powstanie i dojście do władzy faszyzmu we Włoszech i narodowego socjalizmu w Niemczech. Pod wpływem tych właśnie wydarzeń, Karl Mannheim próbuje udzielić odpowiedzi na fundamentalne pytanie: co decyduje o tym, że działalność podejmowana przez ludzi, której celem jest kierowanie losami społeczeństw, przekształca się w instrument zniewolenia, destrukcji i samozagłady?<sup>7</sup>

Do klasycznych już koncepcji, wyrosłych na fali procesów erozji tradycyjnych elit politycznych - procesów otwierających drogę do władzy reżimom totalitarnym - można

<sup>6</sup> E.Hobsbawm, *Nations and Nationalism since 1870*, Cambridge 1991, s. 93.

<sup>7</sup> Por. K.Mannheim, *Ideologia i utopia*, Lublin 1992.

zaliczyć teorię cyrkulacji elit i koncepcję antyelit Villfreda F. Pareto<sup>8</sup>, czy też teorię klasy próżniaczej Thorstein'a Veblena<sup>9</sup>.

Hannah Arendt, podejmując analizę kryzysu nowożytności, wskazuje na dwie zasadnicze siły współtworzące i generujące zmiany społeczne o charakterze rewolucyjnym. Pierwszą z nich jest lud, który buntował się przeciw dotychczasowemu porządkowi społecznemu tworząc spontanicznie rady rewolucyjne. Drugą siłą, są zdaniem Arendt, zawodowi politycy i ideolodzy przejmujący panowanie nad rewolucją. Tylko oni bowiem, są zdolni do artykulacji celów rewolucji w języku politycznym.<sup>10</sup>

Isaiah Berlin dosadniej określa rolę polityków jaką część z nich odegrała w wydarzeniach dwudziestego wieku: „*Niektórzy zbrojni prorocy chcieli zbawić całą ludzkość, inni tylko swoją rasę odznaczającą się wyższymi atrybutami, ale bez względu na motywację, miliony ludzi zgładzonych podczas wojen i rewolucji - w komorach gazowych, gułagach, w aktach ludobójstwa i wszystkich potwornościach, dla których nasze stulecie będzie pamiętne - to cena, jaką trzeba zapłacić za szczęście przyszłych pokoleń*”.<sup>11</sup>

O znaczeniu elit politycznych w kreowaniu zmian systemowych traktuje również koncepcja Samuela Eisenstadta.<sup>12</sup> Wiąże on powyższą problematykę z zagadnieniem heterodoksji uznając, iż są one ważnym czynnikiem dynamiki społecznej. U ich podłoża leży napięcie występujące pomiędzy tym co racjonalne i irracjonalne, transcendentne i doczesne. Owo napięcie materializuje się m.in. w funkcjonowaniu instytucji świeckich i sakralnych. Następuje zjawisko indoktrynacji zmierzającej do egzekucji zachowań zgodnych z aktualnie obowiązującą wizją świata. W efekcie dochodzi do powstania ruchów kontestatorskich, posiadających silną tendencję wyłaniania elit politycznych, których celem staje się redefinicja zastanego porządku społecznego, co wiąże się z koniecznością artykulacji nowej wizji społecznej. Przejście wizji społecznej ze stanu heterodoksji do stanu idei konfirmowanej odbywa się zazwyczaj na drodze ostrej konfrontacji. S.Eisenstadt twierdzi, że elementy jego modelu zmiany można odnaleźć w większości zmian o charakterze rewolucyjnym.<sup>13</sup>

Nowa propozycja Eisenstadta, sprowadzająca się do uznania wydarzeń 1989 roku w Europie Wschodniej za nieideologiczne i antyutopijne eksperymenty, choć stanowi interesujący głos w refleksji nad przyczynami demontażu systemów totalitarnych w tej części świata, to jednak dowodzi swoistej homogenizacji analiz dokonywanych „z oddali”. Traktowanie wydarzeń w Europie Środkowej an block, ich nadmierna ekonomizacja, uogólnienia noszące znamiona uproszczeń, to podstawowe wady analiz dokonywanych przez socjologów, politologów i komentatorów, których wiedza dotycząca realiów krajów byłego bloku wschodniego jest często znikomą. Trudno bowiem zgodzić się z tezą, że droga prowadząca uczestników tych wydarzeń w Polsce do Okrągłego Stołu, była „nieideologiczna” i - jak chce Eisenstadt - stanowiła „postmodernistyczny eksperyment”, cokolwiek to oznacza.<sup>14</sup>

Zagadnienie elit politycznych bywa także wiązane z ich rolą w zakresie kreowania i afirmacji ideologii. Do tego typu rozważań zaliczyć należy m.in. słynną już pracę Raymonda Arona - „Opium intelektualistów”. Określając rolę i udział inteligencji we współczesnych elitach politycznych, pisze nie bez cienia złośliwości: *Wszystkie polityczne ustroje zapewniają*

<sup>8</sup> Zob. m.in. V.Pareto, *Umysł a społeczeństwo*, (w:) *Elementy teorii socjologicznych*, red. W.Derczyński i in., Warszawa 1975; Z.Bauman, *Socjologia Pareto* (w:) *Szkola frankfurcka*, red. J.Loziński t. 2, cz. II, Warszawa 1987; V.Pareto, *Les systemes socialistes*, 1906; *Trasformazione della democrazia*, 1921.

<sup>9</sup> T.Veblen, *Teoria klasy próżniaczej*, Warszawa 1998.

<sup>10</sup> Por. m.in. H.Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, Warszawa 1993; H.Arendt, *O rewolucji*, Kraków 1991.

<sup>11</sup> I.Berlin, *The Crooked Timber of Humanity*, New York 1991, s. 15-16.

<sup>12</sup> Por. M.S.Szczepański, *Teorie zmian społecznych cz.1 Teoria modernizacji*, Katowice 1990, cz. 1; cz.2 S.Nurek, *Idea ewolucji społecznej*, Katowice 1987.

<sup>13</sup> S.Eisenstadt, *The Breakdown of Communist Regimes and the Vicissitudes of Modernity*, „Daedalus”, 1992, nr 2, s. 21-41.

<sup>14</sup> Tamże.

powodzenie ludziom umiejącym operować słowami i ideałami. Na tron nie wstępuje już wojskowy, który zasłynął swoją odwagą i szeregiem zwycięstw, lecz mówca, który zdołał przekonać tłumy wyborców czy kongresy, lub teoretyk, który wypracował system myśli (...) Teoretyk i propagandysta kroczą odtąd razem.<sup>15</sup>

Nowym impulsem, powodującym wzrost zainteresowania problematyką elit politycznych, stały się przemiany w krajach byłego bloku wschodniego. Szczególną uwagę autorów rozlicznych publikacji przykuwać zaczęły wydarzenia na Bałkanach, w szczególności zaś, rola elit politycznych jaką odegrały one w konfliktach etnicznych pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych w byłej Jugosławii.

O roli serbskiej inteligencji w procesie dezintegracji Jugosławii pisze w sposób ciekawy i wnikliwy Branka Magas, stawiając tezę, w myśl której nie doszłoby do tragedii wojny i czystek etnicznych, gdyby nie ambicje i brak odpowiedzialności serbskich intelektualistów tworzących postkomunistyczne elity polityczne, którzy stali się źródłem restauracji mitu Wielkiej Serbii.<sup>16</sup>

Szok jaki spowodowała bałkańska tragedia stał się przedmiotem poważnych analiz, które wiązały jej przyczyny z pustką wartości, norm, ideałów i autorytetów, powstałą w wyniku upadku totalitaryzmu w tej części Europy.<sup>17</sup>

Nieco inny nurt analityczny, stanowią prace poświęcone procesowi odradzania się nacjonalizmu we wszystkich krajach postkomunistycznych. Przykładem tego typu opracowania może być książka Katherine Verdery, w której autorka wskazuje na występowanie tendencji obserwowalnej w krajach postkomunistycznych, egzemplifikującej się w swoistej nostalgii społeczeństw wychodzących z totalitaryzmu za utraconymi pewnikami, nostalgii powodującej rozpaczliwe poszukiwania nowych aksjomatów, którymi stają się wartości narodowe i mesjanistyczne mity narodu, ludu, wspólnoty krwi i ziemi.<sup>18</sup> W tym procesie, zdaniem Verdery, należy upatrywać przyczyn renesansu nacjonalizmu, który dla elit politycznych stanowi jedynie narzędzie realizacji celów politycznych, o tyle skuteczne, o ile wychodzące naprzeciw oczekiwaniom społecznym.

Analizując współczesną literaturę traktującą o elitach politycznych można odnieść wrażenie, że wzrost zainteresowania tą problematyką **jest niemal zawsze funkcją konstatacji destruktywnej roli elit w procesach zmian społecznych.**

Inny wniosek, nasuwający się po oglądzie literatury przedmiotu, prowadzi do wskazania dość zaskakującego skoncentrowania uwagi autorów na analizach krajów byłego bloku wschodniego. Powstaje wrażenie, jakoby dysfunkcje elit politycznych były charakterystyczne i niemal immanentnie związane jedynie z tym rejonem Europy. Nic bardziej mylnego. Europa Zachodnia nie jest bowiem wolna od wzrostu tendencji nacjonalistycznych, populistycznych czy separatystycznych. Oczywiście jest, że pojawiające się zjawisko kryzysu „klasycznych elit politycznych” i towarzyszący temu wzrost znaczenia nowych elit, które dotychczas stanowiły jedynie element folkloru politycznego, jest obserwowalny w sporej części tzw. ugruntowanych i stabilnych demokracjach. Kariery polityków reprezentujących, w różnym co prawda stopniu, nacjonalizm - Jorga Haidera w Austrii, Carla Hagena w Norwegii, Jeana - Marie Le Pena we Francji, Umberto Bossi we Włoszech, Pima Fortuyn a<sup>19</sup> w Holandii - są dowodem swoistego, europejskiego renesansu ksenofobii, separatyzmu, nacjonalizmu i populizmu. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy wzrastające poparcie dla tego typu polityków, jest wynikiem - jak chce tego Maia

<sup>15</sup> R.Aron, *Opium intelektualistów*, Warszawa 2000, s.231.

<sup>16</sup> B.Magas, *The Destruction of Yugoslavia*, London 1993.

<sup>17</sup> Zob. m.in., L.J.Cohen, *Broken Bonds: The Disintegration of Yugoslavia*, Boulder 1993; S.Woodward, *The Yugoslavian Tragedy*, Washington 1995; M.Thompson, *A Paper House: The Ending of Yugoslavia*, New York 1992.

<sup>18</sup> Zob. K.Verdery, *What Was Socialism and What Comes Next?*, Princeton 1996.

<sup>19</sup> Pim Fortuyn zginął wiosną 2002 r. w wyniku dokonanego na niego zamachu.

Ascheri - opozycji wobec liberalizmu<sup>20</sup>, czy też popularność „Hiederów” tłumaczyć należy kryzysem wartości w społeczeństwach konsumpcyjnych, którego wyznacznikiem jest *świat chindogu*.<sup>21</sup>

Pogłębiająca się dyferencjacja ekonomiczna społeczeństw zachodnich, spadek bezpieczeństwa socjalnego, globalizacja, wizja „społeczeństwa 20/80”, kryzys wartości, amerykańizacja kultury - prowadzą w Europie do poszukiwania punktów odniesienia określających ramy życia zbiorowego, to poszukiwania nowej osi świata.<sup>22</sup> Najprostszą receptą na wszystkie lęki i obawy staje się, proponowany przez wszelkiej maści populistów, program powrotu do tradycyjnych wartości - narodu, wspólnoty, rodziny. Lekiem na wszechogarniającą rywalizację i globalizację ma być izolacjonizm, receptą na bezrobocie - pozbycie się imigrantów „odbierających” miejsca pracy „prawdziwym” Holendrom, Francuzom, Austriakom. Recepty stare jak nacjonalizm i populizm, jednak przyczyny i uwarunkowania zgoła odmienne od tych, które wyniosły do władzy Hitlera i Mussoliniego. Jedno jednak wydaje się wspólne dla wzrostu tendencji nacjonalistycznych w pierwszej połowie dwudziestego wieku i u jego schyłku. **Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku, towarzyszy temu zjawisku kryzys tradycyjnych elit politycznych, które nie potrafią znaleźć odpowiedzi na podstawowe pytania i nie są zdolne zmierzyć się z problemami współczesnych im społeczeństw.** Niczym złowieszcze memento brzmią słowa Charles Handygo: „*Historia uczy, że w czasie rewolucji agrarnej nasi przodkowie - myśliwi i zbieracze - zostali zastąpieni przez klasę właścicieli ziemskich, których z kolei podczas rewolucji przemysłowej zastąpili właściciele wytwórni i fabryk. W każdym wypadku właśnie wygodnictwo klas aktualnie rządzących i elit je reprezentujących, doprowadzało ostatecznie do ich wymiany.*”<sup>23</sup>

Cechą charakteryzującą nieomal wszystkie podejścia teoretyczne w analizie elit politycznych jest to, że stanowią one reakcję na wydarzenia, których wstrząs stanowił impuls refleksji naukowej. Stąd też, większość analiz odnosi się do konkretnych wydarzeń, zjawisk, procesów i jako taka, nie jest pozbawiona elementów aksjologicznych. Trudno bowiem, co jest zrozumiałe, zachować chłód analityczny w obliczu skutków powodowanych destrukcyjną rolą części elit politycznych w dwudziestym wieku. Dobrym tego przykładem jest, przywołana już, fleksja I. Berlina.

Inną cechą analiz elit politycznych, szczególnie odnoszących się do wydarzeń z pierwszej połowy dwudziestego wieku, jest ich nadmierna ekonomizacja przejawiająca się w uznaniu, że destrukcyjna rola elit jest wynikiem trudności gospodarczych będących udziałem społeczeństw udzielających poparcia populistycznej części establishmentu politycznego. Wskazuje się często na fakt, że radykalizacja nastrojów społecznych, torująca drogę do władzy populistom, jest funkcją niezadowolenia wyborców z poziomu życia. Czym zatem, tłumaczyć radykalizację nastrojów w krajach na relatywnie wysokim poziomie życia? Trudno też uzyskać jasną odpowiedź teoretyków i analityków na pytanie o przyczyny erozji tradycyjnych elit politycznych. Pewną próbą w tym względzie jest propozycja Pareto, lecz odnosi się ona do względnie zamkniętego układu elit politycznych i nie daje pełnej

<sup>20</sup> M.Asheri, *The Birth of Fascist Ideology. From Cultural Rebellion to Political Revolution*, Princeton 1994.

<sup>21</sup> Termin ten został zaczerpnięty przez Charlesa Handygo z języka japońskiego, dla nazwania wszystkich niepotrzebnych rzeczy, które mielibyśmy ochotę kupić. Stają się one substytutem marzeń, wartości i celów naszego życia. Zastępują dotychczasowy sens pracy i uzasadnienie naszych wysiłków. Przystają nimi być: samorealizacja i dążenie do doskonałości. Motorem naszych działań staje się chęć posiadania kolejnych chindogu. Por. Ch.Handy, *Głód Ducha. Poza Kapitalizm - poszukiwanie sensu w nowoczesnym świecie*, Wrocław 1999.

<sup>22</sup> Zob. min. H.P.Martin, *Pałapka globalizacji. Atak na demokrację i dobrobyt*, Wrocław 2000; B.Barber, *Dziś i jutro kontra MacŚwiat*, Warszawa 1997; Z.Bauman, *Intimations of Postmodernity*, London 1992.

<sup>23</sup> Ch.Handy, *Głód...*, op.cit., s. 98.



odpowiedzi na pytanie o mechanizmy kreujące nowe, najczęściej populistyczne elity, które tworzą swoją przestrzeń polityczną w oparciu o częściową lub całkowitą negację tradycyjnego układu politycznego. Rzecz oczywiście nie w tym co kieruje tymi politykami, **lecz istota sprawy tkwi w społecznych mechanizmach ich legitymizacji.**

Problemem analizy roli elit politycznych w społeczeństwach w fazie przejścia od totalitaryzmu do demokracji jest ich swoista homogenizacja, przejawiająca się w traktowaniu tych społeczeństw w jednorodnych kategoriach analitycznych nieuwzględniających odmiennych uwarunkowań społecznych, historycznych, kulturowych i ekonomicznych oraz pewien protekcyjnalizm, oceniający elity polityczne państw dawnego bloku wschodniego z punktu widzenia afirmacji bądź odrzucenia przez nie zachodnich modeli rozwojowych. Bardzo często towarzyszy temu brak elementarnej wiedzy dotyczącej specyfiki procesów zachodzących w tej części Europy. Powyższe stwierdzenia wymagają pewnego rozwinięcia i uzasadnienia.

Otóż, przeglądając literaturę zachodnią dotyczącą elit politycznych w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, można natknąć się na takie choćby stwierdzenia: „*To prawda, - pisze jeden ze znawców problematyki - że Petru Lucinski w Mołdawii, Algirdas Brazauskas na Litwie, Leonid Kuczma na Ukrainie, Aleksander Kwaśniewski w Polsce, Ion Iliescu w Rumunii, Kira Gligorov w Macedonii, Vladimir Mecziar na Słowacji i Slobodan Miloszevicz w Serbii są byłymi komunistami, ale nie są neokomunistami (...). Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że znalazłszy się u władzy odbudują obozy koncentracyjne dla przeciwników politycznych, zerwą stosunki z Zachodem i zdemontują gospodarkę rynkową. Są oni natomiast cynicznymi pragmatykami, kameleonami, którym udało się przetrwać, gotowymi przyjąć wszelką wiarę i przynajmniej na pewien czas uznać za swoją, jeśli pomoże to utrzymać się przy władzy.*”<sup>24</sup>

Mówiąc o przeciwnikach bezrefleksyjnego przenoszenia wzorów i mechanizmów z państw wysokorozwiniętych do krajów postkomunistycznych inny analityk zadaje pytanie: „*Co łączy te wszystkie grupy? Najprawdopodobniej wrogość wobec demokratycznych, liberalnych, nowoczesnych wartości(...).*”<sup>25</sup> Tego typu „generalizacji” można byłoby wskazać znacznie więcej. Wszystkie one dowodzą bardzo stereotypowego i schematycznego sposobu postrzegania nie tylko elit politycznych w państwach dawnego bloku wschodniego, ale również kierunków rozwoju społeczno - gospodarczego tych krajów. Wszystkie postulaty elit politycznych i intelektualnych, uwzględniające konieczność dostosowania modeli zachodnich do specyfiki społeczeństw postkomunistycznych są traktowane przez analityków Zachodu jako przejaw opozycji wobec demokracji, idei wolnego rynku, swobód obywatelskich. Te uproszczone schematy wynikają w dużej mierze z przekonania, iż zachodnie modele rozwojowe posiadają tak uniwersalny charakter, że ich mechaniczna aplikacja we wszystkich niemal społeczeństwach jest gwarantem sukcesu, dobrobytu i wolności.<sup>26</sup> Z kolei, porównywanie i stosowanie tej samej miary w odniesieniu do polityków wywodzących się z dawnych partii komunistycznych, jest przejawem całkowitego niemal niezrozumienia różnic dzielących tych polityków i odmiennych dróg prowadzących społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej do demokracji. Doprawdy, trudno powiedzieć, co skłania niektórych

<sup>24</sup> A.Nagorski, *The Birth of Freedom: Shaping Lives and Societies in the New Eastern Europe*, New York 1993, s. 57.

<sup>25</sup> S.Holmes, *Liberalism for a World of Ethnic Passions and Decaying States*, „Social Research”, 1994, nr 3, s. 601.

<sup>26</sup> O problematyce polskiej transformacji w kontekście przenoszenia modeli zachodnich, niezwykle ciekawie pisze Marek S. Szczepański. Por. M.S. Szczepański, *Pokusy nowoczesności. Polskie dylematy rozwojowe*, Katowice 1992, s. 7-41.

socjologów i politologów Zachodu do stawiania w jednym rzędzie Brazauskasa i Kwaśniewskiego z Miloszeviczem.<sup>27</sup>

Na tym tle niezwykle ciekawie prezentuje się dorobek polskiej socjologii w zakresie analiz elit politycznych w procesie przebudowy struktur społecznych. Jego cechą charakterystyczną jest bardzo wysoka adekwatność empiryczna i związek z realiami życia społecznego i politycznego. Wynika to prawdopodobnie z uznania przez polskich autorów, specyfiki procesów transformacji jako zjawiska nie posiadającego analogii w historii, a zatem zjawiska wobec którego stosowanie schematów teoretycznych odnoszących się do „tradycyjnych” aspektów funkcjonowania elit politycznych nie jest do końca uzasadnione.<sup>28</sup> Dlatego też, większość rozważań dotyczących elit politycznych opiera się i podlega weryfikacji empirycznej.

Bardzo dobrym przykładem owej specyfiki jest pojawienie się tzw. protopartii.<sup>29</sup> W sytuacji niedorozwoju partii politycznych na szczeblu lokalnym, w obliczu niemożności artykulacji przez nie interesów społeczności lokalnej, dochodzi do przejęcia przez stowarzyszenia i inne organizacje obywatelskie roli klasycznych partii politycznych. Stają się one swoistym substytutem partii politycznych, lecz tylko w okresie poprzedzającym wybory. Po wyborach, te quasi partie polityczne powracają do swojej pierwotnej roli i formy organizacyjnej<sup>30</sup>.

Przejawem specyfiki działania elit politycznych w Polsce (szerzej - w Europie Środkowo-Wschodniej) jest fakt, że proces ich kształtowania się jest zdecydowanie krótszy od tego z czym mamy do czynienia w krajach, często o wielowiekowych tradycjach demokratycznych. Powoduje to znaczącą dynamikę sceny politycznej, przejawiającą się w powstawaniu coraz to nowych konfiguracji politycznych, a co za tym idzie - sporą dezorientacją części wyborców. Wszystkie te niezwykle ważne i złożone zagadnienia znajdują swoje odbicie w prowadzonych w Polsce studiach teoretycznych i empirycznych.<sup>31</sup>

Niepodobna analizować funkcjonowania elit politycznych w warunkach demokracji, bez uwzględnienia podstawowego czynnika, który je kreuje - zachowań wyborczych Suwerena. Stąd też, ostatnia część prezentowanej książki jest w całości poświęcona próbie postawienia kilku przynajmniej pytań dotyczących uwarunkowań działania polskich elit politycznych, uwarunkowań egzemplifikujących się w pewnych prawidłach zachowań wyborczych Polaków. Pomocny w próbach ustalenia prawideł zachowań wyborczych może być znaczący dorobek nauk społecznych w tym obszarze poznawczym.

W literaturze zachodniej, do bodaj najbardziej klasycznych koncepcji, należy zespół czynników aktywności wyborczej Lipseta<sup>32</sup> oraz podejście strukturalno - funkcjonalne T. Parsonsa, zakładające powiązanie jednostkowych zachowań wyborczych z przynależnością do grup społecznych, głównie takich, które charakteryzują się podobnym statusem

<sup>27</sup> Relatywnie niska ocena analiz elit politycznych krajów postkomunistycznych, dokonywana przez socjologów i politologów zachodnich nie jest jedynie moim udziałem. Do podobnych wniosków dochodzi również część znawców problematyki, także w Europie Zachodniej. Por. P.Bender, *Für eine gemeinsame Zukunft. Polen und Deutsche, sechzig Jahre nach dem Krieg*, „Merkur”, Stuttgart 2000, nr 611.

<sup>28</sup> Por. min., W.Markiewicz, *Stan teraźniejszy kultury politycznej społeczeństwa polskiego*, w: *Studia do portretu naukowego socjologa*, red. J.Leoński, Szczecin 2002; A.Wolff-Pawęska, *Rola tożsamości narodowej w procesie kształtowania się demokratycznej kultury politycznej Europy Środkowej*, „Przegląd Zachodni” 2000, nr 2; W.Wesołowski, *Partie: nieustanne kłopoty*, Warszawa 2000; W.Wesołowski, *Teoretyczne aspekty badania elit politycznych*, „Studia Socjologiczne”, 2000, nr 4.

<sup>29</sup> Por. D.L. Seiler, J.Wódz, K.Wódz, *O reprezentacji politycznej na szczeblu lokalnym*, Katowice 1997.

<sup>30</sup> Tamże.

<sup>31</sup> Zob. min. *Początki parlamentarnej elity. Posłowie kontraktowego Sejmu*, red. J.Wasilewski, W.Wesołowski, Warszawa 1992; J.Sztumski, *Elity. Ich miejsce i rola w społeczeństwie*, Katowice 1997; M.Marody, *O pewnych osobliwościach polskiej klasy politycznej*, (w:) *Psychologia rozumienia zjawisk społecznych*, red. B.Wojciszke, M.Jarymowicz, Warszawa 1999.

<sup>32</sup> M.S.Lipset, *Homo politicus. Społeczne podstawy polityki*, Warszawa 1995.

społecznym<sup>33</sup>. Podobnie, do kanonu studiów empirycznych, można zaliczyć badania Butlera i Stoke'a nad zjawiskiem lojalności elektoratów partii politycznych.<sup>34</sup> Podobne badania, prowadzące do ciekawych ustaleń prawideł zachowań wyborczych były prowadzone we Francji i USA.<sup>35</sup>

W podejściu indywidualistycznym do zachowań wyborczych, nie sposób nie przywołać znanej, lub jak chcą niektórzy, przełomowej pracy A. Downsa.<sup>36</sup> Stawia on tezę, że zachowania wyborcze, w swej istocie, przypominają zachowania rynkowe. Wyborcy są skłonni podjąć wysiłek udziału w wyborach wtedy, gdy wiąże się on ze spodziewanymi zyskami w indywidualnym wymiarze. Innymi słowy, głosujemy wtedy, gdy to się nam opłaca.

Podobna propozycja analityczna została sformułowana przez A. Rapaporta. Kluczowym pojęciem dla polityki staje się, według Rapaporta, pojęcie rynku politycznego z działającym prawami popytu i podaży, polityk i jego program są towarem wymagającym działań marketingowych, a w kampanii wyborczej liczy się jedynie zdobycie maksymalnej liczby głosów.<sup>37</sup> Wyborcy zatem, są zatem traktowani w taki sam sposób jak konsumenci i tak też się zachowują.

Swego rodzaju rozwinięcie, akomodację empiryczną, powyższych koncepcji, odnaleźć można w teorii racjonalnego wyboru, zaprezentowanej przez J. Raciborskiego. Kładzie ona nacisk na znaczenie kilku wyznaczników zachowań wyborczych: jednostkowy charakter decyzji wyborczych; ich racjonalność, partykularyzm i ograniczenia; na trwałość i kompletność preferencji.<sup>38</sup>

Inną, ukonstytuowaną na polskim gruncie, koncepcją ustalania prawideł zachowań wyborczych, jest typologia wyborców Z. J. Pietrasia. Wyróżnia on i opisuje m.in.: wyborców pozytywnych i negatywnych (opierają swoje decyzje na emocjach); wyborców programowych (decyzje w oparciu o własne opinie dotyczące s. politycznego i programów partii); wyborcy aksjologiczni (decyzje są wynikiem systemów wartości uznawanych przez jednostkę); wyborcy partyjni (lojalni wobec partii politycznej); wyborcy grupowi (o wyborach decyduje poczucie przynależności do określonej grupy społecznej oraz identyfikacja partii jako reprezentanta interesów tej grupy); wyborcy niezależni (nieprzewidywalni i niespójni w decyzjach wyborczych); wyborcy wyalienowania (nie biorący udziału w wyborach)<sup>39</sup>.

Przystępując do pisania tego fragmentu mojej książki nie zamierzałem dokonać jakkolwiek rozumianego „przeglądu dotychczasowego dorobku nauk społecznych” w omawianym zakresie. Celem moim nie było również przeprowadzenie „krytycznej analizy stanowisk definicyjnych”. Wszelkie tego typu działania posiadają, moim zdaniem, charakter odtwórczy i stanowią w swej istocie analizę wtórną, nie wnoszą nic nowego do refleksji socjologicznej, jeśli nie stanowią wypełnienia warunku unifikacji procesu wyjaśniania. Zamierzałem zatem, ukazać jedynie wieloaspektowość i złożoność problematyki elit politycznych, odzwierciedlającą się w różnorodności koncepcji teoretycznych i analitycznych odnoszących się nie tylko do funkcjonowania elit, ale również do zagadnień z nimi związanych takich jak populizm, totalitaryzm, nacjonalizm, separatyzm, instrumentalizm

<sup>33</sup> Por. T. Parsons, *Szkiecy z teorii socjologicznej*, Warszawa 1972.

<sup>34</sup> D. Butler, D. Stokes, *Political Change in Britain*, New York 1976.

<sup>35</sup> E.P. Converse, G. Dupeaux, *Politicization of the Electorate in France and the United States*, „Public Opinion Quarterly”, 1992, Vol. 26 No. 1.

<sup>36</sup> A. Downs, *An Economic Theory of Democracy*, New York 1957.

<sup>37</sup> Por. A. Rapaport, *Różne znaczenia „racjonalnych decyzji politycznych”*, Warszawa 1986.

<sup>38</sup> Por. J. Raciborski, *Polskie wybory. Zachowania wyborcze społeczeństwa polskiego 1989 - 1995*, Warszawa 1997.

<sup>39</sup> Por. Z. J. Pietraś, *Decydowanie polityczne*, Warszawa 1998.

władzy, zachowania wyborców<sup>40</sup> Wszelako, nie zwalnia mnie to z konieczności poczynienia pewnych refleksji nasuwających się po oglądzie literatury przedmiotu.

Wspomniana na początku tego podrozdziału trudność w zakresie tzw. lokalizacji teoretycznej niniejszej książki wynika z mojego głębokiego przekonania, że większość ustaleń teoretycznych w analizowanym obszarze odnosi się do konkretnych wydarzeń i jako taka nie posiada uniwersalnego charakteru. „*Wielkie teorie* - pisze Piotr Sztompka-*są dziećmi wielkich czasów*” i stwierdza, że jest jeszcze zbyt wcześnie, aby wyłoniła się syntetyczna teoria przełomu postkomunistycznego.<sup>41</sup> Niemożliwe jest zatem wskazanie jakkolwiek rozumianej, całościowej teorii elit politycznych, która spełniałaby rolę paradygmatu teoretycznego stosownego w pewnej liczbie rzeczywistych układów elit politycznych. Dlatego też, słusznym wydaje się być przyjęcie założenia w myśl którego analiza elit politycznych winna być przede wszystkim przedmiotem weryfikacji empirycznej uwzględniającej każdorazowo kontekst kulturowy, polityczny, ekonomiczny i historyczny. Nie wyklucza to oczywiście możliwości wykorzystania dotychczasowego dorobku nauk społecznych w analizie zjawisk towarzyszących procesowi kształtowania się elit politycznych w Polsce po roku 1989. Jednakowoż, uwzględnienie warunku adekwatności empirycznej uogólnień dotyczących elit politycznych, pozwala uniknąć tych wszystkich błędów, którymi obarczone są wyżej wspomniane dokonania części analityków zachodnich.

Ponadto, takie podejście do problematyki elit politycznych wychodzi naprzeciw postulatowi metodologicznemu teorii średniego zasięgu, które stanowią najpowszechniej stosowany i uznawany sposób postępowania wyjaśniającego na gruncie współczesnej socjologii.<sup>42</sup> Zastosowanie takiego podejścia badawczego posiada jeszcze jedno uzasadnienie. **Otóż, aksjomatycznie nieomal należy traktować tezę o specyfice procesów zachodzących w Europie Środkowo-Wschodniej. Powoduje to konieczność poszukiwania nowych perspektyw analitycznych.**

Nigdy bowiem w historii nie mieliśmy do czynienia z procesami choćby zbliżonymi do istoty przeobrażeń w tej części świata. Rozpad całego systemu państw totalitarnych, przebudowa struktur społecznych na niespotykaną skalę, procesy tworzenia podstaw społeczeństw obywatelskich, przeobrażenia gospodarcze, poszukiwanie tożsamości narodowych społeczeństw zniewolonych przez dziesięciolecia, próby nakreślenia kierunków rozwojowych, reorientacji na nowe wartości i cele - to tylko niektóre z wyznaczników procesu wychodzenia z totalitaryzmu społeczeństw dawnego bloku wschodniego. Wszystkie te zjawiska i procesy, co prawda w różnym stopniu, są udziałem blisko 150 mln ludzi (nie licząc Rosji) zamieszkujących obszar Europy Środkowo-Wschodniej.

Tak więc, oczywistą wydaje się być konieczność odpowiedzi na pytanie postawione na początku prezentowanej refleksji: czy możliwe jest wykorzystanie uogólnień powstałych pod wpływem wydarzeń z początku wieku, do prób wyjaśnienia procesów i zjawisk z jego końca? Z jakąkolwiek miałyby to spotkać się krytyką - sędzę, że odpowiedź może być tylko przecząca. Zmienione uwarunkowania ekonomiczne, polityczne i kulturowe powodują, że

<sup>40</sup> Oczywiście można byłoby rozszerzyć ten wachlarz zagadnień. Można bowiem wiązać zagadnienie elit politycznych z problematyką legitymizacji władzy, wyłanianiem społecznej reprezentacji władzy, kształtowaniem się elit politycznych w procesie transformacji ustrojowej. Zob. m.in. M.Weber, *The Protestant Ethic and the Spirit of Capitalism*, New York 1958; J.Habermas, *Communication and the Evolution of Society*, Boston 1979; W.Wesołowski, *Klasy, warstwy i władza*, Warszawa 1976; G.Sartori, *Teoria demokracji*, Warszawa 1994; J.Wódz, *Dynamika odtwarzania się świadomości regionalnej a idea państwa unitarnego. Sprzeczność realna czy pozorna*, (w:) *Jaka Europa. Regionalizacja a integracja*, red. P.Buczowski, Poznań 1999.

<sup>41</sup> P.Sztompka, *Teorie zmian społecznych a doświadczenia polskiej transformacji*, „*Studia Socjologiczne*”, 1994, nr 1, s. 9.

<sup>42</sup> Na potrzebę i zasadność stosowania teorii średniego zasięgu w analizie zjawisk towarzyszących polskiej transformacji wskazuje m.in. P.Sztompka, *Teorie ...*, op. cit.



procesy i zjawiska zachodzące we współczesnym świecie nie mogą być poddane tym samym imperatywom teoretycznym, które uzyskały prawomocność w procesie eksplikacji wydarzeń z początku wieku.

Zmianie uległa świadomość społeczna i będąc wzbogaconą o okrutne doświadczenia XX wieku nie jest „dobrym tworzywem” dla populistycznych elit. Nie zmienia to oczywiście faktu, że pojawiające się we wszystkich niemal społeczeństwach, tendencje nacjonalistyczne, populistyczne czy zgoła rasistowskie, stać się mogą przyczyną trudnych do przewidzenia konsekwencji.

Strach, fobie i lęki, które ujawniły się w USA i w części krajów Europy Zachodniej po wydarzeniach z 11 września 2001 roku, wskazują wyraźnie, że w obliczu silnego poczucia zagrożenia, nawet w społeczeństwach o dużych tradycjach demokratycznych i znaczącym przywiązaniu do idei tolerancji, pojawiają się tendencje ksenofobiczne i rasistowskie oraz przyzwolenie społeczne dla ograniczania swobód i praw obywatelskich. Tym bardziej zatem, poszukiwanie nowych perspektyw badawczych w obszarze funkcjonowania elit politycznych, jawi się jako uzasadnione. Któż bowiem jest w stanie zagwarantować, że nowe, nieoswojone lęki społeczne, nie zostaną wykorzystane do legitymizacji skrajnych i radykalnych programów politycznych? Czy jesteśmy w stanie prognozować pojawienie się tego typu tendencji w oparciu o dotychczasowe instrumentarium analityczne? Sądzę, że nikt nie jest w stanie złożyć tego typu deklaracji. Z dotychczasowych bowiem doświadczeń wynika, że o ile jesteśmy przygotowani dość dobrze do analiz opisowych, o tyle przewidywiska nauk społecznych w omawianym względzie pozostawia wiele do życzenia.

Stajemy zbyt często w obliczu wydarzeń, które nas zaskakują, szokują i które pozostawiają nam rolę „spóźnionego wizjonera”. Ileż to razy padają z ust socjologów i politologów stwierdzenia typu „to było do przewidzenia”, „wiele symptomów na to wskazywało”? Dlaczego więc, nie udało się TEGO przewidzieć, skoro było TO do przewidzenia? Dotykamy tu, jak sądę, nie tylko problemów związanych z adekwatnością empiryczną dotychczasowych ustaleń teoretycznych, ale również ograniczeń wynikających z przyjęcia pewnej konwencji wnioskowania prognostycznego, która nakazuje swoistą ostrożność, uzasadnianą często, potrzebą obiektywizacji wypowiedzi noszących znamiona naukowych generalizacji.

Dotyczy to również przedstawicieli polskich elit intelektualnych, którzy w obawie przed posądzeniem o sprzyjanie tej czy innej opcji politycznej, stronią w wypowiedziach publicznych od artikulacji wypowiedzi posiadających walor aksjologiczny. W wyniku tego, polskie elity intelektualne pozbawiają się częstokroć możliwości realizacji jednej z istotnych ich funkcji społecznych - funkcji opiniotwórczej, która stanowi o kreatywności intelektualistów w obszarze wskazywania i ustalania norm oraz wzorów i standardów działania elit politycznych.

Jeśli bowiem, elity intelektualne milczą w obliczu ewidentnych przykładów łamania elementarnych zasad uprawiania polityki, to powstaje w odbiorze społecznym wrażenie, że albo takich zasad nie ma, albo też ich naruszanie posiada, oprócz społecznej, także legitymizację świata nauki. Coraz częściej uznajemy więc, że uprawianie polityki to niczym nieskrępowana gra interesów elit politycznych. Ten sposób postrzegania działań politycznych stał się już niemal powszechny. Diametralna zmiana poglądów przez polityków, zmiana przynależności partyjnej, tworzenie coraz to nowych partii powodujące dekompozycję polskiej sceny politycznej, jawny antysemityzm i ksenofobia prezentowane przez niektóre ugrupowania w kampanii parlamentarnej 2001, nie budzą już społecznego sprzeciwu. Stały się normą kształtującą polski krajobraz polityczny.

Sądzę więc, że analizie elit politycznych III Rzeczypospolitej towarzyszyć winny nie tylko poszukiwania nowych perspektyw teoretycznych, ale również próba określenia roli i miejsca intelektualistów w procesie „przebudowy” świadomości społecznej i redefinicji

rozumienia polityki, nie tylko w aspekcie skutecznego jej uprawiania, ale również w aksjonomatycznym wymiarze funkcjonowania elit politycznych

Być może, część czytelników prezentowanej książki, zaskoczą formułowane przeze mnie wnioski, a raczej ich wyrazistość. Pragnę jednak zapewnić, że są one z jednej strony wynikiem standaryzowanych analiz socjologicznych, z drugiej zaś są próbą wyjścia poza zachowawczy sposób prezentowania zjawisk społecznych zachodzących w Polsce po roku 1989. Upoważniają mnie do takiego podejścia, jak sądzę, doświadczenia wyniesione ze współpracy z przedstawicielami większości elit politycznych i możliwość obserwowania działań polityków po wyłączeniu kamer, w „kuchni politycznej”, w której przygotowuje się „potrawy wyborcze”.

Widziałem zdziwienie prominentnego polityka, kiedy na sześć tygodni przed wyborami parlamentarnymi usłyszał, że województwo zachodniopomorskie tworzą dwa okręgi wyborcze, a nie jeden. „A jednak” - powiedział zaskoczony Poseł. Jego zdziwienie rosło, gdy uświadomiono mu, że w „jego” okręgu wyborczym jest do zdobycia trzynaście mandatów...

Słyszałem polityka, który na serio, przekonywał zespół specjalistów kreujących jego kampanię, że jego celem nie jest zdobycie miejsca w parlamencie, lecz... zbawienie wieczne. Widziałem zaskoczenie kandydatki, gdy konkurencja zarzuciła jej, że rachunki za służbowy telefon, opłacany przez podatników, są ciut za wysokie - 3000 zł miesięcznie. „No to jak mam k... pełnić swoją misję” - powiedziała kandydatka.

**Poznałem też, wielu polityków, dla których polityka to służba publiczna, wierność swoim poglądom, odpowiedzialność, rzetelność, profesjonalizm, dbałość o interes państwa i społeczeństwa. Oni posiadają spójne i racjonalne wizje rozwoju Polski. I choć, dzieli ich prawie wszystko, to potrafią ze sobą rozmawiać, nie przekraczając granic zwykłej przyzwoitości.**

Problem jednak polega na tym, że ci politycy bardzo rzadko wygrywają wybory. Są izolowani w swoich ugrupowaniach politycznych. Jeśli w ogóle znajdują się na listach wyborczych swych partii, to zajmują na nich ostatnie miejsca. Ich programy wyborcze są mało atrakcyjne, ponieważ nie składają obietnic bez pokrycia. Bardzo często opuszczają swoje partie i próbują realizować swoje wizje jako niezależni kandydaci. Jednak, w realiach polskiej rzeczywistości, nie mają zbyt wielkich szans. Nie stać ich na kosztowne kampanie wyborcze. Nie posiadają logistycznego zaplecza, które jest absolutnie niezbędne przy realizacji działań marketingowych. Zderzają się z instytucjonalnymi barierami, które tworzy proporcjonalna ordynacja wyborcza.

Większość polskich polityków ma najczęściej problem, jak sądzę, ze zdefiniowaniem celów swojego działania. Bardzo często słyszymy, że „naszym celem jest rozwój gospodarczy”, „reforma państwa”, „służby zdrowia”, „reforma...”, itd. Tak jakby zdepersonalizowany twór, jakim jest „gospodarka” był celem, a nie jedynie środkiem dla stworzenia określonych warunków życia człowieka. Na szczęście, nie wszyscy politycy mają problem z identyfikacją swej roli w polityce:

*(...) Z bardzo pragmatycznego podejścia do tej rzeczy, o której powiedziałem już, wynika, że celem działania w polityce jest człowiek. Jeśli tak, to to, co jest przedmiotem moich wartości, mojego morale, to jest moje rozumienie człowieka, bo to jest dziedzina moralności, czyli krótko mówiąc pewne dobro, które jakby naturalnie wokół człowieka się skupia, również jego wiara. (...)*

*Trudno nie uważać, że jest coś bardziej szlachetniejszego aniżeli to, że przedmiotem polityki jest stworzenie warunków do rozwoju człowieka. Czyli organizacja życia zbiorowego dla człowieka, właśnie. Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Widzę niezbędną kompatybilność, pewne niezbędne uzupełnianie się tego wszystkiego, co wynika z moich przekonań, również religijnych, czyli z tego wszystkiego z czego ja mam określony obraz człowieka - jego natury,*

*godności i tego wszystkiego, co w związku z jego godnością mu się należy i czego wymaga ode mnie moja wiara (...).*<sup>43</sup>

Słyszmy, że to co pomoże przezwyciężyć aktualny kryzys elit politycznych w Polsce, to budowa IV Rzeczypospolitej. Jednak, wydaje się, że bez ponownej redefinicji szeroko rozumianego sposobu uprawiania polityki, bez refleksji nad miejscem moralności, rzetelności i zwykłej, ludzkiej przyzwoitości w polityce, wszelka zmiana będzie miała jedynie charakter semantyczny.

### 3. Źródła i charakter materiału empirycznego

Źródła materiału empirycznego, wykorzystanych przy realizacji niniejszej książki, posiadają trojaki charakter. Wynika to ze złożoności poruszanej w niej problematyki. Z jednej bowiem strony, eksplikacji podlegają różnorodne zagadnienia związane z działaniem elit politycznych, z drugiej zaś, podejmuję próbę analizy społecznych uwarunkowań w jakich owe działania przebiegają.

Koniecznym zatem, stało się pozyskanie materiału empirycznego, który pozwalałby na dokonywanie generalizacji odnoszących się do postaw, opinii, motywów działania, jak również opisu sfery wolicjonalnej dwóch zasadniczych populacji generalnych - polityków i wyborców. Ta różnorodność i złożoność procesu wyjaśniania, implikowała konieczność zastosowania różnicowanych metod pozyskiwania danych i ich analizy. Wykorzystano więc, zarówno metody ilościowe, jak i jakościowe.

Wyjściowy materiał empiryczny stanowią wyniki badań ogólnopolskich prowadzonych przeze mnie w latach 2000-2005 oraz badań realizowanych w regionie północno zachodnim Polski.

Choć problematyka badań wynikała głównie z potrzeb kampanii wyborczych, to jednak nie koncentrowała się jedynie na aspektach stricte marketingowych, związanych z potrzebami sztabów wyborczych. Posiadając dużą swobodę w zakresie realizacji poszczególnych projektów badawczych, mogłem rozszerzyć tematykę badań o zagadnienia wykraczające poza typowy kanon badań marketingowych. Pozwoliło to na uwzględnienie m.in. takich aspektów zachowań i opinii elektoratów jak: nadzieje i obawy związane z członkostwem Polski w UE, stosunek badanych do podstawowych problemów społecznych, takich jak choćby bezrobocie, szeroko rozumianej oceny kierunków polskich przemian.

W prezentowanej książce wykorzystałem wyniki z jedenastu pomiarów, uznając nieco arbitralnie, że są one najbardziej interesujące z punktu widzenia podstawowych problemów i hipotez w niej postawionych. Część realizowanych przeze mnie badań była ukierunkowana jedynie na realizację celów konkretnej kampanii wyborczej, i jako takie posiadały nikłą wartość w aspekcie generalizacji odnoszących się bezpośrednio do elit politycznych i ich elektoratów. Raporty ośmiu pomiarów znajdują się, w formie maszynopisów powielonych, w czytelni Wyższej Szkoły Humanistycznej TWP w Szczecinie, trzech natomiast, w czytelni Wyższej Szkoły Biznesu w Gorzowie.

W przypadku wszystkich pomiarów, dobór próby miał charakter wielowarstwowy, stratyfikowany i terytorialny. Poziom ufności został określony dla  $p = 0,95$ , natomiast błąd oszacowania, dla każdego z pomiarów oddzielnie, nie przekraczał 3,5%. Łącznie przebadano ponad 11500 respondentów. We wszystkich badaniach został zastosowany kwestionariusz wywiadu, który podlegał jedynie pewnej modyfikacji, wynikającej z różnych oczekiwań partii politycznych oraz ze zmiany aktualnych zjawisk np. związanych z dekompozycją sceny politycznej.

Drugim źródłem danych są wyniki badań pracowni ogólnopolskich, głównie TNS OBOP, których zadaniem była weryfikacja wyników, uzyskanych przeze mnie w ramach

<sup>43</sup> Fragment wywiadu przeprowadzonego przez autora z Markiem Słomskim, patrz s. 96-118

realizacji badań na terenie województwa zachodniopomorskiego. Owa weryfikacja była niezbędna, aby możliwe było wnioskowanie wykraczające poza populację generalną, obejmującą wyborców regionu, tam gdzie było to konieczne.

Trzecim źródłem danych, najciekawszym poznawczo, są wywiady pogłębione, przeprowadzone przeze mnie z wybranymi przedstawicielami elit politycznych w latach 2003 - 2005. Dobór polityków nie był przypadkowy i opierał się na zachowaniu reprezentatywności uwzględniającej zróżnicowanie elit polskiej sceny politycznej.

Politycy udzielający wywiadów, reprezentują możliwie szerokie spektrum przynależności partyjnej: od SLD - poprzez AWSP, PiS i UW - do „Samoobrony”. Byli reprezentantami Senatu, Sejmu, władz samorządowych oraz dotychczasowych elit, które znalazły się obecnie poza strukturami władzy. Prezentują diametralnie odmienne wizje rozwoju Polski, różni ich ocena przemian po 1989 roku, inaczej postrzegają rolę polityka. Są wśród nich zwolennicy i przeciwnicy Unii Europejskiej, inne są ich drogi do świata polityki.

Wszystkie wywiady zostały przeprowadzone w oparciu o ten sam konspekt, co oznacza, że podstawowe pytania zadawane politykom, nie różniły się od siebie w zakresie wartości przedmiotowej. Zabieg ten pozwala na względnie standaryzowaną analizę porównawczą uzyskanych odpowiedzi.

Wywiady przebiegały według następującego scenariusza:

#### Tematyka wywiadu

1. Czy Pana zdaniem mamy do czynienia w ostatnim czasie z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak, to proszę o próbę wskazania przyczyn tego zjawiska.
2. Czym wytłumaczyłby Pan, znaczący wzrost poparcia społecznego dla takich ugrupowań jak "Samoobrona" i Liga Polskich Rodzin? Jakie są Pana zdaniem przyczyny klęski wyborczej ugrupowań "posierpniowych".
3. Jakie są Pana zdaniem przyczyny wskazywanego przez badania opinii publicznej spadku zainteresowania Polaków życiem politycznym? Czy spadający prestiż władzy publicznej może stanowić podstawę wniosku o pojawieniu się kryzysu instytucji demokracji w Polsce? Czy widzi Pan w tym kontekście jakieś istotne zagrożenia dla porządku społecznego?
4. Jaką rolę w działaniu partii politycznych odgrywają Pana zdaniem badania socjologiczne? Czy są wykorzystywane przez polityków w określaniu strategii i programów politycznych? Czy służą jako źródło informacji o rzeczywistych oczekiwaniach i potrzebach Polaków?
5. Co, Pana zdaniem, oznacza w działaniu partii politycznych populizm? Jaka granica dzieli demagogię od wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom społecznym?
6. Czy istnieje, Pana zdaniem, sprzeczność pomiędzy realizacją w polityce określonych wartości (np. religijnych) a skutecznością w rozwiązywaniu problemów egzystencjalnych Polaków? Moje pytanie w istocie dotyczy hierarchii zadań przyjmowanych do realizacji przez różne ugrupowania polityczne. Jest to pytanie o proporcje pomiędzy tym co określamy "ideowością" a pragmatyzmem polityków. Co Pana zdaniem jest ważniejsze?



7. Jak Pan postrzega i definiuje to co zwykliśmy często określać mianem misji publicznej jaką mają do wypełnienia politycy? Jaki powinien być, Pana zdaniem, związek pomiędzy tak rozumianą misją publiczną a oczekiwaniami społecznymi?
8. Czy, Pana zdaniem, uprawniony jest pogląd, w myśl którego zmiany świadomościowe Polaków w okresie PRL doprowadziły do ukształtowania mentalności "homo sovietikus"? Jeśli zgadza się Pan z tym poglądem, to proszę o sprecyzowanie, co ów termin oznacza według Pana.
9. Gdyby przyszło Panu wskazać pięć najważniejszych cech, którymi winien charakteryzować się polityk, to jakie to byłyby cechy? Proszę o krótkie uzasadnienie.

Oczywistym jest, że wyżej zaprezentowany schemat wywiadu ulegał, podczas jego trwania, modyfikacjom, które przyjmowały charakter rozwinięcia problematyki lub jej uzupełniania i doprecyzowania.

Głównym celem wywiadów, była próba stworzenia autoportretu socjologicznego polskich elit politycznych. Dlatego też, przedmiotem dociekań stało się m.in.:

- wskazanie różnorodności karier politycznych;
- zidentyfikowanie motywów działań polityków;
- identyfikacja sposobu postrzegania przez polityków, najistotniejszych zjawisk towarzyszących funkcjonowaniu polskiej sceny politycznej, takich jak: klęska polityczna ugrupowań „posierpniowych”, kryzys starych elit politycznych i wzrost poparcia dla nowych, populistycznych elit politycznych, stała dekompozycja sceny politycznej, zjawisko braku adekwacji politycznej i pojawienie się zjawiska legitymizacji sondażowej oraz postępującej dramatyzacji działań elit politycznych;
- identyfikacja sposobu postrzegania przez polityków, takich zjawisk społecznych jak: rosnąca radykalizacja nastrojów społecznych, przyzwolenie społeczne dla niektórych przejawów łamania norm w polityce;
- identyfikacja sposobu definiowania takich pojęć jak populizm, demagogia, manipulacja, socjotechnika, pragmatyzm;
- określenie sposobu widzenia roli wartości i ideologii w polityce;
- identyfikacja oceny kierunków przemian dokonujących się w Polsce po roku 1989.

Wszystkie wywiady zastały zapisane na taśmach magnetofonowych, które tworzą dokumentację badań. Powstał kilkunastogodzinny materiał empiryczny zaprezentowany w drugiej części pracy.

Treść wywiadów została wiernie odtworzona. Pominięto jedynie te fragmenty nagrań, które nie miały związku z prowadzonym wywiadem. Nie ingerowałem, w żaden sposób, w treść wypowiedzi, ani też w ich formę. Treść wywiadów nie podlegała, co oczywiste w przypadku badań naukowych, żadnej formie autoryzacji.

*Choć reżimy polityczne można ohalić,  
a ideologie poddać krytyce i wyrzec się ich,  
z reżimem i jego ideologią zawsze wiąże się  
sposób myślenia i odczuwania, zbiór kulturowych nawyków,  
tajemnych instynktów i niezgłębionych popędów.*

*Umberto Eco*

### *Część I*

## **Elity polityczne w procesie przebudowy struktur społecznych w Polsce<sup>1</sup>**

### **1. Społeczny wymiar skutków Sierpnia '80**

Tworzenie nowego porządku społecznego w Polsce po roku 1989 wydaje się być procesem o trudnym do jednoznacznej oceny charakterze. Nie wynika to bynajmniej wyłącznie z jego złożoności, wielowymiarowości czy wieloaspektowości. Trudność analizy wynika raczej z braku możliwości dokonania jakkolwiek rozumianych analogii czy też możliwości wskazania odniesień pozwalających na dokonywanie korekt w trakcie trwania procesu transformacji.

Nie jest bowiem tak, że podjęliśmy się realizacji scenariusza budowy społeczeństwa otwartego, scenariusza spóźnionego o kilkadziesiąt lat. Nie dokonujemy też, restauracji historycznie przypisanych nam idei i instytucji demokratycznych. Nie jest też tak, że jest to powrót do Europy, świata zachodu, nowoczesności czy pragmatyzmu. Jest to w swej istocie proces tworzenia rzeczywiście nowego porządku społecznego, który jest wypadkową zarówno starych, odziedziczonych elementów, jak i elementów będących zapożyczeniami o niejednorodnym, zróżnicowanym a nawet wykluczającym się charakterze.

Socjologiczna analiza skutków Sierpnia, do których niewątpliwie należy proces tworzenia nowego porządku społecznego może dotyczyć bardzo szerokiego spektrum zagadnień. Proces ten bowiem przebiega na wszystkich poziomach strukturalnych. Na poziomie makrosystemowym implikuje wiele problemów i zagadnień takich jak m.in.: przemiany struktur społecznych, narastanie przestępczości i patologii społecznych, powstanie i rozwój nowych elit politycznych i gospodarczych, tworzenie świadomości narodowej w nowych warunkach, wydolność systemów edukacyjnych, postępujące zjawisko akulturacji.

Na poziomie mezostukturalnym analiza dotyczy może wieloaspektowego procesu przemian zachodzących w społecznościach lokalnych, w szczególności zaś mechanizmów kształtowania się samorządności, wyłaniania się lokalnych elit życia społecznego, politycznego i gospodarczego, rozwiązywania problemów społecznych, takich jak: ubóstwo, bezdomność czy bezrobocie.

Na poziomie mikrostruktur, zmiany zapoczątkowane w sierpniu 1980 r. stanowią mogą asumpt do podjęcia prób wyjaśniania przeobrażeń zachodzących w złożonym obszarze funkcjonowania polskich rodzin, zmian dokonujących się w zakresie stylu, sposobu, jakości i poziomu życia Polaków, a także szerokiego zespołu zagadnień związanego z psychospołecznymi uwarunkowaniami działań, zachowań i postaw jednostkowych. Jest

<sup>1</sup> Obszerne fragmenty podrozdziału "Społeczny wymiar skutków Sierpnia 80" zostały opublikowane w: J.Holzer, J.Hozer, W.Urbanik, *Analiza, diagnoza i prognoza rozwoju społeczno-gospodarczego Polski po sierpniu 1980 roku*, Szczecin 2000.

oczywistym, że przeprowadzenie całościowej analizy tak zaprezentowanych problemów przekracza ramy tego opracowania. Dlatego też ograniczę się do podjęcia próby zdefiniowania, diagnozy i prognozy skutków Sierpnia, jedynie w ich wybranych aspektach.

W aspekcie systemowym przedmiotem wyjaśniania uczynię procesy dekompozycji i rekonstrukcji struktur społecznych. Sierpień 1980 r. zapoczątkował niezwykle złożony w swej istocie proces redefinicji dotychczasowych struktur społecznych, a jego efektem było podjęcie w roku 1989 wysiłku ich przebudowy, której celem stało się tworzenie klasy średniej jako podstawowego segmentu uwarstwienia społecznego. Towarzyszyły temu i nadal są obserwowalne procesy ruchliwości społecznej rozumianej jako przemieszczanie się jednostek i całych zbiorowości w zhierarchizowanym układzie ról i pozycji społecznych. Jest to w dużej mierze wynikiem nowych zjawisk społecznych polskiej rzeczywistości społecznej po roku 1989, wśród których na czoło wysuwa się zjawisko bezrobocia.

W aspekcie aksjo - normatywnym analiza dotyczyć będzie skutków Sierpnia w obszarze zmian systemów wartości i społecznie akceptowanych celów. Będzie to więc próba odpowiedzi na pytania o kierunek i zakres zmian w sposobie definiowania i postrzegania przez Polaków uznanych społecznie wartości, jak również społecznie akceptowanych celów i środków ich realizacji.

W aspekcie kulturowo - cywilizacyjnym analizowana problematyka dotyczyć będzie przeobrażeń jakości życia, zmian aspiracji edukacyjnych, stosunku Polaków do integracji europejskiej oraz konsekwencji przeobrażeń rzeczywistości „posierpniowej” dla stosunków interpersonalnych.

#### *W kierunku zmian*

Występująca często powierzchowność analiz przyczyn Sierpnia wynika w dużej mierze z ich nadmiernej ideologizacji i ekonomizacji. Z jednej bowiem strony, próbuje się prezentować wydarzenia sierpniowe jako wynik protestu klasy robotniczej, społeczeństwa, narodu, który miał charakter kontestacji politycznej. Jego uczestnicy zaś posiadający niejako z definicji wysoki poziom świadomości klasowej, obywatelskiej i narodowej zmierzali w swych działaniach do ściśle określonego celu, którym było stworzenie społeczeństwa otwartego.<sup>2</sup> Z drugiej zaś strony, wielu zwolenników zyskuje ukonstytuowany w latach osiemdziesiątych pogląd, w myśl którego u podłoża protestów robotniczych z sierpnia leżały przesłanki o charakterze stricte ekonomicznym.<sup>3</sup> Wydaje się jednak, że uwarunkowania polskiego Sierpnia nie dają się zamknąć ani w próbach ideologicznej czy narodowej legitymizacji, ani też w próbach kształtowania poglądów z pogranicza determinizmu ekonomicznego. Konflikt społeczny z sierpnia 1980 r. tworzył w swej istocie niezwykle złożoną konfigurację czynników psychospołecznych, politycznych, strukturalnych, ekonomicznych i socjotechnicznych.

Niewątpliwie jednym z istotnych czynników, które doprowadziły do protestów sierpniowych był kryzys władzy. Towarzyszyło mu poczucie niesprawiedliwości społecznej, narastanie niezadowolenia wynikającego z ostrego kryzysu ekonomicznego, zwątpienie w kompetencje aktualnie rządzących oraz lekceważenie świadomości narodowej przejawiające się w strywalizowanej, celebracyjnej propagandzie życia politycznego. Nieomal we wszystkich studiach teoretycznych i empirycznych dotyczących tamtych wydarzeń i związanego z nimi kryzysu władzy pojawiają się te same elementy opisujące jego przyczyny:

<sup>2</sup> Zob. m.in. J.Rupnik, *The Other Europe*, London 1988; T.G.Ash, *We the People: The revolutions of 89 Witnessed in Warsaw, Budapest, Berlin and Prague*, Cambridge 1990.

<sup>3</sup> Można w tym miejscu wskazać opracowania m.in. S.Kozyr-Kowalskiego, W.Markiewicza, S.Widerszpila, J.Wiatra, H.Chołaja, Z.Sufina.

arogancja władzy, deprecjacja roli związków zawodowych, kolegialność procesu decyzyjnego zamazującego odpowiedzialność za podejmowane działania, wtórny podział dóbr wynikający ze wzrostu przywilejów grup rządzących, rozrost biurokracji. W aspekcie uwarunkowań strukturalnych konfliktu, szczególnie ostatni z czynników jawi się jako niezwykle istotny. Rozrost aparatu biurokratycznego z 21% w roku 1970 do blisko 28% w roku 1980, ponad dwukrotne zwiększenie kadry techniczno-inżynierskiej, rozrastanie się aparatu kadrowego PZPR będącego wynikiem reformy administracyjnej kraju, prowadziły w konsekwencji do wyodrębnienia w strukturze społecznej warstwy społecznej będącej niejako substytutem klasy wyższej.<sup>4</sup> Oczywistym jest jej zróżnicowany charakter, lecz to co wspólne dla jej przedstawicieli to zajmowanie najwyższej lokalizacji w układzie stratyfikacyjnym znajdujące swój wyraz w pozycji społecznej, materialnej, prestiżu, a także w uprzywilejowanym dostępie do społecznie uznanych dóbr podlegających instytucjonalnej reglamentacji. Powodowało to występowanie silnej rozbieżności pomiędzy sferą deklaracyjną systemu a stanem faktycznym. Otóż okazało się, że głoszona supremacja klasy robotniczej jest fikcją.

Leżąca u podstaw konfliktu kontestacyjna postawa robotników nie była wynikiem obiektywnego poziomu ich egzystencji. Wynikała ona raczej z konstatacji wyraźnego rozdźwięku pomiędzy ideologicznie usankcjonowanym poziomem aspiracji i potrzeb a stanem faktycznym. Paradoksalnie, władza rozbudzając aspiracje konsumpcyjne, edukacyjne, kulturowe i zawodowe robotników „przygotowywała” silne społeczne zaplecze przyszłego konfliktu. Nie mogąc zbliżyć się nawet do ich poziomu, stosowała zabieg systematycznej redukcji oczekiwań społecznych do poziomu dotychczasowych osiągnięć w zakresie ich realizacji. Należy zwrócić uwagę, iż stopień kontestacji środowisk wiejskich był podczas całego okresu lat osiemdziesiątych relatywnie niewielki. Nieomal tradycyjnie mieszkańcy wsi stanowili zaplecze ówczesnych władz.<sup>5</sup> Jak się okazało nie „sojusz robotniczo - chłopski” stał się podstawą przeobrażeń w Polsce, lecz płaszczyzna porozumienia pomiędzy środowiskami robotniczymi a inteligencją nietechniczną. Ta spauperyzowana ekonomicznie i społecznie warstwa, stała się źródłem kontestacji o silnej tendencji do wyłaniania nowych elit politycznych. Rzecz by można, że warunki zmiany noszącej znamiona heterodoksji zostały spełnione.<sup>6</sup> Powstało bowiem szerokie zaplecze społeczne i nowa elita polityczna, których celem było przejście negacji systemu z herezji społecznej w stan idei konfirmowanej. Oczywiście nie dla wszystkich uczestników tego procesu jego cele były znane i afirmowane. Sierpień 80 roku zainicjował proces dekompozycji i rekonstrukcji struktur społecznych, doprowadził do ukonstytuowania się nowych elit politycznych i poprzez negację zastanej rzeczywistości rozpoczął proces poszukiwania nowych wartości zarówno w obszarze życia politycznego, ekonomicznego, jak i społecznego.

To, co charakteryzuje proces przebudowy struktur społecznych, szczególnie w pierwszym okresie transformacji, to gwałtowne nasilenie procesów ruchliwości społecznej, porównywalne chyba jedynie z procesami awansu społecznego wielkich grup społecznych w pierwszych latach PRL. Ogromną rolę w tym procesie odegrało niewątpliwie bezrobocie, jako nowy element rzeczywistości „posierpniowej”.

Podjęciu przez społeczeństwo polskie wysiłku w przebudowę państwa, towarzyszył ogromny entuzjazm, wiara we własne możliwości oraz wzrost oczekiwań poprawy warunków życia związany z wprowadzaniem gospodarki rynkowej. Trudno dziś jednoznacznie powiedzieć czy były one wynikiem przekonania, że dokonanie przemian politycznych stanowi bezwyjątkowy warunek powodzenia ekonomicznego czy też wynikały z braku zrozumienia podstawowych imperatywów gospodarki kapitalistycznej, w ramach której

<sup>4</sup> Wykorzystano dane GUS pochodzące z Roczników Statystycznych za omawiany okres.

<sup>5</sup> Por. W. Adamski i in., *Polacy '80. Wyniki badań ankietowych*, Warszawa 1981.

<sup>6</sup> Por. S. Nurek, *Idea...*, op.cit.



urynkowaniu podlega nie tylko produkcja i dystrybucja dóbr materialnych, ale również zatrudnienie. W odczuciu społecznym bowiem, kapitalizm jawił się jako ziemia obiecana, co w dużej mierze wynikało z powierzchowności jego ocen konstytuowanych na podstawie jednostkowych doświadczeń tych, którym udało się w ramach częściowego otwarcia kraju w latach siedemdziesiątych odwiedzić Zachód. Wszystkie negatywne zjawiska stanowiące w swej istocie immanentną cechę gospodarki kapitalistycznej, traktowano jako wymysły propagandy peerelowskiej.

Rychło jednak okazało się, że wzrostowi dostępności i różnorodności dóbr materialnych w pierwszym okresie polskich przemian towarzyszy spadek poczucia bezpieczeństwa socjalnego, powodowany głównie zagrożeniem utraty pracy. Pojawiło się bowiem, zupełnie nowe zjawisko polskiej rzeczywistości - bezrobocie, choć termin „pojawiło się” nie jest najbardziej adekwatny i raczej należało by zastąpić go terminem „zostało wygenerowane”, głównie poprzez błędy kolejnych ekip rządzących. Błędy te to przede wszystkim: zbyt duże otwarcie polskiej gospodarki na import, czemu sprzyjało obniżanie w latach 1990-1991 ceł; polityka walutowa państwa zmniejszająca konkurencyjność polskich producentów na rynku wewnętrznym i rynkach zewnętrznym; doktrynalna likwidacja niektórych przedsiębiorstw (Iglopol-Dębica, Pewex) i całych sektorów zatrudnienia (rolnictwo uspołecznione); opodatkowanie wzrostu płac w przedsiębiorstwach państwowych, utrwalające recesję i kreujące bezrobocie<sup>7</sup>. Abstrahując od uwarunkowań zjawiska bezrobocia w Polsce należy zwrócić uwagę na fakt, iż stało się ono jednym z głównych mechanizmów dekompozycji struktur społecznych w „posierpniowej” rzeczywistości. W sferze świadomościowej, choć nie bez pewnych oporów, nowe elity polityczne rozpowszechniać zaczęły przekonanie, w myśl którego dotychczasowa uprzywilejowana, przynajmniej werbalnie, pozycja robotników jest niczym nie uprawnioną, a to czego potrzeba młodej demokracji to klasa średnia. Był to prawdziwy początek przeobrażeń strukturalnych trwających w różnym nasileniu do dnia dzisiejszego. Awans ekonomiczny i społeczny wybranych grup społeczno-zawodowych okazał się nierozzerwalnie związany z degradacją coraz większej liczby przedstawicieli klasy niższej i inteligencji. Jak wynika z analizy fluktuacji dochodów rodzinnych w wybranych grupach społeczno - zawodowych w pierwszym okresie przebudowy, beneficjentami przemian okazali się być głównie przedstawiciele wyższej kadry kierowniczej i pracownicy administracji państwowej. Dochody prywatnych przedsiębiorców uzależnione w dużej mierze od sytuacji na rynku, okazały się być niestabilne a ich wzrost niczym nie gwarantowany. Jako stałą tendencję należy traktować natomiast spadek dochodów w rodzinach robotniczych i postępującą pauperyzację środowisk wiejskich.

Obok sfery formalno-instytucjonalnej przebudowy struktur społecznych, wyrażającej się m.in. w działaniach zmierzających do kreowania klasy średniej przy pomocy mechanizmów ekonomicznych, niebagatelną rolę w tym procesie odegrały zmiany świadomościowe, będące następstwem redefinicji starego porządku społecznego zapoczątkowanej w sierpniu 1980 r. Otóż można przyjąć założenie, że przynależność do klasy średniej stała się w niektórych środowiskach swoistym wyrazem poprawności politycznej. Obecnie około jednej trzeciej Polaków deklaruje przynależność do tej właśnie kategorii w strukturze społecznej. Nie zawsze jest to oczywiście związane z obiektywnymi kryteriami i stanem faktycznym.<sup>8</sup> W sferze wolicjonalnej w tym względzie lokujemy się na poziomie

<sup>7</sup> Por. min. Z.Dach, *Bezrobocie w okresie przemian systemowych gospodarki polskiej*, Wrocław 1993; M.Kabaj, *Elementy programu przeciwdziałania bezrobociu*, „Studia Bałtyckie”, Koszalin 1997, nr 2.

<sup>8</sup> Na podstawie badań własnych.

społeczeństw Anglii i Japonii.<sup>9</sup> Jest to wyraźna zmiana jakościowa w porównaniu do okresu PRL, kiedy to przynależność do innej klasy niż robotnicza była wręcz ukrywana. Świadomość przynależności do klasy średniej Polaków jest natomiast zdecydowanie niższa od przekonania Holendrów czy Niemców w tym względzie.

Taki stan rzeczy wynika prawdopodobnie z uwzględniania w sferze deklaratywnej Polaków obiektywnych uwarunkowań procesu przebudowy struktur społecznych, który charakteryzuje się współwystępowaniem zarówno zjawisk awansu, jak i degradacji społecznej. Stąd też prawdopodobnie stosunkowo wysoki jest w społeczeństwie polskim odsetek osób określających swoje położenie w strukturze społecznej na poziomie klasy niższej. Nie bez znaczenia są w tym względzie uwarunkowania wynikające z odziedziczonej po PRL strukturze zatrudnienia, która co prawda ulega pozytywnym zmianom, lecz w dalszym ciągu charakteryzuje się bardzo wysokim odsetkiem osób zatrudnionych w przemyśle i rolnictwie.

Wynikiem przebudowy struktur społecznych w Polsce obok tworzenia zrębów klasy średniej są też dysfunkcjonalne zjawiska marginalizacji i wycofania społecznego obserwowalne szczególnie na poziomie społeczności lokalnych. Problem ten nie dotyczy, jak by mogło się wydawać, jedynie rosnącej liczby długotrwale bezrobotnych. Jest on znacznie szerszy i powiązany ze stale powiększającą się grupą ludzi, dla których dostęp do społecznie uznanych dóbr materialnych i niematerialnych, systemu usług edukacyjnych i informatycznych, usług związanych z zagospodarowaniem czasu wolnego i usług socjalnych, jest nieomal całkowicie zamknięty. Nie chodzi tu tylko o bariery stricte ekonomiczne ale przede wszystkim o bariery społeczne i przestrzenne. Procesy marginalizacji, o których mowa są niewątpliwie niezamierzonym skutkiem przemian zapoczątkowanych przez „polski sierpień”, co jednak nie zmienia faktu, iż stanowią one niezwykle istotną społecznie dolegliwość. Marginalizacja w swej konsekwencji prowadzi do głębokich upośledzeń społecznych, które są udziałem coraz to nowych zbiorowości. Jednym z nich jest zjawisko wycofania społecznego, które dotyczy w takim samym stopniu ról społecznych, zawodowych, jak i rodzinnych. Mamy więc do czynienia z sytuacją, w której spora część społeczeństwa poprzez pozbawienie jej dostępu do zdobyczy cywilizacyjnych, kulturowych i ekonomicznych procesu przebudowy systemowej, pozostaje poza nawiasem życia społecznego. Podlega ona stałej, postępującej degeneracji społecznej w zakresie uznawanych wartości, wzorów i norm zachowań społecznych. Co gorsza, opisywane zjawiska nie posiadają charakteru jednostkowego i obejmują często zasięgiem swojego oddziaływania nieomal całe społeczności lokalne. Obserwowalne jest ponadto wśród młodzieży, szczególnie w ostatnich latach, zjawisko dziedziczenia postaw wycofania społecznego, nieskutecznych strategii życiowych, ubóstwa i bezrobocia, izolacji cywilizacyjnej.

Niewątpliwie większość negatywnych zjawisk towarzyszących procesowi przebudowy struktur społecznych jest wynikiem braku konsekwencji i jasnej artykulacji celów transformacji w sferze społecznej. Zapoczątkowana w sierpniu 1980 r. redefinicja zastanej struktury społecznej nie została tak naprawdę zakończona, a jej przebudowa posiada charakter mało zrjonalizowany, żywiołowy, przypadkowy i w dużej mierze nieprzewidywalny. W wyniku niekontrolowanych zmian lokalizacji społecznej jednostek i całych zbiorowości oraz wyraźnego rozdzwieku pomiędzy społecznie akceptowanymi celami a zinstytucjonalizowanymi środkami ich realizacji dochodzi do pojawiania się w coraz to nowych kręgach społecznych zjawiska anomii. Wspomniane wyżej wycofanie społeczne jest jednym ze sposobów adaptacji wobec jej przejawów. W skrajnych przypadkach prowadzi do autodestrukcji jednostki. W ostatnich latach notowany jest blisko ośmiokrotny

<sup>9</sup> Por. D.F. Alwin, D.M. Klingel, M. Dielman, *International Social Justice Project. Documentation and Codebook*, Michigan 1993.

wzrost samobójstw z takich przyczyn jak zła sytuacja materialna czy utrata pracy, co może stanowić pewien wskaźnik zasięgu opisywanego zjawiska.<sup>10</sup> Nie jest to wszelako jedyny skutek występowania anomii będącej wynikiem niekontrolowanych procesów przebudowy struktury społecznej, o czym będzie mowa w dalszej części opracowania. Przeobrażenia strukturalne zapoczątkowane w sferze mentalnej przez wydarzenia z sierpnia 1980 r., przyczyniły się do głębokich zmian lokalizacji społecznej milionów Polaków. Ich pozytywny aspekt wyraża się w procesie tworzenia klasy średniej stanowiącej niejako naturalną bazę oparcia dla przemian politycznych i stabilizacji instytucji demokratycznych w Polsce. Niewątpliwym mankamentem tego procesu jest jego niezharmonizowany, nierównomierny i niekontrolowany charakter. W wyniku szeregu błędnych decyzji politycznych i ekonomicznych nie uwzględniających skutków społecznych, doszło do powstania w przestrzeni społecznej obszarów marginalizacji cywilizacyjno - kulturowej i wycofania społecznego. Wiążą się one ściśle z pojawieniem się w „sierpniowej” rzeczywistości zjawiska anomii, które jest niejako wypadkową zarówno obiektywnych uwarunkowań makrostrukturalnych, jak i subiektywnego przekonania polityków o „nieuchronności społecznych kosztów transformacji”. Przekonanie to prowadzi w konsekwencji do zaniechania wielu działań, które mogłyby radykalnie zmniejszyć owe rzekomo nieuniknione koszty. Należy dodać, że inicjacja i trwanie procesów zmian systemowych nie byłyby możliwe bez przyzwolenia społecznego, któremu towarzyszyć musiała reorientacja świadomościowa w aspekcie aksjonormatywnym.

#### *W poszukiwaniu nowych wartości*

Wspomniana na początku tego rozdziału, „sierpniowa” negacja i redefinicja zastanej struktury społecznej nie byłaby możliwa bez reorientacji społecznej na nowe wartości, które w początkowym okresie niekoniecznie musiały stać w opozycji do uznanych w PRL systemów normatywnych. Warto przypomnieć, że protesty robotnicze z sierpnia 1980 r. nie były skierowane przeciwko podstawowym pryncypiom socjalizmu, a dotyczyły raczej sfery ich realizacji. Robotnicy opowiadali się nie tyle przeciwko socjalizmowi, lecz za „socjalizmem z ludzką twarzą”. Nie był to więc proces negacji takich wartości jak sprawiedliwość społeczna, egalitaryzm czy państwo opiekuńcze. Chodziło raczej o ich realną realizację. Solidarnościowe elity lat osiemdziesiątych z małymi wyjątkami, również nie podejmowały się formułowania nowych w rzeczywistości polskiej wartości, np. leżących u podstaw doktryny liberalnej. Sierpień zatem, był dopiero początkiem długiego, trwającego w pewnym sensie do dzisiaj procesu poszukiwania i konstytuowania się nowych społecznie uznanych wartości, obyczajów, wzorów zachowań społecznych, społecznie akceptowanych celów i sposobów ich realizacji. Ich artykulacja, co prawda niepełna, nastąpiła w pierwszym okresie przemian. Wraz ze zmianami struktury społecznej następował proces redefinicji społecznie akceptowanych celów. Dążenie za wszelką cenę do tworzenia rodzimego kapitału wysunęło na pierwszy plan w hierarchii celów stawianych jednostce osiągnięcie wysokiej pozycji materialnej. Ta nowa wartość, będąca normatywną antytezą poprzedniego systemu stała się jednym z podstawowych kryteriów oceny jednostki w „sierpniowej” rzeczywistości. Presja na jej osiągnięcie jest tak silna, że przyjmuje nieomal charakter determinanty.

Drugim, co do ważności, celem stawianym jednostce, stało się osiągnięcie wysokiej pozycji zawodowej. Ciekawy z punktu widzenia kształtowania się nowych systemów wartości Polaków i warunków w jakich to się odbywa, jest sposób postrzegania przez nich

<sup>10</sup> Na podstawie danych opublikowanych w artykule B. Pietkiewicz, *Wyklęte słowo eutanazja*, Raport „Prośba o śmierć”, *Polityka*, 2000, nr 46 z 11.11.

kryteriów współtworzących sukces zawodowy jednostki. Wydawać by się bowiem mogło, że zakres zmian systemowych wymusił niejako automatycznie konieczność radykalnych przewartościowań w obszarze czynników decydujących o sukcesie zawodowym. Okazuje się jednak, że przynajmniej w odbiorze społecznym zmiany w tym aspekcie nie są zbyt wielkie<sup>11</sup>. W dalszym ciągu decydujące znaczenie dla powodzenia kariery zawodowej posiadają kryteria pozamerytoryczne i nieformalne, takie jak poparcie osób wpływowych i spryt życiowy. Analiza danych może prowadzić do jeszcze dalej idących wniosków. Otóż, wraz ze spadkiem znaczenia wykształcenia i jakości pracy rośnie rola tak irracjonalnego czynnika w karierze zawodowej jakim jest szczęście. Oznacza to, że zmiany zapoczątkowane w sierpniu 1980 roku będące m.in. wyrazem opozycji wobec braku racjonalnych i merytorycznych kryteriów awansu zawodowego przybrały formę zgoła odmienną od oczekiwanej przez jej inicjatorów. Osiąganie wysokiej pozycji zawodowej jest obecnie w społecznym odbiorze w znacznie większym stopniu uzależnione od układów, szczęścia i sprytu życiowego niż miało to miejsce w PRL. Paradoksalnie, zdecydowanie mniejsze znaczenie posiadają obecnie kryteria merytoryczne, takie jak: wykształcenie i rzetelna, uczciwa praca.

Osiąganie wysokiej pozycji społecznej i prestiżu jawi się jako trzeci imperatyw oczekiwań wobec indywidualnych działań jednostki w nowej rzeczywistości, przy czym ciekawie prezentują się wartości przypisywane zarówno pozycji, jak i prestiżowi społecznemu.

Podczas prowadzonych badań w regionie północno-zachodnim Polski zapytano respondentów, co to jest ich zdaniem prestiż i pozycja społeczna. „Prestiż, to coś co człowiek posiada albo nie, niezależnie od tego czy ma pieniądze, pracę i samochód. Na prestiż trzeba zapracować całym życiem. Uczciwość, solidność decydują o prestiżu. Natomiast pozycja społeczna, to pieniądze, praca, zawód i wykształcenie”<sup>12</sup>. Przytoczona wypowiedź jest reprezentatywna dla większości badanych. Uważają oni bowiem, że utrata prestiżu następuje wyłącznie z winy jednostki. Utrata dotychczasowej pozycji społecznej może nastąpić za sprawą danej osoby, ale również może ona być pozbawiona pozycji społecznej w wyniku działań innych osób. Jeśli dodać do tego fakt, iż blisko połowa dorosłych Polaków definiuje zmiany swojej pozycji społecznej w kategoriach degradacji przy jednoczesnym, niewielkim stopniu utraty prestiżu<sup>13</sup>, to wówczas sposób przypisania wartości do tych dwóch pojęć jawi się jako swoisty mechanizm adaptacji do sytuacji, w której realizacja społecznie akceptowanych celów jest utrudniona.

Mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której wynikiem zmian systemowych jest zdefiniowanie na relatywnie wysokim poziomie społecznie akceptowanych celów przy jednoczesnym braku zinstytucjonalizowanych środków ich realizacji. Sytuacja ta, o czym była już mowa, spełnia warunki anomii. Zapoczątkowany w sierpniu 1980 r. proces zmian świadomościowych wyprzedził niejako proces przebudowy struktury społecznej, która w aspekcie dostarczania środków realizacji celów społecznie akceptowanych jest dysfunkcjonalna.

W obszarze zmian świadomościowych, oprócz poszukiwań i redefinicji celów stawianych jednostce, Sierpień zapoczątkował proces głębokich zmian wartości opisujących system społeczny. Przestały liczyć się potwierdzone dotychczas wartości jak egalitaryzm, sprawiedliwość społeczna i idea państwa opiekuńczego. Ich miejsce stopniowo zaczęły zajmować: wolny rynek, solidarność społeczna i idea państwa liberalnego. Miejsce tzw. demokracji socjalistycznej zajęła demokracja parlamentarna i społeczeństwo obywatelskie. Presja na ich afirmację była i jest tak silna, że stały się one niemal wartościami

<sup>11</sup> Na podstawie badań własnych.

<sup>12</sup> Na podstawie badań własnych.

<sup>13</sup> Por. *Ocenę zmian po roku '89. Komunikat z badań CBOS*, Warszawa, maj 1999, [www.obop.com.pl](http://www.obop.com.pl)



autotelicznymi. Wpisane zostały w kanon poprawności politycznej, a jakkolwiek ich krytyka jest postrzegana jako próba restytucji dawnego porządku. Nie chodzi tu bynajmniej o negację omawianych wartości. Każda bowiem próba dyskusji społecznej na temat zakresu interwencjonizmu państwowego lub prywatyzacji, jest często traktowana jako wyraz opozycji wobec przemian „posierpniowych”. Analogicznie, odwoływanie się do dawnych wartości np. egalitaryzmu, może być przyczyną ostracyzmu politycznego, społecznego i towarzyskiego. Nie pozostało to oczywiście bez wpływu na postawy Polaków, przynajmniej w sferze deklaratywnej.

Powstaje jednak pytanie o trwałość tych zmian. Próba odpowiedzi na tak sformułowane pytanie opierać się będzie na przyjęciu założenia o występowaniu ścisłego związku pomiędzy uznawanymi wartościami a sytuacją życiową Polaków.

#### *Cywilizacyjno - kulturowy wymiar Sierpnia '80*

Kluczem do zrozumienia przemian cywilizacyjno - kulturowych, będących wynikiem Sierpnia '80, jest uwzględnienie w ich analizie procesów ruchliwości społecznej. Chodzi w tym miejscu o szeroko rozumiany proces przemieszczania się jednostek i całych zbiorowości w przestrzeni społecznej zarówno w płaszczyźnie ekonomicznej, edukacyjnej, jak i kulturowej. W jego bowiem wyniku ulega zmianie jakość naszego życia, jego styl, nasze aspiracje, a w konsekwencji nasz stosunek do społecznie uznanych wartości i ich ocena. Ścisłe powiązanie sytuacji życiowej z naszą sferą wolicjonalną owocuje fluktuacją postaw wobec kierunków przemian i nie pozostaje bez wpływu na sposób widzenia podziałów społecznych. Od tych wszystkich elementów zależy w dużej mierze trwałość „posierpniowych” przemian świadomościowych.

Subiektywna ocena zmian położenia społeczno - ekonomicznego Polaków w ostatnich latach jest w dużej mierze podstawą formułowania przez nich sądów wartościujących w zakresie realizacji ideałów Sierpnia.

#### Wygrani w procesie zmian po 1989 r.<sup>14</sup>

- 1) właściciele prywatnych firm
- 2) księża
- 3) pracownicy administracji centralnej
- 4) działacze NSZZ „Solidarność”
- 5) dyrektorzy, kierownicy w przedsiębiorstwach państwowych

#### Przegrani w procesie zmian po 1989 r.<sup>15</sup>

- 1) rolnicy
- 2) robotnicy niewykwalifikowani
- 3) robotnicy wykwalifikowani
- 4) nauczyciele
- 5) pracownicy prywatnych firm

Uwagę zwraca relatywnie wysoki poziom obiektywizacji prezentowanych opinii. Taki pogląd, znajdujący w dużej mierze pokrycie w rzeczywistości stanowi powód dla, którego zdecydowana większość Polaków ocenia negatywnie proces realizacji ideałów Sierpnia.<sup>16</sup>

<sup>14</sup> Zob. *Oceny zmian...*, op.cit.

<sup>15</sup> Tamże.

<sup>16</sup> Tamże.

Okazuje się bowiem, że ci którzy byli siłą napędową „polskiej rewolucji”, i w których imieniu dokonywały się przeobrażenia zapłacili najwyższą ich cenę. Ich pozycja społeczna i materialna uległa degradacji. Jest to przyczyną narastania niezadowolenia społecznego z wyników przemian, poczucia krzywdy, deprywacji i frustracji będących udziałem coraz to nowych grup społecznych. Jest to tym silniejsze zjawisko, im bardziej zostały w danej zbiorowości rozbudzone aspiracje życiowe. Ograniczę się jedynie do dwóch, jak mi się wydaje, reprezentatywnych egzemplifikacji.

Zmiany „posierpniowe” rozbudziły i w pewnym sensie wymusiły, wzrost aspiracji edukacyjnych. Jest to oczywiście pozytywny aspekt przemian, co jednak nie zmienia faktu, iż w obszarze możliwości ich realizacji dochodzi do dość istotnych zakłóceń. Co prawda, blisko trzykrotnie zwiększyła się liczba studentów w polskich uczelniach, wzrasta liczba Polaków posiadających wyższe wykształcenie i powstają coraz to nowe szkoły wyższe. Jednak w wyniku faktycznej komercjalizacji szkolnictwa wyższego (wzrost liczby uczelni niepublicznych, pobieranie opłat za studia zaoczne i wieczorowe), dochodzi do tworzenia istotnych barier społecznych w zakresie zdobywania wykształcenia. Wraz ze wzrostem liczby studentów spada wśród nich udział młodzieży z terenów wiejskich i z małych miast. Powstaje nowa płaszczyzna podziałów społecznych. Odrębny problem to jakość kształcenia i związek jego kierunków z sytuacją na rynkach pracy. Spora część uczelni wyższych, w tym także państwowych w pogoni za zyskiem kształci szybko, byle jak i bez żadnego związku z sytuacją na rynkach pracy.<sup>17</sup> Większość przejawów patologii w sferze realizacji aspiracji edukacyjnych jest, podobnie jak w przypadku przebudowy struktury społecznej, wynikiem niezharmonizowanego, niekontrolowanego i żywiołowego jej rozwoju.

Sierpień '80 zapoczątkował, pośrednio, proces kształtowania się aspiracji integracji Polski i Polaków ze strukturami Unii Europejskiej. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych zostały one zinstytucjonalizowane, poprzez wpisanie ich w cele polskiej polityki zagranicznej, poparcie i ich akceptację deklarowało ponad osiemdziesiąt procent dorosłych Polaków. Jednak w miarę upływu czasu i pod wpływem nasilenia negatywnych zjawisk procesu przebudowy państwa, stopień poparcia dla aspiracji integracyjnych spadał.

Jak wynika z cytowanych badań CBSO, poziom poparcia aspiracji integracyjnych Polaków był ściśle związany z ich oceną skutków przemian systemowych. Sceptycyzm w ocenie skutków integracji Polski z UE rósł wraz z poczuciem krzywdy i frustracji. Ponadto, wspomniany raport CBSO wskazuje wyraźnie na fakt, że te grupy społeczne, które lokalizują się w kategorii „przegranych” były najczęściej skłonne do negacji aspiracji integracyjnych. W przypadku przeobrażeń cywilizacyjno-kulturowych powtarza się niejako sytuacja, z którą mieliśmy do czynienia we wszystkich dotychczas analizowanych obszarach przemian. Prawidłowo zdefiniowane i zinternalizowane aspiracje Polaków nie posiadają pełnego „zabezpieczenia” w mechanizmach ich realizacji. Fakt ten jest społecznie uświadamiany i stanowi przyczynę coraz częściej pojawiających się negatywnych ocen skutków Sierpnia. Sytuacja ta rodzi daleko idące skutki w zakresie postrzegania podziałów społecznych. Z analizy dotychczas zaprezentowanych danych można sformułować wniosek, że społeczny sposób ich postrzegania ma charakter dychotomiczny. W społecznej świadomości ukończył się podział na „tych, którzy wygrali” na procesie przemian i „tych, którzy przegrali”. Nie jest to wszelako jedyna linia podziałów. Jak wynika z prowadzonych przeze mnie badań, podziały dotyczą także dostępu do podlegającego obecnie reglamentacji dobra,

<sup>17</sup> Por. *Raport NIK o sytuacji w szkolnictwie wyższym*, czerwiec 2000, [bip.nik.gov.pl](http://bip.nik.gov.pl)



jakim jest praca.<sup>18</sup> Inną wreszcie płaszczyzną podziałów jest możliwość realizacji aspiracji edukacyjnych. Występujące w tym zakresie różnice prowadzić mogą do zapaści cywilizacyjnej sporych obszarów krajów i postępującej pauperyzacji kulturowo - edukacyjnej całych segmentów struktury klasowo - warstwowej.

Wszechogarniająca rywalizacja, ostre i dychotomiczne podziały prowadzą w konsekwencji do kształtowania się stosunków interpersonalnych o zalienowanym i zdehumanizowanym charakterze.<sup>19</sup> Występowanie związku pomiędzy zmianami w obszarze kulturowo - cywilizacyjnym a sytuacją życiową Polaków oraz rosnące niezadowolenie z jakości życia, mogą stanowić podstawę wniosku o wielowariantowości rozwoju sytuacji społeczno - politycznej Polski w nadchodzących latach.

Zapoczątkowane w sierpniu 1980 roku zmiany, zarówno w aspekcie strukturalnym, świadomościowym, jak i cywilizacyjno-kulturowym, posiadają charakter funkcjonalny i doprowadziły do pozytywnych przeobrażeń rzeczywistości społecznej. Ich zakres i treść decydują o realnych kształtach życia w wielopłaszczyznowych i wielowymiarowych obszarach funkcjonowania jednostek i całych zbiorowości. Jednakowoż, procesy zainicjowane w Sierpniu zostały niejako „pozostawione samym sobie”. Ich niekontrolowany i nadto „zliberalizowany” charakter może stanowić pewne, znaczące zagrożenie dla kierunku polskich przemian. Trudno jednoznacznie wskazać możliwe warianty rozwoju sytuacji. Wydaje się jednak pewne, że procesy przeobrażeń rzeczywistości społecznej wymagają szybkiej i zrjonalizowanej ingerencji, której celem będzie ograniczenie ich żywiołowości i nieprzewidywalności. W przeciwnym bowiem razie, realną staje się sytuacja, w której wykreowane przez Sierpień zmiany staną się przedmiotem ponownej redefinicji, a ich kierunek ulegnie radykalnej zmianie.

Jest to tym bardziej prawdopodobne, że faktem jest pojawienie się elit politycznych, które uczyniły negację „posierpniowego” porządku społecznego swoim programem politycznym. Politycy „Samoobrony” i Ligi Polskich Rodzin, stwierdzają bez ogródek, że cele polskiej transformacji zostały niewłaściwie zdefiniowane, a coby instrumentarium procesu przebudowy struktur społecznych wręcz zagraża polskiej racji stanu. Lider (wódz?) Samoobrony stwierdza wprost, że Polska potrzebuje silnej ręki, mając zapewne na myśli swoją własną<sup>20</sup>.

Spora część opozycji parlamentarnej, nawet tej najbardziej (jak na polskie standardy) odpowiedzialnej, wykorzystywała słabnące notowania rządów SLD do „uszczenięcia” kawałka tortu wyborczego. Mnożyły się więc, destabilizujące układ parlamentarny, wnioski o odwołanie kolejnych ministrów, deklaracje, że „jesteśmy za Polską w Unii Europejskiej, ale bez Millera, Jaskierni i SLD”, powstawały pomysły na nowe partie. Część prawicowej opozycji mówiła o delegalizacji tej partii (SLD), co samo w sobie jest pomysłem wyabstrahowanym legalistycznie i nijak mającym się do modelu państwa demokratycznego. Taki precedens mógłby okazać się zgubny nie tylko dla polskiej demokracji, ale również dla jego propagatorów. Nietrudno bowiem wyobrazić sobie, że ta ekstremalna forma walki

<sup>18</sup> Zob. m.in. W.Urbanik, *Bezrobocie i zatrudnienie w małym mieście*, Szczecin 2002; W.Urbanik, *Effekty dłuższego wlianijsia biezroboticy na kul'turno-wospitatel'nyj aspekt siemiej biezrobotnych* (w:) *Czielowiek i obszcziesztwo: tiendencii social'nyh izmienenij*, Sankt-Petersburg 1997; W.Urbanik, J.Zdancewicz, *Pośrednictwo i regionalne rynki pracy Polski północno-zachodniej w perspektywie europejskiej - próba diagnozy*. (w) *Spółeczności lokalne w perspektywie integracji europejskiej*, red. R.B.Woźniak, Koszalin 2000.

<sup>19</sup> Por. W.Jacher: *Badania stosunków międzyludzkich w zakładzie pracy przy zastosowaniu kategorii integracji i schematu budowy grupy*, (w:) *Metodologiczne problemy socjologii pracy*, red. W.Jacher, Katowice 1987; W.Jacher, *Idea regionalizacji i lokalności a przedsiębiorczość*, (w:) *Spółeczności lokalne w perspektywie integracji europejskiej*, red. R.B.Woźniak Koszalin 2000.

<sup>20</sup> Wypowiedź A.Leppera w Monitorze Wiadomości z dnia 21.04.2003.

politycznej - rodem z Ameryki Łacińskiej - stanie się w Polsce powszechna. Okazało się (na szczęście), że warto poczekać na werdykt wyborców.

Zaczęto mówić (niestety nie tylko wśród polityków) o konieczności tworzenia IV Rzeczypospolitej. Ciśnie się na usta, kilka przynajmniej, zasadniczych pytań: Czy budowa IV Rzeczypospolitej oznacza rewolucję ustrojową Polski? Jeśli tak, to jaki kształt ustrojowy miałaby Ona mieć po owej rewolucji? I wreszcie najważniejsze z pytań - **Kto, mianowicie, miałby Ją zbudować?!** Pomysł ten, mający w sobie coś z zaklinania rzeczywistości, sprzyja - najpewniej wbrew intencjom jego propagatorów - partiom populistycznym, których cały program polityczny zawiera się w negacji polskiego szesnastolecia. To ich liderzy mówią: „Myśmy jeszcze nie rządili”, co ma ich zdaniem predestynować te partie do misji naprawy Rzeczypospolitej „zaprzędanej przy Okrągłym Stole”.

Trwał nieustający kamawał elit politycznych wokół Konstytucji Unii Europejskiej. Jedni chcieli umierać za Niceę, inni manipulowali terminem wyborów parlamentarnych, prezydenckich i referendum w sprawie Konstytucji tak, aby możliwe było ich wykorzystanie do doraźnych, partykularnych interesów partyjnych. Jeszcze inni, dostosowywali swoje stanowisko do zmieniających się wyników sondaży.

Coraz to bardziej żenujący spektakl Komisji Śledczych, lustracja, dekomunizacja, sanacja, walka na „kwity”, zatrzymania posłów, procesy i wyroki, „polowanie” na Rokitę, Prezydenta Kwaśniewskiego wraz z jego żoną i dziadka Tuska - to tylko niektóre elementy tworzące krajobraz polityczny Polski.

Wszystko to powoduje, w najlepszym razie, wycofywanie się Polaków z aktywnego uczestnictwa w życiu politycznym kraju i zanik aktywności wyborczej. Powoduje też, i to jest bardzo groźne, wzrost nastrojów populistycznych i postępującą radykalizację postaw politycznych, owocując znaczącym wzrostem poparcia dla skrajnych i antydemokratycznych elit politycznych.

## 2. Mitologizacja rzeczywistości jako forma uprawiania polityki

Zwykliśmy określać wydarzenia z roku 1989 jako „nową Wiosnę Ludów Europy Środkowej”, „aksamitną rewolucję”, „pokojowy początek przemian”, „demonтаж imperium zła”. Wszystkie te określenia wynikają ze specyficznego sposobu postrzegania przeobrażeń Europy Środkowo-Wschodniej, który charakteryzuje się swoistą teleologią i radosnym determinizmem. Uznajemy bowiem, że systemy totalitarne „musiały” upaść (było to jedynie kwestią czasu), a ich upadek był nieomal wpisany w logikę świata. Pokojowy sposób przejścia władzy przez elity opozycyjne, którego symbolem stał się „okrągły stół”, potęguje poczucie pewnego continuum systemów społecznych. Nie było barykad, nie było krwi i ofiar, nie wzniesiono szafotów - nie było więc rewolucji. Powstaje wrażenie, że rok 1989 w Polsce, to początek powolnych, ewolucyjnych przeobrażeń rzeczywistości społecznej, politycznej i gospodarczej. Tymczasem, zmiany zapoczątkowane w roku 1989, są w swej istocie r e w o l u c j a, której co prawda, nie towarzyszyły terror i strach, lecz która doprowadziła do radykalnych zmian, we wszystkich obszarach życia jednostek i całych zbiorowości. Była to rewolucja k o n s t r u k t y w n a, która wprowadzała ustrój reprezentatywny, wolności osobiste i umysłowe.<sup>21</sup>

System totalitarny zawalił się nagle, a na jego miejscu powstało rumowisko wartości, celów społecznie akceptowanych, wzorów i norm zachowań społecznych, autorytetów, większości systemów normatywnych i mitów. Z chaosu anomii porewolucyjnej, zaczęły

<sup>21</sup> Termin ten jest stosowany min. przez R. Arona, co prawda w nieco innym znaczeniu. Por. R. Aron, *Opium...*, op. cit., s.47-80.

wyłaniać się nowe wartości i normy, nowe cele i wzory społeczne, nowe symbole, autorytety i nowa mity. Wskazanie w tym rozdziale, niektórych tyłów, przejawów mitologizacji rzeczywistości społecznej, posiada ogromne znaczenie w analizie podstawowych zjawisk towarzyszących funkcjonowaniu polskich elit politycznych. To one głównie są źródłem i zarazem „sukcesorem” procesów mitologizacji rzeczywistości społecznej.

### 2.1. „W ogniu walki proletariackiej” - mity Rzeczypospolitej 2,5

System totalitarny w Polsce, posługujący się marksistowską retoryką, charakteryzował się niezliczoną wręcz ilością mitów.<sup>22</sup> Oczywiście, zakres i treść owej mitologii, ulegały zmianie wraz z dokonującymi się przeobrażeniami systemu. Totalitarna mitologizacja jest zjawiskiem dość dobrze rozpoznany w literaturze, dlatego też, skoncentruję się jedynie na wskazaniu wybranych jej przejawów oraz na próbie odpowiedzi na pytanie o potrzebie mitu w społeczeństwie fazy przejścia od totalitaryzmu do demokracji.<sup>23</sup>

Marksistowska wizja świata zawierała się w swoiście skonstruowanym teleologizmie, którego głównym elementem był m i t p r o l e t a r i a t u. Mit wybranej, mającej do spełnienia rolę zbawiciela, klasy robotniczej - był podstawowym składnikiem tej doktryny. Rola jaką przypisano proletariatu, nie ograniczała się do „przewyciężenia kapitalizmu”, lecz obejmowała zbawienie świata.<sup>24</sup> Mówiąc nieco eufemistycznie: „wyklęty lud”, miał poprzez swoją walkę i cierpienie „ruszyć z posad bryłę świata”. Oczywiście stało się więc, uznanie proletariatu za awangardę przemian świata, najbardziej postępowy jego element, siłę sprawczą postępu. To właśnie miał na myśli, jak sądzę, K.Marks pisząc: „*Widmo krąży po Europie, widmo komunizmu. Niechaj drżą panujące klasy (...), Proletariusze nie mają (...)* do stracenia nic, prócz swych kajdan (...)”<sup>25</sup>

Jednakowoż, to co wydawało się stosunkowo proste i oczywiste dla twórców i propagatorów marksizmu, okazało się trudne do realizacji w świecie niewyimaginowanych koncepcji - w świecie rzeczywistym. „*Oczywistymi odbiorcami idei socjalizmu była (...) klasa robotnicza, pisze Norman Davies. W praktyce jednak wielu robotników trzymało się z daleka, a niemal we wszystkich organizacjach socjalistycznych dominowali intelektualiści z klasy średniej.*”<sup>26</sup>

Doświadczenia rewolucji rosyjskiej wykazały, że prawdziwa rewolucja proletariacka nie jest możliwa tam, gdzie klasa robotnicza jest nieliczna. Przejęcie władzy przez bolszewików odbyło się w zasadzie bez masowego poparcia robotników.<sup>27</sup> Inny, znany badacz tych wydarzeń - Richard Pipes - pisze: „*Rewolucję przedstawia się często jako powstanie robotnicze, toteż ważne jest zwrócenie uwagi, że był to przede wszystkim bunt*

<sup>22</sup> Nie zamierzam podejmować nieco irracjonalnej, moim zdaniem, dyskusji o nasileniu lub formie totalitaryzmu PRL. Uważam bowiem, że trwający dyskurs dotyczący mniej lub bardziej „łagodnej” formy reżimu PRL, jest w swej istocie nieco jałowy. Fakt, że w latach siedemdziesiątych, w odróżnieniu od lat pięćdziesiątych, można było bez konsekwencji opowiadać dowcipy polityczne, czy też słuchać zagranicznych rozgłośni radiowych, wyjechać na wczasy do Bułgarii, lub obejrzeć cenzurowany film amerykański, nie powoduje jakkolwiek rozumianej zmiany istoty systemu, który opierał się na przemocy, ograniczeniu wolności i praw jednostki, oraz totalnej inwigilacji wszechobecnej policji politycznej.

<sup>23</sup> Zob. m.in. R.Aron, *Opium...* op. cit.; F.Furet, *Przeszłość pewnego złudzenia. Esej o ideii komunistycznej w XX wieku*, Warszawa 1996; H.Tudor, *Political Myth*, London 1972.; Z.Neumann, *Permanent Revolution: Totalitarianism in the Age of International Civil War*, New York 1965.

<sup>24</sup> Por. m.in. R.Aron, *Opium...* op. cit.; I.Berlin, *Karl Marks: His Life and Environment*, Oksford 1978.

<sup>25</sup> K.Marks, F.Engels, *Manifest partii komunistycznej. Zasady komunizmu*, Warszawa 1979, s. 33 i 80.

<sup>26</sup> Zob. N.Davies, *Europa rozprawa historyka z historią*, Kraków 1999, s. 890.

<sup>27</sup> Por. tamże, s. 973-981.

żołnierzy pochodzenia chłopskiego (...)"<sup>28</sup> Nie zmieniało to jednak konieczności proletariackiej legitymizacji nowej władzy. Rozdźwięk pomiędzy sferą deklaratywną socjalizmu, a jego faktycznymi działaniami, doprowadził do powstania swoistego, kultowego socjalizmu, którego stała już cechą, będzie odwoływanie się do mitologii społecznej. Potrzeba mitu (szczególnie mesjanistycznej roli proletariatu) stanowić będzie nieodłączną część systemów totalitarnych odwołujących się do koncepcji Marksa w zwulgaryzowanej i uproszczonej wersji tzw. marksistowsko - leninowskiej. W czymś bowiem imieniu, dokonywane być musi „rewolucyjne” przejęcie władzy. W czymś imieniu niezbędne będzie ustanowienie dyktatury. I wreszcie, jakaś „misja dziejowa” musi stanowić uzasadnienie pchnięcia w wir walki milionów ludzi, czego efektem będzie morze krwi, którym spłynie Rosja, a później cała Europa Środkowo-Wschodnia.

W procesie ustanowienia „władzy ludowej” w Polsce po roku 1945, mit proletariatu będzie wykorzystywany w podobny sposób, jak miało to miejsce w Rosji w okresie rewolucji. Stanie się bowiem, podstawą legitymizacji władzy. Niezależnie od stanu faktycznego, nowa władza będzie tworzyć socjalistyczny porządek społeczny w i m i e n i u „ludu pracującego miast i wsi”. Oczywiście, proces ten będzie miał „charakter historycznie uzasadniony”. W imieniu klasy robotniczej, dokonana zostanie nacjonalizacja przemysłu, będzie trwała walka z „reakcją”, odbędą się procesy polityczne, zostaną podjęte próby „rozkułaczenia”. Dojdzie w Polsce nawet do pewnego paradoksu - marksowski mit proletariatu okaże się być „mało pojemny”. Zostanie on więc, rozszerzony o wizję sojuszu robotniczo - chłopskiego, do którego z czasem „dołączy” inteligencja pracująca. Okazało się bowiem, że likwidacja prywatnej własności środków produkcji, dekompozycja dotychczasowej struktury społecznej, wykorzystanie niemal całego instrumentarium inżynierii społecznej, nie prowadzi do ukształtowania się nowych, jednorodnych, nieantagonistycznych stosunków społecznych. Mówiąc wprost, „awangarda postępu” okazała się niezdolna do samoistnego, kreatywnego tworzenia systemu społecznego. Proletariat, bez udziału kadry inżynieryjnej, urzędników, menagmentu, ludzi nauki i sztuki, nie był w stanie dokonać, oczekiwanych przez establishment nowej władzy, przeobrażeń kraju. Mit proletariatu upadł - jego potrzeba pozostała.

W świecie „budowy realnego socjalizmu” potrzeba mitu będzie miała charakter równie silny jak w okresie rewolucji. Różnica polegać będzie na innym jego wykorzystaniu. Nie będzie on już legitymizował samej rewolucji, lecz będzie sankcjonował socjalistyczny porządek społeczny. Będzie uzasadnieniem czujności klasowej i przewodniej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Najistotniejszą jednak, moim zdaniem, będzie jego funkcja i l u z o r y c z n o - k o m p e n s a c y j n a .

Władza ludowa, rozbudzając aspiracje klasy robotniczej, bardzo szybko przekonała się, że ich realizacja nie jest możliwa, przynajmniej na tym etapie rozwoju społeczno-gospodarczego. Początkowe sukcesy - będące wynikiem procesów industrializacji, urbanizacji, elektryfikacji i walki z analfabetyzmem - okazały się być niewystarczające dla realizacji zapowiadanych i rozbudzonych oczekiwań wzrostu poziomu życia. Wydarzenia poznańskie z 1956 roku pokazały, jak daleko rozminęła się sfera deklaratywna władzy z jej faktycznymi działaniami, a nade wszystko, z oczekiwaniami „suwerena” tejże władzy - proletariatu. Niekoniecznie bowiem, był On zainteresowany realizacją „światowej rewolucji” i „marszem sił pokoju”. W większym stopniu uwaga robotników koncentrowała się na sferze realizacji zapowiadanej supremacji ekonomicznej, która miała być ich udziałem. Wydawać by się mogło, że wydarzenia poznańskie powinny osłabić, czy też wręcz, znieść potrzebę mitu proletariatu. Jednak, paradoksalnie - potrzeba mitu wzrosła. Musiał on bowiem stać się swoistym substytutem rzeczywistej i pełnej supremacji robotników. Musiał, innymi słowy,

<sup>28</sup> Zob. R.Pipes, *The Russian Revolution 1899-1919*, London 1990, s. 427.



kompensować wszelkie **antynomie systemu** - społeczne, polityczne, ideologiczne, ekonomiczne, socjalne. Robotnicy, nie będąc rzeczywistą awangardą przemian, powinni się jednak czuć jak awangarda. Nie osiągając oczekiwanego poziomu życia, powinni kontemplować swoją uprzywilejowaną i wyjątkową pozycję oraz mesjanistyczną rolę. Nie będąc suwerenem, stali się aktorami i luzj uczestnictwa w sprawowaniu władzy.

Obrzędowość socjalistyczna, szczególnie mocno eksponowała i nieomal sakralizowała, uprzywilejowaną pozycję i rolę klasy robotniczej. Przejawiało się to m.in. w zwerbalizowanym primacie pracy fizycznej nad wszelkimi innymi formami ludzkiej działalności. Władza, w sposób w pełni celowy i instrumentalny, kształtowała w społecznej świadomości rozliczne stereotypy, których celem było wzmacnianie mitu proletariatu. To robotnik trzymał w swych spracowanych rękach los kraju. Od niego zależała pomyślność innych współuczestników iluzji socjalistycznej. Ciężka, prosta, fizyczna praca kształtowała jego sposób myślenia, postrzegania i oceny rzeczywistości, które były nacechowane nieskazitelną prostotą, logiką i bezkompromisowością. Rozumiał rzeczywistość, ponieważ to on ją kształtował.

Owo zrozumienie rzeczywistości nie zawsze było udziałem przedstawicieli innych kategorii społeczno - zawodowych. Dla przykładu, stereotypowy inteligent, niekiedy rozumiał i odnajdował siebie w rzeczywistości socjalistycznej. Nie zawsze dostosowany do „realiów” iluzji, stosujący relatywizm wartości socjalistycznych, zagubiony i wyobcowany, mógł w najlepszym razie zostać biernym wykonawcą i realizatorem celów nakreślonych przez partię będącą wyrazicielem woli proletariatu. On, w przeciwieństwie do robotnika, nie tworzył. Jego umysłowa praca była mało efektywna, a często - zbyteczna.

Mit proletariatu był tak silnie zakorzeniony w społecznej świadomości Polaków, że ulegały mu niemal wszystkie ruchy kontestatorskie lat siedemdziesiątych<sup>29</sup>. Pierwsi ich animatorzy występowali bowiem w imieniu i w obronie robotników, choć sami wywodzili się ze zdecydowanie odmiennych środowisk. Paradoksalnie, mit mesjanistycznej roli proletariatu został wykorzystany ponownie, tym razem do redefinicji socjalistycznego porządku społecznego. Jest to dość znamienita analogia. Otóż, w okresie rewolucji prowadzących do powstania systemów totalitarnych o proveniencji marksistowskiej, ich organizatorami byli przedstawiciele innych klas niż robotnicza, natomiast sam proletariat był wykorzystywany jako źródło legitymizacji zmian. Scenariusz ten powtarza się w latach poprzedzających rewolucje, które zniosły owe systemy totalitarne. Ironizując, można powiedzieć, że blisko sto czterdzieści lat po pierwszej publikacji *Manifestu Komunistycznego*, widmo zaczęło krążyć po Europie Środkowo-Wschodniej. Tym jednak razem, proletariat miał obalić system, który powstał w jego imieniu i dla niego.

Oczywistym jest, że potrzeba mitu w marksistowskiej wersji totalitaryzmu nie ograniczała się do mesjanistycznej wizji proletariatu. Nie zmienia to moim zdaniem faktu, iż mit ów, stanowił podstawowy element doktryny i instrumentarium władzy totalitarnej. Jednakowoż, czerpiąc z marksowskiej „skarbnicy” dramaturgiczno - utopijnych założeń, wykorzystywała ona całą gamę mitów, które podobnie jak mit proletariatu, wypełniały funkcję wzmacniania socjalistycznej iluzji i kompensowały wyraźne antynomie systemu.

Mit *internacjonalizmu* wyrastał z uznania mesjanistycznej roli proletariatu i stanowił kompensację świadomości narodowej. Świadomość narodowa stała bowiem w opozycji do dialektycznej teleologii marksowskiego rozwoju. Dla komunistycznego establishmentu władzy oczywistym było, że poczucie tożsamości narodowej musi ulec

<sup>29</sup> Najbardziej znanym przykładem wydaje się być KOR, powstały po wydarzeniach radomskich. Jednak wszystkie, zróżnicowane przeciw środowiska opozycyjne, tworzące późniejszą Solidarność, odwoływały się do robotników, w nich upatrywały bazy społecznej przemian, i w ich imieniu przejmowały inicjatywę walki z systemem.



poczuciu przynależności klasowej, której prymat pozostawał poza wszelką dyskusją. Występowały co prawda pewne trudności realizacyjne w tym względzie, tym niemniej uporano się z nimi w typowy, zmitologizowany sposób. Przyjęto, że świadomość narodowa w wyższej fazie rozwoju, posiada walor ideologiczny. „*Ojczyzna narodziła się w zwycięskiej wojnie w obronie zdobyczy rewolucji, która była zarazem wojną przeciw arystokracji i szlachcie, przeciw dawnej klasie panującej*: - pisał Brun-Bronowicz.<sup>30</sup> Dla pełnej jasności Jerzy Wiatr dodawał: *W ogniu tej walki wytworzyła się dojrzała świadomość narodowa*”. „*(...) Wiąż narodowa nabiera nowych aspektów klasowych po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej*”.<sup>31</sup>

Skoro tzw. kwestia narodowa podlega logice rewolucyjnej, to jasnym stało się, że „burżuazyjny partykularyzm” świadomości narodowej musi zostać przezwyciężony przez wyższą formę świadomości - internacjonalizm. Mít internacjonalizmu posiadał tę jeszcze zaletę, że był mechanizmem kształtowania poczucia odrębności społeczeństw socjalistycznych. Pozwalał bowiem, kształtować nieprawdziwy, dychotomiczny wizerunek świata, w którym społeczeństwa socjalistyczne - w przeciwieństwie do mocarstw imperialistycznych - współpracowały, wymieniały się myślą naukową, charakteryzowała ich jedność i poczucie misji niesienia pokoju. „*Dlatego właśnie - pisał Wiatr - internacjonalistyczna współpraca państw socjalistycznych i jedność obozu socjalistycznego są tak silnie atakowane przez mocarstwa imperialistyczne (...)*”. Wskazując siłę mitu internacjonalizmu nie można oprzeć się wrażeniu, że uległa mu część elit Solidarności. Czymże innym bowiem tłumaczyć „Apel do robotników krajów Europy Wschodniej”, wystosowany przez Pierwszy Kongres „Solodarności” w 1981 roku.

Mít przewodniej roli partii spełniał rolę substytutu demokracji przedstawicielskiej. W ramach tzw. demokracji socjalistycznej, rolę demokratycznych organów przedstawicielskich przejmowała partia robotnicza, która działając w imieniu suwerena (proletariatu) podejmowała kolegialnie decyzje dotyczące wszystkich możliwych sfer życia. Delegaci na kolejne zjazdy partii, niczym deputowani, reprezentować mieli interesy, opinie i oczekiwania różnych środowisk. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, opierającej się na wspomnianej już „mądrości proletariatu”, wyrastając z niego, a nade wszystko - realizując jego aspiracje, była w swej istocie nieomylna, bezkompromisowa, a jej decyzje - ostateczne i nieweryfikowalne. Analizując zmitologizowaną rolę partii leninowskich, Raymond Aron pisał, nie bez cienia ironii: „*Historia partii jest historią świętą: u kresu jej jest odkupienie ludzkiego gatunku. Czyż udziałem partii mogłyby być słabości właściwe dziełom ludzkich rąk? Każdy człowiek, nawet bolszewik, może się mylić. Partia nie powinna i niejako nie może się mylić, ponieważ wyraża i realizuje prawdę historii*”.<sup>32</sup>

Rządząca w Polsce partia niczym się w tym względzie nie różniła od „bratnich partii” komunistycznych. Wszystkie, rzeczywiste lub wymaginowane, sukcesy były dziełem PZPR. Kolejne niepowodzenia i przełomy były wynikiem „błędów i wypaczeń”, które zawsze popełniali jej członkowie lub „siły reakcji”. Partia oczyszczała wówczas swe szeregi z wszelkiej maści rewizjonistów, reakcjonistów, a nawet syjonistów. W tym przejawiać się miała jej siła i uniwersalizm.

Mít partii robotniczej odegrał niepoślednią rolę w ubezwłasnowolnieniu i podporządkowaniu jednostki systemowi totalitarnemu. Dzięki jego wykorzystaniu, partia postrzegana była jako nieomylna, monolityczna i bezosobowa siła zdolna złamać i podporządkować sobie wszystko i wszystkich. Niczym orwellowski Wielki Brat, dysponowała „wszechwiedzą” i potrafiła ją wykorzystać w celu podporządkowania jednostki,

<sup>30</sup> J. Brun-Bronowicz, *Pisma wybrane*, t. I, Warszawa 1955, s. 44-45.

<sup>31</sup> J. Wiatr, *Społeczeństwo. Wstęp do socjologii systematycznej*, Warszawa 1971, s. 370, 376.

<sup>32</sup> Zob. R. Aron, *Opium...* op. cit., s. 125.

a nade wszystko - pozbawienia jej indywidualizmu, własnej osobowości, marzeń, pragnień i aspiracji. Ona jej wszystkie dekretowała. Rzecz jednak nie w tym, czy PZPR rzeczywiście była do tego w pełni zdolna. Ważne było, aby jako taka była postrzegana, przede wszystkim przez tych, którzy próbowaliby zakwestionować jej rolę. W tym sensie mit wzmacniał iluzję ostateczności trwania jednostki w systemie. Pozbawiał ją woli walki. Czynił nadzieję na zmiany utopią. Onieśmiał sprzeciw. Zastany przez jednostkę świat definiował jako ostateczny i niepodlegający redefinicji, czego gwarantem miała być partia.

Wskazane, jak mi się wydaje, najistotniejsze przejawy mitologizacji rzeczywistości społecznej systemu peerelowskiego łączy - oprócz wymienionych funkcji jakie wypełniały - to, że p o t r z e b a mitu nie ulega osłabieniu wraz z upływem czasu. Innymi słowy, mity można obalać i demaskować, upadają wraz z porządkiem światów, które objaśniają. Lecz sama potrzeba mitu jest nieodłączną cechą życia społecznego. Mit bowiem, jest elementem pozaracjonalnej s t r u k t u r a l i z a c j i świata - tłumacząc go i uzasadniając - odpowiada na fundamentalne pytania odnoszące się do imperatywów i celów wspólnego, zbiorowego działania.<sup>33</sup> Mit nie jest tylko symbolem, lecz „(...) bezpośrednim wyrażeniem przedmiotu, którego dotyczy. Nie jest wyjaśnieniem zaspokajającym potrzebę zainteresowań naukowych, ale narracją, w której zmartwychwstaje pradawna rzeczywistość, narracją opowiedzaną dla zaspokojenia głębokich potrzeb religijnych, uzasadnienia dążeń moralnych, legitymizacji nierówności społecznych, wyjaśniania twierdzeń czy nawet wymogów praktycznych.”<sup>34</sup>

Mit posiada tę jeszcze „zaletę”, że pozwala na „o s w o j e n i e” naszych lęków. Większość obaw i zagrożeń wynikających z życia w PRL, była w pewnym sensie oswojona. Oznacza to, że miały one w dużej mierze charakter przewidywalny. Nie dotyczyły bowiem egzystencjalnego poziomu funkcjonowania jednostek, lecz mogły być wynikiem dokonywania wyborów o charakterze ideologicznym, religijnym lub zgoła ontologicznym. Zasady życia społecznego były jasne, proste i czytelne. Raz zdobyta praca stanowiła podstawę „kariery zawodowej”, którą można było realizować przez całe życie w jednym zakładzie pracy. Kryteria sukcesu życiowego były zdefiniowane na relatywnie niskim poziomie i ograniczały się do sumiennego i niekreatywnego wykonywania pracy, zdobycia mieszkania i talonu na samochód, spędzenia urlopu zaplanowanego przez „kierownictwo”. Wszystkie te wyznaczniki „sukcesu” były instytucjonalnie gwarantowane. Istniał jeden warunek - pełna akceptacja zastanej rzeczywistości społecznej. Była ona tym łatwiejsza, im bardziej wynikała i była powiązana z afirmacją mitów. Jednostka wypełniając ten warunek była w zasadzie wolna od lęków i obaw, łamiąc go narażała się na represyjne działania władzy.

Wszystkie te zasady uległy radykalnej zmianie po roku 1989. Pojawiły się zupełnie nowe zagrożenia, wobec których dotychczasowe sposoby adaptacji społecznej (z mitologicznymi włącznie), okazały się być całkowicie nieadekwatne. Słabość nauki, nieadekwatność i nieskuteczność programów politycznych i gospodarczych, upadek autorytetów moralnych, a nade wszystko załamanie się dotychczasowych wartości i punktów odniesienia ludzkich działań, prowadzą do poszukiwań nowych paradygmatów naszego indywidualnego i zbiorowego świata. W poszukiwaniach tych, potrzeba n o w y c h mitów jawi się ze szczególną ostrością. Będą one miały inny charakter niż te, które runęły wraz ze światem realnego socjalizmu, będą służyć „innej sprawie”, będą odwoływać się do innych utopii i stereotypów, lecz będą wypełniać podobne funkcje, będą w takim samym stopniu fałszować rzeczywistość, będą tak samo groźne, będą miały tego samego nadawcę - elity polityczne.

<sup>33</sup> Tamże, s. 136-175

<sup>34</sup> Zob. B. Malinowski, *Mit, magia, religia. Dzieła* t. 7, Warszawa 1990, s. 303.

## 2.2. „W ogniu walki wolnorynkowej” - mity III Rzeczypospolitej i nie tylko

Podstawowym problemem, przed którym stanęły pierwsze ekipy solidarnościowe, okazał się brak wizji nowego porządku społecznego.<sup>35</sup> Na wspomnianym już rumowisku wartości, celów, wzorów i norm społecznych, autorytetów i systemów normatywnych, należało stworzyć fundamenty nowego społeczeństwa. Problem jednak polegał na tym, że nikt z ówczesnych elit nowej władzy takiej wizji nie posiadał. To bowiem, czym dysponował rząd Tadeusza Mazowieckiego trudno, nawet przy dużej ilości dobrej woli, określić mianem spójnej koncepcji przebudowy kraju. Był to pewien zbór bardzo ogólnych idei, następczący znaczące trudności w zakresie ich operacjonalizacji.<sup>36</sup> Najdobitniej bodaj, wyraził to Jacek Kuroń, który stwierdził: „Muszę przyznać, że byłem przygotowany do obalenia państwa, a nie do tego, żeby nim rządzić”.<sup>37</sup>

W tej sytuacji, potrzeba mitu, egzemplifikowała się w próbie odnalezienia jakiegokolwiek paradygmatu, mogącego stać się punktem odniesienia dla procesu przebudowy. Powstała po upadku komunizmu pustka, zaczął powoli wypełniać m i t r e s t a u r a c j i - lub, jak kto woli - drogi powrotnej.

Ówczesne elity solidarnościowe zaczęły zwolna rozpowszechniać przekonanie (mit), w myśl którego rozpoczynający się proces transformacji ustrojowej jest w swej istocie powrotem do „europejskiej rodziny państw demokratycznych”, do „racjonalności”, do „świata Zachodu”, do - nieomal historycznie i kulturowo - przypisanym nam „ideom demokratycznym”. Okres PRL-u był jedynie załamaniem się kontinuum sielankowo rozwijającego się polskiego demokratyzmu. Sprzyjała temu, nieomal pełna, sakralizacja dokonana II Rzeczypospolitej, która jawić się zaczęła jako kraj pozbawiony konfliktów i napięć społecznych i narodowościowych, problemów gospodarczych i politycznych, będących wynikiem słabości ówczesnych elit politycznych<sup>38</sup>.

W tej zmitologizowanej konwencji myślowej, PRL był „epizodem”, wybrykiem ładu pojałtańskiego, który przyniesiony na bagnietach armii czerwonej, stał w całkowitej opozycji do oczekiwań, nadziei, aspiracji i tradycji wolnościowych Polaków. Jego istnienie opierało się jedynie na sile czołgów i brutalnej dyktatury „imperium zła”. Jedynymi jego apologetami była rzesza bezdusznych, niedouczonej i sprzedajnych aparatczyków, którzy zostali „zdemaskowani” z trybuny sejmowej przez posła Leszka Moczulskiego.<sup>39</sup> Natomiast, wszystkie wystąpienia robotników przeciwko władzy ludowej były przejawem dążeń narodowościowych i demokratycznych.<sup>40</sup> Wraz z uproszczonym sposobem postrzegania i oceny PRL, pojawiać zaczęły się pierwsze próby „oddzielenia ziarna od plew”, w drodze

<sup>35</sup> Por. S.Dzięcielska-Machnikowska, *Dwie fale bezrobocia w Polsce*, (w:) *Studia do portretu naukowego socjologa*, red. J.Leoński, Szczecin 2002, s.57-73.

<sup>36</sup> Por. M.S.Szczepański, *Zarłoczna rewolucja*, (w:) *Studia do portretu naukowego socjologa*, red. J.Leoński, Szczecin 2002, s. 45-56.

<sup>37</sup> Cytowana wypowiedź pochodzi z wywiadu udzielonego przez J.Kuronia Piotrowi Najsztabowi. *Bush, coś ty narobił?*, „Przekrój”, 2003, nr 16, s. 33.

<sup>38</sup> Oczywiście, nie zamierzam dyskredytować, czy też dokonywać jakkolwiek rozumianej oceny II Rzeczypospolitej. Moim celem jest jedynie wskazanie znaczących różnic pomiędzy idealizacją procesów zachodzących w Polsce w okresie dwudziestolecia wojennego (idealizacji będącej wynikiem działań elit solidarnościowych), a zobiektywizowaną oceną i analizą naukową tego okresu. Por. m.in. N.Davies, *Boże igrzysko*, Kraków 2001.

<sup>39</sup> Mowa w tym miejscu o słynnym już wystąpieniu posła L.Moczulskiego na jednej z sesji Sejmu I kadencji, w którym „roszyfrował” on skrót PZPR - „Płatni Zdrajcy, Pacholki Rosji”.

<sup>40</sup> Ogólna analiza przyczyn konfliktów społecznych i kryzysu władzy w PRL została zaprezentowana nieco wcześniej. Tam także czytelnik może odnaleźć wskazanie literatury, która zawiera bardziej pogłębioną analizę omawianych zjawisk.

procedur lustracyjnych a nawet dekomunizacyjnych. Można było usłyszeć z ust prominentnych polityków solidarnościowych, że okres PRL-u zruinował nasz kraj w większym stopniu niż okupację II wojny światowej.

W sferze symbolicznej nowego mitu, rozpoczął się proces werbalizacji „drogi powrotnej”. Znaleźliśmy się „na powrót we własnym domu”, co obwieszczały nam środowiska artystyczne podczas rozlicznych imprez pod wspólnym tytułem: „*Artyści - Rzeczpospolitej*”. Rekonstruowano symbole narodowe, czego apogeum stanowił trwający w Sejmie I kadencji spór o godło narodowe i jego kształt.<sup>41</sup> Trwały uroczystości związane z licznymi powrotami szczątków Polaków zmarłych na wygnaniu. Zmieniano święta narodowe i nazwy ulic, obalano stare pomniki zastępując je nowymi, których rodowód musiał być słuszny i utrwalał przekonanie o ciągłości polskiego demokratyzmu. Gloryfikowano postać Marszałka Piłsudskiego, na wszelkiego rodzaju obchodach świąt państwowych rozbrzmiewała *Pierwsza Brygada*, a *cud nad Wisłą* był etapem wojny polsko - rosyjskiej 1920-1921, która oczywiście nie rozpoczęła się polską wyprawą na Kijów w 1919 roku.

Wszystkim tym przejawom mitologizacji procesu przebudowy, towarzyszyło przekonanie elit politycznych, że wyjście Polaków z traumy totalitarnej, któremu sprzyjać miał mit restauracji, stanowić będzie warunek powodzenia przemian politycznych, gospodarczych i społecznych.

W rzeczywistości, polskie przemiany nie były jakkolwiek rozumianym powrotem do czegokolwiek. Polskie przemiany stały się procesem, tworzenia zupełnie nowego, eklektycznego porządku społecznego, na który składają się elementy starego systemu oraz rozliczne zapożyczenia i aplikacje różnorodnych, zachodnich rozwiązań systemowych. Jest to proces nie posiadający absolutnie żadnych odpowiedników w dotychczasowej historii, co uniemożliwiało dokonywanie jakikolwiek porównań, czy też wykorzystanie jakiś doświadczeń. Można więc przyjąć, że kreowanie przemian w Polsce było i jest w dalszym ciągu, e k s p e r y m e n t e m i zupełnie nowym doświadczeniem dla wszystkich jego uczestników.

Tymczasem, w cieniu sporów i dyskusji skoncentrowanych wokół symboli narodowych, dekomunizacji, „drogi powrotnej do Zachodu” i wielu innych drugorzędnych problemów, zaczęły pojawiać się rzeczywiste wyzwania procesu przebudowy państwa i społeczeństwa. Mijał okres euforii porewolucyjnej naznaczonej poczuciem solidarności i wspólnoty, zdroworoządkowego i wyidealizowanego myślenia o przyszłości Polaków.

Ideale *pierwszej Solidarności*, którą uosabiali m.in. postacie Tadeusza Mazowieckiego i Jacka Kuronia, zderzyły się z koncepcjami polityków „nowej fali” i nawróconych na neoliberalizm ekonomistów. Dla tej nowej kategorii elit politycznych, rekrutujących się głównie z grona dawnych doradców Solidarności, mit restauracji był już zbędny, a dotychczasowe ideały Solidarności - solidaryzm robotniczy, społeczna gospodarka rynkowa, idea trzeciej drogi - były jedynie balastem w realizacji ich koncepcji „transformacji”.<sup>42</sup> Dziś już chyba nikt nie pamięta, kto po raz pierwszy użył tego terminu i w jakim znaczeniu, dla nazwania procesu przebudowy porządku społecznego w Polsce. Nie to jest jednak ważne. Ważne jest bowiem to, że transformacja zaczęła oznaczać w praktyce bezrefleksyjną aplikację zachodnich modeli gospodarczych, przy czym jakkolwiek krytyka takiego podejścia do procesu przebudowy, uznawana była i jest w dalszym ciągu, jako resentymentalna idealizacja starego systemu, lub w najlepszym razie - niezrozumienie konieczności zmian systemowych. Przenoszeniu, odwzorowywaniu zachodnich modeli

<sup>41</sup> Spór obejmował nie tylko umieszczenie korony w godle narodowym, ale również dotyczył „pochodzenia” i wizerunku orła, które dla części polityków były „moskiewskie”, a dla innych „piastowskie”.

<sup>42</sup> O ideałach pierwszej Solidarności pisze niezwykle ciekawie M.S. Szczepeński, *Zarłoczna...*, op. cit.



gospodarczych towarzyszyło rozpowszechnianie przez elity polityczne kolejnych mitów, związanych tym razem z funkcjonowaniem wolnego rynku oraz z rolą państwa w procesach jego regulacji.

I tak oto, narodził się mit niewidzialnej ręki wolnego rynku. Wolny rynek stał się przedmiotem pełnej sakralizacji. Jej egzemplifikację można odnaleźć w niemal wszystkich obszarach rzeczywistości. Doktrynalna prywatyzacja prowadzona w imię zasady: „im mniej państwa w gospodarce, tym lepiej”; redukcja roli państwa w realizacji polityki mieszkaniowej, edukacyjnej, zdrowotnej i społecznej; likwidacja całych sektorów zatrudnienia - to tylko niektóre przykłady działań będących wynikiem uznania wolnego rynku jako swoistego sacrum nowego porządku społecznego. Wpisując się w nurt libertariańskiego myślenia, polskie elity polityczne lat dziewięćdziesiątych, głosiły konieczność prywatyzacji wszystkiego i za wszelką cenę.<sup>43</sup> Co gorsza, ten zmitologizowany sposób myślenia prowadził do całkowitego nieomal pominięcia skutków społecznych, uznania prymatu reform gospodarczych nad znaczeniem przemian struktur społecznych, deprecjacji roli zmian świadomościowych i zmian systemów wartości.

Mit „niewidzialnej ręki wolnego rynku”, stał się źródłem swoistego redukcjonizmu oglądu rzeczywistości społecznej, która jawić się nam zaczęła jako zdepersonalizowany mechanizm ekonomiczno - polityczny, zdefiniowany przez wskaźniki makroekonomiczne oraz wyznaczniki systemu politycznego. Nie mam zamiaru deprecjonować roli gospodarki, czy też stabilności i jakości procedur demokratycznych. Twierdzę jedynie, że uczynienie z wyznaczników ekonomicznych wartości autotelicznych i traktowanie demokracji jako niczym nie skrepowanej gry elit politycznych, prowadzi do utraty kontroli nad przebiegiem i kierunkami przemian społecznych, a w konsekwencji powoduje występowanie istotnych zakłóceń procesu przebudowy struktur społecznych w Polsce. Towarzyszą temu takie zjawiska jak: anomia, dehumanizacja stosunków społecznych, marginalizacja społeczno-cywilizacyjna całych zbiorowości, ubóstwo i degradacja społeczna.

Niewidzialna ręka wolnego rynku, w założeniach jej propagatorów, miała rozwiązać jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość problemów społecznych. Jeśli z przyczyn ekonomicznych zlikwidujemy państwowe szpitale, to w ich miejscu powstaną nowe, prywatne kliniki. Jeśli zlikwidujemy część publicznych placówek oświatowych, to powstaną prywatne college. Zlikwidujemy Państwowe Gospodarstwa Rolne, a w ich miejscu zaczną działać, za sprawą wolnego rynku, prywatne latyfundia.

Mitycznie zbawczym oddziaływaniem wolnego rynku, zaczęto obejmować coraz to nowe dziedziny życia. O znaczeniu rozlicznych instytucji publicznych zaczęła decydować jedynie efektywność ekonomiczna. Rozpoczął się więc proces likwidacji domów kultury, młodzieżowych klubów sportowych nieefektywnych ekonomicznie szkół i szkolnych kół zainteresowań<sup>44</sup>. Trudno dziś oszacować rozmiar negatywnych skutków społecznych, działania „niewidzialnej ręki rynku” w obszarze deprawacji młodzieży, szczególnie w małych miastach, w których wyżej wymienione instytucje spełniały bardzo ważne funkcje wychowawcze i stanowiły o możliwości racjonalnego zagospodarowania czasu wolnego młodych. Likwidacja ponad tysiąca bibliotek i trzynastu tysięcy wiejskich punktów bibliotecznych, to niewątpliwy wkład mitów wolnorynkowych w ustanowienie rozlicznych barier cywilizacyjnych, kulturowych i edukacyjnych<sup>45</sup>.

<sup>43</sup> O skrajności poglądów ruchu libertariańskiego, niech świadczą propozycje dwóch jego najbardziej znanych orędowników - Milтона Friedmana i Murraya Rothbardta. Głoszą oni min.: „koncepte państwa minimalnego”; konieczność całkowitej prywatyzacji służby zdrowia, szkolnictwa, przemysłu, wymiaru sprawiedliwości i armii; dekryminalizację narkomanii, prostytucji, hazardu i pornografii.

<sup>44</sup> W roku 1990 działały w Polsce 20533 szkoły podstawowe. W roku 2001 było ich o cztery tysiące mniej. *Mały Rocznik Statystyczny Polski 2001*, Warszawa 2001, s. 223.

<sup>45</sup> Źródło danych: tamże, s. 254.



Dość zmiennym przejawem mitu „niewidzialnej ręki wolnego rynku” stały się zmiany w semantyce, którą zaczęły posługiwać się, początkowo tylko elity władzy, a która z czasem stała się udziałem nas wszystkich. Z terminu „rozwój społeczno - gospodarczy”, zniknął niepostrzeżenie przymiotnik „społeczny”. Był to ostateczny, symboliczny sposób usankcjonowania nowego mitu. Mitu, którego podstawową cechą stał się, stosując terminologię marksowską, całkowity prymat wartości dodanej nad oczekiwaniami społecznymi, aspiracjami, motywami, działaniami, postawami, potrzebami, a nawet marzeniami Polaków.

„Z całą zatem pewnością - pisze M.S. Szczepański - można przyjąć, iż strategia rozwojowa przyjęta przez rządy postkomunistyczne abstrahuje - w pewnym stopniu - od rzeczywistych zjawisk i procesów zachodzących w kraju (...). Szczególnie ważne są wskaźniki cen, inflacji i recesji, a rolę drugorzędą pełnią mierniki społeczne (indywidualny i zbiorowy optymizm, zadowolenie z warunków egzystencji, poczucie bezpieczeństwa socjalnego, zrealizowane potrzeby afiliacyjne, etc.)”<sup>46</sup>

Bez ogródek, i nie bez cienia goryczy, mówił o tym J. Kuroń: „Nastrój znaczącej części społeczeństwa jest taki: „Wynieśliśmy tę władzę na plecach, a oni nam wykręcili taki numer”. Wykręcili numer, wprowadzając kompletnie utopijną, rynkową, monetarystyczną politykę. I zrobili to przemocą, odgórnie. Wyniósł nas do władzy potężny ruch, w którym myśmy o różne rzeczy nawzajem się pytali, a nie zapytaliśmy, jaką drogą pójdziemy w nowej Polsce. Po prostu żeśmy ją zadekretowali - robimy plan Balcerowicza! Ludzie ledwo żyli, zakłady padały. Oszukaliśmy ich.”

Uzasadnieniem mitu wolnego rynku, liberalizacji handlu i wymiany międzynarodowej, których Polska stała się uczestnikiem w stopniu nieuwzględniającym specyfiki kraju wychodzącego z gospodarki centralnie sterowanej, uczyniono doświadczenia państw wysokorozwiniętych. W myśl zasady: „tym krajom się powiodło”, rozpoczęto rozpowszechniać przekonanie, że wystarczy prosta transkrypcja mechanizmów wolnorynkowych, aby nasze przemiany zakończyły się sukcesem. Problem jednak polega na tym, że wolny rynek n i e i s t n i e j e w świecie rzeczywistym. Większość krajów, w tym wskazywane przez propagatorów liberalizacji procesów transformacji, jako paradygmaty „wolnorynkowości”, stosują daleko posunięty interwencjonizm państwowy, subsydują swoje gospodarki, utrzymują z pieniędzy podatników swoje rolnictwo.

„Problem w tym, - mówi Stephen Byers - że państwa bogate same nie znają liberalizacji, subsydują swoje przedsiębiorstwa i towary, eksportują je do państw biednych. (...) Te zmuszone wcześniej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy lub Bank Światowy do liberalizacji handlu, gwałtownego otwierania własnych rynków na konkurencję są po prostu bez szans. To co same mogłyby wytwarzać, importują od bogaczy uzależniając się od subsydiowanego eksportu państw rozwiniętych.”<sup>47</sup>

Tak zdefiniowana polityka krajów rozwiniętych nie jest dowodem spiskowej teorii dziejów. Pokazuje jedynie, że gospodarka światowa niewiele ma wspólnego z wyidealizowanym paradygmatem wolnego rynku. Liczą się w niej interesy poszczególnych państw, a ideał, mit wolnego rynku jest jedynie elementem tej twardej gry interesów.

Ciekawe, że owo liberalne nawrócenie części polskich elit politycznych ma nieco spóźniony charakter. Guru liberalnego, monetarystycznego sposobu myślenia o roli państwa w procesach gospodarczych, zdążył już nieco zmienić zdanie w podstawowych kwestiach swojej koncepcji. *Traktowanie podaży pieniądza jako naczelnego celu i zasady regulującej*

<sup>46</sup> M.S. Szczepański, *Szkice z socjologii polityki*, cz. 1, Katowice 1993, s. 10.

<sup>47</sup> Wypowiedź pochodzi z wywiadu *Uczciwy minister to były minister*, przeprowadzonego przez Iżę Kosmałą, który ukazał się w tygodniku „NIE” 2003, nr 24 z 12.06. Stephen Byers - poseł Partii Pracy, były sekretarz Przemysłu i Handlu w rządzie Tony'ego Blaira (1998-2002)

decyzje ekonomiczne nie zdało w pełni egzaminu - mówi Milton Friedman. - Nie jestem pewien, czy dzisiaj upierałbym się przy tym poglądzie tak mocno jak kiedyś.<sup>48</sup>

W Financial Times, którego komentatorów trudno posądzić o sprzyjanie resentymentom koncepcji w pełni opiekuńczego państwa, czytamy: „Łagodnie wycofanie się przez niego (M. Friedmana dop. autora) z koncepcji „ilości pieniądza w obiegu jako celu w polityce makroekonomicznej” wywołałoby sensację - i prawdopodobnie zaoszczędziłoby światu wielu zmartwień - gdyby nastąpiło 20 lat wcześniej. Na początku lat 80, zarówno Stany Zjednoczone, jak i W. Brytania ustalały stopy procentowe zgodnie z friedmanowskimi zaleceniami. Celem było obniżenie inflacji bez bólu recesji. Sukces był jednak tylko częściowy. Inflacja spadała, ale olbrzymim kosztem w postaci bezrobocia.”<sup>49</sup>

Mit wolnego rynku miał tę jeszcze zaletę dla jego propagatorów, że uzasadniał ich uprzywilejowaną pozycję w strukturach władzy. Któż bowiem, mógł znać się lepiej na mechanizmach ekonomicznych, niż ludzie nauki, głównie ekonomiści, którzy jako akcjonariusze „wiedzy tajemnej” zaczęli definiować aksjomaty wyznaczające ramy i kierunki przebudowy państwa i społeczeństwa.

Prymat wskaźników ekonomicznych, pominięcie lub wręcz - całkowita deprecjacja wskaźników społecznych procesu przebudowy - musiały doprowadzić do istotnych zakłóceń polskich przemian i stały się jednocześnie podstawowym elementem dalszego procesu mitologizacji rzeczywistości. Wkrótce bowiem, na przełomie 1989 i 1990 roku, „niewidzialna ręka wolnego rynku” dała o sobie znać w obszarze zatrudnienia. Szokowa terapia w wykonaniu „nowej fali” polityków, doprowadziła do pojawienia się nowego zjawiska polskiej rzeczywistości - bezrobocia.

W roku 1990 w urzędach pracy zarejestrowanych było 1.126.000 bezrobotnych, lecz rok później, liczba ta została nieomal podwojona (2.155.000). Trudno dziś jednoznacznie oddzielić to, co było rzeczywistym kosztem koniecznych zmian w gospodarce od tego, co było wynikiem ewidentnych błędów i zaniechań ówczesnych elit politycznych wprowadzających reformy. Była już o tym mowa w poprzednim podrozdziale. Ważne jest, że twierdzenie, jakoby bezrobocie o tak dużej dynamice i wskaźnikach było nieuniknioną ceną przemian, jest właśnie przejawem mitologizacji procesu przebudowy państwa polskiego.

I tak, w pierwszym okresie przemian twierdzić zaczęto, że bezrobocie jest nierozdzielnie związane z gospodarką rynkową, ma charakter nieomal samoistny, zobjektywizowany i uzasadniony historycznie, natomiast paradygmat polityki pełnego zatrudnienia jest jedynie wymysłem elit komunistycznych. Tymczasem, w artykule 1, Europejskiej Karty Społecznej czytamy: „Układające się Strony zobowiązują się: przyjmując, jako jeden z ich zasadniczych celów i obowiązków, osiągnięcie i utrzymanie możliwie najwyższego i stabilnego poziomu zatrudnienia w celu osiągnięcia stanu pełnego zatrudnienia; (...)”<sup>50</sup>

Oczywistym jest, że w żadnym kraju Unii Europejskiej nie udało się doprowadzić do stanu pełnego zatrudnienia. Jednakowoż, przyjęcie powyższego zobowiązania przez kraje członkowskie, definiuje i określa rolę państwa, elit politycznych i filozofię myślenia o bezrobociu, jakże odmienną od tej, która jest udziałem naszego establishmentu politycznego obwieszającego, co jakiś czas, zmierzch keynesizmu.<sup>51</sup>

<sup>48</sup> Fragment wywiadu udzielonego przez M.Friedmana dla „Financial Times”. Przedruk: *Mistrz półnawrócony*, „FORUM” 2003 z 30.06. - 6.07, s. 26-27.

<sup>49</sup> Zob. tamże, s. 26.

<sup>50</sup> *Podstawowe dokumenty Rady Europy z dziedziny polityki społecznej*, red. J.Maciejewska, Warszawa 1997.

<sup>51</sup> Na zagrożenia wynikające z niezrozumienia i ideologizacji bezrobocia przez elity polityczne państw postkomunistycznych wielokrotnie wskazywali eksperci Międzynarodowej Organizacji Pracy. Zob. m.in. *Containing unemployment in Eastern Europe. World Employment 1996/1997*, Genewa 1996.

W procesie mitologizacji bezrobocia posunięto się nawet do nowej, swoistej interpretacji terminu „bezrobocia ukrytego”. Zaczęto bowiem prezentować pogląd, w myśl którego bezrobocie w pierwszym okresie przemian jest w swej istocie j e d y n i e logiczną konsekwencją błędów popełnionych w minionym, peerelowskim systemie. Przerosty zatrudnienia w przemyśle i przeludnienie polskiej wsi, zaczęto określać mianem bezrobocia ukrytego. Była to próba, przerwienia odpowiedzialności za gwałtownie pojawiający się problem społeczny na poprzedników. Dla nowej władzy bez znaczenia była oczywista sprzeczność logiczna zawierająca się w tym terminie<sup>52</sup>.

Ówczesne elity władzy, zupełnie bezradne wobec tzw. pierwszej fali bezrobocia, gorączkowo zaczęły poszukiwać uzasadnienia dla faktycznej katastrofy w obszarze zatrudnienia. Wspomniana próba przerwienia odpowiedzialności za bezrobocie na błędy poprzedniego systemu była niewystarczająca, ponieważ nie była skorelowana z mitem „niewidzialnej ręki rynku”. Powstał bowiem, pewien dość istotny problem. Zbawienny wpływ wolnego rynku, który zdaniem rządzących miał rozwiązać również problem zatrudnienia, nie był obserwowalny. Coraz to bardziej rozwijał się sektor prywatny, trwała prywatyzacja i restrukturyzacja większości gałęzi przemysłu a bezrobocie w dalszym ciągu rosło. Należało więc, znaleźć uzasadnienie dla tego stanu rzeczy. I tak pojawił się kolejny mit - mit h o m o s o v i e t i c u s .

Termin zaczerpnięty z esejów Aleksandra Zinowiewa, okazał się być bardzo pojemnym i niezwykle praktycznym dla usprawiedliwienia nieudolności elit politycznych III Rzeczypospolitej, w obszarze polityki społecznej. Oczywiście jest, że nie zamierzam podejmować polemiki z koncepcją Zinowiewa. Wskazuję jedynie na fakt instrumentalnego, mitologicznego wykorzystania, skądinąd, ciekawej i uznanej koncepcji opisującej spustoszenia umysłów, jakich dokonał system totalitarny w wydaniu radzieckim. Ów instrumentalizm polegał na rozszerzeniu rozumienia i stosowania tego terminu. Wszelkie przejawy artykulacji potrzeby aktywnej roli państwa w procesach przebudowy, zaczęto traktować jako logiczną konsekwencję ukształtowania się w Polsce mentalności homo sovieticus.

Jeśli jakieś, dowolne grupy społeczno - zawodowe, domagały się jakkolwiek rozumianego interwencjonizmu państwa, to wówczas narażały się na sformułowanie pod ich adresem, brzmiącego jak epitet stwierdzenia, że ich żądania są egzemplikacją myślenia ludzi zniewolonych, nie potrafiących odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ludzi niesamodzielnych - wręcz niedostosowanych społecznie.

Pierwsza, zbiorowa ofiara nowego porządku społecznego - pracownicy PGR - stali się nieomal paradygmatem, do którego politycy pierwszych rządów III Rzeczypospolitej odwoływali się, wskazując przejawy homo sovieticus.

Doktrynalna likwidacja całego sektora zatrudnienia, spowodowała eksplozję problemów społecznych dotyczących nie tylko zwolnionych z dnia na dzień pracowników PGR-ów, ale również przyczyniła się do tworzenia obszarów marginalizacji społecznej, która stała się udziałem wielu społeczności lokalnych, w których zlokalizowana była quasi przemysłowa infrastruktura obsługująca ten sektor. Postępująca pauperyzacja ekonomiczna tych społeczności, zapoczątkowała fale bankructw w sektorze usług, głównie w

<sup>52</sup> Większość definicji bezrobocia (rejestrowanego i nie rejestrowanego) jako podstawowy warunek uznania osoby za bezrobotną, przyjmuje fakt nieposiadania pracy (w pełnym bądź niepełnym wymiarze czasu pracy). Jeśli zatem, w ramach przerostów zatrudnienia w przemyśle w okresie PRL, robotnik zatrudniony w przedsiębiorstwie państwowym na pełnym etacie otrzymywał wynagrodzenie, świadczenia socjalne, wykonywał obowiązki przypisane do jego stanowiska pracy, to analiza logiczna terminu „bezrobocie ukryte” i definicji bezrobocia, musi nas doprowadzić do wniosku, że ów robotnik nie wiedział, że w istocie nie posiada pracy. Co więcej, stosując definicje bezrobocia rejestrowanego w Polsce, należy uznać, że robotnik ten nie wiedział, że jest zdolny i skłonny „do podjęcia pracy w wymiarze co najmniej 1/2 tygodniowego czasu pracy”.

województwach zachodniej i północnej Polski, w których, jak na przykład w dawnym woj. koszalińskim, sektor państwowy rolnictwa stanowił blisko czterdzieści pięć procent całej struktury zatrudnienia. Należało wskazać winnego tego stanu rzeczy. Wolny rynek i propagujący go politycy, nie nadawali się z oczywistych względów do tej roli. Trudno było też, powołać się na jakiegokolwiek analogie, ponieważ tylko polskie elity władzy zdecydowały się na likwidację tego sektora zatrudnienia<sup>53</sup>. Dlatego też, winnym wszystkich negatywnych skutków decyzji polityków stał się „pepgerowski” homo sovieticus.

Zaczęto kreować zmitologizowany wizerunek byłego pracownika rolnego, jak nazwano dawnych pracowników PGR. Mało mobilny, niezaradny, niedostosowany, zdemoralizowany społecznie, wyciągający rękę po pomoc, a nade wszystko, nie posiadający żadnych kwalifikacji i wykształcenia. W sukurs tym zabiegom przyszyły media. Negatywny stereotyp ludzi, którzy w sposób niezawiniony zostali wyrzuceni poza nawias życia społecznego, utrwalały rozliczne reportaże, których apogeum stanowiła emisja tzw. dokumentu pt. „Arizona”<sup>54</sup>. W tym wypadku, mit spełnił swoją rolę.

W obszarze zatrudnienia, homo sovieticus oznaczał, w rozumieniu ówczesnych elit politycznych, artykulację żądań zapewnienia przez państwo możliwości skutecznego poszukiwania pracy, która spełniałaby oczekiwania bezrobotnych w zakresie warunków pracy i płacy. Jeśli zatem, bezrobotni nie godzili się na podejmowanie każdej pracy, nawet tej, która nie spełniała elementarnych wymogów przyjętych w krajach cywilizowanych, to wówczas stanowiło to dla decydentów podstawę formułowania tezy, w myśl której bezrobotni sami ponoszą odpowiedzialność za sytuację w jakiej się znaleźli. Odmianą kariery robiło słowo klucz - r o s z c z e n i o w o ś ć.

Roszczeniowość, jako pokłosie mentalności postkomunistycznej, była nieuzasadniona, szkodliwa, nienowoczesna. Oczekiwanie godziwej płacy, ludzkich warunków pracy, podmiotowego traktowania, uwzględnienia potrzeby względnego bezpieczeństwa socjalnego, były - w rozumieniu neoliberalnych polityków - przejawem patologicznych następstw życia Polaków w systemie totalitarnym. Pod wpływem tego uproszczonego sposobu postrzegania przeobrażeń świadomościowych, doszło do ukształtowania się rozlicznych stereotypów, które w swej istocie, służyć miały uzasadnianiu i usprawiedliwianiu dysfunkcji państwa w obszarze polityki społecznej.

Uwidoczniło się to m.in. w dychotomicznym sposobie postrzegania bezrobotnych. Do społecznej świadomości zaczął się wdzierać, głównie za sprawą polityków i tzw. ekspertów, nieprawdziwy, uproszczony i krzywdzący obraz ludzi pozbawionych pracy. Jego cechą charakterystyczną stała się dychotomiczność i nieuprawniony aksjologizm. Bezrobotnych zaczęto dzielić na „dobrych” i „złych”. Pierwszą kategorię stanowią ci spośród pozbawionych pracy, którzy przyjmują każdą ofertę niezgłaszając żadnych oczekiwań wobec pracy. Drugą, ci bezrobotni, którzy pozwalają sobie na artykulację jakichkolwiek oczekiwań wobec pracy.<sup>55</sup>

Mit homo sovieticus był nie tylko wykorzystywany do usprawiedliwienia błędów kolejnych ekip rządzących. Stał się również mechanizmem sankcjonującym, nieczym nie popartą supremacją wąskiej grupy establishmentu władzy i przedstawicieli tzw. elity gospodarczej, supremacji połączonej z pauperyzacją ekonomiczną i degradacją społeczną

<sup>53</sup> W żadnym innym, z krajów wychodzących z systemu gospodarki centralnej, nie zlikwidowano rolnictwa państwowego. Nawet zamożna RFN, po przyłączeniu landów wschodnich, rozpoczęła jedynie proces ich restrukturyzacji. Podobnie jak w Czechach, zaczęto tworzyć w oparciu o państwowe gospodarstwa, spółdzielnie rolnicze oraz grupy plantatorów i producentów rolnych.

<sup>54</sup> O sile stereotypów i konsekwencjach mitologicznego postrzegania problemów społecznych, przekonałem się wielokrotnie podczas licznych konferencji poświęconych bezrobociu, w których brałem udział. Podczas jednej z nich, zorganizowanej m.in. przez MPiPS, usłyszałem z ust dyrektora pewnego WUP: „Panie doktorze, cóż można zrobić z byłymi pepgerowcami? Przecież to odpady ludzkie”.

<sup>55</sup> Uzasadnienie tego zjawiska, czytelnik odnajdzie w: W. Urbanik, *Bezrobocie...*, op. cit.



całych, znaczących liczebnie grup społeczno - zawodowych. Okazało się bowiem, że jedynie ludzie władzy i część związanych z nimi przedsiębiorców, są głównymi beneficjentami przemian. Natomiast rolnicy i robotnicy, sfera budżetowa, drobni przedsiębiorcy, bezrobotni, to ci, którzy ponieśli największe ofiary procesu tzw. transformacji. Doprowadziło to do dramatycznej dyferencjacji struktury społecznej, która charakteryzuje się faktyczną polaryzacją, skutkującą brakiem, lub jak kto woli, degradacją klasy średniej.

Mit *homo sovieticus*, niczym element kalwińskiej nauki o predestynacji, uzasadniał i sankcjonował biedę, ubóstwo, skrajną nędzę części naszego społeczeństwa. Wykluczeni, wyobcowani, osamotnieni w swym poczuciu klęski życiowej, wyrzuceni poza nawias życia społecznego, powinni czuć się odpowiedzialni za swoje położenie. Ich sytuacja była, zdaniem ówczesnych elit politycznych, wynikiem ich niedostosowania. Byli skazani na nędzę przez swą „niezaradność” i brak „umiejętności adaptacji” do nowej rzeczywistości. Wymagano od ludzi, których udziałem były dramaty i tragedie życiowe, nie tylko pogodzenia się z tym faktem, ale również poczucia winy.

Z drugiej strony, wskazywano przykłady ludzi sukcesu jako tych, którzy odrzucając roszczeniowość, wzięli „swoje sprawy we własne ręce”. To nic, że spora część „topowej” listy przedsiębiorców np. tygodnika „Wprost”, wkrótce po spektakularnych sukcesach stawała się pensjonariuszami gmachu przy ul. Rakowieckiej. To nic, że wielkie fortuny powstawały w cieniu wielkich afer. Polska, zdaniem pierwszych ekip rządzących III Rzeczpospolitą, potrzebowała - by zacytować Marksa - pierwotnej akumulacji kapitału. Politycy, niczym w reklamie piwa bezalkoholowego, mrugali do społeczeństwa mówiąc, że „nawet Rockefeller przyznał się do kradzieży pierwszego miliona”. Słynna już maksyma: „to co nie jest zabronione, jest dozwolone”, otworzyła drogę do karier tym, którzy posiadli umiejętność wykorzystywania luk prawnych młodej, niedoświadczonej demokracji. Oni byli przedsiębiorcy. Nie czekali na garnuszek państwa. Oni go sobie sami wzięli.<sup>56</sup>

Nie mam zamiaru twierdzić, że patologie procesu kształtowania się sektora prywatnego są powszechne i dotyczą większości polskich przedsiębiorców. Nie to zresztą jest tematem tej części pracy. Wskazuję jedynie przejawy działań elit politycznych, które niejako wzmacniały kształtowanie się mitów III Rzeczpospolitej. Przeciwwstawienie wizerunku człowieka sukcesu mitowi *homo sovieticus* do takich działań należy.

Wraz z pojawieniem się nowych elit politycznych III Rzeczpospolitej - LPR i Samoobrona - do życia politycznego, początkowo z wolna, przedostają się nowe mity, których cele są zgoła innego rodzaju i proveniencji niż te, których źródłem były elity lat dziewięćdziesiątych. Bowiem nie jest to sankcjonowanie czy legitymizacja nowego porządku społecznego, a wręcz przeciwnie - jego kwestionowanie.

Jakkolwiek by to nie brzmiało irracjonalnie, mity nowego aktorów sceny politycznej, sprowadzają się do wspólnego mianownika: *mit spisku Okrągłego Stołu*. Oto bowiem, dowiadujemy się, że większość negatywnych skutków przebudowy Polski po roku 1989, jest *par excellence*, wynikiem zмовy, spisku, zdrady, kontraktu zawartego przez Solidarność z elitą władzy PRL. Co więcej, porządek społeczny III Rzeczpospolitej, został - zdaniem propagatorów owego mitu - zdefiniowany przy Okrągłym Stole. Miał gwarantować m.in. uwłaszczenie nomenklatury PRL oraz zaniechanie dekomunizacji i lustracji. Depozytariuszami owego porozumienia są w mniejszym lub większym stopniu, elity

<sup>56</sup> Mimo niewątpliwych patologii procesu kształtowania się elity gospodarczej, pozytywnym zjawiskiem procesu przebudowy jest uwolnienie ogromnych pokładów aktywności Polaków. Powstało ponad 2,5 mln małych i średnich firm. Blisko 80% ogółu struktury zatrudnienia przypada na sektor prywatny.



postsolidarnościowe i postkomunistyczne. Nad prawidłowością realizacji umowy czuwają zaś polskie (w zmodyfikowanych wersjach mitu, również obce) służby specjalne<sup>57</sup>

Jednym z efektów spisku są, zdaniem części polityków, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość afer gospodarczych Polski. Jedynie dotychczasowa zмова milczenia depozytariuszy „układu” oraz działania spekulacji, nie pozwalały na ich wyjaśnienie.

Jeśli zatem, uczestnicy obrad Okrągłego Stołu brali udział w owych knowaniach, to oczywistym są personalne ataki na nich.

„(...) Przecież to Solidarność apelowała, to Wałęsa apelował, że musimy się wziąć teraz do pracy, jest szansa na to żeby sytuacja naszych rodzin się zmieniła i te same słowa wracają: „nasze dzieci, nasze wnuki na to czekają żebyśmy my wykorzystali tą historyczną szansę”. Usiadł do „okrągłego stołu”. Z kim usiadł? Nad tym trzeba się zastanowić. Z ludźmi, którzy w 1944 roku już to mówili nam to, dawali tą nadzieję. On usiadł z nimi do stołu i nastąpił podział (...)” - mówi Andrzej Lepper<sup>58</sup>.

I dalej:

„(...)Dochodzi do władzy Mazowiecki i przyjmują zasadę: wasz prezydent nasz premier. Wybierają Jaruzelskiego jednym głosem, jak wiemy tylko i wyłącznie też poprzez różne układy tam zrobione, że ktoś tam raz zagłosował a później się tłumaczył. Naród czeka, że poprzedni system się rozliczy a Mazowiecki mówi: gruba krecha. To wszystko ustalili sobie nie przy „okrągłym stole” tylko w Magdalence (...)”

Spisek sięga dalej niż nam wydać by się mogło:

„(...)KOR powstał na zachodzie za dolary amerykańskie, za marki niemieckie, franki francuskie itd (...) „Solidarność” też nie powstała w Polsce, niech nikt nie myśli, że „Solidarność” powstała w Polsce (...)”

I wreszcie dochodzimy do meritum:

„(...)Trzeba było znaleźć człowieka podatnego na ich zamiar, (czytaj: sił Zachodu - przypis autora) ich wizję przyszłej Europy Środkowo-Wschodniej, marionetkę po prostu, marionetkę która zachłyśnie się jakimś błyskotkami, no i znaleziono Wałęsę (...)”

Do tego wystarczy dodać Balcerowicza i mamy gotową teorię Wielkiego Spisku. Spiskowców jest bez liku - Zachód, służby specjalne PRL, służby specjalne Zachodu, rodzimi komuniści, rodzima opozycja z Wałęsą na czele, Solidarność, doradcy Solidarności z Balcerowiczem na czele, TW Służby Bezpieczeństwa... - tylko trochę, jakby, logiki brakuje. Czy jednak, aby na pewno?

Pozornie, wydaje się być alogiczną, lista „spiskowców” (w skrajnej wersji: zdrajców). Jednak z punktu widzenia celów kreacji mitu, taki dobór podmiotów zdrady, jest jak najbardziej logiczny, i co ważniejsze, skuteczny. Dziesiątki lat temu można było krzyknąć: „bij Żyda” i była to wystarczająca socjotechnika oparta na strachu i wskazaniu wspólnego wroga odpowiedzialnego za niepowodzenia innych. Dzisiaj trochę nie wypada, a i Żydów trochę u nas mało. Stąd też, należy wskazać wystarczająco pojemny agregat „onych”, aby skanalizować spory ładunek frustracji społecznych, przy jednoczesnym uwzględnieniu maksymalnie szerokiego rezerwuaru fobii, antypatii, niewiedzy, nienawiści i zwykłej głupoty, również. Tutaj każdy nieomal znajdzie coś dla siebie.

Pewien problem mają ci politycy, którzy negocjując Okrągły Stół, sami przy nim zasiadali. Lecz i tu znajdzie się sposób - Magdalenka, służby specjalne i „żelazna elita”. Ci, którzy byli przy Okrągłym Stole, którzy jednakowoż go kwestionują, zostali po prostu oszukani.

<sup>57</sup> Gwoździ jasności, należy dodać, że nieco mniej dramatycznie odmiany mitu spisku Okrągłego Stołu towarzyszą nam od początku lat dziewięćdziesiątych. Dobrym tego przykładem są przesłanki, na których liderzy PiS opierają postulat tworzenia IV Rzeczypospolitej. Stanowią one transkrypcję poglądów braci Kaczyńskich z czasów PC.

<sup>58</sup> Fragmenty wywiadu: patrz s. 148-165.

Przez kogo? Przez ten sam zestaw „Onych”, który lansuje Samoobrona i LPR, wzbogacony nieco o wszystkich tych, dla których potencjalne rumowisko III Rzeczypospolitej nie jest warte amorficznego gmachu Czwartej.

Mit spisku Okrągłego Stołu, poprzez wskazanie pojemnej i dającej się, nieustannie rozszerzać listy jego uczestników (czytaj: odpowiedzialnych za problemy współczesnej Polski), jest niezwykle skutecznym sposobem „modyfikacji” rzeczywistości społecznej. Jest też, elementem perswazji ukierunkowanej na afirmację potrzeby znaczących zmian funkcjonowania państwa. Jest osią odniesienia dla działań podejmowanych przez obecną elitę władzy. **Jest elementem legitymizacji budowy IV Rzeczypospolitej.** Problem polega jedynie na tym, że jak każdy mit, jest uproszczoną, strywalizowaną, nieadekwatną wizją rzeczywistości. Jest w swej istocie, elementem manipulacji społecznej, której potrzeba pojawia się ze szczególną ostrością w chwili dokonywania, lub dokonywania się, przełomu w dotychczasowym sposobie organizacji porządku społecznego.

Jaką rolę w procesie przebudowy po roku 1989 spełniły mity III Rzeczypospolitej? Przytoczone przykłady nieprawdziwego, uproszczonego i nieadekwatnego sposobu postrzegania i prezentowania rzeczywistości łączy przede wszystkim to, że ich źródłem są elity polityczne. Mity spełniają niejako **funkcję pomocniczą** w realizacji, często niespójnych i eklektycznych, koncepcji rozwojowych. Politycy, zaskakiwani zjawiskami i procesami, których z braku kompetencji, nie potrafią prognozować, posługują się mitem, który ma na celu usankcjonowanie tych zjawisk i jednocześnie usprawiedliwić brak działania z ich strony lub ukryć ich często ewidentny brak przygotowania do sprawowania władzy.<sup>59</sup>

Mit restauracji, podobnie jak mit wolnego rynku i homo sovieticus, miał doraźny charakter. Wydaje się, że politycy „pierwszej solidarności” zaskoczeni pojawieniem się rozlicznych problemów społecznych, upatrywali w ich symbolice, sposobu na utrzymanie afirmacji społecznej dla procesów przebudowy państwa. Tym bardziej, że koszty społeczne transformacji rosły, a efekty działań elity władzy były często nieadekwatne do ich wysokości.

**Mity III Rzeczypospolitej były także elementem legitymizacji i afirmacji nowego porządku społecznego i roli swej w tym względzie nie spełniły do końca.** Co więcej, ich niewiarygodność, ich swoisty protekcyjnalizm wobec sporej części „niedostosowanego” społeczeństwa, doprowadziły do zakwestionowania R Z E C Z Y W I S T O Ś C I, którą miały opisywać.

Myśląc o elitach politycznych III RP, w kontekście wykorzystania przez nie mitów jako formy uprawiania polityki, przypominają się słowa, które podobno wypowiedział Katon do Pompejusza, gdy ten zarządził odwrót z Rzymu na wieść o zbliżających się kohortach 10 Legionu Juliusza Cezara i twierdził, że jest to sukces taktyczny. Katon miał powiedzieć: „Zatem nie jest to sromotna klęska, lecz wyjątkowej maści zwycięstwo?”. Można bowiem powiedzieć, że elity polityczne III Rzeczypospolitej, poprzez zbędną mitologizację rzeczywistości, doprowadziły do pojawienia się silnej **potrzeby „antymitu”**, który nie musi być jednakowoż prawdą, na co wskazywałaby logika, a wystarczy jedynie, że jest „mitem opozycyjnym”, mitem negacji, mitem walki z porządkiem społecznym III RP i z jej twórcami. Taką rolę spełnia, w mojej ocenie, mit spisku Okrągłego Stołu.

<sup>59</sup> W grudniu 2001 roku, jak zwykle w czwartek, oglądałem Tygodnik Polityczny Jedyńki. Tematyka programu - bezrobocie. Jeden z uczestników programu (poseł SLD) stwierdza, że jednym ze sposobów ograniczenia bezrobocia jest „funkcjonalna relacja pomiędzy płacą minimalną a wysokością zasiłku”. Ze strony redaktora prowadzącego dyskusję pada pytanie: „Ile wynosi obecnie zasiłek dla bezrobotnych?” Zapada w studio żenująca cisza. Nikt z gości programu - grono prominentnych parlamentarzystów - ekspertów (litościwie pomijając nazwiska), przedstawiciel Kancelarii Prezydenta RP (też ekspert), Minister Pracy i Polityki Socjalnej - nie znalazł odpowiedzi na postawione pytanie.

To właśnie, co odróżnia mit Wielkiego Spisku od mitów III Rzeczypospolitej, to fakt, że jest on mitem walki, pozwalającym nie tylko kwestionować dotychczasowy porządek społeczny, nie tylko legitymizować potrzebę zmian, lecz także walczyć, niszczyć i obalać autorytety „uwikłane” w zmiany będące następstwem Okrągłego Stołu.

Można, dzięki niemu, marginalizować ikonę polskich przemian, Lecha Wałęsę. Można niszczyć wiarygodność i wizerunek takich postaci jak Jacek Kuroń czy Adam Michnik. Można...w zasadzie wszystko. Należy jednak pamiętać, że tak jak mitologizacja rzeczywistości III RP dała niejako asumpt do jej negacji, tak i mity leżące u podstaw IV RP, mogą stać się powodem jej zakwestionowania.

Zawsze bowiem, można stworzyć, można odwołać się do bardziej nośnego społecznie zmitologizowanego obrazu rzeczywistości. Mit tym różni się od prawdy, że można go kreować. Tej drugiej, nie. Ona istnieje obiektywnie.

### 3. Dramatyzacja elit politycznych

Z pewnością termin dramatyzacja, choć jakkolwiek nie związany jedynie ze sferą polityki i niezbyt często stosowany w analizach socjologicznych, wydaje się być w polskich realiach bardzo adekwatny do opisanego sposobu uprawiania polityki. Dramatyzować, oznacza „nadawać czemuś cechy nieszczęścia, cechy bardziej wstrząsającej niż to coś w istocie ma”<sup>60</sup>. Tyle słownikowa definicja omawianego terminu. Może on opisywać działania jednostkowe, ale także grupowe. Może dotyczyć różnorodnych sfer zachowań jednostek i całych zbiorowości. Logika wskazuje, że w zjawisku dramatyzacji musi występować jej podmiot i przedmiot, które owej dramatyzacji podlegają. Każdy dramaturgiczny przekaz posiada nadawcę i adresata.

Cóż zatem rozumiem pod pojęciem dramatyzacji elit politycznych i co jest jej przedmiotem? Czy można mówić o pojawieniu się ogólniejszej tendencji, przejawiającej się w stosowaniu przez polską klasę polityczną działań, które poprzez „wzmacnianie” lęków, obaw i fobii społecznych, mają na celu osiągnięcie korzyści politycznych?

Dramatyzacja elit politycznych III Rzeczypospolitej jest, jak sędzę, zjawiskiem wynikającym zarówno z ideologicznego i programowego zubożenia partii politycznych, jak i nadmiernej koncentracji działań zmierzających do utrzymania tzw. własnego elektoratu w myśl zasady: „nasi wyborcy tego nie zaakceptują”, lub działań wrogiego przejęcia: „to pozwoli nam przejąć ich elektorat”.

Polska prawica, podobnie jak i lewica, nie posiadając rzeczywistej tożsamości ideowej,<sup>61</sup> próbuje budować jej zręby w oparciu o jedynie zwerbalizowane programy, które w przeważającej mierze są bardziej wyborcze niż polityczne. To, co charakteryzuje owe programy, to ich koniunkturalizm oraz nadmierna ekonomizacja. Korcentrują się one na zdobyciu maksymalnego poparcia wyborczego lub na kształtowaniu optymalnie marketingowego wizerunku partii. Dochodzi do tego relatywnie nowe zjawisko, **legitymizacji sondażowej** partii znajdujących się u władzy.

Wszystkie siły polityczne w Polsce śledzą, z uporem godnym lepszej sprawy, sondaże rozlicznych pracowni badań społecznych i na tej, dość wątpliej podstawie, opierają coraz częściej swoje działania. Żądanie przez opozycję dymisji rządu z powodu jego niskich notowań i nawoływanie do przedterminowych wyborów parlamentarnych są najlepszymi przykładami zjawiska *legitymizacji sondażowej*. W oparciu o wyniki badań, część polityków formułuje tezy dotyczące wygaśnięcia mandatu wyborczego Rządu, Premiera, Ministrów, a

<sup>60</sup> A. Markowski, R. Pawelec, *Słownik wyrazów obcych i trudnych*, Warszawa 2001, s. 194.

<sup>61</sup> Por. m.in. W. Wesołowski, *Partie...*, op. cit.; G. Rydlewski, *Rządzenie koalicyjne w Polsce*, Warszawa 2000.

nawet Parlamentu. Tego typu argumentacja odnoszona była zarówno do rządu Jerzego Buzka, jak i do gabinetu Leszka Millera. Twierdzenia, jakoby „rząd mógł utracić mandat rządu” z powodu takich a nie innych wyników sondaży i powinien z tego powodu podać się do dymisji, jest w swej istocie kwestionowaniem procedur oraz podstawowych zasad demokratycznego wyboru i legitymizacji wszystkich organów władzy ustawodawczej i wykonawczej. Wysuwanie tego typu argumentów, pośrednio dezawuuje porządek konstytucyjny w Polsce.

Zadaniem sondaży nie jest wyłanianie organów państwa lecz, w najlepszym razie, są one formą komunikacji społecznej obywateli z władzą. Mogą być pewnym wskazaniem dla rządzących w zakresie społecznej akceptacji, bądź jej braku, dla realizowanych przez nich, kierunków polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Poddawanie w wątpliwość uprawnień rządu do wykonywania swoich konstytucyjnych obowiązków z powodu, być może czasowego spadku poparcia, jest działaniem relatywizującym i ośmieszającym demokrację jako formę organizacji państwa i społeczeństwa. Można bowiem przyjąć, rozszerzając zakres owej „legitymizacji sondażowej”, że opozycja domagająca się ustąpienia rządu z powodu słabnącego poparcia, powinna również weryfikować swoją ilość mandatów w sejmie, posilując się wynikami badań opinii społecznej. Jest to oczywisty nonsens. Jednakowoż, rozpowszechnianie, przez niektórych polityków przekonania, że wyniki jakichkolwiek badań społecznych mają cokolwiek wspólnego z mandatem wyborczym, powoduje w odbiorze społecznym powstawanie wrażenia relatywizmu procedur demokratycznych, głównie w zakresie demokratycznej legitymizacji władzy.

Skoro, demokratycznie wybrany rząd czy parlament, można odwołać na podstawie sondaży, to każda argumentacja za lub przeciw danej instytucji państwa, jawi się jako uzasadniona. Oczywiście jest, że ocena instytucji państwa demokratycznego, odwołująca się do opinii publicznej jest niezbędna w ramach społeczeństwa otwartego. Jednak, poddawanie w wątpliwość ich uprawnień w zakresie wypełniania konstytucyjnych obowiązków na podstawie badań, jest w swej istocie osłabianiem znaczenia instytucji demokratycznego wyboru.

Omawiane zjawisko dotyczy nie tylko najważniejszych instytucji państwa, ale w zasadzie wszystkich instytucji, które w danym momencie są przedmiotem zainteresowania opinii publicznej.

Ogromnie destruktywną rolę w omawianym względzie spełniają niektóre media, epatujące swych odbiorców wynikami najrozmaitszych sondaży. Nie chodzi tu o samą prezentację wyników badań opinii społecznej, lecz o komentarze, którymi są one opatrzone. Najczęściej, prezentacje sondaży, a przede wszystkim ich komentarze, posiadają - z punktu widzenia standardów eksplanacji naukowej i wymogów jej obiektywizmu - charakter niczym nie uprawomocnionej ekstrapolacji. Są bowiem fragmentaryczne, nie uwzględniają kontekstu kształtowania się postaw i opinii, posiadają jedynie „walor” socjograficzny, a nade wszystko - służą zwiększeniu tzw. oglądalności lub poczytności mediów, w których są przedstawiane. I tak, dowiadujemy się na przykład, że Rada Radiofonii i Telewizji, jest postrzegana jako instytucja niewiarygodna, nadmiernie upolityczniona i niekompetentna. Stanowi to podstawę wniosku o kryzysie tej instytucji lub wręcz, o patologii jej działania. Tymczasem, gdyby zadano sobie trud rzeczywistej analizy wyjaśniającej, to należałoby zweryfikować podstawowy zasób wiedzy społeczeństwa o ocenianej instytucji. Jeśli zadalibyśmy badanym pytanie o skład Rady, jej zakres kompetencyjny, sposób powoływania lub ostatnie podjęte przez nią decyzje, to wówczas okazać by się mogło, że opinia społeczna w tym względzie może być warunkowana pozamerytorycznymi przesłankami. **Natomiast, ocena kompetencyjności Rady jest niekompetentna, bowiem wynika z braku elementarnej wiedzy dotyczącej jej funkcjonowania.**



Z tego typu „walorem” badań opinii, zetknąłem się wielokrotnie podczas realizacji różnorodnych projektów badawczych. W jednym z pomiarów, poprosiłem badanych o ocenę dotychczasowej działalności wojewody zachodniopomorskiego. Była ona druzgocąca. Ponad sześćdziesiąt procent badanych stwierdziło, że „wojewoda wykonuje bardzo źle” swoje obowiązki. Blisko czterdzieści procent respondentów było zdania, że „wojewoda nie zrobił nic dla rozwoju regionu”. Jednocześnie, trzydzieści procent badanych nie potrafiło wskazać nazwiska urzędującego wojewody, natomiast ponad połowa respondentów nie dostrzegła żadnej różnicy kompetencji i zadań pomiędzy urzędem marszałka województwa i wojewody.

W innym z sondaży, tworząc listę rankingową polityków startujących w wyborach parlamentarnych, umieściłem na niej nazwisko fikcyjnego kandydata - Kazimierza Wiśniewskiego. Okazało się, że może liczyć na poparcie około czterech procent wyborców.

Wszystkie te przykłady dowodzą, że znaczenie sondaży i ich adekwatność, posiadają ograniczony charakter. Oczywiście, nie należy deprecjonować ich roli, lecz należy zawsze mieć na względzie ich, zaledwie, wskaźnikowy wymiar. Natomiast, absolutnie niedopuszczalnym jest, moim zdaniem, fragmentaryczne, wyrwane z kontekstu i pozbawione pogłębionej analizy, prezentowanie wyników badań sondażowych, które mają stanowić uzasadnienie do konstruowania daleko idących, uproszczonych i strywializowanych wniosków, szczególnie w zakresie legitymizacji konstytucyjnych organów państwa.

**Mechanizm legitymizacji sondażowej został rozszerzony nawet poza zakres walki z aktualną, w danym momencie, elitą władzy.** Jest on bowiem wykorzystywany (i to nie tylko przez polityków) do oceny aktualnych, proponowanych rozwiązań konstytucyjnych. W sytuacji swoistego pata politycznego, w którym znalazł się obecny Sejm, propozycje przedterminowych wyborów parlamentarnych są oceniane przez pryzmat aktualnych sondaży, tak, jakby sondaże przesądzały rzeczywisty wynik wyborczy, tak, jakby nie miała znaczenia kampania wyborcza, tak, jakby zachowania wyborcze Polaków dały się w precyzyjny sposób prognozować...

Pojawia się pytanie, stawiane przez dziennikarzy: „Czy te wybory mają szansę coś zmienić, jeśli sondaże pokazują...” I właśnie wtedy rzesze socjologów, politologów i innych komentatorów, tworzą tak wyabstrahowane „konstelacje” polityczne „nowego”, wirtualnego Sejmu, że przeciętnemu wyborcy pozostaje tkwić w przekonaniu, że jakkolwiek zmiana, zmiana na lepsze, jest po prostu niemożliwa. Wszystkie te „wizje” oparte są na wątyłych, sondażowych przesłankach. Stanowią argument za lub przeciw zmianie. Czynią ją, często, niemożliwą ze względu na kreację opinii społecznej, kreację, która poza wynikiem sondażu, ma jeszcze tylko jedno źródło - „wyobraźnię eksperta”. Zatem skutkiem społecznym odwoływania się, ponad miarę, do sondaży opinii społecznej, skutkiem legitymizacji sondażowej, jest nie tylko relatywizacja zasad konstytucyjnych państwa, lecz także taka kreacja opinii społecznej, która powoduje wrażenie determinizmu i swoistego „zniewolenia” obywatela, wobec „opisywanej” przez sondaże, rzeczywistości społecznej. Może być, jak sądzę, przyczyną frustracji i zaniechania aktywności obywatelskiej. Cokolwiek bowiem myślimy, jakkolwiek mamy wyobrażenia o rzeczywistości, na kogo chcemy głosować lub nie, jakkolwiek jest nasze i n d y w i d u a l n e zdanie, to i tak polityk, ekspert lub dziennikarz, powie nam cytując sondaż, jak bardzo „nasz świat” różni się od „rzeczywistego”. Czasem nas to zawstydzi. Czasem każe nam to zmienić zdanie. Czasem onieśmieli, lecz prawie zawsze - zmanipuluje. Ileż to razy, przyjmujemy wynik sondażu jako nasze przekonanie? Ileż to razy, głosujemy na partię X tylko dlatego, że sondaż „pokazał” nam, iż „nasze” ugrupowanie Y nie ma szans na wejście do parlamentu? Czy pójdziemy do wyborów, jeśli sondaż poparty „eksperskim komentarzem” „pokazał” nam, że te wybory nic nie zmienią?

Większość partii, koncentrując się na bieżących problemach, głównie gospodarczych i nie posiadając identyfikacji ideologicznej, tracą swoją odrębność. Wszystkie chcą zwalczać bezrobocie (na ogół w ten sam, nieskuteczny sposób), tworzyć nowe miejsca pracy, pobudzać gospodarkę, budować mieszkania, poprawiać bezpieczeństwo, dbać o najuboższych, itd. Przy braku tożsamości ideologicznej, braku odwołań do zróżnicowanych systemów wartości, zanikają różnice pomiędzy partiami i politykami, dlatego też poszukują oni innych sposobów na budowanie swej identyfikacji społecznej.

Staje się nim bardzo często dramatyzacja - nie uprawomocnione niczym epatowanie społeczeństwa bądź to stanem polskich przemian, bądź też konsekwencjami decyzji przeciwników politycznych lub następstwami „błędnych” decyzji wyborców. Nie jest to oczywiście jedyny sposób kształtowania różnicujących partie wizerunków, lecz jak sądzę, stanowi podstawowe instrumentarium poszukiwania odrębności i jest w istocie substytutem różnic wartości, ideałów, wizji kierunków polskich przemian. Rzecz by można, że z triady elementów składowych ideologii (ocena zastanej rzeczywistości, wizja przyszłości, dyrektywy praktyczne)<sup>62</sup>, polskie elity polityczne najlepiej (jedynie?) opanowały pierwszy z nich. Nie jest to oczywiście obiektywna ocena rzeczywistości, bowiem w sposób świadomy wyolbrzymia się błędy poprzedników sprawujących władzę lub aktualnie rządzącej ekipy.

Bardzo dobrym tego przykładem był program społeczno - gospodarczy Polskiego Stronnictwa Ludowego z kwietnia 2001 roku<sup>63</sup>. Rozpoczynający go punkt pierwszy, zatytułowany: „Skutki gospodarcze rządów koalicji AWS-UW”. Notabene, tytuł nie zawiera przymiotnika „społeczne”, co wydaje się być kolejnym przejawem opisanej we wcześniejszym rozdziale tendencji nadmiernej ekonomizacji i mitologizacji rzeczywistości społecznej. Obok totalnej krytyki rządów AWS-UW, czytamy m.in. „*Skrajnie liberalna polityka gospodarcza rządu, przepojona pseudo reformatorską demagogią, doprowadziła kraj do pogorszenia perspektyw rozwoju gospodarczego, do dużego wzrostu zadłużenia zagranicznego kraju, do znacznej utraty suwerenności gospodarczej, do zmniejszenia szans poprawy warunków życia ludzi pracy najemnej, rolników, emerytów i rencistów. Proces ten jest niebezpieczny, gdyż dotyczy także ludzi młodych i wykształconych. Polityka ta stworzyła natomiast z naszego kraju enklawę umożliwiającą gromadzenie wielkich fortun i bogactwa, będącego udziałem nielicznych*”<sup>64</sup>.

Jedynie, wyżej zacytowany, niewielki fragment programu PSL, może stanowić podstawę nakreślenia dramaturgicznego obrazu rzeczywistości, obrazu będącego wynikiem rządów poprzedniej koalicji. Dowiadujemy się, że rząd J. Buzka prowadził „skrajnie liberalną politykę gospodarczą”, która była „pseudo reformatorską demagogią”. Było to przyczyną znacznego pogorszenia sytuacji polskiej gospodarki, do utraty suwerenności włącznie. Kto na tym stracił? Ludzie pracy najemnej, rolnicy, emeryci i renciści. Jakże to miało skutki w wymiarze podziałów społecznych? Zdaniem autorów programu PSL, rządy AWS-UW doprowadziły do dychotomizacji polskiego społeczeństwa, do nieprawdopodobnej skali dyferencjacji społecznej. Jakkolwiek oceniając rządy AWS - UW trudno, za te niewątpliwie negatywne zjawiska, obarczać odpowiedzialnością jedynie **ten rząd**.

Jednym z najnowszych i chyba najbardziej wyrazistych przykładów dramatyzacji jest jeden z głównych elementów programowych PiS - walka z przestępczością i zapewnienie poczucia bezpieczeństwa Polaków. Było, i jest to jedno ze sztandarowych haseł tej partii. Dramaturgiczny obraz kreowany przez partię, obecnie rządzącą, można odnaleźć w jej programie wyborczym z 2005 roku:

<sup>62</sup> Por. M.Chmaj, M.Żmigrodzki, *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996, s. 75-80.

<sup>63</sup> [www.psl.org.pl](http://www.psl.org.pl)

<sup>64</sup> [www.psl.org.pl](http://www.psl.org.pl)

*„Polacy systematycznie skarżą się na silne poczucie zagrożenia przestępczością. Zabójstwa przypadkowych przechodniów na osiedlach, rąbki i gwałty na hezhranych kobietach, kradzieże telefonów komórkowych, włamania do samochodów oraz liczne afery gospodarcze towarzyszą Polakom na co dzień. Wskutek liberalnej polityki karnej, złego funkcjonowania policji, sądów i prokuratury na bardzo wysokim poziomie utrzymuje się liczba przestępstw (...)Przerażenie budzi fakt, że służby i osoby powołane do walki z bandytami często z nimi współpracują (...).”*

Gdyby potraktować poważnie ten fragment programu PiS i wykorzystać go jako źródło informacji o naszym kraju, to najpewniej liczba odwiedzających nas turystów zagranicznych spadłaby do zera. Zaprezentowany, dramatyczny obraz naszych miast, bardziej przypomina początek scenariusza filmu, już nawet nie sensacyjnego, lecz katastroficznego.

Tymczasem, przestępczość w Polsce, przynajmniej od dwóch lat, znacząco maleje. Potwierdzają ta dane KG Policji. Natomiast poczucie bezpieczeństwa Polaków stale, choć powoli, wzrasta. Maleje „czarna liczba” przestępstw - chodzi o niezgłoszone z różnych przyczyn, czyny przestępcze - co w dużej mierze jest wynikiem wzrastającego zaufania do policji oraz coraz to wyższej oceny jej skuteczności.<sup>65</sup> Dramatyzacja, w tym przypadku, prowadzi do kreacji bardzo konkretnych dyrektyw praktycznych: sądy 24 godzinne, zaostrenie kar dla przestępców, możliwość posiadania broni w domu, by wspomnieć kilka tylko pomysłów polityków PiS. Nie jest moją rolą, oni też zamiarem, polemika z tymi propozycjami. Być może proponowane zmiany powinny zostać wprowadzone. Być może poprawiłyby one zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i doprowadziłyby do zmniejszenia przestępczości. Nie chodzi o to, czy propozycje PiS są słuszne, lecz o to, że ich uzasadnienie jest wynikiem dramatyzacji, a więc zdeformowanego, nieadekwatnego, słowem: nieprawdziwego sposobu prezentacji fragmentu rzeczywistości społecznej.

Przejawem braku tożsamości ideowej może być zjawisko, niemal immanentnie związane z polską sceną polityczną, braku *a d e k w a c j i p o l i t y c z n e j*. Otóż, jeśli nawet w programach partii pojawiają się odwołania do określonych, spójnych, jednorodnych a nie eklektycznych systemów wartości, to stopień ich faktycznej realizacji w procesie sprawowania władzy jest niewielki, bądź zgoła, żaden.

Zwycięski marsz AWS, zakończony zdobyciem 201 mandatów w Sejmie i 51 w Senacie, w znaczącej mierze był możliwy dzięki zapowiedziom realizacji polityki prorodzinnej oraz zmiany polityki gospodarczej, której centralnym elementem stać się miała społeczna gospodarka rynkowa (soziale Marktwirtschaft).<sup>66</sup> Oba te elementy znalazły znaczące miejsce w ekspozycji premiera Buzka. Tymczasem, koalicja z UW spowodowała wzrost znaczenia monetaryzmu i dalszą liberalizację polityki gospodarczej rządu J. Buzka. Z polityki prorodzinnej, pozostały budzące kontrowersje zasiłki uzależnione od ilości posiadanych dzieci i radosna sprawozdawczość Pełnomocnika Rządu do Spraw Rodziny.

Podczas kampanii parlamentarnej 2001 roku, jednym ze sztandarowych haseł lewicowej koalicji, była kwestia liberalizacja ustawy o planowaniu rodziny i ochronie życia poczętego. Wydawać by się mogło, że ów dość elementarny standard programowy partii socjaldemokratycznej, doczeka się jakkolwiek rozumianej realizacji. Nic bardziej mylnego.

<sup>65</sup> Autor jest członkiem zespołu badawczego, kierowanego przez prof. J.Nikołajewą, który od trzech lat realizuje, we współpracy z KW Policji w Szczecinie oraz z samorządami woj. zachodniopomorskiego, jeden z pierwszych w Polsce, program badawczy, którego celami są min.: identyfikacja poczucia bezpieczeństwa mieszkańców, zaufanie i ocena pracy policji, identyfikacja zagrożeń i sposobów ich usuwania.

<sup>66</sup> A.Müller-Armack: *Stil und Ordnung der Sozialen Marktwirtschaft*, Bonn 1952.

Można założyć, że ten element programu SLD-UP, miał jedynie charakter socjotechniczny i był obliczony na maksymalizację wyniku wyborczego.

SLD szedł do wyborów z hasłem rozwiązania Senatu. Nasi kandydaci na senatorów - mówił L. Miller - idą do niego, aby go zlikwidować. Kiedy jednak po wyborach, okazało się, że Sojusz nie zdobył większości w Sejmie, a właśnie w Senacie, okazało się, iż „flagowe” nieomal hasło programowe partii musi zostać zrelatywizowane poprzez mglistą zapowiedź realizacji w bliżej nieokreślonej przyszłości.

W kampanii wyborczej 2005 zwycięskie ugrupowanie zapowiadało realizację programu budowy 3 mln mieszkań. Już w chwili powstania rządu Kazimierza Marcinkiewicza liczba mieszkań stopniała o połowę. Następnie okazało się, że chodzi nie o program rozwoju budownictwa mieszkaniowego, a o program wspierania budownictwa mieszkaniowego, sprowadzający się do zmiany definicji budownictwa społecznego. Prognozowana liczba wybudowanych mieszkań stała się już całkowicie amorficzna.

Są jeszcze ciekawsze egzemplifikacje opisywanego zjawiska. Otóż są partie, które „nie wiedzą” - jakkolwiek by to brzmiało irracjonalnie - jakie stanowisko prezentują w danej kwestii. Przykładem może być głosowanie w sejmie „ustawy o becikowym” i postawa największej partii opozycyjnej, która tym razem była „przeciw a nawet za”.

Problemy wspomnianego braku społecznej identyfikacji partii i ugrupowań politycznych, obecnych na polskiej scenie politycznej, obrazuje dość dobrze przykład Unii Wolności. Podczas prowadzenia badań na zlecenie Sztabu Wyborczego UW (wybory parlamentarne 2001), poproszono mnie o przetestowanie krajowego hasła wyborczego tej partii - „Silna klasa średnia, to silna Polska”. Oczywiście, hasło nie było jeszcze zaprezentowane publicznie. Analiza wyników badań okazała się niecmal druzgocząca dla autorów hasła i dawała asumpt do przyjęcia wniosku o znaczącym rozminięciu się wyobrażeń polityków UW o własnej partii, ze sposobem jej postrzegania przez wyborców. Jedna trzecia respondentów nie posiadała sprecyzowanej oceny hasła, było im całkowicie obojętne emocjonalnie i znaczeniowo. Dla co drugiego wyborcy, było niejasne i mało precyzyjne. Opinie ankietowanych w zakresie zasadności hasła były spolaryzowane (7,9% - jest w pełni uzasadnione; 7,8% - jest nieuzasadnione).

Ocena hasła wyborczego UW (N=1234)  
Czerwiec 2001

rodzaj kategorii	%
wzbudza pozytywnie odczucia	17,4
jest niejasne i mało precyzyjne	10,7
jest jasne i precyzyjne	8,6
jest w pełni uzasadnione	7,9
jest nieuzasadnione	7,8
nie wzbudza żadnych odczuć	6,3
jest patetyczne	5,0
wzbudza negatywne odczucia	5,0
nie mam zdania	31,8

Zródło: Badania własne

Wysoki odsetek osób oceniających hasło UW jako niejasne i nieprecyzyjne, wynikał prawdopodobnie z amorficzności jego pierwszego członu. Niejednoznaczność i trudności definiowania przez przeciętnego wyborcę klasy średniej powodowała, że było ono mało zrozumiałe dla sporej części badanych. Jak wynikało z obserwacji poczynionych przez ankietowanych podczas prowadzenia badań, względnie wysoki poziom absorpcji i afirmacji był



związany jedynie z drugim członem hasła. Mówiąc wprost, hasło wyborcze UW było zbyt elitarne. Dobór hasła w zakresie jego identyfikacji z konkretnym ugrupowaniem politycznym budził jeszcze większe wątpliwości. Wyborcy bowiem uznali, że trzy ugrupowania mogłyby pretendować do roli jego autorów: UW, PO, SLD.

Jeśli zatem, partia o relatywnie wyrazistym wizerunku ideologicznym, posiadała znaczące trudności w identyfikacji społecznej, to cóż pozostaje partiom, które za cały swój program mają „odchodzącego Balcerowicza”, „kopenhaską zdradę”, „szkodnika Millera”, „lewicowy pragmatyzm”, czy (zupełnie nowy twór językowy i logiczny!) „tęże - elity”? Pozostaje im jedynie dramatyzacja rzeczywistości.

**Dramatyzacja działań polskich elit politycznych jest konsekwencją braku tożsamości ideowej i braku systemów wartości, które mogłyby zapewnić wysoki poziom adekwacji politycznej.** Definiowanie polityki jako sztuki kompromisu, powoduje daleko idącą relatywizację norm i wartości, które zredukowane są do poziomu możliwych do zawarcia kompromisów, kompromisów zawieranych często za wszelką cenę. Można więc, wejść w porozumienie niemal z każdym, zapłacić prawie każdą „cenę polityczną”, aby stworzyć warunki do osiągnięcia celu. Zapomina się przy tym, że często owo stworzenie warunków - paradoksalnie - uniemożliwia realizację celu. Tak było w przypadku zgody AWS na tzw. „chłodzenie gospodarki” i „osiąganie celu inflacyjnego” w wykonaniu współkoalicjanta. Tak dzieje się obecnie, gdy powstał kolejny „nowy” układ polityczny (stabilizacyjny? koalicyjny?) w Sejmie V Kadencji, w skład którego weszły: PiS, „Samoobrona”, LPR. Liderzy Prawa i Sprawiedliwości nie tak dawno głosowali za odwołaniem A. Leppera z funkcji wicemarszałka Sejmu IV Kadencji. To politycy PiS najostrzej wypowiadali się na temat „Samoobrony” i jej lidera. To liderzy PiS twierdzili, że „Samoobrona” powstała za pieniądze moskiewskie i przy udziale KGB. **To oni uczynili z niego wicepremiera RP.** Wszystko to pokazuje, w jaki sposób w Polsce, jest definiowania polityka, nie w kategoriach werbalnych i postulatycznych, lecz w kategoriach rzeczywistych działań - każdy cel uświęca każde środki.

Drugą przyczyną, świadomego stosowania dramatycznych zabiegów socjotechnicznych w polskiej polityce, jest słabość większości partii politycznych, słabość artykulacji i realizacji programów politycznych, gospodarczych i społecznych. Często jest wynikiem zwyczajnego braku pomysłu na rozwiązanie jakiegoś problemu. Dobrym tego przykładem jest wspomniana legitymizacja sondażowa. Opozycja parlamentarna formułowała wielokrotnie pogląd, w myśl którego „Miller musi odejść”. Roztaczano katastroficzne wizje skutków „trwania” tego rządu jako mniejszościowego. Czynili to często ci sami politycy, którym nie przeszkadzało „trwanie” mniejszościowego rządu J. Buzka, ci sami, którzy powołali mniejszościowy rząd Marcinkiewicza. Jednakowoż, ta sama wówczas opozycja, nie była w stanie zgłosić „konstruktywnego wotum nieufności”. **Brak pomysłu na zmianę, zastąpił dramatyzm konieczności zmiany.**

Dramatyzacja, podobnie jak mitologizacja, stanowi jedno z podstawowych instrumentarium uprawiania polityki w Polsce. Co prawda, jest ona głównie wykorzystywana w kampaniach wyborczych, lecz coraz częściej staje się codziennością polskiej sceny politycznej.

Dramatyzacja w polskim wydaniu - bowiem nie sądzę, aby to zjawisko było zupełnie obce demokracjom zachodnim, choć na pewno nie jest głównym instrumentem uprawiania polityki - jest w dużej mierze warunkowana instytucjonalnie poprzez ordynację wyborczą, tzw. proporcjonalną, która sprzyja powstawaniu niestabilnego i rozdrobnionego systemu partyjnego. Sprzyja, co gorsza, brakowi spójności wewnętrznej samych partii politycznych, bowiem ich frakcyjność daje się dość łatwo zamienić na wielopodmiotowość poprzez wychodzenie dowolnej frakcji i tworzenie nowej partii mającej dość duże szanse na zdobycie

mandatów. Ponadto, wynik wyborczy nie promuje na tyle zwycięzców, aby mogli oni samodzielnie sprawować władzę. Muszą zawierać koalicję, co szczególnie w świetle naszych doświadczeń, okazuje się, albo zbyt kosztowne dla samych koalicjantów (nie mogą w pełni realizować swoich programów), albo też dla obywateli, wtedy gdy występują trudności w powstaniu koalicji w ogóle, lub gdy koalicje się rozpadają powodując trwanie rządów mniejszościowych. Wszystko to razem wzięte, prowadzi w najlepszym razie, do powstania egzotycznych koalicji (np. PiS, LPR, „Samoobrona”) lub do nieustannych targów politycznych, które prowadzi rząd mniejszościowy, aby realizować, choćby w ograniczonym zakresie, swój program. Każde głosowanie w Sejmie jest nieomal jak wotum zaufania dla rządu.

Taka sytuacja, co oczywiste, nie sprzyja skutecznemu rządzeniu. Jasnym jest, że ordynacja proporcjonalna daje większą reprezentatywność organów przedstawicielskich, tyle tylko, że najczęściej odbija się to na skuteczności i jakości rządzenia. Owa reprezentatywność w ostatecznym rozrachunku i tak staje się wątpliwa, ponieważ przyznaje często większe znaczenie polityczne w parlamencie, małym ugrupowaniom, większe, niż by to wynikało z siły ich poparcia społecznego. Stają się one ważnymi graczami w systemie władzy, ponieważ bez ich udziału nie jest możliwe realizowanie programu zwycięskiego ugrupowania.

Oczywistym jest, że **ordynacja większościowa**, choć zdecydowanie poprawia skuteczność rządzenia, to jednak posiada pewien istotny mankament, który, co prawda nie prowadzi w dojrzałych demokracjach do autorytaryzacji władzy, lecz jednak może stwarzać takie zagrożenie w społeczeństwach budujących demokrację. Owym mankamentem jest tworzenie „sztucznej większości”, która zapewnia samodzielne rządy zwycięzcy wyborów. Może to rodzić różnego rodzaju pokusy rządzących. Wydaje się jednak, że odpowiednie mechanizmy zabezpieczające przed zapędami autorytarnymi, ryzyko takie minimalizują. Większość wyłoniona w wyborach z omawianą ordynacją, nie musi oznaczać większości konstytucyjnej, lecz jedynie taką, która pozwala na samodzielne sprawowanie władzy wykonawczej. Wydaje się, że takie instytucje jak: Trybunał Konstytucyjny, Rzecznik Praw Obywatelskich, niezależny Bank Centralny, a nade wszystko, niezależne media, stanowią wystarczający gwarant demokracji.

Jest tylko jeden problem. Musi się „pojawić”, taki typowo polski „twór” polityczny - wola polityczna. Nikt nie zna warunków jej „pojawiania się”, lecz wszyscy wiemy, że jest ona głównym aktorem sceny politycznej, którego nieobecność w Sejmie może zniweczyć wszystkie, nawet najważniejsze dla Polaków, plany rozwojowe.

### 3.1. Zwarte szeregi i oblężona twierdza - krótka historia elit postkomunistycznych

*„Po południu zaczęły napływać pierwsze niepokojące wieści z placówek dyplomatycznych. Wynikało z nich, że nieomal wszędzie nasi kandydaci uzyskali mniej głosów aniżeli opozycja. (...) Późnym wieczorem w sztabie wyborczym zaczęły się już zarysowywać wyraźnie kontury naszej Porażki. Rano 5 czerwca było już wiadomo, że ponieśliśmy porażkę. (...) W południe Jaruzelski zwołał rozszerzone posiedzenie Sekretariatu KC (...) Nastrój na posiedzeniu był taki, jaki mógł być w kwaterze partii, która przegrała wybory.”<sup>67</sup> W ten oto sposób Mieczysław Rakowski - przedstawiciel establishmentu władzy peerelowskiej - wspomina pierwsze dni czerwca 1989 roku, dni, w czasie których dobiegał kresu żywot „przewodniej siły narodu”: Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.*

Klęska PZPR była porażająca. „Solidarność” zdobyła w wyborach do sejmu kontraktowego 75% poparcia, obsadzając w I turze wszystkie mandaty przyznane jej przy

<sup>67</sup> M.F.Rakowski. *Jak to się stało*. Warszawa 1991. s.227.

Okrągłym Stole. W wyborach do Senatu, rozmiary klęski PZPR były jeszcze bardziej druzgocące. Opozycja demokratyczna zdobyła w nich 99 mandatów na ogólną liczbę 100 senatorów.

Wydarzenia nabrały tempa. Na początku lipca w „Gazecie Wyborczej” Adam Michnik opublikował artykuł pt. „Wasz prezydent, nasz premier”. Stał się on impulsem swoistej redefinicji ustaleń Okrągłego Stołu.

Dziewiętnastego lipca 1989 roku Zgromadzenie Narodowe większością zaledwie jednego głosu wybiera generała Jaruzelskiego na prezydenta Polski.

Dwudziestego czwartego sierpnia Sejm powołuje Tadeusza Mazowieckiego na stanowisko premiera. Powstanie pierwszego niekomunistycznego rządu w Europie Środkowo - Wschodniej stało się faktem. Było impulsem, niewyobrażalnych do niedawna, zmian w tej części świata. Zmiany, co oczywiste, nastąpiły w pierwszej kolejności w Polsce. Rozpoczął się czas demontażu struktur państwa totalitarnego i budowy na jego gruzach społeczeństwa otwartego.

Oczywistym stało się dla depozytariuszy idei marksistowskiej, a raczej tego co z niej pozostało, że w obliczu zachodzących zmian, dotychczasowa formuła partii robotniczej utraciła rację bytu. W styczniu 1990 roku XI zjazd PZPR był ostatnim w historii tej formacji. Na nim bowiem PZPR uległa samorozwiązaniu. Niczym „Feniks z popiołów” wyłoniła się nowa partia lewicowa - Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej.

SdRP na zjeździe założycielskim głosami delegatów opowiedziała się za kontynuacją - cokolwiek to znaczy - swej poprzedniczki, czego egzemplifikacją było m.in. przejście majątku dawnej PZPR. Na czele nowej partii stanęła Rada Naczelna, której przewodniczącym został Aleksander Kwaśniewski. W skład władz SdRP weszli dawni działacze PZPR „drugiego szeregu” m.in. Leszek Miller, Józef Oleksy, Włodzimierz Cimoszewicz, Jerzy Jaskiernia. Rozpoczął się proces organizacji i legitymizacji lewej strony sceny politycznej.

Już 30 stycznia 1990 roku powstaje w Sejmie Klub Parlamentarny Lewicy Demokratycznej. Sojusz Lewicy Demokratycznej SdRP wystawia swojego kandydata w wyborach prezydenckich 1990 roku. Włodzimierz Cimoszewicz, bo o nim mowa, zdobywa poparcie 9,2% wyborców. Jest to pierwsza zapowiedź przyszłych sukcesów tej formacji. Należy pamiętać, że upłynął ledwie rok od upadku komunizmu w Polsce, a kandydat partii będącej spadkobierczynią PZPR zajmuje czwartą lokatę w pierwszej turze wyborów prezydenckich, uzyskując wynik blisko trzykrotnie wyższy od znanego przecież, działacza opozycji demokratycznej, Leszka Moczulskiego.

W lipcu 1991 roku powstaje koalicja wyborcza partii i ugrupowań o proveniencji lewicowej, której trzon stanowią SdRP oraz OPZZ. W wyborach parlamentarnych 1991 roku koalicja SLD uzyskuje poparcie blisko 12% wyborców, co przełożyło się na 60 mandatów poselskich i 4 senatorskie.

Kolejne wybory w roku 1993 to już pełne zwycięstwo SLD. Ponad dwudziestoprocentowe poparcie wyborców, daje Sojuszowi 171 miejsc w Sejmie i 37 w Senacie. Cztery lata po wydarzeniach, które rozpoczęły lawinę przemian w Europie Środkowo-Wschodniej, ludzie starego reżimu, zreformowani, dodajmy - przejmują władzę w Polsce.

W roku 1995 można już sparafrazować słynny tytuł artykułu A. Michnika: „Nasz Prezydent i nasz Premier”. Aleksander Kwaśniewski, kandydat SLD na Prezydenta, zdobywa w I turze ponad 6 milionów głosów, dystansując tak znaczące postacie - nieomal ikony - opozycji demokratycznej jak Lech Wałęsa czy Jacek Kuron. Wyniki drugiej tury wyborów czynią prezydentem Polski, Aleksandra Kwaśniewskiego, uczestnika obrad Okrągłego Stołu, tyle tylko, że zasiadającego przy nim po stronie władz ówczesnego reżimu. W zwycięstwie wyborczym nie przeszkodziło Kwaśniewskiemu ewidentne, dość kuriozalne i niczemu nie służące kłamstwo, dotyczące jego wykształcenia.

Wybory parlamentarne z 1997 roku pozbawiają SLD władzy w państwie. Myliłby się jednak ten, kto twierdziłby, że Sojusz utracił zaufanie wyborców. Wynik SLD uzyskany w tych wyborach był wyższy od wyniku z 1993 roku. SLD uzyskał 27,13% głosów i stał się najsilniejszym ugrupowaniem opozycyjnym w Sejmie III kadencji.

W kolejnej odsłonie wyborczej, 2001 roku, SLD jest ugrupowaniem politycznym niesionym falą niezadowolenia społecznego z efektów działania rządu J. Buzka. W tym czasie nic chyba nie było w stanie zatrzymać tryumfalnego marszu po władzę ekipy Leszka Millera. Wydawało się nawet, że lewica jest w stanie osiągnąć wynik, który pozwoli jej na samodzielne rządzenie, bez konieczności wchodzenia w koalicję. Tak się jednak nie stało i w rezultacie SLD z poparciem 41,01%, uzyskał 216 mandatów w Sejmie oraz 75 mandatów w Senacie RP. Jest to najlepszy, jak dotąd, wynik jaki uzyskało kiedykolwiek, jakiegokolwiek ugrupowanie w wyborach w Polsce po roku 1989.

Historia elit postkomunistycznych w Polsce jest doskonałym przykładem wykorzystania izolacji politycznej jako formy tworzenia wysokiej spójności wewnętrznej partii politycznej. Otóż ta formacja polityczna, wywodząca się ze środowisk współtworzących, w różnym stopniu, establishment władzy PRL, potrafiła, przynajmniej do czasu, wykorzystać izolację polityczną w jakiej znajdowała się w latach 90-tych, do stworzenia silnego, jednorodnego, zdyscyplinowanego *m e c h a n i z m u* politycznego. Nieustannie atakowani za swoją przeszłość, traktowani jak persona non grata, wyszydzani i podejrzewani o związki ze spadkobiercami ZSRR - liderzy lewicy - budowali wizerunek własnego ugrupowania jako monolitycznej, pragmatycznej i skutecznej siły politycznej, która w odróżnieniu od prawicy, koncentruje się na sprawach ważnych dla obywateli i państwa nie zaś na wewnętrznych sporach, kłótniach i waśniach personalnych.

Do opinii publicznej nie docierały żadne informacje o różnicach poglądów wewnątrz SLD. Jego politycy prezentowali zawsze takie samo stanowisko we wszystkich kwestiach, a ci, którzy próbowali się wyłamać z szeregu, byli „pacyfikowani” i odsuwani do dalszych szeregów partyjnych. Tak było m.in. z Włodzimierzem Cimoszewiczem, który pozwolił sobie na publiczną polemikę z częścią kierownictwa SLD.

Groźba usunięcia z partii była wystarczającym spoiwem dla „zwartych szeregów” lewicy. O ile poseł innej partii mógł sobie pozwolić na odejście z niej i przejście do innego ugrupowania, o tyle poseł SLD, w wyniku izolacji politycznej Sojuszu, nie mógł liczyć na ofertę żadnej partii zasiadającej w parlamencie. Decyzja o wykluczeniu bądź wyjściu z SLD spychała polityka lewicy w całkowity niebyt polityczny i parlamentarny. Tracąc członkostwo w partii stawał się nikim. Można, nieco ironizując, powiedzieć, że w tej sytuacji nie były potrzebne żadne weksle. Wystarczającym zabezpieczeniem partii przed nomadyzmem jej członków, była sama przynależność do izolowanej, znajdującej się niejako w permanentnym obłężeniu, twierdzy SLD.

Paradoksalnie, bezapelacyjne zwycięstwo w wyborach 2001 roku i niejako ostateczna legitymizacja SLD jako pełnoprawnej siły politycznej, stworzyły warunki do powolnej erozji wewnętrznej lewicy. SLD wzięło niemal wszystko w wyborach 2001 roku, a stan mentalny opozycji w obliczu tego zwycięstwa oraz ogromny ładunek nadziei i poparcia społecznego dla triumfującej lewicy, wróżyły nadejście najlepszych, w historii niepodległego państwa, czasów dla ekipy Leszka Millera.

Jednakowoż, jednocześnie ze skalą zwycięstwa, runęły ostatnie bariery izolacji politycznej SLD, rozpoczął się proces napływu do partii nowych ludzi, którzy zwabieni możliwymi korzyściami wynikającymi z przynależności do najsilniejszego w historii III RP obozu władzy, nie rozumieli, że jednym z głównych czynników, który wyniósł do władzy SLD, był jego spójny i monolityczny charakter.



W wyborach samorządowych 2002 roku nie wyruszyły już do walki „zwarte szeregi” działacze SLD, lecz podzielone, skonfliktowane koferie polityczne, których wspólnym mianownikiem było jedynie logo partii oraz wizja spodziewanych profitów. Tworzyli je starzy działacze ze „szkoły PZPR”, wypierani i walczący z młodymi, pewnymi swoich kompetencji, dobrze wykształconymi „technikami polityki”, dla których PRL był jedynie kartką w podręczniku historii. Krajobraz wyborczy uzupełniały osoby popierane przez SLD, ale do niego nie należące. Trudno było więc spodziewać się, że nie dojdzie w tej sytuacji do ujawnienia się znaczących rozbieżności wewnątrz partii<sup>68</sup>. Najpewniej występowały one wcześniej w nieco innych wymiarach i płaszczyznach, lecz były skutecznie tłumione przez poczucie zewnętrznego zagrożenia i izolacji politycznej. Tych mechanizmów obronnych zabraknie lewicy w nadchodzącej nieuchronnie przyszłości.

Zbliżająca się fala afer wiązanych - słusznie czy nie - z SLD, która nieomal zmiecie lewicę ze sceny politycznej, nie uderzy w monolityczny blok polityczny, lecz w skłócony wewnętrznie, rozdrobniony, pozbawiony siły podejmowania decyzji, a nade wszystko, zdezorientowany układ zależności, powiązań, interesów, grup wpływów i rywalizujących ze sobą liderów, baronów i zwykłych działaczy, także.

### 3.2. Syndrom „Titanica” - na gruzach Sierpnia 80.<sup>69</sup>

W połowie lat dziewięćdziesiątych, depozytariuszami ideałów Sierpnia '80, pozostały, w różnym oczywiście stopniu, dwie liczące się siły polityczne - Akcja Wyborcza Solidarność i Unia Wolności.

Historia Unii Wolności - partii skupiającej swego czasu niewątpliwie największy potencjał intelektualny - może stanowić, niemal poglądowy przykład procesu kształtowania się (ale i dekompozycji) części elit politycznych III Rzeczypospolitej.

Choć Unia Wolności - w kształcie, w którym istnieje do dzisiaj - powstała w 1994 roku, to jednak jej korzenie sięgają do roku 1990. W lipcu tegoż roku, z inicjatywy legendarnych przywódców Solidarności - m.in. Zbigniewa Bujaka i Władysława Frasyniuka, powstaje Ruch Obywatelski - Akcja Demokratyczna (ROAD), którego zadaniem jest przygotowanie warunków do powstania partii politycznej, skupiającej w swych założeniach, część środowisk dawnej opozycji demokratycznej. Partia ta powstaje w grudniu 1990 roku, pod nazwą Unia Demokratyczna.

Unia Demokratyczna staje się, za sprawą przyjętego statutu, partią frakcyjną, w ramach której dopuszczalną jest, daleko posunięta autonomia, poszczególnych opcji politycznych wchodzących w jej skład. Staje się więc - przynajmniej początkowo - raczej koalicją różnorodnych nurtów politycznych i intelektualnych niż partią w tradycyjnym (np. klasowym lub światopoglądowym) znaczeniu. Wydaje się, że intencją jej założycieli było stworzenie partii, która na wzór nowoczesnych, zachodnich ugrupowań politycznych (np. niemieckiej chadecji), będzie egzemplifikować typ partii wyborczej (catch-all parties).<sup>70</sup>

<sup>68</sup> Obserwowałem tę nieomal otwartą walkę pomiędzy grupami interesów w SLD, podczas kampanii prezydenckiej w Szczecinie, realizując elementy kampanii, na zlecenie kandydata popieranego przez Sojusz.

<sup>69</sup> Korzystałem w tej części pracy z następujących źródeł: Internet - (www.kprm.gov.pl; www.uw.org.pl; www.krzaklewski.pl; www.prawicapolska.pl; www.wybory.bezprzedzen.pl; www.frasyniuk.pl) *Raporty OBOP 1989 -2003*, www.obop.com.pl; *Mały Rocznik Statystyczny Polski 2001*, s. 64-95; *Mały Rocznik Statystyczny Polski 2002*.

<sup>70</sup> W dosłownym tłumaczeniu: partie - kontenery. W Europie Zachodniej, jest to obecnie najpowszechniejszy typ partii politycznej, charakteryzującej się elastycznością ideologiczną, odwołaniem do maksymalnie szerokiego elektoratu, a w konsekwencji - frakcyjnością. Zob. O.Kirchheimer: *Germany: The Vanishing Opposition* (w): *Political Oppositions in Western Democracies*, ed. R.A.Dahl, New Haven 1966.

Jednakowoż, wspomniana frakcyjność, będąca niewątpliwą zaletą partii-kontenerów w ich działaniach wyborczych, prowadzi bardzo często do walk wewnętrznych, konfliktów, sporów, a nawet w skrajnych przypadkach, do rozpadu i dekompozycji frakcyjnej struktury ugrupowania. Wydaje się, że Unii Demokratycznej nie udało się uniknąć tego typu zagrożeń. Co więcej, poszukiwania coraz to nowszej, coraz to szerszej formuły partii, doprowadziły, paradoksalnie, do coraz silniejszej „kanalizacji” ideologicznej, a co za tym idzie, zawężenia elektoratu.

Już na początku tworzenia nowego organizmu partyjnego okazało się, że rozbieżności pomiędzy nurtami politycznymi zgłaszającymi swój akces partyjny są tak duże, że frakcja reprezentowana przez Zbigniewa Bujaka (nazwijmy ją umownie lewicowym) nie wchodzi do UD i tworzy Ruch Demokratyczno-Społeczny, który w 1992 roku staje się załącznikiem Unii Pracy. Ostatecznie, w skład UD wchodzi trzy frakcje (Prawicy Demokratycznej, Społeczno-Liberalna, Zielonych).

W wyborach parlamentarnych z 1991 roku, Unia Demokratyczna otrzymuje 12,3% głosów, co daje jej 62 mandaty w Sejmie. Rok później, frakcja Prawicy Demokratycznej opuszcza UD, a w jej miejsce powstaje frakcja Konserwatywno-Liberalna.

Po odwołaniu, w wyniku ogłoszenia tzw. listy Maciarewicza, rządu Jana Olszewskiego (czerwiec 1992), misję tworzenia nowej Rady Ministrów otrzymuje Hanna Suchocka, jedna z liderów UD. W nowo powołanym rządzie, oprócz Premiera, UD posiada trzech ministrów będących jej członkami oraz trzech ministrów tzw. resortów siłowych, pochodzących z rekomendacji tej partii.

Kolejne wybory (przedterminowe) z roku 1993, dają UD 74 mandaty i miejsce w ławach opozycji parlamentarnej. Lata 1994 - 1995, to czas zmian i reorganizacji partii. W kwietniu 1994 roku dochodzi do połączenia UD z Kongresem Liberalno -Demokratycznym i powstania, na tej bazie, nowej partii - **Unii Wolności**. Przewodniczącym UW zostaje Tadeusz Mazowiecki, a jego zastępcą - Donald Tusk.

W przeciwieństwie do UD, w nowej partii, istnieje formalny zakaz tworzenia frakcji. Jednak próba poszerzenia reprezentacji politycznej w UW<sup>71</sup>, prowadzi w konsekwencji do coraz to większej segmentacji partii, która przejawia się powstaniem nieformalnych frakcji, w liczbie przewyższającej stan rzeczy, z jakim mieliśmy do czynienia w UD.<sup>72</sup> Staje się to zarzewiem konfliktów wewnętrznych, których apogeum przypada na II Kongres UW<sup>73</sup>. Następują zmiany w kierownictwie partii i na jej czele staje nowy nabytek UW - Leszek Balcerowicz.

Można by rzec, że proces samoidentyfikacji ideowej UW, został zakończony. Nurt chadecki (min. D. Tusk, T. Mazowiecki, J. M. Rokita) i socjalliberalny (J. Kuroń) zostały zmarginalizowane, odtąd natomiast, dominującym w UW będzie nurt liberalny. W roku wyborczym, a dokładnie w styczniu 1997, z partii odchodzi J.M. Rokita i wraz z sześcioma posłami UW wchodzi do SKL Artura Balazsa. Nieco wcześniej, szeregi UW opuszcza Bronisław Komorowski.

W wyborach parlamentarnych z 1997 roku Unia Wolności osiąga wynik 13,4% i zdobywa tym samym 60 mandatów w Sejmie RP. W Senacie zdobywa 8 miejsc z wynikiem

<sup>71</sup> Oczywiście, termin „reprezentacja polityczna”, ma w tym miejscu znaczenie funkcjonalne.

<sup>72</sup> W chwili powstania UW, pojawiło się niej pigę nieformalnych frakcji.

<sup>73</sup> Konflikt rozgrywa się głównie wokół prób określenia oblicza ideowego UW. Część liderów UW (min. W. Frasyniuk), zarzuca kierownictwu partii, coś na kształt „odchylenia chadeckiego”.

12,8%. Wraz ze zwycięskim ugrupowaniem (AWS) tworzy koalicyjny rząd, na czele którego staje Jerzy Buzek (31 X 1997).<sup>74</sup>

W tym miejscu zbiegają się losy sporej części tzw. obozu posierpniowego, losy, których wspólnym mianownikiem stanie się klęska wyborcza w wyborach parlamentarnych roku 2001.

Historia Akcji Wyborczej „Solidarność” jest znacznie krótsza niż UW, choć obfituje w równie emocjonujące zdarzenia, które śmiało można traktować jako lekcję pogładową procesu dekompozycji silnego (w wymiarze poparcia społecznego), liczącego się ugrupowania, dekompozycji prowadzącej do całkowitego (ostatecznego) niebytu politycznego.

AWS powstaje 11 lipca 1996 roku jako koalicja wyborcza polskiej prawicy. Jest w swej istocie, porozumieniem zawartym pomiędzy NZZZ „Solidarność” a partiami prawicowymi, którego celem są wybory parlamentarne, ewentualne utworzenie klubu parlamentarnego oraz, czego nikt jeszcze wtedy się nie spodziewał, przejęcie władzy.

*(...) Akcja Wyborcza Solidarność była dobrym pomysłem - mówi Marek Słomski - ponieważ był to pomysł na, pewnego typu, zjednoczenie prawicy, pomysł na pewną koordynację działania, bardzo poważnego obszaru politycznych wyborów i stojącego za nim elektoratu. Problem polegał na tym, i tu jest całe nieszczęście AWS, że ten dobry z założenia pomysł, nie został w zasadzie - oprócz jego początkowej fazy, czyli jego zadeklarowania - zrealizowany (...)*<sup>75</sup>

W momencie powstania, w skład AWS wchodziły cztery koalicje prawicowe<sup>76</sup>, siedem partii. Łącznie, skład AWS, tworzyło ok. pięćdziesiąt podmiotów politycznych. Wszelako, głównymi strukturami AWS były: Ruch Społeczny AWS, Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, Polska Partia Chrześcijańskich Demokratów, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Na czele AWS staje Marian Krzaklewski.<sup>77</sup>

W wyborach parlamentarnych z 1997 roku AWS odnosi zwycięstwo, które przekłada się na 201 mandatów poselskich (33,8%) i 51 senatorskich (40,2%).

*(...) Od razu zaczęło się jakby „rwanie” AWS- u, który miał dużo do dania, ponieważ miał władzę, miał stanowiska. Co gorsza, zero myślenia, że za tym wszystkim idzie odpowiedzialność. Odpowiedzialność nie była w ZCHN, ani w SKL, bo ona była odpowiedzialnością AWS, więc łatwo było się za tym ukryć. Natomiast AWS nie miał konstrukcji organizacyjnej, ani odpowiedniej determinacji swojego przywództwa - chodzi przede*

<sup>74</sup> W gabinecie J.Buzka, zasiadają: L.Balcerowicz - Wicepremier i Minister Finansów (31.10.1997 - 8.06.2000); B.Geremek - Minister Spraw Zagranicznych (31.10.1997 - 30.06.2000); Hanna Suchocka - Minister Sprawiedliwości (31.10.1997 - 8.06.2000); T.Syryjczyk - Minister Transportu i Gospodarki Morskiej (8.12.1998 - 8.06.2000); Janusz Onyszkiewicz - Minister Obrony Narodowej (31.10.1997 - 16.06.2000).

<sup>75</sup> Wypowiedź jest fragmentem wywiadu przeprowadzonego z Markiem Słomskim, patrz. s. 96-118.

<sup>76</sup> Są to: Obóz Patriotyczny, Porozumienie Chadecko-Ludowe: „Chadecja”, Koalicja Ludowo-Niepodległościowa, Solidarni w Wyborach.

<sup>77</sup> Marian Krzaklewski urodził się w 1950 roku w Kolbuszowej k. Rzeszowa. Ukończył Liceum Ogólnokształcące a następnie studiował na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. W latach 1976 - 1984 był pracownikiem naukowym Zakładu Systemów Automatyki Kompleksowej Polskiej Akademii Nauk w Gliwicach. Od 1988 roku - adiunkt w Politechnice Śląskiej w Katowicach. W 1986 roku uzyskał tytuł doktora nauk technicznych. Był jednym z założycieli „Solidarności” w Polskiej Akademii Nauk. Od września 1980 roku jest wiceprzewodniczącym Górnośląskiej Komisji Porozumiewawczej PAN NSZZ „Solidarność”. W 1984 roku został aresztowany w Zabrze, a następnie zmuszony do odejścia z PAN. Od lutego 1989 roku należał do Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” i Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. W 1989 roku został sekretarzem Śląsko-Dąbrowskiego Regionalnego Komitetu Obywatelskiego. Na III Zjeździe Krajowym (1991) wybrany na przewodniczącego KK NSZZ „Solidarność”. W 1995 roku ponownie został wybrany na przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ Solidarność.

*wszystkim o przywództwo Krzaklewskiego. On nie potrafił zdyscyplinować tego całego towarzystwa (...).*<sup>78</sup>

Od samego początku AWS była ugrupowaniem silnie zróżnicowanym wewnątrz, co stało się decydującym czynnikiem stopniowego, postępującego jej rozpadu. Pierwszy, poważny kryzys tej formacji, ujawniły wybory prezydenckie z 2000 roku. Już na etapie przygotowań do wyborów, doszło do poważnego konfliktu w łonie AWS, konfliktu związanego z wyłonieniem wspólnego kandydata. Pod uwagę brane były trzy osoby: Jerzy Buzek, Marian Krzaklewski i Maciej Płażyński. Ostatecznie, kandydatem AWS na urząd Prezydenta RP został Marian Krzaklewski.

Wyniki wyborów prezydenckich nie pozostawiły żadnych złudzeń co do postrzegania przez Polaków sposobu wypełniania funkcji głowy państwa. Aleksander Kwaśniewski - rzec by można - zdeklasował swoich kontrkandydatów, odnosząc w pierwszej turze wyborów zwycięstwo i reelekcję, z wynikiem 53,9%. Drugi wynik (17,3%) uzyskał Andrzej Olechowski - kandydat popierany przez UW, uczestnik obrad Okrągłego Stołu po stronie Rządu PRL. Kandydat AWS zdobył 15,6% głosów.

Porażka wyborcza Krzaklewskiego i jej rozmiary, doprowadziły do dyskusji wewnątrz AWS, której osią były propozycje zmiany kierownictwa Akcji oraz jej restrukturyzacja, rozumiana przez większość liderów podmiotów tworzących AWS, jako ustalenie tzw. parytetów we władzach ugrupowania (Rada Krajowa). Ustąpienie Krzaklewskiego z funkcji przewodniczącego AWS nie zakończyło konfliktów wewnątrz Akcji, konfliktów, które - na domiar złego - stały się przedmiotem, nieomal publicznej debaty. Liderzy poszczególnych partii i frakcji AWS, prowadzili swoje spory w świetle kamer telewizyjnych, co powodowało znaczącą dezorientację elektoratu tego ugrupowania oraz przyczyniało się do osłabienia jego wizerunku. Apogeum dekompozycji wewnętrznej AWS przypada na początek 2001 roku, kiedy Marszałek Sejmu, Maciej Płażyński opuszcza szeregi Akcji i wraz z Donaldem Tuskiem (UW) i Andrzejem Olechowskim (kandydat w wyborach prezydenckich, popierany przez UW), współtworzy Platformę Obywatelską. Powstaje ona jako koalicja wyborcza. W aspekcie instytucjonalnym w pierwszych latach działania PO nie jest partią polityczną. W marcu 2001 roku założyciele PO podpisują „Deklarację współpracy z liderem SKL, Janem Marią Rokitą. Wkrótce, szeregi nowej partii zasilą 20 posłów z UW, SKL i AWS. Powstanie PO stanowi zapowiedź faktycznego rozłamów dwóch ugrupowań posierpniowych - AWS i UW.

W lutym 2001 roku Rada Krajowa AWS ustala parytety nowego składu tego organu. W stuosobowej Radzie, Solidarność otrzymuje 25 miejsc, RS AWS - 24, natomiast SKL, ZChN i PPCHD - po 17 miejsc. Jednakowoż, działania te, nie zakończyły konfliktów w łonie AWS, a proces jej rozpadu postępował, nieomal z każdym, kolejnym miesiącem.

W marcu 2001 roku Akcję opuszcza SKL na czele z Janem Marią Rokitą (do stycznia 1997 r. - jeden z liderów UW).

W tym samym miesiącu powstaje nowy podmiot polityczny na polskiej scenie politycznej - Prawo i Sprawiedliwość Lecha Kaczyńskiego (od 1990 do 1997 roku - Porozumienie Centrum; od 1997 roku - PC - Akcja Wyborcza Solidarność; Minister Sprawiedliwości w rządzie J. Buzka). Do Komitetu Wyborczego PiS przyłączają się znani politycy AWS: Kazimierz Ujazdowski, Wiesław Walendziak, Kazimierz Marcinkiewicz, Mariusz Kamiński.

W czerwcu 2001 roku z AWS wychodzi NSZZ „Solidarność”. Proces rozpadu AWS i UW dokonał się.

<sup>78</sup> Wypowiedź jest fragmentem wywiadu przeprowadzonego z Markiem Słomskim patrz: s. 96-118.



Nowe podmioty sceny politycznej - Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość - rozpoczynają przygotowania do kampanii wyborczej, która w dużej mierze opierać się będzie na krytyce czteroletnich rządów AWS i dwuletniego okresu współrządzenia UW. Dochodzi do dość kuriozalnych sytuacji, gdy dotychczas współrządzący (np. ministrowie w rządzie J. Buzka) krytykują - no właśnie, kogo? - własnego Premiera.

Platforma Obywatelska po pierwszych sukcesach notowań (nawet powyżej 20%) zaczyna tracić poparcie, głównie w wyniku nie dość jasnej artykulacji programu. W efekcie, w odbiorze społecznym staje się ugrupowaniem ciekawych, znanych i medialnych polityków, którzy jednak nie potrafią sformułować jasnego programu wyborczego, a panaceum na wszystkie niemal problemy znajdują w piętnastoprocentowym podatku liniowym. Wrażenie swego rodzaju improwizacji, potęgują wypowiedzi liderów PO, którzy próbując wykorzystać rosnącą już wtedy, niechęć wyborców do partii politycznych, twierdzą, że PO nie jest partią polityczną.<sup>79</sup>

Prawo i Sprawiedliwość prowadzi kampanię wyborczą jakby bez przekonania, powtarzając nieustannie, w zasadzie dwa punkty programu: zaostrzenie kar dla przestępców oraz pobudzenie gospodarki poprzez rozwój budownictwa. Partia w swej istocie opiera swoją kampanię na popularności i wysokiej ocenie społecznej działań Lecha Kaczyńskiego jako ministra Sprawiedliwości w rządzie Buzka. Warto w tym miejscu dodać, że zaskakująca decyzja Premiera o ministerialnej nominacji jednego z dwóch braci Kaczyńskich, staje się powrotem tego polityka z dalekich szeregów elit politycznych do „pierwszej ligi”.

Należy jednak pamiętać, że obydwie ugrupowania w zasadzie nie miały szans na podjęcie rywalizacji z bijącym rekordy poparcia społecznego SLD. Można przyjąć, że kampania 2001 roku przebiegała w cieniu tryumfalnego marszu lewicy po władzę. Wyniki PO i PiS należy uznać za sukces, nowych podówczas, podmiotów sceny politycznej.

Lew Rywiń, to nazwisko, które odegra kluczową rolę w kolejnej odsłonie, zarówno elit postsolidarnościowych, jak i postkomunistycznych. Ujawnienie przez Adama Michnika, korupcyjnej propozycji Lwa Rywiń, będzie początkiem wzrostu popularności PO i PiS, głównie za sprawą działania Komisji Śledczej powołanej przez Sejm do wyjaśnienia tej sprawy. Do pierwszej ligi politycznej wraca m.in. J. M. Rokita, nową gwiazdą polityki zostaje Z. Ziobro, a partie, które obydwaj panowie reprezentują w Komisji Śledczej, zyskują coraz to większe poparcie społeczne.

SLD przechodzi do wyraźnej defensywy politycznej, co nie zmienia faktu, że w układzie parlamentarnym pozostaje w dalszym ciągu znaczącą siłą polityczną, której opozycja nie jest w stanie zagrozić. Jednak, opozycja uzyskuje nowy impuls w walce politycznej. Daje on początek bezpardonowej walce politycznej prowadzonej na skalę dotąd niespotykaną.

Opozycja przechodzi do ataku, którego ostrzem stają się komisje śledcze, a głównym celem, maksymalizacja korzyści politycznych wynikających z niemal lawinowo ujawnianych afer z udziałem polityków lewicy. Słabnące notowania rządu Leszka Millera prowadzą w rezultacie do osłabienia jego pozycji w SLD, ujawnienia się coraz to większego rozbicia wewnętrznego lewicy, a w konsekwencji doprowadzają do ustąpienia jego gabinetu.

Towarzyszy temu radykalizacja opozycji, która nie tylko domaga się przedterminowych wyborów, ale nawet... delegalizacji SLD. Jednocześnie, do ostrej gry politycznej włącza się dotychczasowy sojusznik lewicy - Andrzej Lepper. On już wie, że SLD jest nie już siłą polityczną, z którą można łączyć jakieś nadzieje na przyszłość. Wspieranie SLD nie może przynieść żadnych korzyści, ponieważ sondaże pokazują rosnącą z miesiąca na miesiąc falę niezadowolenia społecznego i dezaprobaty dla rządów lewicy. Jest to dogodny moment dla Samoobrony na zmianę kostiumu politycznego i przejście do opozycji,

<sup>79</sup> Konsekwencją tego (w wymiarze formalnym) był brak dotacji z budżetu dla PO w Sejmie 2001-2005.

cokolwiek miałyoby to znaczyć w przypadku tej partii. Ważne jest, aby jak najszybciej znaleźć się wśród tych, którzy korzystając z fali krytyki społecznej obozu władzy, będą potrafili przełożyć klęskę lewicy na swój sukces. Dla Leppera ważne jest, aby można było „zagospodarować” przynajmniej część dawnego elektoratu SLD.

Na kilka miesięcy przed wyborami pojawia się dość specyficzne zjawisko, zbliżania się do siebie zróżnicowanych programowo i personalnie partii opozycyjnych. Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość zbliżają się do siebie na tyle, że zapowiadają powstanie wspólnej koalicji po wyborach. Trwają prace zespołów programowych przygotowujących podstawy przyszłej koalicji, a politycy obu partii określają się pospół mianem „naszych przyjaciół z PO” lub „naszych przyjaciół z PiS”. Obie partie zapowiadają bądź to budowę IV RP, bądź naprawę III RP, oczywiście „popsutej” przez lewicę. Przyjaźń, jak wiemy, zakończy się dość szybko, co będzie najbardziej jaskrawym przejawem braku adekwacji politycznej w historii polskich elit politycznych III RP i w rezultacie doprowadzi do najdłużej trwającego, jak dotąd, kryzysu politycznego. Trudno powiedzieć, czy zaważyła dość brutalna kampania prezydencka, czy może sam pomysł tworzenia koalicji „popisu” był chybiony od początku.

Proces zbliżania się do siebie ówczesnej opozycji nie ominął dwóch, jak wydawało się, odległych podmiotów politycznych - LPR i Samoobrony. Dotychczasowy sojusznik SLD, partia Andrzeja Leppera, nie wyklucza w kampanii wyborczej, możliwości przyszłej współpracy z ultra pravicową partią Romana Giertycha. Wydawać by się mogło, że jest to dość abstrakcyjny scenariusz.

Tylko, czy aby na pewno obaj politycy tak dalece różnią się od siebie? Obie kierowane przez nich partie, od początku swego istnienia, kwestionują najmocniej dotychczasowy porządek społeczny w Polsce. Obie partie, z równą siłą, atakują dawne środowiska opozycyjne, zarzucając im zdradę polskich interesów. Obie są antyliberalne. Stosują te same socjotechniki odwołujące się do najbardziej spauperyzowanych ekonomicznie, sfrustrowanych i niezadowolonych segmentów elektoratu. Okaże się wkrótce, że ta wspólnota interesów, zaowocuje najbardziej niespodziewaną koalicją rządową, o jakiej wyborca we wrześniu 2005 roku, nie mógłby nawet „marzyć”.

### 3.3. Cień wielkiego imienia - Marian Jurczyk - symbol, legenda, złoty róg i mieszkania za złotówkę

Przygotowując ten fragment książki miałem na celu wskazanie powszechności zjawisk towarzyszących uprawianiu polityki w Polsce, zjawisk analizowanych dotychczas na poziomie makrostrukturalnym. Otóż, przykład zwycięstwa Mariana Jurczyka w wyborach samorządowych 2002 roku w Szczecinie i jego dalsze losy jako prezydenta tego miasta, stanowią asumpt wniosku o powszechności w polityce takich zjawisk jak choćby przywoływany **brak adekwacji politycznej**. Przykład ten jest dość trafny z jeszcze jednego punktu widzenia. Zwycięstwo M. Jurczyka mówi nam bardzo wiele o kryteriach, które tkwią u podstaw naszych decyzji wyborczych. Dodać warto, że kampania wyborcza w Szczecinie, a nade wszystko jej wynik, były szeroko komentowane przez media ze względu na ich wyjątkowość.

Historia legendarnej postaci Solidarności na stanowisku Prezydenta Miasta jest również historią ostrej walki politycznej obnażającej niedowład instytucjonalny demokracji bezpośredniej na poziomie lokalnym, niedowład będący wynikiem irracjonalnych rozwiązań Ustawodawcy. Zadajemy sobie pytania o aktywność obywatelską Polaków. Pytamy o przyczyny nieskuteczności takich form demokracji obywatelskiej, jak choćby referenda o

odwołanie władz samorządowych i niestety rzadko szukamy przyczyn w „systemie”. Łatwiej bowiem powiedzieć, że to wyborcy są winni bo nie interesują się polityką, bo są nieaktywni, bo są wycofani. Jest w tym pewnie wiele racji, lecz może jest tak, że systemowe rozwiązania winny uwzględniać rzeczywistość społeczną, a nie w oczywisty sposób stać do niej w opozycji lub jej nie dostrzegać. Prezentowane rozważania będą kończyły się próbą odpowiedzi na powyższe wątpliwości.

Analiza wyników kampanii wyborczej dość łatwo może przerodzić się w niczym nieuprawnioną ekstrapolację, noszącą znamiona zdroworozsądkowych opinii, niespełnionych oczekiwań, zawiedzionych nadziei, a nade wszystko - prób poszukiwania jakkolwiek rozumianych „profesjonalnych mechanizmów” prowadzenia kampanii, mechanizmów zapewniających bezwarunkowo sukces wyborczy. I choć nie istnieje żaden „złoty środek” zapewniający sukces wyborczy, choć nie można wskazać pakietu działań, które w konsekwencji decydują o zwycięstwie wyborczym, to i tak objawiła się po wyborach cała plejada tzw. ekspertów, którzy, co oczywiste, „wiedzą” jakie błędy zostały popełniane przez tych, którzy przegrali i co wyniosło do zwycięstwa ich kontrkandydatów.<sup>80</sup>

Chcąc uniknąć tego typu pułapek, zamierzam skoncentrować się jedynie na wykorzystaniu dostępnych mi danych empirycznych, wiedzy dotyczącej socjotechnik i technik manipulacyjnych oraz szeroko rozumianych zasad marketingu politycznego.

Wszystkie profesjonalne, przedwyborcze sondaże wskazywały trzech liderów wyścigu wyborczego. Pierwszy sondaż przeprowadzony przez UCBS (28.09.-01.10.2002) wskazywał na E. Runowicza jako niekwestionowanego lidera wśród kandydatów ubiegających się o fotel prezydenta.<sup>81</sup> Tymczasem, już następny sondaż przeprowadzony przez tę pracownię w niespełna tydzień później, pokazywał znaczącą zmianę preferencji wyborczych. Badania przeprowadzone przez PENTOR, choć różniły się nieco od wyników UCBS, to jednak i one sygnalizowały słabnącą pozycję kandydata SLD, przy jednoczesnej, zaskakująco wysokiej pozycji pozostałych dwóch, liczących się kandydatów. tj. Teresy Lubińskiej i Mariana Jurczyka.<sup>82</sup>

Rodzi się w sposób naturalny pytanie o przyczyny tak znaczącej fluktuacji preferencji wyborczych. Co takiego stało się w ciągu zaledwie tygodnia, co w rezultacie doprowadziło do utraty przez kandydata SLD ponad szesnastu procent poparcia? Wydaje się, że głównym czynnikiem takiego stanu rzeczy stało się orzeczenie sądu o oczyszczeniu M. Jurczyka z zarzutu kłamstwa lustracyjnego. Bowiem, obok wzrostu poparcia dla p. Jurczyka, drugim znaczącym skutkiem wyroku, okazała się być swoista dezorientacja znaczącej części wyborców. W cytowanych badaniach UCBS pojawiła się czasowa, pczornie dość trudna do

<sup>80</sup> Przykładem tego typu analiz może być artykuł J.Paradowskiej *Miasta pięciu cudów*, „Polityka”, 2002, nr 47. Autorka stawia w nim tezę w myśl, której sztab wyborczy E.Runowicza „(...) szalał, tyle, że bez ładu i składu. Gazety zapełniały się listami z wyrazami poparcia, apelami, by głosować na Runowicza (...)”. Autorka, jeśli sędzić po jej wypowiedziach, nie bardzo wie czym jest kampania wyborcza, z jakich podstawowych modułów winna się składać, co jest absolutnym standardem w zakresie realizacji strategii wyborczej. Nie sadzę też, aby owe „szaleństwa” sztabu wyborczego E Runowicza były przez autorkę obserwowane z innej, niż warszawska, perspektywy.

<sup>81</sup> Uniwersyteckie Centrum Badań Społecznych - pracownia badań społecznych i analiz zachowań rynkowych działająca przy Katedrze Komunikacji Społecznej i Zachowań Rynkowych WNEiZ Uniwersytetu Szczecińskiego. Wyniki wszystkich sondaży przedwyborczych UCBS były publikowane. Autor był w tym czasie odpowiedzialny w UCBS za przedmiotowy i metodologiczny aspekt badań.

<sup>82</sup> Mowa w tym miejscu o badaniach przeprowadzonych na zlecenie SLD we wszystkich miastach „prezydenckich”. Raport badawczy PENTORA dotyczący Szczecina nie został opublikowany.

wyjaśnienia, tendencja wzrostu liczby niezdecydowanych wyborców. Jednak, bardziej szczegółowa analiza danych ujawniła rzecz zaskakującą. Otóż, przemieszczając się kategorię „niezdecydowanych” tworzyły głównie osoby o poglądach lewicowych, głoszący w poprzednich wyborach parlamentarnych na SLD, zamierzający poprzeć SLD w wyborach do Rady Miasta.<sup>83</sup> W kolejnych sondażach, ta kategoria wyborców deklarowała zamiar poparcia M. Jurczyka. Pytani podczas badań o motyw takiej decyzji odpowiadali najczęściej, że „jemu się to należy”, że „zabito mu dzieci i niesłusznie oskarżono”, że „on przecież z SLD rządził i dogadywał się”.

Tak oto, w pierwszej fazie kampanii pojawił się kandydat o niekwestionowanej sile nazwiska, kandydat powszechnie znany, ogniskujący w swoim wizerunku cechy „prostego, uczciwego człowieka, człowieka dialogu, któremu historia przyznała rację i oddała sprawiedliwość”. Zadziałał tu niewątpliwie „syndrom ofiary”. W sposób naturalny jesteśmy skłonni współczuć i brać w obronę tych, których spotkała niesprawiedliwość. Wizerunek „pokrzywdzonego” działa na uczucia, emocje i powoduje chęć zrekompensowania temu człowiekowi jego przeszłości.

Podjęcie równorzędnej walki z kandydatem odwołującym się do uczuć i emocji, wykorzystującym instrumentalnie tragedię własną i własnej rodziny, kandydatem wzbudzającym litość i współczucie, jest nieomal niemożliwe w oparciu o program wyborczy, czy też jakkolwiek zdefiniowaną strategię wyborczą. Cóż bowiem, można przeciwstawić poparciu społecznemu, będącemu próbą kompensacji krzywd doznanych przez kandydata w dość odległej przeszłości? Tak ukształtowana postawa wyborcza, posiadająca charakter emocjonalny, jest w zasadzie niekwantyfikowalna racjonalnie. Próba zmiany postawy emocjonalnej poprzez merytoryczną, programową i racjonalną dyskusję jest bezcelowa, bowiem odwołuje się do jej zupełnie innego komponentu.

Trzecim, znaczącym kandydatem była profesor ekonomii Teresa Lubińska. Jej nośne hasło „Politykom dziękujemy”, skorelowane z powszechnie panującą niechęcią do elit politycznych, skupiało wokół niej znaczącą część niezadowolonej i spauperyzowanej ekonomicznie klasy średniej.

Wizerunek kobiety dynamicznej, wykształconej, a jednocześnie mówiącej językiem zrozumiałym dla przeciętnego odbiorcy, zagospodarowywał kobiecy elektorat, zróżnicowany pod względem wykształcenia, zawodu i sytuacji materialnej. Nie była to bowiem typowa przedstawicielka świata nauki - wystudiowana w gestach i retoryce. Powodowało to sytuację, w wyniku której kobiecy elektorat Teresy Lubińskiej tworzyły zarówno kobiety posiadające wykształcenie wyższe, prowadzące samodzielną działalność gospodarczą lub zajmujące kierownicze stanowiska, jak i gospodynie domowe, ekspedientki, kobiety bezrobotne, posiadające wykształcenie zasadnicze i średnie.

Kampanie wyborcze prowadzone przez T. Lubińską i E. Runowicza spełniały wszystkie wymogi stawiane tego typu działaniom. Były w pełni profesjonalne i wykorzystywały wszystkie stosowane narzędzia, zarówno w obszarze kampanii zewnętrznej (bilbordy, plakaty, ulotki), kampanii medialnej (spoty, ogłoszenia, apele), jak i bezpośredniej (spotkania wyborcze, kampania listowa).

Oczywistym jest, że nie uniknięto pewnych błędów. W przypadku kandydata SLD niewątpliwie, za nie do końca trafione, należy uznać spoty telewizyjne, które nie miały konkretnego adresata. Ich formuła, spójność logiczna i semantyczna, a nade wszystko wartość perswazyjna, pozostawiały sporo do życzenia. Również, część bilbordów Edmunda Runowicza została, nie wiedzieć czemu, wykorzystana do promocji kandydatów SLD startujących w wyborach do Rady Miasta. Powodowało to znaczący brak spójności wizerunku

<sup>83</sup> Analogiczne zachowania części elektoratu SLD ujawnia wspomniany raport PENTORA.



kandydata SLD na urząd prezydenta Szczecina. Kampania bezpośrednia (listowa) Teresy Lubińskiej rozpoczęła się zbyt wcześnie i trwała zbyt długo, co spowodowało pewne „zmęczenie” wyborców i mogło być przyczyną spadku „atrakcyjności kandydatki”.

Tymczasem, sztab wyborczy Mariana Jurczyka prowadził coś na kształt antytezy kampanii wyborczej. Ascetyczne, żeby nie powiedzieć prymitywne plakaty, brak bilbordów, oraz całkowita „cisza medialna”, dopełniały obraz „kampanii wyborczej” tego kandydata. Oczywiście, jasnym jest, że wizerunek Mariana Jurczyka nie mógł korespondować z bogatą kampanią. Trudno dziś odpowiedzieć: na ile te zabiegi były świadome, a na ile wynikały z braku środków finansowych? Nie jest mi znany przypadek, aby jakikolwiek specjalista w tej dziedzinie, doradził kandydatowi zaniechanie prowadzenia kampanii wyborczej. **Nie zmienia to w niczym faktu, że taki właśnie sposób prowadzenia kampanii był jednym z czynników prowadzących p. Jurczyka do zwycięstwa.** Warto wyraźnie podkreślić, że jest to swoisty fenomen - „kampania polegająca na braku kampanii”.

Do drugiej tury wyborów wchodzi E. Runowicz i M. Jurczyk. Rozpoczyna się ostatnia faza walki wyborczej, przy czym kandydat SLD walczy głównie sam ze sobą, bowiem przyszyły zwycięzca nie podejmuje rękawicy, stosując w dalszym ciągu antytezę kampanii wyborczej.

Badania przeprowadzone przez UCBS tuż przed II turą wyborów pokazały, że najbardziej liczne elektoraty kandydatów z I tury, zamierzają poprzeć Edmunda Runowicza. Z tego punktu widzenia, błędną była próba wykorzystania wizyty A. Kwaśniewskiego w celu zwiększenia poparcia dla E. Runowicza. To nie mogło podobać się wyborcom T. Lubińskiej, W. Puzyny (UW), M. Masłowskiej (PiS), którzy zamierzali poprzeć kandydata SLD. W ostatecznym rozrachunku, ta najliczniejsza kategoria wyborców, nazwijmy ją „wyborcami środka”, nie wzięła udziału w II turze. Z drugiej strony, znaczącym, obiektywnym czynnikiem zmniejszającym udział tej kategorii wyborców w II turze stał się, absurdalny z punktu widzenia frekwencji wyborczej, termin głosowania (środek długiego weekendu).

Jednak to, co miało decydujące znaczenie o zwycięstwie może wprawić w osłupienie analityków zjawisk politycznych. Marian Jurczyk zdecydował się na ogłoszenie przed II turą swojego programu. Składał się on z trzech punktów:

- zamrożenie czynszów komunalnych
- utworzenie przez Urząd Miasta banku udzielającego preferencyjnych kredytów dla bezrobotnych
- sprzedaż mieszkań komunalnych za złotówkę

Program ten musiał i doprowadził do mobilizacji wyborczej najuboższych mieszkańców miasta. Wieczorem 10 listopada 2002 roku w Szczecinie wszystko było jasne. Niekwestionowanym zwycięzcą został Marian Jurczyk, zrehabilitowana legenda Solidarności.

Niewątpliwie, przyczyny decydujące o sukcesie wyborczym Mariana Jurczyka, w niewielkim tylko stopniu wynikały z błędów jego kontrkandydatów. O zwycięstwie tego kandydata zdecydowało kilka czynników, które związane były głównie z osobą tego kandydata.

Po pierwsze, Marian Jurczyk uosabiał legendę „Solidarności” i walki z systemem totalitarnym. Jest człowiekiem powszechnie znanym. Każdy nieomal mieszkaniec Szczecina zna to nazwisko, niezależnie od jego konotacji. Po drugie, jego wizerunek miał charakter bardzo emocjonalny i kojarzony był głównie z doznanymi krzywdami przez M. Jurczyka. Był, i jest postrzegany, jako ofiara zarówno totalitaryzmu, jak i elit politycznych III Rzeczypospolitej, człowiek prosty, skromny i rozumiejący „zwykłego człowieka”.

Po trzecie, wizerunek osoby skrzywdzonej został niejako zinstytucjonalizowany uniewinniającym wyrokiem sądu, co dodatkowo wzmocniło przekonanie o jego uczciwości i prawdomówności.

Po czwarte, wszystkie wyżej wymienione elementy wizerunku zostały wzmocnione przez „ascetyczną” kampanię wyborczą, która powodowała wrażenie „odpowiedzialności” kandydata, jego „rozumienia dla sytuacji ubogich” i wynikającej stąd oszczędności.

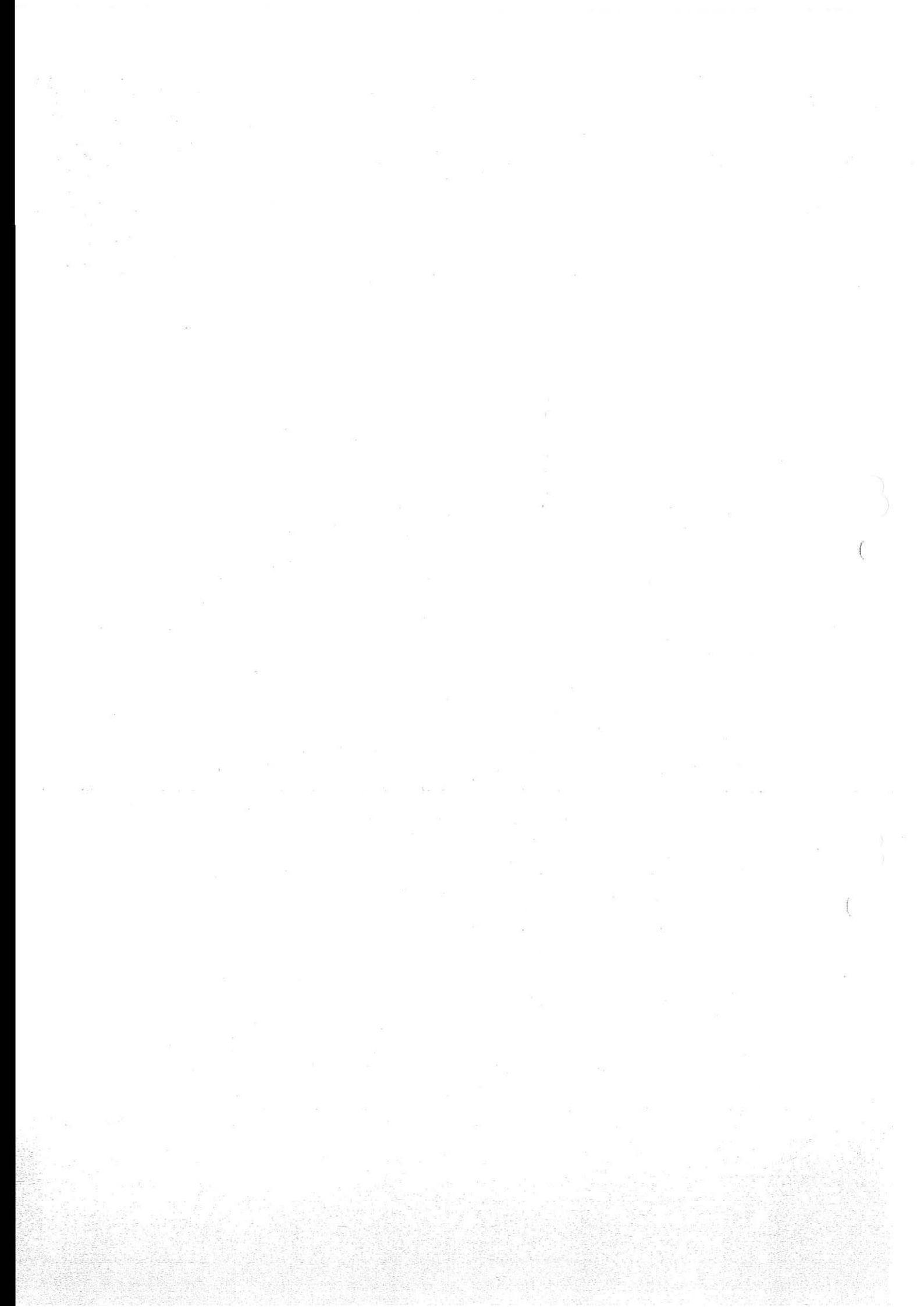
Po piąte, M. Jurczyk posługiwał się bardzo nośnym i zwięzłym programem wyborczym, który był równie prosto artykułowany.

Wszystkie te elementy, w połączeniu z „ciszą medialną” sztabu Mariana Jurczyka stawały pozostałych kandydatów w niezwykle trudnej sytuacji. Nie mieli bowiem, szansy na podjęcie próby zdewaluowania programu tego kandydata, czy choćby jakkolwiek rozumianej polemiki.

Historia prezydentury Jurczyka jest równie ciekawa i fascynująca, co jego droga do zwycięstwa wyborczego. Jest ona również przykładem pojawiania się tych samych zjawisk w działaniach **lokalnych elit politycznych**, zjawisk, które obserwujemy wśród **elit parlamentarnych**. Jak słusznie czytelnik się domyśla, żaden z punktów programu wyborczego obecnego prezydenta Szczecina nie został zrealizowany. Prezydent stwierdził w kwestii banku miejskiego - „Niech się wypowiedzą fachowcy” - a ci orzekli, że realizacja tego pomysłu jest niemożliwa. Zamrożenie czynszów jest obecnie niemożliwe ze względu na stan budżetu miasta, a na sprzedaż mieszkań za złotówkę nie pozwala prawo. Tak oto program wyborczy spełniając swoje zadanie, przestał być potrzebny. Jest to nieomal klasyczny przykład braku **adekwacji politycznej**.

Na początku tego podrozdziału stwierdziłem, że historia prezydentury Mariana Jurczyka, może stanowić asumpt do odniesień odnoszących się do systemowych, instytucjonalnych barier aktywności wyborczej Polaków. Jakże często, nieomal wszyscy - dziennikarze, socjologowie, politolodzy a także sami politycy - narzekają na niski poziom uczestnictwa Polaków w wyborach, a szerzej: w życiu politycznym i społecznym. Często, w rozlicznych komentarzach, pojawia się zawalutowana supozycja, że odpowiedzialność za niski poziom rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, ponoszą sami obywatele. Narzekania owe, są, proszę czytelnika o wybaczenie, przejawem naszej hipokryzji. Ale, do rzeczy.

Dwudziestego trzeciego maja 2004 roku odbyło się w Szczecinie referendum „W sprawie odwołania prezydenta miasta Szczecina przed upływem kadencji”. Nie są w tym miejscu istotne powody, uwarunkowania, a tym bardziej zasadność zgłoszenia takiego wniosku przez opozycję. Przykład ten bowiem, służyć ma pokazaniu pewnego mechanizmu, nie zaś ocenę kogokolwiek, na co zresztą nie pozwalają mi elementarne kanony naukowe obiektywizmu. Wyniki referendum okazały się być nieważne, ponieważ nie został spełniony warunek uczestnictwa 30% uprawnionych do głosowania. Czytelnika powyższy fakt zapewne nie dziwi, bowiem zdecydowana większość referendum lokalnych, tzw. odwoławczych, kończy się w dokładnie ten sam sposób. **Znamienne jest wszelako, że za odwołaniem Prezydenta Szczecina głosowało więcej wyborców (56422) niż go poparło w wyborach, w wyniku których objął ten urząd (53981)**. Wynik ten, rzecz jasna, nie ma żadnego znaczenia, ponieważ Ustawodawca przyjął kryteria ważności referendum całkowicie oderwane od rzeczywistości. Jeśli wiemy, że poziom frekwencji wyborczej w Polsce jest niski i w dodatku ciągle spada, to jasnym jest, iż wprowadzenie tak wysokiego progu ważności referendum lokalnych jest faktycznym zablokowaniem inicjatyw i aktywności obywatelskiej. Raz jeszcze podkreślam, że nie interesują nas w tym przypadku pobudki i zasadność wnioskodawców w referendach odwoławczych, gdziekolwiek by one się odbywały i kogokolwiek by dotyczyły.



Do jeszcze bardziej kuriozalnych sytuacji może dość tam, gdzie frekwencja wyborcza w wyborach np. burmistrza miasta X wyniosła mniej niż owo „zaczarowane” 30%. Wówczas, aby odwołać owego włodarza miasta, aby w ogóle uznać ważność tego aktu aktywności obywatelskiej, jakim jest udział w referendum, będzie potrzebna większa mobilizacja społeczna, niż ta, która towarzyszyła jego wyłonieniu. Udział obywatela w tak frustrującym i irracjonalnym układzie instytucji referendum lokalnego może, i najczęściej prowadzi do jednego, jakże niepożądanego społecznie wniosku: „**nic nie można zrobić, nic nie można zmienić, więc po co się angażować**”.

Najczęściej mowa jest o mentalnych, świadomościowych barierach aktywności obywatelskiej. Opisany przykład jest dowodem na istnienie **instytucjonalnych barier owej aktywności**. Dziwne jest, że przez sześć lat obowiązywania art. 55 stawy z dnia 15 września 2000 r. o referendach lokalnych, Ustawodawca nie pochylił się nad jego zapisami, które wyraźnie są oderwane od rzeczywistości, przez co powodują bardzo negatywne skutki w obszarze zachowań obywatelskich.

Rozwiązanie jest przecież tyleż proste, co i oczywiste. Należy powiązać próg ważności referendum odwoławczego z poziomem frekwencji aktu wyborczego, który doprowadził do wyłonienia danego organu władzy samorządowej. Kwestią drugorzędną i bardziej techniczną jest ustalenie, czy ma to być 80%, 50% czy może 100% biorących udział w elekcji. Niewątpliwie jednak, tego typu zmiana, mogłaby stworzyć warunki do zwiększenia zainteresowania obywateli sprawami ich społeczności lokalnych.

Dzieląc się z czytelnikiem spostrzeżeniami odnoszącymi się do sposobu uprawiania polityki w Polsce nie miałem zamiaru ani też ambicji „całościowej analizy” mechanizmów, czynników, uwarunkowań czy motywów, którymi kierują się, które stosują polskie elity polityczne. Moim celem było jedynie zwrócenie uwagi na kilka przynajmniej negatywnych zjawisk towarzyszących osiągnięciu celów przez polityków. Nie zamierzam powtarzać wcześniej sformułowanych hipotez, bo tak należy traktować zaprezentowane przeze mnie propozycje wyjaśnień analizowanych zjawisk. Pragnę jedynie w tej części pracy przywołać słowa Karola Modzelewskiego, które, jak mi się wydaje, korespondują z głównym, przyjętym przeze mnie założeniem o braku identyfikacji i tożsamości ideowej partii politycznych w Polsce.

„Pokusa autorytaryzmu to integralny element wielkich napięć społecznych towarzyszących neoliberalnej transformacji gospodarki. Zagrożenie dla demokracji wynika jednak także z dziedzictwa niedawnej przeszłości. (...) To dziedzictwo nie ma ideologicznego zabarwienia.(...)”

*Tu nie chodzi o ideologię, ale o model władzy”<sup>84</sup>*

W drugiej części pracy, czytelnik będzie miał okazję skonfrontować zaprezentowane dotychczas hipotezy z głosem bohaterów tej książki, z głosem przedstawicieli elit politycznych. Oddajmy zatem głos politykom.

<sup>84</sup> K.Modzelewski: *Quelle voie apres le communisme* (w:) Editions de l'Aube, Paryż 1995, s.168.



*Staralem się bardzo ani nie wyśmiewać ludzkiego dractwem,  
ani się nad nim nie użalać,  
ani go nie nienawidzić,  
lecz je zrozumieć*

*Spinoza*

## *Część II*

### **Autoportret elit politycznych III Rzeczypospolitej**

Ta część książki w całości jest poświęcona prezentacji narracyjnych wypowiedzi przedstawicieli elit politycznych III Rzeczypospolitej. Pojawia się pytanie o dobór reprezentacji polityków. Czytelnikowi należą się wyjaśnienia w tym względzie. Otóż, starałem się, aby politycy udzielający wywiadów, reprezentowali możliwie szerokie spektrum przynależności partyjnej<sup>1</sup>. Zależało mi jednak głównie na tym, aby byli to politycy, którzy reprezentują wszystkie szczeble władzy w Polsce - parlament (Sejm i Senat), samorząd terytorialny - oraz środowiska polityczne, które w wyniku decyzji wyborców, znalazły się poza strukturami władzy.

O reprezentatywności elit politycznych, szczególnie w polskich warunkach, nie decyduje jedynie formalna przynależność do tej, czy innej, partii politycznej. Częste zacieranie się różnic między partiami, stała dekompozycja sceny politycznej, „nomadyzm”<sup>2</sup> sporej części polityków, to tylko niektóre zjawiska powodujące, że o reprezentatywności elit decydują bardziej złożone czynniki, czynniki o charakterze osobowościowym, biograficznym, mentalnym. Krótko mówiąc: starałem się aby reprezentowane były zróżnicowane wizje rozwoju Polski, posiadające odmienne rodowody, egzemplifikujące się w różnicach biografii polityków.

Czytelnik będzie mógł się przekonać, że zaproszeni przeze mnie politycy, prezentują diametralnie odmienne wizje rozwoju Polski, różni ich ocena przemian po 1989 roku, inaczej postrzegają rolę polityka. Są wśród nich zwolennicy i przeciwnicy Unii Europejskiej. Inne są ich drogi do świata polityki.

Nie wszyscy politycy, których poprosiłem o wywiad, wyrazili nań zgodę, kiedy dowiadywali się, że wywiad socjologiczny nie podlega autoryzacji.... Nie ze wszystkimi udało mi się skontaktować. Oczywiście, nie wymienię ich nazwisk. Podam tylko jeden, symptomatyczny, jak sądzę, przykład. Usiłowałem skontaktować się telefonicznie z jednym, z najbardziej prominentnych (wtedy i obecnie) polityków. Okazało się, że jego telefon służbowy znajduje się nieustannie w posiadaniu kierowcy służbowej limuzyny i to on (kierowca) dokonuje selekcji połączeń z Panem... Po trzech rozmowach z pretorianinem Pana..., zrezygnowałem.<sup>3</sup>

<sup>1</sup> Klasyczny podział elit politycznych – prawica, lewica, centrum- zastał zachowany.

<sup>2</sup> Nomadowie: koczujące ludy pasterskie w Azji, Afryce i Australii.

<sup>3</sup> Telefon, limuzyna i kierowca „należeli” do Kancelarii Sejmu RP.

## I. Władysław Frasyński

(Nota biograficzna w całości przygotowana przez autora książki w oparciu o wypowiedź autobiograficzną W. Frasyńskiego)

Władysław Frasyński, rocznik 1954, wychował się w nietypowej, jak sam twierdzi, rodzinie. Ojciec był przedstawicielem klasy robotniczej, natomiast matka pochodziła z zamożnej, inteligentnej rodziny, w której kultywowano tradycyjne wartości. Oboje rodziców odegrało istotną rolę w kształtowaniu charakteru przyszłego opozycjonisty i legendy „Solidarności”. Ojciec był wzorem opanowania, trzeźwej oceny sytuacji, konsekwencji, pragmatyzmu, a także sprawności fizycznej, która przydała się młodemu rewolucjonście w czasie jego działalności podziemnej i pobyków w komunistycznych więzieniach. Matka, nauczyła syna szacunku dla wiedzy, otwartości na innych ludzi, tolerancji.

Młody Frasyński dość szybko rozpoczął samodzielne życie. Ukończywszy szkołę średnią, rozpoczął pracę jako kierownik w „Transbudzie”, a następnie w MPK we Wrocławiu. Jego marzeniem była praca kierownika TIR -a. To marzenie zrealizuje dopiero w wolnej, niepodległej Polsce. Tymczasem, ten temperamentny młodzieniec - jak sam o sobie mówi - ma do odegrania niepoślednią rolę w historii kraju, tyle tylko, że jeszcze o tym nie wie.

Inicjator i uczestnik strajków sierpniowych, w 1980 roku zostaje wiceprzewodniczącym Dolnośląskiego Regionu Solidarności, a od 1981 roku - jego przewodniczącym. W stanie wojennym jest jednym z najbardziej poszukiwanych przez SB działaczy podziemia, którego jest współtwórcą. Dwukrotnie aresztowany i skazany za swoją działalność. Pierwszy pobyt w więzieniu: 1982-84, drugi: 1985-86. Współtwórca Unii Demokratycznej, a po jej przekształceniu w Unię Wolności pełnił funkcję wiceprzewodniczącego tej partii. Od 2001 roku był jej przewodniczącym. Jako wieloletni poseł nigdy nie pobierał wynagrodzenia poselskiego i nie piastował żadnej funkcji rządowej.

O ile bardzo chętnie, pan Frasyński, wyraził zgodę na wywiad, to bardzo trudno namówić Go na rozmowę o jego dokonaniach w działalności, która doprowadziła do historycznych zmian, nie tylko w Polsce przecież. Ten, jeden z najbardziej znanych, działaczy „Solidarności”, twórca podziemia w stanie wojennym, więzień komunistyczny twierdzi, że jego rola w procesach, które doprowadziły do odzyskania przez Polskę niepodległości, była dziełem przypadku. Najbardziej charakterystyczną cechą wypowiedzi, w której opisuje czasy działalności opozycyjnej, jest poczucie humoru.

Wrzesień 2003 roku

**Waldemar Urbanik:** Czy Pana zdaniem mamy do czynienia z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak, to jakie są tego przyczyny?

**Władysław Frasyński:** Moim zdaniem nie ma radykalizacji nastrojów społecznych, jest jedynie radykalizacja w tych grupach społecznych, które tkwią głęboko w strukturach organizacyjnych poprzedniego systemu lub wśród tej grupy społecznej, która nie ma żadnych profitów, profitów płynących z przekształceń własnościowych, czy też z przekształceń systemowych.

Mógłbym powiedzieć, że po prostu część społeczeństwa się na owe profity „nie załapała”, więc większość ludzi jest sfrustrowanych i oni nawet nie są radykalni. Do tej grupy

należy ta część społeczeństwa, która jest związana z postpegeerowskim, czy popegeerowskim środowiskiem i tam większa jest frustracja niż radykalizm.

To jest grupa społeczna, która moim zdaniem pogodziła się ze swoim losem i nawet powiedziałbym, że jest genetycznie obciążona bezrobociem. Obawiam się, że raczej należałoby się zająć dziećmi tych środowisk, żeby nie uległy właśnie takim procesom społecznej apatii, niż upatrywać w tych środowiskach źródeł radykalizacji nastrojów społecznych.

Natomiast faktem jest radykalizacja nastrojów w środowiskach przemysłowych. Myślę tu o górnictwie, hutnictwie, o tych wielkich grupach robotniczych, które troszeczkę żyją w skansenie, i ani władza, ani oni nie mają wyobraźni w jaki sposób przekształcić, wejść w inną rzeczywistość.

Moim zdaniem pozostała część społeczeństwa w tej chwili - dotyczy to zwłaszcza sektora prywatnego - nie radykalizuje się. Raczej mamy do czynienia z nastrojami lęku i obawy przed przyszłością niż nastrojami rewolucyjnymi.

**W.U:** Czym wytłumaczyłby Pan zatem wzrost poparcia - oczywiście nie mówię o wahaniach sondaży wszelkiego rodzaju - dla takich ugrupowań jak „Samoobrona” i „Liga Polskich Rodzin”. Faktem jest, że te ugrupowania weszły do parlamentu i to z niezłym wynikiem, w porównaniu chociażby do Pana partii.

**W.F:** Wydaje się to dość oczywiste dlatego, że jeśli się patrzy na dane statystyczne to w Polsce mamy w tej chwili - pewnie zaokrąglę i to na plus - 30% społeczeństwa ze średnim i wyższym wykształceniem. To nie jest mniej niż w '89 roku. Jak pamiętam od 7 do 8% to byli ludzie z wyższym wykształceniem. W sumie było około siedemnastu, osiemnastu procent ludzi z wyższym i średnim wykształceniem.

Moim zdaniem w Polsce jest cały czas grupa około 20 - 25% obywateli, która nie rozumie nowej rzeczywistości, nie akceptuje nowej rzeczywistości i nie znajduje miejsca w tej nowej rzeczywistości. To jest grupa, do której odwołuje się niewątpliwie „Liga Polskich Rodzin” a nawet powiedziałbym: nie „Liga Polskich Rodzin”, tylko tak naprawdę Ojciec Rydzyk i „Radio Maryja” dlatego, że dzisiaj się to nazywa „Liga Polskich Rodzin” przedtem to się nazywało „Akcja Katolicka”, a jeszcze wcześniej pewnie się nazywało... , no właśnie, jak...? Powiedziałbym, że ośrodkiem politycznym, dyspozycyjnym jest niewątpliwie radio, radio które się odwołuje do takiej swoiście pojmowanej wrażliwości narodowo-katolickiej. To jest dość oczywiste.

Przez ostatnie parędziesiąt lat żyliśmy w systemie komunistycznym i dla wielu ludzi kościół katolicki był ostoją wolności, religia katolicka była gwarancją przyzwoitości i stąd myślę, że w Polsce jest cały czas obecny, stosunkowo duży margines ludzi, dla których narodowo - katolickie tradycje są ważne w uprawianiu polityki.

Natomiast Andrzej Lepper jest fenomenem swego rodzaju. Przecież Andrzej Lepper korzysta z niekompetencji, braku konsekwencji polityków. Mianowicie, mam takie wrażenie, że gdyby rząd Tadeusza Mazowieckiego nie załamał się i gdyby skończył proces reformowania państwa, gdyby społeczeństwo namacalnie dotknęło owoców tych przekształceń, miało dowód sukcesów, poprawę warunków życia, to myślę, że partia Leppera jako niewątpliwie elektorat ludzi sfrustrowanych, nie akceptujących rzeczywistości, obawiających się każdej reformy, bo każda reforma jest podniesieniem poprzeczki, nowym wyzwaniem, nowym ryzykiem, nowym zagrożeniem, to myślę, że ta grupa sfrustrowanych ludzi, która wspiera Andrzeja Leppera byłaby mniejsza. Do tej grupy dołączyły niestety także środowiska miejskie. Myślę, że Andrzej Lepper opiera głównie swój elektorat o wieś, która jest bardzo konserwatywna. Wieś, która została pozostawiona sobie, nie została objęta tak naprawdę próbą zarysowania reform o charakterze systemowym. Zresztą już Tadeusz Mazowiecki podjął taką decyzję, że tym powinny zająć się partie o rodowodzie chłopskim, żeby były bardziej wiarygodne. Partie o rodowodzie chłopskim - myślę to głównie o PSL-u -

były zainteresowane tym, żeby na wsi „przetrawo” 38% polskiego społeczeństwa, bo to są po prostu wyborcy i ci politycy, w żaden sposób, nie byli zainteresowani jakąkolwiek zmianą lub reformą. Badania, jak pamiętam, pokazywały, że nawet jeśli palcem nie tkniemy, to i tak naprawdę w konsekwencji, na polskiej wsi zostanie 14% polskiego społeczeństwa, jakoś tam żyjące z uprawy rolnej lub okołorolnej.

Reformy mogły ten proces przyspieszyć lub stworzyć nowe warunki, aby w bardziej cywilizowany sposób dać szansę na to, by pozostała część społeczeństwa poszukiwała pracy we wszystkich sferach okołorolniczych. Tu nic nie zrobiono. To był naturalny, powiedziałbym, elektorat ludzi sfrustrowanych. Ludzi, którzy się zorientowali, że z 5 ha wyżyć się już nie da. Dawna warstwa chłopów-robotników, to również jest elektorat Andrzeja Leppera. Do tego „dobił” mały, rodzinny biznes miejski. Powiedziałbym, że psychologicznie jest to dość łatwe do wytłumaczenia. Ci ludzie, mam na myśli mały biznes, wystartowali w '89 roku z przekonaniem, że człowiek, który inwestuje, będzie wsparty przez państwo. Jak się okazało, państwo nie tylko nie wsparło tych przedsiębiorczych i aktywnych ludzi, a wręcz przeciwnie, wyprodukowało tysiące instytucji kontrolnych, które dołożyły ostre fiskalne rygory. Można powiedzieć, że sprawdziło się takie powiedzenie ulicy, że „prawo stosowane jest tylko wobec biednych i frajerów”. W ten sposób rosła frustracja. Rosła dlatego, że rozwijała się korupcja, trwał napływ hipermarketów, wchodziły na nasz rynek firmy zagraniczne, co w połączeniu z brakiem wsparcia dla małego i średniego biznesu spowodowało, że te grupy przeżywają bardzo poważny kryzys. Moim zdaniem tam pojawiają się nastroje rewolucyjne dlatego, że to są ich miejsca pracy i ci ludzie mają świadomość, że im śmierć zagląda w oczy. Dotyczy to głównie sfery handlowo-kupieckiej. Oni przeżywają straszliwy kryzys, podobnie zresztą jak rzemieślnicy, ale tu sytuacja jest mniej rewolucyjna.

**W.U:** Czym zatem wytłumaczyć, właściwie nie klęskę, ale totalną porażkę ugrupowań posierpniowych? Oczywiście mam na myśli „AWS” i „Unię Wolności”.

**W.F:** Czym innym jest „AWS” a czym innym jest „Unia Wolności”. My zapłacili cenę za to, że byliśmy jedyną partią która konsekwentnie mówiła reformować i jeszcze raz - reformować. Pod koniec kadencji Sejmu, w którym jeszcze byliśmy, słowo reforma było słowem tak samo drażliwym jak każde inne przekleństwo. Czyli ludzie nie chcieli słuchać o reformie, nie chcieli reform. Każda reforma, która była wdrażana, każda ważna zmiana systemowa była związana z nazwą „Unia Wolności”. Każdy zarzut, każda patologia związana ze zmianą ustawodawstwa, czy ze zmianą funkcjonowania tej, czy innej grupy zawodowej, była przypisywana „Unii Wolności”. W związku z tym, wszystko to, co było złe, było wpisywane na konto „Unii Wolności”. Przypomnę, że „Unia Wolności” nigdy nie miała ministra od prywatyzacji, tak to nazwijmy w uproszczeniu, a mimo to gdyby Pan zapytał kto sprywatyzował banki, albo dlaczego ktoś kupował duży bank - ja pamiętam jaki to minister robił - ale za każdym razem jest to przypisywane „Unii Wolności”. Wszystko to, co jest związane z modernizacją państwa, ale także z zagrożeniami, jest związane z „Unią Wolności”. Mógłbym powiedzieć, że „Unia Wolności” popełniła mnóstwo błędów dlatego, że „Unia Wolności” myślała w kategoriach państwa, przestrzeni dla ludzi przedsiębiorczych. Tyle tylko, że zasadniczy błąd Unii polegał na tym, iż nie poparła nigdy tych, którzy w tą przestrzeń wchodziłi. Nie poparła ludzi przedsiębiorczych, aktywnych, kształcących się. Nie poparła ludzi z wyższym wykształceniem, ludzi, którzy zmieniają tak naprawdę państwo, bowiem przecież państwa nie zmienia przepis, tylko zmieniają ludzie, którzy korzystają, bądź nie potrafią skorzystać z takiego czy innego zapisu ustawy. To był największy błąd!

„Unia Wolności” pozostaje jedyną partią, która nie odwołuje się do negatywnych emocji i jedyną partią, która nie lobbowała interesów żadnej z grup społecznych, a nawet powiedziałbym, że w trakcie swojego długiego działania bardzo często występowała przeciwko partykularnym interesom np. nauczycieli. Nie pozyskaliśmy środowiska



akademickiego. To jest trudny elektorat, wymagający elektorat. To jest elektorat myślący i ten elektorat poczuł się zmęczony, a nawet powiedziałbym więcej, poczuł się stracony.

Można powiedzieć, że wszystkie pozostałe partie odwoływały się do dużych grup społecznych. Proszę zwrócić uwagę, że dotyczy to wszystkich partii i trwa to do chwili obecnej. Nawet teraz, kiedy prowadzimy wywiad, pewnie pięciu różnych polityków mówi jakie to państwo jest biedne, skorumpowane i chore i jak trzeba tym biednym ludziom nieba przychylić. Mówił to zawsze - pamiętam - Ryszard Bugaj. Ekonomista, przecież. Tylko ja mu zawsze tłumaczyłem, że to wszystko z czym on walczył to błąd i że cała jego polityka doprowadzi do tego, że w którymś momencie znikną zarówno mali, jak i średni przedsiębiorcy. Zostanie parę dużych przedsiębiorstw i wtedy Bugaj otrzeźwieje. Okaże się nagle, że mamy do czynienia z katastrofą.

Unia zapłaciła cenę za to, że nie reprezentowała tego elektoratu, który nie odwołuje się do populizmu i demagogii. Przegrała także dlatego, że wszystkie pozostałe partie odwoływały się właśnie do nieszczęścia, biedy, do populizmu. Proszę zwrócić uwagę, wszyscy bronią górników, wszyscy bronią hutników, wszyscy bronią rolników. To wcale nie oznacza, że tym górnikom, hutnikom, rolnikom jest źle. Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem jest ciężiej dlatego, że koszty ich utrzymania, przerastają możliwości naszych portfeli.

Trzeba też, uczciwie powiedzieć, że drugą częścią porażki UW jest zaniechanie edukacji. I to nie tej edukacji w ramach nauki i oświaty - choć i tu mamy grzechy, ale e d u k a c j i p o l i t y c z n e j. Proszę zwrócić uwagę, że jesteśmy w gospodarce rynkowej, jesteśmy społeczeństwem demokratycznym i niewielka część społeczeństwa jest w stanie korzystać z tych przywilejów demokracji. W Polsce podatnik jest słowem obcym tzn. podatnik-obywatel nie ma świadomości, że on łoży na państwo. Nie ma świadomości, że państwo kupując samoloty F16, czy kupując transportery opancerzone korzysta z jego pieniędzy. Czyli mówiąc krótko, te pieniądze, które my łożymy na państwo są wydawane na zbrojenie, a nie np. na edukację i oświatę. Dlaczego? Bo obywatel nie jest w stanie, wie Pan, jakby zachować się godnie tzn. zażądać od państwa właściwego, przyzwoitego traktowania. Powiedziałbym więcej, państwo jest niechętnie i agresywne wobec obywatela. Lekceważy obywatela. Natomiast podatnik - być może to jest związane z mentalnością wynikającą z braku wspomnianej edukacji politycznej - zachowuje się tak, jakby był jeszcze w systemie komunistycznym tzn. płaci, milczy i pokornie czeka, aż to państwo się zmieni.

Doprowadziliśmy do tego, że dzisiaj nie ma pozytywnego bohatera w Polsce. Można powiedzieć, że jak się przegląda gazety, to pozytywnym bohaterem jest jakiś „Oczko”, „Szczer”, „Dziad”, „Baba”, czy inny „Pershing”. Często też, pozytywnym bohaterem jest jakiś nieudacznik. Natomiast wszyscy ci, którzy ciężko pracują, kształcą się, nie są bohaterami do naśladowania. Powiedziałbym nawet więcej, wykształcenie i wiedza, inteligencja i kultura, są przeszkodą w dobrym radzeniu sobie z rzeczywistością. Ja sobie nie wyobrażam, żeby przedsiębiorca powiedział: „Odniosłem sukces, przebiłem się, miałem pomysły, zarobiłem pieniądze, zatrudniam ludzi”. Ja nie wyobrażam sobie, żeby ktoś publicznie manifestował radość z sukcesu, bo natychmiast wszystkie instytucje państwowe, jakiś dumnowaty urzędnik zapyta: „Kto mu kurwa na to zezwolił? Kto go kontrolował, że nie wiemy, w jaki sposób facet odniósł sukces?”

Moim zdaniem jest to powrót do takiej swoistej mentalności bolszewickiej, mentalności PRL-owskiej, nie wiem zresztą jakiej właściwie, bo nie jestem antykomunistą i nie chciałbym używać słów rodzących konflikt, ale moim zdaniem to jest mentalność lat siedemdziesiątych a nie mentalność lat dziewięćdziesiątych. To jest przerażające i widać to także w prywatnym sektorze. To znaczy, że zwykła, ciężka praca, wie Pan, nie jest wartością. Ludzie znowu zaczynają kombinować, co by tu „dopisać” lub „odpisać” i jakby tu „nie popracować”.

Unia Wolności zapłaciła wysoką cenę dlatego, że powiedziała, iż będzie ciężko i było ciężko. Unia Wolności zapłaciła cenę dlatego, że powiedziała, iż trzeba pracować, a dopiero efekty tej pracy, mogą się przekładać na nasze portfele. Moim zdaniem, Unia Wolności zapędziła ludzi do ciężkiej pracy, do większego wysiłku i to ludzie nam pamiętają.

Niestety, po Mazowieckim każda ekipa rządząca, każdy z premierów jak mógł tak spowalniał procesy przemian państwa. Poza tym, już wszyscy wiedzieli, że praca się nie opłaca, że ryzyko polityczne zmian jest po prostu za dużym ryzykiem. W efekcie dochodziło do sytuacji, w której na polskiej scenie politycznej w dzisiejszym parlamencie nie ma nikogo, kto by się odwoływał do intelektu, a wszyscy natomiast wpadają w populizm. Powiedziałbym, że pojawia się nowe zjawisko populizmu intelektualnego, którego przykładem może być „Platforma Obywatelska” i „PiS”. Myślę tu m.in. o zmianach w konstytucji. Jeśli poważni politycy mówią o tym, że można by zredukować Sejm, no o połowę powiedzmy, i odebrać posłom darmowe przejazdy, to powiedziałbym, że to już jest demagogia na poziomie „Samoobrony”. A jeśli inni poważni politycy mówią o tym, żeby konstytucyjnie zagwarantować Pierwszy Program dla rządzących, a Drugi Program dla opozycji, to na Boga... no to naprawdę człowiek się zastanawia gdzie jesteśmy.

„AWS” - wie Pan, być może politycy wyciągnęli wnioski z pierwszej spektakularnej porażki, o której społeczeństwo już zapomniało. Pierwsza spektakularna porażka, to porażka Tadeusza Mazowieckiego, nie z Lechem Wałęsą, tylko z Tymińskim - człowiekiem znikąd. Wyciągnięto wnioski negatywne - praca, przyzwoitość, to nie są dobre atrybuty polityka. W efekcie ludzie wierzą politykom, którzy dużo obiecują. Ludzie żyją marzeniami. To jest trochę tak, jak w komunizmie. Polacy włączali jakiś serial amerykański i oglądali te kolorowe stroje i te piękne samochody i tak mocno wierzyli, że „Solidarność” taką właśnie bajkę im da. Liczyli, że ten ekran telewizora stanie się rzeczywistością i to, moim zdaniem, mentalnie gdzieś w nas zostało.

Niebezpieczne jest to, że my jesteśmy pokoleniem, kolejnym straconym pokoleniem. Myślę, że tak można nazwać pokolenie „Solidarności”, tak ja bym je nazwał.

To Pan jest socjologiem, to Pan może to zjawisko zdefiniować, ale niewątpliwie jest to pokolenie, które nie uczestniczyło w represjach stalinowskich, to jest to pokolenie, które odważyło się na walkę, bo i też nie miało wyobraźni jak funkcjonuje system totalitarny. Jest ono niewątpliwie pokoleniem przetrąconych nadziei. Stan wojenny przetrącił kręgosłupy, bo się nagle okazało, że nie wszyscy stali się bohaterami narodowymi i to spowodowało, że „Solidarność” po '89 roku, „Solidarność” w sensie sposobu myślenia, sposobu działania, już nigdy się nie odrodziła.

Porażka AWS-u, moim zdaniem, wynikała również z tego, że osiągnęła ona wielki sukces. Raz jeszcze ludzie uwierzyli. Do AWS-u, do Mariana Krzaklewskiego, dołączyli wtedy ludzie, którzy wycofali się z polityki, czyli wróciło m.in. zaplecze akademickie, które uwierzyło, że znowu powstaje wielki ruch solidarności, ruch który związany jest z poczuciem sprawiedliwości, przyzwoitości. Nagle jednak, okazało się, że tam jest mnóstwo niekompetentnych ludzi, że tam są ludzie, wie Pan, będący symbolem takiej niekompetencji jak np. pan Alot. Przyzwoicie przygotowana reforma, przyzwoita reforma, która załamuje się na skutek niekompetencji. To jest jak symbol tamtych czasów.

Nikt nie kwestionuje konieczności reform, które były wprowadzane, nawet „SLD”. Kwestionuje się natomiast sposób, jakoś wprowadzania tych reform i myślę, że dotyczy to zarówno reformy służby zdrowia, gdzie na czele stanęła bardzo niekompetentna osoba, czy ZUS-u, gdzie już zupełnie niekompetentna osoba była reformatorem. Pierwsza „Solidarność”, „Solidarność” lat osiemdziesiątych odwoływała się do kompetencji i rzetelności, do wiedzy. To nie jest przypadek, że na czele strajku stawali wysoko wykwalifikowani robotnicy, to było wyrazem szacunku dla profesji. O tym „Solidarność” zapomniała.

Inną przyczyną porażki AWS był brak poczucia honoru i godności. Oni schylali się po każde pięć złotych dla siebie. Wie Pan, tak nie można. Trzeba mieć jakąś godność. Ja nie chcę powiedzieć, że „Solidarność” mogła być idealna, że pokolenie lat osiemdziesiątych jest bez skazy, ale na Boga, nie po każde pięć złotych! I to był, wie Pan, zenujący spektakl i dzisiaj po latach widzimy, że po prostu byli to często kompletni durnie, że wielkie pieniądze wyprowadzali ludzie związani z dawnym systemem, a byli działacze opozycji otrzymywali, przy okazji jakieś kretyńskie obrywy. Brak honoru, moim zdaniem, brak poczucia takiej zwykłej przyzwoitości, spowodowały, że AWS znikła ze sceny politycznej.

Na to wszystko nałożyła się pamięć wsteczna, że przypomnę, iż rząd Hanny Suchockiej, został obalony przez ówczesny Klub „Solidarności” w najgłupszej z możliwych, sytuacji, w sytuacji, kiedy kumulowały się pozytywy zmian zrealizowanych przez „pierwszego Balcerowicza”. Kiedy zaczynała się koniunktura gospodarcza i kiedy po raz pierwszy w budżecie państwa była nadwyżka. Rząd Suchockiej, który ja krytykowałem za rozdrobnienie, za katolicki fundamentalizm jego urzędników, to ten rząd doprowadził do tego, że w budżecie państwa były pieniądze na niezbędne reformy systemowe, te reformy, które robił Buzek cztery lata później, ale jak koniunktura się już skończyła. Powiedziałbym tak, że jak dzisiaj patrzę z perspektywy czasu, to ja sam, niestety, broniłem Jurka Osiatyńskiego. Był atak na Osiatyńskiego i także w mojej partii były oczekiwania, że ta nadwyżka budżetowa zostanie wydatkowana przed kampanią wyborczą np. na pensje nauczycieli, czy pensje pracowników akademickich. Osiatyński natomiast, sensownie tłumaczył, że to są pieniądze na niezbędne reformy o charakterze systemowym, że trzeba zrobić reformę finansów publicznych, że trzeba obniżyć koszty funkcjonowania państwa.

Ja wiedziałem, że to co mówił Osiatyński, że to jest racjonalne, ale wygrało „SLD”. Nic z tej nadwyżki nie zostało. Nikt nie zyskał, nikt nie stracił. Nie zrobiono żadnych reform. Cztery lata zmarnowano, cztery lata! Każda reforma systemowa to jest inwestycja, to są pieniądze. Dlatego moim zdaniem reformy AWS były obciążone dużym ryzykiem braku środków na start tych reform. Tak bym odpowiedział na Pana pytanie. Moja odpowiedź jest zapewne subiektywna, ale innej nie znam.

**W.U:** Jakie są Pana zdaniem przyczyny wskazywanego już od dłuższego czasu spadku zainteresowania Polaków życiem politycznym? Widać wyraźnie zjawisko wycofania się Polaków z życia politycznego. Spadająca frekwencja we wszystkich możliwych wyborach, wyjątkiem oczywiście było referendum unijne, ale jednak jest to stała tendencja. Coraz mniej ludzi bierze udział w wyborach, coraz mniej ludzi wykazuje jakiegokolwiek zainteresowanie tą sferą życia społecznego.

**W.F:** Niekompetencja polityków, moim zdaniem, i brak odpowiedzialności za słowa. To jest też, powiedziałbym, cios dla mojego pokolenia dlatego, że ja należę do ludzi, którzy w brutalny sposób uczyli się odpowiedzialności za słowo. Brutalny, dlatego, że w podziemiu jak się podejmowało akcje, to się wysyłało ludzi do więzienia, to było za każdym razem ryzyko więzienia. Jak siedziałem w więzieniu i nieopatrznie coś powiedziałem, to dochodziło do ostrego bicia, czyli do możliwości utraty zdrowia i życia. Wydawało mi się, że odpowiedzialność za słowo jest bardzo ważną cechą współczesnej polityki. Zabrakło jej.

Pierwsi zainteresowali się polityką intelektualisci. To jest przerażające dlatego, że do polityki bokiem, mam nadzieję że tylko bokiem, odwróciły się środowiska gospodarcze. Nie mam na myśli środowisk gospodarczych, które w nowej ekonomii zawdzięczają swoje sukcesy dobrym kontaktom z polityką i pieniądзом z budżetu państwa, tylko tych, którzy ciężko pracują. Ci, którzy na rynku muszą sprzedać swój produkt, nie ci którzy obracają spekulacyjnym kapitałem, choć i to nie zawsze musi być negatywne, ale ci, którzy zajmują się produkcją, handlem czy usługami. To jest tzw. stara ekonomia, która nie tylko, że nie jest szanowana przez klasę polityczną ale moim zdaniem jest dociążana, obciążana, słowem - jest traktowana po macoszemu. Otóż odwrócili się od polityki ludzie, dla których budowano



nowoczesne państwo, dla których dokonała się rewolucja. Odwrócili się przedsiębiorcy, odwrócili się ludzie wolnych zawodów, odwróciły się środowiska inteligenckie. W zasadzie jedyna grupa ludzi wykształconych, która jeszcze chodzi do wyborów, moim zdaniem bardzo często z powodu swojego partykularnego interesu, to jest grupa urzędników. Do wyborów chodzą tradycyjnie ludzie starsi, robotnicy, rolnicy i ci ludzie, którzy w poprzednim systemie nauczyli się pewnego nawyku chodzenia. Moim zdaniem ich wybór jest coraz trudniejszy bo wszystkie partie mówią, że właśnie im chcą pomóc.

Trochę mi to przypomina wiec w Indiach, gdzie rzeczywiście tej biedy jest najwięcej. Każdy z następnych polityków jest coraz bardziej populistyczny i widać jak ten populizm rośnie, bo to te miliony biednych decydują, a i tak nic w ich losie się nie zmienia. Zyskują ci, którzy skuteczniej potrafią ich zmobilizować i przekonać do głosowania na siebie. Odwróciło się środowisko ludzi, dla których wydawałoby się, że się tworzy przestrzeń. Odwróciło się przez niekompetencję polityków, przez zaniechanie reform, przez brak wsparcia dla ludzi aktywnych i przedsiębiorczych. Moim zdaniem system podatkowy, który uderza w człowieka, który ciężko pracuje, i nie mówię o przedsiębiorcach, jest zły. Mówię o człowieku, który jest zatrudniony, mówię o robotniku, który zarabia dobrze dlatego, że pracuje w nadgodzinach, a państwo kładzie na niego brutalną rękę, biorąc od niego znaczną część zarobionych pieniędzy w postaci podatku. Często to są ludzie, którzy ciężko pracują bo inwestują w młodsze pokolenie swoich dzieci, żeby nie musiały tak ciężko pracować jak rodzice. Tu mamy ogromne poczucie niesprawiedliwości. Jednocześnie, system się wykrzywił, to znaczy jest tak, że polityka stała się świetnym biznesem.

Część mediów zaczęła się zachowywać tak, jak oczekuje tego gospodarka rynkowa, tzn. obniżyły poziom. Kiedyś powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, żeby funkcjonowała gazeta „NIE”, tylko mam pretensje do Urbana, bo jest inteligentnym człowiekiem, że obniża gusty społeczeństwa. Media, podobnie jak politycy, powinny „ciągnąć” w górę, tymczasem jedni, jak i drudzy, obniżyli loty. Szczerze powiedziawszy, media zajmują się sensacjami.

Dla mediów jest ważniejsze jakim samochodem jedzie „Pershing”, niż to czy Kowalski, który odszedł z „Ursusa”, poradził sobie i żyje jakoś za własne pieniądze. Kowalski, który właśnie kupił sobie, nie wiem, Peugeota Transportera, dla którego to jest niewątpliwie wielki sukces, nie będzie pozytywnym bohaterem, przeciwnie, Ministerstwo natychmiast wpadnie na pomysł, żeby wprowadzić kratkę i Kowalskiego ukarać za to, że kupił sobie samochód dostawczy i musi za to ponieść określone konsekwencje. Otóż media żyją sensacją. Na pierwszej stronie zamieszczają tylko te wydarzenia w polskim parlamencie, które dotyczą emocji np. jak jest głosowanie w sprawie aborcji, to ma Pan na pierwszej stronie, kto i jak głosował. Ma Pan także tych posłów, którzy nie mieli odwagi i wyszli zrobić siusiu lub nie wzięli udziału w głosowaniu. Jak jest zasadnicza debata dla każdego państwa, dla każdego obywatela, debata o podatkach, ma Pan na 35 stronie krótkie, bez znaczenia, felietony. Dopiero jak jest rok obrachunkowy, jak idziemy do fiskusa, to nagle te mądre gazety biorą ekspertów i się okazuje, na nasze nieszczęście, że jak politycy mówią, że obniżają, to w konsekwencji zapłacimy wyższe podatki. Ale kto to pamięta po roku od debaty? Media nie wykreowały pozytywnych zachowań. Politykom też się to nie udało.

Moim zdaniem wszyscy żyjemy w tak wielkim zakłamaniu dlatego, że powszechnie się mówi o korupcji, której nikt tak naprawdę nie zwalcza. My wszyscy ponosimy koszty, my podaniacy płacimy za niekompetencję i korupcję. Ta swoista prowizja, która idzie dla polityka, czy pieniądze, które idą dla wygrywającego nieuczciwie przetarg, to są nasze pieniądze, a media tego nie zauważają.

Populizm, także w mediach, jest porażający. Przypomnę ustawę o tzw. zarobkach kominowych, związaną z wynagrodzeniami dla funkcjonariuszy samorządu, to w moim odczuciu, tchórzostwo Premiera Buzka. To było oczywiste, że płace były rozdawane



rozporządzeniem. Należało zatem, uregulować je, także rozporządzeniem. Tworzenie ustawy, doprowadziło do hysterii pt. „jak zabrać bogatym”. „Biedni” posłowie oczywiście i „biedni” dziennikarze zastanawiali się, jak zabrać bogatym, no i stworzono ustawę, która powoduje, że prezes spółki, która funkcjonuje w Europie i która kupuje np. na giełdzie londyńskiej, zarabia tyle samo, co prezes wytwórni wód mineralnych. To jest po prostu chore, bo oczywiście powoduje, że trzeba znaleźć jakiś wytrych żeby zapłacić człowiekowi więcej, bo mu się po prostu należy, choćby ze względu na kwalifikacje. Czyli tworzy się martwe prawo, albo nierówne prawo.

Myślę, że media strasznie były oklaski także tym politykom, którzy uważali, że należy upublicznić, obnażyć się, pokazując PIT-y. Uważam, że osoby publiczne rzeczywiście nie powinny mieć nic do ukrycia, ale zrobiono z tego - powiedziałbym - taki striptiz dla ubogich. Dlaczego? Otóż, deklaracje majątkowe są pokazywane, i wie Pan, nikt nie próbuje ich weryfikować. No chyba, że Pan podpadnie mediom, to zaczynają one zaglądać w Pana deklaracje. Wie Pan, nikt nie czyta, że poseł Kowalski, który dysponuje tak wielkim majątkiem był nauczycielem, milicjantem a później był posłem, posłem... i posłem... i posłem. Proszę Pana, jeśli się porówna deklaracje majątkowe tzw. posłów zawodowych z niezawodowymi - ja byłem posłem niezawodowym, dla jasności - to się okaże, że zaden przedsiębiorca nie ma takich „wolnych mocy finansowych”, jakie mają właśnie politycy. Powiem więcej! Wie Pan, niechęć do tego typu zachowań spowodowała, że ludzie kompetentni, ludzie, którzy odnieśli sukces w swoim zawodzie, nie chcą się angażować w politykę dlatego, że boją się, że ich ciężka praca zostanie zmarnowana stygmatem: „poseł” lub „polityk”. W efekcie moim zdaniem mamy negatywny napływ ludzi do polityki. Społeczeństwo uznało, że ten populizm zaczął działać na wyborców: „No jak to. Frasytniak - przedsiębiorca, to na cholerę mu mandat? Przecież on już dobrze żyje. Natomiast ja, albo Kowalski - bezrobotny, dlaczego nie!”

W efekcie, wie Pan, nie ma kampanii wyborczej, w której można byłoby powiedzieć wyborcom: „Odniosłem sukces, potrafiłem się znaleźć w tej sytuacji, potrafiłem się znaleźć w nowej sytuacji”. Dla nikogo nie jest to argument. Przeciwnie. W związku z tym, wie Pan, wycofują się ludzie wykształceni, ludzie doświadczeni, ludzie, którzy zmieniają rzeczywistość. Nie opłaca się im działalność w polityce, szkoda ich autorytetu, szkoda ich pozycji na rynku. Oni się tego po prostu boją śmiertelnie.

W to miejsce wchodzi ci, którzy są jak Alot... no przepraszam bardzo, po prostu kiepski nauczyciel - powiedzmy sobie uczciwie - z kiepskim wykształceniem, czyli z kiepską podstawą, który zostaje szefem poważnej instytucji, która zarządza olbrzymim budżetem.

Pan obserwuje w Sejmie łatwość, z jaką politycy przyjmują każde stanowisko ministerialne. Ja odmówiłem dwóch stanowisk. Powszechnie uważa się mnie za frajera kompletnego. Mam wrażenie, że najczęściej odmawiają ludzie, którzy czymś zarządzają. Dlatego, że oni wiedzą, że być ministrem to jest olbrzymia wiedza, którą trzeba osiąść. To jest olbrzymie ryzyko i ciężka praca i to bez komfortu, dlatego, że nie jest tak, iż zostaje ministrem i ustalam sobie zarząd czy wiceministrów, tylko jest tak, że zostaje ministrem a różne partie pokazują mi Kowalskiego, Malinowskiego, którego trzeba upchnąć, którzy niekoniecznie się na tym znają.

Wie Pan, ja miałem być ministrem pracy lub ministrem transportu. Wszyscy mówili: „No, tak dobrze zarządzasz firmą transportową”. Zarządzanie firmą transportową, to nie jest zarządzanie olbrzymią infrastrukturą. Widać było to, po ministrze Połu. Jeden z najbardziej niekompetentnych ludzi, który moim zdaniem nie ma żadnego doświadczenia w gospodarce. Ministrem gospodarki zostaje człowiek, którego poglądy podzielam, ze Szczecina nomen omen. Mowa o Jacku Piechocie. Wystarczy zobaczyć jego biografię. To jest człowiek, który nigdy niczym nie zarządzał, który nigdy nie pracował, że tak powiem, w gospodarce. Zawsze był harcerzem a później był zawsze posłem. Wie Pan to powoduje, że poważny człowiek

mówi: „No na Boga, jeśli będę miał takich kolegów ministrów, to do kogo ja będę mówił, kto mnie zrozumie?” I efekt jest taki, że pojawia się minister Czarnecki, który uważa, że mógłby być dowolnym ministrem - od integracji europejskiej i od kultury, także. Moim zdaniem, gdyby mu zaproponowano żeby był ministrem transportu, czy prywatyzacji, to on by się zgodził!

To powoduje, że z polityki wycofują się ludzie, którzy uważają, że jednak polityka nie jest miejscem dla ludzi kompetentnych, dla ludzi z dużą wiedzą i z pewną odpowiedzialnością za słowo. Ja mam wrażenie, że politycy w ogóle nie zadają sobie pytań: „czy podołam?”. Nie ma takiego pytania. Jest pytanie: „Co ja z tego będę miał?”. To jest, wie Pan, nieszczęście.

Reasumując - moim zdaniem suma niekompetencji polityków, brak profesjonalizmu, brak edukacji społecznej, brak odpowiedzialności za słowo, brak odpowiedzialności za państwo, łatwizna i przyzwyczajone życie tzn. w sensie materialnym, są głównymi grzechami elit politycznych. Dochodzi do tego - zaspakajanie interesów partykularnych, myślenie przez pryzmat swojego interesu, a nie interesu państwa.

Dochodzi to tego, że nagle okazało się, iż nie mamy społeczeństwa obywatelskiego, że nie ma instytucji, które są w stanie profesjonalnie kontrolować zachowania polityków, że demoralizacja dociera do organów kontrolnych państwa. Jak już nie ma społeczeństwa obywatelskiego, to nagle jesteśmy w zamkniętym kręgu. Szczerze powiedziawszy, człowiek, który chciałby „podskoczyć” możliwym tego świata, to pewnie tak jak w komunie, skończyłby w szpitalu psychiatrycznym. Jesteśmy blisko takich rozstrzygnięć.

Dodatkowo zniknęły ze sceny - zniknęły to może jest za racjonalne słowo - środowiska inteligentne. Nagle się okazało, że w gospodarce rynkowej nie ma inteligencji. Nagle się okazało, że środowiska akademickie gwałtownie straciły na sile, straciły na znaczeniu. Więcej, w poszukiwaniu możliwości zarobkowania, żeby pozostać na uczelni, to środowisko się jakby wykruszyło. Przestało być zintegrowanym, ważnym głosem w debacie publicznej. W wielu miastach, Kolegium Rektorów, już dzisiaj nic nie znaczy. Nikt nie korzysta także z możliwości, które dają wyższe uczelnie, przez co prestiż tych uczelni tak naprawdę, spada na twarz. Niestety to, że czasem angażują się w politykę ludzie z tytułami profesorskimi spowodowało, że szacunek dla polskiej profesury spadł.

Wie Pan, dla mojego pokolenia - ludzi, którzy byli wysoko wykwalifikowanymi robotnikami - Profesor oznaczał rzetelność i wiedzę. Wiedzę! Wie Pan, paradoks polega na tym, że spotykam starych komuchów, sekretarzy stanu wojennego, profesorów z tamtej epoki i oni w swojej dziedzinie mówią rzetelnie! Wszyscy się mnie pytają: „Dlaczego ty chodzisz do tego komucha?” (nie będę wymieniał nazwiska). Chodzę dlatego, że jeśli go zapytam o sprawy, dajmy na to, prawne, to jest on, po prostu do bólu rzetelny. Bo on jest - tu pojawia się jego stare, dobre myślenie - w swojej dziedzinie PROFESOREM! Niestety zanika, taka swoista rzetelność, zanika obowiązek człowieka wykształconego do świadczenia prawdy, do mówienia innym, jak skomplikowana jest rzeczywistość.

Podam przykład - debata w sprawie likwidacji zapłodnienia in vitro. Jest porażające, że ludzie wykształceni nie uderzyli w dzwon. Porażające!!! Społeczeństwu na każdym kroku się mówi: „zakaz aborcji”, „wartości rodzinne”, a tu nagle ludzie często biedni - to są wielkie pieniądze - decydują się na dziecko, walczą o to dziecko latami za swoje własne pieniądze i ktoś mówi, że trzeba zlikwidować tę formę zapłodnienia, bo to jest - nie wiem - nieboskie, albo niezgodne z nauką Kościoła. I znowu, te środowiska intelektualne, które w latach siedemdziesiątych mimo represji, uderzyłyby w wielki dzwon - dzisiaj milczą! Dzisiaj wszyscy to mają w dupie! Oznacza to, że nikomu na niczym, tak naprawdę, nie zależy. Niechęć do udziału w życiu publicznym, jest taka, że jak ja w którymś momencie chodziłem do przedsiębiorców z prośbą o opinię do jakiejś ustawy, to oni powiedzieli: „Władek, my zatrudniamy znane kancelarie prawne, każdą głupotę przekreślimy na swoje...” Brak wiary, że może coś kompetentnego, coś dobrego być stworzone w Sejmie jest porażający.

W.U: Tak na marginesie, w tej książce stawiam tezę, że dysfunkcja elit politycznych, jest wynikiem min. dysfunkcji elit intelektualnych. W wypowiedziach intelektualistów występuje brak ostrości, dotyczący np. kategorii aksjologicznych. Czyli krótko mówiąc, brak jednoznacznego stwierdzenia, że populizm jest populizmem, chamstwo jest chamstwem. To wyrzeczenie się przez intelektualistów, jednej z podstawowych funkcji, funkcji opiniotwórczej elit intelektualnych. Co Pan na to?

W.F: Ależ zgadzam się z Panem. Jeśli słucham w telewizji socjologa, czy politologa i on mówi źle o wszystkich parlamentarzystach, to mi się nóż w kieszeni otwiera dlatego, że to jest wykształcony człowiek i on powinien powiedzieć: „356 posłów zachowało się jak durnie, ale 150 wykazało się rozsądkiem i rozumem”. W efekcie doprowadziliśmy do takiej sytuacji, gdzie obowiązuje taki sposób komentowania, aby nie narazić się nikomu. To jest komunistyczne przykazanie: „nie narazić się nikomu”. Siada profesor i mówi: „No tak, bo prawica...”. Kogo Pan rozumie przez prawicę - pada pytanie? On wymienia: „PO”, „PiS”, „Unia Wolności”. Ja sobie myślę: O Matko Boska! Dlaczego wykształcony człowiek, który ma narzędzia naukowe mówi takie brednie. Sorry! Ale ja nie wiem czym jest „PiS”, dlatego, że on jest prawicowy werbalnie, natomiast w sprawach gospodarczych, to oni są socjalistami.

W tym kontekście pojawia się wiele innych pytań. Dlaczego dzisiaj wszyscy uciekają od wartości liberalnych? Nagle, środowisko, które bardzo szanowałem, czyli pierwszych polskich liberałów, dzisiaj gwałtownie wymazuje gumką, że kiedykolwiek byli liberałami. Dzisiaj mówią: „My jesteśmy konserwatystami, prawda”. Ja nie wiem, co oznacza konserwatyzm i dlaczego nikt z socjologów, czy z politologów, nie określi, co w polskich warunkach oznacza to pojęcie i jakie wartości są do niego przypisane? Ja znam w Polsce dwóch konserwatystów. To jest Hall i Syryjczyk. Ucieczka, wie Pan, od wartości, które są związane z miejscem na scenie politycznej i zgoda na to ludzi wykształconych, powoduje właśnie, że dzisiaj możemy być „PiSem”, jutro możemy być „Platformą Obywatelską”.

Dzisiaj możemy być socjalistami, a jutro... kto to wie? Dochodzi już powiedziałybym, do skrajnego „skundlenia”, którego przykładem jest Ryszard Czarnecki. Jeśli ktoś, tak jak on, przechodzi z obozu Solidarności - ktoś, kto był antykomunistą - przechodzi i nagle staje się członkiem „Samoobrony”, to coż to oznacza? O co tak naprawdę chodzi? No, o dietę poselską. To jest porażające!

Wie Pan, przepisy antykorupcyjne, które wprowadzał kiedyś Bugaj, są kretyńskie. Ktoś, kto zarządza wielką instytucją i może być partnerem dla ministra finansów, rezygnuje ze swojej pozycji aby służyć społeczeństwu. Nagle się okazuje, że jeden udział Skarbu Państwa powoduje, iż musi zrezygnować z prowadzenia np. własnej firmy. Na głowę trzeba upaść, aby na coś takiego się zgodzić! To przypomina mi czasy siedemdziesiąte. Kiedy Dyrektor - jak ja mu powiedziałem: „Wie Pan, my mało zarabiamy” - odparł: „Frasyniuk, to niech Pan powie, ile dokradacie?”

To jest chore, to jest porażające! Przepisy antykorupcyjne, które powodują, że tak naprawdę ci, którzy zajmują się działalnością gospodarczą, czyli są na co dzień weryfikowani, wypadają z życia politycznego. Więcej. Jeśli chcesz być zawodowym posłem, nie możesz być wykładowcą. Dlaczego, pytam się? Przecież poseł to nie jest coś, co jest dane raz na całe życie. Przecież, jeśli ja przestaję praktykować jako lekarz, to po pięciu latach tracę prawo do uprawiania zawodu. Dlaczego utrzymywany jest w Polsce podział na zawodowego i niezawodowego posła? No właśnie dlatego, żeby wyeliminować ludzi zwykłych i uczciwych. Bo oczywiście, jeśli popatrzymy na ulotki wyborcze - czym się żaden socjolog nie zajmuje, żaden politolog, żadna gazeta - to myślę, że 50% kandydatów do parlamentu mówi, że żyje za własne pieniądze. W Sejmie już tylko od 30 do 50 posłów konsekwentnie podtrzymuje, że żyje za swoje własne pieniądze.

Wie Pan, hipokryzja jest taka, że kiedyś próbowałem namówić Stokłosę i innych, najbogatszych posłów, żeby stworzyć klub przedsiębiorców, który miałby min. zlikwidować

ten komunistyczny podział na zawodowego i niezawodowego posła. Wie Pan, co oni odpowiedzieli? „To Pan nie jest zawodowym posłem?! To pan nigdy nie będzie bogaty”. Po każde pięć złotych trzeba się schylić!”

Gazety kolorowe pisały, że Stokłosa jak zobaczył pokój hotelowy, to wynajął apartament z Mercedeselem 500. Helikopterem dolatuje do Warszawy. Mercedes 500 go odbiera. Nikt natomiast nie wpadł na to, że on jeszcze dodatkowo bierze pensję posła zawodowego!

To pokazuje jak my naprawdę po bolszewicku myślimy. Tu się sprawdza powiedzenie mojego kolegi: „Jesteśmy bolszewickim pokoleniem. Powinieneś jeździć Mercedeselem, a kierowca powinien ci otwierać drzwi i wtedy wszyscy cię będą szanowali”. Coś jest na rzeczy.

**W.U:** Chciałbym na sekundę wrócić do tego o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Czy Pana zdaniem takie zjawiska jak: wycofywanie się z życia politycznego sporej części Polaków, spadek aktywności wyborczej i spadek prestiżu władzy - nie są w Pana odczuciu pewnym zagrożeniem dla demokracji w Polsce? Nie chciałbym jednak rozmawiać w bardzo wyabstrahowanym, więc posłużę się, jeśli wolno, przykładem. Ale to za chwilę. Zmierzam bowiem do tego, że im więcej ludzi się wycofuje, ludzi, którzy - tak jak Pan powiedział - są inteligentni, przygotowani, czy też w ogóle podejmują jakiegokolwiek racjonalne wybory, tym większe znaczenie mają ci, którzy idą za głosem populistów.

A teraz obiecany przykład, przykład Prezydenta Szczecina Mariana Jurczyka. Ten kandydat w ogóle nie prowadził żadnej kampanii wyborczej, w dotychczasowym tego słowa rozumieniu. Jego kampania była najdziwniejszą kampanią wyborczą w Polsce, ponieważ była antytezą kampanii. Całkowita cisza medialna, można powiedzieć ascetyczne plakaty, brak banerów, billboardów itd. Wystarczyło jedno wystąpienie w telewizji, w którym obiecał: sprzedaż mieszkań komunalnych za złotówkę, uruchomienie banku, który będzie udzielał preferencyjnych kredytów i zamrożenie czynszów komunalnych. W tym kontekście mówię o zagrożeniu dla demokracji, a nie w jakimś bardzo wyabstrahowanym, czy ontologicznym sensie.

**W.F:** On wygrał też dlatego, że był ofiarą, a przynajmniej tak zostało to przedstawione. To jest porażające, także dlatego, że ofiarę zrobili z niego ludzie wykształceni. Okazało się po latach że on był takim nieudacznikiem, że nawet nie nadawał się na pracownika służb specjalnych i to jest porażające.

Porażające jest, że dysponujemy dokumentami - które nawet zostały opublikowane - o jego niekompetencji, by nie powiedzieć ostrzej - głupocie, i to nam nie przeszkadza, ażeby dokonywać takich wyborów. Moim zdaniem, gdzieś w naszych emocjach pozostało, że on jest przyzwoitym człowiekiem, człowiekiem skrzywdzonym. Nawiasem mówiąc, on sam, bardzo sprawnie wytworzył legendę represji wobec niego i jego najbliższych.

Natomiast czym to grozi? Wie Pan, ja nie widzę niestety w tej chwili, pozytywnego scenariusza. Jednocześnie, chcę powiedzieć, że nie widzę zagrożenia jakąś rewolucją czy buntem dlatego, że poczucie zagrożenia społecznego jest tak duże, że aż paraliżujące.

Wie Pan, paraliżujące bo ludzie się boją, ludzie są niezorganizowani. Na protesty stać tylko wielkie postsocjalistyczne grupy, jak górnicy, czy hutnicy. Na ulicę nie wyjdzie podatnik, na ulicę nie wyjdzie profesor, na ulicę nie wyjdą ludzie pracujący w sektorze prywatnym. Nie wyjdą dlatego, że po prostu nie stać ich na to, bo to jest utrata kolejnych wpływów i to może oznaczać bankructwo. Ja jestem transportowcem. Szczerze powiedziawszy, transportowcy powinni protestować już od paru lat, no ale kto z nas sobie na to pozwoli, żeby ciężarówka przyjechała na protest do Warszawy, zamiast zarabiać na życie. W tym czasie, gdy ja będę protestował, wszyscy będą ode mnie ściągać podatki, czynsz leasingowy, itd. Zbankrutuję. Zatem, jestem pozbawiony możliwości protestu.



sondaże, orzeka się, co do braku czy zaniku uprawnień konstytucyjnych, raz to rządu, raz to parlamentu, a innym razem - prezydenta. Jaki, na to zjawisko, czy w ogóle szerzej rolę badań socjologicznych, jest Pana pogląd?

W.U: Proszę Pana, jeden z naszych doradców amerykańskich powiedział tak: „Trzeba kupować sondaże opinii publicznej w Polsce. Trzeba kupować, nie ma wyjścia. Jeśli kupicie badanie, które pokaże, że macie 9% poparcia, jesteście w parlamencie”. Myśmy się na to nie zdecydowali, bo uznaliśmy, że to jest coś nieprzyzwoitego, żeby podejść do uczonych, do badaczy i powiedzieć: „Panowie, to jest powszechne robione”.

Moim zdaniem badania sondażowe, są słabe. Z nich niewiele wynika. Można powiedzieć, że w oparciu o intuicję każdego człowieka, który ma jakieś doświadczenie życiowe, łatwo sobie ustawić hierarchię problemów, przed którymi stoi przeciętny obywatel. Powiedzmy sobie uczciwie, że partie korzystają z badań socjologicznych dlatego, że mogą w ich oparciu, układać swoje programy wyborcze. Na bezrobocie nikt nie ma patentu i w związku z tym żadna partia do tego pierwszego problemu się na serio nie odnosi. Bezpieczeństwo? No, tu jest znacznie lepiej, bowiem można już rzucić chwytliwe, nośne hasło - kara śmierci i coś tam jeszcze. Partie, po części, korzystają z badań po to, ażeby budować swoje „logo” i siłę przebicia. Natomiast ja nie mam zaufania do badań socjologicznych. One są płytkie. Tak naprawdę, myślę, że socjologowie - przepraszam, że tak powiem - nie wysilają się na to, żeby wytłumaczyć nam meandry tego wszystkiego, co się dzieje w świecie polityki. W zasadzie wystarcza im tylko to, że są zaproszeni do telewizji i mówią, że właśnie partia X ma 15%, a partia Y 18%. Z tego wynika, że „Porozumienie Centrum” będzie, być może, z „SLD”, musiało wspólnie rządzić w przyszłym parlamencie. Żartuję, oczywiście, jak chodzi o ten scenariusz koalicyjny.

Natomiast, wie Pan, nikt nie patrzy głębiej. Nikt np. nie czyta metryczek. Ja je ostatnio czytam i wiem, że bardzo często, tam właśnie, znajduje się klucz do zrozumienia ludzkich zachowań. Bardzo przepraszam, ale nie wiem, czy komentowałem nową metodę badania, czy też wyniki znanego w Polsce socjologa. Badania dotyczyły gwałtownego wzrostu poparcia dla „Platformy Obywatelskiej”. Pytam więc, co decyduje o tak znaczącym „skoku” notowań tej partii. I jak się Pan słusznie domyśla, nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić. To powoduje, że trudno mieć zaufanie do wyniku badań. Parokrotnie oglądałem takie wyniki badań i rozmawiałem z ludźmi, którzy się tym zajmują. Wie Pan co jest przerażające? To, że wynik badań można zmienić bez specjalnego fałszerstwa, że to jest tylko kwestia „wycięcia” odpowiedniej próbki z całego badania, żeby pokazać wyniki jakie się chce. Przerażające jest to, że to naprawdę, nikt nie zarzuci nawet jakiegokolwiek fałszerstwa. To jest powszechnie robione!

Gdyby Pan zapytał polityków o pracowni badań społecznych, to wskazaliby oni swoje sympatie w tym względzie. Moim zdaniem, one w dużej mierze pokrywają się z sympatiami politycznymi pracowni. To obniża rangę badań opinii społecznej. Jednocześnie, z niepokojem patrzę na to co Pan powiedział, że siła polityczna tego typu badań jest porażająca, porażająca. Mam takie wrażenie, że socjologowie, to jest taka „partia” polityczna pociągająca za sznurki. Jest to grupa, która ma wpływ na opinię publiczną. To jest tak naprawdę, znacząca partia polityczna, która nie biorąc odpowiedzialności, kreuje rzeczywistość i to w znaczącym stopniu.

Mam doświadczenie ze Stanów Zjednoczonych. Badania, które są tam robione, są bardzo profesjonalne i znakomicie opisują rzeczywistość. Są wykorzystywane przez polityków, powiedziałbym, bardzo precyzyjne. Analiza tych wyników decyduje o strategii kampanii. Badania, które my robimy, bardzo często, także zwiększają szanse, pod warunkiem, że chce się z nich skorzystać. My mamy dwa badania, tak naprawdę, dwa badania „Unii Wolności”, które spełniają te wymogi. Dwa badania w historii tej partii, poważne badania. Jedno z czasów Balcerowicza, kiedy był szefem partii. Świetne pokazywały jak się

rozmija „Unia Wolności” z oczekiwaniem swojego własnego elektoratu. Gdyby Pan wiedział, jak to wyprowadzało z równowagi Leszka Balcerowicza i dużą część byłego zarządu. Tam było pokazane - na wykresach - jak „Unia Wolności” zmierza do śmierci i widać było jak odchodzimy, jak tracimy kobiety, jak rezygnujemy z elektoratu, z dobrego wizerunku, jak się przenosimy na prawą stronę sceny politycznej, dla której jesteśmy cały czas obcy, my jesteśmy tam nie do zaakceptowania.

W gospodarce, okazuje się, że badania socjologiczne pomagają w kreowaniu sukcesu. W polityce - myślę, że mamy za małe doświadczenia z dwóch, stron tzn. po pierwsze, politycy chcieliby, żeby w badaniach wychodziło to co oni myślą, a po drugie, to jest troszkę tak, że socjologowie badania dla polityków też traktują jako element gry politycznej, a nie rzetelnej analizy. Tak naprawdę, przepraszam, że jeszcze raz do tego wrócę, badania trzeba kupić i to moim zdaniem dzisiaj wszyscy już wiedzą. Wie polityk i wie robiący badania, wie zleceniodawca i zleceniobiorca, widzą, że w tej sprawie jest niepisane prawo i moim zdaniem to zabija prawdziwość badań, ale winę na równi ponoszą politycy i socjologowie.

Wie Pan, ja mam kolegę, który prowadzi taką pracownię (on nie jest socjologiem, on tylko ją prowadzi). Więc co będę Panu mówił?

**W.U:** Co oznacza Pana zdaniem w działaniu partii politycznych populizm?

**W.F:** Powiedziałbym, że jesteśmy społeczeństwem okaleczonym, w którym negatywne emocje zawsze brały górę. Jak się popatrzy na historię Polski, to można powiedzieć, że to jest nieomal naturalne. Jesteśmy społeczeństwem, które wzrastało na kolejnych przegranych powstaniach i stąd też mamy naturalną potrzebę odreagowania.

Negatywne emocje łatwo uruchamiają społeczeństwo i wydaje się, że poza krótkim momentem tych szesnastu miesięcy - też pojawiały się negatywne i pozytywne emocje - ale jednak pozytywne, w sierpniu 1980 roku, wzięły górę - to właściwie później, po 1989 roku, politycy odwoływali się tylko i wyłącznie do negatywnych emocji.

Negatywne emocje - oczywiście najłatwiej rozniecić tanim populizmem - to sięganiem do kompleksów i słabostek ludzkich. Populizm to właśnie słowa: „Obcy, to jest ten Mazowiecki”, który od V wieku, co prawda, jest Polakiem, ale natychmiast inni dodają: „Przechrzta”. Populizm, to jest niechęć wobec obcych. Populizm polega na tym, że poważna partia mówi w parlamencie: „Obniżmy podatki do 15%, włącznie z VAT”. To jest populizm, tyle tylko, że człowieka wykształconego. Więc moim zdaniem, populizm Leppera czy populizm Tuska, jest tak samo niebezpieczny.

Nawet, powiedziałbym, że niebezpieczniejszy jest populizm Tuska, bo populizm Tuska powoduje, iż ludzie, których jest mniejszość w polskim społeczeństwie, czyli grupy lepiej wykształconych, odwracają się od polityków. Oni wiedzą doskonale, że dzisiaj Polska jest na pograniczu krachu finansowego (dług publiczny) i obniżanie podatków jest po prostu mówieniem bajki, albo uznawaniem, że człowiek wykształcony jest durniem, który może uwierzyć w to, że podatek można z dnia na dzień obniżyć. Tym bardziej, że tak naprawdę siły sprawczej w polskim parlamencie nie ma.

Populizmem są oczywiście te wszystkie zmiany w konstytucji, które są zapowiadane. One są przeplatane z poważną debatą na temat pozycji prezydenta, który pochodzi z bezpośrednich wyborów a ma słabą pozycję, ale przeplatane są tym, co ludzie chcą usłyszeć. Najlepiej, gdyby powiedziec: likwidacja Sejmu i rządu - to moim zdaniem, taka partia wygrywa wybory, co więcej, ludzie lubią taki populizm i ludzie chętnie słyszą, że ktoś chce zlikwidować parlament, nawet nie zadają sobie trudu żeby pomyśleć, że to mówią ci, którzy chcą w tym parlamencie być. Ludzie łatwo się nabierają na populizm. Gdy „Platforma Obywatelska” powiedziała: „My nie jesteśmy partią polityczną. Partie polityczne są złe”, to dostała za to głosy. Dzisiaj są już partią polityczną, ale nikt nie wyciąga z tego żadnych wniosków.

Populizm jest niebezpieczny dlatego, że tak naprawdę dokonuje poważnego spustoszenia w pozytywnym myśleniu, budowaniu pozytywnych wzorców, w dobrym stosunku do innych ludzi. Populizm niszczy patriotyzm i odpowiedzialność za państwo mimo, że politycy często odwołują się do interesu państwa. Nieszczęście polega na tym, że populizm jest łatwy do zastosowania wobec społeczeństwa, które przez pięćdziesiąt lat żyło w totalitarnym systemie. Populizm, powiedziałbym, to także odwołanie się do katolicko-narodowych tradycji, których, tak naprawdę, nigdy nie było, zwłaszcza w komunizmie. Jest ono łatwe dlatego, że po tylu latach niewoli, niewolnik - a my jesteśmy niewątpliwie społeczeństwem niewolników, bo odzyskaliśmy wolność Polski, ale wolność osobistą, tak naprawdę odzyskają następne pokolenia - ów niewolnik jest niezadowolony z życia. Sądzimy, że nasz żywot jest przerażany i zrekompensujemy sobie te czterdzieści lat życia w komunie. Sądzimy, że oto teraz, nagle będziemy młodszy, lepsi i sprawniejsi, tylko i wyłącznie dlatego, że jest demokracja. To jest niebezpieczne dlatego - mam wrażenie - że wszyscy, także w Unii, sądzą, że trzeba społeczeństwo oszukać, żeby później, coś dobrego dla niego zrobić. Nie da się oszukiwać ludzi w dramatycznej i złej sytuacji. Dlatego, że każde oszustwo powoduje spadek zainteresowania polityką, dlatego, że to oszustwo jest weryfikowane szybko - po roku, po dwóch latach i efekt tego oszustwa widać. Elektorat „SLD” spadł, ale nie przechodzi do innych partii. Nie przechodzi - tzn., że odchodzi od polityki, odchodzi od wyborów. To oznacza, że my politycy cały czas tracimy myślących ludzi, tracimy ich oszustwami. Dlaczego ludzie poszli zagłosować na „SLD”? Przecież nie dlatego, że popełniali jakiś grzech, że ogarnął ich jakiś amok, tylko dlatego, że to, co się działo z „AWS-em”, powodowało, że ostoja rozsądku i racjonalności, okazał się być SLD. Ale nagle się okazało, że hasło pt. „likwidacja Senatu”, to właśnie owe „gruszki na wierzbie”. Co ciekawe, Miller nie musiał tego mówić, nie musiał dlatego, że to my mu dmuchaliśmy w jego żagle - błędy ekipy Buzka powodowały, że on rósł w siłę, a on jednak postanowił pomóc szczęściu. Spowodowało to, że ludzie poczuli się znowu oszukani.

Wróćmy na chwilę do badań. Amerykanie - pewnie wszystko już przebadali, co tylko można (śmiech dop. autora) - przeprowadzili badania i stwierdzili, że w populacji światowej - nie chcę przesadzić - 0,4 czy 0,004% ludzi rodzi się genetycznie zdolnych do przywództwa - w sensie politycznym lub menedżerskim. Więc, niewielu ludzi ma cechy, żeby być osobą przywódcą. Nie sądzę, aby tego można się było nauczyć. To trzeba mieć w sobie, bo przywództwo to jest niezwykle odpowiedzialna rzecz, niezwykle trudna rzecz. To jest tak naprawdę, branie na siebie całej odpowiedzialności. Przywódca bierze całą odpowiedzialność i przywódca musi mieć świadomość, że jeżeli pomyli się, to tłum dotychczasowych wielbicieli spycha go w otchłań w przeciągu pięciu minut i zapomina, tak naprawdę, o wszystkich jego dobrych uczynkach, sukcesach, zwycięstwach. Dlatego też, w polityce jest tylu ludzi, którzy „grają na wszystkich możliwych fortepianach”, grają tak, jak mówił o tym Lech Wałęsa. Właściwie zrealizował to marzenie Krzaklewski, bo to był prawdziwy mistrz „gry na wielu fortepianach”. Populizm, który tak wszyscy kochamy - i politycy i społeczeństwo, które czeka na jeszcze większego populistę - prowadzi tak naprawdę do moralnego zubożenia społeczeństwa, zubożenia w każdej postaci - od materialnego po intelektualne. To jest bardzo niebezpieczne.

Nigdy nie zdobyliśmy się na to, żeby odwołać się do 20% ludzi, do których wiedzy i przewidywalności można się odwołać w inny niż populistyczny sposób, ale powtarzam - nikt na to się nie zdobył. Badania bez przerwy pokazują, że grupa ludzi, która „łapie” hasła populistyczne jest przerażająco duża. Badanie partii prezydenckiej pokazało wielką akceptację dla powstania partii prezydenckiej, ale na pytanie, jaka to ma być partia, 11% odpowiedziało liberalna, centrowo-liberalna. Należy dodać, że w tym przypadku, trzeba sięgnąć po jakiś oręż - Bóg, Honor, Ojczyzna, bo inaczej się nie da wygrać.

W.U: Tak, to są bardzo ciekawe kwestie. Jeżeli robię analizę wyników badań, której celem jest określenie kategorii sympatyków w ramach tzw. drugiego wyboru i kłus stwierdza, że na pewno, w sposób zdecydowany będzie głosował na „Sojusz Lewicy Demokratycznej”, ale gdyby miał drugi głos, to oddałby go na „AWS”, albo na „PiS” to ten rozrzut jest tak porażający, że w zasadzie, racjonalna analiza jest niemożliwa.

W.F: Pokazywał mi wspomniany kolega, takie właśnie badania. Porażające! To o czym Pan mówi, a ja także widziałem, to jest porażające, to po prostu... to, co można wyczytać z tych badań, to w ogóle już pokazuje, że to kompletne.... Brak mi słów.

W.U: Tak. Wnioskowanie na podstawie takich wyników, to jest jak jakieś jasnovidzenie, bo tego nie można w żaden sposób zracjonalizować.

W.F: Raz jeszcze powtórzę, że to jest wynikiem braku edukacji na każdym poziomie. To jest brak edukacji, której politycy zaniechali, to jest brak edukacji mediów. Dobrym przykładem jest Gazeta Wyborcza. Naprawdę, już wszyscy trzymają się tylko kasy i rynku. To jest porażające. Cóż z tego, że Gazeta, na koniec roku, robi świetne analizy systemowe i pokazuje jak dalece sprawdzają się prognozy niektórych polityków i ekonomistów.

W.U: Chciałem zapytać o relacje pomiędzy wartościami, do których partia się odwołuje a pragmatyzmem politycznym. Co jest ważniejsze? Czy trwanie za wszelką cenę, pomimo spadających notowań, przy swoim programie, przy wartościach, które w jakiś sposób partia egzemplifikuje ma Pana zdaniem sens. Czy też może, pragmatyzm pozwala, Pana zdaniem, na pewną elastyczność - tak bym to określił - ideową, czy też aksjologiczną?

W.F: Ja jestem zwolennikiem, jestem fundamentalistą trzymania się w polityce wartości. Dlatego, że w moim odczuciu, całe nieszczęście polskiej klasy politycznej polega na tym, że właśnie pragmatyzm wziął górę i jakikolwiek spór o charakterze ideowym jest kompletnie bez znaczenia.

Jak się obserwuje niektórych polityków, to można odnieść wrażenie, że oni, tak jak bohaterowie westernów - które moje pokolenie oglądało z nabożeństwem wielkim - rewolwery pozostawiali w szatni. Bowiem w szatni parlamentarnej, zostawiamy swoje poglądy polityczne. Zostawiamy je także na spotkaniu z wyborcami. Tak naprawdę nie odwołujemy się do naszych wartości, a staramy się zapytać wyborców, co chcieliby od nas usłyszeć. Widać to wśród niektórych polityków, którzy kiedyś rozpętywali w mediach wielkie afery korupcyjne. Później się okazało, że to jest takie perpetum mobile - przeczytali coś w gazecie, dopowiedzieli nieco więcej, gazety to napisały i tak się to kręciło. Jak sprawą zajęła się prokuratura, to się okazało, że tak naprawdę wszystko jest wyczytane w gazecie, powielone przez polityka, i raz jeszcze powtórzone w gazecie i tak się nawzajem to nakręcało.

Polska scena polityczna jest koślawa dlatego, że wartości są kompletnie marginalizowane. Nikt do wartości nie przywiązuje żadnej wagi i generalnie ukuło się takie powiedzenie, że polskie życie polityczne może być oparte na dwóch fundamentach - Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i to jest zarezerwowane dla „SLD” - drugi fundament, to są mury kościelne i w związku z tym wszyscy pozostali, którzy nie są komunistami, muszą tam być. Zatem przestrzeń centrowa w Polsce jest kompletnie niezagospodarowana, choć paradoks polega na tym, że w wyborach właśnie skrajne partie podejmują bardzo pragmatyczne, że tak powiem pociągnięcia, mianowicie idą do centrum i zabijają tak naprawdę tych, którzy odwołują się rzeczywiście do centrowych wartości. Otóż ja wierzę w to, że wejście do Unii Europejskiej, powoli zacznie porządkować polskie życie polityczne i, że to polskie życie polityczne, że polskie partie, będą musiały się odwoływać do wartości, które są przypisane do klubów politycznych w Unii Europejskiej. No myślę, że dla wielu polityków będzie to dużym zaskoczeniem Już widzę, że na przykład, dla niektórych dziennikarzy jest dużym zaskoczeniem, że „Platforma Obywatelska” jest w Międzynarodówce Chrześcijańsko - Ludowej, a „Unia Wolności” w Międzynarodówce



Liberalnej. Choć, powiedziałbym, to jeszcze nic nie znaczy. Natomiast myślę, że powoli Unia Europejska zaczyna nas przyzwyczajając do pewnych wartości, które są związane z określonym obozem politycznym, że mówienie pewnych rzeczy będzie wykraczało poza ten obóz polityczny. Mówię to ostrożnie dlatego, że mam tego przykrą świadomość, że partia taka jak moja, „Unia Wolności”, która jest podprogowa, musi być partią bardzo czytelną ideowo, musi się odnosić do bardzo czytelnie sprecyzowanych wartości i musi być wierna tym wartościom i konsekwentnie budować program związany z wartościami, które reprezentuje. To rzadko się w Polsce opłaca. Natomiast taka partia jak „SLD”, czy te partie po prawej stronie, które mają duży elektorat, muszą i mogą być bardzo elastyczne i powoli, że tak powiem, będą budować swoje skrzydła. I to pragmatyzm, który obserwuję, który pewnie jest dopuszczalny. Pragmatyzm powodujący, że lewe skrzydło Chrześcijańskiej Demokracji Niemieckiej, w zasadzie, nakłada się na prawe skrzydło Socjaldemokracji. W trakcie debat światopoglądowych bardzo często dochodzi do pewnej wspólnoty poglądów. Moim zdaniem to jest naturalne, że duża partia musi zachować się dużo bardziej pragmatycznie, musi jakby zezwalać na większy relatywizm wartości, musi ogarniać coraz większą część społeczeństwa i w związku z tym już nie jest tak ortodoksyjna w sprawach wartości, ale pragmatycznie zezwala na funkcjonowanie skrzydeł.

No i tu pojawia się miejsce na mądrość przywódcy, żeby te skrzydła w odpowiednim momencie przykrócić czy zamknąć. Rozmawiałem parokrotnie z Kaczyńskimi. Może oni mają rację uważając, że muszą się tak mocno otworzyć na prawo, żeby, że tak powiem, zagospodarować elektorat skrajnie narodowo-katolicki. No bo jednak, cokolwiek by nie powiedzieć, żaden z braci Kaczyńskich nie jest takim fundamentalistą, jak paru kolegów z „ZChN” czy z „Ligi Polskich Rodzin”. Być może to jest w polskiej sytuacji działanie wymagające pragmatyzmu, kosztem pewnych wartości.

**W.U:** Co zatem, oznacza Pana zdaniem, misja jaką politycy mają do spełnienia? Nie chodzi o jakieś działania bardzo konkretne, tylko na czym polega misja w działaniach politycznych, co oznacza misja w polityce?

**W.F:** Wie Pan, to strasznie trudne pytanie, bo można powiedzieć, że misja oznacza budowanie nowoczesnego państwa, państwa otwartego, państwa w którym obywatel czuje się współgospodarzem, czyli państwa obywatelskiego, państwa sprawiedliwego, państwa w którym administracja państwa czy organy państwa, są w stanie stanąć w obronie słabszego lub w obronie dowolnej mniejszości, obojętnie, czy to są mniejszości religijne, seksualne czy narodowościowe. Misja oznacza budowanie zamożności obywateli, poczucia bezpieczeństwa obywateli, także socjalnego. Myślę, że po to, aby to osiągnąć, misja także polegać musi na tym, że trzeba w polskiej sytuacji dużo edukacji obywatelskiej, edukacji i raz jeszcze edukacji polskich obywateli dlatego, że, moim zdaniem, wszystkie grzechy polityczne, wszystkie, że tak powiem, nasze problemy polegają na kiepskim wykształceniu. Zapominamy o takich rzeczach, które już kiedyś zostały odkryte - przypadkowo przeczytałem, nawet żaden z moich profesorów Unii mi tego nie powiedział - Maria Skłodowska-Curie kiedyś powiedziała, że prawdziwe rewolucje nie dokonują się na ulicach i w fabrykach, ale w szkołach i na uczelniach i to jest bardzo mądre zdanie.

Misja polityków, mówiąc krótko, polega na tym, żeby budować państwo przyzwoite i zasobne, a jednocześnie państwo, które ma swój prestiż w tej części świata gdzie funkcjonuje. To jest prawdziwa misja polityków. Oczywiście odrębnym problemem jest to, w jaki sposób tę misję realizować, zwłaszcza w polskich realiach, kiedy jesteśmy biednym społeczeństwem i biednym państwem, na ale to jest ten kłopot, przed którym staje każdy polityk.

**W.U:** Pięć najważniejszych cech, którymi powinien charakteryzować się polityk?

**W.F:** Pierwszą cechą, którą powinien charakteryzować się polityk jest odpowiedzialność za słowo. Polityk musi mieć świadomość, że jego słowa ważą tak, jak ciosy

mistrza wagi ciężkiej, że skutki są poważniejsze niż uderzenie Mike'a Taysona. Odpowiedzialność za słowo jest najważniejszą cechą polityka.

Odwaga cywilna, nie fizyczna a cywilna. W polskich realiach, niestety, odwaga cywilna urasta do rangi bohaterstwa. Odwaga, jest to umiejętność dokonywania zmian przy braku akceptacji polskiego społeczeństwa, przy braku akceptacji dlatego, że powiedzmy sobie uczciwie, przy niskim wykształceniu i edukacji obywatelskiej, politycy muszą kreować rzeczywistość, muszą tą rzeczywistość zmieniać. Nawet jak badania pokazują, że ludzie chcą słuchać disco polo, to od tego mamy media, od tego mamy ministerstwo kultury, żeby podnosić gusta, czyli żeby zmieniać, tak naprawdę, sposób myślenia społeczeństwa.

Trzecia cecha to kompetencje. Kompetencja - trudno powiedzieć na czym ona polega, ponieważ, kompetencja, oprócz wiedzy, polega też na pewnej rzetelności, na umiejętności, na pewnym doświadczeniu życiowym. Bo to nie jest tylko kompetencja, którą się nabywa na uniwersytecie, nawet gdyby był najlepszy, czy w praktyce gospodarczej, tylko kompetencja, o której mówię, polega na pewnej mądrości i doświadczeniu, które powodują tworzenie takiego modelu funkcjonowania państwa, polityków, partii, rządu, w którym proces legislacji jest weryfikowany poprzez praktyków. Czyli mówiąc krótko - jest budowane prawo i jest czas na to, by praktycy pokazali słabości tego prawa. U nas dzieje się tak, że ci sami, którzy tworzą prawo, tak naprawdę, dokonują jego zmian.

Czwarta cecha - polityk musi lubić ludzi. Ja nie chciałbym żeby to zabrzmiało dwuznacznie (śmiech), ale polityk musi lubić ludzi, musi być otwarty na ludzi, musi być naiwny wobec obywatela, musi być człowiekiem odpornym na stres, musi być człowiekiem odpornym na oszustwo, głupotę, pomówienie. Polityk nie może powiedzieć: „Zawiodłem się na kimś”. Polityk musi być człowiekiem, który ma w sobie taką siłę, że lubi ludzi mimo ich wad, ufa ludziom, bo inaczej się nie da robić polityki. Nie może być lekarzem pediatrą ten, kto nie lubi dzieci. Polityk musi być człowiekiem niezwykle odpornym na stres i z taką dozą zaufania do ludzi, która graniczy z naiwnością. Polityk musi być człowiekiem przyzwoitym. Polityk musi wiedzieć, że jest osobą publiczną, polityk musi wiedzieć, że osoba publiczna to jest taka osoba, która rezygnuje z części swoich wolności osobistych. Świadomie rezygnuje dlatego, że jest właśnie osobą publiczną. I to są dla mnie najważniejsze cechy. Gdybym miał jeszcze pięć minut, to być może hierarchia ważności byłaby inna, ale powiedziałbym, że te cechy są dla mnie najważniejszymi wyznacznikami.

#### **Rys autobiograficzny Władysława Frasyniuka**

W.F: Wychowałem się w tradycyjnej dzielnicy robotniczej, bardzo tradycyjnej, gdzie jak przychodził dzień wypłat, to kamienice chodziły na fundamentach, a okoliczne bary piwne, których nie było dużo w tamtym czasie, pękały w szwach i bardzo często dochodziło, albo do wewnętrznych, że tak powiem, rozbojów i wtedy rzeczywiście te bary pękały, albo dochodziło do interwencji zewnętrznej i też te bary pękały (śmiech). Później, przez miesiąc, były zamknięte na niezbędny remont.

Moja rodzina była nietypowa dlatego, że mój ojciec był klasycznym robotnikiem. Ród pochodził z biednej rodziny międzywojennej, która w poszukiwaniu pracy przemaszerowała całą Polskę z krakowskiego na Pomorze. Z Pomorza, właśnie, mój ojciec trafił na roboty do Niemiec. Był nietypowym facetem dlatego, że był tak zwaną „złotą rączką” - co w tamtych czasach oznaczało, że za kofnierz się nie wylewa - otóż mój ojciec był nietypowy dlatego, że nie pił. Były dwie tylko takie rodziny, dwóch takich mężczyzn, którzy nie pili w mojej kamienicy. Był rzeczywiście specjalistą, powiedziałbym, bardzo otwartym, lubiącym się uczyć człowiekiem. Małomównym - nigdy nie pokazywał żadnych emocji. Był człowiekiem dbającym o swoją kondycję, całe życie się gimnastykował, był bardzo sprawny fizycznie i nigdy nie nadużywał swojej siły. Zdarzało się jednak, że przy okazji bójkę, że tak powiem,

dzielnicowych, mogliśmy zobaczyć sprawność naszego ojca. Nietypowy był mój ojciec i nietypowa była moja mama (śmiech). Moja mama pochodzi z Warszawy z zamożnej rodziny - jej ojciec był głównym księgowym w Monopolu Tytoniowym, więc gdyby nie II Wojna Światowa, pewnie nigdy by mojego ojca nie mogła poznać. Pewnie dzisiaj byłaby bardzo zamożną kobietą, prowadziłaby mieszczańską, zamożną rodzinę. Bardzo doświadczona przez II Wojnę Światową. Często żartuję, że Święto 1 Maja doprowadziło do tego dziwnego małżeństwa, dziwnego, bo małżeństwa przedstawicieli dwóch różnych środowisk.

Ojciec uczył nas zdolności manualnych, spokoju i opanowania, dystansu do rzeczywistości. Zawsze racjonalnie tłumaczył nam, dlaczego ludzie wierzyli komunistą, choć sam nigdy im nie ufał. Mówił, dlaczego ludzie wierzyli w to, że fabryki i ziemia może stać się ich własnością. Mówił nam o biedzie, która była w okresie międzywojennym i mówił o tym, że hasła komunistów łatwo trafiają do tych, którzy tę biedę pamiętają. Ludzie autentycznie wierzyli i autentycznie płakali po śmierci Stalina. Był człowiekiem nieokazującym żadnych emocji, ale bardzo pragmatyczny w swoich wypowiedziach. Pamiętam jak matka zachłystywała się wykształceniem Edwarda Gierka. Wtedy on mówił spokojnie: „Każda miotła na początku dobrze zamiata”.

Ojciec był człowiekiem, który bardzo chciał - bardzo w nas inwestował - bardzo chciał żeby któryś z jego synów został inżynierem, bo to jest bardzo pragmatyczny zawód. Był tak dalece pragmatyczny, że powiedział, iż nie chodzi o wiedzę, chodzi o papierek, bo w Polsce papierek ma większą wartość niż wiedza.

Mama była zupełnie inną osobą. Była osobą bardzo otwartą, bardzo towarzyską. Ciekawa życia, pełna ekspresji, osobą która kupowała książki, dbała o naszą bibliotekę, która uczyła nas otwartości na ludzi. To ona obalała nasze pierwsze mity. Żydzi. W mojej kamienicy mieszkało małżeństwo. Rosyjski Żyd i jego żona - Polka. Wszyscy o niej mówili: „Ta kurwa Żydówka Jadzia”. Matka wyjaśniała nam, że na tym właśnie polega polski antysemityzm. Takie proste przykłady powodowały, że myśmy się wychowali w otwartym domu. Mimo robotniczej dzielnicy, w naszym domu często bywali ludzie, którzy byli nauczycielami, albo wykładowcami. Więc można powiedzieć, że wychowywałem się w domu, który odstawał, tak naprawdę, od standardów mojej dzielnicy. Raczej wszyscy moi koledzy zaliczali zakłady poprawcze i mieli poważne problemy wychowawcze. Spali na klatkach schodowych, albo dożywiali się poprzez włamania do piwnic, żeby sięgnąć do weków.

Wychowałem się w dzielnicy, gdzie trzeba było mieć charakter. Jak mówili moi koledzy: „Nie siedziałeś, nie liczysz się”. Liczyły się albo umiejętności „radzenia sobie”, albo sport. Jakoś tak się zdarzyło, że z moim bratem, raczej byliśmy mocniejsi w sporcie. Mój brat jakoś kompletnie wyizolował się od naszych kolegów, a ja przeciwnie, miałem bardzo dobre kontakty na tzw. „parafii”. Szanowano mnie w związku z tym, że byłem człowiekiem którego roznosił temperament. Bez przerwy próbowałem różnych dyscyplin sportu. Brat był niezłym koszykarzem, a ja właśnie przemknąłem przez ileś tam dyscyplin i nigdy nie miałem cierpliwości żeby pozostać przy jednej. Szczerze powiedziawszy, życie było dla mnie ciekawsze niż ciężka praca na sali treningowej. Niewątpliwie po ojcu odziedziczyłem rzetelność w pracy. Za to byłem szanowany. Czterokrotnie zmieniałem pracę, co było dość dużą odwagą w tamtym czasie. Zmieniałem pracę, ale wszędzie miałem znakomitą opinię. Byłem nietypowym pracownikiem, bo byłem kierowcą ze średnim wykształceniem, co zawsze mi dawało pewną przewagę, ale też powodowało konflikty, bo, co tu dużo mówić, nie byłem człowiekiem, który pozwalał sobie na głowę wchodzić. Nie miałem żadnych oporów przed zmianą pracy. Uważałem, że jestem młody, silny, dobrze wykształcony, więc sobie wszędzie poradzę. Co było - powtarzam - dziwne, bo ludzie się trzymali pracy po dwadzieścia parę lat, a ja natomiast zmieniałem pracę, co było wówczas niemile widziane. Z domu odziedziczyliśmy niechęć do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale to nie był taki

antykomunizm, którym w tej chwili politycy się chwala. To była nieufność. To było poczucie nieprzyzwoitości - tak bym to określił - bycie TAM. Aczkolwiek, nie powiem, ażeby w moim domu były jakieś tradycje „powstańcze”. Jak były jakiegokolwiek filmy o charakterze patriotycznym, to moja matka wyłączała telewizor, bo miała tak dość wojny, doświadczonej na własnej skórze, miała tak dość tego, co przeżyła, że te filmy o wojnie były właściwie przez nią kompletnie odrzucane - budziły jej lęk. Charakterystyczne było to, że gdy zaczęły się strajki, to tak naprawdę cała moja rodzina zastanawiała się, jak powiedzieć mamie, że Władek jest właśnie w Komitecie Strajkowym. Jak to zrobić, żeby mama nie dostała zawału serca. Ku naszemu zaskoczeniu, zareagowała bardzo zdroworozsądkowo. Powiedziała do mnie: „Strasznie się o ciebie boję, ale w takich sytuacjach trzeba się zachować przyzwoicie”. Więc myślę, że to też świadczy o charakterze naszego domu.

W zasadzie, prawdę powiedziawszy, wszystko, co mogło być w takiej dzielnicy, co mogłem zobaczyć, to widziałem. Bardzo szybko byłem człowiekiem, który widział jak wygląda prawdziwa melina pijacka, to jakby było naturalne. Bardzo szybko zacząłem pracę zawodową, ażeby zarobić na życie. Pracowałem właściwie od pierwszej klasy technikum, początkowo w warsztatach samochodowych. Odziedziczyłem zdolności manualne po ojcu, więc dorabiałem sobie do spodni, do butów i wcale nie uważam, żeby to było złe, że miałem gorsze dzieciństwo. Przeciwnie, mogłem zostać jak powiedział mój ojciec, bandytą, albo milicjantem, bo tak, mniej więcej, kończyły się „kariery” na mojej „parafii”. Tym bardziej, że byłem człowiekiem, który miał właśnie „tutaj” dobre kontakty. Dość szybko miałem kontakt z alkoholem i papierosami. To jest naturalne w takiej dzielnicy. Oczywiście, świat przestępczy był dookoła, więc można powiedzieć, że nie można było nie mieć z nim kontaktu, co mi zresztą później pomogło, gdy poszedłem siedzieć. Okazało się, że mnóstwo rzeczy sobie przypomniałem - jak należy funkcjonować w więzieniu i dobrze sobie dzięki temu radziłem. Zaliczyłem wszystko, co można zaliczyć w takim kraju. Byłem dwa lata w wojsku. Odsiedziałem cztery lata w więzieniu. Wie Pan, jeżdżąc w PKS w długich trasach, jeżdżąc w Transbudzie, widziałem patologię, wszelką możliwą patologię gospodarczą, wszystko, co „tworzyło” socjalizm. Zawód kierowcy, to jest dobry sposób na poczynienie rozlicznych obserwacji. Jeździłem na Śląsk, gdy się tworzył tam przemysł. Obserwowałem zmianę obyczajów, zmianę kultury... Można powiedzieć, że znam całą Polskę dzięki temu, że jeździłem w dalekich trasach. Chcieli do partii mnie zapisać, żebym został jakimś brygadzystą czy kierownikiem, głównie ze względu na średnie wykształcenie. Woląłem zawód kierowcy dlatego, że dawał mi on duże poczucie wolności. Prawdę powiedziawszy, „ustawiłem się” na tzw. międzynarodowe przewozy. Wydawało mi się, że gdy zostanę kierowcą PKS- u międzynarodowego, to osiągnę swój sukces, że to mi da jeszcze większe poczucie wolności i możliwość zobaczenia świata. Od samego początku, będąc jeszcze w technikum, marzyłem o tym. Co prawda, wahałem się między dwoma zawodami: rolnika i właśnie kierowcy. Wydawało mi się, że chcę wykonywać taki zawód, gdzie moja praca będzie miała wymierne efekty. Ja po prostu nie mógłbym być urzędnikiem! Zresztą, do dzisiaj jestem kiepskim politykiem, bo nie mogłem być urzędnikiem. Boję się pracy papierkowej. Można powiedzieć, że zawód kierowcy ciężarówek, które jeżdżą w trasę, był chyba najbardziej wolnym zawodem w tamtych czasach. Nie musiałem podpisywać listy. Nie musiałem od 7.00 do 15.00 przebywać w zamkniętym pomieszczeniu.

No, taka jest moja biografia (śmiech). Powiedziałbym, że byłem i jestem człowiekiem „niedopasowanym”. Jestem człowiekiem, który trochę jest zagubiony. Mam nadal dobre kontakty i na swojej „parafii” i z ludźmi, którzy są po przejściach więziennych. Jednocześnie, powiedziałbym, że jestem takim człowiekiem, który jest zawieszony w powietrzu. Na pewno, już nie jestem „tym Władkiem z parafii”, czyli nie jestem przedstawicielem wieloprzemysłowej klasy robotniczej i na pewno nie jestem człowiekiem z elit warszawskich, Za każdym razem kiedy gdzieś przychodzę, to się patrzą owe elity, czy się



Frasyniuk potknie, albo czy powie brzydkie słowo, albo czy obleje się winem, a może nie będzie wiedział jak trzymać widelec...

Niewątpliwie jestem człowiekiem, który odniósł sukces. Społecznie awansowałem. Strasznie się dużo nauczyłem - wiele zawdzięczam środowiskom akademickim. Powiedziałbym, że jeśli gdziekolwiek jestem, to cały czas mam taką silną wiarę w ludzi wykształconych, wiarę w ich wiedzę. Inaczej niż Bujak (śmiech). Bujak doszedł do wniosku, że sam zostanie profesorem... Staram się otaczać ludźmi lepszymi ode mnie i mam tę świadomość, że oni są lepiej wykształceni, mają większą wiedzę i to mnie nie przeraża. Cieszę się, że ja z takim dobrym zespołem pracuję. Zawsze lubiłem ludzi trudnych - sam jestem trudny. Ludzie trudni osiągają sukces. Ci „łatwi”, to szczerze powiedziawszy, na żadną przygodę się nie nadają. W więzieniu to widziałem. Miałem znakomite kontakty ze światem przestępczym. Nie byłem człowiekiem, który, że tak powiem, pozwalał sobie na cierpienie. Wiedziałem, że w więzieniu siła fizyczna i refleks sytuacyjny odgrywają dużą rolę. W zasadzie można powiedzieć, że w świecie przestępczym byłem traktowany, jak osoba grypsująca, czyli coś przerażającego dla człowieka z poza „grypsery”. Nie byłem człowiekiem, który uważał, że należy nadstawić drugi policzek i modlić się. Nie pozostawałem dłużny nikomu. W związku z tym, w więzieniu, zaliczyłem wszystkie możliwe kary. Faktem jest, że miałem tzw. N - kę. Siedziałem często z kryminalnymi. Siedziałem w więzieniu dla morderców. Trzymano mnie na ciężkich i trudnych oddziałach. Szczerze powiedziawszy, woleli mnie wśród kryminalnych niż wśród politycznych. Jestem człowiekiem, który ma dużo cierpliwości, bardzo dużo cierpliwości, wobec obcych. Małą mam cierpliwość wobec bliskich i współpracowników. To widocznie jest taka cecha ludzi, którzy pracują w biegu. Nadal lubię ludzi, mimo, że jestem człowiekiem, który został w życiu oszukany - od spraw gospodarczych po polityczne - wielokrotnie.

Mam jakieś takie zaufanie do ludzi, nie jestem profesjonalnym politykiem i muszę powiedzieć, że nie mam ambicji bycia premierem, nie mam ambicji bycia ministrem. Interesuje mnie polityka w sensie zmieniania rzeczywistości i pasjonuje mnie zmienianie prawa. Muszę powiedzieć, że w tej sprawie panuje powszechna niekompetencja. Politycy są od tworzenia pewnych zasad prawnych, a nie od pisania ustaw. Od pisania ustaw są legislatorzy. To jest pomieszanie kompletnie zadań. Sam odniosłem, w tym względzie, porażkę i wycofałem się z komisji, w której podobno był sukces - sześć lat pracowano nad ustawą od geologii i własności kopalni. Zrezygnowałem, chyba po roku. Po roku, mając kilka pierwszych artykułów nowej ustawy, toczono półroczną dyskusję: od jakiej głębokości złoża jest wartością państwa, a od jakiej właściciela działki. Zapytałem - podobno siedmiu najlepszych profesorów, którzy tam debatowali - jakie rozwiązania są stosowane poza granicami kraju; które są lepsze, a które są gorsze. Wie Pan, co usłyszałem? Okazało się, że każde jest dobre i każde jest złe, jednocześnie. Zaproponowałem, że może w takim razie wylosujemy to nieszczęsne rozwiązanie. Wtedy popatrzono na mnie jak na barbarzyńcę, a ja uznałem, że się nie nadaję do tej komisji. Nie miałem poczucia sukcesu, że ta ustawa właśnie przez 6 lat była tworzona. Przeciwnie, uważam, że to było dzielenie włosa na czworo. Problemem moim i pewnie Unii Wolności jest to, że jest za mało ludzi, ale tych ludzi pisane z dużej litery, którzy mają ambicje sprawowania władzy. To jest problem. Oczywiście u nas też są ludzie, którzy chcieliby być ministrami nawet premierami, ale uważam, że to nie jest ta kategoria, którą ja bym chciał widzieć u władzy. To tyle, drogi Panie, mogę powiedzieć o swojej biografii.

W.U: Nie uda się Panu, Panie Władysławie, tak łatwo wykipić. A Pana działalność opozycyjna? Chyba nie przekroczył zasad obiektywizmu badawczego mówiąc, że jest Pan jedną z ikon podziemia. Pana działalność, w tym względzie, jest w zasadzie znana. Dlatego też, głównie interesuje mnie odpowiedź na pytanie: Jak to się stało? Jak został

Pan jedną z centralnych postaci polskiej opozycji, jednym z głównych aktorów wydarzeń, które doprowadziły do zmian w tej części Europy?

W.F: To był czysty przypadek. Byłem człowiekiem, który zawsze, że tak powiem, miał problemy w przedsiębiorstwie. Oczywiście, chodzi o problemy z kierownictwem. Koledzy mnie szanowali, bo byłem jedynym, który się odzywał na tzw. naradach i tłumaczył dyrektorowi, że jest w błędzie, albo robiłem sobie jaja, mówiąc, że to my jesteśmy awangardą systemu, więc żeby na nas nie krzychał. To powodowało różne problemy. W wojsku też miałem kuratora i byłem usunięty z zajęć politycznych - nigdy tego w życiorysie nie piszę (śmiech). To jest raczej cecha charakteru niż jakiś polityczny wybór. W ogóle jestem człowiekiem, który lubi prowokować - różne rzeczy. Nie boję się, tzn. nie mam takiego lęku ani takiej, wie Pan, obawy, że podpadnę, że coś mi zaszkodzi. Nie mam lęku, że ktoś mi podskoczy. Wiem, że sobie wtedy poradzę. Więc trudno się dziwić, że w wojsku też zaliczyłem areszt i niewiele brakowało, a miałbym prokuratora na karku. Wszystkie płoty, wszystkie meliny znałem, wojsko jest strasznie demoralizujące. Ale to tak na marginesie.

Natomiast to jest tak, że chyba nie bardzo - na początku, gdy zbliżały się strajki - wiedziałem jakie jest moje miejsce w tych nadchodzących wydarzeniach. Nie była to jeszcze ta atmosfera. Strajk przekładano z terminu na termin. Gdy miałem dzień wolny od pracy (w komunikacji miejskiej tak było, że co któryś dzień był wolny od pracy) to właśnie wtedy był wyznaczony kolejny termin strajku. Kończyłem pracę gdzieś tak ok. 1.00 lub 2.00 w nocy. Kazałem się obudzić rano, żeby zobaczyć, co się będzie działo. Gdy mnie obudzono, okazało się, że wszystko jeździ. Poszedłem spać. Jednak, gdy wstałem o godz. 9.00 rano zobaczyłem, że tzw. autobus 111 jest przeciążony maksymalnie. Już wiedziałem, że jest strajk. Nie byłem organizatorem strajku, ale poszedłem do zajezdni i okazało się, że wszyscy strajkują, tylko nie było wiadomo, co ze sobą zrobić. Powiedziałem: „No, chłopaki, jest jakiś komitet strajkowy?” No i się zaczęło. A wybrano mnie z dwóch powodów.

Parę dni wcześniej, kiedy zacząłem właśnie podskakiwać - jak to się mówiło - przyjechało takie wewnętrzne ORMO i zaczęło mnie, że tak powiem, przywoływać do porządku. Zadziałam wtedy tak, jak się może nie działa w parlamencie, ale jak się działa na zajezdni autobusowej i powiedziałem chłopcom, co ja im mogę zrobić jeśli oni mnie będą chcieli gdzieś tam wzywać. Czyli mówiąc krótko, wszyscy uznali, że proszę bardzo, Frasyniuk w razie czego, nie tylko sobie poradzi, ale jeszcze chłopaków przegoni z zajezdni. To był pierwszy powód.

Drugi powód był chyba ważniejszy niż wspomniana odwaga cywilna, czy też fizyczna. Byłem gówniarzem - miałem 26 lat, a jednak mogłem jeździć każdym autobusem. Każdy kierowca, gdy szedł na wolne, bardzo się martwił, że zmiennicy zajeżdżą jego auto. Kto, zatem może przejąć autobus i go nie zarznąć? A ten tam, Frasyniuk. Wie Pan, w moim wieku, to znaczyło, że jestem dobry zawodowo. Moim zdaniem, te dwie rzeczy, tak naprawdę zdecydowały, że zabrałem się z kolegami „w podróż”, która zaprowadziła mnie do podziemia. Prawdę powiedziawszy jestem człowiekiem z takiej „parafii”, gdzie człowiek lubi przygodę, lubi ryzyko. Bardzo lubię jak się coś zmienia wokół mnie, lubię nowe wyzwania.

Prawdę powiedziawszy po strajku - pierwszego września zakończyliśmy nad ranem strajk - wsiadłem w autobus i „jadę do tych ulubionych międzynarodowych przewozów”. Akurat w sierpniu, przed strajkami, dostałem papiery i angaż w przewozach międzynarodowych i pewnie nie byłbym bohaterem narodowym (śmiech), gdyby niejaki Aleksander Labuda. Wsiadł do tego autobusu i powiedział:

- Chłopaki! A wy kurwa gdzie? Trzeba związek robić!

- Ja mam związek robić? Oles! Ja? Daj spokój!

Nagle okazało się, „że jak nie ty, to kto ma robić?” Wszyscy jadą do pracy. Ktoś to musi zrobić. I tak zaczęła się moja praca w „Solidarności”.

Wie Pan, ja od początku w „Solidarności” byłem ustawiony na zupełnie inną pracę i to nie jest przypadek, że region Dolny Śląsk był jednym z najsilniejszych regionów, najlepiej przygotowanych do stanu wojennego. Ja, ze swoim dużym zaufaniem do wiedzy i do wykształcenia, spowodowałem, że we Wrocławiu powstała pierwsza wszechnica związkowa. Później tą wszechnicę zdecentralizowałem dlatego, że widziałem jak bardzo ludzie są słabi. Gdy byłem w różnych przedsiębiorstwach, to widziałem, że jak coś powiedziałem, co było takie oczywiste przecież, to wszyscy po prostu głowy między kolanami chowali. Później, poklepywali po plecach, później... ale nikt nie chciał zareagować jak miałem starcie z dyrektorem. Pomyślałem więc, że jedną z najważniejszych rzeczy jest nauczenie ludzi umiejętności podejmowania decyzji. Zdecentralizowałem wszechnicę i uczyłem komisje zakładowe tego, ażeby same podejmowały decyzje. W efekcie, jak wróciłem z więzienia, to strajki już trwały. Nie musiałem wzywać, namawiać, a strajki trwały. Były bowiem, rezerwowe komitety, które powstawały po aresztowaniu pierwszych działaczy „Solidarności”. To zadziało, dzięki powiedziałbym, dużej demokracji i samoedukacji tych ludzi.

Po drugie, byłem człowiekiem, któremu nie imponowały jakieś rozmowy i władza. Gdy w Gdańsku otaczali stocznię, powiedziałem: „Chłopaki trzeba się zrywać, bo tutaj będzie „ropierducha”. Nie pamiętam dokładnie kto, ale chyba Modzelewski podszedł do mnie z Jackiem Kuroniem i powiedział: „Nie Władziu, co ty! To będą negocjacje, nie?” Odpowiedziałem: „Człowieku, na mojej „parafii” jak dochodzi do „kontaktu” z „władzą”, to przecież wszyscy widzą, że trzeba spierdalać. Po prostu!” Okazało się, że moje doświadczenia z „parafii” są absolutnie, że tak powiem, polityczne i bardzo adekwatne do sytuacji. Byłem jednym z nielicznych o takim sposobie myślenia.

Trzecia rzecz, ważna moim zdaniem, sprowadza się do tego, że nie tylko Frasyniuk ocalał z wydarzeń w Gdańsku. Lecz oni wrócili do biura Solidarności, a ja nie. Mnie nie interesowała siedziba „Solidarności”, bo to jest tylko biuro. Ja poszedłem natychmiast tam, gdzie jest skupisko ludzi, czyli poszedłem do fabryki - poszedłem tam, gdzie można organizować opór. Rozmawiałem, nieco później - już w więzieniu bodaj, z tymi, którzy popędzili do siedziby „Solidarności”. Mówili najczęściej: „Wiesz Władziu, pojechałem do biura i tam mnie zgarnęła bezpieka”. No to ja mówię: „Po jakiego grzyba jechałeś do biura zamiast do strajkujących ludzi”. Wydaje się jednak, że oni tego też nie zrozumieli.

Dzięki temu, że ocalałem, tworzyłem podziemie. Ale, co do tego, także był spór między Warszawą a Wrocławiem. Warszawa uważała, że my nie mamy prawa organizować podziemia, bo... statut związku na to nie pozwala. Wystarczy tysiące kwiatów i dowolny mit organizacji. Ja natomiast uważałem, że po prostu, tak jak w każdej „bandzie” musi być szeryf - musi być szef, po prostu, musi być kierownictwo! Gdzie tu miejsce na statut? Czołgi na ulicach, a oni pieprzą o statucie! Mówiłem: „Ludzie, wybijcie sobie to z głowy - musi być kierownictwo „Solidarności”, musi być grono ludzi, które podejmuje wszystkie ważne decyzje”. Domagałem się także, ażeby, broń Boże, nie zgodzić się na jakąkolwiek anonimowość władz „Solidarności”. Przestrzegałem tego, żeby każda władza w związku, która się pojawia po aresztowaniach, nie była anonimowa. Żeby obowiązywała taka zasada, że struktura funkcjonuje tak długo, dopóki ktoś daje jej swoje nazwisko - nie daje nazwiska przestaje funkcjonować. Baliśmy się potwornej inwigilacji służb bezpieczeństwa.

Byłem przeciwny bijatykom ulicznym. Być może dlatego, że miałem takie przeświadczenie, że to nic dobrego, poza tym, że jest „krwawienie”, nic to nie daje. To jest pozorny sukces. Miałem, w związku z tym, poważne problemy, bo „Solidarność”, walcząca w moim regionie raczej uważała, że należy się łać na ulicy. Ja uważam z kolei, że poważniejszym zagrożeniem dla systemu, są organizacje wewnątrz przedsiębiorstw. Życie przyznało mi rację. Myśmy mieli największą ilość komisji zakładowych i szczerze powiedziawszy największym „wrogiem ludu” byli wtedy działacze zakładowi, a nie demonstracje uliczne. W moim mieście, parokrotnie, milicja dawała nam takie złudne

poczucie sukcesu. Były bijatyki, gdzie nasi bronili barykad do drugiej nad ranem, choć nie powinni mieć szans bronić ich nawet do dziewiątej wieczorem poprzedniego dnia. Moim zdaniem to było celowe działanie milicji, prowadzone po to, ażeby działacze wyszli z zakładów pracy. Oni byli groźni dla władzy wśród załóg, a nie na ulicach. To bardzo denerwowało moich działaczy, bo oni uważali, że wychodzą na tchórzy - wszyscy się nawalają na ulicy, a ja im tego zabraniam.

Byłem przy Okrągłym Stole i powiem to uczciwie - nie miałem żadnych skrupułów, żadnych wahań a jeśli się kiedykolwiek bałem, to się bałem, że mogą tam nas oszukać. I to nie jest przypadek, że byłem jedynym, który, że tak powiem, nie sięgał po kieliszek alkoholu, którym częstował nas generał Kiszczałak. Uważałem, że właśnie wszystko to, te toasty i ci fotografowie, którzy wpadają na chwilkę, że to wszystko dobrze pamiętam z przeszłości - z więzienia. Pamiętam bowiem, tych wszystkich prowokatorów... W związku z tym, uważałem, że negocjacje, które prowadzimy, są takimi negocjacjami jakie się prowadzi w zakładzie karnym - oni mogą zrobić wszystko, a ja wracam do celu, więc trzeba uważać na każdy ruch. Naturalnie, okazało się, że to ja miałem rację a nie Adam Michnik. Byłem jedyny, który tam nie pił wódki, choć to nie jest oczywiście prawdą, że myśmy się tam fraternizowali z władzą. Moim zdaniem, to był taki socjotechniczny zabieg władzy, żeby wyprodukować dokumenty na ewentualność ośmieszenia opozycji. Uważałem, że tak naprawdę, jedyne co mamy, to poczucie godności i jak nam to odbiorą, to już nic nie będziemy znaczyć, bo przecież armii podziemnej nie było.

Okrągły Stół był dla mnie trudnym doświadczeniem dlatego też, że byłem przekonany, iż ludzie opozycji tak bardzo cierpieli w stanie wojennym, że wychodzą mądrzejsi i dojrzałsi, odpowiedzialni za słowo, za państwo, za grupę i że tak naprawdę ta nasza rzeczywistość będzie się zmieniała w zdecydowany sposób. Byłem takim optymistą, że w pierwszych wyborach nie wziąłem udziału, bo uważałem, że sytuacja będzie się tak zmieniała, że liderzy powinni pozostać z ludźmi. Powinni tłumaczyć im, dlaczego nasza rzeczywistość się zmienia, brać na siebie ciężar zmian, przekonywać ludzi, że trzeba tutaj i teraz, różne rzeczy robić. Przegrałem, bo uważałem wtedy, że związek powinien być nowoczesnym związkiem uczestniczącym w tych przemianach, biorącym odpowiedzialność, zwłaszcza na poziomie miejsca pracy. Nowoczesny związek właśnie, powinien być zainteresowany unowocześnieniem miejsca pracy, bo to daje gwarancję, zabezpiecza przed bezrobociem. Wygrywał jednak populizm.

Pierwszy raz zobaczyłem, że źle się dzieje kiedy duża część tzw. „pokręconych” - czyli tych, co to, choć nie znało adresów konspiracyjnych, pytało mnie w czasie stanu wojennego, czy ja dam im gwarancję, że nie pójdą siedzieć za działalność - zaczęło krzyczeć po Okrągłym Stole: „Zdrada narodowa”. Tego się przestraszyłem. Nieco później uznałem, że nie byłem na to przygotowany, byłem kompletnie zaskoczony. To oczywiście doprowadzało do rozbicia „Solidarności”. To był pierwszy proces psucia historii, legendy i tradycji. Powstało mnóstwo bohaterów, którzy chcieli dokończyć rewolucję, wieszając „czerwonych” na latarniach.

Kolejny mój błąd polegał na tym, że za późno się zorientowałem, iż ludzie z podziemia, ludzie z uczelni, wycofali się z polityki. To było, wie Pan, jak nożem odciął. Jedyne pojedyncze osoby z tych środowisk, weszły do polityki. Całe zaplecze intelektualne z Wrocławia, wcale nie takie małe, odeszło. Nie imponował im żaden parlament, ani dziesiątej, ani pierwszej, ani piątej kadencji. Ci ludzie, też ponieśli swoje porażki - prywatne. Stało się tak dlatego, że najczęściej wracali na uczelnie, bo uważali, że w tej chwili jakość nauki, jej autonomia, są najważniejsze. Uważali, że tam się będą realizować. Okazało się jednak, że są ludźmi przegranymi w sensie socjalnym - powiedziałbym. Nikt na nich nie czekał.

No i cóż? Co mi później pozostało? To dość oczywiste. Chyba jestem nietypowym człowiekiem, bo jestem jednym z nielicznych przewodniczących, którzy zapowiedzieli, że



zrezygnują z pracy w związku zawodowym na rzecz polityki. Już wtedy wiedziałem, że „Solidarność” padnie martwym trupem w momencie jak - nie pamiętam, który to był zjazd - przeczytałem na liście delegatów, że na dwustu paru, stu pięćdziesięciu jest już członkami „Porozumienia Centrum”. Doszedłem do wniosku, że zaczyna się to cholerne, polskie piekło i chciałem zademonstrować, że do polityki się idzie normalnie. Że związek zawodowy zostaje związkiem zawodowym, a do polityki się przechodzi. No cóż, ale okazało się, że mój przykład na nikogo nie podziałał - szefowie związków zostawali szefami partii i parlamentarzystami.

Prawdę powiedziawszy jestem w „Unii Wolności”, partii, która mnie bardzo często denerwowała. Przez całe lata byłem bez przerwy w opozycji wobec przewodniczących - w konflikcie z Mazowieckim, co prawda merytorycznym, ale jednak konflikcie - w dużym konflikcie z Balcerowiczem. Aż doszło w końcu do sytuacji beznadziejnej, gdy „Unia Wolności” wypadła poza parlament. Doszedłem do wniosku, że na jej czele musi stanąć człowiek, który wierzy, że wygrywają ci, którzy WIERZĄ. Powiedziałbym, wie Pan, że nie tyle wierzę w ludzi Unii, co wierzę w wartości, które „Unia Wolności” reprezentowała. Że nie można pozwolić, ażeby to wszystko się tak rozplynęło. Nie ludzie, bo ludzie wie Pan... Czy ja się zdecydowałem na ryzyko, czy Tadeusz Mazowiecki? Ludzie są tylko ludźmi. Natomiast to „Unia Wolności” uosabia pewien sposób uprawiania polityki, który zniknął i wydaje mi się, że jest w tym część mojej odpowiedzialności.

Strasznie zależało mi na tym, żeby „Unia Wolności” powróciła do parlamentu. Nadal nie zależy mi na tym ażebym był premierem czy prezydentem, choć gdybym miał wybierać wolałbym być prezydentem (śmiejch). Dlaczego? Bo z natury jestem człowiekiem leniwym. Mimo bogatego życiorysu uważam, że lepiej aktywnie leniuchować niż ciężko pracować za biurkiem.

## 2. Marek Słomski

(Nota biograficzna w całości przygotowana przez autora książki w oparciu o wypowiedź autobiograficzną M. Słomskiego)

Marek Słomski, rocznik 1956, członek „Solidarności”, od chwili jej powstania. Historyk i humanista. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ojciec - pracownik resortu sprawiedliwości. Matka - gospodyni domowa.

Wychowywał się w tradycyjnej, wielopokoleniowej rodzinie. Znaczący wpływ, na kształtowanie osobowości Marka, posiadał jego dziadek, który nauczył go szacunku do pracy i wpoił spójny, tradycyjny system wartości, w którego centrum znajdował się zawsze człowiek. Całą swą młodość spędza na wsi, będącej dla niego azylem, do którego z rzadka tylko, docierają odgłosy wydarzeń, kształtujących rzeczywistość PRL.

Pierwszą, jak sam twierdzi, lekcję samoidentyfikacji politycznej, odebrał w szkole średniej. Ten miłośnik poezji Herberta, zaczyna z wolna dostrzegać absurd i groteskę Systemu. Chroniczna wręcz, niechęć do polityki, prowadzi go do poszukiwania kolejnego azylu - na wzór rodzinnej wsi. Staje się nim, praca z dziećmi upośledzonymi w domu pomocy społecznej.

Jako członek „Solidarności”, znajduje się w punkcie zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. Przed internowaniem chroni go choroba i przedłużony pobyt w szpitalu, możliwy dzięki pomocy i przychylności zaprzyjaźnionych lekarzy. Zwolniony z pracy, podejmuje studia w KUL. Jednakowoż, w swoich wypowiedziach, nie eksponuje „karty martyrologicznej”. O tym okresie swojego życia mówi, spokojnie, rzeczowo, skromnie, a nawet - dość zabawnie.

W połowie lat osiemdziesiątych, rozpoczyna bardzo aktywną działalność w strukturach podziemnej Solidarności. Członek Zarządu Regionu, a następnie, członek prezydium NSZZ „Solidarność”.

W latach 1992-1995 członek Porozumienia Centrum, a następnie, od roku 1991 - wiceprzewodniczący RS AWS w woj. Zachodniopomorskim. Jeden z najbliższych współpracowników ówczesnego wicepremiera Longina Komołowskiego.

Od początku lat 90 jest właścicielem, dobrze prosperującej firmy wydawniczej i poligraficznej.

### Maj 2005 roku.

**Waldemar Urbanik:** Czy pana zdaniem, mamy w ostatnim czasie do czynienia z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak, to gdyby był pan uprzejmy i wskazał kilka przejawów i przyczyn tego zjawiska.

**Marek Słomski:** Niewątpliwie, mamy do czynienia ze zjawiskiem, które może być nazwane radykalizacją. Choć, chyba nie jest tak do końca, ponieważ zespół zjawisk, o których mówimy posiada bardziej złożony charakter. Jeden element radykalizacji niewątpliwie istnieje, a mianowicie taki, który przejawia się pewnym zanegowaniem istniejącej rzeczywistości politycznej, istniejących propozycji politycznych sformułowanych przez partię, zwróceniem się w kierunku partii, które mają programy oraz hasła o charakterze uproszczonym, demagogicznym, takim, które dają dość proste odpowiedzi na rozwiązanie skomplikowanych problemów społecznych.

Natomiast, wydaje mi się, że w owej radykalizacji brakuje dość ważnego elementu. Mianowicie, radykalizacja zakłada jakiś rodzaj pozytywnego buntu, pozytywnej negacji, nacechowanej jednak, pewną wolą doprowadzenia do zmian. Wydaje mi się, że ta radykalizacja, z którą mamy do czynienia w naszych warunkach, tego elementu nie zawiera. Otóż, raczej zawiera element narastającego zniechęcenia, czyli negacji nie tylko proponowanych propozycji politycznych, rozwiązań istniejącej rzeczywistości życia społecznego, ale również, niestety, - niepodejmowania żadnych pozytywnych działań w kierunku zmiany. Być może to jest tylko moje rozumienie tego, czym jest radykalizacja, ale ja uważam, że ona powinna ten drugi element zawierać, bo wtedy, tego typu radykalizacja, aczkolwiek może być ryzykowna, - np. jej realizacja w jakiś zachowaniach społecznych może zawierać pewien element ryzyka - budzi nadzieję pozytywnych zmian.

W naszym przypadku, mamy negację połączoną ze zniechęceniem, a nie negację połączoną z pewnym buntem pozytywnym, czyli wytworzeniem pewnej aktywności na miarę, co oczywiście, pozycji każdego obywatela i jego chęci uczestnictwa w życiu społecznym. W każdym razie, nasza radykalizacja jest na tyle niebezpieczna, że ona nie stymuluje pewnego działania w kierunku zmiany. Raczej, polega na tym, że w ogóle neguje się pewne konstrukcje społeczne, mechanizmy podejmowania decyzji społecznych, funkcjonowania społeczeństwa i to jest bardziej anarchizacja, aniżeli radykalizacja, taka, która mogłaby budzić pewną nadzieję.

Przejawia się to w czymś takim, że wszystkie z tych partii, wszystkie z tych grup sprawujących władzę, które formułują programy o charakterze, czy to uniwersalnym, czy o takim charakterze, o którym moglibyśmy powiedzieć, że przynajmniej w sferze werbalnej, w sferze sformułowanych założeń programowych, mieszczą się w kategorii, które utrwalają pewien porządek społeczny, rozwój, otóż że wszystkie te partie tracą na popularności. Objawia się to min. w stałej utracie zaufania do głównych instytucji publicznych takich jak: parlament, a nawet do takich, które są wysoko cenione, tych o charakterze porządkowym. Spadek zaufania społecznego dotyczy wszystkich instytucji życia publicznego, czyli rządu, parlamentu, a w ostatnim czasie nawet ten stale, że tak powiem, wysoki poziom zaufania do prezydenta, również uległ obniżeniu. To jest pierwszy objaw zjawiska, o którym rozmawiamy.

Drugim objawem tego, jest to, że w każdych następnych wyborach mamy coraz mniejszą frekwencję, a więc, coraz mniej ludzi bierze aktywny udział w życiu społecznym, a to jest wynik właśnie zniechęcenia, braku wiary.

Trzecim jest to, że te partie które mają radykalne programy, o których mówiliśmy na początku - te o charakterze demagogicznym - odnotowują raczej wzrost poparcia. Oczywiście mamy tu na myśli - głównie i w szczególności - Samoobronę. Może w innym sensie - Ligę Polskich Rodzin, ale to nie jest partia, skupiająca objaw radykalizmu społecznego. To jest raczej partia o charakterze ideowym, dość dogmatycznym, i ona ma pewien stały poziom poparcia. Natomiast, Samoobrona odnotowuje pewien wzrost notowań i oczywiście tym objawem, które najdobitniej świadczy o pojawieniu się zjawiska radykalizacji, jest to, że Samoobrona, która z natury rzeczy trafia do pewnej części społeczeństwa - spauperyzowanej, tej, która się czuje mocno pokrzywdzona - okazuje się, że nie tylko posiada tak zwany lumpen proletariát, czy, jak na początku przypisywano Samoobronie - biedną wieś, ale też osoby z różnych klas społecznych - jest wśród wyborców tej partii wielu przedstawicieli inteligencji, świata biznesu, małego biznesu, którzy w Samoobronie zaczynają lokować resztki nadziei. Taka struktura wyborców Samoobrony, świadczy o zakresie i poziomie radykalizowania się postaw społecznych.

Cały czas odnoszę wrażenie, że nie jest to radykalizacja w normalnym tego słowa znaczeniu, a bardziej radykalizacja w kierunku zanarchizowania, ponieważ jest również zanegowaniem systemów wychowawczych, a nie tylko życia politycznego, zanegowaniem

pewnych propozycji konstrukcji życia społecznego - które istnieją, oraz aktualnych mechanizmów i instytucji, regulujących zasady życia społecznego. To się objawia jakby w wielu miejscach. To jest niebezpieczne.

Ważną rzeczą, według mnie, jest to, że ten skarbiec społecznego zaufania w przypadku społeczeństwa polskiego, przechodzi, co kilka lat kolejne przełomy - rok 1956, rok 1968, rok 1970, rok 1980, rok 1989. Być może takim kolejnym przełomem w historii jest zdecydowana porażka AWS. Może ona być jakąś cezurą w tym zakresie, aczkolwiek nie objawiająca się w formie buntu, ale w zwróceniu się w kierunku Samoobrony, w kierunku tego typu propozycji społecznych. Ten, jak powiedziałem, skarbiec społecznego zaufania do instytucji publicznych, jest nieustannie wyczerpywany, a rzadko uzupełniany. W związku z tym, trzeba powiedzieć, że klasa polityczna zasłużyła sobie na taki stan społecznego zaufania do jej funkcjonowania przez wiele, wiele lat. Więc przyczyny, gdybyśmy to tak rozpatrywali, zapewne należało by to widzieć w szerszej perspektywie czasowej, aniżeli się tylko wydaje. Tak rozumiany, aspekt historyczny, należy traktować raczej jako jakieś tło, jakiś kontekst, który wzmacnia określone reakcje, reakcje, które - gdyby nie było tego wszystkiego przedtem - może byłyby na znacznie niższym poziomie. Ale cóż, wcześniej były wielkie zawody, ciągle wzbudzanie nowej nadziei, i znów zawód, który wyczerpywał zasób społecznego zaufania.

Wydaje się więc, że klasa polityczna, ciągle nie staje na właściwym poziomie, nie jest w stanie sprostać wyzwaniu czasu, nie formułuje tego typu rozwiązań, które życie społeczne i publiczne, budują. Wydaje się również, że w okresie powojennym, mamy stale do czynienia z myśleniem klasy politycznej - myśleniem o kraju, o ojczyźnie, o państwie, o gospodarce - które polega na tym, że myśli się bardziej o prostej absorpcji rozwiązań zewnętrznych, aniżeli o wytworzeniu własnych pomysłów na problemy i tylko - o pewnej adaptacji rozwiązań zewnętrznych, adaptacji do naszych, rodzimych uwarunkowań.

Tak oto, w okresie komunizmu, mieliśmy model, który narzucano nam z ZSRR i był on wdrażany z powodów ideologicznych, jako wzorzec, jako niezbędny element funkcjonowania państwa. Potem, mieliśmy pewien okres negacji rzeczywistości PRL - owskiej, negacji poprzez idealizowanie rozwiązań, tak zwanych, zachodnich. Ta idealizacja, przebiegała bez przybliżania, bez refleksji nad faktem, że w rozwiązaniach zachodnich występowały ogromne różnice, w zależności od obszaru tzw. „Zachodu”. W zasadzie dla nas cały świat, tak zwany cywilizowany, to był ten wymarzony Zachód. Ameryka, czy Europa, a nawet rozwinięte kraje azjatyckie - to też był, w tym rozumieniu, Zachód.

Idealizacja, o której mówimy, dotyczyła przede wszystkim rozwiązań gospodarczych, a więc głównie, wolnego rynku. Brakowało świadomości tego, że mechanizm funkcjonowania wolnego rynku jest bardzo skomplikowany, że on w zasadzie w każdym miejscu inaczej wygląda, że aby on pozytywnie budował gospodarkę, musi być koniecznym przynajmniej „zaszczepiony” świadomościowo, a nie tylko, że tak powiem, sztucznie przyjęty w formie, tylko i wyłącznie procedur. Nie było tworzenia pomysłów na własną rzeczywistość, ale nawet nie było tego, co ja określam, mianem „zaszczepienia” dobrych pomysłów zewnętrznych. W związku z tym, wydaje się, że przewidywane efekty, wynikające na domiar złego z „nadymanej idealizacji”, zostały nie tylko niespełnione i aże drastycznie odbiegły od oczekiwań, od oczekiwań społeczeństwa i również od oczekiwań pewnych kręgów politycznych. Nie przyniosły ze sobą, tego, czego oczekiwano.

Zachowanie klasy politycznej, a w szczególności jej wyjątkowa niedojrzałość polityczna, były powodem tego, że społeczeństwo coraz mniej wierzyło w zdolność polityków do przeprowadzenia rzeczywistych i oczekiwanych zmian.

Brak przygotowania klasy politycznej, wynika także z tego, że zasadniczo, ta nowa klasa nie miała się gdzie przygotować. Przecież, nie ma w kraju miejsca, które przygotowywałoby do pełnienia funkcji publicznych, do sprawowania władzy, do startowania w wyborach, do wygrywania tych wyborów, do sprostania zadaniom, które w danym



momencie trzeba realizować. Tego typu przygotowanie miał aparat PZPR-owski, ale miał przygotowanie w zupełnie innych realiach - do służenia pewnym zewnętrznym pomysłom, a nie do rozwiązywania problemów przebudowy kraju. Aczkolwiek, był sprawny technicznie, to jednak okazało się, że jest słaby - czyli jest merytorycznie nie przygotowany do rozwiązywania problemów - bo to wymaga zupełnie innych kwalifikacji. Ci którzy się zbuntowali, czyli cały „układ solidarnościowy”, a później „postsolidarnościowy”, w sposób naturalny, takiego przygotowania nie posiadał. To „przygotowanie”, polegało raczej na posiadanych umiejętnościach destrukcyjnych, a nie na pozytywnych umiejętnościach od rozwiązywania problemów przebudowy państwa. Ja nie mówię tego, tylko po to, ażeby usprawiedliwić klasę polityczną. Mówię to po to, aby potwierdzić, że owa słabość klasy politycznej, jest jedną z głównych przyczyn tego, że pojawia się tak dalece negatywny odbiór społeczny całego okresu przemian.

Pojawia się - także drastyczne - pytanie: Czy można było inaczej? Czy...? Bo wie Pan... są podawane, jeszcze inne przyczyny tego stanu rzeczy. Podaje się np., że przez „dwa lata było źle, bo był kryzys w Rosji”, że przez jakiś okres było źle, bo „gdzieś wybuchła wojna”, albo było źle „bo u Niemców był jakies zjawiska”. Jednak, ja sądzę, że to nie jest w ogóle, sięganie do istoty rzeczy. Ta zmienna sytuacja zewnętrzna i gospodarcza jest jakby normą, bo ona zawsze jest inna i zawsze, są jakieś tam, mniej lub bardziej, sprzyjające uwarunkowania. To dla mnie nie zasługuje na miano przyczyn. Co najwyżej, na miano uwarunkowań, w których musimy funkcjonować i działać.

Natomiast, rzeczywistą przyczyną, według mnie, jest to, że klasa polityczna jest zupełnie nieprzygotowana. Wydaje się, że nawet nie podjęła, po roku 1989, takiej, samorefleksji nad własną kondycją, nad niezbędnymi elementami pracy, którą należy wdrożyć. Partie polityczne, które w demokracji są wręcz instytucjonalnie zobowiązane do wyławiania osób do pełnienia funkcji publicznych, nie mają wbudowanych w swoje funkcjonowanie, żadnych systemów, ani przygotowania, ani selekcjonowania osób, ani wdrażania ich tak, aby mogli sprostać zadaniom, które zostają im powierzone. Żadna z partii tego nie rozwinęła, a przecież w układzie państwa demokratycznego, nikt inny się tym nie zajmuje.

Oczywiście, gdzieś się pojawiły takie kierunki jak politologia, które powinny przygotowywać, czy to administrację do zarządzania, czy przygotować kadry do funkcji urzędniczych, ale to wszystko nie nabrało wystarczającej skali, ani również nie zostało uzupełnione pewnym systemem wprowadzania tych osób do faktycznej odpowiedzialności za życie publiczne. Funkcjonują także, pewne stare mechanizmy - w sferze urzędniczej, to już na pewno - ale również w sferze funkcji wybieralnych i niestety, są to bardziej mechanizmy protekcji, aniżeli oceny kompetencji. Dlatego to jest tak ważne, ponieważ to coraz bardziej uzmysławia nam, że ta słabość tkwi mocno w tym segmencie życia społecznego. Że cały sposób funkcjonowania polityków - polityków w tym rozumieniu, że są to osoby, które za chwilę, w wyniku wyborów, w wyniku funkcjonowania instytucji demokratycznych, całego systemu kształtowania władzy publicznej, mają podjąć „Tę” odpowiedzialność - że ten sposób jest zły. Bo jeżeli odbywają się wybory, to ktoś musi je wygrać i automatycznie, ta osoba staje się np. parlamentarzystą, przejmując odpowiedzialność za państwo.

W związku z tym, sam mechanizm demokratyczny wprowadzony w kraju, automatycznie wyłania te osoby i daje im ogromną odpowiedzialność, natomiast one nie są do tego przygotowane. Co więcej, nie mogą być przygotowane, ponieważ nie ma żadnych konstrukcji przygotowania i wprowadzania do roli polityka. W dalszym ciągu, nie funkcjonuje zasada kompetencji, a zasada protekcji.

Można by było powiedzieć, że niski poziom przygotowania klasy politycznej do rozwiązywania problemów kraju, jest generalnym objawem braku kompetencji w naszym społeczeństwie. Ale to jest teza, której nie da się obronić, ponieważ są w Polsce całe grupy

zawodowe, które są kompetentne i dobrze przygotowane - mamy kompetentnych lekarzy, naukowców, może nie do końca, ale jednak - kompetentnych nauczycieli, niewątpliwie mamy kompetentnych lotników, górników, ale ciągle nie mamy kompetentnych polityków, bo nie mamy systemu ich przygotowania. W związku z tym, skutki braku kompetencji na taką skalę, muszą być... Szczególnie w czasie, w którym budujemy ustrój, czyli krotko mówiąc, w czasie realizacji już ustalonych w świecie przez tradycję i praktykę zasad funkcjonowania państwa, my większą część musimy tworzyć od nowa i ażeby to robić dobrze, trzeba umieć kierować życiem publicznym.

Niektórzy mówią, że w parlamencie powinni być prawnicy co nie jest prawdą. To nie o to chodzi. Może być w parlamencie dużo prawników, ale z tego nie musi nic pozytywnego wynikać. Tam muszą być, po prostu, dobrze przygotowani politycy, czyli osoby przygotowane do funkcjonowania w życiu publicznym.

Dlatego tak to podkreślam, ponieważ z mojego punktu widzenia, z moich doświadczeń w funkcjonowaniu w partiach politycznych, jest to jeden z głównych powodów niemożności rozwiązywania większości problemów, co w konsekwencji, powoduje brak zaufania do władzy publicznej. Więcej - taki stan rzeczy, powoduje również to, że państwo polskie, przez wielu analityków (socjologów, publicystów), którzy opisują te zagadnienia, jest uważane za państwo zdeorganizowane. Nie funkcjonują dobrze, żadne jego systemy. Nie funkcjonuje dobrze gospodarka, nie ma wskaźników napawających optymizmem, nie funkcjonuje dobrze systemy opieki społecznej, nie funkcjonuje dobrze system opieki zdrowotnej. No... w praktyce, żaden system nie funkcjonuje dobrze.

To nie jest tylko kwestia konieczności pewnych korekt, tylko kwestia pokonania pewnych zasadniczych ułomności, które są lokalizowane. Ja widzę, opierając się na własnych doświadczeniach, że ta zasadnicza niemożność ma znaczenie dla problemów, o których dzisiaj rozmawiamy.

**W.U:** Czym w kontekście tego o czy Pan przed chwilą powiedział, uzasadniłby Pan wzrost poparcia społecznego dla takich ugrupowań jak Samoobrona i Liga Polskich Rodzin? Jakie są Pana zdaniem przyczyny klęski wyborczej ugrupowań posierpniowych?

**M.S:** Zacznę od klęski, ponieważ to będzie perspektywa przy pomocy, której łatwiej wytłumaczyć dlaczego Samoobrona i dlaczego Liga Polskich Rodzin odnosi sukcesy. AWS, jako pomysł polityczny, był pomysłem bardzo dobrym, bo to był pomysł na pewnego typu zjednoczenie (tu nie chodzi o prawicę, chociaż ona też musi mieć pewien funkcjonalny charakter w stosunku do państwa), pomysł na pewną koordynację działania, bardzo poważnego obszaru politycznych wyborów, propozycji i idącego za tym elektoratu. Natomiast problem polegał na tym - i to jest całe nieszczęście AWS-u, że ten dobry pomysł nie został w zasadzie oprócz początkowej fazy, czyli jego zadeklarowania i wygrania wyborów, zrealizowany. Otóż, zasadniczo nie udało się spowodować czegoś takiego, że ten cały konglomerat partii politycznych, że ten cały obszar sceny politycznej - większości prawicy i części centrum - że ten cały obszar nie funkcjonował, celem wpisania się w sposób wystarczająco aktywny w sprawowanie władzy dla rozwiązania problemów, które stały przed państwem i przed społeczeństwem. A dlatego się tak nie stało, ponieważ partykularyzm poszczególnych elementów tego ugrupowania bardzo szybko stał się dominującym elementem. Interes poszczególnych partii stał się bardzo szybko ważniejszy od interesu AWS-u, który miał przecież odpowiedzialność przed wyborcami - podmiotową odpowiedzialność - od interesu państwa w gruncie rzeczy. Ta podmiotowa odpowiedzialność AWS-u przed wyborcami, mogła jednak stymulować do wzięcia rzeczywistej odpowiedzialności za państwo. Natomiast jeśli nikt się nie zajmował interesem AWS-u, czyli również jego odpowiedzialnością przed wyborcami, no to w związku z tym styl i poziom

sprawowania władzy musiał na tym mocno ucierpieć i ucierpieć. Pokazał to odbiór społeczny tej władzy.

Szybkie wygranie interesu partykularnego stała się nadrzędnym celem, który się zresztą ujawnił już w następnym dniu po wyborach. Pierwsze zebranie kła parlamentarnego AWS- u wykazało, że AWS nie ma konstrukcji organizacyjnej, która jest w stanie utrzymać całą tę grupę parlamentarną w niezbędnej dyscyplinie, która by pozwoliła realizować program. Otóż od razu powstały odrębne grupy - ZCHN, SKL i innych partii, które tworzyły AWS, partii, których już nawet nie pamiętam. Taka była tylko ich historia, że funkcjonowały w AWS i „wydarły” swoje - te partie niczym się innym nie zaznaczyły w funkcjonowaniu publicznym. Od razu zostały sformułowane interesy partykularne i od razu zaczęło się jakby rwanie AWS, który oczywiście miał dużo do dania, bo miał władzę, miał stanowiska, miał najróżniejsze możliwości. Nie było myślenia, że za tym wszystkim idzie odpowiedzialność. Należy pamiętać, że odpowiedzialność nie była po stronie ZChN, czy SKL, ale była odpowiedzialnością AWS. Łatwo zatem było się ukryć za tym szyldem. Natomiast AWS ani nie miał wystarczającej konstrukcji organizacyjnej, ani wystarczającej determinacji kreacji swojego przywództwa, przede wszystkim Krzaklewskiego.

Dzisiaj wszyscy wiemy, że gdyby na początku tej kadencji z AWS- u stworzono pewną zorganizowaną formułę, to być może ilość błędów, czy ilość energii, która była włożona w pracę, przyniosłaby pewne skutki pozytywne i prawdopodobnie ocena wyborców byłaby też inna. AWS ze względu na ten rozbuchany partykularyzm się rozpadł i w związku z tym nie zrealizował swojego pomysłu politycznego w sposób wystarczający i w sposób taki, który trwale i pozytywnie by się zapisał w historii. Oczywiście, każda dalsza perspektywa historyczna i czasowa pozwala może trochę łagodniej oceniać to co się stało. Dzisiaj też widzimy, że zorganizowane SLD sobie nie poradziło z pewnymi takimi ruchami odśrodkowymi, które narastają w momencie gdy się otrzymuje dużą władzę i w związku z tym ma się wiele do dania. Rosną apetyty, rośnie rzesza tych, którzy chcą z tego skorzystać i okazuje się, że niezadowolonych jest więcej aniżeli tych zadowolonych.

AWS się rozpadł. Natomiast Unia Wolności - wydaje się, że ja już to zjawisko obserwowałam na początku funkcjonowania AWS - to wydaje się, że od wielu lat z Unią Wolności był pewien problem polegający na tym, że jej propozycje programowe były skierowane do dość wyspecyfikowanego elektoratu. Był to, jeśli by zdefiniować to bliżej, taki szczególny rodzaj inteligencji, tzn. taki rodzaj inteligencji, który cechował się idealistycznym poczuciem jakiejś wyjątkowej roli społecznej. Program Unii Wolności, skierowany do owej inteligencji, nie był rozwijany - tzn. wewnątrz Unii Wolności nie była prowadzona żadna dyskusja na jego temat. Dlaczego to jest tak ważne? Właśnie, szczególnie w Unii Wolności było to ważne, dlatego że to była partia „dla inteligencji”. Inteligencja uzyskuje swoją samoświadomość w wyniku wewnętrznej, permanentnej dyskusji. Tylko wtedy jest ona w stanie kreować, utrzymywać ducha aktywności publicznej i kreować nowe rozwiązania, podtrzymywać swoją popularność. Natomiast Unia Wolności stała się bardzo szybko taką formacją typowo urzędniczą, tzn. taką, która była dość sprawna w zagospodarowywaniu pewnych pożytków wynikających z wyborów, która się wdroszyła w urzędniczą rolę. Natomiast zapominała o swoim elektoracie - przestała podtrzymywać z nimi swoją łączność. Poza tym wydają się, że Unia Wolności ciałem i duszą oddała się pewnej koncepcji, pewnemu projektowi, pewnemu pomysłowi politycznemu z natury rzeczy doraźnemu, związanego głównie z osobą Leszka Balcerowicza i jego polityką fiskalną. Unia Wolności szczególnie powinna zachować - jako szczególny swój skarb intelektualny - krytycyzm, a on zamarł i był to gwóźdź do trumny tej partii. Dlaczego? Dlatego, że charakter tej partii, elektorat tej partii był taki, że tam owa krytyczna dyskusja intelektualna powinna trwać. Dawałoby to szansę zarówno samej Unii Wolności, jak i włączeniu się Unii Wolności w sposób - nazwijmy to - twórczy w proces organizacji życia publicznego. W Unii Wolności to

zamarło. Takie poświęcenie charakteru partii, oddaniu się pewnej, doraźnej z natury rzeczy koncepcji politycznej, spowodowało to, że Unia Wolności straciła kontakt ze swoim elektoratem.

Obserwowaliśmy stałe zjawisko odchodzenia zwolenników Unii od Unii. Pozostali w zasadzie tylko ideologowie, którzy kochają Unię dla Unii, a już w ogóle nie uruchamiają żadnej samooceny. W związku z tym, że tak, jak w życiu społecznym warstwa intelektualna ma zawsze szczególne zadanie, tak w życiu politycznym partia o charakterze intelektualnym ma też swoje szczególne zadanie i ono głównie polega na tym, że ona powinna prowadzić ciągły dyskurs intelektualny, krytyczną ocenę rzeczywistości. Natomiast Unia Wolności zamiast być tego typu partią, stała się partią ideologiczną, czyli partią, która próbuje narzucić innym pewną koncepcję, w dodatku z poczuciem charakterystycznym dla tej grupy, że odgrywa wyjątkową rolę. Krótko mówiąc, zamiast poczucia wyjątkowej roli w zakresie służebnym, wszystko sprowadziło się do tego, że to było raczej megalomańskie poczucie własnej wyjątkowości, aniżeli wyjątkowej roli służebnej. Więc Unia Wolności w pewnym momencie skończyła, jak skończyła, mimo tego, że skupiała mnóstwo osób, które pełniły odpowiedzialne funkcje publiczne, które miały stosunkowo najlepsze przygotowanie w stosunku do innych partii ze względu i na poziom wykształcenia i na pewne obycie na pewne doświadczenie polityczne, mimo tego również, że było w niej wielu członków ruchu solidarnościowego.

Unia Wolności sprawiła z tego powodu jakiś zawód, ale sprawiła zawód nie tylko swojemu elektoratowi, ale przede wszystkim nie odegrała swojej roli, którą z założenie powinna w tym fragmencie historii odegrać. Unia nie spełniła swojego zadania. Oczywiście dzisiaj jest też tak, że ta formuła, która się z Unii w dużej mierze zrodziła, mianowicie Platforma Obywatelska, również przeżywa kryzys, ponieważ wydaje się, że działacze Platformy Obywatelskiej, też nie zrozumieli do końca, na czym mogłoby polegać ich miejsce i ich rola. Otóż taka partia intelektualna jak Unia, do spełnienia miała bardzo ważne zadanie w procesie tworzenia nowego państwa po ustroju totalitarnym i go nie spełniła. W jej wypadku to było szczególnie ważne, ponieważ, to było działanie właśnie wśród elektoratu intelektualistów, wśród takich sfer, które z natury rzeczy zajmują kierownicze funkcje publiczne i w związku z tym Unia Wolności szczególnie była winna kreować pewien dyskurs publiczny na temat zorganizowania państwa. Unia Wolności nie robiła tego, tylko oddała się duszą i ciałem pewnej ideologii z natury rzeczy czasowej i wymagającej samokrytycyzmu. Tego tam nie było.

Samoobrona, co oczywiste, wyrosła na fali pauperyzacji społecznej, poczucia krzywdy, zawodu. Ona zresztą świadomie odwołuje się, bez przerwy, do tych elementów emocji społecznej. W ogóle nie zwraca uwagi na pewną spójność programową. Samoobrona, jak wszyscy wiemy, potrafi się tak zachowywać, że stawia inny wniosek, niż ten, który widzi publika. Czyli w parlamencie, posłowie Samoobrony stawiają jakiś wniosek, który ma się podobać publice, a potem jak już publika nie widzi, to całkiem inaczej członkowie Samoobrony głosują. To jest partia, która w swoim założeniu gra na emocjach społecznych, dominujących w danym momencie i nawet sobie specjalnie nie zadaje trudu, żeby spróbować opracować jakakolwiek pozytywną koncepcję publiczną. Formułuje oczywiście, ogólnego typu stwierdzenia, że ma być lepiej, że są grupy, które mają źle, pokazuje te grupy i być może w tym zakresie spełnia jakąś tam pozytywną rolę, wskazując, że są grupy, którym jest źle. Wywołuje oczywiście efekt utożsamiania się tychże osób z nimi. Fakt, że sytuacja tych grup nie jest podejmowana przez inne partie, nie są podejmowane próby sformułowania pomysłu na wyjście tychże grup społecznych z ich trudnej sytuacji, ułatwia Samoobronie skuteczność jej oddziaływania. W ramach tzw. „modnego”, czy „nowoczesnego” sposobu myślenia o państwie, utarło się u nas takie myślenie, że taka jest natura wolnego rynku - czy nawet zasad życia - że trzeba sobie radzić.



W wykonaniu polityków, to się sprowadza do tego, że to jest pomysł polegający na tym, że po roku dziewięćdziesiątym ciągle funkcjonowało w ramach realizacji jakiegokolwiek pomysłu - czy to przeprowadzanych reform, czy prób wprowadzania pewnych systemów zabezpieczeń - ciągle pojawiało się pojęcie „niezbędnych ofiar”. To pojęcie nigdy nie było dość doprecyzowane, natomiast było łatwym sposobem wyjaśnienia wszystkich negatywnych skutków danych rozwiązań. Ono było takie łatwe i proste do zastosowania, że w związku z tym bardzo często było substytutem myślenia. Było „zamiast” refleksji, że być może w w danej propozycji jest jakaś ułomność i trzeba nad nią pracować - łatwo się kwitowało, że są to „niezbędne ofiary”. I były „niezbędne ofiary” np. odejścia od systemu komunistycznego. Tą „niezbędną ofiarą” było bezrobocie wśród pracowników likwidowanych firm.

Były „niezbędne ofiary” związane z uzdrawianiem pieniądza. Na początku tymi ofiarami byli ci wszyscy, którzy stracili dorobek życia, z dnia na dzień, na skutek odejścia od inflacji i uzdrawiania złotówki. Potem były „niezbędne ofiary” restrukturyzacji przemysłu, ofiary wynikające z potrzeby wprowadzania nowych systemów zdrowotnych, w zakresie zabezpieczeń społecznych. Ciągle były te „niezbędne ofiary” - za dużo w to pojęcie wkładano. W związku z tym, że nikt tego specjalnie nie kontrolował, okazało się, że liczba ofiar „niezbędnych ofiar” obejmuje dzisiaj, prawie połowę społeczeństwa i każdy w jakimś momencie stał się „niezbędną ofiarą”, ze słusznym poczuciem, że stał się niesłusznie „niezbędną ofiarą”.

Otworzyło to ogromne pole dla „Samoobrony”, która specjalnie nie siliła się na sformułowanie pomysłu. „Przytuliła” natomiast „niezbędne ofiary”, które przez innych zostały stworzone, nie zawsze potrzebne. To jest groźne myślenie w realizacji koncepcji społecznej, bo jeśli się przyjmie, że w ogóle istnieją „niezbędne ofiary”, to się otwiera puszkę Pandory. Okazuje się wtedy, że z jednej, czy dwóch niezbędnych ofiar, można spokojnie stworzyć tysiąc, czy dwa tysiące, miliony niezbędnych ofiar. To jest błąd myślenia o tzw. „niezbędnych ofiarach”. Nie powinno się w ogóle takiego pojęcia używać, ponieważ ono jest społecznie groźne. Można powiedzieć tak, że nie wszystkie oczekiwania da się spełnić, natomiast pojęcie „niezbędnych ofiar”, które u nas zostało usankcjonowane i stało się elementem wykładni poszczególnych koncepcji politycznych, było poważnym błędem. To stworzyło pole dla „Samoobrony”, to i brak rezultatów innych partii. Słychać, tu i ówdzie, choć raczej w sferze pewnych domysłów, że „Samoobrona” jest przez określone siły polityczne, świadomie wykreowana i podtrzymywana jako sposób kontroli nad tą częścią elektoratu, której się nie da „prowadzić”, a trzeba ją jakoś kontrolować. Ja pozostawię to raczej w sferze spekulacji. Niewątpliwie inne partie pomogły „Samoobronie” w ten sposób, że stworzyły „niezbędne ofiary”.

„Liga Polskich Rodzin” jest partią, która prezentuje pewien rodzaj podejścia, którego ja nie podzielam. Jest to niewątpliwie partia, która wychodzi z założenia, że znaczna część naszego społeczeństwa, również w zakresie swojego funkcjonowania politycznego, kieruje się w sposób bezpośredni tzw. „chrześcijańskim stylem życia”, kryteriami oceny i wartościowaniem, takim, który wynika z faktu przynależności do kościoła katolickiego. Liga Polskich Rodzin postanowiła na tym elektoracie zbudować swoje istnienie polityczne. Jej elektorat jest stały i w miarę stabilny, to elektorat, który w swoim społecznym uczestniczeniu w życiu publicznym zachowuje się trochę podobnie jak pewna część elektoratu Unii Wolności. Otóż, uważa się za lepszy od innych, natomiast nie robi żadnego wysiłku, aby nasycić i przenikać życie publiczne tymi wartościami, które wyznaje. On nie służy wartościami życia publicznego, tylko te wartości służą ich dobremu samopoczuciu. Tak było w Unii Wolności i tak trochę jest, moim zdaniem, w przypadku dużej części elektoratu Ligi Polskich Rodzin. Ta partia postępuje w ten sposób, że ma program, który jest programem dla nich, a nie dla ludzi, i do tego, jest „programem najlepszym”. Inną propozycją Ligi Polskich Rodzin, uczestnictwa w życiu publicznym jest to, że można się zapisać do Ligi Polskich

Rodzin. Zatem jest to typ uczestnictwa, który powoduje pewność, że ma się swoich zwolenników i są oni na jakimś poziomie ukształtowani, natomiast brak w ogóle dbałości o to, na ile przenikniemy życie publiczne tymi pozytywnymi wartościami, które uważamy za słuszne. To próba zamknięcia się we własnym poczuciu bezpieczeństwa a ewentualnie, jeśli ktoś chce, pod warunkiem, że dokładnie to samo wyznaje, to może do nas dołączyć.

Oczywiście, to jest stworzenie bariery polegającej na tym, że każdy inaczej myślący, to nie jest Ktoś z kim się podejmuje dyskusję, tylko to jest Ktoś wrogi, nieakceptowany. W przypadku Unii Wolności, to był ktoś nieakceptowany, ponieważ „jakby głupszy” - mówię w cudzysłowie. W przypadku Ligi Polskich Rodzin, to jest ktoś niemoralny, gorszy, ale jest Ktoś taki. Tego typu zamknięcia powodują, że są to partie, które z natury rzeczy nie są w stanie sformułować pomysłu dla społeczeństwa, które jest z natury zróżnicowane - jest lepsze, gorsze, bardziej wykształcone, mniej wykształcone. Życie społeczne musi być dla wszystkich, pomysł musi być powołany dla wszystkich, nie może zawierać założenia, że niektórzy są wyłączeni z życia publicznego - mający mniejsze prawa, albo że są tacy, którym się słusznie coś „należy” - choć jednak im się „nie należy”, bo są właśnie mniej wykształceni albo są niemoralni. To jest paranoja. Więc LPR, to jest partia, która formułuje właśnie taki pomysł i w tym sensie jest podobna, wbrew pozorom, do Unii Wolności i w związku z tym prawdopodobnie, podobnie skończy. Po wyczerpaniu możliwości funkcjonowania w tego typu elektoracie, będzie koniec takiej partii.

Choć elektorat LPR jest stały, to ta możliwość może się wyczerpać z całkiem innych powodów. Mianowicie takich, że jednak dostęp do tego elektoratu jest jakoś kontrolowany tzn. kontrolowany przez hierarchię kościoła, przez Radio Maryja. Dzisiaj, Liga Polskich Rodzin, jest zarówno zkonfliktowana z hierarchią kościoła, jak i bardzo mocno z Radiem Maryja, a szczególnie z dyrektorem Ojcem Tadeuszem Rydzykiem i w związku z tym prawdopodobnie już jest faktem, że oni dostęp do tego elektoratu stracili. Nie znam przypadków jakiegoś pozytywnego udziału LPR, ze względu na bogactwo, które wiąże się np. z katolicką nauką społeczną, którego sam jestem gorącym zwolennikiem, ale myślę, że katolicka nauka społeczna nie jest własnością nikogo, żadnej partii, nawet jeśli wpisze się w nazwie „katolicka”, ale jest pewnym elementem takiego intelektualno - duchowego dorobku cywilizacyjnego z którego trzeba umieć czerpać, więc jest w tym sensie dla wszystkich. Jeśli ktoś szczególnie się do tego odwołuje, to powinien szczególnie wydobyć z tego skarbcza coś, co innym daje, przekazuje. Tutaj w ogóle LPR nie ma czegoś takiego, ale raczej pewien rodzaj takiego muru na którym się pisze „katolicka nauka społeczna” i za tym murem jesteśmy „my dobrzy,” a przed tym murem „oni, którzy nic z tego nie rozumieją”. Próba przejścia przez ten mur bez zezwolenia powoduje, że można z góry dostać kamieniem po łbie. Myślę, że Liga Polskich Rodzin nic nie wniosła i nie wniesie, ponieważ prezentuje tego typu konstrukcję, konstrukcję zamknięcia.

Oczywiście jest zawsze tak, że gdy jest wynik wyborczy, to poszczególne osoby gdzieś funkcjonują w różnych samorządach, (LPR ma przecież radnych) w parlamencie i które ze względu na swoje osobiste walory coś wnoszą. Ale my rozmawiamy o pewnej formacji politycznej, która ma jakiś charakter, pomijam tu poszczególnego członka, czy poszczególnych ludzi, którzy tam funkcjonują i którzy swoim zachowaniem mogą często wiele wnieść. Tym bardziej, jak ja znam życie polityczne, a znam je dobrze, bo od wielu lat w nim funkcjonuję, to wpływ nawet dobrego, średniego członka na kształt decyzji partyjnych, a nawet działacza, nawet niekiedy dobrego, to szczerze mówiąc, jest niewielki.

Wiem, że zawsze są grupy, które zarządzają partią, nadają ton, dokonują rozstrzygnięć taktycznych, strategicznych i w związku z tym partie, rzeczywiście mają taki dziwny charakter, ponieważ wszyscy potem - i członkowie i działacze - są uwikłani w realizację pewnych pomysłów, z którymi nawet się nie zgadzają, ale to nie ma żadnego istotniejszego

znaczenia. Dlatego, z całym szacunkiem dla walorów poszczególnych ludzi, ale charakter tek partii jest taki jak zaprezentowałem - elektryczny.

**W.U.:** Jaka rolę w działaniach partii, Pana zdaniem, odgrywają badania socjologiczne? Pytanie dotyczy tego na ile są wykorzystywane przez polityków do określenia strategii programów wyborczych, czy też politycznych, a na ile są odpowiedzią na rzeczywistą potrzebę poznania oczekiwań społecznych i nastrojów społecznych.

**M.S.:** Wydaje się, że na tą chwilę, badania socjologiczne zrobiły głównie karierę w obszarze statystyki wyborczej, a nie w aspekcie używania, czy korzystania przez partie z narzędzi socjologicznych i z tych możliwości, które dają umiejętność analizowania zachowań społecznych i rozumienia wszystkich istniejących mechanizmów. Robią karierę jako termometr społecznego nastroju, a znacznie mniej jako narzędzie diagnostyczne, które pozwoliłoby formułować pewne założenia programowe i co ważne - zrozumieć problem, czy doprecyzować pole niezbędnych aktywności i działań.

Myślę, że jest to rzeczywiście bardzo płytkie traktowanie badań, powiedziałbym, że te badania używane są raczej do manipulacji społecznej niż do komunikacji społecznej. Gdybyśmy podeszli do tego tak, że jest to bardzo niezbędny i precyzyjny element, którym możemy zacząć uprawiać rzeczywistą komunikację społeczną, moglibyśmy zacząć rozumieć społeczeństwo i w związku z tym odpowiadać naszym zachowaniem, naszymi decyzjami, programami, kierunkami działania, na pewną społeczną potrzebę. Więcej, moglibyśmy używać ich do tego, żeby ze społeczeństwem rozmawiać, żeby się nawzajem kształtować i kierunkować. Tutaj nie chodzi o to, żeby partie miały realizować taki, często intuicyjny, pomysł społeczny, natomiast chodzi o to żeby się komunikować, nawzajem rozumieć, lokalizować zjawiska groźne i negatywne i w związku z tym odpowiadać programami na zjawiska i starać się je właściwie stymulować.

W tym charakterze, przynajmniej teraz, wykorzystaniem na szerszą skalę możliwości związanej z socjologią i z tą całą sferą działania nie widzę. Partie polityczne nie są ani do tego przygotowane, ani nie ma do tego klimatu. Często w ogóle jest negowana jakakolwiek potrzeba systematycznego badania nastrojów społecznych. Oczywiście w okresach przedwyborczych wzrasta jakiś rodzaj świadomości w tej dziedzinie, ale bardziej chodzi o to żeby się utrwalić w dążeniu do wygrania wyborów. Często sprowadza się to do tego, że nawet nie wykorzystuje się tych wszystkich informacji, które w wyniku jakiegoś sondażu wyborczego się uzyskuje. Bardziej służą one dobremu samopoczuciu polityków, ewentualnie jakiejś próbie ukształtowania tego wyboru na ich korzyść.

Jednocześnie jesteśmy za daleko, aby mówić o początku wdrażania tych mechanizmów, już nie ma czasu na tego typu początek, już jest za daleko. Należałoby znacznie szerzej wykorzystywać naukę, ale to jest obraz ogólnej słabości klasy politycznej, która nie tylko w zakresie braku pewnego systemu przygotowanie siebie do pełnienia funkcji publicznej, ale również w zakresie sposobu, umiejętności komunikacji społecznej, pozostawia wiele do życzenia.

Dużą wagę oczywiście przywiązuje się do możliwości medialnego funkcjonowania. Ale ta możliwość w sytuacji w której nie ma się nic do powiedzenia - a nie będzie się miało nic do powiedzenia jeśli się nie uruchomi wszystkich innych rzeczy, między innymi również socjologicznego kontaktu ze społeczeństwem, badania jego oczekiwań, lokalizowania przy pomocy narzędzi socjologicznych problemów - ta możliwość to tylko sposób autokreacji.

Trzeba przyznać, że to wyjątkowe zainteresowanie medialnością zdaje się wyrażać próżność polityków, a nie cokolwiek innego. Sprowadza się do atakowania przed kamerami, czy w innego typu mediach, przeciwników politycznych i nie wnosi nic do społecznego życia. To jest rzeczywiście fragment działalności publicznej, który nie jest uprawiany z różnych powodów. Pomijam te wszystkie patologie, które istnieją w nadużywaniu narzędzi

komunikacyjnych w celu wypromowania siebie i uzyskania doraźnego efektu wyborczego. Gdyby używano tego do pracy nad rozwiązywaniem problemów, to nawet jakaś próba wywarcia presji propagandowej przy pomocy odpowiednio ustawionych wskaźników mogłaby być lekko zrozumiała, ale w sytuacji w której w ogóle nie ma pracy nad zrozumieniem społeczeństwa i jego problemów i tylko takie instrumentalne podejście do ewentualnych wyników badań socjologicznych, to zakrawa na ignorancję, która jest prawie niewybaczalna szczerze mówiąc.

Klasa polityczna musi się oczywiście tego nauczyć. Byłem zwolennikiem pewnych działań ustawowych, które wyposażają partie polityczne w środki edukacji samych polityków, czyli również możliwości finansowe, bo bez tego trudno sobie to tak do końca wyobrazić. Skoro jest tak, że mamy system powszechnie akceptowany czyli demokrację parlamentarną i w tym systemie partie polityczne mają przygotowywać, badać, znać zjawiska społeczne, to muszą również mieć możliwości czysto materialne do tego. Trzeba przyznać, że u nas akceptuje się fakt, że ma to być działalność amatorsko-społeczna i skutkiem takiego oczekiwania jest to, że mamy amatorów społeczników, którzy się nagle zajmują rzeczami bardzo ważnymi i odpowiedzialnymi, gdzie potrzeba ludzi kompetentnych. Dlatego trzeba być konsekwentnym i jeśli jest tak w systemie, że on powinien wyłonić kompetentnych ludzi, to musimy również przyjąć konieczność wydania niezbędnych środków na przygotowanie tych ludzi. Środki to też jest jedno z ograniczeń, które nawet w sytuacji, w której mamy do czynienia z politykami świadomymi konieczności prowadzenia tej pracy przy użyciu narzędzi socjologicznych, to tym ograniczeniem jest zwykły brak środków finansowych. To są rzeczy, które wymagają metodycznego podejścia i trzeba mieć na to możliwości finansowe.

**W.U: Czy dostrzega Pan pojawienie się zjawiska legitymizacji sondażowej?**

**M.S.:** To zjawisko niewątpliwie jakoś istnieje, tylko szczerze mówiąc były też takie przypadki, w których się okazywało, że mimo wyników sondaży inny był wynik wyborów. Mam dużą trudność w ocenie skali tego zjawiska. Aczkolwiek sondaże zadziwiają swoją trafnością, pomijając takie, czy inne wypadki, to jednak nie ma takiego automatyzmu legitymizacji sondażowej. Są jednak sytuacje w których sondaże mogą budzić jednak pewną wątpliwość dotyczącą preferencji nawet jeśli są w jakiś sposób propagowane, to nie wywołują tego skutku. Legitymizacja chyba występuje przy wystarczająco mocnej skali tego nacisku, przy braku w ogóle innych impulsów np. przy braku podania całkiem innych wyników. Musi być chyba parę elementów spełnionych, żeby wystąpiło zjawisko legitymizacji, czyli żeby można było wypromować przy pomocy sondaży faktyczny nastrój społeczny. Nie wystarczy tylko sam sondaż muszą chyba wystąpić jeszcze inne elementy. Trudno mi to ocenić, nie znam się na tym za bardzo.

To zjawisko oczywiście istnieje w rozumieniu negowania mandatu wyborczego wynikającego z okresu, na który ten mandat został udzielony w wyniku wyborów, czyli na kadencję, przez fakt bieżących nastrojów społecznych. To negowanie, często występuje.

Szczególnie, wszystkie ugrupowania opozycyjne, bardzo chętnie próbują używać tego argumentu - np. słabnących notowań rządu - do podważenia legalności mandatu. Oczywiście jest to niedopuszczalne. Być może bywają jakieś skrajne sytuacje, w których następuje tak drastyczne obniżenie tego wskaźnikowego poparcia, ale ono objawia się również w innych elementach tzn. że następuje rzeczywiste zagrożenie np. możliwości proceduralnego funkcjonowania władzy, która ma kadencję, ale negacja jej na tyle jest mocna i wyraża się to w pewnym wskaźniku poparcia, że istnieje realne zagrożenie dla proceduralnego funkcjonowania tej władzy, czyli spełniania przez nią bieżących obowiązków, to wtedy wydaje się, że rzeczywiście jest możliwe podejmowanie na podstawie sondowania dyskusji - przy pomocy narzędzi, które też są dopuszczalne i które są prawnie zapisane - na temat skrócenia kadencji mimo, że mandat społeczny był na dłuższy okres.



Trzeba pamiętać, że mówimy o przypadkach, które muszą spełniać szereg warunków. Jedyne proste fakty, jakim jest spadek pewnego poparcia, czy nastrojów społecznych w stosunku do sytuacji - założmy - w której został udzielony wyborczy mandat dla aktualnej władzy, niewątpliwie nie powinien uprawniać nas do podważania mandatu wyborczego. Ja się nie zgadzam na tego typu podważanie, że w związku z tym, że się okazało, że nastrój społecznie się znacznie obniżył, to należy np. obalić rząd. Przede wszystkim nikt nie jest w stanie powiedzieć ile ma się obniżyć, czy np. 50% czy 100% czy 20%, nikt nie jest w stanie określić tego poziomu. Gdybyśmy przyjęli, że można tak czynić, to trwałibyśmy w permanentnej dyskusji dotyczącej tego, że w każdym momencie, według kogoś, można by było podważyć możliwość funkcjonowania, każdego państwa. To nie służy żadnej stabilności funkcjonowania państwa, nie mówiąc o możliwości realizacji pomysłów wymagających dłuższego okresu i spokojnej sytuacji wewnętrznej.

Natomiast nie można wykluczyć sytuacji skrajnych, w których tenże wskaźnik może być jednym z takich elementów i jeśli np. jakiś rząd straciłby na tyle autorytet społeczny, że trudno by było zmusić obywateli do tego by reagowali w ogóle na jego decyzje - dla przykładu, czuliby się zwolnieni z realizacji jakichkolwiek obowiązków nałożonych ustawą ponieważ uważaliby, że parlamentarzyści są do niczego i byłoby to powszechne odczucie - to wtedy można by było użyć tego argumentu. Ten argument mógłby być użyty wtedy, gdyby spadek poparcia spowodował sytuację faktyczną, rzeczywistą, w której instytucje publiczne przestałyby mieć możliwość funkcjonowania, ale zawsze to wymaga przeanalizowania wszystkich elementów i uznania, że mamy do czynienia z taką właśnie sytuacją. Na pewno nie będą to sytuacje, w których okazuje się, że mimo małego wsparcia społecznego, jest wystarczające zaplecze polityczne do tego, żeby sprawować swoje funkcje sprawnie. To trudno. Wtedy ci, którzy utracili poparcie społeczne muszą się liczyć z tym, że w najbliższych wyborach, to zostanie uzewnętrznione, natomiast słusznie mówią, że nie utracili mandatu do sprawowania władzy, bo nie utracili.

**W.U.: Co Pana zdaniem oznacza w działaniu partii populizm i jaka granica dzieli populizm, demagogię od wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom społecznym?**

**M.S.:** Nie uważam, że polityka jest dziedziną, która podlega innej etyce, czy moralności, aniżeli każda inna dziedzina życia społecznego. Ona podlega takiej samej etyce i w związku z tym w polityce wszystko, co jest kłamstwem jest moralnie naganne.

Jak w każdej innej dziedzinie życia wszystko co jest nierzetelnością, skrajnym, instrumentalnym traktowaniem społeczeństwa, elektoratu, publiki, klientów, jest naganne. Ja jestem wyznawcą zasady, że cel n i e uświęca środków. Dla mnie populistą jest człowiekiem, który operuje świadomie półprawdą, kłamstwem, nieprawdą, który jest nierzetelny. Populista, to człowiek, który w sposób cwaniacki operuje prawdą, półprawdą i tymi wszystkim rzeczami w sferach, w których posiada wiedzę (to nie jest tak, że populistą jest ktoś, kto nie wie, lub jest niekompetentny). Myślę, że nieświadomy populistą nie jest groźny dlatego, że on będzie operował w takich sferach emocji, które ludzi nie obchodzą. Więc i tak nikt go nie będzie słuchał. Że sobie gra na pewnych uczuciach ludzkich, to inna rzecz - dopiero wtedy, jego populizm, jakby go niesie. Niesie, tylko na tych emocjach, w których wie, że „zagra” np. wie, że zagra w stosunku do osób, które są biedne tym, że im powie, „że tam gdzie są bogaci trzeba ich tam rozliczyć”. „Świadomy populistą”, świadomie gra na pewnych emocjach. Z założenia jest świadomy, bo gdyby było inaczej, to on po prostu nie będzie wiedział na jakich emocjach zagrać i krótko mówiąc, możemy sobie taką kategorię pominąć.

Populista jest groźny ponieważ operuje nieprawdą, próbuje zagrać na emocjach, tworzy antagonizmy. Antagonizmy są dla niego niezbędne do tego, żeby był skuteczny. Populizm jest usprawiedliwiony tzw. skutecznością. Fakt zlokalizowania grupy, na której emocjach można zagrać powoduje, że się próbuje na tych emocjach grać i w związku z tym

jest się skutecznym - można tą grupą sterować, a przede wszystkim uzyskuje się wsparcie tej grupy.

Populizm jak każda rzecz ma swoje najróżniejsze odcienie, barwy itd. Niekiedy populizm jest „populizmem szlachetnym”. Otóż populistą uważa, że robi to z bardzo pozytywnych motywów np. chce wyciągnąć tę grupę społeczną z ich sytuacji i w związku z tym gra na tej emocji świadomie, żeby uzyskać ich wsparcie i żeby stać się ich ewentualnym rzecznikiem. Tyle tylko, że ten tzw. szlachetny populizm, w dalszej kolejności, sprowadza się do tego, że w gruncie rzeczy, to nie ta sprawa jest celem populisty. Jego celem jest osiągnięcie osobistego sukcesu jako polityka, jako osoby, która chce uzyskać wpływy, niekoniecznie zresztą po to, żeby zrealizować - nazwijmy to - tą swoją szlachetność, którą niekiedy ubarwia swój populizm. Niewątpliwie zawsze jest tak (pomijam to, czy istnieje populizm „lepszy”, czy „gorszy”), że populizm operuje jakimś rodzajem nieprawdy, półprawdy. Jest pozbawiony tego elementu wystarczającej uwagi, żeby kogoś niesprawiedliwie nie ocenić. On wręcz eskaluje to i w związku z tym staje się typowym sposobem używania pełnej dowolności w środkach. Cel, który gdzieś tam jest, może usprawiedliwiać każdy środek. Populizm dopuszcza pełną dowolność środków. Zasada zgodnie, z którą cel uświęca środki, jest szkodliwa i jestem przeciwny takiej zasadzie, tak, jak odrzucam populizm.

Wszystkie systemy, takie jak komunizm, faszyzm, operowały populizmem ich przywódcy byli pełni tych postaw i tak rozumianego populizmu, o którym mówimy. Wiadomo, że to są koncepcje polityczne, które przyniosły największe tragedie w historii ludzkości. One potwierdzają, że nie wolno operować populizmem, niezależnie od tego jak gorzka, w tym rozumieniu społecznym, jest prawda, to jednak o r a jest taką wartością, która m u s i być w polityce przestrzegana.

Prawda powinna być ważna, ponieważ dopiero ona pozwoli ustawić relacje właściwie, tak naprawdę, pomóc tym, którzy tej pomocy wymagają. Oczywiście nie ma żadnego problemu, żeby powiedzieć zgodnie z prawdą, że jest jakaś grupa społeczna, która wymaga pomocy. Nie ma żadnego problemu żeby spróbować zorganizować działanie, nawet wśród innych partii politycznych, czy wpłynąć na koncepcje polityczne, które by to uwzględnily. Myślę, że również dopuszczalne jest to, żeby uzyskać wsparcie tej grupy społecznej, która jest upośledzona społecznie, dla swoich działań. Natomiast gdy się tylko używa tej grupy i się gra na jej emocjach po to żeby wzbudzić gniew, podnieść swoją popularność i używa się do tego celu nieprawdy, to powoduje się, że poczucie frustracji tej grupy wzrasta. Populista to ktoś, kto operuje półprawdą, uproszczeniami, to jest postawa groźna społecznie, która moim zdaniem nie powinna być aprobowana i to głównie w sferze aksjologicznej.

Natomiast, w sferze pewnej techniki działania politycznego, istotna jednak natura komunikacji społecznej polityków, która polega na tym, że to jest kontaktowanie się z dużymi grupami społecznymi i ważne jest, żeby tej techniki nie utożsamiać z populizmem. Ta technika w swoim samym założeniu, musi przyjmować pewne uproszczenia, bo inaczej np. trudno przed tłumem, do którego się przemawia, wyłożyć referat filozoficzny, nie da się tego zrobić. W pewnej technice kontaktu z szerokimi masami trzeba operować szczególną techniką i dlatego tutaj jest też taka dość wąska granica pomiędzy populizmem, a technikami komunikacji społecznej. Trudno też jest, niekiedy, do końca powiedzieć, czy mamy do czynienia z populistą, czy z kimś, kto musi stosować pewne techniki kontaktu z szerszym tłumem, typowe dla możliwości w ogóle nawiązania dialogu. Cała sprawa - myślę - że w sposób zasadniczy rozgrywa się w sferze intencji, motywów, rzeczywistych zamiarów. To nie jest tak, że nie można tego ocenić, bo polityk nie występuje raz. Po jakimś okresie jego obserwowania, czy sposobu działania, funkcjonowania, realizacji rzeczy, można go ocenić. Jest populistą, czy też nie.

W.U.: Czy istnieje, pana zdaniem, sprzeczność pomiędzy realizacją w polityce określonych wartości np. religijnych, a skutecznością w rozwiązywaniu problemów egzystencjalnych? To pytanie w istocie dotyczy hierarchii zadań przyjmowanych do realizacji przez różne ugrupowania polityczne. Jest pytaniem, w zasadzie, o proporcje pomiędzy tym, co określamy mianem ideowości, a pragmatyzmem polityki. Ideowość, wartości, a „real polityk”- jaki jest Pana zdanie w tej materii?

M.S.: Ideowość wyraża się w pewnej postawie zrozumienia swojej roli. Ideowość, czyli zrozumienie swojej funkcjonalnej roli w stosunku do życia publicznego, czyli zrozumienia swego miejsca i roli w życiu społecznym. To dotyczy polityki, szczególnie. Funkcjonalność polityki w stosunku do życia społecznego w ogóle - czyli problemu konieczności sformułowania pomysłu politycznego, sposobu organizacji państwa, radzenia sobie z patologiami, realizacji takich, czy innych koncepcji, których celem jest człowiek, bo to on jest ostatecznym celem tej organizacji życia politycznego - oznacza, że człowiek zaczyna funkcjonować w warunkach stworzonych przez organizatorów życia politycznego, którzy umożliwiają mu szeroko pojęty rozwój.

Z bardzo pragmatycznego podejścia do tej rzeczy, o której powiedziałem już, wynika, że celem działania w polityce jest człowiek. Jeśli tak, to to, co jest przedmiotem moich wartości, mojego morale, to jest moje rozumienie człowieka, bo to jest dziedzina moralności, czyli krótko mówiąc pewne dobro, które jakby naturalnie wokół człowieka się skupia, również jego wiara. Sam Bóg umarł na krzyżu dla zbawienia człowieka, czyli dla człowieka. Więc sam Bóg nie inaczej organizuje świat, tylko stworzył go dla człowieka. Trudno nie uważać, że jest coś bardziej szlachetniejszego aniżeli to, że przedmiotem polityki jest stworzenie warunków do rozwoju człowieka. Czyli organizacja życia zbiorowego dla człowieka właśnie. Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Widzę niezbędną kompatybilność, pewne niezbędne uzupełnianie się tego wszystkiego, co wynika z moich przekonań, również religijnych, czyli z tego wszystkiego z czego ja mam określony obraz człowieka- jego natury, godności i tego wszystkiego, co w związku z jego godnością mu się należy i czego wymaga ode mnie moja wiara.

Z niej to jest to, co mogę potem realizować na niwie politycznej, w dziedzinie politycznej, w niej widzę źródło pomysłu jak to wszystko zorganizować po to, żeby tego człowieka, który jest jedynym celem funkcjonowania polityki, odpowiednio widzieć i w związku z tym bardziej go rozumieć, a co za tym idzie lepiej odpowiedzieć na jego zapotrzebowanie. Dla mnie jest to pragmatyzm, to codzienne odwoływanie jest niezbędną koniecznością dla skuteczności. Dla trafności tych rozwiązań jest to wszystko, co wynika z tego myślenia o człowieku, o moralności, o tym kim jest człowiek, jakie jest też jego ostateczne przeznaczenie - czyli z odpowiedzi, którą daje religia - tak ja to widzę. Gdybyśmy to tak rozumieli, to widzimy tutaj harmonię, uzupełnianie się, możliwość osiągnięcia pełnej zgodności wizji człowieka, przekonań religijnych, tego co wynika ze zobowiązań religijnych w stosunku do człowieka z tym wszystkim, co się wyraża w sposobie i organizacji życia publicznego, co jest znowu przedmiotem polityki.

Oczywiście, człowieka można traktować jako statyczny element zbiorowości, co byłoby dużym błędem, bo wtedy sprowadzamy wszystko do statystyki. Natomiast, ja uważam, że trzeba traktować człowieka ze zrozumieniem jego natury. Podsumowując, z wierności wartościom, czyli przekonaniom, pewnemu pogładowi, który z tej wierności się wywodzi na temat człowieka, może wynikać moim zdaniem lepsza skuteczność w realizacji codziennych pomysłów działań politycznych. Trzeba być wiernym wartościom i swojej wizji człowieka po to, żeby go lepiej rozumieć, a w związku z tym skuteczniej, czyli trafniej odpowiadać na to, co trzeba w życiu społecznym zorganizować. Jest w całej naszej mentalności rozdźwięk pomiędzy uczuciem, a rozumem. To co jest wiernością ideałom jest raczej w sferze uczucia kształtowane, a rozumem, który jakoby nakazuje takie zachowanie,

które nie do końca powinno uwzględniać to wszystko, co jest w sferze uczuciowo-wolitywnej. Szczerze mówiąc jest to - myślę - wizja rozdziału, który jest niezgodny z prawdą o człowieku. Wydaje się, że istotą osobowości człowieka i natury życia jest osiąganie pewnej harmonii pomiędzy tymi sferami, a nie pogłębianie tego rozdziewięku, czy stwierdzanie, że naturą rzeczy jest to, że ten rozdziewięk istnieje, że istnieje istotna sprzeczność. Moim zdaniem nie istnieje. Natomiast jest tak, że w cudzoziemiu, pewnym dorobkiem cywilizacji europejskiej jest podkreślanie tego rozdziewięku i to się gdzieś odbija w konkretnym funkcjonowaniu polityki, ale również usprawiedliwia ich dla takiej czysto wykalkulowanej skuteczności polegającej na tym, że ktoś osiąga jakiś cel niezależnie od tego jaki jest jego wymiar moralny i to pozwala usprawiedliwić owym, jakoby istniejącym rozdziewiękiem. Moim zdaniem nie ma takiego rozdziewięku - wręcz istnieje konieczność kształtowania swojej sprawności i skuteczności w odniesieniu do systemu wartości, bo tylko wtedy jest to trafne, czyli trafia w istotną, faktyczną potrzebę, a nie w coś, co jest korzyścią indywidualną egzystencji.

**U.W.:** Czy Pana zdaniem uprawniony jest pogląd w myśl którego zmiany świadomościowe Polaków w okresie PRL-u doprowadziły do ukształtowania świadomości homo sovieticus? A jeśli tak, to co to jest?

**M.S.:** Homo sovieticus, taki w czystej postaci w zasadzie nigdy nie istniał. Zresztą, nie bardzo wiadomo, co ten termin, w polskich warunkach, miałby oznaczać. Chociaż wydaje się, że wszyscy go rozumieli. Rozumiałem to pojęcie jako określenie elementów mentalności, które stały się przywarą społeczną w wyniku funkcjonowania, wychowywania naszego społeczeństwa, kształtowania osobowości, zachowań, sposobu myślenia w minionym systemie. To powiedzenie powstało, było reakcją na to, że zaraz po rozpadzie Sytemu komunistycznego było oczekiwanie, że człowiek też się wyzwolił i nagle jest człowiekiem normalnym. Szybko się okazało, że te nawyki- sposób myślenia, wszystko, co przez lata było elementem kształtowania pewnej pedagogiki człowieka jest na tyle trwałe, że istnieją pewne zachowania społeczne, które trudno będzie wyeliminować. Skala oddziaływania systemu sowieckiego, który człowieka zredukował, zmanipulował, kontrolował w różnych zakresach, wytworzyła w człowieku nawyki zachowań, oceny i postawy, które okazały się trwalsze niż system. One nie znikną prawdopodobnie również w wyniku pewnej biologicznej cezurę, czyli biologicznego odejścia tego pokolenia, które jeszcze długo ze względu na trwanie ich w pewnych systemach wychowawczych, będą powracały, uwidaczniały się w określony sposób w społeczeństwie. To określenie - homo sovieticus - było wystarczająco pojemne, a zarazem zrozumiałe dla wszystkich i dlatego się jakoś utrwaliło i przez wiele lat było używane. Dzisiaj jest mniej używane, być może dlatego, że do tego zjawiska trochę się już przyzwyczajono, co też do końca nie jest dobre, bo grozi pewnym zaakceptowaniem patologii ze względu na zasiedzenie - tak bym powiedział, nie ze względu na ich ocenę, tylko na zasiedzenie.

To zasiedzenie - nazwijmy - pewnej mentalności jest groźnym zjawiskiem ponieważ powoduje utratę prób jej korekty po przez system wychowawczy i innego rodzaju oddziaływania. To są zjawiska, które trudno wyeliminować nawet jakimś posunięciami organizacyjno-prawnymi i dlatego tu pojawia się szczególna rola kultury, która powinna wstrząsać sumieniem społecznym, po to żeby to widzieć i nie zapominać o tym, że to jest jakaś spuścizna pewnego stylu prowadzenia wychowania społecznego i traktowania człowieka. Musi nastąpić inne działanie, żeby inaczej tego człowieka ukształtować. Homo sovieticus jest wynikiem „tresury społecznej”, bo rzeczywiście, pedagogika socjalistyczna, było rodzajem pewnej tresury, która wymagały „trenowania”, od dziecka, nawyków uległości i niemocy wobec władzy totalitarnej.

Było pytanie na ile homo sovieticus jest mocny i na ile oddziałuje. Niestety jest bardzo mocny siłą zarazy. Ta zaraza stała się rzekomo filozofią, etyką, religią jak również, jakimś rodzajem nauki. To nie chodzi tylko o to, że człowiek został poddany presji konieczności



zachowań np. jak ma kupować w sklepie, ale został również poddany presji ze względu na to, jak ma myśleć w swoim własnym domu, czego ma słuchać, jak ma myśleć o Bogu, o innych ludziach. Cała ta presja nie pozostawiała człowiekowi żadnej sfery wolności, czy myślenia po swojemu.

Człowiek mógł sobie np. inaczej myśleć, aniżeli od niego tego wymagano, ale sam fakt, że ktoś sobie zaplanował, że może kazać człowiekowi jak myśleć świadczy o tym, że mieliśmy do czynienia z całkowicie paranoidalną presją. Ta presja wywarła na ludzi wpływ na tyle duży, że groźba jej polega głównie na tzw. efekcie zasiedzenia. Jeśli przeanalizujemy co to było, to wydaje nam się oczywiste, że to była pewna choroba społeczna, bardzo groźna, wymagająca natychmiastowego leczenia w zakresie efektów, które daje w społeczeństwie. Natomiast ludzie nauczyli się na tyle z nią żyć, (to był długi okres trwania komuny), że zniknęło kompletnie z powodów naturalnych, wystarczająco mocne postrzeżenie, jak to jest groźne. Szczerze mówiąc jest też taka cicha akceptacja dla niektórych przejawów mentalności homo sovieticus, ze względu na to, że się nie dostrzega jego istotnej groźby w dzisiejszych realiach życia. Trudno, żeby człowiek, który musiał funkcjonować jako człowiek pozbawiony podstawowych wolności, mógł się tak samo zachowywać w warunkach, w których się zakłada, że ma funkcjonować jako człowiek wolny, czyli człowiek, który dokonuje wyboru, ocen, ma etykę, posiada pewne zasady. Jeśli się założy, że jest to możliwe - a niestety przez to zasiedzenie troszeczkę się tak założyło, żeby z tego typu nawykami, sposobem oceny, który kiedyś został narzucony i wpojony ludziom, można funkcjonować w warunkach, które zakładają, że człowiek jest inny - to jest to jakaś podstawowa sprzeczność.

Z takiego wywodu, nazwijmy filozoficznego, wynikają praktyczne wnioski. Przestały być organizowane akademie z okazji Pierwszego Maja, których organizacja miała pewien swój rytm. Ten rytm i procedura nie wynikała z faktycznego przeżycia stanu rzeczy i w związku z tym to wszystko, co ludzie robili na tych akademiach nie wynikało z istotnego zrozumienia i akceptacji faktu Pierwszego Maja, tylko z pewnego narzuconego rytmu, który był podporządkowany celom propagandowym. W momencie zaprzestania organizacji obchodów Pierwszego Maja, następnego roku, ta akademie szkolna stała się akademią z okazji obchodów Trzeciego Maja - użyto tych samych plansz ze zmianą jedyńki na trójkę. Pojawia się zatem pytanie o pewien sposób zachowania i podejścia do rzeczy ważnych, które należy zrozumieć. Trzeba powiedzieć, że ten sposób myślenia w ogóle się nie zmienił. Przyjęto, że wcześniej kazano robić z okazji Pierwszego Maja, a teraz się każe organizować akademie Trzeciomajowe. Nie było żadnego zrozumienia, że Trzeci Maja jest pewną manifestacją naszego poczucia wolności, naszych wartości, a Pierwszy Maja był narzuconą koniecznością. Przeniesiono podejście do rzeczy ważnych na zasadzie utrwalonego prostego zachowania. W osobowości został wryty trwały rys, typowy dla postawy homo sovieticus.

Tego typu niebezpieczne przeniesienia nastąpiły w bardzo wielu miejscach, co uniemożliwia oczywiście, autentyczne zrozumienie zjawiska i autentyczne do tego zjawiska podejście. Ta postawa istnieje i myślę, że niekiedy do końca nie jest, niestety, samouświadomiona. Okazuje się, że samo odstawienie bodźca dewiacyjnego nie powoduje tego, że efekt dewiacyjny przestaje istnieć. Chodzi o to, żeby jeszcze dokonać wyleczenia. Ten proces wyleczenia może być bardzo długi i jest długi - w wielu miejscach to obserwujemy. Niewątpliwie, nie nastąpił automatycznie, w wyniku odstawienia bodźca. Niektóre zachowania mają charakter epidemiologiczny, czyli przenoszą się. Mimo, że nie ma bodźca następuje zarażenie w sytuacji, w której nie jest to odpowiednio leczone. Posługuję się tutaj nomenklaturą medyczną dlatego, że mieliśmy do czynienia z pewną sytuacją zachowań społecznych, czy też kształtowania człowieka przez tamten system, który stworzył chorobliwe twory wymagające leczenia w różny sposób. Założono, że odstawienie bodźca jest lekarstwem. Ono rzeczywiście jest niezbędne, ale bez wspomnienia leczenia może

spowodować, że pewne rzeczy przeniosą się na długo i trwale, uzyskają legitymizację przez zasiedzenie

Zauważenie tego, że istnieje postawa *homo sovieticus* było ważną rzeczą. Moim zdaniem ta postawa istnieje jako przeniesienie zachowań patologicznych, chorobliwych w zakresie funkcjonowania życia zbiorowego jak i indywidualnego funkcjonowania w naszych czasach. Wydaje się, że specjalnie nie poddano leczeniu społeczeństwa, co spowodowało, że mamy dzisiaj w wielu miejscach, czy to fragmentach rzeczywistości, taką legitymizację pewnych zachowań, które nie znajdują żadnego uzasadnienia, natomiast wynikają jakby wprost z ukształtowanych postaw, które są niewłaściwe. Oczywiście to wszystko dotyczy się również polityki, ale o tym mówiłem poprzednio odnosząc się do zachowań polityków. Tu nastąpiła też pewna legitymizacja, nie tylko sposobu funkcjonowania i takiej demoralizacji klasy politycznej, ale także legitymizacja technokratycznych umiejętności rządzenia ludźmi. Ta technika i umiejętność, została jakby narzucona powszechnie, a istotą *homo sovieticus* jest to, że on w ogóle nie selekcionował spraw. Te dysfunkcjonalne „prawdy” i „kryteria” były powszechnie wdrażane.

Jeśli trzeba było ludźmi rządzić, to rządziła nie tylko władza w rozumieniu instytucji, ale zakład pracy produkujący śruby. Jego organizacja polegała na tym, że to był element systemu zarządzania człowiekiem, ponieważ dyrektor zakładu podlegał sekretarzowi i musiał zdawać relacje. Zakład pracy miał funkcje kompletnie odbiegające od funkcji gospodarczych - inwigilował, sprawdzał, posiadał różne kompetencje np. sądownicze itd. Totalnie się zarządzało człowiekiem, przy pomocy wszystkich instytucji. W Polsce, jedynie Kościół się temu nie poddał, ale też była próba podporządkowania kościoła i pewnej rzeszy osób, które wchodziły w ten system zarządzania człowiekiem. To nie pozostało bez wpływu na nas, „tu teraz” i *homo sovieticus*, w tym sensie, gdzieś „fruwa”, dlatego że bodziec został odstawiony, ale skutki mentalności w zachowaniach okazały się trwałe.

Co więcej, żyje całe pokolenie, które nie uważa, że odstawienie tego bodźca było rzeczą słuszną. Dzisiaj np. IPN prowadzi postępowania w stosunku do ludzi, bardzo często starych, których trudno raczej sądzić, że chodzi o symboliczny wymiar oceny czynów, żeby dać wyraz nadrzędemu poczuciu sprawiedliwości. Nie znam przypadku żeby ci ludzie uważali, że robili źle, a oni rozstrzelali bez sądu. Te osoby mówią, że wykonywały rozkazy - nie mając argumentów, żeby to było dobre - albo dalej powtarzają, że tego wymagał ustrój, czy sytuacja. Pokazuję na paru tylko przykładach, że żyje całe pokolenie - ci ludzie są kimś ważnym dla swoich rodzin, wnuków, tam jest cały element związków emocjonalnych i nawet trudno wymagać, aby została dokonana ocena, bo „to jest np. mój dziadek, więc jak ja mam oceniać jego postępowanie”. Jest cała rzesza ludzi w których interesie emocjonalnym, faktycznym, formalnym, prestiżowym, czy funkcjonowania w środowisku jest legitymizowanie tej postawy. W przypadku niektórych ludzi stwierdzenie, że to było złe powoduje przekreślenie ich całego życiorysu, bo to była cała ich droga, na której oni służyli w pewnym zakresie wprowadzania mentalności *homo sovieticus*. W tym sensie, nawet można rozumieć, że to tak będzie jeszcze przez jakiś czas. Trudno wymagać, by przy takiej skali w jakiej to w naszym przypadku działało, żeby nastąpiło generalne pokajanie się.

Powstaje pytanie, na ile trzeba było się z tymi zjawiskami liczyć i traktować, że to po prostu musi samo jakoś przejść, a na ile wymagało to jednak pewnych działań uzdrawiających - znacznie mocniejszych. Na ile wymagało takiego uwzględnienia tej rzeczy, która by pozwoliła, być może, zastosować nie do końca demokratyczne kryteria. Co na przykład należałoby zrobić aby przeprowadzić proces dekomunizacji i lustracji.

To jest coś w rodzaju chirurgicznego cięcia tzn. jednak pewnej izolacji ze względu na uznanie, że ta część społeczeństwa jest na tyle skrzywiona w swoich zachowaniach, że wymaga pewnych ograniczeń. Oznacza to, że części społeczeństwa nie można dopuścić do pełnienia funkcji publicznych dla przykładu. Takie rozwiązania zastosowano w Czechach, w

Niemczech, na terenie byłej NRD. One wychodziły z założenia, że mamy do czynienia z pewnymi utrwalonymi postawami, które wymagają izolacji przez jakiś czas. Prowadzenie dyskusji w Polsce na ten temat jest o tyle trudne, że się okazało u nas, że nie nastąpiła nawet właściwa próba nazwania tematu. Zamiast leczyć pewne rzeczy, to zachowywano się często tak, że w imię wolności i szacunku dla człowieka nie należy go zamknąć na 10 dni w szpitalu, bez jego zgody. Prawdą jest, że jeśli zawieziemy kogoś wbrew jego woli do szpitala i go poddamy leczeniu, to pogwałcimy jego wolność. U nas w trakcie dyskusji powiedziano, że demokracja - to, o co walczyliśmy - wymaga tego, żebyśmy nie poddawali chorego leczeniu. Efekt jest taki, że wydaje się, iż tego leczenia jest za mało lub nie ma go wcale.

**W.U.:** Pięć cech, którymi powinien Pana zdaniem charakteryzować się polityk?

**M.S.:** Dla mnie najważniejszą cechą w przypadku polityka jest posiadanie pewnego przygotowania. Oznacza to, że musi on rozumieć mechanizmy funkcjonowania życia zbiorowego. Musi wiedzieć, czym jest państwo, czym są jego instytucje, jakie są jego zadania, jakie są konieczności związane z organizacją życia publicznego. Czyli musi posiadać pewną, niezbędną wiedzę, różną zapewne dla konkretnego szczebla, w którym funkcjonuje, ale też by się nic nie stało, gdyby ta wiedza na tych różnych szczeblach była zawsze i odpowiadała wysokiemu minimum. Nie wyobrażam sobie mimo tego - dzisiaj rzeczywistość jest całkiem inna - że można akceptować fakt, że politycy nie posiadają wiedzy. Innymi słowy, że są niekompetentni. Chodzi o kompetencję polityczną, nie kompetencję lekarza, nauczyciela, tylko taka, o której wspomniałem na początku naszej rozmowy, ponieważ to jest kompetencja innego rodzaju - kompetencja polityczna.

Druga cecha trochę wynika z kompetencji, bo ona zakłada taką postawę jak rzetelność. Kompetencja jest wyrazem tego, że jest się rzetelnym, czyli, że się zna swój fach. Rzetelność jest również cechą charakteru, pewną cnotą, pewną dyspozycją, sposobem podejścia do analizy rzeczywistości, faktów i wyciągania wniosków.

Trzecia cecha to jest taka, powiedziałbym, kwalifikacja moralna do polityki - polityk musi wiedzieć komu służy tzn. musi rozumieć, że istnieje coś takiego jak naród, cel tego narodu, że państwo jest instytucją, która ten naród organizuje, że jest w związku z tym pewna hierarchia ważności. Otóż nie naród jest dla państwa, tylko państwo jest dla narodu. W związku z tym istnieją pewne konieczności związane z istnieniem wspólnoty pt. naród z całą jego tradycją, jego charakterem i jego miejscem we wspólnocie innych narodów, tak jak są konieczności związane z istnieniem wspólnoty pt. rodzina. Polityk zatem musi się poruszać w tej sferze percepcji. To wszystko o czym mówiłem można by było określić mianem patriotyzmu rozumianego jako świadomość przynależności do wspólnoty narodowej i świadomość bycia w szczególnej roli w tej wspólnocie narodowej. Rola ta sprowadzać się powinna do formułowania i realizowania celów tej wspólnoty. Tymi celami powinny być: umiejętność współpracy z innymi nacjami, ale też umiejętność sformułowania tzw. racji stanu, która wcale nie ma charakteru egoistycznego tylko jest zrozumieniem roli, miejsca, znaczenia i w związku z tym możliwości narodu w całej wspólnocie ludzkiej. Polityk taką perspektywę musi mieć. Ona może być mniej lub bardziej sprecyzowana, w zależności od miejsca i skali, ale polityk tą cechą musi posiadać. Powinien wykazać pewien rodzaj patriotyzmu, czyli tej świadomości, że jest politykiem w tym narodzie, że musi rozumieć jego cele i tym celom musi służyć.

Jeśli chodzi o polityka to cechą szczególnie ważną jest jego wiarygodność. Z wiarygodności wynika, że oprócz tych cech, które są składnikiem wiarygodności, czyli kompetencja, rzetelność, patriotyzm, wymagania etyczne są wyjątkowo ostre i ważne. Tutaj wszystko jest związane z samokontrolą w zakresie nawet takich ułomności, niekiedy powszechnie akceptowanych, jak używanie alkoholu, palenie papierosów nie mówiąc o innych ułomnościach, które być może w przypadku osób niepublicznych są tolerowane.

Polityk musi zdawać sobie sprawę z tego i akceptować, że jest osobą publiczną w szerokim rozumieniu tego słowa. Bycie osobą publiczną nie oznacza tylko tego, że jest się znanym i w związku z tym jest się sławnym, ale to oznacza również stałą dyspozycję czyli otwarcie na rzeczywistość, ludzi i ich problemy. Polityk nie może zamknąć się w swojej prywatności. Bycie politykiem to jest bycie osobą publiczną i w związku z tym prywatność ma inne znaczenie niż w przypadku innych osób, czy innych zawodów. Kompetencja, rzetelność, swoisty patriotyzm, wiarygodność i dyspozycja bycia osobą publiczną to są moim zdaniem najważniejsze cechy, którymi powinien charakteryzować się polityk.

Co do tej ostatniej cechy to mam taki śmieszny przykład, że w lokalnej gazecie, którą kieruje mieliśmy taką sytuację, że opisywaliśmy wybory do jakiejś rady sołeckiej i w stosunku do jednego z kandydatów, który w tych wyborach startował pojawiła się kontrowersja związana z jego prawem do wyboru, ona w naszej gazecie została wyjaśniona. Ten człowiek przyszedł do redakcji i zaczął wrzeszczeć, dosłownie, dlaczego w ogóle używa się jego nazwiska. Tłumaczono, że nic negatywnego na niego nie napisano. Dopiero po chwili zrozumieliśmy, że on wystawiając swoją kandydaturę do rady sołeckiej, czyli wystawiając się do roli, osoby publicznej na poziomie sołectwa, nie akceptował faktu, że od tego momentu może być z imienia i nazwiska publicznie wzywany przez różne osoby, że jest jakieś publiczne oczekiwanie. Prawdopodobnie wyglądało tak, że fakt iż wybierają go, nobilitowali go we własnych oczach, ale już wszystko co było związane z odpowiedzialnością czyli, że trzeba być gotowym, że jestem osobą publiczną i będą mówili o mnie, to już go nie dotyczyło. Być może to jest skrajny przypadek niemniej on pokazuje, że taka dyspozycja, że od dzisiaj jestem osobą publiczną jest bardzo ważna.

#### **Rys autobiograficzny Marka Słomskiego**

Jestem typowym reprezentantem pokolenia, które się urodziło na tzw. ziemiach zachodnich. To jest ważne, ponieważ pojęcie ziem zachodnich w jakiś sposób funkcjonowała przez wiele lat (do dzisiaj zresztą funkcjonuje) w takim znaczeniu, że określa tożsamość i skąd się pochodzi. Urodziłem się w roku 1956 i cały czas tutaj mieszkałem i tutaj kończyłem szkołę, poza szkołą wyższą, ponieważ studiowałem historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pochodzę z rodziny, która w tej wcześniejszej nomenklaturze byłaby określana jako robotnicza. Mam tutaj jednak pewną trudność, bo ojciec był po prostu pracownikiem zakładu karnego, był funkcjonariuszem zakładu karnego. Mama była w tym rozumieniu gospodynią domową, czyli nie pracowała zawodowo.

W okresie realnego socjalizmu, czy naszego państwa sowieckiego, należałem do tej grupy rodzin, która była materialnie w niezłej sytuacji, relatywnie oczywiście, niezłej. Być może poziom zarobków ojca nie był tak wielki, ale należałem do tej warstwy społecznej, która generalnie nie odczuwała materialnych, istotnych niedogodności. Nie była to jednak sytuacja, którą można było określić jako dostatnią w dzisiejszym rozumieniu.

Cały okres szkoły podstawowej spędziłem na wsi. Mieszkałem w wiosce, w której jakby, nie widzieli się tamtych elementów ustroju. To była normalna wioska, gdzie byli chłopcy, nie było kolchozu. Mieszkaliśmy u dziadka. Ta wioska miała dla mnie duże znaczenie ponieważ dziadek nauczył mnie szacunku do prostej, ciężkiej pracy, która w ogóle nie kojarzyła się z jakąś katorgą. Jak sobie przypominam, to pracowało się ciężko cały dzień, ale to nie miało nic wspólnego z poczuciem, że to jest jakiś wyjątkowy wysiłek. To było normalne życie, które miało swoje barwy. Tego typu podejście, że ta rzetelna praca nie jest katorgą, tylko nawet bardzo interesującym sposobem przeżywania i funkcjonowania, to jest to co mi z tamtego okresu pozostało. To był ważny okres mojego życia, a poza tym to tam, nie było widać elementów tamtego ustroju - on gdzieś był daleko, dziadek mówił mi często o jego niegodziwościach, ale to nie dotyczyło naszego bieżącego funkcjonowania. Oczywiście



poza szkołą gdzie w jasny sposób byliśmy w obowiązujący system „wkładani”, poprzez sposób oceny, wartościowania itd. Tylko w szkole Związek Radziecki był widoczny (śmiech)

Szkołę średnią ukończyłem w Szczecinie. W wieku szesnastu lat przeszedłem okres samouświadomienia. Ja bym nazwał to politycznym uświadomieniem, ale wtedy nie kojarzyłem tego w ogóle z polityką. Miałem wrażenie, że polityka to jest coś takiego, co raczej nie istnieje, istniała partia i nie było w ogóle takiej sfery jak polityka. Była natomiast partia, ale była zła, ponieważ kłamała, a ja o tym przekonałem się dość szybko. Obracałem się w grupie kolegów, którzy podobnie myśleli więc nie należałem do żadnych organizacji tzw. młodzieżowych, więc nie wynikało to z faktu tylko mojej samoświadomości. Mimo że chodziłem do technikum chemicznego, to już w pierwszej klasie, w grupie kolegów, z którymi funkcjonowałem, rozwijaliśmy zainteresowania humanistyczne. Mieliśmy w tej szkole szczęście do polonisty, który był jeszcze z czasów tzw. przedwojennych i trzeba powiedzieć, że polonistyka w tej szkole była na wysokim poziomie.

Przez całą szkołę średnią i jeszcze trochę później, mój sprzeciw wobec rzeczywistości politycznej nie wyrażał się w jakimkolwiek politycznym działaniu. Mieliśmy kabaret, teatr i w ten sposób tworzyło się moje funkcjonowanie, poza tą oficjalną sferą. Niektóre formy działań były nie do przyjęcia np. przygotowaliśmy wieczór poświęcony twórczości Herberta, ale dyrekcja szkoły nie pozwoliła nam go wystawić. Pamiętam, że zorganizowaliśmy wolne wybory do samorządu szkolnego, to oczywiście też było trudne, chociaż na tyle interesujące, że spotkało się z aprobatą władz szkoły i później zebraliśmy za to pochwały. Przeprowadziliśmy kampanię wyborczą, tego oczywiście nie było dotychczas w szkole, było wiadomo kto ma być w tym samorządzie, ale my nie pytając nikogo o pozwolenie zrobiliśmy wiec na szkolnych korytarzach i ubraliśmy naszych kandydatów w szarfy z papieru toaletowego. Te działania przybrały formę happeningu. Z dzisiejszej perspektywy wydają się to mało znaczące, ale w tamtych czasach było czymś niespotykanym, nikt tego nie robił. Tego typu formy, jeśli były podejmowane, to tylko w podziemiu, a nam się udało to zrobić normalnie, ale już Herberta wystawić nie mogliśmy (śmiech).

Herbert później przysłał kartkę ze Stanów Zjednoczonych do szkoły i ona do dziś znajduje się w archiwum szkoły, ponieważ przez naszego polonistę była bardzo pielęgnowana. To była taka rzeczywistość, w której już mnie dotknęły ograniczenia ustrojowe, ale nie postrzegalem ich w taki sposób, abym mógł myśleć o uczestnictwie w podziemiu politycznym. Wtedy, na tym polu, uwidaczniała się moja opozycyjność. Od szesnastu lat była wyraźna, ale ona w ogóle nie odzwierciedlała się w politycznej aktywności, natomiast rozgrywała na całkiem innym polu.

Po szkole średniej i nie udanej próbie podjęcia studiów wyższych, rozpocząłem pracę. Wtedy do końca rozpoznałem paradoks tego ustroju. Zacząłem dostrzegać brak możliwości rozwoju, nawet nie kariery, ale właśnie samorealizacji w pracy - tego wszystkiego czego młody człowiek potrzebuje. Taka możliwość istniała tylko wtedy gdy człowiek się gdzieś zapisał a to była taka możliwość, która mnie kompletnie nie pociągała, ponieważ to było słuźenie bezsensowi. Podjąłem prywatną ucieczkę w pewne sfery, które w tym momencie były po za zainteresowaniem władz. Istniały dwa takie miejsca, gdzie można był pracować i władze się nie tym interesowały. Ja dzisiaj muszę to powiedzieć otwarcie, chociaż może to być bulwersujące, ale tak to było. W pegeerze nikt się nie pytał jakie są twoje poglądy, można było tam pracować i można było nawet pewne rzeczy „uprawiać”, ale ponieważ nikt taki tam nie szedł więc nie „uprawiano”. To było powszechnie, przez społeczeństwo, traktowane jak najgorszy rodzaj pracy. Drugim takim miejscem i mówię o tym z głęboką przykrością, ale i z pełną odpowiedzialnością, były domy pomocy społecznej. Świadomie podjąłem pracę w domu pomocy społecznej, aby nie uczestniczyć w tym systemie.

To był jeden z moich najlepszych okresów zawodowych, ponieważ stamtąd wyniosłem ogromne doświadczenia kontaktu z osobami niepełnosprawnymi, upośledzonymi

umysłowo. Nie będę podczas tego wywiadu mówił o tym jak było i jakie rzeczy zaczęliśmy robić z osobami, które się udało jednak do tego domu pomocy ściągnąć. Pamiętam, że pierwsza olimpiada specjalna na Pomorzu odbyła się w naszym Domu Pomocy Społecznej, w którym pracowałem i inne rzeczy były realizowane. To co tam pierwotnie spotkałem było czymś strasznym (to jest mało powiedziane), czymś czego nie da się kompletnie zaakceptować w żadnym wymiarze i co nie mieściło się w jakichkolwiek kategoriach ludzkiego postępowania. To była całkowita wegetacja osób umieszczonych w tym miejscu. Mam satysfakcję z tego, że sprzeciwił wobec tego stanu rzeczy, który zacząłem prezentować, choć niewygodny dla środowiska tam pracującego, on zmuszał jednak ludzi do robienia czegoś, czego nigdy nie robili i nikt od nich tego nie wymagał.

Po moich pięciu latach pracy efekt był taki, że stworzyłem tam cztery pracownie, odbyła się specjalna olimpiada - te dzieci po raz pierwszy w ogóle wychodziły po za teren ogrodzeń, a później wyjechały na pierwszą wycieczkę. Pomijam jakimi metodami do tego doszło. To oczywiście nie jest moja zasługa, tylko myślę, że gdzieś opatrność miała tego dosyć i posługiwała się w związku z tym pewnymi ludźmi. Niemniej to był element mojego doświadczenia, pozytywnego, które z tamtąd wyniosłem.

Mimo wszystko, że w takiej presji środowiska i w takim systemie, który kompletnie tego nie chciał, można pewne rzeczy robić inaczej. To tylko zależy od naszej woli i chęci. To doświadczenie pozwoliło mi zrozumieć, kim jest osoba niepełnosprawna i jak jest ważna. Ten mój opór nie miał w ogóle żadnego politycznego charakteru, ale to był już początek lat osiemdziesiątych. Oczywiście byłem członkiem „Solidarności” w 1981 roku, ale tu nie było żadnego działania. W stanie wojennym, pracując w domu pomocy, podjąłem studia zaoczne z historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i ukończyłem je w 1988 roku.

Pod koniec stanu wojennego zrodziła się u mnie taka refleksja - czułem się dobrze w tym sensie, że robiłem rzeczy, które uważałem za ważne. Stan wojenny jakoś istotnie mnie nie dotknął, ponieważ ja nie należałem do działaczy „Solidarności” i pracowałem nadal w tym Domu Pomocy Społecznej.

Przed pracą w Domu Pomocy Społecznej, pracowałem w przywieziennym zakładzie i musiałem się stamtąd zwolnić, ze względu na to, że prowadziłem takie rozmowy z więźniami, które były traktowane jako niedopuszczalne. To był zakład, gdzie produkowano obuwie. Pamiętam, że była taka gazeta „Forum”, a zakładzie był kilku inteligentnych więźniów. Ponieważ oni mogli czytać tylko Trybunę Ludu, to ja im „Forum”, po prostu, przemycałem. Dyskutowaliśmy na temat artykułów zamieszczanych w tej gazecie i dostałem dwie nagany, jakieś ostrzeżenia z taką informacją, że mój ojciec tyle lat pracuje, a ja sprawiam trudności. Oni mnie w pewnym momencie zmusili do tego, że bym, tylko ze względu na mojego ojca, zwolnił się sam, a został wyrzucony. W tym momencie zaczęło się zainteresowanie odpowiednich służb moją osobą.

Jak już rozpocząłem pracę w Domu Pomocy Społecznej, (wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale to się potem okazało) to oni się mną interesowali ze względu na ten incydent.

Stan wojenny zastał mnie w szpitalu. Dość poważne przeziębienie, przy moich słabych oskrzelach spowodowało, że w listopadzie znalazłem się w szpitalu. Tuż przed stanem wojennym miałem opuścić szpital, ale pani doktor mnie zatrzymała, ponieważ prawdopodobnie, miała jakieś informacje, że mogę mieć jakieś przykrości. Ja w tym szpitalu spędziłem jeszcze trzy miesiące po wprowadzeniu stanu wojennego i było to decyzją pani doktor, która przeprowadziła ze mną rozmowę, z której wynikało, że ona wie, iż mogę mieć kłopoty.

Nie siedziałem bezczynnie i pomagałem, jako pacjent, w tym szpitalu, ale wszyscy wiedzieliśmy dlaczego tam jestem. To była historia, nie bezpośrednio związana z wprowadzeniem stanu wojennego.

Pod koniec stanu wojennego, podczas pacy w domu pomocy społecznej, zacząłem mieć taki drobny wyrzut. Wtedy to był pierwszy moment mojego samouświadomienia, że muszę zacząć działać w polityce. Wcześniej w ogóle o tym nie myślałem, ponieważ w szkole średniej działałem w kulturze, potem się zajmowałem kwestią niepełnosprawności, wreszcie zrozumiałem, że chyba przyszedł czas na to. Prawdę mówiąc to chyba przespałem ten 1981 rok - trzeba było być bardziej aktywnym, a nie być tylko członkiem (śmiej). Członków było 10 milionów, więc niczym szczególnym się nie wyróżniałem. Pod koniec stanu wojennego tego typu samoświadomość się u mnie obudziła i w związku z tym nawiązałem kontakty z działaczami ze Szczecina, których zresztą znałem wcześniej. Szczególnie z Mieczysławem Ustasiakiem, który również zajmował się osobami niepełnosprawnymi i przy tej okazji poznaliśmy się. Dzięki niemu łatwiej było mi wejść w to środowisko.

Dopiero wtedy aktywniej zacząłem uczestniczyć w ruchu solidarnościowym. Ta moja aktywność rozpoczyna się roku 1987. W 1989 roku zostałem wybrany do Zarządu Regionu „Solidarności”. Następnie byłem członkiem prezydium i wiceprzewodniczącym. Potem funkcjonowałem w nurcie solidarnościowym i pracowałem i w związku i w partii. W międzyczasie, będąc już w polityce, pełniłem różne funkcje, które były rezultatem mojej aktywności politycznej. Niektóre odpowiadały szczególnie moim zainteresowaniom, ponieważ byłem prezesem radia „ABC”, które było własnością związku i to odpowiadało moim kulturowym inklinacjom. Założyłem własną firmę poligraficzno - wydawniczą mającą wspomagać pewne działania. Byłem dyrektorem PFRON-u, co też odpowiadało moim doświadczeniom zawodowym. Gdzie się to logicznie kształtowało i będąc członkiem rady politycznej AWS, szczególnie gdy wygraliśmy wybory, były różne możliwości obejmowania stanowisk, ale nigdy nie chciałem wykonywać jakichś rzeczy, tylko dla stanowiska. Starałem się podejmować odpowiedzialność za takie fragmenty, w których, albo miałem doświadczenie, albo przygotowanie, albo było to coś, co mi szczególnie odpowiadało. Byłem jedyny raz w radzie nadzorczej na lotnisku w Goleniowie dlatego, że jednym z moich hobby w szkole średniej było latanie na szybowcach i to zainteresowanie zostało. Czyli zawsze byłem tam gdzie mógłbym czymś posłużyć, gdzie odpowiadało to mojemu przygotowaniu, wiadomościom i zainteresowaniom.

Najważniejszymi elementami w moim życiorysie są pewne doświadczenia, z każdego okresu trochę inne, ale one się bardzo uzupełniają i są dla mnie ważne. Te z okresu szkoły podstawowej, poznania wsi i pracy na roli, z okresu szkoły średniej, gdzie były takie szczególne doświadczenia związane z kulturą i sztuką. Ważne są doświadczenia z okresu pracy z osobami niepełnosprawnymi i ten krótki epizod z pracy w zakładzie przywieziennym. One charakteryzowały się jednym, że w zasadzie w żadnym momencie i ja to mówię nie dlatego żebym się w jakikolwiek sposób chwalił, być może los tak szczęśliwie zrzucił, że to co jest niekiedy problemem niektórych polityków z mojego otoczenia, że są epizody zamieszania w ten strukturalny układ państwa totalitarnego, czy nawet partii, mnie nie dotyczyły w ogóle. Nie powoduje to, że ja w jakikolwiek sposób źle oceniam te historie. Mnie się tak zdarzyło, że nie miałem takiej sytuacji. Głównie jest to chyba wynikiem szybkiego dokonania oceny rzeczywistości zewnętrznej, politycznej. Zaangażowanie polityczne przyszło, prawdę mówiąc, w roku 1987.

W.U.: Jest Pan po za strukturami władzy, w tej chwili. Gdyby przyszło Panu odpowiedzieć w sposób ostry i jednoznaczny, czy mógłby Pan żyć w tej chwili bez polityki, to co by Pan powiedział.

M.S.: Szczerze mówiąc jest to trudne pytanie dla mnie. Ja w tej chwili jestem na politycznym aucie. Co prawda przygotowuje swój pewien „come back” - trochę w inny sposób - ale upadek AWS i moja niechęć do przerwania się gdzieś, gdzie można dalej funkcjonować (takich rzeczy nie robiłem, ale nie chcę oceniać innych ludzi), przy jednoczesnym wygaśnięciu tego całego nurtu solidarnościowego i koncepcji związanej z ideą

„Solidarności”, to jest dla mnie moment takiego autu, odejścia. Mój powrót jest przygotowywany i ma być kontynuacją pewnych rzeczy, które uważam, że należy realizować. Na dzisiaj nie pełnię, ani żadnych istotnych funkcji publicznych, ani nigdzie nie jestem wybrany. Mimo to, ja od polityki nie odpoczywam, chociaż chętnie bym chciał. Nie mam „czasu aktywności”, ale mam czas refleksji. Więc rzeczywiście trudno jest mi zerwać z polityką. Zastanawiam się nad całą moją drogą życiową, ja nigdy nie uprawiałem jakiegoś konkretnego zawodu. Robiłem różne rzeczy, miałem normalne osiągnięcia, ale oscylowały wokół pewnego jednego kręgosłupa. Wydaje mi się, że nawet wiedzę, którą zdobyłem, dość istotnie predestynuje mnie do pełnienia funkcji politycznych. Wiedza dała mi przygotowanie i to była wiedza, której świadomie poszukiwałem np. podjęcie studiów na KUL-u w momencie gdzie nie było żadnych perspektyw pracy po ukończeniu tej uczelni, to wymagało świadomej decyzji. Chciałem jednak zdobyć określony poziom wiedzy, który przydał się później całkiem niespodziewanie. Okazało się, że ta wiedza przydała się szczęśliwie szybko.

3  
Te świadome decyzje powodowały, że w polityce czułem się osobą kompetentną, na miejscu, nie zaś osobą, która minimalnych wymogów nie spełnia. Bez polityki, w tym sensie jest trudno, ale w polityce bywa różnie. Jest czas gdzie są sezony martwe i ja mam taki sezon martwy. Nie zerwałem z polityką i nie zerwę prawdopodobnie. Nawet moja lokalna działalność wydawnicza, którą prowadzę i z której dzisiaj się utrzymuje ona jest może takim praktycznym miejscem, gdzie cały czas z tą polityką się styka. Jeśli jest taka codzienna, ostra aktywność polityczna, to niekiedy na refleksję nie ma czasu, a dzisiaj jest trochę czasu. Odpowiadając wprost na pytanie, należy stwierdzić, że trudno byłoby mi bez polityki żyć.



### 3. Senator - Zbigniew Zychowicz

(Nota biograficzna w całości przygotowana przez autora książki w oparciu o wypowiedź autobiograficzną Z. Zychowicza)

Zbigniew Zychowicz, rocznik 1953, urodził się w rodzinie o wielopokoleniowych tradycjach patriotycznych. Dziadek, ze strony ojca: Legionista, odznaczony krzyżem Virtuti Militari, za udział w kampanii kijowskiej. W czasie okupacji, walczył w szeregach Armii Krajowej. Na dzieje rodziny Zychowiczów, znaczące wpływ, wywarły wichry historii i złożoność losów Polaków.

Ojciec Zychowicza - pochodzi z Zamojszczyzny - w czasie okupacji hitlerowskiej, spędził dwa lata na przymusowych robotach. Po zakończeniu wojny, migruje do Warszawy, gdzie pracuje jako robotnik przy jej odbudowie. Po odbyciu służby wojskowej, zdobywa małą maturę i z nakazem pracy, wyjeżdża na Pomorze. Tam poznaje swoją przyszłą żonę, z którą osiedla się w Miastku (dawne woj. Koszalińskie), gdzie na świat przychodzi Zbyszek, pierwsze z pięciorga dzieci państwa Zychowiczów.

Młody Zbyszek wychowywał się w rodzinie, w której nie było ani tradycji lewicowych ani też - jak sam twierdzi - żadnych sympatii do tego nurtu politycznego. Otrzymał surową edukację religijną, której źródłem była jego babcia. Wychowywany w poszanowaniu tradycyjnych wartości, zdobywa staranne wykształcenie (min. doktorat z nauk politycznych na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, liczne staże naukowe, w tym staż na Uniwersytecie w Heidelbergu)

Od początku swojej pracy zawodowej jest wykładowcą w Akademii Rolniczej w Szczecinie.

Członek PZPR, a po jej rozwiązaniu - działacz SdRP i SLD. Senator IV i V kadencji z list SLD. Pełnił wiele funkcji publicznych min. Doradcy Prezydenta RP - Aleksandra Kwaśniewskiego - ds. Samorządu Terytorialnego

**Waldemar Urbanik:** Czy Pana zdaniem mamy do czynienia w ostatnim czasie z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak to proszę o wskazanie przyczyn tego zjawiska.

**Zbigniew Zychowicz:** Zdecydowanie tak. Owa radykalizacja przejawia się zarówno w formach kontestacji - chodzi tu o protesty radykalnie działających grup politycznych, czy beneficjentów - jak i klientów tych grup politycznych np. rolników protestujących na drogach, pozaprawne działania związków, utarczki z policją, okupowanie urzędów publicznych. Niewątpliwie są to przejawy radykalizacji nastrojów i artykulacji różnego rodzaju potrzeb, oraz zróżnicowanych interesów społecznych.

Można by tutaj podać najbardziej kuriozalny przykład, jaki mi się ostatnio zdarzył. Mianowicie, mieszkańcy jednej z wsi, jednej z gmin naszego województwa, powiedzieli, że oni nie zapiszą się do Unii Europejskiej. Taką uchwałę, po prostu, podejmą. Można by było podawać tych przykładów dużo więcej, ale nie o to chodzi. Ważne są powody radykalizacji nastrojów.

Otóż z pewnością, jako jeden z głównych - w mojej ocenie - należy podać to, iż ci, którzy w taki sposób kontestują rzeczywistość - podejrzewam, że nie tylko oni - są

zawiedzeni rzeczywistością, zawiedzeni tym, że ich oczekiwania społeczne - abstrahując od tego czy są uzasadnione czy nie - nie zostały spełnione. Spowodowane jest to tym, że występuje duża polaryzacja, położenia materialnego w Polsce. Może nie tak duża jak w Rosji, ale bardzo spauperyzowanym grupom społecznym przeciwstawiane są, często w patologiczny sposób, tu i ówdzie rozpasane elity - właściciele fortun ludzie którzy doszli do nich nie tylko, że na granicy prawa, wręcz przeciwnie - poza prawem. Pokazane są afery, pokazani są aferzyści. Więc ja bym powiedział tak: olbrzymi dysonans - z jednej strony oczekiwania poparte obietnicami wyborczymi różnych grup politycznych, a z drugiej strony odbiegająca od niej rzeczywistość, to radykalna antynomia. Jeśli dodać do tego jeszcze ideały sierpnia, a później przełomu ustrojowego 1989/90 i następne lata, i zderzenie z siemiężnym, ale jednakowoż bezpiecznym dla wielu socjalizmem, no to mamy naprawdę do czynienia z mieszkanką wybuchową. Tak to wygląda - w największym skrócie.

**W.U:** Jaką rolę odgrywają elity polityczne w postępującej radykalizacji nastrojów społecznych?

**Z.Z:** Tak złożone jest to zjawisko, że niekiedy same działania grup politycznych mogą powodować wzrost radykalizacji, ale częstokroć skutki tych działań powodują ową radykalizację. Więc przykład pierwszy - exemplum, ja bym powiedział - to zachowanie się polskich polityków

Po pierwsze, nie ukształtowanie się jeszcze, elity politycznej w Polsce, w rozumieniu „mąż stanu”. Dużo u nas koniunkturalizmu politycznego i dużo myślenia kategoriami: „Myślę o następnych wyborach, myślę o jutrze”. Stąd też, brak takiego myślenia, jakie jest charakterystyczne dla mężów stanu: „Co będzie za 20 lat” - o pięćdziesięciu już nie wspomnę. Czyli, takie krótkoterminowe i koniunkturalne myślenie. Stąd też, tworzone różne osobliwe, dziwne sojusze, stąd też, brak konstruktywnej opozycji. A jeśli zejść już, tak całkiem na dół, to, szermowanie jest skrajnie nie odpowiedzialne, szermowanie obietnicami wyborczymi, częstokroć bez pokrycia. Wielu polityków w Polsce, mówi to, co ludzie chcą usłyszeć. Bardzo wielu polityków - i to jest strasznie nieodpowiedzialne, według mnie - potrafi wykorzystywać pauperyzację i idące z tym, potworne niezadowolenie społeczne, dla celów politycznych typu „wybory”. Tutaj klasycznym przykładem są grupy społeczne, najbardziej upośledzone społecznie i dotknięte ową pauperyzacją - ba, niektóre wykluczone społecznie. Mam tu na myśli, czy to środowiska popegeroowskie, czy inne na wsi.

Wież jest klasycznym przykładem, osobliwej takiej, penetracji elit politycznych, ale jakich elit politycznych? Elit politycznych, które przekraczają granice - ja bym powiedział - dobrego tonu. - Bo łatwo jest dzisiaj, pojechać na wieś i powiedzieć tym ludziom, niezadowolonym ze wszystkiego, ludziom niewykształconym, ludziom do których nie może trafić racjonalna, naukowa argumentacja, myślenie w kategorii kilku lat. Powiedzieć, rzucić slogan: „To oni, tam w Warszawie, to wszystko zrobili! Nie może być tak, żeby rolnik z pięciohektarowego gospodarstwa nie wyżył!” Używają, takich na przykład, argumentów i w związku z tym grupy podatne na populizm i demagogię, są w ten sposób wykorzystywane do doraźnych celów politycznych i my wiemy o jakie ugrupowania polityczne tu chodzi. - O ugrupowania wyrosłe na bazie niezadowolenia społecznego.

To jest, chyba przykład najbardziej skrajny, najbardziej charakterystyczny. Ba, idąc przykładem tego osobliwego, schizofrenicznego usytuowania elit politycznych, znajdujemy brak zgody w kwestiach rozwiązywania trudnych problemów społecznych. Weźmy następujący przykład: Przecież każdy, racjonalnie myślący polityk, ekonomista stwierdzić musi, że w interesie państwa, w interesie grup społeczno - zawodowych: rolników, górników, hutników jest racjonalizacja tych dziedzin gospodarki, a nie uleganie presji, za cenę spokoju społecznego. To jest oczywiste. Niemniej jednak, proszę zauważyć, że od kilkunastu lat jest brak zgody w tej kwestii. Z czego to wynika? Wynika, właśnie z takiego osobliwego egoizmu: „Jeśli oni są teraz przy władzy, to dlaczego mamy przyznać im rację, że ten problem

trzeba radykalnie i definitywnie rozwiązać". Nie - przecież to jest znakomite pole do tego, żebyśmy mogli „walić” w tych, którzy właśnie borykają się z tym problemem. My, nie pomożemy go rozwiązać”.

**W.U:** Czy można byłoby, Panie Senatorze, postawić tezę, że nie ma w Polsce elit politycznych, które spełniałyby standardy europejskie?

**Z.Z:** Gdybyśmy mieli wziąć po uwagę całą scenę polityczną, to muszę powiedzieć, że ona różni się mocno od sceny politycznej w Europie. Rzecz dotyczy zarówno rekrutacji elit, kreacji, jak i zachowania się tych elit - współpracy między sobą, polemiki, kontestacji zachowań rządzących, całego spektrum osobliwych zachowań, obyczajów politycznych itd. i W tym znaczeniu, niewątpliwie nie mamy takiej klasy politycznej, jak na zachodzie. Rozpiętość tej sceny jest jeszcze tego dodatkowym przejawem. Przecież rzadko można znaleźć takie państwo w Europie Zachodniej, gdzie poszczególne grupy ludności miałyby swoją reprezentację, albo nagle pojawiałyby się reprezentacja dla doraźnie kontestującej grupy społecznej, czy nagle kontestującej grupy społecznej. Działa to tak: pojawia się nisza i nagle powstaje jakaś tam formacja polityczna (może za duże słowo) - grupa polityczna. Dlaczego? Bo oto jest nisza do zagospodarowania, oto jest luka na scenie politycznej.

Innym przejawem, różniącym naszą elitę polityczną - cały czas mówię in gremio - jest skala wstrząsów jakich doświadczamy z powodu różnego rodzaju afer. Jeszcze innym jest to, że w Polsce panuje przyzwolenie społeczne - co dla mnie jest rzeczą bardzo osobliwą - wobec nagannych zachowań polityków. Nie mówię: aprobata, czy pochwałą takich zachowań, ale p r z y z w o l e n i e przejawiające się w tym, że opinia publiczna nie jest na tyle silna, by wyrzucić taki wpływ, aby polityk - nagannie zachowujący się w takiej, czy innej sferze - musiał odejść. Nie mówię, aby poniósł taką karę, jak śmierć polityczna, czy cywilna, ale aby musiał odejść, schować się gdzieś, zejść z pierwszej linii frontu. Tu i ówdzie dopiero się pojawiają jakieś tego symptomy. W skutek ciężkiego naruszenia, gdy jest jakieś głosowanie na „cztery ręce”, to partia podejmuje takie, czy inne oświadczenie, takie, czy inne działania. Zadawaliśmy sobie kiedyś takie pytanie i dzisiaj je można zadać. „Czy jest takie zachowanie, taki czyn popełniony przez polityka, za który grozi totalny ostracyzm społeczny?” Ja wiem? Nie chciałbym być brutalny, ale to musiałby być czyn tak straszny, że aż trudno sobie wyobrazić. Jak kazirodcze stosunki? Czy może coś więcej?

Gdyby kontynuować ten tok myślenia, to musielibyśmy dojść do wniosku, że nasze elity różnią się bardzo od elit - nazwijmy to - europejskich. Nagle kariery, preferowanie przez partie bardzo osobliwych postaci... Czytałem niedawno artykuł Richarda von Weizsäckera na temat elit politycznych w Republice Federalnej Niemiec. Nie był on budujący dla tychże elit, ale mimo wszystko odniosłem wrażenie, że nasze odstają jeszcze bardziej od ogólnie przyjętych norm.

Razi mnie brak kultury - kultury politycznej i nie tylko - może mam wygórowane, estetyczne podejście do sprawy, ale sądzę, że dużo jeszcze przed nami.

Drażni mnie bardziej jeszcze jedna rzecz, a mianowicie to, że opinia publiczna w Polsce wybacza politykom - proszę darować określenie - hasanie po scenie politycznej. Przecież wielu zachowuje się „ruchem skoczka”, że użyję terminologii z szachów, czy też „konika” - jak kto woli - te kilka ruchów na scenie politycznej, z których każdy oznacza radykalną zmianę zajmowanego miejsca - uchodzi im na sucho. Dość stwierdzić, że sporo reprezentujących, czy biorących udział w koalicji rządzącej przez cztery lata, po upadku tejże koalicji, rozpierzcha się we wszystkie strony i z miną męża cnotliwego mówi, że nie miało nic wspólnego z tamtym. Ba, głosi hasła naprawy - takiego katharsis najróżniejszego - i opinia publiczna przyjmuje to jakby ze zrozumieniem. Co więcej, bywa, że rosną sondaże takich „nowych” ugrupowań. Takiej egzotyki nie spotykam w innych krajach i to jest dla mnie niezrozumiałe, ale przyzwolenie społeczne jest tutaj jednym z powodów, dla których, tak się dzieje. Opinia publiczna nie karze osobników zachowujących się w sposób naganny.

W.U: Jak Pan, Panie Senatorze sądzi, skąd takie duże przyzwolenie dla częstej zmiany poglądów, przynależności partyjnej i dla nieparlamentarnych zachowań parlamentarzystów? Skąd to się bierze? Czy to oznacza, że nasze, kształtujące się elity polityczne są jedynie prostą funkcją stanu świadomości Polaków?

Z.Z: Można by sparafrazować wiele znanych powiedzeń - powiedzieć w tym wypadku: „macie takie elity na jakie zasługujecie”, ale społeczeństwo - tak myślę - zaczyna racjonalizować swoje zachowanie w sposób *implicite*, tak, jakby chciało powiedzieć: „nie warto nic zmieniać i tak politycy są...” - i tutaj padają określone epitety. Przejawem tego jest opinia o politykach, wyrażana w różnego rodzaju sondażach. Afery potwierdzają taki tok rozumowania. Przysparzają, zwolennikom takiego rozumowania, argumentów i to jest chyba najprostszy sposób wyjaśnienia tego stanu rzeczy. Ważne jest to, co Pan powiedział - że społeczeństwo w zasadzie nie wierzy politykom - stąd też nie wierzy, jak sądzę, w radykalną naprawę tego stanu rzeczy. Bywają jednak, takie sytuacje, gdy - zwłaszcza w społecznościach lokalnych - gdy bardzo naganne zachowanie polityka jest bardziej krytycznie oceniane. Gdzie ponosi on konsekwencje zachowania, gdzie podlega właśnie, jeśli nie ostracyzmowi, to innej karze. To wynika również i z tego, że jak wiemy, społeczności lokalne, to te w których społeczna kontrola jest wyższa. Ten człowiek nie może startować w kolejnych wyborach i odsłaniać, po raz siódmy, inne oblicze. Powiedziałbym tak, że upadek różnych prezydentów, burmistrzów, wójtów tego dowodzi. Wybory do najwyższego szczebla władzy - parlamentu zwłaszcza - gdzie można się ukryć, gdzie można startować w większej masie ludzkiej, gdzie tylko nieliczni wiedzą o tych najbardziej ciemnych stronach - sprzyjają takiej kreacji i brakowi krytycznego podejścia ze strony społeczeństwa. Cała nadzieja, że te wzory ze społeczności lokalnej będą emanować na coraz wyższe poziomy, a więc z gminy do powiatu, może z powiatu do województwa - może to pójdzie wyżej. Nie wiąże nadziei z tym, że pojawi się nowe prawo, które „naprawi” „złe elity”. Wiemy doskonale, że prawo działa dobrze wtedy, kiedy jest społeczne przyzwolenie dla normy prawnej, kiedy jest ono egzekwowane.

W.U: Czy, Pana zdaniem, wzrost poparcia dla takich ugrupowań jak „Samoobrona” i „Liga Polskich Rodzin” - szczególnie zaś dla tego drugiego - można tłumaczyć tylko i wyłącznie wynikiem niezadowolenia Polaków z kierunku polskich przemian? Czy może jest to skutek jakiegoś innego zjawiska? Może próba „testowania” elit politycznych? A może walorów charyzmatycznego jednego, czy drugiego przywódcy?

Z.Z: Powiedziałbym, że brak rezultatów w przemianach jakie się dokonują, to nie jest główna przyczyna poparcia, jako, że niezadowolenie z tego stanu rzeczy, w jakim dzisiaj żyjemy, żywią także przedstawiciele innych grup społecznych, którzy absolutnie nie udzielają poparcia wymienionym przez Pana ugrupowaniom. Mamy do czynienia z osobliwym fenomenem, jeśli chodzi o te dwa ugrupowania. Są to ugrupowania ludzi „impregnowanych” na rozwijającą się nowoczesność, czy parcie ku nowoczesności, a zarazem utwierdzanych w słuszności swojego postępowania przez liderów obu partii. Jest to też w końcu, elektorat Radia Maria, elektorat ludzi nie wykształconych, ludzi ksenofobicznie nastawionych do obcych, ludzi żyjących w gruncie rzeczy stereotypami. „LPR”, to nie jest partia ludzi biednych, to nie jest partia tego typu, jak „Samoobrona”. „LPR” to jest partia ludzi, którzy nie tyle krytycznie oceniają rzeczywistość, zwłaszcza gospodarczą i efekty prowadzonej polityki, ile niechętnie odnoszą się do próby budowy nowoczesnego państwa - do próby wprowadzania kategorii, do których dotychczas był indyferentny stosunek, kategorii jak np. tolerancja dla inaczej wierzących, dla innych postaw. Jest to obrona twierdzy - ja bym tak powiedział. Obrona twierdzy, nie aprobowana nawet przez kościół - kościół odcina się od tego środowiska. To jest forma bojaźni, podszyta bardzo irracjonalnymi argumentami typu wietrzenie spisku. Używa się tutaj argumentu teorii spiskowej. Posługuje się argumentem mniejszości żydowskiej, jako zagrożenia biologicznej tkanki narodu. To jest ruch, z którym



mieliśmy doczynienia w przeszłości. To jest próba reanimacji tego ruchu, która napotyka na poparcie w różnych grupach społecznych. Wystarczy przeprowadzić sondaż i zobaczyć, jaka jest to klientela wyborcza.

W przypadku zaś drugiej partii, to jest to partia ludzi, powiedziałbym nawet, nie tyle kontestujących rzeczywistość, co partia ludzi biednych, sfrustrowanych. Partia ludzi, którzy utracili swój status ekonomiczny i społeczny wskutek zachodzących przemian. Dotyczy to zwłaszcza tych, którzy utracili pracę - tych najsłabiej wykształconych na wsi i w mieście, sporej grupy załóg upadłych pegeerów i innych zakładów pracy w małych miasteczkach, które podzieliły los wielu upadłych, państwowych przedsiębiorstw. To są ludzie, którzy doświadczyli „nowego”, w sposób dla siebie dramatyczny - abstrahujemy od tego, że niezasłużony. Nie jest to bowiem ich wina, że tak się stało, ale jest to w sporej części grupa ludzi, którzy byli beneficjentami poprzedniego systemu i to beneficjentami, którzy byli, ja bym powiedział, wytworem paternalistycznego zakładu pracy. Są to dzisiaj ludzie, którzy prezentują po upadku paternalistycznego zakładu pracy, syndrom nabytej bezradności zawodowej. Oni są, jak dzieci we mgle z różnych powodów. Ówczesny paternalizm spowodował brak aktywności dzisiaj, brak troski o siebie - pomijam już, że mieli kwalifikacje, które dzisiaj, nawet przy najbardziej obfitym rynku pracy na nic by się zdały - wymienię traktorzystę w pegeerze czy dojarzę. To są więc dwie zupełnie odrębne grupy.

Do tego dochodzi jeszcze inna grupa a mianowicie rolnicy - to jest też spora grupa wyborców „Samoobrony” - którzy są bardzo specyficznie traktowani przez tę partię. Zresztą rolnicy byli zawsze przedmiotem penetracji różnych grup społecznych. To się zazwyczaj odbywało przy okazji wyborów, kiedy to różni hochsztaplerzy sceny politycznej, przypominali, że przecież tam jest spory elektorat. Trzeba więc, pojechać i coś im naobiecować. Rolnicy są u nas postrzegani bardzo osobiście. Wprawdzie minęły czasy, kiedy słusznie pisano na sztandarach „żywią i bronią”, kiedy to chłopci po jakimś tam okresie, kiedy rzeczywistość nie stanowili znaczącej grupy społecznej, zaczęli wreszcie coś znaczyć, to jednak dzisiaj jest to grupa, której problemy, według mnie, mitologizowano - dlatego, że ani miejsce w wytwarzanym produkcie krajowym brutto ani skala problemów nie dotyczy, aż tak wielkiej grupy społecznej - by przynajmniej tak szeroko zaprzętać opinię publiczną i używać takich haseł, które były adekwatne wobec nich lat temu pięćdziesiąt. Zupełnie abstrahuję tutaj od tego, że wieś polska dzisiaj cierpi w sposób przez siebie niezasłużony. Bo i prawda jest, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat nie umieliśmy się dorobić porządnego stosunku, porządnej polityki agrarnej państwa. Przez lata całe, wieś była oczywiście wykorzystywana, bo mieliśmy bardzo osobliwą akumulację kapitału - kosztem wsi i rolnictwa, co miało służyć min. industrializacji. Dzisiaj krzywdzimy tę grupę społeczną, w której, jeśli chodzi o zawodowo czynnych, ponad bez mała 50% ma wykształcenie podstawowe i niższe od podstawowego, krzywdzimy obiecując im rzeczywistość, która nigdy nie będzie mogła być zrealizowana. Więc przykładowo - „należy zrobić wszystko, aby chłop z 5 h gospodarstwa mógł żyć” - taki pogląd, to jest krzywdzenie tych ludzi. To jest odbieranie im instynktu samozachowawczego, który nakazuje podejmować wysiłki racjonalizujące działalność ekonomiczną. Samoobrona - i nie tylko - usiłuje naszym chłopom wmówić, że oni mają mieć zupełnie inne prawa niż ci wszyscy, którzy są w Unii Europejskiej i że oni są grupą wobec których naród i państwo ma taki szczególnie długi wdzięczności, że to jest naszym ślepym obowiązkiem spełnić ich wszystkie postulaty. To jest krzywda wyrządzana tym ludziom. No i jeśli tak się postępuje, to nic dziwnego, że można osiągać takie sukcesy wyborcze.

Poza tym, obie grupy używają argumentacji „na skróty”. Używają stereotypów, odwołują się do mitów narodowych, do pewnych haseł, wartości, które w tych grupach społecznych - niezbyt zorientowanych w meandrach polityki, niezbyt wykształconych - znajdują poparcie. Łatwo rzucić hasło: „Balcerowicz musi odejść”, albo „nakradli się ci u góry”. Wiemy doskonale, że grupy społeczne, które znajdują się w bardzo krytycznym

położeniu ekonomicznym, próbują w różny sposób racjonalizować powody swojego położenia i jednym z nich jest używanie właśnie tego typu argumentacji. Przy tej konotacji negatywnej, która zawsze oznacza pęknięcie, łatwiej jest znieść swoje krytyczne położenie, a jednocześnie zmitologizowany wróg motywuje do działania. To jest klasyczny przykład, w jaki sposób zyskuje się poparcie wyborcze.

**W.U:** Gdyby przyszło Panu, Panie Senatorze dokonać oceny przyczyn upadku i klęski - przede wszystkim w wyborach parlamentarnych - ugrupowań tzw. „posierpniowych”, mam tu głównie na myśli „AWS” i „Unię Wolności”, to co by Pan powiedział?

**Z.Z:** Powiedziałbym tak, że upadek takiego konglomeratu jak AWS, to potwierdzenie tezy, że budowa formacji wyłącznie na użytek zwycięstwa w wyborach, najczęściej kończy się fiaskiem. Argumentem na rzecz budowy tej formacji, było to, żeby zwyciężyć w wyborach z lewicą, ale kiedy przyjrzymy się elementom wchodzącym w skład powstałej konfiguracji, to dostrzeżemy, że znalazły się tam żywioły, które w żaden sposób nie będą mogły, czy nawet nie powinny ze sobą współpracować. Przecież tam się znalazło całe spektrum, bardzo obfitej sceny politycznej, po prawej stronie sceny politycznej w Polsce. Spektrum, skłócone z sobą, spektrum w którego tworzeniu brali udział najróżniejsi ludzie, którego elementy przybierały najróżniejsze nazwy - jakiś Konwent Świętej Katarzyny, że przypomnę najbardziej egzotyczną nazwę. Jakiś ksiądz próbował pewne elementy, gdzieś tam łączyć... Tak powstała ta budowla. Ja i tak się dziwię, że ona przez 4 lata mogła funkcjonować. Tak powstała budowla dowodzi słabości sceny politycznej w Polsce. Twierdzą zawsze, że powinna być i silna prawica i silna lewica - nikt niczego mądrzejszego nie wymyślił od czasów kiedy funkcjonuje polityka. Tak powstała budowla musiała być słaba na gruncie programowym, bowiem w przypadku wchodzenia w koalicję bardzo różnych ugrupowań - nawet gdyby jednoczyła ich pewna idea - musi dochodzić do jej spłaszczenia, jeśli chodzi o wspólnotę programową. Owo spłaszczenie powoduje, że program, w najlepszym wypadku, obejmie minimum, które udało się wynegocjować. Okazuje się, że jedyną ideą łączącą tak sklecony program było coś, co dawno przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie - poza symbolicznym. Jednak, „posierpniowy duch”, „posierpniowy obóz” - używano takiego pojęcia - to za mało. Dzisiaj wiemy, że „sierpień” to była legenda, to był szlachetny zryw. Kiedy dzisiaj czytamy owe 21 postulatów, to w przypadku bodajże osiemnastu z nich, każdy ekonomista powie, że to był woluntaryzm i awanturnictwo polityczne. Więc nie można się dzisiaj powoływać na wspólnotę, której podłożem był szlachetny romantyzm i konieczność wyzwolenia się z okowów systemu, który krępował rozwój społeczeństwa. Zryw wyrosły na bazie dramatycznych losów, romantycznych przesłanek, romantycznych postulatów. Powstał w ten sposób obóz, zklecony doraźnie - „Akcja Wyborcza Solidarność” - no, można było już chociaż, nazwę troszeczkę inną wymyślić.

Przy okazji ujawniły się w procesie rozpadania się tejże formacji, wszystkie grzechy polskiej sceny politycznej. Jak okręt zaczyna tonąć, to pierwsi z niego uciekają ci, którzy nie chcą przyjąć odpowiedzialności za kurs, za próbę ratowania okrętu - myślą jedynie o tym, żeby szybko dopłynąć do brzegu i zacząć budować nowy okręt, już nie tak duży, ale jakąś łajbę, szalupę choćby. Mieliśmy przykład tego, że będąc w koalicji, wielu polityków puszczalo oko do opinii publicznej, jakby chciało powiedzieć: „wprawdzie jesteście w koalicji, ale my się z nią nie zgadzamy”. Dochodziło do żenujących zachowań, kiedy to upadały projekty ważne dla rządu, kiedy nie było kworum, kiedy politycy wychodzili z tegoż ugrupowania i w rezultacie powstał rząd w bardzo okrojonym składzie. Konsekwencje tego były jeszcze takie, że wszyscy ci, którzy odeszli w trakcie trwania rządu, pozakładali własne ugrupowania, ba - dzisiaj zachowują się wobec opinii publicznej tak, jakby z tym wszystkim nie mieli nic wspólnego. Po czymś takim, opinia publiczna, gdyby zachowywała się tak jak to

się czyni w klasycznych demokracjach, gdzie polityka jest uprawiana w sposób demokratyczny od kilkuset lat, to nie dałaby przyzwolenia społecznego na to, żeby przynajmniej w następnej kadencji, zaznaczyli swoją obecność tacy politycy. Tutaj nic takiego się nie stało.

Jeszcze inną rzeczą, charakterystyczną dla polskich elit politycznych, jest indywidualizm. To jest grzech polskiej polityki - brak umiejętności grania w drużynie, że użyję takiej terminologii sportowej, bo politycy, którzy występują solo, mając świetne talenty oratorskie - posłużę się tutaj postaciami z Komisji Śledczej - potrafią swe talenty wykorzystać, ale po to by rozbić swoją drużynę. Nie ma u nas nawyku pracy organicznej, ale też powodów tego upatruję w tym, że opozycja nie była siłą zorganizowaną i nie działała wokół jakiegoś jednego wielkiego programu. Pomijam tą ideę, ten szlachetny, romantyczny „sierpień”. Nawet poszczególni przywódcy, przez długie lata, skupiali wokół siebie grupy, elity, ekipy i próbowali coś tworzyć. Szkoda, że u nas nie ma myślenia, już nie chcę użyć takiego wyświechtanego sloganu: kategoriami państwa, ale że nie możemy skupić się na wspólnej wizji Polski. Nie ma konsensusu wokół minimum spraw ważnych dla Polski. Pominąwszy NATO, czy UE. Ale przecież oprócz tego, jest mnóstwo innych jeszcze spraw.

Wielu zdumiewa spektakularna, można powiedzieć, klęska „Unii Wolności”. Partii, która wydawała się i zachowywała się w sposób pro państwowy, która formułowała liczne trafne postulaty naprawy rzeczywistości politycznej i ekonomicznej państwa Bardzo zasłużonej formacji - z różnych powodów. Klęska partii, dodajmy, znakomitych postaci, które i tworzyły opozycję i występowały w sierpniu i miały w końcu w swoich szeregach wielu ministrów, w tym także pierwszego, legendarnego premiera III Rzeczypospolitej. Kiedy się jednak przyjrzeć bliżej, to ten upadek nie wydaje się taki jak *deus ex machina*. „Unia Wolności” sobie naprawdę uczciwie i rzetelnie na to zapracowała. Po pierwsze, styl uprawiania polityki przez „Unię Wolności”. Przy całym pozytywnym *entourage*, wszystkich kwestii związanych z działalnością „Unii Wolności”, wystarczyło popatrzeć na coś, co wielu ludzi potwornie raziło - *besserwisseryzm*. Każdy członek „Unii Wolności”, to człowiek, który wszystko wie lepiej od innych. Mentorski ton polityków „Unii Wolności”, mnie osobiście nie doprowadzał do szału, ale powiem, że mnie irytował. W dyskusjach indywidualnych, na forum publicznym, w publicystyce, jawił się obraz elitarnego małej partii, która w zasadzie wie naprawdę wszystko najlepiej i tylko ona chce najlepiej. Wprawdzie inni też, tu i ówdzie, na jakiś polach, coś robią, ale tylko ONA ma jasny, zwarty program. Ten mentorski ton, to jeden z powodów tej spektakularnej klęski.

Drugi powód to, że „Unia Wolności” zwracała mało uwagi na problematykę społeczną, problematykę ludzi znajdujących się w najbardziej krytycznym położeniu. Był to liberalizm w warunkach Polski - rodzącego się nowego państwa, nowego stylu uprawiania polityki, ale i pokładów nowych, odrzuconych grup społecznych, poddanych dewiacjom, spauperyzowanych potwornie, takich którzy utracili pracę, takich którzy weszli w orbitę zjawisk niespotykanych w II Rzeczypospolitej, czy w PRL (nie wiem, czemu numeru nie wymyślono dla PRL?) - który sprawił, że to nie była partia, która zauważała choćby to, że czas zająć się problemami społecznymi. Jeśli już, to traktowano te działania technokratycznie - wprawdzie jest taki problem, ale to jest pewna uciążliwość transformacji. Nie dostrzegano, że to dotyczy żywych ludzi. Nadto, częste zmiany przywódców w „Unii Wolności”, również miały swój udział w jej upadku. Przejęcie władzy przez Profesora Balcerowicza - człowieka wprawdzie zdolnego, menadżera, ekonomistę, ale jako polityka: kostycznego, który nie potrafił nadać tej partii „ludzkiego” oblicza - jest tego dobrym przykładem. Balcerowicz nie był przywódcą, który by Unię promował jako partię, z jednej strony ludzi mądrych, ale z drugiej wrażliwych społecznie. To, w moim odczuciu, są główne przyczyny upadku tej formacji - tak najkrócej, jak tylko można to powiedzieć.

W.U: Jakie są, Pana zdaniem, przyczyny wskazywanego przez pracownię badań opinii publicznej, spadku zainteresowania Polaków życiem politycznym? Przejawia się to min. znaczącym spadkiem udziału we wszelkiego rodzaju wyborach. Czy jest to, tylko i wyłącznie, wynikiem niechęci Polaków do elit politycznych?

Z.Z: Rzeczywiście, oprócz pewnej niechęci do elit, pojawia się - jako przyczyna - niewiara w skuteczność wpływu poprzez swoją aktywność w postaci wyborów. Wpływu na zmianę rzeczywistości. Ludzie w swojej argumentacji stosują prostą zależność przyczynowo skutkową: „Już tyle razy chodziłem i nic z tego nie wyszło. Sąsiedzi też tyle razy chodzili i nic z tego nie wyszło”. Nawet, co niektórzy, używają takiego określenia: „Miało być dobrze a wyszło jak zwykle”. W Polsce brak rozbudowanych systemów partycypacji obywatelskiej. Muszę zwrócić uwagę, że radni, jak zostaną wybrani w gminie, to samodzielnie rządzą z wójtem, burmistrzem, prezydentem. Nie ma niestety, ciał społecznych działających przy radzie. Nie ma nacisku (pomijam nacisk typu lobby) zorganizowanego przez np. sympatyków miasta, społeczności, związku na rzecz rozwoju. Nie ma np. zorganizowanych działań na rzecz kontroli poprawności, zgodności z oczekiwaniami społeczności lokalnej, planu zagospodarowania przestrzennego. Czyli jest tak, że przejawy partycypacji obywatelskiej w Polsce są mocno zawężone, a społeczeństwo obywatelskie nie jest jeszcze silnie rozbudowane. Trzeba, ja bym powiedział, budować ducha zainteresowania sprawami publicznymi. Młodzież wykazuje takie zainteresowanie - powstają liczne rady młodzieżowe miast, młodzi ludzie interesują się tymi sprawami, choć gdy się spojrzy na edukację, to z tym jest źle. Istnieje szereg mechanizmów, które tłumaczą taki stan rzeczy. Jednym z nich jest to, że o polityce, w debacie publicznej, mówi się w Polsce incydentalnie. Zawsze jednak, jako punkt odniesienia wobec spektakularnych wydarzeń - a to wybory, a to dymisje, a to upadek, a to naganne zachowanie polityka typu jazda po pijanemu, a to skandal obyczajowy. Nie ma natomiast, rzetelnego podejścia o wymiarze edukacyjnym czyli polityka jest postrzegana jako taki ciąg wydarzeń, bardzo osobliwych. Zresztą media też swoje trzy grosze w to wkładają, bo dobra wiadomość to zła wiadomość. Najlepszym tego przykładem może być taka oto obserwacja: mamy pięć lat funkcjonujący nowy samorząd województwa i jestem przekonany, że jeśli 20% obywateli wie, coż to za gość, ten marszałek - to jest dobrze. Doświadczałem tego osobiście. Zнали mnie, moje powinności, moją rolę ci, którzy spotykali się ze mną na niwie służbowej. Jedyne. To jest wynik braku edukacji politycznej. Tworzy się jedynie, jakies zbitki pojęciowe na użytek medialnej dyskusji polityków i dziennikarzy. U nas, edukacja polityczna - podejrzewam - miałaby od razu pejoratywną konotację - że to jakaś propaganda jest, albo działalność jednej, drugiej, czy siódmej partii.

W Republice Federalnej Niemiec jest taka instytucja jak Bundes Zentrale für Politische Bildung, czyli Federalna Centrala do Spraw Kształcenia Politycznego i w każdym landzie, w każdym powiecie, organizowanych jest setki imprez o charakterze edukacyjnym. Są na to pieniądze i jeden cel - edukacja polityczna obywateli. W Stanach Zjednoczonych są fundacje, które uświadamiają obywatelom, co to jest konstytucja i na tym skupiają całą swoją działalność. U nas czegoś takiego, po prostu, nie ma. Wiąże duże nadzieje z nową, ostatnio uchwaloną Ustawą o Organizacjach Użytku Publicznego i Wolontariacie, która organizacjom pozarządowym przyznaje bardzo szerokie spektrum spraw, którymi będą mogły się zajmować, czerpiąc na to publiczne pieniądze. Póki co, obywatele nie bardzo wiedzą, o co chodzi w tym, że oni tam ciągle się tasują - bo takich określeń się używa. To chyba tyle - parę uwag, które w mojej ocenie wyjaśniają sporo.

Inną kwestią jest, bardzo osobliwa droga dochodzenia do stanu bycia politykiem w Polsce. Otóż, utarły się dwa sposoby „wchodzenia” do polityki: albo terminowania - dziwnego, jakiegoś - w partii, albo - co, na szczęście, rzadziej się spotyka - „wchodzenia”, powiedział bym, na „królik z kapelusza”. Istny *deus ex machina*. Można o tych sprawach mówić w dwóch aspektach - o praktyce i o postulatach. Różna jest praktyka w tej materii.



Jeśli terminowanie zaczyna się od pracy w młodzieżówce - młodzieżówka przejmuje w pierwszym rzędzie najgorsze wzory swojej partii, a więc np. złą politykę kadrową, ocenę za skuteczność, ale osobliwie pojmowaną, tworzą się koterie i jakieś tam grupki frakcyjne - to w rezultacie młody człowiek nie ma czasu, aby zdobyć porządne kwalifikacje na uniwersytecie i zaczyna bycie politykiem, nie mając do tego żadnych predyspozycji. Znamy takie kariery, gdzie politycy nie splamili się w swoim życiu żadną normalną pracą, w żadnym normalnym zakładzie pracy, a to już jest chore. Żeby być politykiem trzeba kierować jakimś zakładem, trzeba wcześniej kierować jakimś zespołem ludzkim, trzeba przejść przez - ja bym to tak powiedział - uroczą prozę życia, czyli być z ludźmi, by wiedzieć o co im chodzi. Jeśli ktoś „staje się” politykiem, na takiej zasadzie, że najpierw młodzieżówka, a potem kolejne szczeble to, jest to zła droga rekrutacji. Mechanizmy kreowania człowieka młodego politykiem, mają niewątpliwie na to duży wpływ.

Jeśli chodzi o polityków z „górnego półki”, to opisana wyżej kreacja, odgrywa istotną rolę, choć sporo osób trawiło na sam szczyt po zdobyciu dużego doświadczenia w życiu zawodowym. Myślę, że jedną z lepszych form jest właśnie tworzenie rad i stowarzyszeń młodych ludzi, ale młodych, którzy na politykę poświęcają jedynie część swojego czasu, większość, wszelako, poświęcając na zdobywanie kwalifikacji. Polityk musi być przecież znawcą w jakiejś dziedzinie - musi być znawcą jakiegoś problemu. Trudno być politykiem, który jest tylko politykiem. Dotyczy to, zwłaszcza, sfery stosunków międzynarodowych. W sejmie i w senacie, okazuje się, że trzeba mieć znawcę, który problemy gospodarki morskiej potrafi zrecznie artykułować, służby zdrowia i wielu innych dziedzin życia. Ale do tego trzeba zdobyć odpowiednie kwalifikacje. Zatem polityka powinna być taką szkołą - obok tej prawdziwej - gdzie zdobywa się zawód, gdzie poznaje się ludzi i gdzie kształci się charakter. Gdzie ma się do czynienia z prawdziwymi nauczycielami, gdzie się nie wypacza swojego charakteru i nie manieruje - na to przyjdzie później czas (śmiech).

**W.U:** Czy można powiedzieć, że spadający prestiż władzy publicznej może w jakimś sensie stanowić wniosek o kryzysie instytucji demokracji w Polsce? Demokracji, jako pewnego mechanizmu organizacji społeczeństwa i państwa. Pana zdaniem, Panie Senatorze oczywiście.

**Z.Z:** Jeśli ludzie uznają, że źle wybieramy przedstawicieli - albo pytają, dlaczego się dzieje tak, że my ich wybieramy, a to nie przynosi takich rezultatów, jakie wiążemy z naszymi wyborami - to o tyle, niewątpliwie, taka teza jest uprawniona. Zależy jaki punkt widzenia przyjmijemy, czy *vox populi vox Dei*, czy też ludzie mogą tak sądzić, ale my jednak będziemy analizować rzeczywistość szkiełkiem i okiem mędrca. Żyjemy w takiej części świata, gdzie instytucja demokracji, jak mawiał Churchill, nie jest może najlepszą, jednak nikt lepszej nie wymyślił. Żyjemy w tej części Europy, gdzie przez lata funkcjonował zupełnie inny model kreacji elit władzy i inny system polityczny. Gdzie obywatele byli pozbawieni jakiegokolwiek wpływu na politykę a wszelkie wybory były fasadowe i iluzoryczne. Być może zderzenie tego „dzisiaj” z tym „wczoraj”, powoduje, że ludzie myślą takimi oto kategoriami, że wprawdzie było tak i tak, ale to było bardziej czytelne. Może myślą, że było mniej afer. Może tkwi w nas tęsknota za „mężem sprawiedliwym”, za silną ręką, gdzie wszystko jest czarne i białe. Jeśli coś się nie udaje, no tzn. że ON ponosi za to odpowiedzialność. Dzięki takiemu modelowi władzy, można sobie wszystko racjonalnie wytłumaczyć. Demokracja, z jednej strony oznacza nieskrępowany wolny wybór jednostki, ale z drugiej strony oznacza zagrożenie wyborem osób, które nie są absolutnie predestynowane do tego, aby pełnić takie role.

Nie mamy w Polsce, niestety - mam nadzieję, że jeszcze - silnej kontroli społecznej w tej potwornie ważnej dziedzinie życia społecznego, jaką jest polityka. Wszelkiego rodzaju immunitety, nieodwołalność radnych, jest przejawem tego zjawiska - braku kontroli społecznej. Nie wiem, czy jesteśmy w stanie w miarę szybko, jakieś takie dodatkowe

mechanizmy stworzyć. Myślę, że edukacja i kontrola społeczna, od szczebla lokalnego począwszy, a na coraz wyższy wchodząca, to są chyba te elementy, które wpłyną na poprawę jakości poziomu polityki. No i kreacja, czy też rekrutacja elit władzy - to są chyba, w mojej ocenie, rzeczy najważniejsze.

Wprawdzie pojawiają się też, humorystycznie wyeksponowane postulaty, ale się odniosę do nich, nie tak zupełnie, zabawnie, czy humorystycznie. Na przykład, konieczność badań psychiatrycznych dla polityków i sprawdzanie ich poziomu kompetencji. Dochodzimy do takiego osobliwego paradoksu - uczeń trzeciej klasy gimnazjum ma test kompetencyjny i musi złożyć egzamin. W korporacjach zawodowych wszelakich, w gremiach zawodowych naukowych - poddawani jesteście, coraz to kolejnym egzaminom sprawdzającym. Nasze kwalifikacje, każdy kolejny awans, związany jest egzaminem itd. Natomiast, w polityce czegoś takiego nie ma i paradoks polega na tym, że ci którzy odpowiadać będą za najważniejsze decyzje, skutkujące absolutnie nie do wyobrażenia następstwami - nie poddani są żadnym formalnym weryfikacjom, które sprawdzałyby ich wiedzę, kompetencje, kwalifikacje, czy też nawet jakieś cechy psychomotoryczne, które przecież mogą wpływać na sprawowanie władzy. I tak, dowiadujemy się, że ktoś ma jakąś pomrocność jasną, Inny jakieś dziwne cechy, które każą mu tańczyć i całować innych po rękach. Nie sadzę, żeby to było całkiem od rzeczy, aby tego typu kwalifikacje sprowadzać, choć z drugiej strony istniała by pokusa stronniczości takich badań, wynikających z niechęci wobec badanego. Może to brzmi egzotycznie -wiele osób, takie propozycje formułuje właśnie - że ci, podejmujący najważniejsze decyzje w państwie, nie są w żaden sposób sprawdzani. Czy wyborcy są kompetentni, aby to czynić i czy zbiorowa wola, wyrażana w wyborach, jest wystarczająca. Czy to jest właściwa weryfikacja? Nie, to nie jest weryfikacja, to jest decyzja. Autorzy *science fiction* podają nam wiele rozwiązań w tej materii, jak twierdzą sprawdzonych, ale chyba tylko na zasadzie antycypacji przyszłej rzeczywistości.

**W.U:** Jaka jest rola elit intelektualnych - rola opiniotwórcza elit intelektualnych - w procesie naprawy elit politycznych? Czy elity intelektualne mają jakieś zadanie, jaką rolę do odegrania w procesie naprawy polskich elit politycznych?

**Z.Z:** Sądzę, że elity intelektualne w minionym systemie, w mojej ocenie, chyba były wysłuchiwane z większą uwagą. Abstrahując od tego, czy ich opinie, refleksje, były brane tak poważnie, jak były traktowane w trakcie ich wysłuchiwania, ale odnoszę wrażenie, że miały znaczenie. Dzisiaj brakuje mi w podejmowanych decyzjach, jakiegoś odniesienia do świata nauki, do świata intelektualistów, ale też w jakiejś mierze tłumaczę to tym, że nie mamy w sposób zauważalny - wyraźnie wyodrębniony - owych elit. O ile kiedyś, zapytany o takie, czy inne środowisko, ja, czy moi koledzy, mogliśmy wskazać wybitnych uczonych w danej dziedzinie wiedzy, o tyle dzisiaj jest paru dyżurnych socjologów, politologów i zdaje się, jeden psycholog (śmiech). I to w zasadzie wszystko. Nie widzę takich gremiów, jak kiedyś Konwersatorium, Doświadczenie i Przyszłość, czy jakiejś innej agendy, której głos - nie zawsze miły dla władzy - był traktowany poważnie, jako pewne ostrzeżenie, przestroga nawet. Uważam - jako konieczność - sięgnięcie do dorobku intelektualnego, do świata nauki. Z drugiej strony, politycy wiedzą, że świat nauki dzisiaj -nie chcę tutaj uogólniać tego zjawiska, bowiem rzecz nie dotyczy wszystkich, a jak dalece jest rozległe, nie jestem w stanie powiedzieć - jest skupiony, tak nie do końca, na nauce. Pomijam może takie nauki, gdzie nie można pracować na czterech, czy pięciu etatach, ale wszędzie tam, gdzie uczeni - by sprostać zapewnieniu sobie określonego poziomu życia - zmuszeni są, czy też chcą pracować na kilku etatach - nie angażują się w dociekania intelektualne, które mogłyby razić oryginalnością. Nie na darmo słyszymy i taką oto konstatację, że oto mamy do czynienia z upadkiem autorytetów. Czy dzisiaj mamy w Polsce absolutnie niekwestionowany autorytet naukowy, wobec którego nikt nie wyraża wątpliwości, nikt go nie kwestionuje? Odpowiedź, brzmi nie. Czy mamy niekwestionowany autorytet w dziedzinie polityki? Nie. Prezydent ma wysokie notowania, ale

nie jest niekwestionowanym autorytetem. Czy w kościele są takie autorytety? O dziwo, nie. Kiedyś byli nimi Wyszyński, Wojtyła. Dzisiaj nie ma takiego. Co dotkniemy dziedziny życia, to dochodzimy do wniosku - jakże smutnego - że został tylko Małysz, Małysz jako niekwestionowany autorytet w dziedzinie sportu - pocieszyciel ran ludzkich, terapeuta kompleksów Polaków. Brzmi to jak ponury żart, ale to odsłania ogromną pustkę - okazuje się, że król jest nagi. Musimy coś zrobić, ale przecież wiemy, że autorytetu nie tworzy się w ten sposób, że mówimy sobie „stwórzmy autorytet”. One rodzą się na zasadzie potęgi, jaką wytwarzają swoją działalnością, potęgi uznania, potęgi nie kwestionowania tego, co czynią. Za mądrość. I koło się zamyka, tak bym to powiedział.

**W.U.** Jaką rolę, Pana zdaniem, w działaniach partii politycznych, odgrywają badania socjologiczne? Czy są wykorzystywane przez polityków do określania strategii i programów politycznych? Czy służą jako źródło informacji o rzeczywistych oczekiwaniach i potrzebach Polaków? Czy też, są wykorzystywane instrumentalnie, jedynie do bieżących potrzeb, na przykład wyborczych?

**Odpowiedź:**

**Z.Z:** Ja bym powiedział, że instrumentalny stosunek polityków do tych badań jest najbardziej widocznym elementem ich wykorzystania. Odnoszę wrażenie, że - trudno mi to określić w procentach - zdecydowana większość polityków zna, ten powiedziałbym, utylitarny charakter socjologii, który przejawia się w postaci badań opinii publicznej i sondaży poparcia lub badań preferencji wyborczy. Są to główne przejawy instrumentalnego traktowania badań socjologicznych, ale niestety, tak się właśnie traktuje te badania.

Natomiast, pogłębionej refleksji wynikającej z badań socjologicznych, która rzutowałaby na programy partii, czy na praktyczne działania partii, nie widzę nazbyt wiele. Tu i ówdzie, politycy posiłkują się takimi, powiedziałbym, paranaukowymi instytucjami. Nie widzę natomiast chęci, żeby wyjaśnić fenomen różnego rodzaju zachowań, aby podejść racjonalnie do problemów, które uczeni naświetlają - jak chociażby kwestia wykluczenia społecznego dużej grup społecznych na wsi. Osobiście żałuję, że politycy, nader rzadko wykorzystują badania naukowe, z których można naprawdę sporo czerpać, bo w nich, aspekty diagnostyczne, prognostyczne i eksplanacyjne, są bardzo mocno zaznaczone. Ja bym powiedział: nic tylko czerpać pełnymi garściami z dorobku nauki, ale tak się u nas nie dzieje. Wiem, że w partiach na zachodzie, są przez fundacje polityczne prowadzone badania i czerpie się z nich znacznie więcej. Fundacje, jak choćby fundacja Konrada Adenauera, wydają renomowane miesięczniki, będące inspiracją intelektualną dla polityków. Myślę, że to jeszcze jest przed nami i cieszyłbym się ogromnie, gdyby uczeni mogli też mieć satysfakcję z tego, że ich praca, to nie tylko materializacja potrzeby ekspresji intelektualnej, ale także, że społeczeństwo coś z ich wysiłku ma, a politycy poważnie traktują ów wysiłek intelektualny i naukowy naukowców.

Konkludując, sporo jeszcze upłynie czasu, by badania naukowe były tak traktowane przez polityków, po pierwsze, ta jak na to zasługują, a po drugie by były wykorzystane do racjonalizacji zmian otaczającej nas rzeczywistości.

Zdarzyło mi się, na początku lat osiemdziesiątych, kierować ośrodkiem badań społecznych, stworzonym ad hoc, przez młodych asystentów, który pracował na rzecz ówczesnego kierownictwa politycznego województwa. Chodziło wtedy o badanie opinii załóg dużych zakładów pracy o ówczesnej rzeczywistości. Tej, przypomnijmy, gorącej rzeczywistości, tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Pamiętam, że wyniki naszych analiz, czyli rzeczywiste opinie pracowników, najczęściej robotników, ale i kadry robotniczej, oraz pewne nasze komentarze wyjaśniające, były traktowane bardzo poważnie. Dzisiaj, prasa pełni taką rolę. Pracownie, takie jak choćby OBOP, przedstawiają bardzo skrótowo jakiś problem no i - wydaje nam się, że mamy jego wyjaśnienie. Ale to jest tylko badanie opinii publicznej. To nie są badania stricte naukowe, których poważne potraktowanie mogłoby pomóc w

rozwiązywaniu polskich problemów, takich jak bardzo dziwaczna stratyfikacja społeczna, budzenie aspiracji, zwiększanie mobilności przestrzennej, ruchliwości społecznej itd., że tylko o tych wspomnę.

O wiele bardziej byłbym zadowolony, gdyby to nie opinia publiczna decydowała o ważkich sprawach, takich jak udział polskich żołnierzy w misjach wszelkiego rodzaju, kierunki naszej polityki obronnej i zagranicznej, czy choćby - „wygaśnięciu mandatu wyborczego” danego rządu, do sprawowania władzy w trakcie kadencji. Proszę zwrócić uwagę na to, że czasami opinia publiczna jest wynikiem jakiegoś jednostkowego wydarzenia - bardzo krytycznie ocenianego, ale jednostkowego. Przykładowo, gdzie interweniuje policja, na niezgodne z prawem formy kontestacji, w wyniku której, jeden z uczestników traci oko lub jest mocno poturbowany. Opinia publiczna jest wtedy bardzo krytyczna i przekłada się na ocenę funkcjonowania rządu. To nie jest adekwatna ocena. Stąd też, odnoszę się bez entuzjazmu do tego typu wnioskowania na podstawie sondażu, a nawet bym powiedział - lekko krytycznie.

**W.U:** Jakie to ma, Pana zdaniem, znaczenie dla społecznego odbioru procedur demokratycznych, procedur wyborczych i tego, co potocznie można określić mianem poszanowania demokracji? Pojawia się bowiem, taka oto supozycja, że każdorazowo - mówiąc nieco eufemistycznie - „głos ulicy” może rozstrzygać, może kwestionować konstytucyjne uprawnienia danego organu władzy. Można - często tak czyni opozycja - w oparciu o bardzo wątpliwą przesłankę wyniku jakiegoś sondażu, formułować opinię, że „ten rząd utracił mandat zaufania społecznego”, więc, albo powinien podać się do dymisji, albo powinien powstrzymać się od podejmowania ważnych decyzji. Czy to nie jest w istocie, Pana zdaniem, kwestionowaniem procedur demokratycznej legitymizacji władzy?

**Z.Z:** Dotykamy bardzo złożonej kwestii. Mianowicie, ja bym to wywiódł od osobliwego stosunku Polaków do instytucji, jaką jest prawo. Proszę zwrócić uwagę, że kilkadziesiąt lat poprzedniego systemu - w którym to, w niektórych grupach społecznych, kontestacja wobec funkcjonującego prawa była cnotą - odcisnęło swoje piętno. Żyjemy w kraju demokratycznym, w którym konstytucja nie tylko werbalnie określa szereg praw i wolności dla obywateli. W tymże kraju, stosunek do prawa jest bardzo osobliwy. Przykładem mogą być manifestacje uliczne „Samoobrony”, palenie opon, czy też, demonstracje w wyniku których niszczy się mienie lub okupuje urzędy. Są to przejawy tego, że prawo nie jest poszanowane. Ale ja dostrzegam w tym coś więcej. Ci, którzy się tego dopuszczają, mogą wychodzić z założenia - jest to *expressis verbis* formułowane - że ci, którzy złamali prawo i nakradli, którzy są „z górnej półki” - też nie ponoszą żadnej odpowiedzialności i uchodzi im to bezkarnie. To jest jeden wniosek generalny. Ale w polityce liczą się realia i my, politycy, nie możemy mówić, że się gniewamy na społeczeństwo, czy też gniewamy się na tych, którzy tak a nie inaczej, kontestują rzeczywistość lub zachowania polityków. Minie jeszcze trochę czasu zanim procedury kontestacji, będą nieco inne. Minie trochę czasu zanim będziemy mogli powiedzieć, tak jak w Stanach Zjednoczonych, że prawo jest święte i każdy jest wobec niego równy. Że nie ma żadnych przywilejów, które u nas niestety jeszcze występują.

Politycy opozycji, niezależnie od tego, z której strony sceny politycznej, częstokroć są bardzo podbudowani w swoich wystąpieniach - ja bym powiedział nawet - zainspirowani w swoich radykalnych wystąpieniach - tym co „mówi ulica”. Oni czują się uskrzydleni. Oni czują się jako ci, którzy chcieliby na końcu powiedzieć *finis coronat opus*. Chcieli by powiedzieć: „A nie mówiłem - ja was tu właśnie reprezentuję. Ja wypowiadam z tej mównicy, z której mój głos brzmi donośnie i ma charakter formalnoprawny, że wasza kontestacja była słuszna”. Taki polityk sprzeciwia się w tym momencie regułom gry, które sam stworzył, a więc mam tu na myśli, demokratyczne procedury wyłaniania i rwania poszczególnych organów władzy. Na Boga, jeśli premier, czy rząd nie dopuszcza się - tu abstrahuję od tego,



kto sprawuje władzę - jakiś potworności, czy też nie ośmiesza państwa, czy nie doprowadza do złamania prawa wreszcie, to w mojej ocenie, takie gromko wyrażane postulaty, że „czas z tym skończyć” - szkodzą państwu. Nadużywa się oczywiście, jako argumentu, spadających notowań rządu. To do niczego dobrego nie prowadzi.

Moglibyśmy kierować się sprawdzonymi modelami demokracji, gdzie istnieje większe poszanowanie zasad demokracji, prawa i zasad konstytucyjnych. Nawet we Włoszech, gdzie rząd się zmienił po wojnie już pięćdziesiąt razy, jest lepiej pod tym względem, niż u nas.. Proszę zauważyć, że opinia publiczna w takich Włoszech, nie odgrywa jakiejś szczególnej roli przy kreowaniu, funkcjonowaniu, czy upadku kolejnego rządu. Tam rządzą inne mechanizmy, mechanizmy oparte na zasadach konstytucyjnych.

Powiedział bym, że my chyba jesteśmy troszeczkę zachłyśnięci tym, było nie było, nowym zjawiskiem badania opinii publicznej. Stąd też, politycy mogą ten argument wykorzystywać, nieomal bez umiaru.

**W.U: Co, Pana zdaniem, oznacza w działaniu partii politycznych populizm? Jaka granica dzieli demagogię, od wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom społecznym?**

**Z.Z:** Ten termin, ukuty od łacińskiego słowa jest - powiedziałbym - bardzo zgrabnie i trafnie oddającym naszą rzeczywistość. Jeśli polityk schlebia gustom najmniej wybrednym, jeśli schlebia postulatowi, które wywodzą się z dawno przebrzmiałych i skompromitowanych ideologii - schlebia zatem najniższym instynktom społecznym - i w ten sposób próbuje zdobyć głosy - no to, oczywiście, mamy do czynienia z populizmem.

Populizm jest praktykowany nie tylko przez radykałów naszej, polskiej sceny politycznej, ale tu i ówdzie, do populizmu uciekają się nawet przedstawiciele, powiedziałbym, szacownych w sensie stażu politycznego i reprezentacji parlamentarnej, partii. Zjawisko szkodliwe ze wszech miar, bowiem uniemożliwia budowę normalnego społeczeństwa, uniemożliwia wdrażanie w życie mądrych programów i powoduje, że coraz to liczniejsze grupy społeczne nastawiają się do rzeczywistości roszczeniowo. W tym momencie, polityk, miast wyjaśniać złożoną rzeczywistość, miast czasami powiedzieć, że aby było lepiej, musi początkowo być gorzej, rozbudza nierealne, zupełnie, oczekiwania. Ba, zwiększa jeszcze te oczekiwania, stając się - nie waham się tutaj użyć mocnego określenia - szkodnikiem politycznym. Staje się człowiekiem niegodnym uprawiania polityki, czyli czemuś, co ma służyć całemu społeczeństwu.

Populizm, jak wiemy, doprowadził do powstania potwornych reżimów w historii i żniwa tegoż zjawiska zmaterializowanego, były potworne.

Demagogia zaś ma, ja bym powiedział, wiele wspólnego z populizmem. Demagogia odnosi się raczej do sfery argumentacji, do sfery artykułowania poglądów adresowanych do owych, z reguły nisko wykształconych grup społecznych.

Wszędzie tam, gdzie w wyniku posłuchania dla roszczeń populistycznych, dochodzi do zahamowania pozytywnych trendów rozwoju, dochodzi także, do powstania negatywnych zjawisk - jedni osiągają swoje cel, kosztem drugich. To jest granica, której przekroczyć nie wolno. Kryterium tej granicy, jest działanie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wprawdzie nauka nie przyjmuje czegoś takiego, jak zdrowy rozsądek, ale jest on łatwo definiowalny, jest łatwo wyczuwalny. Na ogół wiemy, kiedy działamy wbrew zdrowemu rozsądkowi. Jeśli, na domiar złego, stworzymy doraźnie prawo dla zaspokojenia populistycznych dążeń, czy postulatów, to przekroczymy ostatecznie granicę, wyznaczoną dla elementarnych zasad przyzwoitości w polityce. Do takich ekstremalnych sytuacji, doprowadzać nie wolno.

Rzeczywiście, każda partia ma obszerne spektrum wyborcze i musi zrealizować pewne oczekiwania wyborców. Ale istnieje granica, po której przekroczeniu, możemy powiedzieć, że populistyczne tendencje biorą górę. Taką granicą, są w mojej ocenie, z jednej strony- możliwości ekonomiczne państwa, z drugiej strony - przyzwolenie innych grup społecznych, nawet dla realizacji takiego programu, o którym się sędzi, że jest populistyczny.

Podam przykład. Jeśli byśmy zaczęli ulegać (ja mówię o swojej formacji) powszechnym żądaniom, aby w wielkich, restrukturyzowanych zakładach pracy, nie zwiększało się bezrobocie, to doprowadzilibyśmy do katastrofy gospodarczej. Więc kryteria racjonalności ekonomicznej muszą brać górę absolutnie nad populistycznych oczekiwaniami. Co więcej, ta argumentacja musi być tłumaczona społeczeństwu. Czyli kryteria racjonalności ekonomicznej, to jest to, co według mnie, powinno przyświecać każdej partii. Ja tylko wspomnę pewien napis na biurku prezydenta amerykańskiego: „Pamiętaj durniu - przede wszystkim gospodarka”. Kryteria racjonalności ekonomicznej dotyczą nie tylko gospodarki, ale administracji państwowej i wielu innych dziedzin życia.

Wróciłbym do zdrowego rozsądku, jako przeciwwagi dla populizmu. Widzę wśród wielu ekip, myślenie takimi kategoriami, ale widzę też, postępowanie przeczące zasadzie zdrowego rozsądku. Jeśli jakieś ugrupowanie mówi np. że należy zmusić banki do tego, żeby dawały nisko oprocentowane kredyty, to w tym tkwi szaleństwo jakieś. Jeśli tyle lat żyliśmy w określonym systemie, gdzie racjonalności ekonomicznej nie było i nagle budujemy nową rzeczywistość, gdzie jest ona fundamentem działania, to tak jak byśmy chcieli „przewrócić” tą z trudem budowaną, nową rzeczywistość. To właśnie starcie, myślenia w kategoriach racjonalności ekonomicznej, za którą stoi chęć realizacji najślusniejszych, czy wielu słusnych postulatów społecznych, z myśleniem demagogicznym, jest polem ciągłych konfrontacji w parlamencie i w wielu innych miejscach. Kluczem jest racjonalność ekonomiczna i jej nie wolno przekroczyć, czy złamać.

**W.U:** Czy istnieje, Pana zdaniem, sprzeczność pomiędzy realizacją w polityce określonych wartości (np. religijnych), a skutecznością w rozwiązywaniu problemów egzystencjalnych Polaków? To pytanie jest w zasadzie pytaniem o proporcje pomiędzy tym co określamy „ideowością”, a pragmatyzmem polityków. Co Pana zdaniem jest ważniejsze?

**Z.Z:** Jest tak w istocie, że wprawdzie większość polityków, przynajmniej werbalnie, hołduje - bym powiedział - całemu panteonowi wartości powszechnie uznawanych, cenionych jak: bezkompromisowość, uczciwość, kierowanie się dobrem publicznym, interesem społecznym. Potępieniem dla negatywnych zjawisk jak: nepotyzm, kumoterstwo, pijaństwo, czy Bóg wie, co jeszcze. Lecz z drugiej strony, takie werbalne deklarowanie, czy wręcz hołdowanie tym wartością, jak dowodzi życie, jakże często spotyka się z nie hołdowaniem, a więc z jednej strony „tak” dla wartości, a z drugiej „niekoniecznie”.

Dostrzegam, taką, bardzo osobliwą ekwilibrystkę polityków, którzy twierdzą, że wprawdzie oni są orędownikami takiej, czy innej wartości, ale ten jeden przypadek jest wyjątkowy. Kumoterstwo? W żadnym razie. To naganne zachowanie, ale jak nie pomóc synowi radnego, który akurat poszukuje pracy? To nie, że dziesięciu innych, też poszukuje pracy, ale w tym wypadku „bliższa koszula ciału”. Jak nie próbować zatuszować, czegoś tam, jeśli konsekwencje tego mogą się okazać tak duże, że uderzą w całą formację, partię, w grupę, radę? Jak być bezkompromisowym - mówi polityk - skoro trzeba zawrzeć jakiś dziwaczny kompromis i to „dla dobra publicznego”. Niekiedy, tego kompromisu nie zawiera się dla dobra publicznego, ale dlatego że się chce sprawować władzę. I tak, zawiera się kompromis z ludźmi, o których, jeszcze trzy dni wcześniej mówiło się, że są miłoścy, ciency i używało się wobec nich różnego rodzaju epitetów. No nie darmo, w sondażach, politycy zyskują dość marnie poparcie społeczne z powodu ambiwalentnego stosunku do wartości - przede wszystkim, do takiej zasady, która dla wielu ludzi jest niewzruszalna - słowo prawda. Czy dzisiaj możemy sobie wyobrazić polityka, który daje słowo honoru? Wyobrazić, jeśli ktoś ma dużą wyobraźnię, to sobie możemy, ale czy często takiego spotkamy. Zresztą samo słowo „polityka”, ma tyle najróżniejszych konotacji, z których najbardziej powszechna to taka, że jest to sztuka osiągnięcia założonych celów.

Nie ludźmy się, że oto, któregoś dnia, politycy staną się aniołami w czystej postaci i że będą dotrzymywać danego słowa, zobowiązań. Że deklarowane przywiązanie do różnego rodzaju wartości, będzie prawdziwe. Spotykam się, w żartobliwych rozmowach, z taką sytuacją, że gdy jakiś obywatel widzi twarz jakiegoś polityka, to stwierdza: „Od niego, nie kupiłbym nawet używanego auta.” Cóż za głęboka ironia i jaki bardzo osobliwy stosunek do polityków. Przyjdzie nam pracować na poprawę naszego wizerunku. Nie twierdzę, że należy szermować wartościami, ideami z miną naprawdę świętego, albo należy - głęboko w to wierzyć - prezentować minimum przyzwoitości, wyrażonej określonym systemem aksjologicznym.

Mówiliśmy już we fragmentach naszego wywiadu o tym, że politycy są dość osobliwą grupą społeczną, ale też, że funkcjonują dzięki temu, iż akurat w Polsce, jest przyzwolenie społeczne o wiele szersze niż w innych krajach, dla najbardziej dziwnych zachowań polityków. Na tym tle, jakże pięknym blaskiem lśnią ci nieliczni politycy, którzy są - można by powiedzieć - bezkompromisowi. Którzy słyną z tego, że państwo jest dla nich najważniejszą wartością, że społeczeństwo przede wszystkim. Którzy potrafią powiedzieć „nie”, którzy nie kierują się populizmem i demagogią i którzy, są w związku z tym... słabo szanowani powszechnie. To jest nieliczna garstka.

**W.U:** Jak zatem postrzega Pan i definiuje to, co określa się mianem misji publicznej polityków? Czy coś takiego w ogóle istnieje, a jeśli tak, to co to jest? Na czym ta misja polityków miałaby polegać?

**Z.Z:** Myślę, że gdybym zaczął tutaj dokonywać tego wielkiego rozwinięcia tego, o co Pan pyta, to bym sam siebie uznał za kabotyna. Można bowiem powiedzieć, że formacji, dowolnej partii, z pewnością przyświecają jakieś ważne cele, cele wyrażone w programach, ale czy w przypadku polityka, można by użyć takiego określenia? Wiemy co to jest misja, więc, czy tu raczej nie należałoby mówić o tym, że jest to osobliwy zawód, różniący się mocno od innych. Z pewnością jest pewna, niezbyt liczna grupa polityków, którzy uprawianą przez siebie działalność traktują jako misję służenia społeczeństwu i czynią to z wielką pasją. Są to jednocześnie ci, o których przed chwilą mówiliśmy, ci właśnie którzy są przywiązani do pewnych wartości, którzy hołdują tym wartościom, nie łamią ich. Natomiast w przypadku znakomitej większości, mógłbym użyć takiego określenia - tak jak w przypadku menadżerów mówi się niekiedy technokrata, tak tutaj można by powiedzieć, że to są technokraci, tacy menadżerowie polityczni. Nie można powiedzieć, że politycy, to są z gruntu źli ludzie - w żadnym wypadku. Ale też słowo misja, z racji tego, że tak rzadko występuje wśród tej grupy, byłoby nadużyciem. Politycy kierują się celami wynikającymi z chęci realizacji programu zawartego w partii. W przypadku polityków lokalnych częściej, widziałbym przejawy działania, które można określić mianem misji. Częściej, niż wśród przeciętnych polityków szczebla centralnego. Polityk lokalny jeśli zostaje burmistrzem i przez cztery lata, coś wspaniałego po sobie pozostawia, to na ogół, niezmiennie jest obdarzany społecznym zaufaniem. O takim człowieku mogę powiedzieć, że on spełnia misję, bo on służy swojej społeczności. Oczywiście, ktoś mógłby powiedzieć: „ale, przy tym zarabia”. Niewątpliwie z tego żyje, ale przecież iluż znamy pisarzy, uczonych, badaczy, którzy realizując misję życia, także z tego się utrzymywali. Nie widzę tutaj szczególnej sprzeczności.

**W.U:** Czy Pana zdaniem, jest uprawniony pogląd, w myśl którego zmiany świadomości Polaków w okresie PRL, doprowadziły do ukształtowania mentalności tzw. homo sovietikus?

**Z.Z:** Jest to problem podnoszony już wielokrotnie. Spotykaliśmy go w formie zarzutu czynionego przez różnych komentatorów życia społecznego i polityków, że ludzie, często wykluczeni, muszą jeszcze wiele się nauczyć, bo prezentują typ mentalności „homo sovietikus”. Ja twierdzę, że człowiek, który urodził się w rzeczywistości powojennej, wychowywał się w nim, wkraczał w dorosłe życie i pracował, musiał nabrać pewnych cech tego ustroju. Najróżniejszych, z resztą. Pierwsze to stosunek do ideologii socjalistycznej,

która była wyznacznikiem wielu, bardzo wielu zachowań. Musiał przyjąć ją i w rezultacie stał się ofiarą socjalistycznej organizacji społeczeństwa czy też komunistycznej organizacji społeczeństwa, ze wszystkimi tego implikacjami. Jeśli ktoś w skutek paternalizmu zakładu pracy, nabrał takiego przekonania, że „to mu się należy”, to po dziesiątkach lat funkcjonowania takiego systemu, zwłaszcza jeśli nie doszedł do czegoś w nowej rzeczywistości, to zmiana systemowa okazała się w konsekwencji dla niego przykra. Musiał ją zatem negatywnie ocenić. Skąd ci ludzie mieli wiedzieć, nie wyjeżdżając na zachód, że alternatywa jest o wiele lepsza niż ideologia socjalistyczna, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Niewątpliwie mieliśmy do czynienia z taką właśnie mentalnością.

Słowo „homo sovietikus”, trochę mnie razi, no ale nie ma innego, którym można by ten typ mentalności, czy postawy wobec rzeczywistości społecznej, ekonomicznej i politycznej w owych czasach, nazwać, czy zastąpić. Moglibyśmy podać dziesiątki przykładów potwierdzających trafność użycia tego sformułowania. Jednym z nich była zasada egalitaryzmu społecznego, akceptowana przez większość społeczeństwa. Zasada, która później, już w latach siedemdziesiątych, doprowadziła do pewnych kontestacji naukowych, gdy jeden z uczonych pisał o występowaniu cech dekompozycji położenia społecznego, które powodowały, że malarz okrętowy zarabiał tyle, ile wybitny profesor kardiochirurgii. Zasada egalitaryzmu była zakorzeniona w społecznej świadomości i była akceptowana przez społeczeństwo. Był to pewien minimalizm życiowy w imię równości i sprawiedliwości społecznej. Ludzie nie mieli rozbudzonych aspiracji materialnych. Były pozytywne elementy wynikające z tejże zasady sprawiedliwości społecznej takie jak chociażby pomoc tym, którzy są gorzej sytuowani, czy tym, którzy są gorzej przygotowani - mam na myśli system punktów preferencyjnych na studiach, negatywnie oceniany przez tych, którzy nie byli beneficjentami tegoż systemu, bardzo pozytywnie przez tych, którzy dzięki temu mogli odnieść jakiś sukces - którym dana została szansa. To są jedne z ważniejszych przejawów owego syndromu mentalności, który dzisiaj nazywamy „homo sovietikus”.

Ale są jeszcze inne, ważne przejawy tej mentalności, a mianowicie brak przyzwolenie np. dla działań, które zmieniałyby ekonomiczną i społeczną rzeczywistość. Brak przyzwolenia dla prywatyzacji - toż to było w czystej postaci zjawisko o którym mówimy. To było „nie”, dla obcego kapitału - za żadną cenę, bo w mentalności społecznej tkwiło przekonanie, że to jest dobro społeczne, a zatem nie możemy pozwolić na to, żeby ktoś „za darmo” - bo takich kategorii tutaj używaliśmy - stał się właścicielem, czy też beneficjentem, inaczej mówiąc, przemian. Stosunek do nowej rzeczywistości, co i rusz właśnie odkrywał pokłady świadomości wyrosłej w tamtym systemie, która to świadomość, była dysfunkcyjna i ludzie z trudem ją przebudowywali. Niektórzy do dzisiaj nie zmienili swojego stosunku, bo i też nowa rzeczywistość oznacza dla nich pogorszenie ich położenia społecznego. Trudno więc, oczekiwać od nich, żeby powiedzieli, iż ta, nowa rzeczywistość jest racjonalna, lepsza, jest bardziej sprawiedliwa, pozbawiona absurdów. Ona oznacza dla nich pauperyzację, biedę i upośledzenie społeczne, niekiedy. Problem jest zbyt obszerny, aby go skwitować jednym, dwoma, czy trzema zdaniami. A już trudno winić ludzi za to, że prezentowali taką mentalność. Można zadać pytanie: „A jaką mieli prezentować mentalność? Przecież to byli ludzie wychowani w określonym systemie. Proszę zobaczyć co dzisiaj jest jeszcze w byłym Związku Radzieckim - pozytywne opinie o Stalinie, jak niedawno czytałem, wyraża 56% Rosjan. O kacie, którego możemy przyrównać do Hitlera, albo jeszcze krytyczniej go ocenić! Wymordował znaczną część swojego narodu, a mimo to właśnie spotykamy takie postawy, że o innych tutaj nie wspomnę. Produkt systemu, czy efekt systemu, w postaci takiej, a nie innej mentalności, podlega pewnym przekształceniom, ale o ile w przypadku ludzi młodych, którzy nie prezentowali pełnego syndromu nastąpiło to bardzo szybko, głównie dlatego, że stali się beneficjentami nowego systemu, o tyle w przypadku ludzi starszych z tych grup społecznych, które w wyniku transformacji niczego



dobrego nie doświadczyły, nie możemy oczekiwać, że nastąpi szybka zmiana tego typu mentalności. O ile w ogóle nastąpi.

W.U. Jacek Kuroń w jednym z ostatnich wywiadów, który ukazał się w „Przekroju”, użył mniej więcej, takich słów” „Oszukaliśmy ludzi” - mając na myśli tzw. „pierwszą Solidarność”. Ujął to jeszcze bardziej dosadnie: „(...) spieprzyliśmy to” - ponieważ nie za tym społeczeństwo się opowiadało, nie tego oczekiwało. Czy w kontekście tego wszystkiego, co do tej pory powiedzieliśmy, mógłby Pan odpowiedzieć na następujące pytanie: Czy polskie elity polityczne na przełomie 1989/ 90 roku miały spójną, racjonalną wizję rozwoju Polski, przede wszystkim w kontekście jej przebudowy? Czy taka wizja w ogóle pojawiła się, a jeśli tak, to kto był jej źródłem?

Z.Z: Byłoby bardzo poważnym nadużyciem, gdybyśmy przyjęli, że taka wizja się pojawiła. Jedynym rządem, który miał względnie zwarty system działań, które można by, przy odrobinie dobrej woli, przyrównać do wizji, był rząd Tadeusza Mazowieckiego. Ale też zadanie miał jakby łatwiejsze: skończyć z państwem komunistycznym i zacząć budować państwo z gospodarką rynkową, z demokratycznymi instytucjami, zacząć myśleć o kodyfikacji nowego prawa, wprowadzać normalność - to były jego zadanie. Wtedy jeszcze nikt nie sądził, że przebudowa rzeczywistości będzie tak bolesna. Dzisiaj, coraz częściej mówimy o braku tej wizji. Brak jest odpowiedzi na kilka pytań: Jak Polska ma docelowo wyglądać? Ku czemu ma zmierzać? Jak ma wyglądać system prawny wszystkich instytucji państwa? Brak odpowiedzi na te fundamentalne pytania powoduje, że kolejne ekipy się z tym borykają. Za to, że nie mamy wizji strategicznej rozwoju Polski, płaci całe społeczeństwo, ale płacą też sami politycy - kolejne ekipy tracą poparcie polityczne, bo i też nie można ludziom powiedzieć: „Słuchajcie jest tak, ale jesteśmy przekonani, że za dwadzieścia lat będzie tak, albo chcielibyśmy, aby za dwadzieścia lat, tak, a nie inaczej wyglądał nasz kraj. Sądzę że wtedy łatwiej byłoby społeczeństwu zrozumieć swoje położenie ekonomiczne - trudności jakie przeżywamy.

Oczywiście, nie można tutaj jakiś kasandrycznych wizji ciągle przedstawiać - że jest źle, że beznadzieja. Polska osiągnęła w kilkunastoletnim rozwoju bardzo dużo. Przecież jesteśmy w NATO, a i do Unii Europejskiej wejdziemy, jak sądzę - negocjacje bardzo pozytywnie się zakończyły. Zbudowaliśmy gospodarkę rynkową. Jakkolwiek, tu i ówdzie, spotykamy jeszcze dinozaury z poprzedniego systemu, to jednak sporo efektów mamy na koncie. Mamy też niepowodzenia, które ludzi irytują, ale nie powinny one przekreślać naszego dorobku ostatnich lat.

Mówiąc o strategicznej wizji rozwoju Polski, powiem, że najbardziej chyba była ona zarysowana i najbardziej entuzjastycznie odnieśli się ludzie, do wizji nakreślonej przez „sierpień 1980 roku” kiedy wizja sprowadzała się tak naprawdę do 21 postulatów przedstawionych w Stoczni Gdańskiej. To się ludziom szalenie podobało. Była wielka aprobatą społeczną dla każdego z 21 postulatów. Pomijam fakt, że każdy z tych postulatów, był miną dla państwa, w takim kształcie, w jakim ono wówczas istniało. Ale ten romantyczny zryw zdawał się lansować takie hasło: „Chcemy poprawić to, co jest i żeby ludziom było dobrze, żeby mogły działać związki zawodowe wolne, żeby był egalitaryzm - prawdziwy egalitaryzm”. Rychło się okazało, że budowa takiego państwa i społeczeństwa jest po prostu niemożliwa i dlatego też, odnosząc się do słów, które wypowiedział Jacek Kuroń, mogę tylko powiedzieć, że w pełni się z nimi zgadzam. Trudno jednocześnie, winić tych, którzy tworzyli te postulaty w „sierpniu”, winić o to, że okłamali społeczeństwo. Takiego zarzutu nikt im chyba nie postawi. Naprawdę chcieli żeby tak się stało, ale zabrakło wiedzy, zabrakło wyobraźni, że coś takiego jest po prostu niemożliwe, aby w warunkach gospodarki socjalistycznej stworzyć, no, bez mała Eldorado. Z tego powodu, przychodzi politykom płacić taką min. cenę, że populiści wszelkiej maści, wykorzystują owe 21 postulatów, co prawda inaczej je dzisiaj formułując, twierdząc, że to są ich programy polityczne, że wyrażają wolę

społeczności np. wiejskiej, czy biednych ludzi w mieście. Próbuja wmówić społeczeństwu - i to jest osobliwy, ponury żart historii - że możliwe jest zrealizowanie tych postulatów, tym razem w warunkach gospodarki rynkowej. Że państwo jest od tego, ażeby w końcu dbało o obywatela. Szermuje się uczuciami biednych, zawiedzionych ludzi i mamy oto, piękny przykład demagogii i populizmu. Od „sierpnia” minęły 23 lata. Polska przeszła długą drogę doświadczeń najróżniejszych i droga ta, oczywiście, nie jest jednakowa dla wszystkich - nie jest jednakowo dobra dla wszystkich.

Obecnie, tak sadzę, będzie nam łatwiej wizję naszego kraju sformułować. Ona już jest. Musimy mądrze skonsolidować nasze członkostwo w Unii Europejskiej. Stać się krajem nowoczesnym i zamożnym - na miarę swojej wielkości. Możemy wspaniale wykorzystać szansę, jaką daje nam to członkostwo dla rozwoju całego kraju, ale też dla rozwoju wszystkich jego obywateli. Musimy pokazać, że Polska dorosła do tego by być pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej i by zaznaczyła swoją obecność mądrymi inicjatywami. Ale powtórzę, raz jeszcze - przede wszystkim wspaniałym rozwojem i wykorzystanymi funduszami strukturalnymi tak, aby ten nowy członek - czterdziestu milionowy - to był taki, ja bym chciał użyć słowa - diament w koronie Unii Europejskiej. Wszystko to, tylko od nas zależy.

**W.U:** Gdybym poprosił Pana o wskazanie pięciu najistotniejszych cech, jakimi powinien charakteryzować się polityk, to jakie to byłyby cechy? Proszę o krótkie uzasadnienie.

**Z.Z:** Jako pierwszą wymienilibym - pozostałe cztery... nie chciałbym dokonywać takiej enumeracji, traktuje je wszystkie jako ważne - ale jako pierwszą wskazałbym taką oto cechę, że polityk to musi być kompetentny profesjonalista. Bowiern skutki zarówno kompetencji, jak i niekompetencji polityka, są takie samo ważne. Z tym, że oczywiście, jedne są pozytywne, drugie są negatywne. Więc bezwzględnie, gdyby można było, to zafundowałbym badania psychiatryczne po drodze - dla wszystkich. Mówię zupełnie poważnie.

Druga cecha - człowiek ideowy, wierny swoim zasadom, choć bez szaleństwa. Człowiek wierny swoim zasadom, czyli zasadom ideowym, ale wiedzący, co to takiego jest pragmatyzm i owa racjonalność, o której mówiłem. Jeśli już niekiedy, nie mogący im sprostać, to potrafiący uczciwie o tym powiedzieć, a nie czyniący cnoty z tego, że się je łamie ewidentnie.

Następna cecha, to uczciwość. Polityk musi - nie można używać określenia; mieć minimum przyzwoitości - m u s i - być postrzegany jako człowiek uczciwy. Z tym akurat, nie jest u nas dobrze. Szokują niektóre fortuny polityków. Szokują też, przypadki zachłanności - mówiąc najbardziej lapidarnie. Jeśli się chce wychowywać, chce mówić i pouczać, no to musi się samemu prezentować tych kilka cech, które sprawiają, że jest się postrzeganym pozytywnie. Uczciwość do nich niewątpliwie należy.

Polityk powinien być słowny. Powinien dotrzymywać słowa i nader pochoinnie go nie dawać, jeśli wie, że mogą być kłopoty z jego dotrzymaniem. Jeśli polityk da słowo, to powinien tego słowa dotrzymać. Nie należy rozumieć danego słowa przez polityka tak oto, że on stwierdza: „Ja w ciągu trzech lat wybuduję 68 km dróg w waszej gminie”, bo to nie jest słowo, to jest program. Słowo... mówię o takim prozaicznym znaczenia tego terminu, prozaicznym - w kontaktach z ludźmi, w kontaktach z innymi. Nie może być tak, że ktoś daje słowo, a na drugi dzień okazuje się, że zupełnie inaczej postąpił. To też jest m.in. powód, dla którego społeczeństwo nie darzy naszej elity politycznej, jakimś szczególnym uznaniem. Chyba, mówiąc „słowo polityka”, myślę - „jego honor”.

Polityk powinien prezentować sporą dozę wrażliwości. Uważam, że to można pogodzić z pragmatyzmem z kompetencją, profesjonalizmem i z uporem - gdybym miał wymienić sześć cech polityka, to szóstą byłyby upór. Owa wrażliwość na potrzeby ludzkie, na

problemy społeczne, jest bardzo potrzebna politykowi. Przecież on ma do czynienia z ludźmi, on się wśród nich obraca, rozmawia z nimi, powinien zatem, taką cechą prezentować. Jeśli jest wrażliwy, to łatwiej mu przyjdzie zrozumieć wszystkich innych, łatwiej mu będzie zabiegać o to, by ich potrzeby zaspokajać. Bez owej wrażliwości, bez kontaktu z tymi, którzy mogą doświadczać, czy dostarczać owej wrażliwości, podejrzewam, że może mieć bardzo słabe pojęcie o naprawie wielkich problemach społecznych, które należy rozwiązywać. Tu nie chodzi o przypadki altruizmu jednostkowego, bo czasu może by na to nie starczyło, ale o wrażliwość jednostkową, która pozwoli zrozumieć zjawiska w szerszym wymiarze i nastawić tegoż polityka do tego, by te przykre zjawiska eliminował.

Szósta cecha - upór. Jeśli polityk nie ma uporu w dążeniu do założonych celów, zadań, które sobie wyznaczył, to trudno mówić, że je osiągnie.

#### Rys autobiograficzny Zbigniewa Zychowicza

Ojciec, syn legionisty z Zamojszczyzny, pochodził z wielodzietnej rodziny. Dziadek posiadał kilkunastohektarowe gospodarstwo, Był autorytetem na wsi. Ojciec po wojnie w trakcie, której doświadczył losu dzieci Zamojszczyzny, był bodajże półtora roku u niemieckiego Bauera na przymusowych robotach. Miał tam jakieś traumatyczne przeżycia. W wieku kilkunastu lat, po jakiś, trudnych przeżyciach, gdy nie ukończył edukacji w tak ulubionej przez siebie szkole -Technikum Leśnym, pojechał do Warszawy i pracował przy jej odbudowie. Następnie skończył tzw. małą maturę i zdobył uprawnienia technika melioracji. Po ukończeniu służby wojskowej - nie chciał zostać żołnierzem zawodowym, mimo, iż go namawiano - spotkał swoją matkę na Pomorzu i nakazem pracy, został wysłany do starego województwa koszalińskiego do Powiatu Miastko. Związał się z moja matką i ja byłem pierwszym owocem tego związku. Ojciec pracował w melioracji przez długie lata.

Matka z kolei, wywodziła się z Kaszubszczyzny. Pochodziła z rodziny chłopskiej. Miała czworo rodzeństwa. Jej starsze siostry były na robotach przymusowych w Niemczech. Dziadek, siłą wcielony do Wermachtu, zdezerterował z niego. Po wojnie, gdy umarł dziadek, matka ze swoją mamą, a moją babcią i ojcem zamieszkali razem. Matka nie ma wykształcenia - ukończyła szkołę podstawową. Pracowała jako robotnica w fabryce urządzeń elektrycznych w Miastku.

Godzi się tutaj wspomnieć o długim epizodzie wiejskim naszej rodziny. Otóż, praktycznie, aż do wyjazdu do Szczecina, gdzie zacząłem studiować w 1973 roku, przez dwadzieścia lat „włóczyłem” się z rodzicami po wsiach. Ojciec, po kilku letnim epizodzie pracy w melioracji, przez kilkanaście lat pracował jako magazynier w Pegeerze i myśmy doświadczyli losu życia w Pegeerze, mimo tego, że ojciec nie był pracownikiem fizycznym, zaliczał się do tzw. średniej klasy inteligenckiej, jak na warunki pegeerowskie. Trochę się odróżniałem od moich rówieśników, bo ojciec miał jednak aspiracje żebym się uczył. Zresztą nie musiał w tej sprawie przejawiać żadnych szczególnych starań, bo też i lubiłem książki i naukę.

**W.U:** Jaki to był typ rodziny? Kto był głową rodziny?

**Z.Z:** Prestiż i autorytet miał ojciec, ale byliśmy taką dosyć osobliwą rodziną, bo kobiety, też miały bardzo dużo do powiedzenia. Co więcej, on w ogóle nie miał nic do powiedzenia jeśli chodzi o gospodarstwo domowe i wszystkie inne historie związane z kuchnią, ubiorami dla dzieci, a także, w jakiejś mierze, z wychowaniem dzieci. On był taki, powiedziałabym, makro - zarobić i dbać, żeby w domu było w miarę normalnie. Natomiast kobiety - babcia i moja mama - trzymały rękę na takich kwestiach jak: ubiór, wychowanie, kuchnia, przy czym tutaj też role były podzielone, bo np. edukację religijną i to bardzo surową, sprawowała moja babcia, moja babcia, która wszystkich nas po kolei uczyła pacierza, przygotowywała do komunii. Rygorystycznie dbała o to byśmy przestrzegali przykazań i chodziła z nami do kościoła. Choć pamiętam, że w swojej edukacji kreśliła obraz Boga

mściwego - takiego zbója, który jak coś źle zrobimy, to nas ukarze. Dlatego też, zapamiętałem, z wielu jej licznych działań, ażebyśmy byli dobrymi ludźmi

Rodzice postępowali zgodnie, żeby nam powiedzieć, że opłaca się w życiu być porządnym człowiekiem i przykładali do tego bardzo dużą wagę. Dość stwierdzić, że nigdy nie mieliśmy żadnych problemów z prawem. Aniołami też nie byliśmy - mówię o mnie i o moich braciach. Różne się nam rzeczy zdarzały, jak to w tym wieku często bywa, ale edukacja, czy wpojenie zasady, przekonania, „że ty się dla mnie nie uczysz, ty się uczysz dla siebie”, było normą.

#### **W.U: Jakie były poglądy polityczne Pana rodziców?**

**Z.Z:** Ojciec wyszedł z rodziny, gdzie nie było żadnych sympatii lewicowych. Można tak powiedzieć, bo wuj był w AK, dziadek był Legionistą, ale żołnierzem Legionistą nie oficerem Dostał Virtuti Militari za Kampanię Kijowską, wprowadził IV klasy, ale jednak. Co prawda, ojciec po wojnie służył w Służbie Polsce Socjalistycznej, nie mniej jednak, jak dzisiaj to odtwarzam, to mogę tylko przypuszczać, że przez pierwszy chyba okres, był nawet indyferentny politycznie. Opowiadał mi kiedyś, że jakąś karę dostał w wojsku - coś, kiedyś krytycznego powiedział. Był to jakiś drobny epizod. Później musiał dojść do wniosku, żeby gdzieś w państwie socjalistycznym zrobić jakąś karierę, to trzeba się gdzieś „przytulić”. Z tego co pamiętam, ojciec początkowo należał do PSL - przez kilka lat, trzy lub cztery. Później zapisał się do PZPR. Z ojcem, w zasadzie, na tematy polityczne, nie rozmawiałem. Ojciec widział, że wychowuję się w harcerstwie, że raczej nie prezentuję jakiejś kontestacji, wręcz przeciwnie. Mimo, że Polska Gomułki była dość siermiężna - to w końcu moje dzieciństwo i wczesną młodość - to jednak jej nie kontestowałem. Imponowało mi, że szczytne ideały, które wpajano mi w szkole - równość, sprawiedliwość - znajdowały odzwierciedlenie w życiu. Chociaż siermiężnie wyglądało wcielanie w życie owych ideałów, to jednak nie widziałem biedy, nie widziałem żebraków. Widziałem, że jakoś to funkcjonuje, a jeśli jeszcze do tego dochodziła propaganda opisująca negatywne zjawiska w II Rzeczypospolitej, to wydawało mi się, że rzeczywistość PRL, chyba jednak, służy społeczeństwu.

Prezentowałem niebywałą naiwność polityczną. Mam za złe ojcu - nie chcę mówić, że miały to być miazmaty na duszy młodego dziecka - że nigdy mi nie powiedział o Katyniu, chociaż o nim wiedział. Nigdy. I jak ostatni naiwny, by nie rzec - idiota, dowiedziałem się o Katyniu dopiero w wieku 19 lat. Pierwsza próba przekazania mi tegoż przez kolegę w technikum, kiedy miałem lat 15, skończyła się tym, że powiedziałem mu, że jest kretynem, po prostu. O, tak to wyglądało. A przecież, fakt wstąpienia mojego ojca do partii, przez najstarszego jego brata, czyli mojego stryja, który służył w AK, został bardzo niemile przyjęty. Ich stosunki nawet, przez jakiś czas, były ochłodzone. Z kolei wiem, że inny brat mojego ojca - tradycje wojskowe były w tej rodzinie takie silne, każdy facet, coś tam z wojskiem miał do czynienia - rozpoczął wymarzone przez siebie studia na Akademii Oficerskiej, ale jak się kadra dowiedziała, że jego ciotka jest w Ameryce i wyjechała w 1927 roku, wyszła za jakiegoś „kapitalistę”, to go wyrzucili na zbity pysk. I tak skończył służbę jako chorąży, a tak chciał być oficerem! On ten fakt pamięta do dzisiaj.

Matka nie miała, można powiedzieć, sprecyzowanych poglądów politycznych, chociaż prezentowała taką zdroworoządkową, kobiecą ostrożność. Czasami widziałem, że ojciec kiedyś powiedział mamie, że nie idzie na wybory, że ma dość, bo jakieś podwyżki były itd. Matka ciągle mówiła: „Zygmunt idź, bo będzie z tego jakieś nieszczęście. Idźże na te wybory”. Ojciec, pamiętam, poszedł chyba przed zamknięciem lokalu i przyszedł i z taką bardzo kąśliwą ironią, bardzo dowcipnie przekazał nam informację, jak to się wybory fałszuje. Mówił: „Wyobraź sobie, że przychodzę i dowiaduję się, że ja już byłem na wyborach. Popatrz, że ja nie pamiętałem o tym, że ja już byłem. Komisja wyborcza mi powiedziała, że byłem, no to jestem już w domu”.



Matka nie prezentowała skryzalizowanych poglądów, tak jak chyba większość kobiet na wsi. Chciała żeby był spokój. Niepokój się pojawił w czasie wydarzeń marcowych w 1968 roku- nic z tego nie rozumiałem. Jedyne źródło wiedzy jakim dysponowałem, to była telewizja, radio i gazety. Miałem 15 lat, to cóż mogłem wiedzieć na ten temat. Żaden nauczyciel nie prowadził z nami jakiś rozmów, nic absolutnie nikt. Ojciec też nie, choć przy tej okazji dużo mi powiedział, jak, jako dziecko, doświadczał wywózek z Warszawy do Trebłinki. Linia kolejowa biegła do Trebłinki koło ich domu. Widział te zbrodnie - strzelanie do Żydów uciekających z pociągu. Później, w czasie wydarzeń na wybrzeżu, jak już byłem w technikum, to ojciec wyraził niezadowolenie z powodu podwyżek, które nastąpiły. Pamiętam, że stały się one bezpośrednim katalizatorem wystąpień robotników. Ojciec przyszedł wtedy do domu i wyraził duże niezadowolenie. Matka, pamiętam, wtedy powiedziała: „Nie wiem jak to będzie teraz, jak wymienią pieniążki”. Gdy byłem w Sławnie to widziałem pojazdy wojskowe zmierzające na wybrzeże. Pamiętam również kolegę, który mieszkał w Szczecinie, a był w internacie w Sławnie i któregoś razu przywiózł worek takich różnych rzeczy, chyba ze sklepu. Myśmy wyrazili zdumienie: „No przecież on musiał to ukraść”. On mówił, że to wszystko leży na ulicach, bo są rozwalone sklepy. Niewiele jeszcze z tego rozumieliśmy. Niestety żyłem w takim środowisku, które nie miało indyferentnego stosunku do polityki -kontestacja nie występowała bodajże w żadnej, znaczącej formie. Mój świat tworzyło małe miasteczko z jednej strony, a z drugiej strony wieś. Pamiętam, że jak te czołgi zaczęły jeździć, w tą i z powrotem, i zrozumiałem, że było to okupione ofiarami, to pozwoliłem sobie zdjąć portret Gomułki ze ściany. Nie był to czyn szczególnie heroiczny, bo było to, w zasadzie, kilka dni przed jego oficjalnym zdjęciem (śmiech)

Wspominam ten czas, jako taki dziwny, właśnie. Takie pomieszanie światów - zajęcia z chemii, Gomułka wiszący na ścianie, czołgi, dziwne rozmowy rodziców... Później, kiedy już nastąpił „sierpień”, to ojciec się rozpolitykował, ale bardziej jako aktywny obserwator, niż uczestnik. Wtedy wiódł ze mną dyskusje najróżniejsze, ale ja już miałem swój pogląd i jego opinie mogłem traktować, jako jedne z wielu, które do mnie docierają. Rodzice. w roku 1978, wrócili do Miastka w którym się urodziłem i tam mieszkają do chwili obecnej. Mogę powiedzieć, że dzisiaj ich poglądy, jako ludzi przeciętnych, oraz poglądy np. ich sąsiadów, częstokroć są mi bardzo pomocne w formułowaniu jakiegoś osądu. Jeśli chcę poznać opinie vox populi, to rozmawiam z ojcem. Pamiętam jeden z takich najbardziej zdroworozsądkowych poglądów, jaki mi przekazał. Działo się to wtedy, gdy ważyły się losy reformy administracyjnej i miano budować nowe województwa. Zadałem mojemu ojcu i mamie pytanie: „Gdzie powinno przynależeć Miastko - do województwa Pomorskiego, czy Zachodniopomorskiego? Byłem przekonany, że oni będą chcieli być w Zachodniopomorskim, bo i ja jestem w Zachodniopomorskim. Jakże trzeźwą odpowiedź usłyszałem: „Synu, podobnie jak większość ludzi w Miastku, chcemy być tam, gdzie będzie nam lepiej. Jest to nam najzupełniej obojętne, czy to będzie Pomorskie, czy Zachodniopomorskie. Chcielibyśmy należeć do takiego województwa, w którym nam będzie lepiej niż teraz.” Przy tej okazji pomyślałem, że jeśli politycy, którzy decydują o restytucji województwa, takiego, czy innego, mówią ustami pełnymi frazesów i mówią, że społeczeństwo tego się domaga, to ja twierdząc, że temu społeczeństwu jest najzupełniej o b o j ę t n e gdzie będą „przypisani”. W małej gminie, ludzie nie mają takich konotacji, że z tym województwem to będzie najwspanialej. Nie, tam się świat, można powiedzieć, kończy i to jest ważne, co na tym „końcu świata” określa jakość życia zwykłego człowieka. Kiedy byłem na stażu naukowym w Niemczech, to robiłem badania z jednym z moich niemieckich kolegów. Zadaliśmy pytanie: „Z którą z poniższych kategorii najbardziej się utożsamiasz” - „miejscowość, w której mieszkam”, „gmina, w której mieszkam”, „powiat, w którym mieszkam”, „land w którym mieszkam”, „Niemcy”, „Europa”. Dziewięćdziesiąt parę procent odpowiedzi brzmiało: „miejscowość w której mieszkam”. Ale, to taka lekka dygresja, tylko.

W.U.: Jaka była Pana ocena i stosunek do „Solidarności”, w momencie jej powstania, w roku 1980?

Z.Z.: Na początku było dla mnie szokiem, kiedy okazywała się, że poprzez anachronizmy ekonomiczne najróżniejsze, że to się sypie. Sklepy komercyjne, wędliny po wyższych cenach, reglamentowane towary - wiedziałem, że to nie idzie w dobrym kierunku. Kiedy powstała „Solidarność” odnosiłem się z życzliwością do tego nowego ruchu, choć kiedy zaczęły w nim dominować elementy, ja bym powiedział, polemiki ze Związkiem Radzieckim, to odnosiłem się do tego z pewnym niepokojem. Bo też, zacząłem się zastanawiać, co też z tego wyniknie. Jeśli my chcemy uporządkować swoje sprawy tutaj, poprawić - byt ekonomiczny i społeczny, a jednocześnie próbujemy „wielkiego niedźwiedzia” ciągnąć za wasy czy poszturchiwać go, to.... Powiem tak, zaniepokoiło mnie to, kiedy postulaty ekonomiczne i działania zmierzające do naprawy smutnej Rzeczypospolitej, zmierzają w zupełnie innym kierunku. Że górę nad nimi biorą polityczne, najróżniejsze wystąpienia, bardzo radykalne, jak chociażby: „Będziemy wieszać komunistów”. Elementy niepokojów, najróżniejszych się pojawiały, ale takie, gdzie iskrę powodował jakiś mało znaczący epizod i nagle przeradzało się to, w jakiś bardzo poważny konflikt. Konflikt w szkole pożarniczej w Warszawie, konflikt w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, próba rozparcelowania pegeer w zielonogórskim i wiele innych, drobnych spraw, które nagle stawały się ogólnopolskim konfliktem. Dostrzegłem elementy radykalizmu, ale wykraczającego, idącego zupełnie innym torem, niż ten, nakreślony w Porozumieniach Sierpniowych. Zauważyłem, że to się wymyka z pod kontroli, a przywódcy tychże ruchów kontestatorskich z wybrzeża - zwłaszcza Wałęsa i skupienie wokół niego ludzie - zaczynają nabywać jakiś, osobliwych ambicji, wykraczających poza status związkowców. Wtedy ogarnął mnie niepokój i przekonanie, że to już idzie naprawdę w złym kierunku. Do tego dochodził przecież, katastrofalny stan zaopatrzenia. W roku 1980, dziesiątego lipca, urodził mi się pierwszy syn i doświadczyłem wszystkiego, co niósł za sobą kryzys gospodarczy. Rok później, dwa tygodnie przed stanem wojennym, urodziła mi się córka. Byłem młodym asystentem, który prowadził badania nad doktoratem, miał dwójkę małych dzieci, jeden pokój w hotelu asystenckim, potworne kłopoty z zaopatrzeniem, upokorzenie w postaci wbijania mi do dowodu jakiejś kolejnej pieczątki, bo oto dostałem z darów dwa kilogramy sera, pół kilo masła, czy coś tam jeszcze. Umysłowiło mi to schizofrenię sytuacji w jakiej się znajdujemy. Wojna słowna na falach eteru, w telewizji, w prasie. Wojna, między władzą, która traciła kontrolę nad wszystkim, a jednocześnie nie potrafiła sprostać elementarnemu zapotrzebowaniu ludzi na chleb, odrobinę wędliny, czy czegośkolwiek, a opozycją. Widziałem autentyczne zmęczenie na twarzach ludzi i tych, którzy psioczyli na „Solidarność” - bo takich też można było spotkać - i sporej rzeszy tych, którzy psioczyli na tak zwaną „komunę”. Wtedy zacząłem obserwować dramatyczne podziały przebiegające nawet w rodzinach. Z jednej strony ci, którzy próbowali racjonalizować zachowania władz, albo uzasadniać istnienie państwa socjalistycznego, z drugiej ci, którzy bronili racji „Solidarności” mówiąc, że wszystko jest do zaorania i że trzeba zbudować nową Polskę. Sporo na ten temat napisano.

Zostaliśmy w 1981 roku, w lipcu, wraz z innym kolegą asystentem, szefami partii w Akademii Rolniczej. To się nigdy po wojnie nie zdarzyło, żeby młodzi asystenci objęli takie stanowiska - był to pierwszy, demokratyczny wybór władz partyjnych i zostaliśmy tylko dlatego, że profesorowie pochowali głowy w piasek i uciekli, po prostu. Uciekli! Potem, po wprowadzeniu stanu wojennego, wyrzucono nas po prostu z tych kierowniczych funkcji w partii i profesorowie wtedy, „odważnie” wrócili już i przejęli znowu ster władzy w swoje ręce. (śmiech)

Nie byłem utożsamiany jako aparatczyk, czy człowiek reżimu. Rozumiałem, ich niepokoje, rozumiałem strajki studentów i pracowników naukowych. Ująłem się za internowanymi działaczami NZS-u. Nie spotkaliśmy się ze strony i studentów i kierownictwa

„Solidarności” z formą jakiegoś bojkotu.. Przypomina mi się dość zabawna historia, jeszcze sprzed stanu wojennego. Paliłem papierosy, które były wtedy na kartki, albo ich w ogóle nie było. Szeft „Solidarności” z kolei, musiał mieć jakieś beneficja. No, to w końcu szef „Solidarności”. Dostawał jakieś transporty z fabryki papierosów - takie długie, jakieś, odrzuty i trzeba to było ciąć na kawałki. On to ciął i nam dawał - ja z komitetu miałem kawałek, więc szedłem do niego i brałem te papierosy. Tak oto tworzył się dialog (śmiech). W końcu...ja też byłem członkiem „Solidarności”.

Tak, należałem przez pewien czas do „Solidarności” stanu wojennego, kiedy to władza zdelegalizowała wszystkie związki. Członków partii poproszono żeby jednak przestali się wygłupiać - jak to powiedziano. Byłem, byłem w „Solidarności”. Pamiętam wielu jej działaczy z uczelni zwłaszcza. Jedną rzecz muszę powiedzieć, tak jak władza komunistyczna po wojnie robiła duży błąd, by z powodów ideologicznych, stawiać na czele różnych struktur, zasłużonych bojowników, ale częstokroć bardzo źle wykształconych, wręcz analfabetów, tak samo, ten grzech pierwotny, popełniła „Solidarność”. U mnie na uczelni, szefem solidarności został kierowca. Wiemy doskonale, że w teatrach, garderobiani zostawali szefami „Solidarności”. To nie przysparzało autorytetu, ani chwały. Wielu profesorów nie mogło sobie wyobrazić, że bardzo istotny komponent władzy, jakim wtedy była „Solidarność”, kierowany jest w większości zakładów, przez ludzi nie cieszących się autorytetem ani prestiżem. Przez takich, którzy chcieli coś tam robić. Przypominam sobie pewien epizod. Był jakiś strajk na uczelni i „Solidarność”, albo NZS - nie pamiętam wtedy, kto - nie chcieli wpuszczać profesorów do budynku. Przyszedłem i powiedziałem: „Słuchajcie, to jest niewybaczalne. Przecież ten profesor pracuje tutaj od 1954 roku i od kiedy powstała uczelnia, to jest jego miejsce pracy. On idzie do swojego gabinetu, a wy go nie wpuszczacie do pracy? To jest nieludzkie- takiego argumentu użyłem - postawcie się w jego roli”. No to wpuszczili.

Dziwna projekcja mechanizmów kadrowych PRL do struktur „Solidarności”, była fatalnym błędem. Inaczej niż w PRL, gdzie szefem powiatu zostawał partyzant, który służył w Gwardii Ludowej, „Solidarność” mogła postawić na ludzi wykształconych.. Niestety, częstokroć szefami „Solidarności” zostawali ci, którzy nie mieli żadnych kwalifikacji. A już szczyt zupełny, osiągnięto, jak pamiętam, w Chociwlu. Już w 1990 roku, kiedy wybrano gminne władze według nowej, demokratycznej ordynacji, po raz pierwszy po wojnie, to jednym z grzechów głównych, zaczęła być manifestacja niechęci wobec *ancien régime* Przejawiała się ona w likwidowaniu wszystkich jego stygmatów, nawet - nazw ulicy. O ile w wielu miastach ściągano z cokołów tych, którzy rzeczywiście utożsamiani byli z poprzednim systemem, o tyle w Chociwlu do władzy doszła ekipa „Solidarności” z miejscowego PGR-u, która zupełnie nie miała pojęcia, jakimi kryteriami kierują się ci w miastach, zmieniając nazwy ulic. Ale w Chociwlu postanowiono, że skoro jest zmiana nazw ulic, to trzeba to zmieniać - „to my, też u siebie zmieńmy” i zmieniono ulicę Kolejową na... Dworcową. Jeden z radnych doszedł do wniosku, że kolejowa to by prowadziła na „kolej jakąś”, a ta uliczka wiedzie dokładnie do dworca kolejowego.

Stosunek do tamtych lat, do „sierpnia”, do „Solidarności”, nie może być wyrażony w sposób absolutnie jednoznaczny. To zależy częstokroć od tego, gdzie człowiek się znajdował w danym momencie, z jakimi ludźmi z obu stron barykady miał do czynienia, bo nie jest tajemnicą, że jeśli miał ze słabymi to jego ocena będzie negatywna. Zależy też od tego, jak doświadczył tych lat, czy był zaangażowany po jednej, czy po drugiej stronie, jak mocno był zaangażowany. Ja mogłem jedynie, podać osobiste impresje i to uczyniłem, do tego stopnia, o który mnie Pan prosił.

W.U: Gdzie Pana zastał stan wojenny i jaki był Pana stosunek do stanu wojennego?

Z.Z: Siedemnastego listopada urodziła mi się córka, a stan wojenny został wprowadzony 13 grudnia, więc córka miała prawie miesiąc, a syn ponad rok. Mieszkaliśmy

w potwornych warunkach, w jednym pokoiku. Gdy rano obudziłem się, telefony nie działały, telewizja na okrągło nadawała wystąpienie Jaruzelskiego. Mieliśmy przyjaciół w akademiku, więc zrobiliśmy naradę bojową, co robić, jak się zachowywać, w jakim to kierunku zmierza. Ja jakkolwiek zdawałem sobie sprawę z grozy sytuacji, to jednak przyjąłem to z ulgą. Uczciwie muszę powiedzieć, że nie byłem przeciwnikiem stanu wojennego, choć nigdy nie lansowałem takiego rozwiązania, że państwo musi wprowadzić stan wojenny. Podobnie jak wielu obywateli, nie byłem wtedy żadnym politykiem. To, co na uczelni robiliśmy, to po prostu forma aktywności - człowiek należał do partii i nadarzyła się okazja, aby coś zrobić. No to nam dali tę władzę żebyśmy.... zresztą jaką władzę? Bez żadnego realnego wpływu. Przecież partia się wtedy nie liczyła. Kompletnie. Gdyby się liczyła, to profesorowie wtedy by się nie pochowali po dziurach. (śmiech). Nie byłem politykiem - mogę to powiedzieć z całą stanowczością. Wprowadzenie stanu wojennego przyjąłem z potworną ulgą, z wielką ulgą, tak jak wielu ludzi, naprawdę, wielu ludzi.

Mój stosunek do tego, co później się działo, ewaluował niewątpliwie - kiedy zacząłem czytać, ilu się ludzi internuje - w końcu byłem sekretarzem komitetu uczelnianego. Wtedy nikt z kadry do nas nie przychodził, za to po stanie wojennym, oczywiście profesorowie przyszli. Najpierw „poleciał” pierwszy sekretarz, a ja, chyba pod koniec lutego. Dowiadywałem się w końcu, jakie dramatyczne wydarzenia mają miejsce. Kiedy się dowiedziałem o śmierci górników w kopalni „Wujek”, to byłem potwornie przybity. Kiedy się dowiedziałem, że tych internowanych, to jest „od groma”, że użyję takiego określenia, to zacząłem zadawać pytanie: po co? Sam chodziłem gdzieś, żeby dowiadywać się o los tych, którzy z uczelni byli internowani i przy okazji kwestionowałem celowość internowania tylu osób. Dzisiaj po latach wiemy, że dla niejednego opozycjonisty, to w życiorysie najpiękniejszy kawałek. Prawda? Znamy ludzi, może nie osobiście, ale wiemy, że niejednen chciał być internowanym. Władza zrobiła coś fatalnego internując, tak wielką liczbę, niekiedy całkiem szeregowych, podrzędnych działaczy „Solidarności i nic mądrego z tego nie wyszło. Oczywiście, że ludzie zauważyli, że poprawiło się w sklepach. Powiedzmy sobie szczerze, że te produkty musiały być przygotowane wcześniej i to miał być element przyjemnego skojarzenia. Prawda? Jest spokój i są pełne sklepy. Wiemy jak wyglądał stan wojenny. Doświadczaliśmy wszyscy uciążliwości tegoż stanu, kiedy nie można było jeździć, trzeba się było legitymować. Myśmy mieli aprowizację ze wsi cały czas, bo teściowie mieszkali na wsi to jakoś tam było. Parę tygodni później dostałem już większe mieszkanie, bynajmniej nie dlatego, że stan wojenny był, tylko dlatego, że rektor mojej uczelni po prostu indagowany przeze mnie kilka miesięcy, wreszcie znalazł to pomieszczenie większe dla mnie i mogłem się wprowadzić do takiego segmentu trzydziesto parometrowego w akademiku. Doświadczalem mnóstwo smutku w stanie wojennym - ta muzyka, telewizja szara, ludzie zmęczeni i oczekiwanie, co będzie. Czy to już wiedzie ku lepszemu? Czy jeszcze coś po drodze się wydarzy? Nie było jakiś takich powiedziałbym spokojnych reakcji, że oto jeden etap mamy za sobą i naprawdę teraz już będzie dobrze. Ludzie zadawali sobie jednak pytania: co to z tego wyniknie? Potem, jak zaczęło się okazywać, że władza nie wykorzystała tych kilku lat bez dokuczliwej opozycji, to stan wojenny okazał się tylko elementem stabilizującym, ale niczego dobrego z niego nie wyszło.

Przy tej okazji chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz, o czym badacze doskonale wiedzą, a mianowicie, że dzisiaj większość społeczeństwa aprobeje wprowadzenie stanu wojennego. Ja sobie zdaję sprawę z odpowiedzialności i z tego, że poprawność polityczna nakazuje nie akceptować stanu wojennego, ale mówię jakie były moje odczucia. Ja po prostu go przyjąłem z ulgą - że nie będzie wreszcie dramatycznych wydarzeń, że Polska nie będzie stawać na krawędzi jakiegoś konfliktu potwornego, i że wreszcie przestanie być realnym zagrożeniem, o którym się tu i ówdzie mówiło - że przyjdą „nasi przyjaciele ze wschodu” i nam „pomogą”. To też był jakiś element, który miał wpływ na mój sposób postrzegania stanu



wojennego. Po czasie, przeciwnicy stanu wojennego minimalizowali zagrożenie płynące ze strony Związku Radzieckiego. Jego zwolennicy, mitologizowali owo zagrożenie. Ono istniało zawsze, ale oczywiście można minimalizować i mitologizować zależy, gdzie kto z której strony był w tamtym czasie. Po czasie nastąpiła polaryzacja społeczeństwa, dość wyraźna. Ci, którzy byli przeciwnikami stanu wojennego mimo, iż jak się okazuje, są w mniejszości, publicznie, werbalnie i różnymi innymi gestami, dawali do zrozumienia, że są lepszymi ludźmi. Tylko jakiś odruch nie pozwalał im sformułować takiego sądu, że ci, którzy są zwolennikami stanu wojennego, to są kanalie skończone mimo, iż pewnie tak sądzili. To nie pozwalało współżyć obu stroną konfliktu. Nawet w stołowce, w zakładzie pracy, to ci, którzy niczego wielkiego nie zrobili dla tego kraju, ale wystarczy, że byli członkami „Solidarności”, to na „partyjnych” patrzyli „z pode łba”. Myśmy się wtedy nie starali wzajemnie przekonywać, bo w zasadzie nie mieliśmy bardzo przekonujących i logicznych, miazdzących argumentów, że to co zrobiono, to jest wyjście najlepsze z możliwych. Choć ja nie tailem, że uważam takie życie jakie mieliśmy do stanu wojennego - zwłaszcza mam na myśli październik, listopad i grudzień, kiedy następowała totalna eskalacja - to był istny horror.

Za zaszczyt poczytuje sobie to, że musiałem jakoś przyzwoicie się zachowywać, że nie spotkałem się po stanie wojennym z przejawem jakiegokolwiek bojkotu towarzyskiego. Nikt z ludzi „Solidarności” nie dał mi odczuć, że zachowałem się niegodnie. Cieszę się, że u mnie na uczelni, nie było podejmowanych prób ludzi z „Solidarności”, żeby się ogrywać. Ciągoty tego rodzaju były w każdym zakładzie, bo powiedzmy sobie szczerze, że w każdej grupie politycznej są i tacy, którzy takie chwile traktują, jako nadarzającą się okazję, żeby to potraktować wręcz jako interes. Wiem, że jakiś dziekan został zdjęty. Nie powiem, żeby mnie się to podobało, ale to jeden przypadek, tak to wyglądało. Akurat w mojej uczelni wyglądało to może lepiej niż w innych zakładach, choć wiem, że ofiar było tu i ówdzie w różnych zakładach sporo. Myśmy czynili wszystko, żeby minimalizować te podziały, żeby ich broń boże nie pogłębiać i żeby wyjść na prostą, żeby podjąć pracę, żeby pracować. Pamiętam, że syn pierwszego sekretarza, który po mnie nastąpił w uczelni - to był właśnie taki „wojenny sekretarz” - kontestował rzeczywistość polityczną. Zapisał się NZZ-u i różne działania podejmował, także w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wielu ówczesnych kontestatorów, to dzisiaj moi dobrzy znajomi z NZZ-u, z którymi się spotykam, współpracuję np. na niwie rozwoju euroregionu. Tak oto, można powiedzieć, że historia koło zatacza.

**U.W:** Powiedział Pan, że nie był Pan wtedy politykiem. Kiedy zatem stał się Pan politykiem?

**Z.Z:** To osobliwa bardzo historia. Wróciłem jako szczęśliwy, młody naukowiec ze stażu w Republice Federalnej Niemiec, pod koniec marca 1990 roku. Byłem pół roku w Heidelbergu i odniosłem tam pewien sukces naukowy - wykłady, publikacje, udział w badaniach, że nie wspomnę o sukcesie materialnym, bo taki wyjazd, wtedy, dla Polaka, to była naprawdę wielka atrakcja. Wróciłem bardzo radosny i nie musiałem długo czekać i ówczesny poseł, albo też i ówczesny szef partii, istniejącej zaledwie trzy miesiące, Socjaldemokracji III Rzeczypospolitej - Jacek Piechota - wyraził chęć spotkania. Zadzwoił do mnie jego asystent. Ja jeszcze wtedy Jacka nie znałem. Wiedziałem, że ktoś taki działa, głośno o nim było, ale osobiście z nim nie rozmawiałem. Nie mieliśmy bliższych kontaktów. Asystent zapytał, czy jestem zajęty i, czy może spotkałbym się z posłem? Proszę sobie wyobrazić, jakie to były czasy. Jaki ostracyzm potworny był wobec lewicy, skoro ten dialog wyglądał tak:

- Czy ja bym mógł spotkać się z posłem?
- Chętnie, tylko że ja teraz mam konsultacje i nie mogę rzucić studentów i jechać na jakieś spotkanie.
- Ależ pan poseł przyjedzie do pana.

- Zapraszam.

Asystent odpowiedział:

- Panie doktorze, pan poseł, jeśli będzie trzeba, to postoi i poczeka na pana.

Byłem lekko skonfundowany tym, ale tak to wtedy wyglądało. Lewica była w takim potwornym ostracyzmie. Poseł przyjechał. Oczywiście nie mogłem pozwolić, żeby czekał razem ze studentami więc wyszedłem z gabinetu i zaprosiłem go do siebie. Jacek Piechota okazał się być człowiekiem otwartym i bezpośrednim. Cała partia wtedy liczyła w województwie sto osób - dzisiaj liczy ponad pięć tysięcy. W związku ze zbliżającym się zjazdem wojewódzkim, poseł zaproponował mi wstąpienie do partii i wyraził chęć, abym został jego zastępcą, oczywiście, jeżeli moja kandydatura uzyska poparcie członków partii. Poprosiłem o dzień do namysłu. Z drugiej strony, obecnie redaktor naczelny jednego z najbardziej poczytnych dzienników, a wówczas szef grupy koordynacyjnej Unii Pracy, zaproponował mi przystąpienie do Unii Pracy. Proszę sobie wyobrazić, że ja mogłem wtedy podjąć, taka oto decyzję życiową - wyzwoliłem się od polityki, przyjechałem i mogę sobie w zaciszu gabinetu, realizować swoje badania i mogę sobie to zupełnie odpuścić. Jest nadarzająca się ku temu okazja i nie zapisuję się do żadnej, nowej ekipy. Jednak, po pierwsze, zawsze lubilem być aktywnym w życiu społecznym. To był jeden argument - że jeśli nie tu, to coś innego będę robił, a na pewno gdzieś swoją aktywność muszę skanalizować. Co innego jednak wpłynęło na moją pozytywną odpowiedź. Pamiętam bardzo hałaśliwych braci Kaczyńskich, którzy obiecywali lewicy, że się z nią rozprawią. Ja to wręcz, fizycznie odczuwałem - terror psychiczny wobec mnie i ludzi lewicy. Myślny byli stawiani po kątach. Przesadzę trochę, ale prawie, to Norymberga miała być, jakaś. Pomyślałem sobie, że ja wprawdzie nie mam co mówić, że poprzedni system to była sielanko, bo tak nie było, ale też z otwartą przyłbicą mogę sobie spojrzeć w lustro, codziennie się golić - nikomu żadnego świństwa w życiu nie zrobiłem. Postanowiłem, że nie pozwolę się tak traktować, i że będę w nowej formacji budował nową lewicę. Od tego czasu mogę powiedzieć, że zacząłem się angażować w politykę, choć nie tak aktywnie, jak Jacek Piechota, bo też w tym czasie prowadziłem działalność gospodarczą.

Oprócz pracy na uczelni byliśmy z moją ówczesną małżonką, właścicielami niezłe prosperującej firmy. Socjaldemokracja była w potwornej defensywie i dużego zaangażowania nikt nie wymagał. Była nas setka raptem. Chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz, że ci, którzy należeli w tamtym czasie do lewicy, to trudno ich oskarżyć o koniunkturalizm. Trudno ich oskarżyć o instrumentalną przynależność. Lewica zbierała ciągi, bity za przeszłość. Traktowano nas jak, w jakiejś mierze słusznie, sukcesorów PZPR. Jednak 99,9%, to byli członkowie PZPR. Nie szczędzono nam sarkazmu typu: „o jedna nocka minęła i już PZPR nie ma i jest socjaldemokracja europejska”. Od czegoś trzeba było zacząć. Nie było rad nadzorczych, nie było synekur, nie było stanowisk radnych, nie było nic. Można było, jak to się kiedyś na dworach mówiło, wziąć po gębie, co najwyżej, za przynależność do tej nowej partii. Nie można było mieć żadnych przywilejów, żadnych korzyści z tego tytułu. Więc jeśli ja dzisiaj o tym mówię i tak to podkreślam, to tylko dlatego, żeby powiedzieć, że powodowały mną pobudki, można by powiedzieć ideowe, ale nie instrumentalne i koniunkturalne. Nie wiedziałem, co z tego będzie, tak nawiasem mówiąc. Kiedy pojawiły się „moskiewskie pieniądze”, to nie wyczyściliśmy się z tego wszyscy. Pamiętam jak nas historia potraktowała - PSL otrzymał cały majątek ZSL, a my nie. Ale to była jakaś forma katharsis. Nie żałuję, że tak się stało.

Później dopiero, kiedy tak naprawdę zaangażowałem się w działalność polityczną, w 1993 roku, wtedy okazało się, jakie najróżniejsze cudactwa wyczyniały rzesze polityków prawicy. W tymże roku, zostałem wybrany na szefa kampanii wyborczej w województwie. Zaangażowaliśmy się bardzo mocno w tę kampanię, ale o tym jaki był jeszcze stosunek do

lewicy, nawet ludzi lewicy, to świadczy oto taki przykład. W 1994 roku, w marcu, kończyliśmy zamykać listy, które liczyły sześćdziesięciu kandydatów. Musieliśmy całą sześćdziesiątkę wystawić jako formacja, która w końcu, w Warszawie, sprawowała władzę już od 1993 roku wraz z PSL. Proszę mi wierzyć, że do ostatniego dnia walczyłem jeszcze o dwójkę kandydatów. Braliśmy ludzi, nieomal z łapanki. Jeden z późniejszych, prominentnych działaczy lewicy, indagowany przeze mnie za namową kogoś - „tu jest taki młody działacz” - kiedy go spotkałem powiedział: „No wie Pan, ja się zastanowię, czy z waszej listy wystartować, bo mam kilka innych propozycji”. Po czym, kiedy został radnym, zapisał się do SLD. To bardzo ciekawy epizod.

Osiągnęliśmy duży sukces - na 60 miejsc, zdobyliśmy 21. Można powiedzieć: olbrzymi sukces. Zostałem szefem klubu radnych. Później, gmina Szczecin, wybrała mnie na swojego delegata do Sejmiku. Ustrój samorządu regionalnego był zupełnie inny. Było takie „proteżowe” ciało w postaci quasi parlamentu wojewódzkiego- Sejmik. Każda gmina delegowała, stosownie do liczby mieszkańców, swoich delegatów i wszedłem w gronie siódemki szczecińskiej by, ku mojemu zdumieniu, zostać wybranym Przewodniczącym tego Sejmiku. Tu już, widziałem próbę konsolidacji lewicy. Mogę powiedzieć, że od 1993 roku, kiedy mocno zaangażowałem się w kampanię w Radzie Miasta Szczecina, to mogę stwierdzić, że zaangażowałem się „na serio” w politykę. To trwa do dzisiaj. Od tamtej chwili działałem aktywnie w sferze politycznej. Coś jednak tracąc. Musiałem poprzestać działalności naukowej, którą tak bardzo lubiłem. Dzisiaj, jedynie incydentalnie się nią zajmuję.

Zawsze uważałem się za idealistę i trochę mi z tego zostało do dzisiaj. Sporo nawet, bym powiedział. Staram się z większym lub mniejszym skutkiem, być wiernym swoim podstawowym ideałom, ale w pierwszych latach szybko uczyłem się tego, że to tak jakby ktoś z boku chciał powiedzieć: „Stary, daj sobie spokój, to jest dla małuczkich”. Pierwszą lekcją - w zasadzie dzisiaj, kiedy o tym mówię, to brzmi jak obnażanie mojej naiwności - była sytuacja ze wspomnianych już wyborów. Chcieliśmy, mając 21 głosów, spróbować przejąć władzę i szukaliśmy zatem koalicjanta. Byłem szczerze zdumiony, kiedy Jacek Piechota zaczął prowadzić rozmowy z jednym z polityków, którego znałem z jego niepohamowanych ataków na lewicę. Jego dość grubiańskie zachowania powodowały, że uważałem go za gburę. Wtedy Jacek Piechota powiedział: „Jaki ty jesteś naiwny, stary. Przecież nie tak się to robi. Słuchaj, podpiszemy z nim umowę koalicyjną, to wtedy będzie to zupełnie inaczej wyglądało”.

Byłem zdziwiony, kiedy ktoś mówił, że to jest słuszna sprawa. Tak, trzeba to poprzeć, po czym, on głosuje przeciwko, bo to jest inicjatywa zgłoszona przez lewicę. Trochę zatem, tej naiwności prezentowałem. Przyszedłem surowy do tej polityki, bardzo surowy. Nie zgadzałem się na „pragmatyzm, kosztem ideałów”. Jakoś, tak nie bardzo wiedziałem, że to może być dewizą dla niektórych polityków. Później wiedziałem, że wielu radnych, próbuje wykorzystywać fakt bycia radnym, dla osiągania najróżniejszych celów osobistych. Skala tego zjawiska w wykonaniu niektórych osób, poraziła mnie. To była kolejna lekcja polityki. Tej praktycznej (realpolitik), na szczeblu lokalnym. Później zobaczyłem oszołomów i racje przez nich głoszone. Trudno to nazwać działalnością polityczną. Przejawy oszołomstwa, zacierzwienia - mogę powiedzieć - nigdy nie przestały mnie dziwić. Choć już powinienem być impregnowany, ale nie przestają mnie dziwić. Podam taki przykład. Na jednej z sesji sejmiku, jedna z radnych z prawicy wstała i powiedziała, że jest grudzień, to może by radni zrezygnowali z jednej diety i byśmy przeznaczili zebrane środki na Dom Małego Dziecka w Stargardzie Szczecińskim. Rzeczywiście jest taki dom. Obraz przerażający, jak się tam pójdzie. Dzieciaki biegają do każdego myśląc, że to jego ojciec, bo swojego nie znają. Radna powiedziała: „No to niech Pan przewodniczący da przykład”. I dałem ten przykład. Proszę bardzo. Jest szczytny cel i zgodziliśmy się wszyscy na takie działanie. Na to przedstawiciel kategorii oszołomów, mój zastępca ówczesny, mówi: „Co? Ja na komunistyczne dzieci ma

dawać? W żadnym wypadku!". On dokonał prostego utożsamienia Prezydenta Miasta, którym był przedstawiciel SLD, z dziećmi z tego sierocińca. Jakaż musi być skala zacierzwienia i oszołomienia, że może przybrać takie formy. To była kolejna lekcja, no nie do końca skonsumowana, bo powiadam, że nie ma takich rzeczy, o których mogę powiedzieć, że nie są w stanie mnie zadziwić. Bo są. Spotykam się z takimi rzeczami, które są mnie w stanie zadziwić i doświadczać tego, od czasu, do czasu, za sprawą niestrudzonych oszołomów. Takich, różnej maści, Talibów.

Co jeszcze ciekawego doświadczyłem? Po prawej stronie sceny politycznej - która zrazu dość była mocno skonsolidowana po naszym wejściu w 1994 roku do rady i nie szczędziła nam uszczypliwości - z czasem, kiedy część z nich zauważyła, że ten typowy wizerunek lewicy, że przyjdą jakieś same komuchy żądne krwi, komisarze w płaszczach skórzanych - pojawiła się refleksja, że możemy działać wspólnie dla dobra naszego miasta. Pojawiła się wola współpracy na forum komisji. Doświadczyłem tego bardzo mile i ciepło wspominam to, że część z nich potrafiła - bo niektórzy byli impregnowani, no bo, jak oszołom to do końca nie będzie rozmawiał - pracować z nami dla dobra ogółu. Szczególnie mnie raziło, gdy w rozmowach towarzyskich używali argumentu: „Z wami nie można rozmawiać, bo Stalin, bo Katyń”. Ja odpowiadałem: „Człowieku! Stalin umarł, a ja się dopiero narodziłem”. Ale o takich politykach nie mówmy. Ich obecność, bardzo wyraźnie zaznaczyła się w moim życiu, ale jako osobliwości polityczne. Jako ludzie impregnowani, z którymi bardzo trudno cokolwiek budować. Którzy, obawiam się, że są niebezpieczni także dla siebie samych, bo to jest taki typ osobowości destrukcyjnej, a nie konstruktywnej.

**W.U:** Jakie zachowania, wśród polityków na poziomie centralnym, najbardziej Pana zaskoczyły?

**Z.Z:** Kiedy sąd orzekł o utracie mandatu przez Mariana Jurczyka, zadzwoniłem do niego tego samego dnia - nie byłem jeszcze wtedy senatorem, byłem upadłym marszałkiem i powiedziałem, że solidaryzuję się z nim. Jurczyk to pamięta do dnia dzisiejszego. Kiedy zostałem senatorem, to Jurczyk zadzwonił do mnie z gratulacjami. To bardzo pozytywny przykład.

Na poziomie centralnym mamy do czynienia z różnymi postawami. To jest takie makro odniesienie, albo transponowanie z wymiaru mikro, różnego rodzaju ułomności. Jeśli chodzi o zachowania naganne, to prasa nie szczędzi nam tutaj szczegółów, łącznie z „kurwikami w oczach” - jakieś takie dziwactwa.

Zobaczyłem też mechanizmy wyboru władzy stopnia centralnego i niewiele odbiegają od mechanizmów wyboru władzy w dużym mieście, czy województwie. Jedyna różnica polega na tym, że znacznie trudniej się tam dostać, ale tu już mówimy o selekcji, o liczbie. Mechanizm natomiast, jest podobny. Zobaczyłem, tak jak i wszędzie, że ta zbiorowość 560 ludzi, to olbrzymie spektrum osobowości, zaangażowania, pilności. Można też zobaczyć różnicowanie kultury, w tym także, polemicznej, skłonności do kompromisu, skłonności do dialogu z innymi, zwykłej życzliwości, takiego spojrzenia inaczej na człowieka. Nie szedłem już tam, jako idealista, jak człowiek, który idzie do parlamentu myśląc, że tam jest 560 ludzi, których najważniejszym zadaniem, jest dbałość o interesy państwa i społeczeństwa. Wiedziałem, że o całej tej grupie z pewnością, tak nie można powiedzieć, albo, że byłoby naiwnością, coś takiego głosić. Poznałem meandry władzy. Zobaczyłem też, że łatwiej mi było np. znaleźć kontakt telefoniczny - abstrahując od skuteczności owego kontaktu, jak chodzi o załatwienie jakiejś sprawy - z ministrem opozycyjnym, niż z moim. Koledzy mówią, że tak jest zawsze, że swoi, są „bardzo zajęci”. Doświadczyłem też arogancji, tego czy innego urzędnika i do dziś nie mogę wyjść z podziwu, że jeden z podsekretarzy stanu, indagowany przeze mnie telefonicznie jedenaście razy, albo jeszcze więcej, nie odezwał się, a jego sekretarka niezmiennie mówiła, że jest w drodze, że jest zajęty. Uważam ten czyn za karygodny, ale podobno zdarzają się takie wypadki i tego, też doświadczyłem.



Doświadczylem wspaniałej rzeczy jaką było to, że w czasie paru wyjazdów zagranicznych, gdzie raz miałem nawet przyjemność być Szefem Polskiej Grupy Parlamentarnej, potrafimy na obczyźnie mówić jednym głosem i zachowywać się, tak jakby nie było między nami różnic. Reprezentujemy państwo, polski parlament i polskie społeczeństwo. Byłem podbudowany tym przykładem i dotyczyło to, zarówno wyjazdu na Światowe Spotkanie Unii Międzyparlamentarnej w Maroku, gdzie przyjechał 1600 parlamentarzystów z całego świata, jak i innych wyjazdów delegacja parlamentu.

Mówię o tym z pewną, muszę powiedzieć, satysfakcją, bo to skłócone ciało pokazało, że na zewnątrz, dla dobra wyższego potrafi się zjednoczyć, mówić jednym głosem, porzucić waśnie i swary. Doświadczylem dużo zwykłej ludzkiej życzliwości ze strony parlamentarzystów, profesjonalnego przygotowania urzędników. Doświadczylem wreszcie tego, że nasze prawne Biuro Senackie, jest lepsze, od sejmowego. (śmiej).

Parlament jest niewątpliwie inną zupełnie, nieporównywalną z niczym instytucją i to dotyczy ludzi tam zasiadających, ich doświadczenia i pochodzenia.

**W.U: Czy mógłby Pan żyć bez polityki?**

**Z.Z:** Myślałem o tym kiedyś. Całkowicie, to chyba bym nie mógł. Znacznie mniej angażując się w sprawy polityczne? Tak, mógłbym żyć. Szereg inicjatyw zapoczątkowałem i siłą rzeczy będę je musiał realizować, w jakiś tam sposób. W szeregu kwestiach mam bardzo klarowne, czyste poglądy, chociażby przez fakt, że będę je wyrażał, to będę żył w polityce choć niekoniecznie, tak aktywnie, jak dotąd. Całkowicie zerwać z polityką? Nie. Nawet gdybym niewiadomo jak się obraził na kogoś, nawet gdyby spotkało mnie coś złego, to nie sądzę żebym mógł taką decyzję podjąć. Ja nie znam polityków, którzy całkowicie się wycofują. Inaczej nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

#### 4. Poseł/ Wicepremier IV RP - Andrzej Lepper

(Nota i dane biograficzne w całości przygotowana przez autora książki w oparciu o wypowiedź autobiograficzną A. Leppera)

Andrzej Lepper, rocznik 1954, urodził się w wielodzietnej rodzinie robotniczej. Ojciec, brygadzysta w PGR, zmarł kiedy Andrzej miał 11 lat. Matka, zajmowała się domem i wychowaniem dziesięciorga dzieci. Jak sam twierdzi, jego dom rodzinny to typowa, tradycyjna rodzina patriarchalna o głęboko zakorzenionych i żywych tradycjach katolickich. Marzeniem matki było, aby Andrzej został księdzem.

Po ukończeniu szkoły podstawowej, podejmuje naukę w technikum rolniczym w Słupsku. Jest w tym czasie, czego sam nie ukrywa, trudnym dzieckiem. Po czterokrotnej zmianie szkoły, kończy z powodzeniem technikum rolnicze. Już wtedy, jak sam twierdzi, ujawniły się jego cechy przywódcze - zawsze był kapitanem drużyny piłkarskiej. Trenował także boks.

Zasadniczą służbę wojskową odbywa w wojskach chemicznych w JW. w Rędzikowie koło Słupska, gdzie dość szybko awansuje na stanowisko dowódcy plutonu. Pierwsza praca to stanowisko kierownika Stacji Hodowli Roślin w Górczynie. Członek PZPR w latach 1978-80.

Obecnie, prowadzi wraz z żoną, gospodarstwo rolne w Zielnowie woj. Zachodniopomorskie.

Niezwykle ciekawie kształtuje się jego kariera polityczna w wolnej Polsce.

W 1991 roku, po słynnych protestach rolniczych w Darłowie, zakłada i rejestruje związek zawodowy „Samoobrona”, stając na jego czele. Dwa lata później, kierowana przez niego Samoobrona, zdobywa w wyborach parlamentarnych 2,78% głosów. Dwukrotnie kandydował, bez powodzenia, na urząd Prezydenta RP - 1995: 1,32% głosów; 2000: 3,05% głosów.

Prawdziwy sukces odnosi dopiero w 2001 roku, kiedy to wprowadza Samoobronę do Sejmu, zdobywając w nim 54 mandaty. Przez krótki czas pełni funkcję wicemarszałka Sejmu RP. Zostaje odwołany z niej min. głosami posłów przyszłego koalicjanta - Prawa i Sprawiedliwości.

Wicepremier i Minister Rolnictwa w rządzie Jarosława Kaczyńskiego.

Czerwiec 2003 roku

Waldemar Urbanik: Czy Pana zdaniem mamy do czynienia w ostatnim czasie z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak, to proszę o wskazanie przyczyn tego zjawiska.

Andrzej Lepper: Radykalizacja nastrojów społecznych postępuje w Polsce od dłuższego okresu czasu. Należałoby się bardzo poważnie zastanowić nad przyczynami tej radykalizacji, bo to jest skutek czegoś. Nie ma skutku bez przyczyny. Przyczyny tej radykalizacji są następujące. Robiąc taką głębszą analizę, ja sięgnąłbym do roku 1944-PKWN. Wtedy okres, wiadomo, wojny, już ofensywa radziecka idzie na zachód, już Niemcy

zaczynają przegrywać wojnę i wtedy społeczeństwo poczuło taką pierwszą nadzieję. Wyzwolenie, walka, tylu zginęło najbliższych, znajomych itd. zniszczony kraj, tu jest L. Ahlin PKWiN. Ludzie poczuli, że nadchodzi wolność i wtedy uderzyli bardzo mocno, oczywiście pokonany faszyzm. Później 1945 rok - wyzwolenie, później pierwszy po wojnie wolny rząd polski. Następnie to referendum, które było „trzy razy tak”. Naród z wielką nadzieją podszedł do tego wszystkiego licząc na to, że teraz naprawdę będziemy wolni, pomimo tego, co się stało w Jałcie przecież gdzie nas przydzielono do tego bloku wschodniego bez naszej zgody żadnej - zrobili to panowie Churchill i Roosevelt. Naród poczuł, że jest wolny, że teraz z nadzieją wielką o tym że odbudujemy kraj, będziemy w końcu nowe granice też mieli, będziemy mieszkac, będziemy wolni, będziemy mogli zapewnić przyszłość naszym dzieciom i wnukom. Wtedy zaczęto ludziom tłumaczyć: „Słuchajcie, to nie wy będziecie mieć lepiej, ale jest szansa żeby wasze dzieci, wasze wnuki w przyszłości miały lepiej, że w tym nowym ustroju, ustroju socjalistycznym, który jest innym ustrojem niż był ten przed wojną - sanacja, brutalny kapitalizm, wyzysk człowieka”. Ludzie uwierzyli w to przecież wiemy wszyscy, że nie pod przymusem, bo z karabinem nikt nad nikim nie stał wtedy. Ja tego z autopsji nie pamiętam oczywiście, ale są filmy, były prześladowania w pięćdziesiątych latach, był UB, zabijano ludzi, mordowano ludzi nawet patriotów - ja się zgadzam z tym, ale ci którzy pracowali, odbudowywali kraj - z karabinami nad nimi nie stali. Oni to robili z entuzjazmem, z wielką wiarą w to że robią to dla Polski, robią dla siebie, dla przyszłych pokoleń. Wtedy tłumaczono właśnie, że nie wy, ale wasze dzieci, wasze wnuki będą miały lepiej.

Przyszły lata sześćdziesiąte. Gomółka wrócił do władzy po raz drugi w 1956 zdaje się roku (mogę się mylić, co do daty, ale w 1956 roku z więzienia wrócił) i wtedy taka jakby odwilż już, już mniej tych prześladowań było. W 1968 roku wiemy, co się stało, marzec, już zaczęły się takie przepychanki u nas w Polsce. Ja jestem przekonany, choć brak mi dowodów na piśmie, czy zeznań ludzi, że już wtedy jakby taka ingerencja zachodu w to co się dzieje w państwach socjalistycznych, a utwierdza mnie w tym przekonaniu jedno, że politycznie zachód już zaczął uderzać w pięćdziesiątych latach. Dowodem na to jest to, że w 1947 roku w Stanach Zjednoczonych powstał Instytut Senatora Fullbright'a. Proszę nie myśleć, że ja wyznaję spiskową teorię dziejów absolutnie nie, ale później w 1958 roku przy tym instytucie otwiera się Wydział do Spraw Szkolenia Ekonomistów Europy Środkowo-Wschodniej. To jest okres zimnej wojny, jak wszyscy wiemy. Jak to przewidzieli, że trzeba będzie szkolić ekonomistów Europy Środkowo-Wschodniej i tam zaczęto szkolić ludzi. Tam m.in. na stypendium był Leszek Balcerowicz - tam było 1000 osób z Polski, ekonomistów, finansistów. Balcerowicz tam był jako sekretarz partii i porównajmy to sobie. Wtedy nasza partia PZPR a zachód - przecież to był ogień z wodą i oni już tam myśleli, już kombinowali.

Też prosiłbym żeby w tym wywiadzie socjologicznym odciąć mnie całkowicie od jakiś antysemityzmów, bo ja absolutnie antysemity nie jestem, nie byłem i nie będę nigdy, absolutnie. Ja uważam, że każda nacja ma swoje miejsce na świecie i powinniśmy być tolerancyjni, w każdej nacji są tacy i tacy ludzie. Bo jak ja to tłumaczę, to każdy próbuje mnie lokować - zaraz antysemity uważa, że wszystkiemu Żydzi winni - absolutnie nie i od tego zdecydowanie się odcinam.

Następnie już zaczynają się rozruchy - 1970 rok, wiemy co był w Gdyni, już ta władza (bo to jest to podłoże, te przyczyny właśnie tego co chcę powiedzieć na końcu) okazuje się, że jest niewydolna trzymać ludzi w takim reżimie powiedziałbym czy z taką nadzieją wiary, bo to już jest po wojnie 25 lat, już naród chciałby troszeczkę lepiej żyć a tu okazuje się, że drożeje chleb, drożeje wszystko. Grudzień 1970 rok, rozruchy pierwsze no w 1956 roku pierwsze trupy były robotnicze ale tutaj już akcja zbrojna praktycznie bym powiedział, wyjeżdżają czołgi, strzelanie do ludzi i już naród zaczyna się buntować przeciw temu. To też była radykalizacja taka jedna z kilku, które były wcześniej. Następnie widzimy, że już powstaje KOR, który wcześniej już powstał tylko nie powstał on w Polsce wbrew temu co jest





słowa wracają, nasze dzieci, nasze wnuki na to czekają żebyśmy my wykorzystali tą historyczną szansę. Usiadł do „okrągłego stołu”. Z kim usiadł? Nad tym trzeba się zastanowić. Z ludźmi, którzy w 1944 roku już to mówili nam to, dawali tę nadzieję. On usiadł z nimi do stołu, nastąpił podział. Wtedy naród polski po raz pierwszy po wojnie pokazał wielką dojrzałość polityczną. Polegała ona na tym, że oczywiście sejm był kontraktowy, bo gdyby nie był to by z PZPR pewnie nie było nikogo w sejmie, oczywiście podział 35 na 65. Następnie senat tu mądrość pokazał cały naród, ludzie poszli głosować i 99% dostała „Solidarność” 99 na 100 senatorów „Solidarność” tylko jeden Henryk Stokłosa przeszedł, to nie był może człowiek związany bezpośrednio z PZPR ale z tamtego układu był. Ta mądrość przerodziła się w to, że ludzie zaczęli wierzyć, znowu mieć nadzieję, że już będzie inaczej. Dochodzi do władzy Mazowiecki i przyjmują zasadę wasz prezydent nasz premier. Wybierają Jaruzelskiego jednym głosem jak wiemy tylko i wyłącznie też poprzez różne układy tam zrobione, że kogoś tam raz zagłosował a później się tłumaczył. Naród czeka, że poprzedni system się rozliczy a Mazowiecki mówi : gruba krecha. To wszystko ustaili sobie nie przy „okrągłym stole” tylko w Magdalence. Ja teraz byłem w Magdalence, widziałem to wszystko, tam ludzie jak mogli nie wierzyć w to kiedy przy stole siedzi „Solidarność”, siedzi PZPR i ZSL, siedzą takie autorytety jak Geremek, wsławiony autorytet Balcerowicz wielki ekonomista, Michnik, Kuroń i inni no i siedzi przy tym ksiądz Orszulik obecnie biskup. Siedzą tam, no to są autorytety. Ludzie uwierzyli, że oni chcą dobrze pomimo pewnej złości do kleru polskiego ale jednak nasza wiara i tradycje katolickie są bardzo silne w Polsce. Konsternacja, ja tu patrzę co tu się dzieje. Jaka gruba krecha? Posadzaliście ich o zbrodnie stalinowskie, mordowali, zabijali ludzi. System nazwali zbrodniczym a tu siadają i dogadują się. Po krótkim okresie czasu następne rządy ta nadzieja dana przez Mazowieckiego, który mówi, że nie za pół roku ale za rok, za dwa ja wam gwarantuję, że Polska będzie krajem mlekiem i miodem płynącym, to jego słowa, to z jego exposé można to w sejmie znaleźć sobie. Balcerowicz mówi: już te odsetki wysokie, te stopy procentowe nieludzkie, ta terapia szokowa ale ona minie, rodacy to jest tylko okres przejściowy, zaraz będzie inaczej. No i na to inaczej naród czeka, czeka, kolejne wybory i kolejne wybory i mają być zmiany. Raz lewica raz prawica, Wałęsa, Kwaśniewski, nie ma żadnej zmiany. Wręcz odwrotnie, bezrobocie coraz większe, nędza coraz większa, beznadzieja. Ludzie patrzą i zastanawiają się. Ja często ludziom tłumaczę na spotkaniach spójrzcie czy to jest przypadek? Bo ja nie mam jakiejś obsesji na tle Balcerowicza, ja mam obsesję na tle jego polityki. Jeżeli popełnił przestępstwa to niech się zajmie prokurator nim, jeżeli działał na szkodę państwa niech się zajmie trybunał. Jego polityka od początku była nie do przyjęcia. Czy to jest przypadek? Była „Solidarność”, był Balcerowicz człowiek PZPR, niemożliwe jest żeby Wałęsa nie wiedział, że on był sekretarzem PZPR Uniwersytetu Łódzkiego, niemożliwe żeby Wałęsa nie wiedział o tym. Niemożliwe żeby Wałęsa nie wiedział, że Geremek też był w PZPR, Kuroń też był w PZPR. No i Balcerowicz robi co robi. Wracam jeszcze do tej sprawy czy to jest przypadek. „Solidarność” - Balcerowicz, lewica - Balcerowicz, Wałęsa - Balcerowicz, obecnie Kwaśniewski ma kadencję drugą i znowu Balcerowicz. Czy to jest przypadek? Dla mnie absolutnie nie. To nie jest już teoria spiskowa dziejów w którą ja nie wierzę tylko to jest praktyka. Ten człowiek wykonuje to co mu każe Bank Światowy, finansjera zachodnia.

No i teraz dochodzimy do tego finału- radykalizacja. Tu już ludzie nie wierzą nikomu. Ja obawiam się, że gdyby doszło do jakiegoś wybuchu wielkiego dzisiaj, to ludzie nawet nie uwierzą już (przynajmniej duża część) mnie, że „Samoobrona” jest nowym ruchem, powstała właśnie na bazie tych wszystkich przemian, tych oszustw politycznych, przeciwstawiła się temu, nie dała się oszukać do końca, nie daliśmy się wciągnąć w te ich oszustwa i manipulacje. Dlatego my mamy nie tylko odwagę, ale my możemy mówić śmiało patrzeć ludziom w oczy, bo nie braliśmy udziału w tej złodziejskiej prywatyzacji, w tych obietnicach wszystkich, w niszczeniu kraju, w niszczeniu rolnictwa, przemysłu, hutnictwa, górnictwa, nie

doprowadziliśmy do nędzy emerytów, rencistów, bezrobotnych, nie zabraliśmy szansy polskiej młodzieży. Teraz odnośnie radykalizacji która następuje, ona musi nastąpić, bo te przyczyny one są bardzo związane. Dzisiaj znowu mamy powtórkę, bo najpierw jeszcze muszę wrócić do „okrągłego stołu” i tej trzeciej jakby nadziei danej ludziom, że wasze dzieci, wnuki będą miały lepiej, tu „okrągły stół”, nadzieja, szansa teraz znowu mamy Unię Europejską. Ci sami ludzie znowu są ludzie z PZPR, „Solidarności”, którzy już się spotkali przy „okrągłym stole” a Kuroń chwalił Polskę i Geremek w pięćdziesiątych latach, to oni chwalili Ludową Rzeczpospolitą. Później „Okrągły stół” i znowu chwalili przemiany. Teraz Unia Europejska oni znowu chwala. To jest ta sama grupa ludzi, która teraz nie widząc żadnej szansy dla Polski, nie mając żadnego programu, żadnej koncepcji na naprawę Rzeczpospolitej teraz jedyną nadzieję widzą w Unii Europejskiej i używają tego samego zwrotu: to już nie wy będziecie mieć lepiej ale dajcie szansę swoim dzieciom i wnukom, one będą miały lepiej. Także to jest dramat i to właśnie prowadzi do radykalizacji nasrojów i radykalizacja będzie postępować zdecydowanie, bo już dzisiaj nikt nie uwierzy w to, że w Polsce nie ma pieniędzy. Ja z tą sprawą przebiejałem się bardzo długo, z rezerwą rewaluacyjną o której dzisiaj mówi Kołotko, mówi Premier Miller. Niektórzy z Rady Polityki Pieniężnej próbują sobie ze mnie kpić a ja im mówię kpijcie sobie z Kołotko. Skoro ja nie mam racji to Kołotko też racji nie ma (Profesor z waszej branży). Ja nie mam się za wielkiego ekonomistę, ja jestem politykiem, ja znam linię, ja wiem gdzie co jest, ja nie muszę być specjalistą, ja nie chcę być ministrem finansów, ja mam politycznie wiedzieć co jest i ja to wiem. Tyle lat się przebiejałem z tą rezerwą, z rezerwą dewizową, którą wczoraj ogłoszono w radio, że już nie jest 31 mld. Tylko ona rośnie i już jest 33,5 mld \$ rezerwy dewizowej, są pieniądze więc ludzie już nie chcą wierzyć. Ja obawiam się, że ta radykalizacja albo doprowadzi, bo dwa kierunki mogą tutaj być. W tej chwili już trwa referendum, kiedy prowadzimy naszą rozmowę i naród znowu jest oszukiwany tą nadzieją wizją przyszłości, że będzie lepiej naszym dzieciom i wnukom obojętnie jak się skończy referendum, to Polska była w tym miejscu jest i będzie w tym miejscu gdzie jest. Nikt z nami nie zerwie układów żadnych, murem nie ogrodzi Polski nawet jeżeliby wyszło referendum na nie. Natomiast do wejścia do Unii Europejskiej jest jeszcze rok. Bezrobocie nie spada, bieda nie spada, poziom życia ludzi nie podnosi się tylko wręcz odwrotnie beznadzieja nadal. W ciągu tego roku lub 1 maja przyszłego roku jeżeli naród zdecyduje w referendum, że wejdziemy do Unii nastąpi dużo jeszcze różnych zjawisk w kraju poprzez radykalizowanie się nastrojów ale później po wejściu do Unii nastąpi wielkie rozczarowanie jeżeli zakładamy, że wejdziemy do Unii, nastąpi wielkie rozczarowanie, wielki dramat w pierwszym roku po wejściu będziemy płatnikiem netto jestem przekonany co do tego i bezrobocie jeszcze wzrośnie, duża część rolników padnie, padnie polskie hutnictwo bo mamy obniżyć jeszcze produkcję także te nastroje będą się radykalizować. Dwa kierunki są tutaj albo socjalna rewolucja na ulicy albo rewolucja przy urnach wyborczych, wybory do parlamentu. Mnie odpowiada bardziej ta druga wersja- rewolucja przy urnach. Rewolucja nie powinna polegać na tym, że nie 40, 50% ale 80% społeczeństwa pójdzie głosować tak jak wrócić do 4 czerwca 1989 roku, gdzie jak powiedziałam w głosowaniu 99% dostała „Solidarność” i tu może być wielkie odwrócenie. Ludzie już właśnie zdesperowani, nie wierzący nikomu powiedzą tak : a czy ten Lepper ma rację czy nie ma? Ale na przekór im wszystkim tym złodziejom, którzy rozkradli Polskę raz lewa raz prawa strona damy szansę nowej sile i na tą radykalizację, na tą rewolucję przy urnach ja naprawdę liczę. Nie chciałbym być tym, który byłby zobowiązany i musiałby stanąć na rewolucji, która będzie się toczyć na ulicy, nie chciałbym stanąć na czele takiej rewolucji ponieważ nie jest to nikomu potrzebne, nie będzie to służyć nam jako Polsce i Polakom i niepotrzebny będzie rozlew krwi. Bo oni władzę będą trzymać rękami i nogami, oni zjednoczą wszystkie siły i to już dzisiaj widać, że „Platforma Obywatelska”, „Prawo i Sprawiedliwość”, „PSL”, „SLD” nawet „Liga Polskich Rodzin” zjednoczą siły przeciwko „Samoobronie”. Oni wiedzą, że coś jest nie tak w tym

wszystkim, że społeczeństwo ma ich dość wszystkich, że społeczeństwo już im nie wierzy. Teraz będą chcieli przeciwstawić się nam, ale ja jestem dobrej myśli.

**W.U:** W czym upatruje Pan, czy też, czym tłumaczyłby Pan wzrost poparcia społecznego dla „Samoobrony”? Jakie są, Pana zdaniem, przyczyny klęski wyborczej ugrupowań „posierpniowych”? Mam tutaj na myśli „AWS” i „Unię Wolności”.

**A.L:** Dużo na ten temat powiedziałem w odpowiedzi na pierwsze pytanie. Natomiast chciałbym powiedzieć tak: sukces „Samoobrony”, on nie przyszedł lekko - to jest 12 lat ciężkiej pracy. Ja już 12 lat temu, jeżeli mogę powiedzieć, to wypowiedziałem wojnę polityczną Balcerowiczowi i jego polityce. Ludzie na początku byli przeświadczeni poprzez to, co pisała prasa, mówili dziennikarze, pokazywał telewizor, radio mówiło o tym, że „Samoobrona” powstała w celu obrony interesów prywatnych Andrzeja Leppera, Lepper nabrał kredytów, Lepper nie chce spłacać, Lepper się uchyla, przyłączają się do niego ludzie tzw. nieudacznicy, którym nie udało się po tym okresie transformacji i przemian jakie nastąpiły w Polsce po 1989 roku i teraz chcąc uniknąć odpowiedzialności za nietrafione inwestycje itd. Organizują się i próbują się w ten sposób bronić. No nikt nie pomyślał, bo przeciętny obywatel nie myśli tak bardzo szybko, ja z pełnym szacunkiem dla inteligencji ludzi, ale nie myśli tak szybko tylko jest zasugerowany, na podświadomość zadziałało nabrał kredytów. Tylko gdyby ludzie pomyśleli głębiej, to powiedzieliby zaraz, zaraz, to jak nabrał, jak przehulał, jak przetrwoniał to zdefraudował, to co on na wolności robi, to trzeba Leppera zamknąć po prostu i tych wszystkich ludzi zamknąć, a o tym już nie pomyśleli głębiej, ale dziennikarze sprytnie socjotechnicznie zadziałali na podświadomość ludzi, nabrali kredytów i przez to kraj upada. Przez to kraj upada, że ktoś tam wziął kredyt na jeden ciągnik, na kombajn albo na coś innego. Jeszcze zasugerowano ludziom, że ktoś wziął kredyt a pokazali rolniczkę, która ma pierścionek złoty, futro ma, ojej futro jej kupił za to, no takie sprytne chwytaki tak jak to Balcerowicz zrobił z octem i musztardą, na półkach ocet i musztarda, produkcja pełne chlewnie wszystkiego a w Polsce mięsa nie ma. Gorzelnia pracowało 1400 na trzy zmiany a wódka na kartki w Polsce. Nikt nie pomyślał o tym. Zasugerowano ocet i musztardę. Tak samo tutaj tylko zadłużonych. Wtedy powiedzieliśmy sobie twardo ja i grupa najbliższych moich współpracowników, że będziemy konsekwentni w swoich działaniach. Będziemy udowadniać nasze racje prawnie w sądach ale również będziemy demonstrować to poprzez protesty, poprzez blokady będziemy organizować ludzi, bo widzimy, że ta polityka jest błędna. Ja już wtedy miałem dostęp do dokumentów na temat Instytutu Senatora Fullbright'a, Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, EWG, bo jeszcze wtedy EWG było i wiedziałem do czego oni zmierzają, co oni zrobili tam gdzie wkraczają i powiedziałem, że konsekwentnie będziemy dążyć do tego żeby w Polsce tego nie zrobili. Ten sukces upatruję tylko i wyłącznie w tej konsekwencji i wytrwałości, ale również jako człowiek głęboko wierzący w boga ja myślę, że opatrność nad tym wszystkim czuwa. Każdy człowiek ma w życiu jakieś swoje przeznaczenie, coś do zrobienia, nie chciałbym powiedzieć, że jakąś wielką misję do spełnienia, ale w wypadku moim to na pewno nie jest brak skromności to co powiem, że ja czuję tą misję którą mam, że po prostu przeciwstawić się temu złu jakie jest, przeciwstawić się tym kłamstwom, oszustwom i tu upatruję ten sukces, że ludzie którzy na początku nie wierzyli, wierzyli w te sukcesy gospodarcze, przedsiębiorcy, których tak z roku na rok przybywało, tych którzy wzięli niby nietrafne kredyty, nieudaczników przybywało. Oni zaczęli myśleć: zaraz to ja nieudacznikiem jestem, ja już pracuję cholera nie 8 a 12 godzin dziennie, ja już zatrudniam żonę, która wcześniej nie pracowała, ja najmniejsze dzieci biorę do zakładu pracy i zwalniam pracowników, bo już nie jestem w stanie płacić za nich i jeszcze nie wychodzę, to co oni zemnie robią nieudacznika? Tych ludzi tak zaczęło przybywać, przybywać a ja głęboko wierzyłem, że im dłużej tym więcej tych ludzi będzie przybywać i dzisiaj już mali i biedni przedsiębiorcy, właściciele dużych zakładów pracy, którzy w różny sposób doszli do majątku, właściciele fabryk no tych

państwowych spółek Skarbu Państwa, rolnicy mówią : no co to jest, my wszyscy jesteśmy nienormalni, tylko co rząd jest normalny w Polsce i Balcerowicz normalny, prezydent a my co wszyscy głupi jesteśmy? Pracujemy coraz więcej a mamy coraz mniej. Dlatego też ludzie odwrócili się od ruchu „Solidarność”, od tych ugrupowań „posierpniowych”. Winą za to co się stało obarczają niewątpliwie tutaj od początku do końca przechrzty, które z ruchu „Solidarność” najpierw stworzyły „Unię Demokratyczną” później „Unię Wolności” a teraz mogą jeszcze kombinować, że mogą stworzyć „Unię Przyszłości”, bo to u nich jest możliwe wszystko, że nazwą się pięknie socjotechnicznie i dlatego też oni stracili na tym wszystkim, bo w nich ludzie pokładali wielką nadzieję. Ruch „Solidarność” - 10 mln ludzi i tak zmarnować to trzeba być specjalistą wielkiej klasy naprawdę żeby z 10 mln dzisiaj zrobić to, że nie mają pod własnym szyldem ani jednego posła ani jednego senatora, nawet jednego radnego na szczeblu gminnym nie mają pod własnym szyldem tylko uciekają pod inne szyldy, pod inne nazwy żeby ludzi jeszcze oszukać. Ten sukces nasz jest sukcesem dzisiaj powiedziałbym bardzo dużym patrząc na ten brak dostępu do środków przekazu przede wszystkim, na manipulacje w mediach, które odbywają się w stosunku do „Samoobrony”, to jest potężny sukces, bo nie wiem czy komukolwiek, ja takiej analizy dogłębnej nie robiłem ale z rozmów moich z różnymi ludźmi od spraw socjologii, psychologii tłumy różnych, co stwierdzili, że ktoś kto by od jednej miejscowości poprzez gminę następnie do góry stworzył taki ruch i ruch wprowadził do parlamentu to jest niespotykane w dziejach ludzkości nawet żeby coś takiego powstało żeby jedna osoba ciągnęła to do góry. Powstałiśmy nie z rozbitcia jakiejś partii tylko od początku ta praca prowadzona systematycznie, jest to niespotykane, jest to uważam sukces. Natomiast wiadomo, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Ja zaczynając działać na pewno nie miałem takich ambicji, że Lepper mógłby rządzić Polską on by naprawił Polskę itd. Natomiast wgłębiając się w to wszystko z biegiem czasu kiedy notowania nasze rosły, kiedy miałem dostęp do coraz większej ilości informacji, spotkania z różnymi ludźmi no zacząłem sobie myśleć jak to może być żeby człowiek, który niczego w życiu nie zrobił a jeszcze mamy tu kolejnych premierów Polski od Mazowieckiego, który nie miał nawet własnego sklepu poprzez następnie Bieleckiego, Pawlak jedynie miał gospodarstwo rolne, ale prowadzone przez rodziców wiadomo także żadna jego praca tam w tym wszystkim, Pani Suchocka później był Oleksy, Cimoszewicz następnie Buzek no teraz Miller to tak sobie myślę praktycznie przecież ci ludzie nie potrafiliby sklepu prowadzić, bo oni w życiu nie mieli własnego zakładu. Ja od lat najmłodszych byłem na kierowniczych stanowiskach, bo byłem najmłodszym kierownikiem Pegeeru w Polsce w wieku 21 lat zarządzałem gospodarstwem gdzie trzeba było uprawić w latach siedemdziesiątych 1000 hektarów, nie było takiego sprzętu i technologii i techniki jak dzisiaj tylko tam praca fizyczna przede wszystkim liczyła się. Zarządzałem grupą ponad 100 ludzi w tak młodym wieku i myślę, że oni nawet nie potrafiliby chyba wideł trzymać w ręku czy stanąć przy piecu hutniczym, wytrzymać 60 czy 70 stopni temperatury a oni chcą rządzić krajem. Mnie w tym wszystkim ugruntowała wypowiedź Pani Margaret Tacher, która podczas wizyty w Polsce na pytanie jednego z dziennikarzy dotyczące jej stylu rządzenia odpowiedziała, że ten kto chce rządzić krajem powinien wcześniej coś w życiu zrobić, on powinien mieć przynajmniej swój własny sklep, bo państwo to jest taki wielki hipermarket, tam jest wszystko poukładane na półkach, premier kładzie się spać i musi wiedzieć te półki, rano wstaje i musi pomyśleć co na której półce trzeba przełożyć ale żeby wiedzieć co przełożyć to trzeba wiedzieć gdzie co leży. Jeżeli ktoś nie prowadził nawet własnego sklepu, to on się nie nadaje do rządzenia. To odnoszę do naszych rządzących Polską. Uważam, że dzisiaj wielka szansa przed naszą partią, jeżeli nie popełnimy jakiś zasadniczych błędów, jeżeli nie będziemy wpadać w samozachwyt, nie uderzy naszym działaczom woda sodowa do głowy to mamy wielką szansę żeby naprawić to co zepsuły ugrupowania „posierpniowe” i ludzie z poprzedniego systemu.



Dużą winę za to że ugrupowania „posierpniowe” skończył tak jak skończyły i wszystko wskazuje na to, że większej szansy na odbicie się polityczne nie mają, to jest oczywiście ruch „Solidarność” który przekształcił się swego czasu w „RS AWS” i tu po wygranych wyborach w 1997 roku wygrali jak chcieli, stworzyli rząd razem z „Unią Wolności”, na czele stanął Buzek, natomiast zasadniczym błędem Krzaklewskiego było sterowanie rządem z drugiego szeregu. Wielkim nieporozumieniem było dokonywanie drastycznych czystek na wielu stanowiskach. No i słynni bracia Kaczyńscy którzy wypowiedzieli słynne TKM. Oni chcieli wyczyścić wszystko do końca zapominając, że oni również byli umoczeni w tych wszystkich aferach, chociażby telegraf biorąc „PC” słynne gdzie również byli, gdzie byli to niczego nie budowali a rujnowali bez żadnego doświadczenia praktycznego. Czyszczenie stanowisk i obsadzanie nowymi ludźmi, ludźmi, którzy nie do końca dorosli do tego żeby sprawować funkcje państwowe i służyć ludziom i narodowi tylko kiedy dorwali się do władzy, kiedy zobaczyli kasę to po prostu Bóg im odebrał rozum w tym momencie i zaczęli widzieć tylko własny interes. Tolerowanie tego przez Pana Krzaklewskiego, który okazał się bardzo słabym politykiem, bardzo słabym przywódcą, który nie reagował na różnego rodzaju publikacje, na informacje dziennikarzy o aferach związanych z członkami „AWS” to spowodowało spadek zaufania społecznego do tej formacji politycznej. Im dłużej Buzek rządził tym więcej popełniał błędów a już wprowadzone przez niego nieprzygotowane cztery reformy to już był koniec, ja już jako znany polityk w Polsce ja już wiedziałem, że to jest koniec „Solidarności”. Wtedy nasze działania zostały spotęgowane. Przypomnę, że w 1997 roku nie startowaliśmy w wyborach parlamentarnych. Ja osobiście startowałem do senatu nie licząc wtedy na żaden wynik. Z pełnym przekonaniem wiedziałem, że to nie jest nasz czas, że to jest czas „Solidarności”. Ludzie podzielią się na lewo, na prawo i nie ma żadnej szansy. Dopiero wtedy kiedy zobaczyłem te ruchy „Solidarności”, to teraz mówię jest czas, bo na pewno wygra lewica, bo ludzie znowu się odbijają od prawej strony do lewej strony, ale zostanie pustka po „Solidarności”, że ci ludzie którzy na lewicę, to wiadomo pójdą na lewicę, część „Solidarności” też na nich pójdzie, ale zostaną ci, którzy nie będą mieli na kogo pójść. Wiedziałem, że oni w dużej części pójdą na „Samoobronę” i tak się po prostu stało, że ludzie nie wierząc ugrupowaniom „posierpniowym” zmiotli ze sceny politycznej i „Unię Wolności” i „AWS”.

**W.U:** Jaką rolę w działaniu partii politycznych odgrywają, Pana zdaniem, badania socjologiczne? Czy są one wykorzystywane przez polityków do określenia strategii i programów politycznych? Czy służą jako źródło informacji o rzeczywistych oczekiwaniach i potrzebach Polaków? Czy są wykorzystywane tylko i wyłącznie instrumentalnie dla potrzeb np. kampanii wyborczych? Czy stanowią element komunikacji społecznej z wyborcami?

**A.L:** Ja myślę, że duża część polityków wykorzystuje badania socjologiczne tylko instrumentalnie. Politycy przywiązują dużą wagę do badań moim zdaniem niesłusznie, bo ja do tego wagi nie przywiązuję. Politycy przywiązują dużą wagę do preferencji wyborczych, bo są badania robione przez ośrodki badań i uważają, że jak tam podają o mamy 10%, o dobrze to już jesteśmy, 14% co ja tam będę jeździł po kraju, po co będę tracił zdrowie i czas, nie ma co jeździć. Ja natomiast powiem, że one powinny odgrywać bardzo dużą rolę, tylko polityk ma tą trudność stwierdzić które z tych badań socjologicznych jest prawidłowe a które jest robione na zlecenie. Ja nie chcę ubliżyć żadnemu socjologowi, żadnym ośrodkom badań opinii publicznej ale niekiedy czytając jedno opracowanie i drugie dostrzegam zasadniczą różnicę między badaniami. Zależy kto robi badanie. Kiedy sięgnę do życiorysu tego socjologa, który to robi, kiedy popatrzę co to jest, ja wyciągam z tego wnioski może nie w stu procentach słuszne, ale wnioski, które dają mi bardzo wiele domyslenia. Myślę, że do tej pory udaje mi się wyciągać w miarę prawidłowo wnioski, bo wiem które badanie wybrać, które jest w

miarę obiektywne, bo do końca prawdziwe żeby było trafne na 100% to żadnego nie ma ponieważ ludzie są po prostu zmienni. Natomiast są takie badania, które mnie dają bardzo dużo na temat nastrojów jakie są w danym środowisku, na co ludzie czekają i wtedy ja wiem jaką zastosować taktykę wyborczą, nad jakim hasłem wyborczym pracować, co ludziom mówić, bo przecież w pewnym sensie polityk to też jest taki gracz. Ja oczywiście staram się jak najbardziej uczciwie robić to co robię, natomiast nie da się samą uczciwością, że ja wyjdę i powiem: słuchajcie rodacy, ja jedyny mam rację, ja wam zrębię wasz los itd. no niestety ludzie z pełnym szacunkiem jak powiedziałem dla ich inteligencji, mądrości, ale ludzie niekiedy nie lubią słuchać prawdy, ludzie lubią słuchać jakiś tam sloganów, frazesów, o ktoś coś powiedział, fajnie o to jest dobre, trzeba umieć trafić w to wszystko i tu mnie te badania naprawdę w tym wszystkim pomagają. Wiem co powiedzieć do ludzi i jak powiedzieć, bo socjologowie pewne zdania, które piszą to ja je wykorzystuję w swojej praktyce po to żeby osiągnąć cel. Ja nie wyznaję zasady, że cel uświęca środki. Natomiast żeby osiągnąć cel jakim w moim wypadku i „Samoobrony” jest rządzenie krajem, zmiana tej sytuacji, zmiana programu, wprowadzenie naszego programu gospodarczego, finansowego, socjalnego, polityki międzynarodowej to uważam, że tutaj cel uświęca środki byle one były w zakresie prawa lub na pograniczu prawa i myślę, że to właśnie tym jest podyktowane.

**W.U: Co Pana zdaniem, oznacza w działaniu partii politycznych populizm? Jaka granica dzieli demagogię od wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom społecznym?**

**A.L:** Populizm, demagogia, populistą, demagog, proszę tylko się przyjrzeć, kto tych słów używa, kto kogo określa tak. Przeważnie jest tak, że śledząc pewne przemiany polityczne jakie następują na świecie - ja mówię o okresie powojennym i trochę sięgam do okresu przed wojną, między pierwszą a drugą wojną, czas faszystów tworzenia się, czas sanacji itd. - przecież ci którzy doprowadzali do sytuacji niezadowolenia społecznego, kiedy trafiał się ktoś dla mnie to jest niechlubna postać i Hitler i cały faszizm i Mussolini i inni to są postaci zbrodniarzy i nie ma dwóch zdań na ten temat, ale w pierwszym okresie swojej działalności oni też mieli dobre intencje, oni też mieli dobre programy i wtedy nazywano ich populistami, demagogami.

Później doprowadzono ich do takiej sytuacji, że oni dostali jakieś wsparcie... no nie wiem, nie wnikam w te szczegóły, ale później zeszli z drogi demokracji. Oni na początku też ludziom mówili co dotyczyło ludzi, bezrobocie, bieda, nędza itd. Ten dalszy okres to zbrodnie, to faszizm, który absolutnie nie ma racji bytu, nie może nigdy wrócić na świat. Następnie weźmy okres po wojnie, dzisiaj ci, którzy mówią o mnie o „Samoobronie”- populiści, demagodzy, co oni tam wiedzą. No przecież oni to samo mówili, jedni z PZPR o „Solidarności”, że to demagogia, co tam „Solidarność”, co to za ruch, populiści chcą się dorwać do władzy, nie mają programu itd. W pewnym sensie mieli rację, bo okazało się, że kiedy „Solidarność” przejęła władzę, to nie miała programu. Teraz „Platforma Obywatelska”, „PiS”, „PSL” już nawet teraz mówią: Miller, populizm, demagogia, co on tu opowiada to jest nierealne itd. Ci sami ludzie wobec siebie to stosują, ale jak się znajdzie ktoś inny, kto nie jest z ich powiedziałbym salonu, to wówczas jednoczą siły wszyscy i teraz w Polsce największym populistą i demagogiem jest Lepper i „Samoobrona”. Oni nie mają programu, oni nie wiedzą co trzeba zrobić, ale jak się wda z nimi w dyskusję, powie się kilka argumentów, konkretów to właśnie oni odpowiadają: Panie! To populizm. To proszę, niech Pan przedstawi program - odpowiadam ja. Proszę, niech Pan przedstawi program waszej partii, wy realizujecie swój program 14 lat, mówicie, że macie same konkrety, wy jesteście przygotowani, gabinety cieni, ileś tam zespołów, w szufladach programy. Dochodzicie do władzy i co się okazuje? Że to wy byliście populistami, wy jechaliście na populizmie, demagogii itd. Ja przedstawiam konkretny program, którego nie będę zmieniać.

Populiści i demagodzy to moim zdaniem ci, którzy w zależności od sytuacji zmieniają swój program, dostosowują się do potrzeb ludzi. Ja też tego nie mogę uniknąć w działalności

swojej żebym nie widział potrzeb ludzi. Natomiast główne ramy programu mam niezmiennie. Dlatego oni często tłumaczą mnie, tłumaczą ludziom, że zobaczcie Lepper już to mówił kiedyś a Lepper o tych pieniądzech już to mówi z 10 lat. Ja powiedziałem tak i będę jeszcze 10 lat o tym mówił, bo ja wiem, że one są i bez sięgnięcia po te pieniądze, bez reformy finansów państwa nic się nie zrobi. Nie mając argumentu, wiedząc że już udowodniłem, że są w Polsce pieniądze to demagogia, populizm itd.

Także te różnice między populizmem a demagogią mógłbym rozumieć tak, że demagogia to może być coś całkowicie nierealnego. Natomiast populizm może być pokierowany na osiągnięcie celu i jeżeli patrzy się na to, to tak. Biorąc te słowa z greckiego i z łaciny, to one sprowadzają się do ludu, do walki o wartości te, które są największe dla człowieka, o jego godność, o sprawiedliwość społeczną, równość wobec prawa. Jeżeli takim mnie widzą, to jestem im wdzięczny za to.

Uważam, że czysta demagogia nakierowana tylko na to, że ja nie mam, ja nie wiem co trzeba zrobić, ale mnie się zamarzyło być kimś wielkim jest niebezpieczna bardzo i ona doprowadza do tego, do czego doprowadziła ruch „Solidarność”, „Unię Wolności” i do czego doprowadzi w najbliższym czasie „SLD” i „PSL”. Natomiast umiarkowany populizm, populizm, który ma przynieść sukces dla danego programu w który ja nazywany populistą głęboko wierzę i wierzę w realność tego programu, który może zmienić sytuację danego kraju, sytuację obywateli, poprawić, zmienić ją na lepsze, to ten umiarkowany populizm moim zdaniem jest potrzebny a nawet jest wskazany.

**W.U:** Czy istnieje Pana zdaniem, sprzeczność pomiędzy realizacją w polityce określonych wartości (np. religijnych) a skutecznością w rozwiązywaniu problemów egzystencjalnych Polaków? Moje pytanie w istocie dotyczy hierarchii zadań przyjmowanych do realizacji przez różne ugrupowania polityczne. Jest to pytanie o proporcje pomiędzy tym co określamy „ideowością”, a pragmatyzmem polityków. Co Pana zdaniem jest ważniejsze?

**A.L:** Oczywiście, że w życiu człowieka, a tym bardziej polityka, powinny być przestrzegane pewne wartości. Te wartości dla nas, kraju katolickiego, kraju gdzie tradycja chrześcijańska i katolicka jest bardzo głęboka, gdzie wiara jest szanowana, jeszcze w dobie kiedy Polska ma największy autorytet na świecie w postaci Ojca Świętego Jana Pawła II, nie można od nich pod żadnym względem odejść o tych wartości. Natomiast, to nie może być tak, że my będziemy mówić o wartościach, tak jak to czyniły i nadal czynią ugrupowania „posierpniowe”, że najważniejszy jest człowiek i jego byt, godność, sprawiedliwość społeczna, społeczna nauka kościoła, a z drugiej strony kiedy te ugrupowania mają szansę wdrożyć to w życie, robią całkowicie coś innego. Tak jakby te dziesięć przykazań bożych było tylko na papierze, dla kościoła - w niedzielę rączki złożyć, w pierwszej ławce usiąść, a wychodząc z kościoła już: „a ci komuniści, a to bandyci, a to tacy, a to inni” i zganiać wszystko na kogoś. Także, taka ideologia jest dla mnie nie do przyjęcia. Człowiek powinien mieć pewne wartości, natomiast kiedy dochodzi do władzy, to powinien te wartości próbować przekazać innym. Natomiast, nie zrobi się nic, jeżeli będzie się mówić tylko o ideologii i nie będzie w tym, w pewnym sensie - powiedziałbym - pragmatyzmu polegającego na pogodzeniu ideologii z ekonomią - tu trzeba być naprawdę wielkiej klasy pragmatykiem, żeby móc to pogodzić. Ja powiem coś niepopularnego teraz, co uważane jest za słowa Marksa, Engelsa, Lenina - nie, to już powiedzieli starożytni filozofowie - że byt buduje świadomość, nie świadomość buduje byt. Niech nikt nie mówi, że Lepper jest wyznawcą komunizmu, socjalizmu, bo ja jestem człowiekiem wierzącym i praktykującym. Natomiast proszę sobie wyobrazić te trudności jakie są dzisiaj w kraju, czy to nie jest pokaz tego, że właśnie byt buduje świadomość? Proszę pójść do kościołów dzisiaj, w niedzielę - ilu jest ludzi w kościołach? Proszę rozmawiać z ludźmi, o czym rozmawiają? O sprawach doczesnych, o tej misce zupy przysłowiowej, o tym głodzie, o tym braku pieniędzy na kształcenie dzieci, na

buty dla nich, na opał na zimę, na zapłacenie czynszu, na wykupienie recepty o tym rozmawiają ludzie.

Oczywiście, najlepiej to jest wtedy, kiedy to jest takie spójne, kiedy można mówić o równowadze między bytem i świadomością, ale to będzie wtedy, kiedy człowiek podstawowe potrzeby życiowe będzie miał zaspokojone, poprzez własną pracę. Praca uszlachetnia człowieka i za tą pracę, jeżeli człowiek będzie mógł żyć godnie, to on będzie budował swój byt i będzie miał czas sięgnąć po gazetę, spokojnie wysłuchać radia, wiadomości telewizyjnych, będzie mógł to przemyśleć itd. Kiedy jest zapędzony potrzebami dnia codziennego, to on na to czasu nie ma. Dlatego też, trzeba w polityce być pragmatykiem, natomiast nie można co innego mówić, a co innego robić, bo moim daniem to są takie krótkie nóżki polityczne. Kłamstwa polityczne mają krótkie nogi. Przecież „AWS” miał fajnie pierwszy rok - pałace poprzejmowali, wszystko, balowali, jeździli zagranicę i już Pana Boga za nogi złapali, a tu co rok gorzej i kopniak polityczny i margines polityczny całkowity. To samo dzisiaj myślę, że demagodzy, populiści i intryganci polityczni z „Sojuszu Lewicy Demokratycznej” są na najlepszej drodze, aby to „osiągnięcie” ruchów „posierpniowych” powtórzyć.

**W.U:** Jak Pan postrzega i definiuje to, co zwykliśmy często określać mianem misji publicznej, którą mają do wypełnienia politycy? Jaki powinien być, Pana zdaniem, związek pomiędzy tak rozumianą misją publiczną, a oczekiwaniami społecznymi? Co polityk ma do zrobienia?

**A.L:** Każdy polityk, przede wszystkim, powinien kierować się dobrem społecznym, dobrem tych, których reprezentuje bez względu na przekonania polityczne i religijne. Każdy polityk musi odpowiadać za całość narodu i bierze w obronę całość narodu. Ja nie mogę jako polityk powiedzieć, że jak ja dojdę do władzy, to ja wybiorę moich zwolenników „Samoobrony” i im stworzę w Polsce sielankę. To jest błędne rozumowanie całkowicie. Posądzam o takie rozumowanie przede wszystkim ruchy „posierpniowe”, bo dużo więcej cwaniactwa politycznego jest po stronie lewicy, oni umieją to zakamuflować, oni są obrońcami całego narodu, oni zwracają się do wszystkich. Tamci, jakby wręcz segregowali ludzi, mówili: „postkomuna koniec, byłeś w PZPR to koniec”. Ci tego nie stosują, może w praktyce przy zajmowaniu stanowisk robią to. Natomiast polityk powinien reprezentować wszystkich ludzi i nie oszukiwać ich, tylko mówić: „dojdę do władzy i ja was wszystkich będę traktować jednakowo”. Jeżeli taką drogą idzie polityk, to tą misję, którą ma do spełnienia - bo każdy z nas, jak powiedziałem, ma coś tam wyznaczone, ja jako człowiek wierzący, wierzę w przeznaczenie, wierzę w misję - bez przesady, żebym się nie uważał, że ja już mam największą misję do spełnienia w Polsce i nie tylko, ale staram się, to co zostało mnie powierzone wykonywać jak najlepiej - aby tą misję wykonywać jak najlepiej, to w moim przypadku, czego nie widzę u zdecydowanej większości polityków, pomaga w tym bezpośredni kontakt z ludźmi. To jest ta misja - być z ludźmi, słyszeć ich problemy, mówić ich językiem i załatwiać ich problemy, jeżeli będzie to dane, bo dzisiaj nie jest mi dane żebym ja ich problemy załatwiał do końca. Ja mogę je sygnalizować, ja mogę je przedstawiać, ja mogę przedstawiać projekty ustaw, uchwał w sejmie, ale dzisiaj nie mam wpływu na to jaki będzie finał tego wszystkiego, bo wiadomo, że większości w parlamencie 231 posłów, my nie mamy. Ja mogę to robić tylko połowicznie, ja mogę ludziom nadzieję dawać, mogę ludziom tłumaczyć, że jak dacie nam szansę na sprawowanie władzy - żebym ja miał 231 posłów, którymi mogę kierować, mogę rządzić krajem, to ja to zrobię i to jest ta misja. Natomiast błędem jest polityków to - i to jest też, bym powiedział, oszustwem politycznym - że politycy pokazują się wśród ludzi wtedy, kiedy są kampanie wyborcze i myślą, że oni tą misję mają wtedy. Ta króciutka misja dwa, trzy miesiące, a później po co? Za cztery lata znowu przyjadę i znowu ogłupię tych ludzi, oni muszą iść głosować na mnie, bo na kogo pójdą głosować i tym przegrali, dlatego, że tak ludzi traktują, uważają ludzi za naiwnych, mało inteligentnych -



przeegrali. Dlatego właśnie dzisiaj jest w sejmie „Samoobrona”, dlatego, że oni lekceważyli ludzi i nas. Ja mam inną taktykę. To był szok w sejmie kiedy ja zostałem wicemarszałkiem sejmiku i nie dlatego, że zostałem, bo to ugrupowanie trzecie było i to jakby z klucza nam się należało i czy się komuś podoba Lepper czy się nie podoba - mnie się może Tusk podobać, czy nie podobać, to są drugą siłą w parlamencie, należy się im i wicemarszałka mają, czy to byłby Tusk, czy ktoś inny, to dla mnie nie ma znaczenia, jest to ich człowiek wybrany i koniec.

Dla nich był szokiem nie to, że ja objąłem tę funkcję, tylko, że mając tę funkcję Lepper zaczyna znowu jeździć do ludzi. Oni mi powiedzieli swego czasu, że on nie skończył kampanii, on chyba zapomniał, że wybory się skończyły. Gdzie ten szalony Lepper jedzie? Kupców bronić do Włocławka, tam komornika pogonił gdzieś, tu kobietę usuwają z mieszkania z dziećmi w Radomiu, on idzie i goni policję jako wicemarszałek sejmiku - policja ucieka bo się go boi, bo ma jakąś władzę, ten szalony Lepper, co on robi? Przychodzili do mnie i mnie pytali: „czy ty wiesz, że kampania wyborcza już się skończyła?”. Dla mnie ona trwa nadal i będzie trwać tak długo, aż naprawię sytuację obywateli tych, którzy mi zaufali. I nie myślcie, że daliście mi jakiś stołek, że ja jestem tu w Sejmie, że dostaję pieniądze, że marmury, że to mi poprzewraca w głowie. Ja cały czas będę konsekwentnie iść i to uważam za dobrze wykonywaną misję wobec wyborców.

**W.U:** Czy Pana zdaniem doszło do ukształtowania się w Polsce, świadomości „homo sovietikus”? jeśli zgodzą się Pan z tym poglądem, to proszę o sprecyzowanie, co ten termin według Pana oznacza?

**A.L:** Należało by wrócić do tego, co powiedziałem wcześniej, że byt buduje świadomość, a nie odwrotnie. Człowiek świadomy, człowiek myślący, czy on został ukształtowany za okresu PRL, człowiek zawsze musiał mieć w życiu jakieś wzorce do naśladowania, musiał podlegać komuś. Nie ma w dziejach świata okresu, w którym każdy robił co chciał, bo nawet w epoce kamienia łupanego, czy w starożytności, też jakiś przywódca nad każdym był i uważanie kogoś za tego, który jest niższy ze względu na brak wykształcenia, że on nie potrafi zarządzać, że on jest tylko pracownikiem fizycznym itd. uważam, że jest błędnym rozumowaniem. Ci, którzy mogą zarządzać ludźmi nie powinni ich traktować jako niewolników. Nie powinni myśleć, że ci ludzie nawet w swoich poglądach są niewolnikami, bo ja im mogę narzucić swoje poglądy. Dużo było takich sytuacji w dziejach świata, chociażby niewolnictwo w Brazylii, Afryka, gdzie ludzie buntowali się i też uważano ich za niewykształconych, nieświadomych ludzi, którzy nie będą mogli niczego zrobić, a później okazywało się, że ci ludzie, którzy nie umieli czytać i pisać - ktoś raptem gdzieś się nauczył czegoś, coś gdzieś zobaczył - i ci ludzie potrafili się zbuntować i zmieść z powierzchni ziemi swoich oprawców.

Ja bym nie przeceniał tego zjawiska - oczywiście że propaganda w okresie PRL ukierunkowana była na to, że tylko przewodnia siła narodu PZPR ma rację, że mamy słuchać, że to wszystko w imię dobra kraju, w imię przyszłych pokoleń. Ona jakimś piętnem odcisnęła się na umysłach Polaków. Natomiast muszą być ludzie, którzy będą rządzić i muszą być ci, którzy będą słuchać i tych, którzy słuchają, wykonują pewne polecenia, wykonują pracę nie można nazywać, że to są bezmózgowcy, że to są ludzie, którzy zgodzili się z rolą niewolnika, poddanego, bo to samo można by odnieść do tych, którzy to tłumaczą o PRL, do tych którzy rządzili nie tak dawno, do ruchów „posierpniowych”. A za kogo oni uważali ludzi - kto się gdziekolwiek zbuntował trochę, nie pamiętamy tych protestów rolniczych - gdzie Buzek, Tomaszewski wydali rozkazy strzelania do chłopów w 1999 roku. Uważali chłopów za co? Później przyszli ich ludzie protestować - przecież kiedy był Ojciec Święty w Polsce w 1999 roku, po odjeździe Ojca Świętego z Polski pracownicy Radomia przyjechali do stolicy i dziennikarz wtedy stracił oko, bo też traktowano ich jak niewolników. „Co wy tu nam będziecie podskakiwać? Co będziecie udowadniać swoje racje? A won, poszli do roboty!” Jak

tamci robili, to było złe, ale jak my to robimy to, to jest dobre. Takiej zasady ja bym nie wyznawał i uważam, że w polityce powinniśmy się tą jedną zasadą kierować, że władza powinna służyć obywatelom.

**W.U:** Gdyby przyszło wskazać pięć podstawowych i najważniejszych cech, którymi powinien charakteryzować się polityk, to jakie to byłyby cechy? Proszę o krótkie uzasadnienie.

**A.L:** Pierwszą cechą jest uczciwość polityczną i być czystym, w miarę, moralnie, bo nie da się być do końca ideałem. Druga cecha to skromność osobista, nawet jeśli polityk jest powyżej pewnego poziomu życia w stosunku do innych grup społecznych, to nigdy nie powinien być zadufany w sobie i innych uważać za gorszych.

Następną cechą jest prawdomówność. Czwartą cechą, którą winien charakteryzować się polityk jest wrażliwość społeczna. No i cecha, która nie musi charakteryzować wszystkich polityków, bo politycy są szczebla niższego, średniego i wyższego, ale polityków, którzy są szczebla najwyższego, to przede wszystkim charyzma, wiara w to co się robi.

Polityk, który chce osiągnąć duży sukces, który chce być politykiem na miarę przywódcy, który chce być politykiem mogącym rządzić daną społecznością, danym krajem, musi posiadać tą charyzmę. Charyzma to nie tylko mówienie o tym, że ja ją posiadam, ja nawet nie mogę myśleć, że ja ją posiadam. Jeżeli chce się pokazać, że jest się charyzmatycznym przywódcą, to, to nie wychodzi dlatego, że ci przywódcy, którzy wzorują się na kimś - tak jak dużo przywódców partii chłopskiej, jaką jest „PSL” na Witosie, czy na Mikołajczyku i innych z ruchów narodowych, na Dmowskim, na innych - no oni się teraz wstydzą socjalistów - czy komunistów, na Marksie, Leninie, czy Engelsie, czy prawicowców, na różnych autorytetach zaczynając od Ch. de Gaulle'a poprzez autorytety typu Pani Tacher i innych - oni się wcześniej, czy później spalą. To nie jest wtedy charyzmatyczny przywódca. Przywódca charyzmatyczny, to ten, który ma to w sobie i on nikogo nie naśladowe. Ja, jeżeli miałbym mówić o sobie - ja nie wzoruję się na nikim, ja oczywiście bardzo cenię takich ludzi, jak Piłsudskiego, Dmowskiego, de Gaulle'a, Olofa Palme, w pewnych sprawach cenię również Panią Tacher, chociaż ona nie była nigdy związana z ruchem robotniczym tylko była „żelazną damą”, ale pewne jej posunięcia cenię i muszę umieć wyciągnąć z tego wnioski. Natomiast ja, jako przywódca miałbym tą cechę charyzmy, codziennie przyświadczać się w przekonaniu siedząc przed lustrem mówiąc: „O Witos, to nie nosił krawata, a ja też nie będę nosił. Piłsudski, to Bereza Kartuska - on ich tam za mordę wziął, on im tam w sejmie dał, on ich tam od różnych obrzucał itd., to ja też taki będę”. To się naprawdę nie uda, bo to trzeba mieć po prostu tą charyzmę w sobie. Trzeba być z ludźmi przede wszystkim, czuć ich problemy, wierzyć głęboko w to, co się robi.

Wrażliwość społeczna to jest bardzo trudna cecha dla mnie osobiście również, dlatego że ktoś może powiedzieć jak Lepper może być wrażliwy społecznie, przecież jemu nie brakuje pieniędzy, ma dobry warsztat pracy, urządzony dom, dzieci studiuja, na jedzenie mu nie brakuje, na leki nie brakuje, będzie chciał jechać na wczasy - może sobie jechać, chociaż powiem, że ja w swoim życiu nigdy nie byłem na wczasach i jako kierownik w gospodarstwie rolnym i później jako rolnik i jako polityk - nigdy nie byłem na wczasach, poza tym, że byłem z wizytą w Brazylii, w Indiach, jeżeli można to wczasami nazwać, to tak.. Jak Lepper może być wrażliwy społecznie? Jak on ma, a obok sąsiedzi nie mają. Ja wyrosłem z wielkiej biedy. Ja pamiętam, że w domu brakowało na chleb. Ja przeżyłem ciężkie chwile, bo mając 11 lat ojciec zmarł, zostaliśmy w domu, ja jestem dziesiątym dzieckiem - także tej wrażliwości społecznej jestem nauczony. Ja doznałem wielkiej biedy w życiu i również wiem, co to jest bogactwo, nie bez troski tryb życia, ale co można jeszcze chcieć jak się ma praktycznie życie na poziomie odpowiednim - ja to też wiem. Natomiast mój charakter ukształtowała bieda - problemy społeczne i to we mnie zostało. Ja nie mogę patrzeć poprzez pryzmat - jako polityk, jako przywódca - ja nie mogę patrzeć poprzez pryzmat tego, co mam ja i moje dzieci, tylko

muszę widzieć tych ludzi obok i tą wrażliwość społeczną mam i będę mieć do końca. Dlatego też, wszyscy są zbulwersowani, kiedy ja mówię o sprawach społecznych, o biedzie, o minimum socjalnym - co on może na ten temat mówić? A właśnie to, że ja jestem z tymi ludźmi, ja widzę to wszystko, co się dzieje i ja również widziałem na świecie, co się dzieje. Ja nie chcę jako Lepper budować twierdzy wokół swojej posiadłości i na rogach ustawiać wieżyczki i ludzi z Kałasznikowami, tak jak jest to w Brazylii, w Argentynie, w Chile, w Indiach, w Bangladeszu, że tam też są bogaci ludzie ale wkoło 80%, czy nawet 90% to głód, nędza, ubóstwo i bogactwo chronione przez siłę, także takiej wrażliwości społecznej ja nie popieram.

Prawdomówność. Oczywiście nie da się być prawdomównym do końca i niech żaden polityk nie mówi, że jest prawdomówny. Gdyby był prawdomówny do końca, to bym pewnych spraw nie mógł osiągnąć i pewnych spraw nie mógłby osiągnąć w polityce zmierzając do celu. Pewne sprawy, o których by powiedział, byłyby niewygodne, źle zrozumiane przez ludzi, ludzie powiedzieliby, że to co on opowiada jest niemożliwe. Więc pewne sprawy, ale w takiej dobrej intencji, można przemilczeć. Natomiast absolutnie nie można okłamywać ludzi. Nie można ludzi oszukiwać, że wybierzcie mnie, ja wszystko zmienię, a później dochodzi się do władzy i nie zmienia się niczego, to jest po prostu oszustwo polityczne.

Uczciwość musi polegać na tym, że ja sam muszę pokazać, że jestem czysty, że to co ja mam, to czego się dorobiłem, to co ma rodzina, to nie jest osiągnięte poprzez jakieś defraudacje, poprzez zamach na czyjeś mienie. U nas w Polsce w ostatnim okresie mamy bardzo dużo przecież tych przypadków, afer, różnego rodzaju korupcji i to jest zamach na mienie narodowe, który odbył się wciągu tych czterestu lat.

**W.U: W Monitorze Wiadomości, powiedział Pan, że Polska aktualnie potrzebuje rządów silnej ręki. Co Pan rozumie pod pojęciem rządu silnej ręki? I czy chodzi tutaj o Pana silną rękę?**

A.L: Pod tym pojęciem rozumiem jednoznacznie, władzę prezydencką. Ja opowiadam się za systemem rządzenia na wzór Stanów Zjednoczonych, czy Rosji. Prezydent musi mieć w Polsce silną władzę, ale prezydent również musi rządzić i odpowiadać za to, co robi. Dzisiaj w Polsce mówiąc, że potrzebne są rządy silnej ręki, mam na uwadze to, że musi ktoś w końcu być odpowiedzialny za to, co się w kraju dzieje. Nasza Konstytucja z 1997 roku, co prawda wprowadziła zasadę trójpodziału władzy. Natomiast, tak na dobrą sprawę, co się dzieje w kraju wszyscy widzimy. Prezydent narzeka na rząd, rząd narzeka na prezydenta, rząd narzeka na parlament, parlament narzeka na rząd i prezydenta i taka taktyka spychania jest powszechna. Prezydent mówi: „To nie ja jestem winny, ja mam za mało władzy, to rząd jest winny”. Rząd mówi, że to parlament przyjął ustawę - my tylko ją realizujemy. Parlament mówi, że ten rząd jest do niczego, nie przygotowuje odpowiednich ustaw, a jak przygotowuje, to większość, która współpracuje z tym rządem przegłosowuje te ustawy. Mnie taka władza nie odpowiada. Ja, jeżeli miałbym rządzić krajem, jeżeli by to było dane z woli narodu właśnie, opowiadam się za rządami twardej ręki. Natomiast, nie mylmy tego z dyktaturą, z reżimem Husajna. O tam jest dyktatura - też rządy silnej, twardej ręki, morderstwa, zabójstwa, to absolutnie nigdy nie chodziło mi po głowie. Tylko zdecydowane rządzenie. Nawet powiem, w tym wypadku jaki jest dzisiaj rządzenie dekrétami za przyzwoleniem parlamentu. Decyzje muszą zapadać szybko, muszą być zdecydowane i oczywiście związane z tym, że decyzje które ja podejmę, to biorę za nie odpowiedzialność.

### Rys autobiograficzny Andrzeja Leppera

Urodziłem się 13 czerwca 1954 roku, dokładnie w miejscowości Stowięcino - dawne województwo śląskie, obecnie jest to pomorskie - w rodzinie robotniczej, chociaż moja mama miała pochodzenie chłopskie. Rodzina ziemiańska przed wojną powiedziałbym, bo gospodarstwo dosyć duże. Ojciec natomiast, przed wojną i po wojnie, był robotnikiem. Ja byłem dziesiątym dzieckiem, chociaż jeden z naszych braci, jako dziewięciomiesięczne dziecko w czasie wojny, z powodu choroby zmarł. Nasza rodzina była biedna. Rodzice po wojnie pracowali w Pegeerze. Przemieszczali się, tak jak wiele polskich rodzin, z jednej miejscowości do drugiej. Ojciec pracował na stanowisku brygadzysty oborowego. Mama, ze względu na chorobę, od najmłodszych lat nie pracowała i zajmowała się wychowaniem dzieci. Zresztą, ze względu na tak liczną rodzinę, trudno byłoby pogodzić obowiązki domowe z pracą zawodową.

Moją osobowość kształtowali rodzice, natomiast ojciec wcześniej zmarł, miałem wtedy 11 lat. Nie zapomnę, że w domu, do śmierci ojca, to on rządził twardą ręką - był dla nas autorytetem i wystarczyło, że ojciec rzucił znaczące spojrzenie i już wiedzieliśmy o co chodzi. Także nie było żadnego rozpieszczania nas, zresztą i ta sytuacja po wojnie mało, którą rodzinę rozpieszczęła - większość rodzin żyła w biedzie. Natomiast od najmłodszych lat mój charakter ukształtowała mama dlatego, że kiedy pierwszy raz poszedłem z mamą do kościoła, miałem niecałe 6 lat, i zacząłem służyć do mszy. Mój dzień zawsze rozpoczynał się mszą świętą. Ja przypominam sobie z młodości czas, kiedy byłem chory i mama nie zbudziła mnie do kościoła rano na godzinę siódmą, to ja płakałem - dlaczego nie byłem w kościele, dlaczego mama tak postąpiła, a mama zrobiła to w trosce o moje zdrowie. Tak było aż do końca ósmej klasy. Wszystko wskazywało na to, że rozpocznę naukę w seminarium duchownym, dlatego, że dużo czasu spędzałem w kościele - może nie aż tak przesadnie, ponieważ lubiłem od najmłodszych lat sport.

Później szkoła średnia. Niestety, wbrew oczekiwaniom rodziny, nie podjąłem nauki w seminarium duchownym.

Chciałbym powiedzieć, że już w szkole podstawowej wykazywałem pewne cechy przywódcze, ale nie ja kreowałem się na przywódcę tylko, czy to była drużyna piłki nożnej, czy piłki ręcznej, czy później w szkole średniej w zapasach, czy w drużynie bokserskiej, ja zawsze byłem kapitanem drużyny. Zawsze koledzy uważali, „że Andrzej, ty będziesz kapitanem”. No nie powiem - czułem się dobrze jako sportowiec i jako kapitan tej drużyny. Dalej to się też jakoś za mną ciągnęło (nikt o tym jeszcze nie pisał chyba). W czasie odbywania zasadniczej służby wojskowej zostałem skierowany na trzymiesięczny kurs przygotowania do wojsk chemicznych w Gdyni - Grabówek, a służyłem w jednostce wojskowej w Rędzikowie pod Słupskiem i tam dowódca plutonu, nasz młody porucznik, w trakcie tego kursu zauważył, że coś chyba we mnie jest, bo po powrocie do Rędzikowa, jako żołnierza po trzymiesięcznym stażu, wyznaczył mnie na stanowisko szefa plutonu. Nie było etatowego szefa plutonu, bo to było zabezpieczenie lotniska i ja rządziłem rano i stawiałem na baczność kaprali, którzy mieli po półtora roku służby i więcej. Jakś umiałem znaleźć z nimi wspólny język. Wiadomo jak to jest w wojsku, są „koty”, są „starsi” i trzeba sprzątać. Koledzy z mojego rocznika na początku nie chcieli tego zaakceptować, ale znalazłem z nimi wspólny język. Jeżeli nie rozumiał któryś słowem, że to jest jego obowiązek, a do zakresu obowiązków szefa plutonu nie należy sprząkanie, to nie dawałem sobie w kaszę dmuchać - byłem bezwzględny dla jednych i dla drugich. Ten, który z młodych nie rozumiał, to też nieraz - powiem - cegłą szorował kibel, tak jak to w wojsku się robiło. To chyba we mnie tak pozostało.

W.U: Szkoła średnia?

A.L: W technikum rolniczym byłem niesformym dzieckiem. To wynikało z przedwczesnej utraty ojca. Rodzeństwo było w różnym wieku. Najstarszą z rodzeństwa, była



siostra. Różnica wieku między mną a siostrą wynosi 20 lat. Pozostali braci byli już poza domem. Jeden z braci, Antoni, mieszka w Gryficach, trenował boks w Czarni-Słupsk. Ja jako młody chłopak byłem przez niektórych rówieśników popychany - nie miałem żadnego kompleksu, ale jakbym czuł, że nie mam ojca i oni próbują mnie popychać - ktoś mnie uderzył. Brat wtedy przywiózł mi rękawice bokserskie i ubrałem je. Nie powiem, abym był mistrzem, ale na szczeblu okręgu dawałem sobie radę. Natomiast szkołę średnią zmieniałem czterokrotnie ze względu na zatargi z wychowawcami z internatu i rówieśnikami. Ktoś kiedyś powiedział, że Lepper szybciej uderza niż myśli. Ja nie pozwalałem sobie na to, żeby ktoś mnie popychał, ktoś uważał mnie za gorszego, że jestem z innej grupy społecznej - nie z tej, z której są wszyscy. W Słupsku - słynna ulica Szczecińska, technikum rolnicze - walki między technikum rolniczym, a ulicą, spowodowały przeniesienie do Złotowa. Jakiś konflikt w Złotowie spowodował kolejne przeniesienie do Karolewa i ostatecznie skończyłem technikum rolnicze w Sypniewie.

Pierwszą pracę podjąłem w Stacji Hodowli Roślin w Górzynie i tam dyrektor, z którym mam do dzisiaj kontakt zauważył, że ja potrafię rządzić ludźmi, grupą ludzi i już jako stażysta powierzał duże grupy ludzi. Powierzał mi nadzór nad praktykantami, nad hufcami, które przyjeżdżały, bo ja lubię w pracy porządek i dyscyplinę. Ja jestem dyscypliny nauczony - co zresztą może Pan zobaczyć u mnie w gospodarstwie - tu też i syn i pracownicy wiedzą, że maszyna ma być po pracy umyta i ustawiona. Ma być porządek, ja bałaganu nie toleruję. W tej pierwszej pracy po krótkim okresie, po odbyciu trzymiesięcznego stażu, zostałem najmłodszym kierownikiem stacji hodowli roślin - można powiedzieć ogólnie, pegeeru w Polsce.

**W.U:** Jak Pan postrzegał i jak Pan, w tej chwili, postrzega wydarzenia grudnia 1970 roku? Chodzi mi o to, jak w tamtym momencie je oceniał, czy może w ogóle nie miał Pan żadnego zdania na temat grudnia 1970 roku? Gdzie ten grudzień 1970 roku Pana zastał?

**A.L:** Ja miałem wtedy 16 lat. Byłem młodym chłopakiem, byłem uczniem pierwszej klasy technikum rolniczego w Słupsku. Przypominam sobie zamknięcie szkoły - zwolniono nas z internatu - problem z dojazdem do domu. Na dworcach była milicja, wojsko, bo przecież Słupsk położony jest niedaleko od Gdańska - szkółka milicyjna była w Słupsku. Natomiast trudno mi sobie przypomnieć, żebym ja wtedy mógł zająć jakieś stanowisko na ten temat. Szczerze powiem, że było to wydarzenie, które zostało w mojej świadomości - ja je przeżyłem - natomiast żadnych wniosków z tego nie wyciągałem i po żadnej stronie nie stawałem.

**W.U:** Jaka była Pana ocena i stosunek do „Solidarności”, ale w momencie jej powstania? Nie obecnie, tylko wtedy?

**A.L:** W momencie powstania „Solidarności” byłem członkiem PZPR. Dwa lata w swoim życiu - od 1978 roku do 1980 roku. W styczniu 1980 roku moje drogi z PZPR rozeszły się. Ja nie musiałem lżyć legitymacji PZPR, czy jej palić demonstracyjnie - pokazywać jakim jestem antykomunistą, teraz jestem w „Solidarności”. Natomiast dokładnie sobie przypominam kiedy tworzono „Solidarność” - ja już byłem indywidualnym rolnikiem, jesień 1980 roku, 1981 rok wiosna - na hura, jeszcze przed stanem wojennym, chodzono po wsi i zapisywano do „Solidarności”. Przyszedł do mnie sołtys i kilku ludzi, działaczy: „Słuchaj, ty jesteś młodym chłopakiem, byłeś kierownikiem. Nam tacy ludzie są potrzebni do „Solidarności”. Musimy zapisywać, jeździć na zebrania”.

Pojechałem na kilka zebrań - byłem na kilku wiecach w Darłowie, Sławnie, Koszalinie. Przyjrzałem się temu wszystkiemu - cały czas interesowałem się polityką, niektórzy lekceważyli Dziennik Telewizyjny, a mnie ciągnęło żeby wiedzieć, co się dzieje, - pojechałem na te wiece i tak posłuchałem tych ludzi. Nie miałem czasu wtedy na działania, bo byłem młodym mężem i ojcem (pierwsza córka nam zmarła) rocznego syna, ale interesując

się polityką i wiedząc, że to dotyczy mnie i mojej rodziny - pojechałem. Kiedy ja posłuchałem ludzi, zobaczyłem - już trochę znałem sąsiadów - patrzę, w tej zagrodzie brud, bałagan, pordezwiątałe maszyny, pola zaperzone, a on drze się: „Komuniści!”. I tak myślę, że ten który głośniej krzyknął „precz z komuną”, on zostaje wybrany przewodniczącym. Kiedy zauważyłem ludzi, których znałem z tego, że najlepszej opinii o nich nie miałem dlatego, że brud, pordezwiątałe maszyny, nieład w gospodarstwie, a oni krzyczą: „Precz z komuną!”. Ten, który krzyknął głośniej, to staje na czele. Jak ktoś krzyknął „Zamiast liści, będą wisieć komuniści”, to już go na rękach nosili prawie. Mówię: „To jest jakiś fanatyzm, to jest nieporozumienie, co tu się dzieje?”. Wtedy zdecydowałem, że ja poczekam. Stanę z boku, nie dlatego żebym popierał komunę, stanę z boku i przyjrę się temu wszystkiemu, co z tego wyniknie - albo rewolucja z tego będzie wielka i wtedy trudno, pójdziemy wszyscy, zabiorą mnie do wojska dadzą karabin i trudno, albo to jest coś niejasnego w tym wszystkim.

Dziękuję dzisiaj Bogu, że mnie uchronił przed tym, że nie byłem w takiej „Solidarności” jaką widziałam. Powiem szczerze, ja popieram ideały „Solidarności”, ja popieram 21 postulatów „Solidarności”, popieram ruch „Solidarność”, zryw narodu, zryw rolników i robotników. Natomiast od początku, to mi pachniało czymś niedobrym...

**W.U: Jaka była Pana ocena i stosunek do stanu wojennego?**

A.L: Ocena jest bardzo trudna. Stan wojenny zastał mnie, kiedy synek miał już dwa i pół roku. To był taki moment, którego nie zapomnę do końca życia. Ja przychodzę rano z obrządku i włączam telewizor, no niestety nie działał, a chciałem żeby dziecko rano obejrzało bajkę. Przyszedł do mnie sąsiad działacz „Solidarności”, przewodniczący „Solidarności” i mówi: „Co Pan nie wie, co się dzieje?”. Ja odpowiedziałem, że nie wiem. Sąsiad poinformował mnie o wprowadzeniu stanu wojennego. Był bardzo przerażony ponieważ obawiał się, że za swoją przynależność do „Solidarności”, zostanie aresztowany. Z niedowierzaniem przyjąłem tą wiadomość. Dopiero po powtórnym włączeniu odbiornika telewizyjnego usłyszałem to słynne przemówienie Generała Wojciecha Jaruzelskiego. Ja z wielką rezerwą podchodziłem do tego, z wielkim spokojem. Uważałem, że niemożliwe jest aby ktoś na nas napadł, żeby ktoś strzelał do swoich. Okazało się, że doszło do strzelaniny. Ja nie chcę oceniać, bo nie chcę występować w roli historyka. To co miało miejsce w kopalni „Wujek” czy w zagłębiu miedziowym, to był zbrodnie i tu tłumaczenia żadnego nie ma. Były to zbrodnie, strzelano do robotników, natomiast czy wśród robotników byli prowokatorzy, nie mnie to dzisiaj oceniać.

Na pewno mam ocenę na ten temat, ale myślę, że chyba nie w tym wywiadzie, nie w tej rozmowie. Ja uważam, że z jednej strony ten stan był potrzebny, bo to co już zaczęło się dziać w Polsce, ten przygotowany marsz głodnych na Warszawę, to mogłoby pociągnąć w skutkach wiele innych ofiar. Oczywiście nie byłem tam, ale z tego co wiem, nasi sojusznicy, nasi bracia z Układu Warszawskiego czekali tylko na sygnał i tu mógł nastąpić odwet za Pragę 1968 roku, mógł nastąpić odwet za Węgry 1956 rok, oni czekali w gotowości i mogła przelać się krew polska. W obronę nie biorę ani Jaruzelskiego, ani Kiszczaka. Ich decyzje niech oceniają sądy, które ich oceniają i nie mogą osądzić przez tyle lat - minęły już 22 lata od wprowadzenia stanu wojennego. Natomiast ten stan z jednej strony trochę te nastroje jakby uspokoił, ale z drugiej strony też pokazał całą prawdę o Wałęsie, o Bujaku. Później wyśmiewają się razem z Kiszczakiem, że kiedy jego szukali -najbardziej poszukiwany Zbyszek Bujak w Polsce - to on u Kiszczaka w piwnicy był przechowywany i sobie koniak popijali. No, to pokazało prawdziwe oblicze, kto tutaj manipuluje ludźmi.

**W.U: Przełomowe wydarzenie, w Pana ocenie, Pana kariery politycznej?**

A.L: Na początku, takim przełomem - bo ja nie liczyłem nigdy opuszczając ten dom w 1991 roku w miesiącu wrześniu, kiedy pojechałem pierwszy raz do Warszawy, po protestach w Dąblowie na rynku pod sejm żeby tam protestować, tam założyliśmy głodówkę, nie myślałem nigdy, że opuszczam dom, że wyjadę, tylko jechaliśmy żeby załatwić sprawę - było

to, kiedy zobaczyłem, że tej sprawy nie da się załatwić. Kiedy ja chodziłem między tymi ludźmi - politykami, przewodniczącymi związków kółek rolniczych „Solidarności”. przywódcami partii, takimi jak Pawlak z „PSL”, następnie Pan Szlisz, Gabriel Janowski, Pan Bąk, kiedy posłuchałem o czym oni rozmawiają to zrozumiałem, że oni nie mają zamiaru niczego załatwiać, tylko chcą się nas pozbyć z Warszawy.

Wtedy przełomem była ta decyzja, gdzie mnie powiedzieli: „Panowie, co wy tu robicie? Wracajcie do domu. Przecież wy nie macie osobowości prawnej”. Wtedy odezwał się we mnie taki charakter buntownika. Mówię, o wy łobuzy, dziady polityczne ja wam pokaże, co to jest osobowość prawna!

Przygotowaliśmy szybko, na kolanie, ustawę o związkach zawodowych - nie mieliśmy żadnego pomieszczenia. Statut związku złożyliśmy do sądu i powiedziałem, ja wam pokażę co to jest osobowość prawna, ale pamiętajcie, że ja nie wyjadę z Warszawy dopóki ja tych spraw nie załatwię. I nie załatwiliśmy ich do dzisiaj.

Drugim takim ważnym momentem były pierwsze wybory prezydenckie. Odważyłem się kandydować. Nie powiem, był wielki problem zebrać podpisy, oczywiście żadnych środków finansowych tylko wykorzystanie tego czasu antenowego, który był za darmo. Wtedy poczułem, że ja muszę coś w życiu osiągnąć politycznie, to był 1995 rok.

Następnym przełomem był 1999 rok - ta fala protestów, totalny paraliż kraju nie tylko w kraju, bo tiry i w Niemczech i we Francji i Czechy i byłe republiki Związku Radzieckiego, wszystko zablokowane było, to były takie momenty przełomowe.

Oczywiście wejście do sejmu to już był skutek.

#### **W.U. Czy wyobraża Pan sobie w tej chwili życie bez polityki?**

**A.L.:** Nieraz tak, jak każdy polityk. Na pewno bym skłamał, gdybym powiedział, że nie mam tego dość wszystkiego, ale to są bardzo rzadkie takie chwile. Nie ma nigdy chwil załamania. Wręcz odwrotnie, ja będę dążył do celu. Nieraz są pewne problemy, są pewne sprawy, ale nigdy one nie doprowadziły mnie do tego, żebym powiedział, że to wszystko rzucę itd.

Nie wyobrażam sobie życia bez polityki z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy stawiam sobie cel, to staram się to osiągnąć i mój honor ucierpiałby na tym, moja postawa człowieka, ja bym nie mógł patrzeć szczerze w oczy żonie i dzieciom (ja mam gdzie wrócić, ja nie muszę żyć z polityki). Po drugie, to by był zawód dla ludzi. Dzisiaj więcej ludzi ufa mnie, ufa „Samoobronie”, pokłada nadzieję w „Samoobronie”. Jak mógłbym się pokazać gdziekolwiek ludziom, którzy zaufali, uwierzyli, którzy tyle lat nawet i za ostatni grosz przyjeżdżali na protesty, przyjeżdżali do Warszawy, narady krajowe, ludzie którzy niekiedy nie mając nic, przyjmowali mnie w swoich domach, gościli itd. Ja nie jestem wymagającym człowiekiem, ale ludzie, którzy nawet dali ten dach nad głową, ja nie jestem przyzwyczajony do luksusu, ja nawet do czasu kiedy nie byłem posłem, to nawet u tych ludzi na podłodze spałem - byle materac, byle łazienka była. Umyć się rano, żeby o higienę i wygląd dbać. Dlatego nie wyobrażam sobie życia bez polityki.

## 5. Radna/ Minister IV RP - Teresa Lubińska

(Nota biograficzna w całości przygotowana przez autora książki w oparciu o wypowiedź autobiograficzną T. Lubińskiej)

Teresa Lubińska, profesor ekonomii, dzieciństwo i młodość spędziła w Wałczu - małe miasteczko, leżące obecnie w województwie Zachodniopomorskim. Urodziła się w bardzo religijnej, rodzinie robotniczej o głębokim przywiązaniu do wartości patriotycznych. Ojciec był dekarzem, a matka, po okresie opieki nad dziećmi, podejmuje pracę jako krawcowa w miejscowych zakładach odzieżowych.

Duży wpływ na życie Teresy Lubińskiej, jak sama twierdzi, wywarł wuj, będący prawnikiem, który swoim przykładem motywował licealistkę do przełamywania barier edukacyjnych.

Po ukończeniu studiów, rozpoczyna się kariera naukowa Lubińskiej, która obfituje w liczne staże naukowe, odbywane w liczących się, zagranicznych ośrodkach naukowo - badawczych oraz instytucjach finansowych. W latach 1996 - 2002 pełni z sukcesami, funkcję dziekana Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania Uniwersytetu Szczecińskiego.

Największą radość, jak sama mówi, sprawiają jej chwile spędzane w domu z wnuczkami i z mężem - światowej sławy genetykiem. Państwo Lubińscy posiadają dwóch, dorosłych synów.

Działalność polityczna Teresy Lubińskiej rozpoczyna się od startu w wyborach samorządowych 2002 roku na urząd prezydenta Szczecina. Startuje w tych wyborach jako kandydat niezależny z hasłem: „Politykom, dziękujemy” i ponosi porażkę. Aktywnie uczestniczy w życiu politycznym miasta i regionu, w dalszym ciągu jako osoba nie związana z żadną partią polityczną.

W 2005 roku zostaje ministrem finansów w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, a w rok później, ponownie ubiega się o fotel prezydenta Szczecina. Bez powodzenia.

Marzec 2004 roku.

**Waldemar Urbanik:** Czy Pani zdaniem mamy do czynienia w ostatnim czasie z radykalizacją nastrojów społecznych? Jeśli tak, to proszę o próbę wskazania przyczyn tego zjawiska.

**Teresa Lubińska:** Już od dłuższego czasu mamy do czynienia z radykalizacją nastrojów społecznych. Przyczyny tego zjawiska są bardzo proste. Brak konstruktywnych propozycji sprzyjających rozwojowi gospodarstwu i walce z bezrobociem. W związku z tym, następuje zaangażowanie społeczeństwa po stronie roszczeniowej i atakującej polityków, bowiem w mojej opinii politycy prowadzą nadal pustą grę polityczną. Czyli, główną przyczyną jest bezrobocie. Ludzie się buntują, gdy nie mają pracy.

**W.U:** Jaka rolę, w postępującej radykalizacji nastrojów społecznych, odgrywają elity polityczne III RP?

**T.L:** Nieudolność elit politycznych w merytorycznym zarządzaniu naszym państwem.

**W.U:** Czy one podgrzewają nastroje społeczne?

**T.L:** Moim zdaniem nie. Ludzie przede wszystkim stracili wiarę w to, że kraj się będzie rozwijał. Pogarsza im się sytuacja, głównie życiowa i to jest główna przyczyna



radikalizacji nastrojów społecznych. Przez radykalizację nastrojów społecznych rozumiemy, to że, ludzie wychodzą na ulicę, że są bunt - tak, jak u nas stoczniowców w Szczecinie. Że są bunt kupców, przeciwko supermarketom.

**W.U:** Czy rosnące poparcie dla ugrupowań populistycznych takich jak „Samoobrona” i „Liga Polskich Rodzin”...

**T.L:** Zupełnie naturalne zjawisko, bowiem prawdę mówiąc, to do kogo, ci ludzie mają się zwrócić, ci ludzie, którym państwo nie daje żadnych gwarancji. Dotychczasowe elity nie dawały gwarancji na to, że będą tworzone miejsca pracy, że stocznia się utrzyma, że kupcy będą mieli miejsca pracy, że studenci będą mieli po zakończeniu studiów możliwość dobrego zarobku, to kto im to zapewni? Żadna z rządzących opcji. W związku z tym słuchają tych, którzy ich odczucia wewnętrzne odbijają w hasłach. Chcę panu powiedzieć, że znam bardzo wiele osób wykształconych, którzy właśnie są sprzymierzeńcami organizacji Leppera, partii Leppera. Ich postawa jest wynikiem buntu przeciwko elitom. Oni do mnie mówią: „Pani Profesor, wy nic nie robicie, wy nie potraficie rządzić, wy nie macie pomysłów. Nie wierzymy, że akurat Panu Lepperowi uda się coś konstruktywnego zbudować, ale my chcemy tym sposobem okazać bunt.” Więc to nie jest tak, że u Pana Leppera są tylko ludzie niewykształceni, ludzie ze wsi. U Pana Leppera nie tylko są działacze „Samoobrony”. Ale głosuje na niego, bardzo dużo ludzi wykształconych, po to, żeby elitom uzmysłwić potrzebę kompletnej zmiany podejścia do zarządzania państwem.

Natomiast „Liga Polskich Rodzin”, to jest odrębny przypadek. To jest typ bardzo wartościowej partii, który istnieje w każdym kraju. Reprezentuje nurt mocno narodowościowy, związany również z religią. Chociaż to nie jest tak, że inne partie nie są związane z chrześcijaństwem. Natomiast ta, ma takie wyraźne nastawienie narodowościowe i antyunijne, ale dla mnie jest ona bardzo wartościowa, bo mnóstwo ludzi związanych z „Ligą Polskich Rodzin”, to są ludzie bardzo mocno związani z naszym krajem. Znam ten elektorat. To są ludzie bardzo związani z takim poprawnym myśleniem - w ich wyobrażeniu - o tym, co jest dobre dla naszego kraju, o wielkim zaangażowaniu w patriotyzm, typowy dla „LPR”, patriotyzm, który np. nie uwzględnia wejścia do Unii Europejskiej. Ale w ich wyobrażeniu, taka postawa, jest to coś bardzo korzystnego, to jest coś, co ma sprzyjać rozwojowi naszego kraju, skupić się tylko na interesach wewnętrznych nie interesując się tym, czy my mamy korzyści, czy straty z wejścia do Unii Europejskiej.

Uważam, że „LPR” zawsze będzie istniała w Polsce. Nie wiem jaki będzie miała elektorat i jak duży, czy będzie rósł czy malał, ale w sposób naturalny, obecna sytuacja gospodarcza i słabe przygotowanie Polski do wejścia do Unii Europejskiej, sprzyja temu, że bardzo wiele osób mówi: „LPR” ma rację. Nie umiemy dbać o nasze interesy, natomiast zadba o nasze interesy „LPR”.” Moim zdaniem to jest inny elektorat, niż elektorat „Samoobrony”. Ja nie wiem, czy on jest tak buntowniczy, jak „Samoobrona”.

„Samoobrona” jest inna. „Samoobrona” rzeczywiście, jakby gani elity. W wyobrażeniu przeciętnym, gani elity za brak konstruktywnych propozycji dla rozwoju gospodarczego. Natomiast chodzi o coś głębszego. Chodzi o narodowościowy aspekt i takie - powiedziałabym - inne podejście do polityki państwa, mocno związanej z podejściem narodowościowym. To jest inny typ partii.

Ludzie nie mają pracy. Po drugie ludzie widzą ogromne niesprawiedliwości, to też warto podkreślić. Tak właściwie, według mojego wyobrażenia, to 5% społeczeństwa się uwłaszczyła, stała się właścicielami wielkich firm, banków, przedsiębiorstw, gruntów. Ta grupa osób bardzo dobrze zarabia i bardzo skorzystała na polskich przemianach. Natomiast bardzo duża grupa osób została kompletnie wyeliminowana. Gdy przyjrzymy się małym miasteczkom, wioskom - resztą również dużym miastom, jak Szczecin - to zobaczymy całe grupy ludzi zupełnie zaniedbanych, żyjących, albo na marginesie koszyka egzystencjalnego, albo żyjących w stanie wyalienowania z życia społecznego, z oświaty z wykształcenia.

Nastąpiło ogromne rozwarstwienie i ludzie nie widzą żadnego uzasadnienia, dla ogromnego wzbogacenia się małej grupy ludzi.

Owszem, nie mam na to wpływu, że takie rozwarstwienie nastąpiło, natomiast nie szanuję na ogół ludzi, którzy stali się strasznie bogaci, bo jak się przyjrzą ich życiorysom, to, owo bogactwo, było bardzo często przywłaszczone na zasadzie decyzji administracyjnej lub prywatyzacyjnej, a nie na budowaniu businessu rodzinnego z ogromnym zaangażowaniem fachowości z podejmowaniem ryzyka przez własną firmę. Wręcz przeciwnie. Kapitał jest budowany w Polsce z dużym zabezpieczeniem ze strony państwa, ze strony gmin, ze strony elit politycznych. Brak pracy i ogromne rozwarstwienie, brak szacunku dla bogactwa, które się nagromadziło w Polsce - to obraz Polski w społecznej świadomości. Nawet, być może ci, którzy w sposób umiejętny i rzetelny się dorobili, dzisiaj, prawdopodobnie nie bardzo czują się bezpiecznie w Polsce z pokazywaniem bogactwa, bo jest wyraźne wyobrażenie społeczne, że to jest wynikiem kombinacji, a nawet prawdziwego złodziejstwa. To chyba również jest przyczyna tego, że ludzie zwracają się do „Samoobrony”, bo wszystkie pozostałe ugrupowania, gdzie tam, mają w swojej historii ogromne rzesze ludzi, które się wzbogaciły w wyniku decyzji wspieranych przez polityków, a nie decyzji gospodarczych, własnego wysiłku intelektualnego.

**W.U:** Czy mogłaby Pani wskazać przyczyny klęski wyborczej „AWS” i „Unii Wolności”? Dlaczego te ugrupowania wypadły całkowicie poza sferę polityczną, no może raczej, poza sferę polityki parlamentarnej?

**T.L:** Wydają mi się, że przyczyna też jest bardzo prosta. Ona jest związana i z pierwszym i z drugim pytaniem. To jest ta sama przyczyna - brak merytorycznego przygotowania do rządzenia państwem. Na ogół działacze tych partii byli wielce zasłużeni w walce z komunizmem i mieli niewątpliwe osiągnięcia w walce rewolucyjnej. Natomiast, rzadko rewolucjonista nadaje się do konstruktywnego budowania programu gospodarczego i programu społecznego. To było przyczyną słabości „AWS”. Brak przywódcy, który jest dobrze przygotowany merytorycznie i który zdobędzie szacunek pozostałych osób w partii.

Natomiast w „Unii Wolności”... Unię Wolności, to ja już głębiej poznałam, ponieważ byłam dziewięć miesięcy członkiem tej partii. Wydają mi się, że Unia Wolności jednak cały czas miała program nie otwierający się szeroko na społeczeństwo, absolutnie nie. Próbowałam w UW, na różnych spotkaniach, apelować o zmianę programu. Podam przykład. Wcale nie uważam, że „Unia Wolności” musiała koniecznie trzymać się ściśle hasła, że nie można uwłaszczyć społeczeństwa. Przypuszczam, że gdyby „Unia Wolności”, ze spokojem, z perspektywy, popatrzyła na to, to doszłaby do wniosku, że to był błąd.

Dotknę bardzo głębokiego, bardzo ważnego problemu. Jestem człowiekiem wykształconym, jestem profesorem wyższej uczelni. Mój mąż, też jest profesorem, czyli jesteśmy zaliczani, przez przeciętną osobę, do elity społecznej. „Unia Wolności” była partią identyfikowaną w tamtych czasach z elitami. Próbowałam, w trakcie różnych debat prowadzonych w łonie Unii Wolności, mówić o takich przedsięwzięciach, które nie istniały w programie „Unii Wolności” - sprzedaż mieszkań komunalnych w Szczecinie. To jest ważny problem - czy powinniśmy „uwłaszczyć mieszkańców” - kierując się zasadą, że najważniejsza jest prywatna własność, - żeby dać ludziom szansę, żeby oni mieli także swoją własność. Mieszkania dla ludzi średnio bogatych i bogatych dawno już zostały wykupione. Natomiast została bardzo duża grupa, chyba 24 tys., mieszkań komunalnych, w których lokatorami są ludzie bardzo skromni, jak chodzi o zarobek, ludzie bardzo biedni. Trzeba się zastanowić, czy można dać tym ludziom te mieszkania i rzucić na nich obowiązek ich utrzymania? Miałam takie wrażenie, że ukuło się w Polsce bardzo błędne wyobrażenie, że przekazanie społeczeństwu własności, niszczy to społeczeństwo, że tylko wybrani mają prawo do własności. Kompletnie się z tym nie zgadzam. Wręcz przeciwnie. Zaproponowałam w związku z tym, żeby bardzo poważnie rozważyć możliwość uwłaszczenia lokatorów

mieszkań komunalnych. Usłyszała wtedy: „Pani profesor, przecież nie można ludziom oddać czegoś za darmo. Własność trzeba wypracować, trzeba mieć szacunek dla własności”. Mam na to jedną odpowiedź. „Trzeba zamienić hasło, „oddać sobie”, na „oddać innym”. Oddać „sobie” można było - wiemy doskonale, jak wiele własności jest w ręku tych 5% społeczeństwa, własności zdobytej na zasadzie „oddać sobie”, bez żadnych motywacji merytorycznych ze strony społeczeństwa. Społeczeństwo tego nie akceptuje.

Trudno było w „Unii Wolności” znaleźć aprobatę dla tego typu idei. Podaję przykład bardzo znamieny, ale on może dotyczyć prywatyzacji przedsiębiorstw, on może dotyczyć uwłaszczenia rolników bardzo wielu, innych dziedzin życia społecznego. Natomiast, znamienym jest, że obawiano się przekazania własności społeczeństwu. Ja reprezentuję absolutnie odwrotne wyobrażenie - że jak najbardziej trzeba spróbować, trzeba dać szansę ludziom, a później dopiero wymagać od nich, żeby umieli zarządzać tymi dobrami. Ludzie sobie poradzą, tylko trzeba dać szansę i nie przejmować obowiązków za nich.

„Unia Wolności” zamknęła się w kilku takich wyobrażeniach i nie otwierała się na inne. Mam wrażenie, że „Unia Wolności”, że do dzisiaj jest taką partią. Dobrze znam tych ludzi. Tam jedynie, pojedyncze osoby otwierają się na innych. Pozostali, nie otwierają się i mają mentorski stosunek do wszystkiego i wszystkich. Doświadczyłam tego, chociaż ja w każdym środowisku dobrze się czuję, może dlatego, że przebywam na uczelni wiele lat wśród ludzi i sama pochodzę z prostej rodziny. W uczelni, mam do czynienia z ludźmi bardzo wykształconymi - już trudno w bardziej wykształconym środowisku przebywać, prowadzić przez sześć lat Radę Wydziału, w Senacie Uczelni zabierać głos, w środowisku bardzo wymagających profesorów. Dzięki temu, mam umiejętności swobody poruszania się w każdym środowisku, a jednak miałam wrażenie, że „Unia Wolności” miała mentorski, pouczający stosunek do innych, a nie zawsze miała podstawy do tego żeby pouczać. Powinna raczej była, skromnie patrzeć na swoje osiągnięcia i zastanowić się jak tu wyjść naprzeciw społeczeństwu zniszczonemu przez pięćdziesiąt lat komunizmu. Mam takie wrażenie, że to był główny powód słabego poparcia „Unii Wolności”.

**W.U:** Jakie są, Pani zdaniem, przyczyny wskazywanego przez badania opinii publicznej spadku zainteresowania Polaków życiem politycznym?

**T.L:** Nic dziwnego, skoro u władzy były już, zarówno ugrupowania mocno kojarzące się dla przeciętnego wyborcy z prawicą, jaki i ugrupowania wiążące się z lewicą. Jedne i drugie obiecywały podobne kokosy, a efekt końcowy jest taki, że żadne z tych ugrupowań nie były w stanie spełnić swoich obietnic wyborczych. Wręcz odwrotnie, widzimy rozpacz tych ludzi, którzy czują, że Państwo się nie rozwija, że się raczej cofa. W gruncie rzeczy, bardzo poważnych wskaźników rozwoju Państwa trudno pokazać. To chyba jest utrata wiary w to, że w ogóle na cokolwiek można mieć wpływ. Być może Polacy, wolą się zajmować własnym życiem, własną pracą i szukać pozytywnych rozwiązań dla własnej rodziny. Liczą na własne rozwiązanie problemów, niż szukanie pomocy u polityków, bo oni nie są w stanie im pomóc.

**W.U:** Czyli to jest postępujący partykularyzm i syndrom zawiedzionych nadziei?

**T.L:** Zawiedzionych nadziei na pewno. Być może, drugim powodem, który mnie również niepokoi jest to, że poważni ludzie, którzy mają ogromne osiągnięcia w jakiś dziedzinach, a są tacy, w ogóle nie garną się do polityki. Czyli ludzie ciągle widzą tych samych polityków, którzy kojarzą im się z kombinatorstwem, kojarzą im się z „dorabianiem”, z ładnymi garniturami, ale pustym życiem politycznym. Jednocześnie, nie pojawiają się osoby, którym oni mogą zaufać.

Powiedzmy, że jakiś jegomość, założył fabrykę i przez pięć lat ludzie widzieli, że on nie dostał tej fabryki na zasadzie politycznej decyzji, tylko autentycznie stworzył, od podstaw, jakąś wartość. Ci ludzie, którzy u niego pracują, są uwiarygodnieniem jego sukcesu. Taka osoba, w pewnym momencie, dochodzi do wniosku, że może odpuścić trochę rozwój tej fabryki i idzie do polityki. Dlatego, że jego fabryka i tak będzie się rozwijać, gdy on będzie



działał w polityce. To jest pożądany scenariusz. Jednak, problem polega na tym, że ludzie bardzo sprawni intelektualnie, którzy mają pewne osiągnięcia, nie wiedzą jak ważna jest polityka. Przyznam, że ja też tego nie wiedziałam. Gdyby zdawali sobie sprawę z tego, jak ogranicza się rozwój przez to, że nie ma w polityce ludzi o niezwykle dużym poczuciu obowiązku publicznego i o bardzo sprawnym umyśle. Gdyby oni zdawali sobie sprawę jakie są tego, straszne skutki dla społeczeństwa, to oni by poszli do polityki. Zostawiliby swoją fabrykę, gdyby zdawali sobie z tego sprawę. Ale im tego nikt nie mówi. Nie ma gdzie tego się dowiedzieć. Media nie informują w sposób należyty, jak wielka jest rola polityków, a jest ogromna, potężna - nasze życie w znacznej mierze od nich zależy. Dwie przyczyny: cały czas te same osoby w polityce i puste życie polityczne, a druga, to, że nie pojawiają się nowi, wiarygodni przywódcy.

Przykład Tomasza Lisa jest doskonały. Dla mnie to jest przykład tego, jak można było wyjść naprzeciw potrzebom, jak ogromne jest zapotrzebowanie na kogoś, kto im się kojarzy z profesjonalizmem, bo on coś w życiu osiągnął. Jest dziennikarzem, dla przeciętnego człowieka, jest rozgarnięty. Wygląda na to, że nie jest powiązany z jakimiś kombinacjami, że nie będą mogli nim sterować i to, że uzyskał w sondażach 30%, to dla mnie jest dowód na to, jak ogromne jest zapotrzebowanie na tego typu osoby. Zapotrzebowanie na osoby, które kojarzą się ludziom z dorobkiem merytorycznym. Obojętnie, w jakiej dziedzinie życia.

Dla mnie np. Arnold Schwarzenegger, jest człowiekiem o ogromnym dorobku merytorycznym.. Myśmy się w naszej katedrze, strasznie kłócili, czy Schwarzenegger może być politykiem, czy też nie. Ja uważam, że tak. Dla mnie bardzo ważną cechą polityka jest poczucie własnego dorobku w czymkolwiek. Schwarzenegger miał dorobek.. Uprawiał kulturystykę i odniósł sukces. To wymagało ogromnego wysiłku, dyscypliny i determinacji. Zostać aktorem światowej klasy i przebić się przez to wszystko, to trzeba prowadzić bardzo charakterystyczny dla ludzi sukcesu, bardzo surowy tryb życia. Czyli na pewno miał osiągnięcia zawodowe. Prawdopodobnie miał jakieś przekonania. Miał przekonania i miał popularność. Miał w związku z tym, ten trzeci, ważny element dotarcia do elektoratu.

W polskiej polityce, bardzo brakuje ludzi, którzy mają osiągnięcia. Jest pewna zasada, że jeśli człowiek ma osiągnięcia, to ma też pieniądze, a zatem jest niezależny. Nie ma takich ludzi w polityce i dlatego mamy, na pewno, kryzys instytucji demokracji w Polsce. W mojej ocenie - mamy kryzys absolutny.

**W.U:** Czy spadający prestiż władzy publicznej, może także, stanowić podstawę wniosku o kryzysie instytucji demokracji w Polsce?

**T.L:** Czyli stwierdzamy, że wcześniej, to był rozwój? (śmiech) Czyli kryzys się zaczął od kiedy? Kiedy się pojawia kryzys? To wszystko, są bardzo ważne pytania. Jeśli przyjmujemy, że kryzys to jest gwałtowny spadek poparcia dla władzy publicznej, to możemy mówić o kryzysie demokracji. Jeżeli spada rzeczywiście zainteresowanie życiem politycznym, to mamy pierwsze oznaki kryzysu.

**W.U:** Poziom zaufania dla instytucji państwa np. dla parlamentu jest żenujący...

**T.L:** Tak, to oznacza kryzys. Trzeba wiedzieć, jak kryzys charakteryzować, jakie są jego wskaźniki. Tak, to rzeczywiście jest kryzys.

**W.U:** Czy ów kryzys, stanowi Pani zdaniem, jakieś istotne zagrożenie dla porządku społecznego w Polsce?

**T.L:** Nie, absolutnie, dlatego, że każdy kryzys jest zdrowy. Wiemy, że wszystkie kryzysy są zdrowe, jeżeli się je wykorzystają dla wzmocnienia określonych sfer życia. Według mnie, kryzys demokracji w Polsce jest naturalny. Nie mogliśmy mieć partii silnych, bo nie było czasu, po okresie komunizmu, żeby zbudowały się silne, dobrze przygotowane merytorycznie do programów gospodarczych, partie. Prędzej, czy później, gdyby ktoś głębiej to studiował, to mógł przewidzieć, że przy tych programach, które oni proponowali - a żaden



z niech nie jest nastawiony na to, żeby w Polsce zaczęto dobry produkt krajowy brutto produkować - mógłby przewidzieć, że dojdzie do tego kryzysu.

Czyli to jest coś, co może tylko sprzyjać naszemu rozwojowi. Bo skoro słabo się rozwija nasz kraj, mamy spadek zainteresowania polityką, to dobrze by było, żeby doszło do kryzysu, który stworzy szansę dla otrzeźwienia wszystkich polityków i ewentualnie, zaangażowanie się nowych ludzi. Ja nie widzę zagrożenia, bo na czym może ono polegać? Że ludzie nie pójdą do wyborów? Będzie więcej demonstracji? Nie uda się wybrać parlamentu? Czy są jakieś wymogi, co do liczby osób uczestniczących w wyborze do sejmu? To są moim zdaniem znakomite impulsy przyspieszające do tego aby otrzeźwieć i zastanowić się nad rzeczywistym programem gospodarczym.

Bez radykalnych zmian w polityce gospodarczej, nie uda się długo prowadzić w taki sposób państwa. Na razie nie widzę żadnych przesłanek - w żadnym z programów - które doprowadzą do rozwoju gospodarczego. Jak nie postawimy sobie wyraźnie celu, że od pewnego momentu podejmujemy określone działania i za trzy, cztery lata, poprawi nam się wskaźnik bezrobocia, to oznacza, że kryzys prędzej, czy później będzie. Tylko teraz może trafić na „SLD”, a za chwilę trafi na „Platformę Obywatelską”. Póki co, „Platforma Obywatelska” nie ma takiego programu, który wyprowadzi nasz kraj z kryzysu gospodarczego. Więc ja nie widzę żadnego zagrożenia. Zagrożenie widzę w stagnacji i w takiej ciągłej rozinowie o programie Hausnera. Trwa ona od dwóch lat, a oprócz programu Hausnera, to trzeba by było pomyśleć, przede wszystkim o tym, jak doprowadzić do konkurencyjności sprzedaży naszych wyrobów. To jest najważniejsze, ale na to nikt nie odpowiada, nikt żadnej sobie odpowiedzi nie daje.

Obcinać wydatki, to naprawdę większość rozgarniętych ludzi potrafi - prowadzą do komputera i policzą. Dzisiaj wszystko już jest super skomputeryzowane i można bardzo dużo danych uzyskać. Nie można być premierem, ministrem po to, żeby obcinać wydatki. To jest dalece niewystarczające. Trzeba rozwijać gospodarkę, a obcinanie wydatków, to co proponuje się cały czas, to jest tylko jeden z elementów polityki gospodarczej. Najważniejszym celem polityki gospodarczej jest rozwój, a nie obcinanie wydatków. Wspierać rozwój tzn. zadbać o to, żeby nasze produkty można było sprzedać za granicą, żeby one cenowo były konkurencyjne do produktów, które się pojawiają w Unii Europejskiej i na całym świecie. Tego na razie nie widzę. Nie widzę żadnego zagrożenia dla porządku społecznego wynikającego z kryzysu zaufania do władzy publicznej. Wręcz przeciwnie, cały czas, stagnacja jest rzeczywistym zagrożeniem dla porządku społecznego.

**W.U:** Jaką rolę w działaniu partii politycznych odgrywają Pani zdaniem badania socjologiczne? Czy są wykorzystywane przez polityków w określaniu strategii i programów politycznych? Czy służą jako źródło informacji o rzeczywistych oczekiwaniach i potrzebach Polaków?

**T.L:** Uważam, że badania socjologiczne mają ogromne znaczenie w działaniu, bo one, jeżeli są obiektywnie przygotowywane, to mogą być bardzo cenne i informują o preferencjach wyborczych i są niezbędne.

Czy są wykorzystywane przez polityków w programach politycznych i, czy służą jako źródło informacji? Tutaj pojawia się niezwykle poważne zagadnienie: jak traktować sondaże? Czy jakiegokolwiek badania socjologiczne w trakcie sprawowania władzy przez odpowiednią opcję, mogą stanowić podstawę wniosku o skróceniu np. kadencji Sejmu? Ja jestem przeciwniczką skracania, czegokolwiek. Jeśli ktoś przejął władzę, został wybrany, to powinien do końca tę władzę realizować. Bowiem skrócenie kadencji np. teraz „SLD” spowoduje, że to może stać się wzorcem dla wszystkich następnych. Czasami programy są bardzo bolesne i wykonuje się pewne działania na początku swojej kadencji tak, że przez dwa, trzy lata mogą być odczuwane negatywnie przez społeczeństwo, a skutki pozytywne mogą przyjść później. Ludzie głosowali na daną partię i chcieli takiego programu. Czy on jest

realizowany, czy nie, to jest inna sprawa, ale wyborcy muszą do końca wytrzymać. Wszyscy wyborcy muszą do końca aprobować wybór, który został demokratycznie dokonany. Natomiast w sytuacji, kiedy pojawia się ogromna fala informacji o tym, że politycy w rządzie, politycy w sejmie, są strasznie skorumpowani, że są ogromne tego dowody, które się pojawiły lawinowo, to, to wszystko spowodowało, po raz pierwszy, taką skłonność do wyjątkowego traktowania tej sytuacji. Ta wyjątkowa sytuacja już się skończyła - ona była przejściowa.

W momencie kiedy pojawiają się zarzuty i podejrzenia, że członkowie rządu, mogą być związani z jakimś korupcyjnym, mocnym działaniem, z mafijnymi działaniami, z niejasnymi powiązaniem z bussinesem, to być może jest to powód, żeby spróbować odwołać taki rząd wcześniej. Ale to jest dla mnie jedyny wyjątek, kiedy można było by, coś takiego robić. Natomiast w pozostałych sytuacjach, trzeba uznać wybory za mandat dający uprawnienia do sprawowania władzy w czasie, określonym przez konstytucję. Wyborcy muszą się nauczyć porządku konstytucyjnego i ponoszenia odpowiedzialności za swoje decyzje wyborcze. Mają prawo zmienić swoje poglądy i później mogą głosować na kogoś innego. Natomiast nie może być przyzwolenia na skracanie kadencji tylko dlatego, że część wyborców zmieniła zdanie i dała temu wyraz w sondażu.

Natomiast, nie ma o czym dyskutować, jeżeli rząd nie może przegłosować żadnej ustawy. To, że wprowadzono mu poważne poprawki w ustawie budżetowej, w jednym z najważniejszych dokumentów, jakie przygotowuje rząd, czy zmieniono mu ustawę budżetową, to dowodzi jego słabości. Po to zdobywa się władzę i zapewnia się większość w parlamencie, ażeby realizować swój program, którego głównym odniesieniem jest budżet. Tak było w przypadku budżetu Hausnera i to był pierwszy przykład kryzysu instytucji demokracji. To był też jeden z dowodów koronnych, że mamy do czynienia z kryzysem demokracji. Że po raz pierwszy, ustawa budżetowa miała poprawki tak kolosalne, wprowadzone przez opozycję, że to nie był już budżet tego rządu. Na ten temat, nie ma co dyskutować, bo jak rząd nie ma większości, nie może przegłosować swoich ustaw, to on jest ubezwłasnowolniony i sam podaje się do dymisji. To jest chyba, przez każdego polityka i takiego znawcę socjologii polityki, jak Pan, uznane za naturalne, że w takiej sytuacji, rząd podaje się do dymisji, a parlament ulega rozwiązaniu.

Raz jeszcze podkreślę, że wyjątek, kiedy należy wszelkimi sposobami doprowadzić do dymisji rządu, jest duża afera korupcyjna. Przykładem może być Litwa i afera związana z jej prezydentem. To jest jedyny, według mnie, wyjątek, bo nie można w żadnym wypadku tolerować sytuacji, że będziemy trzy lata czekać i utrzymywać rząd przestępców. To jest niemożliwe.

**W.U:** Jak Pani Profesor zatem, ocenia polityków, którzy właśnie prezentują ową legitymizację sondażową - spada w sondażach poparcie dla rządu, rząd należy odwołać? Czy opozycja, która twierdzi, że...

**T.L:** To jest dla mnie dowód słabości opozycji. Proszę zauważyć, że u nas nie ma w ogóle dyskusji o programie gospodarczym. Myślę, że większość ludzi w Polsce jest znudzona tymi czwartkowymi, czy środowymi dyskusjami. Jakkolwiek by się one nie nazywały - „Forum”, czy inne, tego typu programy. Cały czas, ci sami ludzie, mówią to samo. To nie wzbudza już, żadnego zainteresowania w społeczeństwie. Zresztą to jest właśnie wyraz spadku zainteresowania polityką.

Nie ma dyskusji o programie gospodarczym, a w związku z tym, o wiele łatwiej jest pokazać sondaże. To ułatwia zdobywanie władzy i straszenie innych polityków. To jest droga donikąd, moim zdaniem. Gdy nasi politycy rozumieją, że oni muszą działać z grupą ekspertów, którzy ich przygotowują do dobrej dyskusji o gospodarce, to i społeczeństwo błyskawicznie się zorientuje, że nareszcie zaczyna się dyskusja gospodarcza. Nawet zwykły rolnik, mój Tata, który nie jest człowiekiem wykształconym, on błyskawicznie rozumie,

kiedy ludzie zaczynają rozmawiać o gospodarce, a kiedy bajki opowiadają i cały czas te same hasła populistyczne głoszą. To nie jest tak, że ludzie nie rozumieją co się mówi w telewizji. Oni po prostu widzą, że politycy nic istotnego nie mówią i nie ma się czemu przysłuchiwać. To jest dowód słabości gospodarczej polityków - nikt nie ma programu, może gdzieś w zaciszach gabinetów są przygotowywane, ale ja na razie ich nie widziałam.

Jeden z polskich polityków twierdzi, że ma ponad 200 stron programu gospodarczego. Przykro mi, ale ja go nie przeczytałam. Doceniam starania tego polityka, ale nie sądzę, że ktoś byłby w stanie go przeczytać w całości. Inni polityk mi mówił, że im zespół analityków przygotowuje program, a ja znam ten zespół analityków i wiem, co już przygotowywał - dalej będzie, to samo, co już kiedyś było.

Trzeba bardzo poważnie wziąć się za program gospodarczy i zastanowić się, czy w wyniku tego programu rzeczywiście wzrosnie konkurencyjność dóbr i usług wytwarzanych w naszym kraju. Konkurencyjność, oznacza, że sprzedajemy, albo w Polsce - czyli towar musi być konkurencyjny cenowo do towarów sprowadzanych, albo wchodzimy na rynek zagraniczny i go eksportujemy. Jedno i drugie jest nam bardzo potrzebne. Takich programów nie widzę. Sama obniżka podatków, wprowadzenie liniowego, to nie jest wystarczający dowód na to, że się uda uruchomić rozwój gospodarczy w naszym kraju.

**W.U:** Co, Pani zdaniem, oznacza w działaniu partii politycznych populizm? Jaka granica dzieli demagogię, od wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom społecznym?

**T.L:** Populizm, to są słowa bez pokrycia. Uważam - wiem, bo mi wszyscy mówią, jako osobie niedoświadczonej w polityce, że trzeba mówić populistycznie - że lepiej szczegółowo mówić o trudnościach i o możliwościach, żeby pokazać jak to jest trudne, jak to jest złożone i co możemy w rzeczywistości osiągnąć, niż później powodować straszne efekty dla społeczeństwa. Efektem populizmu jest także to, że partie wykorzystujące populizm, całkowicie odchodzą z życia politycznego. Co im dała praca, prowadzona przez dziesięć lat, jeśli oni wciąż dwóch, trzech lat potrafią zmarnować cały swój dorobek? To jest ogromny błąd, jeśli ktoś nie potrafi własnej partii wypromować i potrafi ją przygotować na samozagładę. To jest bardzo niebezpieczne, także dla nas, bo również może Polskę na samozagładę skazać - jeżeli ktoś, nie potrafi zadbać o własny interes, to jak on może zadbać o interes Państwa?

Po pierwsze, to jest samobójstwo - własna strata, a po drugie - zniechęcenie społeczeństwa do jakiegokolwiek aktywności obywatelskiej. W efekcie mamy kompletny brak zainteresowania ludzi życiem politycznym i kryzys instytucji demokracji. Czy na tym, tym ludziom zależy?

Gdybym ja, przejmowała władzę, to bym chciała, przynajmniej utrzymać moich wyborców. Chciałabym im, w związku z tym powiedzieć: „Słuchajcie, mówiłam, że nasze plany są takie i takie. Spróbujemy je zrealizować”. Szczerść, to jest to, czego brakuje naszym politykom.

Każda z partii tu wymienionych, może być koronnym dowodem na to, jak politycy nie potrafią wykorzystać ogromnej wiary społeczeństwa i nadziei, że ktoś wreszcie, wyjdzie naprzeciw ich potrzebom. Wszystkie partie pozostawiły straszny bałagan. Nadzieją jest to, że zjawią się ludzie, którzy przestaną myśleć o własnych, partykularnych interesach. Jeśli tak się nie stanie, to populizm będzie golem do własnej bramki. Na pewno tak będzie.

Odpowiadając na drugą część pytania, należy zaznaczyć, że ważne jest, aby zidentyfikować oczekiwania społeczne, zobaczy, o co społeczeństwu chodzi. Prawdopodobnie, każde społeczeństwo jest bardzo wrażliwe na punkcie poczucia sprawiedliwości społecznej. W takim kraju jak nasz, gdzie następuje prywatyzacja majątku - przekazywanie z państwowego w prywatne, to jest coś, co jest niezwykle bardzo ważne i bardzo delikatnie trzeba się poruszać w tej sferze. Rozdzielania majątku państwowego między ludzi i walka z korupcją, z przestępstwami związanymi z majątkiem publicznym, muszą być bardzo transparentne. Druga sprawa, to zapewnienie jak największej liczby miejsc pracy - stworzenie



szans na miejsca pracy. Ogromne znaczenie będzie miało zawsze, wychodzenie naprzeciw, takim ważnym dziedzinom społecznym, jak ochrona zdrowia i oświata.

Jeśli widzący likuje się oczekiwani społecznym, to trzeba ludziom powiedzieć, jakie są szanse ich spełnienia. Nikt nie ma np. odwagi powiedzieć na jaką opiekę medyczną jest nas stać. To jest idealny przykład relacji między demagogią a oczekiwaniami społecznymi. Niestety, trzeba wyraźnie powiedzieć, do jakiego momentu możemy, przy naszych środkach finansowych, którymi dysponujemy w Polsce, jesteśmy w stanie spełnić oczekiwania społeczne, co do publicznej służby zdrowia. Myślę, że nie prędko pojawi się ktoś, kto powie, że jest potrzebny koszyk gwarantowanych usług medycznych. Nie powie społeczeństwu - proszę zauważyć, że żadna z tych partii nie miał odwagi, chociaż wiedział, że to trzeba zrobić - którą grupę usług jesteśmy w stanie sfinansować i w jakim zakresie. Koszyk usług medycznych, jest takim koronnym dowodem granicy między demagogią, a oczekiwaniami społecznymi. Ponieważ nie mówi się, jaki jest koszyk usług, to są ogromne wymagania ze strony, zarówno lekarzy, jak i ze strony społeczeństwa. To nie służy absolutnie rozwojowi. To może być bardzo trudne, ale konieczne, żeby oczekiwania społeczne konkretnie opisać w kategoriach możliwości finansowych naszego kraju.

Należy wychodzić naprzeciw oczekiwaniom społecznym, ale jestem całkowicie przeciwno demagogii. W naszym kraju, poziom demagogii jest katastrofalny.

**W.U:** Czy istnieje, Pani zdaniem, sprzeczność pomiędzy realizacją w polityce określonych wartości (np. religijnych), a skutecznością w rozwiązywaniu problemów egzystencjalnych Polaków? Moje pytanie w istocie dotyczy hierarchii zadań przyjmowanych do realizacji przez różne ugrupowania polityczne. Jest to pytanie o proporcje pomiędzy tym co określamy „ideowością”, a pragmatyzmem polityków. Co Pani zdaniem jest ważniejsze?

**T.L:** Moim zdaniem, nie ma tu dużych sprzeczności. Idea to jest zawsze dla mnie coś niezwykle ważnego. Gdybym nie miała wiary w ideę, że wierzę w prawość, w uczciwość, że wierzę w to, że dobro publiczne jest dla mnie najważniejsze, że w mieście jest najważniejszy interes miasta, a nie jakieś prywatne interesy, gdybym nie wierzyła w takie idee, to bardzo trudno by mi było, pragmatycznie, cokolwiek wdrażać. Dla mnie nie ma dużej sprzeczności. Wręcz przeciwnie - idee są bardzo potrzebne w polityce. Ja mam wrażenie, że niektórym partiom brakuje idei, a bez idei, w które się wierzy - mimo, że ktoś z boku powie o mnie, że to jest taka idealistka, że to jest taki ideowiec, to mi to nie przeszkadza - działalność polityczna jest pozbawiona sensu. Jeżeli ktoś, nie ma idei i nie wierzy, że warto dobro publiczne postawić na samym czelu i że to ma sens i że to jest nie prawda, jak mi się na wielu spotkaniach mówi: „Pani Profesor bajki opowiada - nie ma czegoś takiego jak dobro publiczne”, to nie powinien zajmować się polityką.

Mam wrażenie i cały czas o tym mówię, że gdyby było tak, że cała polityka byłaby tylko brudna, to by żaden kraj się nie rozwinął. Są dowody na to, że kraje się rozwijają, a to oznacza, że jednak znajdują się politycy, dla których pierwszym celem jest dobro państwa. Jeśli nie mam takiego celu, jak dobro publiczne, to nic mi się nie uda. Jak ja mogłabym być dziekanem przez dwie kadencje, bez przekonania, że najważniejsze się jest dobro tego wydziału. Wtedy, gdy ktoś zostaje szefem uczelni, ktoś zostaje prezydentem miasta, to dla niego, to powinno być naczelną wartością, a nie interes jakiejś grupy. Wierzę w idee sprawiedliwości, wierzę, że trzeba być zawsze merytorycznym, wierzę, w uczciwość. To są idee, w które ja wierzę i uważam, że one są konieczne. Nie ma dla mnie tutaj żadnej sprzeczności.

Proszę mi powiedzieć, jak ja mogłabym wprowadzać podatek liniowy, gdybym nie wierzyła w jego słuszność? Uczę finansów publicznych, to doskonale wiem, że ekonomia to nie jest  $2 + 2 = 4$ , ponieważ w sejmie wszystkie decyzje są polityczne. Można znaleźć dowody na to, że bardziej sprawiedliwy jest podatek liniowy i można znaleźć, tyle samo



dowodów, że bardziej sprawiedliwy jest podatek progresywny. Trzeba, po prostu, w jeden z dwóch poglądów wierzyć. Nie można twierdzić, że ten, który proponuje podatek progresywny, chce uzyskać społeczeństwo, bo to mu się nie uda. Jeżeli zaś, ktoś proponuje podatek progresywny, bo jest zwolennikiem socjalnej teorii podatku i w nią wierzy, pokazuje jak rozwarstwienie społeczeństwa się może zmieniać w sposób pozytywny, to mu się uda wprowadzić go w życie. On zdobędzie wiarygodność i on na długo będzie uznawany za osobę związaną z socjalną teorią podatku. Są tacy, którzy doskonale znajdują dowody na to, że są zwolennikami liberalnej teorii podatku, że właśnie podatek liniowy, proporcjonalny dla wszystkich stwarza warunki do oszczędzania i stwarza doskonale warunki do tego, żeby tworzyć więcej miejsc pracy. Ale jedni i drudzy, muszą autentycznie w to wierzyć i pokazywać dowody na słuszność swoich racji.

Pamiętajmy o tym, że każde wdrażanie idei w polityce, zawsze znajdzie tyle samo zwolenników, co i przeciwników. Zawsze jest „lewicowość” i zawsze jest „prawicowość” poglądów. No i jeszcze, jest coś pośrodku. W związku z tym, nie ma moim zdaniem, żadnych trudności z właściwym rozumieniem ideowości i pragmatyzmu polityków. Chociaż, może być pragmatyzm rozumiany jako rezygnacja z własnej idei, i to mi się absolutnie nie podoba. Na to bym nie zgodziła. Moim zdaniem to jest błąd, wynikający z chęci szybkiego zdobycia władzy. Musi być tak, że trzeba sobie wyznaczyć cele, wierzyć w nie i nawet długoterminowo je realizować. W ten sposób osiąga się wiarygodność. Jeżeli te idee są dobrze realizowane i zdobędą one poparcie społeczne, to prędzej, czy później się wygra. Chyba że ma się takie idee, które docierają do wąskiej grupy społeczeństwa, tak jak np. „Liga Polskich Rodzin”. Unia Wolności też nie była partią o szerokiej bazie społecznej. To zależy jaką partią chce się być, ale jeżeli się rezygnuje ze swoich zasad, to momentalnie straci się swoich wyborców.

Trzeba na samym początku wiedzieć, kim chce się być. Jak się budować zaplecze społeczne, czy chce się być otwartym na szerokie rzesze. Tak jak np. niemiecka chadecja - tam byli ludzie wierzący i niewierzący, bardzo różni ludzie. Mieli kilka idei, które były dla nich ważne i stworzyli potężną partię. Myślę, że to kiedyś w Polsce, też do tego dojdzie. Na razie potrafimy się o byle głupstwo poróżnić. Tym niemniej, jeśli ktoś, buduje jakąś siłę polityczną w oparciu o jakąś ideę, to nie powinien z niej rezygnować - jeżeli ona nie jest niszcząca społeczeństwo. Raczej nie namawiałabym to tego, aby osłabiać swoją ideowość, wręcz przeciwnie.

**W.U:** Jak Pani postrzega i definiuje to, co zwykliśmy często określać mianem misji publicznej, jaką mają do wypełnienia politycy? Jaki powinien być, Pani zdaniem, związek pomiędzy tak rozumianą misją publiczną, a oczekiwaniami społecznymi?

**T.L:** To jest bardzo dobre pytanie. Wszyscy mają tę samą misję publiczną do wypełnienia tzn. robić wszystko, co sprzyja rozwojowi kraju i kierować się tylko dobrem publicznym. Dla mnie kierowanie się dobrem publicznym oznacza, że jest się bardzo dobrze przygotowanym merytorycznie i jest się otwartym na wszelkie nowe propozycje. To jest wystarczające. Czyli misja publiczna to jest dobro publiczne, ale słowo dobro publiczne jest takim wytrychem. Każdy z polityków powie, że miał dobro publiczne na względzie. Trzeba mieć program gospodarczy, program społeczny, trzeba mieć później efekty, że rzeczywiście coś się udało wdrożyć wartościowego. Ważna jest czystość rozumiana jako uczciwość.

Odpowiadając na dalszą część pytania, dotyczącą związku pomiędzy, tak rozumianą misją publiczną, a oczekiwaniami społecznymi, muszę powiedzieć, że napotykamy ten sam problem, który mieliśmy wcześniej. Trzeba zawsze, bardzo precyzyjnie, sformułować swoje zasady. W przypadku partii, jest to, tak zwana, deklaracja ideowa, która odpowiada na kilka pytań: jakimi zasadami społecznymi będziemy się kierować, jakie wartości ideowe są ważne, co jest ważne w gospodarce. Na podstawie tych zasad trzeba sformułować konkretny program. Ten program musi wyraźnie odpowiadać potrzebom klasycznych podziałów ideologicznych - albo się jest partią lewicową, albo jest się partią prawicową, centrową itd..

Owa lokalizacja ideologiczna, wyznacza zakres relacji pomiędzy misją publiczną, a odniesieniem wobec oczekiwań społecznych. Czyli, jeśli ktoś jest z partii lewicowej, to on autentycznie musi przeciwdziałać zbyt dużym różnicowaniom społecznym. Uważam, że to jest klucz, do zrozumienia relacji pomiędzy misją publiczną, a spełnianiem oczekiwań społecznych.

**W.U:** Czy Pani zdaniem, uprawniony jest pogląd, w myśl którego zmiany świadomościowe Polaków w okresie PRL doprowadziły do ukształtowania mentalności „homo sovietikus”? Jeśli zgadza się Pani z tym poglądem, to proszę o sprecyzowanie, co ów termin oznacza według Pani.

**T.L:** Takie było wyobrażenie wielu polityków, że społeczeństwo, samo sobie poradzi z zagospodarowaniem swojego życia, przede wszystkim zawodowego. To było bardzo naiwne. My na początku mieliśmy zbyt małą wiedzę na ten temat. Ja przyznam się szczerze, że na początku poznawania wiedzy z zakresu finansów publicznych, naiwnie wierzyłam, na początku lat dziewięćdziesiątych w liberalizm i tzw. wolną gospodarkę. Dopiero głębokie zorientowanie się w tym, jak funkcjonują rzeczywiste systemy gospodarcze, jak ogromna jest rola polityki i rozwiązań politycznych w rozwoju gospodarczym, zrozumiałam, że nie ma takiego kraju, w którym nie ma interwencjonizmu gospodarczego. Przeciwnie, jest bardzo duży interwencjonizm i bardzo duża ochrona własnego rynku oraz własnych interesów. Czyli, skora ja, na początku byłam taka naiwna, to oznacza, że miałam niewielką wiedzę na ten temat i to, uznaję za „homo sovietikus” w sobie.

Dla mnie, najgroźniejszy „homo sovietikus” występuje wśród elit społecznych. Ja myślę, że „homo sovietikus”, to jest brak wiedzy o mechanizmach funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa. Brak dobrego rozeznania, jak funkcjonują naprawdę systemy gospodarcze, co to jest interwencjonizm, co to jest interes narodowy, interes kraju. U nas „homo sovietikus” jest wskazywany u ludzi niewykształconych, a ja myślę, że najgroźniejszy jest „homo sovietikus” wśród ludzi wykształconych - brak dobrego przygotowania do życia gospodarczego, do polityki, do zarządzania firmą, do rozwoju gospodarczego.

My dosyć późno odkryliśmy, dopiero po jakimś czasie, na czym polega w rzeczywistości zarządzanie państwem. To mogło być przyczyną wielu niepowodzeń. Zrzucanie, w tym momencie, odpowiedzialności za błędy elit, na warstwy społeczne, właśnie te wyalienowane, niewykształcone, jest nieporozumieniem. Twierdzenie, że nie można wprowadzić wielu reform, wielu zmian tylko dlatego, że siedzi w tych ludziach „homo sovietikus”, jest nieprawdziwe. Coś takiego jak „homo sovietikus”, oczywiście istnieje.

Oczywiście, że byliśmy odizolowani od uznawania podstawowych wartości - że trzeba rzetelnie pracować, że rynek nas kontroluje, że trzeba produkt sprzedawać, że nie trzeba kraść, że „państwowe”, to też trzeba szanować. Ale to dotyczy wszystkich, zarówno warstw wykształconych, jak i niewykształconych. Obecnie nie przykładam bym zbyt dużej wagi do tych kwestii, dlatego nasza mentalność się zmienia - widzę jak moi studenci wyjeżdżają na roczne praktyki do Stanów Zjednoczonych, do Anglii, jeżdżą po całej Europie i doskonale sobie radzą. To oznacza, że potrafią się dostawać do bardzo wysokich wymagań.

Widzę, jak się dobrze pracuje z nowymi studentami. Nie ma problemu z prośbą żeby oni nie ściągali. Kiedyś to było zupełnie naturalne - po co się uczyć? Pamiętam, jak musiałam z moim mężem się kryć z informacją, ile my pracujemy. Nie wypadało pokazać kiedyś - 15, 20 lat temu, że się dużo pracuje, że się ma doktorat, że się robi jakiś następny wysiłek. Raczej w normie było, że „załatwiło się coś”. Student mi kiedyś pokazywał, że szedł na zajęcia, na egzamin, kompletnie nieprzygotowany, a zdał. Dzisiaj nie jest to dobrze widziane, jeżeli ktoś pokazuje, że nie pracował, że nie jest solidny, że liczy na ściąganie. To są bardzo duże przemiany w zakresie właśnie „homo sovietikus”. Czyli dzisiaj już nie przywiązywała bym dużej wagi do owego „homo sovietikus”, bo rola tego typu naleciałości się zmienia. Wchodzi w dorosłe życie nowe pokolenie wykształcone w zupełnie w innym systemie wartości.

Problemem jest może to, że my nie informujemy Polaków, że nie ma niczego za darmo. To jest duży problem, że wszyscy myślimy, że oświata jest za darmo, że ochrona zdrowia jest za darmo, że drogi za darmo się wybudowały, że wszystko się wybudowało niewiedomo z jakich środków. Na razie jest bardzo mała świadomość tego, że na to wszystko pracują odpowiednie grupy ludzi, którzy mają miejsca pracy i różnie finansują usługi publicznie. Takiej świadomości jeszcze nie ma i tą świadomości stopniowo uda się wypracować - głęboko w to wierzę.

Najgorszym przejawem „homo sovietikus” jest jednak to, że my nie stwarzamy warunków do tego, żeby go niszczyć w świadomości Polaków. Można go zniszczyć jeśli wprowadzimy dobre firmy, ale oczywiście trzeba mieć wpierw makroekonomiczne warunki, z tego co mi opowiadają przedsiębiorcy, to większość dobrych przedsiębiorców dawno zrezygnowała, takich przedsiębiorców, którzy chcieli budować coś przyzwoitego w oparciu o swoje osiągnięcia intelektualne. Tacy przedsiębiorcy zrezygnowali z budowania firmy. Nie ma warunków do tego, żeby budować przedsiębiorczość w Polsce opartą o rzetelne osiągnięcia. Jak nie ma warunków do tworzenia takich firm, to nie ma też dobrych warunków, żeby dosyć szybko zwalczyć „homo sovietikus”. Jeśli będą warunki do tworzenia firm konkurencyjnych, to ludzie będą starać się bardzo dobrze pracować. Nie ma żadnych kłopotów jeśli człowiek będzie wiedział za co dostaje pensję i ma stałą pensję. Firma będzie się rozwijała a pracownik będzie się utożsamiał z szefem. „Homo sovietikus” błyskawicznie zniknie.

Zgadzam się, że „homo sovietikus” jest wytrychem obronnym elit, dla kłopotów, które mamy. Nie chciała bym, żeby powstało wrażenie, że ja mam żal do polityków. Uważam, że to był naturalny sposób racjonalizacji niepowodzeń. Ja mam żal do siebie. Jeżeli już można mieć żal, to mam go do siebie, do kolegów, którzy krytykując polityków, sami nic nie robią żeby pomóc naszemu państwu. Bowiem zawód polityk jest bardzo trudny, bardzo stresujący, bardzo wymagający, bardzo pracochłonny. Biorąc po uwagę wymagania jakie stawia się politykom, a równocześnie biorąc pod uwagę, jakie straty można ponieść, kiedy nieudolnie to się uprawia politykę, to wszyscy - nie wiem jakie instytucje- media, elity intelektualne - wszyscy powinni stwarzać warunki do tego, żeby racjonalna polityka też miała możliwości rozwoju w Polsce. Ona także nie ma warunków do rozwoju.

Kłopoty naszej transformacji? No cóż, to był dla mnie naturalny efekt potężnych przeobrażeń. W gruncie rzeczy - poświęceń wielu warstw społecznych, którzy wyszli naprzeciw tym wszystkim wyzwaniom i ponoszą tego bardzo dramatyczne konsekwencje. Natomiast, czy stać nas było na lepsze przemiany? Nie sędzę. Pan Lepper zawsze atakuje Pana Balcerowicza, on to oczywiście w przenośni mówi, że chodzi o Balcerowicza - „Czy Polska, to był tylko Pan Balcerowicz?” W takim razie, jeśli się nie podobał program Pana Balcerowicza, to należało stworzyć alternatywy. Przecież to jest potężny kraj, potężne grupy ludzi wykształconych, elity. Wykształcenie zdobywało się w komunizmie, natomiast nie zdobywało się w komunizmie rzeczywiście dobrego wykształcenia w ekonomii. Kiedyś w jakimś wywiadzie powiedziałam, że jedną z przyczyn słabości naszych przemian gospodarczych jest to, że kiedyś dobór na ekonomię był na zasadzie jednak doboru negatywnego. Uczniowie sobie takie rankingi robili - medycyna, prawo to były wartościowe kierunki studiów. Natomiast ekonomia? W najlepszym razie - Finanse Międzynarodowe, a w Szczecinie - Ekonomika Transportu Morskiego, bo transport morski był wtedy kojarzony z elitą kadry zarządzającej. Ja byłam drugim rocznikiem Organizacji Przetwarzania Danych. Czyli pojawiła się taka nowa dziedzina na ekonomii - informatyka. Udało się ściągnąć bardzo wielu wartościowych ludzi np. Profesora Wierzbickiego na ekonomię, która przez jakiś czas cieszyła się dużym prestiżem.

W pozostałych dziedzinach ekonomicznych, był dobór negatywny. Proszę pamiętać, że trzeba uwzględnić warunki wyjściowe - trwają ogromne przemiany gospodarcze, za te



przemiany raptem mają odpowiadać ekonomiści w znacznej mierze, a dobór do ekonomii był negatywny. Czyli już punkt wyjściowy przemian znacznie nam osłabiał możliwość uzyskania sukcesu. Mówiłam również o tym, jak sama miałam małą wiedzę na temat ekonomii. Tym bardziej, że skończyłam informatykę i habilitację, też robiłam z informatyki. Przeszłam do ekonomii w momencie, kiedy okazało się (skończyłam habilitację w 1991 roku z informatyki), że strasznie zaczynają być ważne finanse, rachunkowość i te dziedziny, które dotąd były kompletnie nieważne. Pamiętam, jak Profesor Sfatler - były szef katedry, miał kłopoty z naborem dobrych kandydatów. Raptem, bardzo ważna się stała ekonomia. Kiedyś wykładało się ekonomię socjalizmu, a tu raptem prawdziwa, normalna ekonomia staje się bardzo ważna. Stały się ważne marketing, zarządzanie - nowe kompletnie dziedziny.

My na początku byliśmy zupełnymi teoretykami. Myśmy tylko z książek mogli studentom coś przekazywać. Pamiętam, co ja mówiłam o inflacji, co ja mówiłam o wielu innych zagadnieniach. Dopiero jak zjawiska inflacyjne - czy podatki, o których mówiłam „książkowo” - w praktyce funkcjonują, dowiedziałam się później i teraz zupełnie inaczej dzisiaj wykładam te zagadnienia. To wymagało wiedzy i praktyki.

Wracając do tej głównej myśli, jeśli nam się nie podobały pomysły Balcerowicza, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby zjawiła się duża, silna grupa ekonomistów, która by zaproponowała coś innego. Wszyscy byli słabi i niewystarczająco znajdowali argumenty ani dla jednej opcji, ani też dla innej. Balcerowicz - pamiętam - proponował podatek liniowy, to co teraz proponuje „Platforma Obywatelska” - obniżenie podatków do bardzo niskiego poziomu, o czym wszyscy zapomnieli. Sejm to przegłosował. Prezydent to zawetował i kto wie, czy koszty pracy by nie byłyby dzisiaj niższe. On proponował 15, lub 18% podatku liniowego, a to jest jeden z elementów kosztów pracy. Kto wie, czy dzisiaj nie byłoby tego pozytywne efekty? Jeden z ważnych elementów czyli obniżenie kosztów pracy nie udało się wprowadzić w Polsce, bo prezydent to zawetował. To jest tylko gdybanie, ale generalnie były bardzo słabe ośrodki eksperckie, które mogłyby doradzać politykom.

Dzisiaj to trochę lepiej wygląda, ale też jeszcze dobrze nie jest. Poza tym, proszę pamiętać, że nie było doświadczeń jak „robić tą ekonomię” i przekształcenia w kraju pokomunistycznym. Słabe elity ekonomiczne, słabe elity... a intelekt jest najważniejszy. Kto wie, gdyby ekonomistami byli lekarze, gdzie był dobór dużo lepszy genetycznie, byli prawnicy, to kto wie, czy nie udałoby się lepiej przemian przeprowadzić. Jeszcze należy wziąć po uwagę to, że są to nietypowe przekształcenia, bo trzeba z „państwowego” przejść w „prywatne”. Proszę to wszystko razem wziąć po uwagę. Trudno się tutaj popisywać, być mądrym i teraz dawać sugestie, jakby można było inaczej. Zawsze mówię, na wszystkich spotkaniach, że według mnie, nie można było inaczej. Skoro Polskę nie stać było na żaden inny rząd, to znaczy tylko taki, jaki był, należało uszanować i powiedzieć, że to był ten, na który Polskę było stać. Jeżeli czasami mi mówią wybitni ludzie, których ja szanuję, że oni nie mają z tym nic wspólnego, nie wybierali tego rządu, tego sejmu, to ja mówię: „Panie Profesorze, Pan ma dużo wspólnego, bo Pan jest z tego kraju i jeśli nawet, to jest rząd „SLD,” albo jest to rząd „AWS”, to jest to nasz rząd. To jest rząd naszego kraju i Pan nie może powiedzieć, że Pan nie ma z tym nic wspólnego. Nawet jeśli, to nie jest ten rząd, który Pan chciał, to i tak, to jest nadal nasz rząd i na inny rząd nas nie stać było.” Można znajdować powody, że służby specjalne... to jest zupełnie inna kwestia. Ważne, że to był lub jest nasz rząd.

Nie chciała bym, żeby z tych Pan wywiadów wynikało - to by się Panu opłacało (śmiech) - że wszyscy Pan rozmówcy, są tacy mądrzy i tylko gania, gania. Pan musi mieć pozytywną książkę, mimo wszystko, żeby pokazać, że nazywamy rzeczy po imieniu, ale dzisiaj już nam samo narzekanie nie starcza. O ile jeszcze kilka lat temu można było sobie na to pozwolić, to dzisiaj już mamy dużą wiedzę ekonomiczną. Dzisiaj można brać ekspertów -



tylko nie można cały czas tych samych - brać ekspertów i próbować działania z innymi programami.

Natomiast, bardzo ważne jest, żeby doprowadzić do tworzenia racjonalnej polityki. Ważne jest, żeby zdecydowała się grupa ludzi bardzo odpowiedzialnych, z niezwykle, nieprzeciętnymi talentami umysłowymi, pójść do polityki. To jest niezbędne. Jeśli tak się nie zdarzy, to będziemy długo jeszcze czekać na to, żeby nastąpił przełom w rozwoju gospodarczym. Warunki dla uprawiania polityki są niezwykle ważne. Nie wiem jakie te warunki powinny wyglądać. Media pewnie mają bardzo dużą rolę, żeby pokazywać istotę polityki. Natomiast twierdzą, że taka książka, jak Pana, jest bezcenna, bo ludzie nie wiedzą, że to, o czym mówimy, jest takie ważne. Dopiero gdy taki Profesor Domagała - który w naszym domu mówi (jest rektorem), że on „z tamtym” nie ma nic wspólnego - dopiero gdy ich szkoła musi być likwidowana i on ma dowody 100%, że nie ma wystarczającego udokumentowania dla takiej decyzji to dopiero on widzi, że polityka ma wpływ na jego życie. Gdy transportowcy widzą - twierdzą, że nie chcą mieć z polityką nic wspólnego - gdy widzą, że podatek transportowy jest najwyższy w całym regionie, to wtedy czują, że od polityki nie da się łatwo uwolnić. Mówię wtedy: „Co wy sobie wyobrażacie? Trzeba przyjść i domagać się pewnych zmian. Widzicie to, widzicie tamto, ale z tego nic nie wynika ani dla was, ani dla polityków”.

W Polsce trzeba stwarzać warunki do tego, żeby ludzie najbardziej wartościowi szli do polityki. Ale taka potrzebę zauważają dopiero, gdy sami nie mają pracy, gdy ich dzieci nie mają pracy. Dzieci zdobyły wykształcenie - rodzice zainwestowali bardzo dużo w wykształcenie i są zadowoleni dopóki dziecko studiuje. Dziecko kończy studia, nie ma pracy choć widać, że jest pracowite rozgarnięte. Wtedy oni mówią: „Pani Profesor, to w takim razie ja proponuję, żeby pojechać do Warszawy i podpalić to wszystko”. Niezmiennie odpowiadam: „To wcześniej Pan tego nie widział?”

Niestety jest tak, że dopóki bezpośrednio nie dotyka nas polityka, to cicho wszyscy siedzimy i owa polityka nas nie interesuje. Dopiero jak w rodzinie nie ma pracy, dzieci opuszczają kraj, dopiero jak jest likwidowana szkoła, nie ma dojazdu, nie starcza na leki, dopiero przekonują się Polacy, jak strasznie ważna jest polityka. Dobrze by było, gdyby nie musieli się przekonywać tak boleśnie. Żeby dowiedzieli się, że ważne jest, kto będzie prezydentem, jacy będą radni, jacy będą posłowie, że to decyduje o ich życiu.

Na spotkaniach z wyborcami zawsze powiadam: „Ja nie wiem, jak wy możecie mówić, że nie macie wpływu na to, co się dzieje w kraju lub w naszym mieście. Każda wasza wypowiedź: że „brudna polityka”, że „nic nie warto”, że „to same kombinacje”, to jest nieprawda”. Ale oni w to wierzą.

**W.U:** To jest jednak mimo wszystko wynik, co tu dużo ukrywać, relatywnie niskiego poziomu świadomości politycznej, ekonomicznej, społecznej, obywatelskiej...

**T.L:** Oczywiście. Myśmy nauczyli się bać władzy. Ludzie boją się pójść do urzędu, porozmawiać z jakimś urzędnikiem, bo to jest władza. A to są zwykli, normalni ludzie. Ja się muszę tłumaczyć przed wyborcami, bo jestem wybrana przez nich dla realizacji ich celów. Mam współpracownika, który jest jeszcze tak roszczeniowo nastawiony - to jest dobry chłopak, ale on w ogóle nie rozumie roli polityka. On do ludzi mówi tak: „Co wy się nami zainteresowaliście (czyli radnymi), dopiero jak wam szkoły likwidują”. Ja mówię: „Wojtus! A co, ty do nich masz pretensje? Przecież ty wiesz o tym, że będą likwidowane, już od roku. Ty musisz się tym zainteresować. Ty masz do nich pretensje, że oni do ciebie przychodzą dopiero jak mają problem? Na razie ty jesteś politykiem, ty masz większą świadomość. Zdecydowałeś się być politykiem, to wyjdź do nich i rozmawiaj, pomóż. Powinieneś się cieszyć, że oni do ciebie przychodzą”.

Wojtek, tak ma na imię, co chwilę na wszystkich krzyczy. Cały czas do wszystkich ma pretensje i dziwi się, co oni od niego chcą? Wyborcy do mnie mówią: „Pani Profesor, ten

gruby od Pani, cały czas na nas krzyczy". (śmiech) On jest charakterystyczny. Umawiam spotkanie z nim i mówię: „Wojtuś! Po co ty krzyczysz? Akurat dla nich te garaże, to jest dorobek życiowy. Dla nich to jest bardzo ważne i zastanów się jak można im pomóc, jak wyjść im naprzeciw”. Ten przykład jest znamieny. On pokazuje jaka jest jeszcze arogancja polityków. Oni są tak pewni siebie. Dla mnie to jest coś przerażającego, że im się wydaje, że wiedzą, co dla społeczeństwa jest dobre i pouczają wszystkich dookoła.

Nawet w takiej Radzie Miasta można to zaobserwować. Gdy chciałam mieszkania komunalne, za kilka procent wartości, przekazać właścicielom, to konsultowałam to z bardzo wieloma ludźmi, także na uczelni. Dyskutowałam, pytałam bardzo długo, zanim myśmy się zdecydowali na ten całościowy, mocny ruch prywatyzacyjny. Uznaliśmy, że jest lepiej jeśli całe miasto będzie prywatyzowane - mam na myśli zasoby mieszkań komunalnych., niż taki ruch na niby- trochę sprzedajemy, trochę nie sprzedajemy i w gruncie rzeczy będzie bez zmian. Je się konsultowałam z bardzo wieloma ludźmi, a ktoś, kto się w ogóle na tym nie zna, z nikim się nie konsultował, raptem twardo mnie poucza i mówi i ma taką ogromną odwagę, że ludzie przecież o to nie zadbają. Skąd on wie, że nie zadbają? Jak on ma odwagę o moim ojcu, matce - starszych ludziach mówić, że oni nie zadbają? Bez przeprowadzenia żadnych badań! Ciągłe wszyscy mówią o jakimś dachu - że nie będzie pieniędzy na dach. Skąd wie, że nie będzie pieniędzy na dach? Jeden przypadek odosobniony jest argumentem dla wszystkich innych, że nie należy tych mieszkań prywatyzować.

Czymś innym jest sposób bycia, a czymś innym jest arogancja. Ja jestem osobą zdecydowaną, ale równocześnie bardzo szanuję prostych ludzi i zawsze mam jeszcze różnego rodzaju wątpliwości w niektórych sprawach. Arogancja, to jest pewność siebie na podstawie dowodów nijakich. Jestem przerażona jak patrzę na przekonanie, np. niektórych młodych ludzi. Raptem wydają sądy o wszystkim i nie wiem na podstawie czego oni to wnioskujeją, bo do tego nie jest dołączona żadna ekspertyza, żadna analiza, tylko głębokie przekonanie jakiegoś młodego człowieka. Myślę, że to jest bardzo zły sposób uprawiania polityki, bo nie jest oparty na żadnych analizach, na żadnych dowodach, na żadnych wieloaspektowych eksperckich doniesieniach. Myśmy ich przyzwyczajili, myśmy się przyzwyczajili, że oni mają taką władzę, która wynika z ich subiektywnych przekonań. Społeczeństwo przyzwyczajło polityków do arogancji. To odpycha ludzi. Uważam, że trzeba zawsze starać się ze zrozumieniem podejść do wszystkich problemów społecznych.

**W.U:** Gdyby przyszło Pani wskazać pięć najważniejszych cech, którymi winien charakteryzować się polityk, to jakie to byłyby cechy? Proszę o krótkie uzasadnienie.

**T.L:** Myślę, że każdy ma dopiero szansę wystartować dobrze w polityce, gdy sam siebie szanuje, czyli ma jakieś znaczące sukcesy. Musi mieć zawodowe sukcesy. Dla mnie to jest konieczne, żeby pokazać innym, że w jakiejś dziedzinie miało się sukces. Może to być prowadzenie straganu, ale utrzymanie tego straganu przez dziesięć lat. Może to być bardzo dobry nauczyciel. Prowadziłam 6 lat wydział, ze znaczącymi sukcesami. Zostałam przecież 1,5 mln zł. w kasie wydziału. Przeszliśmy, jako jedyny wydział, do kategorii B. Później, dopiero po nas, Wydział Prawa uzyskał tą kategorię. Wydział na ul. Cukrowej, nadał ma kategorię C. Uruchomiliśmy studia MBA. To są nasze bardzo duże osiągnięcia. Poczułam, co to znaczy prowadzenie jakiejś instytucji i pilnowanie interesów tej instytucji, to jest bardzo ważne.

Po drugie, uważam, że dobrze by było, żeby polityk miał dobre rozeznanie w sprawach gospodarczych i społecznych. On musi wiedzieć, o co chodzi, bo cały czas się podejmuje decyzje, albo gospodarcze, albo społeczne i tutaj trzeba w jakiegokolwiek dziedzinie być specjalistą.

Po trzecie, bardzo ważna jest niezależność finansowa. To jest absolutnie niezbędne. Chociaż miejsce pracy, pewne miejsce pracy. Nie może być to miejsce pracy, uzależnione w jakikolwiek sposób od polityki. Wtedy nie ma szans na to, żeby reprezentować program dla

społeczeństwa. W każdej chwili taki polityk, na Radzie Miasta, lub w Sejmie, zmieni swoje głosowanie w zależności od tego, czy „zasteruje się go”, albo sterroryzuje się go.

Ważna jest to, że nie może być takiej sytuacji w której można polityka szantażować - wiem, że to jest typowa metoda działania w polityce. W momencie, kiedy się startuje na jakiejkolwiek ważne stanowisko polityczne np. na prezydenta dużego miasta, wójta, czy posła - to są dla mnie ważne stanowisko, bo jak się startuje na radnego, to jest się w grupie 31 osób i trudniej manipulować całą, czy częścią rady miasta - to naprawdę narusza się pewne interesy różnych grup politycznych i wtedy normalnym narzędziem jest szantaż. Ja tego doświadczyłam i wiem, jakie wyszukuje się narzędzia walki z taką osobą. Jeżeli można na tą osobę znaleźć papiery i jeżeli się znajdzie takie papiery, to nie ma żadnych szans, niech się wycofuje z polityki, bo nic nie zrobi. W pewnym momencie zmieni swoje zdanie niewiadomo dlaczego, wycofa się z czegoś, nie wiadomo dlaczego. Wiadomo, że to się dzieje z powodów politycznych, a te powody, to są papiery. Jestem stuprocentowo przekonana, że to jest bardzo ważne, żeby nie można było szantażować polityka, który chce mieć ważną pozycję - jeśli nie ma ważnej pozycji, to nikt go nie będzie szantażował. Jeżeli chce mieć pozycję i łamać wszelkie struktury - będzie szantażowany.

Piątą cechą jest uczciwość. To jest dla mnie konieczne- uczciwość.

#### Rys autobiograficzny Profesor Teresy Lubińskiej

Pochodzę z rodziny robotniczej - pracująca matka i ojciec. Ojciec mój był dekarzem. Cała nasza rodzina została przewieziona z kresów wschodnich do Wałcza. Ważne jest to, że całe dzieciństwo, łącznie z liceum, spędziłam w Wałczu i cała moja rodzina, bliższa i dalsza, jest z Wałcza. Ojciec mój, tak jak każdy mężczyzna, całe życie pracował. Natomiast moja mama, dopiero jak dzieci były większe, poszła po raz pierwszy do pracy. Miałam trzech braci i siostrę młodszą o pięć lat. Mama bardzo solidnie pracowała jako krawcowa. Pamiętam, że to były bardzo ciężkie dla rodziny czasy, bo pracujący ojciec i pracująca matka na dwie zmiany... to się tak pracowało. Moja mama pracowała na dwie zmiany. Szła do pracy od 6.00 do 2.00 i od 2.00 do 10.00. Tata zawsze wychodził po mamę, ale ja wiem, że mamusia zawsze przychodziła bardzo zmęczona z pracy, bo tam się pracowało w taśmie. Pamiętam, że mama zawsze doskonale sobie radziła. Bardzo wiele osób - znajomi, koleżanki - przychodziły do domu, wypadły z tej taśmy, nie dawały sobie rady w tym rytmie pracy. Więc ja widziałam, że moja mama bardzo ciężko pracuje. W późniejszym okresie, pamiętam, że mama dorabiała również w domu, czyli jeszcze można było dodatkowo zarobić. Wszyscy byliśmy ubrani przez mamę. Na wszystkich zdjęciach widać, jak jesteśmy bardzo ładnie ubrani, bo mama trafiła bardzo dobrze uszyć.

Głową rodziny była mama. Mama jest bardzo wymagająca. Była bardzo religijna i chodziliśmy bardzo często do kościoła. Pamiętam, że moi bracia byli ministrantami. Ja śpiewałam w chórze, chociaż mam bardzo słaby głos, ale musiałam się wykazać takim zaangażowaniem, bo takie były tradycje w rodzinie. Mama decydowała o tym, jak długo się uczyliśmy. Podejmowała decyzje w sprawie wyjazdów na wakacje np. do dziadka, czy do dalszej rodziny. Zawsze pytaliśmy się mamy o te kwestie. Mój tata jest bardzo mało mówny - jest do dzisiaj taki bardzo mało mówny - ale zawsze był cały czas przy mamie i widzieliśmy, że oni konsultują ze sobą wszystko. Natomiast u nas - to są prawdopodobnie zwyczaje tych starszych rodzin przedwojennych - moi rodzice przy dzieciach się nie kłócili.

Tworzę już inną rodziną. Ja z moim mężem dyskutuję przy dzieciach i moje dzieci bardzo dużo wiedzą o tym, w czym mamy różne poglądy.

Natomiast moi rodzice zostali wychowani w takich rodzinach, że nie wypadało się przy dzieciach ścierać na temat różnych poglądów. Widzieliśmy jedno, że w mojej rodzinie był wielki szacunek do Piłsudskiego. Rodzice nigdy w żadną działalność polityczną się nie



angażowali i mieli dla tych przedwojennych tradycji ogromny szacunek. Duży wpływ na naszą rodzinę miał brat mojego ojca, który był najmłodszy w ich rodzinie i skończył studia. Było ich czworo. Najwyższe wykształcenie zdobył własni najmłodszy brat ojca, który został prawnikiem i w związku z tym on miał również duży wpływ na mnie. Byłam zawsze, od pierwszej klasy, bardzo dobrą uczennicą i świetnie sobie radziłam w podstawówce, w liceum. Tak właściwie o tym, że będę kontynuować naukę na studiach wyższych, zdecydowałam ja i właśnie ten wujek, który zawsze dodawał mi siłę, bo jednak jak się pochodzi z rodziny robotniczej, to mimo wszystko, pokutuje takie wyobrażenie, że jest bardzo trudno dostać się na studia, że raczej to są obszary, które są zarezerwowane tylko i wyłącznie dla ludzi dobrze sytuowanych lub rodzin wykształconych. Chociaż w liceum to już większość nauczycieli wyraźnie mi mówiła, że swobodnie się dostanę na każde studia. Niektórzy bardzo mocno angażowali mnie np. w olimpiadę fizyczną i uczestniczyłam w czwartej i piątej klasie w takiej olimpiadzie, należałam do kółka fizycznego.

Mojego męża poznałam na olimpiadzie fizycznej, ale ja go dobrze nie zapamiętałam. On reprezentował Przechlewo a ja reprezentowałam Wałcz. Natomiast on mnie doskonale zapamiętał. Jak się spotkaliśmy później - on zdał na medycynę, ja zdałam na politechnikę - spotkaliśmy się na obozie pracy i on doskonale pamiętał jak wyglądałam, jak byłam ubrana. Dziewcząt na olimpiadzie fizycznej było bardzo mało, może dlatego łatwiej mu było zapamiętać. (śmiech)

Nauczyciele mi wyraźnie mówili, że przy mojej pracowitości - oprócz tego byłam strasznie pracowita i do dzisiaj jestem, solidna, więc łatwo mi przychodziły te dobre oceny - że na studia mogę się dostać. Skończyłam studia o jeden semestr wcześniej niż wszyscy moi koledzy i koleżanki. Obroniłam pracę pół roku wcześniej i poszłam do Profesora Wierzbickiego i poprosiłam, że chcę zostać na uczelni. Wyjechałam od razu na staż do Deutschebank do Niemiec - byłam trzy miesiące na praktyce. Później już bardzo mocno pracowałam nad doktoratem. Doktorat udało mi się złożyć przed urodzeniem pierwszego dziecka. Za chwilę urodziło się pierwsze dziecko, drugie dziecko i później przez jakiś czas mniej pracowałam, bo trzeba było przejąć obowiązki nad chłopcami. Uczelnia jednak ma tą zaletę, że przez jakiś czas można było wiązać obowiązki rodzinne z pracą naukową. Można dużo obliczeń, analiz, zrobić w domu. Można studiować w domu. Co prawda trwało to dłużej, ale udało mi się również przygotować habilitację. Pewne znaczenie miało to, że udało się, wraz z mężem, wyjechać na roczny staż naukowy. Mąż był w Stanach Zjednoczonych i myśmy przez rok mu towarzyszyli. Uczestniczyłam również w Filadelfii w World of School - to jedna z wiodących szkół biznesu w Stanach Zjednoczonych - w pewnych badaniach, co również mi pomogło przy napisaniu habilitacji. Wyjazd do Stanów Zjednoczonych na pewno miał znaczenie dla mojego rozwoju naukowego.

Mam dwóch synów. Jeden syn jest na medycynie, a drugi studiuje prawo. Są zupełnie różni. Tak przy okazji chciałam powiedzieć, że jeżeli ktoś zajmuje się polityką, to powinien pamiętać, że to jest bardzo absorbujące zajęcie. To jest zajęcie wymagające dużo czasu i poświęcenia. Jeżeli chce się pełnić te obowiązki w sposób poważny - ja mówię o poważnej funkcji politycznej - to można to robić, jako kobieta, jeżeli ma się dzieci dorosłe. Momentami jestem zajęta całe dni. Nie można było by nigdy poprowadzić rodziny, jeżeli miałoby się małe dzieci. Weszłam w politykę dopiero wtedy, jak moje dzieci były dorosłe i mieszkają osobno. Jeżeli ktoś jest młody i ma małe dzieci, to sobie nie wyobrażam, że może prawidłowo spełniać poważne funkcje polityczne. Może kiedyś żałować tego, że nie uda mu się zabezpieczyć należytej opieki nad dziećmi. Nie da się przekazać wszystkiego innym ludziom, żeby inni wykonali obowiązki rodzinne. Można mieć pomoc, można wspierać się przedszkolami, ja przecież też wspierałam się opiekunkami, ale jednak trzeba być w domu, chyba, że jest druga osoba, że jest mąż, który akurat może mieć mniej obowiązków. Jeżeli obydwoje mają poważne pozycje i chcą coś ważnego zrobić, to muszą pamiętać, że polityka



nie jest zajęciem na osiem godzin. Jako kobieta, radziłabym, żeby nie zaniedbać swoich obowiązków rodzinnych. Ja nie chcę powiedzieć, że mam patent na to jak się dzieci wychowuje, dlatego, że to się różnie układa. Wiele rzeczy ma się genetycznych. Natomiast swoje obowiązki trzeba wykonać - do liceum włącznie trzeba być w domu i trzeba się opiekować dziećmi. Jak dzieci już wychodzą z domu i mają te 18, czy 19 lat, to już trudno mieć na nie wpływ. One są już ukształtowane i bardzo wiele rzeczy już nie można zmienić. Sama wyszłam z domu po liceum i rodzice już nie mieli wielkiego wpływu na mnie. Oni - moja mama z moim ojcem - ukształtowali mnie i całą moją rodzinę pracując 18 lat, czy 20 lat. Dzieci kierują się później, własnymi kategoriami.

Jeden z synów ma żonę i mamy wnuka - bardzo chętnie przebywamy z nim. Prawie codziennie jest u nas, ale jest dopiero w godzinach wieczornych, bo oni jeszcze studiuja. Uczą się bardzo dobrze. Wieczorem - mąż już nie pracuje wieczorami - często gotuję i nasz wnuk się koło nas kręci. Prawie każdy weekend, albo wieczór jest u nas. Tym sposobem, my się bardzo cieszymy, a oni mają ogromną pomoc, bo w czasie studiów jest bardzo ciężko mieć dziecko.

**W.U: Pani pierwszy kontakt z polityką?**

**T.L:** Trzeba pamiętać, że ja wykładam finanse publiczne. W sposób naturalny - to się rzadko spotyka, ja chyba, jako jedyna w województwie Zachodniopomorskim mam najwięcej tego typu publikacji - publikuję artykuły w prasie. W tych artykułach od początku odnosiłam się do decyzji Rady Polityki Pieniężnej - mam bardzo dużo artykułów na ten temat w „Rzeczpospolitej”. Teraz mniej publikuję. Zająłam się polityką i nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Natomiast w momencie kiedy wykladałam finanse publiczne i wciąż mówiłam o inflacji, o długu publicznym, o wydatkach, o samorządach, o przemianie w finansowaniu ochrony zdrowia, to pojawiały się przemyślenia na temat tego, co się dzieje w naszym kraju. Dawałam temu wyraz w artykułach publicystycznych. Jestem znana wśród ekonomistów w Polsce - cała Rada Polityki Pieniężnej mnie zna. Mam duże osiągnięcia w artykułach publicystycznych „Rzeczpospolitej” i w innych czasopiśmie. Oprócz tego pisałam artykuły naukowe. Czyli to już był dowód na to, że ja obojętnie nie podchodziłam do decyzji politycznych sejmiku czy senatu - tego, co się działo w kraju.

Jestem jedyną osobą, która się przebiła w artykułach ogólnopolskich. To jest inne podejście. Inaczej się wypowiada w artykułach naukowych, a czymś innym jest spróbować troszeczkę innym językiem - napisać mniej naukowym, a jednak merytorycznym językiem i przebić się z tą myślą do „Rzeczpospolitej”. Mnie się to udało. Zdobyłam pozycję i zawsze moje artykuły publikowano. Tych artykułów mam dużo i byłam osobą znaną. Proszę zauważyć, że pojawił się raptem 2000 rok i zaczęto w Polsce transponować Strategię Rozwoju Województwa jako coś zupełnie nowego. Trzeba było opracować szesnaście strategii, a ja byłam wtedy dziekanem ważnego wydziału, najważniejszego prawdę mówiąc na uczelni - dużego ekonomicznego wydziału. Zgłosiłam się do sejmiku z propozycją, że mój wydział przejmie opiekę nad opracowaniem takiej strategii. Nikt nie wiedział wtedy jak się strategię opracowuje, co to jest. To było potężne zadanie - kilkadziesiąt działów. Zostałam Wiceprzewodniczącą Komitetu - miałam być jedyną Wiceprzewodniczącą Komitetu Prac nad Strategią Rozwoju Województwa Zachodniopomorskiego, ale dołączono jeszcze Pana Tałasiewicza (tam były prawdopodobnie rozgrywki polityczne, do czego ja się nie włączałam), więc było dwóch wiceprzewodniczących tego Komitetu. W związku z tym, pracowałam z bardzo dużą grupą ludzi m.in. z transportowcami, z ochroną zdrowia. Powołaliśmy kilkadziesiąt zespołów. Bardzo wielu ludzi poznało mnie i moje poglądy. Ja za to nigdy nie dostałam ani grosza, ale poczułam, że trzeba spróbować jak najwięcej wartościowych ludzi wprowadzić w tą strategię - włączyć np. profesora Hozera. Było dużo spotkań zespołów, którymi ja sterowałam. Udało się tą strategię opracować. Nie oceniam jej, tylko mówię o tym, że byłam ważnym organem zarządzającym strategią. Obojętnie jak ona

jest oceniana - to była pierwsza strategia tego typu w Polsce. Przez dwa lata, w związku z opracowaniem strategii, byłam w Komitecie Sterującym, który oceniał wszystkie projekty jakie szły do finansowania z Unii Europejskiej. Powołał mnie Marszałek Faliński na dwa lata, ponieważ na taki okres powoływane są tego typu komitety. To też był dowód na to, że ja się włączam w nietypową działalność dla naukowca, ale mnie było łatwo, dlatego, że byłam dziekanem.

Fakt, że zostałam dziekanem świadczy o tym, że ludzie zobaczyli, że mam zdolność głoszenia, w sposób odważny, podejścia do rozwoju wydziału, niezależny od różnych interesów. Że potrafię sformułować wyraźnie interes wydziału i próbować go forsować mimo, że on może się niektórym grupom nie podobać. Tym niemniej, potrafiłam go forsować i przez dwie kadencje robiłam to konsekwentnie. Analizując to wszystko, można powiedzieć, że jednak zawsze miałam skłonności do tego, żeby wychodzić naprzeciw różnym potrzebom społecznym. To jest misja, gdy się prowadzi taki wydział.

Widziałam, że Marszałek Faliński z przyjemnością przyjął to, że przejęłam sterownię pracami nad strategią rozwoju województwa. Proszę pamiętać, że nigdy za to nie dostałam żadnej złotówki i nie było żadnej na ten temat mowy.

Po tych moich działaniach zaczęłam być znana w środowisku. Uczestniczyłam w wielu konferencjach, „Forum Finanse” organizowałam, w klubach biznesu uczestniczyłam. Pan Jankowski - prawdopodobnie on wtedy był Przewodniczącym „Unii Wolności” w naszym regionie - zaproponował mi start do sejmiku z list Unii Wolności. Zadzwonił do mnie, ale szczegółów nie znam - kto zgłosił moją kandydaturę. Pani Jacyna - Witt mówiła, że mnie zgłaszała, że jej się podobały moje poglądy. No i oczywiście, Unia Wolności nie dostała niestety 5%, ale ja dostałam dużo głosów, bo 3,5 tys. To duża jak na osobę w ogóle nieznaną w polityce. Ale widocznie już byłam rozpoznawana przez jakąś grupę osób. Pamiętam, że to jednak było bardzo przyjemne, że taką ilość głosów otrzymałam i niektórzy mi mówili nawet, bliscy mi ludzie, że im obojętne było, czy ja jestem z „Unii Wolności”, czy nie. To mi bardzo zaimponowało, że dostałam 3,5 tys. głosów i w związku z tym, kiedy tylko pojawiła się możliwość wyborów bezpośrednich, pomyślałam sobie - wiele osób zaczęło mnie namawiać, bardzo wiele osób ucieszyło się, że poszłam do polityki - że jest dobrze, że trzeba próbować, że będą mnie wspierać, że to jest ciężkie zadanie, ale ważne. Kiedy zdecydowałam, że będę kandydować na prezydenta, to już zdecydowanie zaczęłam głosić swoje idee. Mimo, że były prowadzone rozmowy z „Platformą Obywatelską”, z „Unią Wolności”, to one do niczego nie doprowadziły. Jak dzisiaj obserwuję niektóre rozmowy, to widzę, że niczym się nie różnią one od tych poprzednich. Jak ja się spotykam z politykami różnych partii, to oni cały czas identycznie prowadzą rozmowy - coś za coś. Ja jednak zdecydowałam się pójść swoją drogą, bo nie odpowiadała mi taka sytuacja, gdy wszyscy dyktują warunki - ten ma być wiceprezydentem, tamten za to, tamten za coś innego... Cały czas trzeba jakąś cenę zapłacić za ewentualne poparcie. Trzeba zapłacić bardzo wysoką cenę, więc postanowiłam pójść dłuższą drogą być może, ale samodzielną. I tak to się dzieje do dzisiaj. Dalej jestem przekonana, że dobrze robie. Poza tym, ja sobie nie stawiam celu, że muszę wygrać za wszelką cenę. Teraz widzę, że bardzo duże znaczenie ma to, że mam inne podejście, inne podejście do różnych spraw. Że mogę sobie na to pozwolić, żeby brać pełną odpowiedzialność za głoszenie innych idei. Nawet jeśli nie wygram, to funkcjonuję. Pracuję nad różnymi rozwiązaniami, to mnie satysfakcjonuje i to mi daje poczucie, że tak należy postępować. Idę dłuższą, być może, drogą, trudniejszą, ale ona mi tylko odpowiada. Nie idę na zgniłe kompromisy, bo uważam, że bardzo wiele tych kompromisów, które się proponuje, to są zgniłe kompromisy, które do niczego nie prowadzą. W związku z tym, jeśli natrafie na kompromis taki, który będzie budował, to go przyjmę. Jak natrafie na kompromis pod którym kryją się jakieś dziwne rzeczy, to rezygnuję z tego kompromisu. Taka jest moja droga.

Mnie jest łatwiej, bo cały czas nadal wykładam finanse publiczne. Budżet miasta jest dla mnie czymś bardzo konkretnym - naukowo namacalnym. Wiele prac naukowych wiąże właśnie z budżetem miast, więc mi się dobrze pracuje i to mi się podoba. Swoje finanse domowe ustalamy w ten sposób, że część pieniędzy odkładamy na politykę. Postanowiliśmy z mężem, że właściwie on się realizuje naukowo. Niepotrzebne są nam lepsze samochody, niepotrzebne nam jest lepsze mieszkanie, niepotrzebne nam są lepsze meble i chcemy swoje pieniądze zainwestować w politykę. Nie szkoda nam tych pieniędzy, bo uznajemy, że to jest akurat coś bardzo ważnego dla kraju. Jeżeli tacy ludzie, którzy widzą, że mogą coś dobrego zaoferować, że widzą inne podejście, że kierują się naprawdę tylko interesem państwa, czy miasta, a nie interesem prywatnym, jeżeli oni nie mogą funkcjonować w Polsce, to znaczy, że ta Polska nigdy nie powstanie. Pojawił się raptem we mnie - co wcześniej nie miało miejsca - ogromny patriotyzm. Mam poczucie ogromnego patriotyzmu i prawdopodobnie zostanie to do końca życia. Już nie odejdę od polityki, obojętnie jaką będzie miała postać i jaką będę miała pozycję w polityce.

Dopiero teraz czuję, co to znaczy misja, rola polityka w momencie, kiedy dodatkowym argumentem - on pewnie jest niedobry, ale dla mnie jest ważny - jest to, że w momencie kiedy uzyskałam tak dużo głosów i byłam celem najbardziej negatywnej kampanii, że ja bardzo przeszkadzam jakimś układom. W momencie, kiedy dostałam się do Rady Miasta i dalej walczę z układami, które mi się nie podobają, natrafiam na bardzo dużą kampanię negatywną ze strony różnych środowisk. Kłamstwa - jak ostatnio wszędzie mi tu donoszą, że wzięłam 50 tys. z Rady Miasta jako nagrodę... To mnie dodatkowo mobilizuje. To świadczy o tym, w jakim kraju my żyjemy. Jak jest możliwe, że tacy zwykli ludzie jak mój mąż, dla mnie zwykły człowiek, który ma swoją pracę i solidnie pracuje - ja mam zwykłą pracę, jestem profesorem na uniwersytecie - normalnie chcemy pracować - i taka dwójka ludzi, tak mocno w czymś przeszkadza, że posuwają się nasi oponenti do strasznych kłamstw. Nigdy, nikogo nie atakuję kłamstwami, kalumniami, oszustwami. Już raczej dyskutuję merytorycznie. Jeszcze ani razu nie powiedziałam o żadnym polityku jakiś cech jego charakteru, tylko dyskutuję z programem, z jego podejściem, a już w ogóle nie interesuje mnie jego życie prywatne. Nie korzystam z żadnych podłych instrumentów, ale jakaś grupa mocno korzysta np. „Punkt Widzenia”. Widzę, że tak dużo o mnie pisze i są to same kłamstwa. To oznacza, że w społeczeństwie są bardzo potrzebne pozytywne ruchy i nie powinni odchodzić z życia publicznego ludzie, którzy weszli do polityki mając coś pozytywnego do zaprezentowania. Nie powinni się poddawać atakom. Spokojnie, to jest zupełnie naturalne, że narusza się jakieś interesy i oni muszą takimi metodami walczyć. Na początku mnie to trochę drażniło. Uodporniłam się kompletnie.

W tej działalności można powiedzieć, że dodatkowo, oprócz wszystkiego, trzeba mieć silną psychikę. Ja mam bardzo silną psychikę. Moja matka bardzo dużo przeszła, bardzo ciężko pracowała. Mój ojciec także. Jestem z rodziny bardzo silnej psychicznie. Przebijając się dziecku - proszę pamiętać: z prostej rodziny - przez wszystkie te szczeble przechodzić, nauczyć się ładnie wypracowanie napisać, a w domu nikt nad tobą nie pracuje, dobrze matematykę rozumieć, jest bardzo trudno. To bardzo hartuje. Człowiek jest bezpieczny, bo wszystkiego się sam dorobił i bardzo dobrze się czuje - w każdym środowisku jest silny. To z pewnością bardzo wzmacnia.

Ja jestem jednego pewna, że nigdy bym nie była w polityce, gdybym nie miała takiego męża, który mnie tak mocno wspiera. Prawdopodobnie, nawet dziekanem bym nie została, bo tyle było kontrowersyjnych decyzji do podjęcia. Jednak wsparcie takiej osoby, silnej, miało kolosalne znaczenie. Mam silne oparcie w rodzinie. Mam bardzo silne oparcie w dzieciach - w ogóle w całej swojej rodzinie, w męża rodzinie także - i to jest bardzo cenne. To wsparcie rodzinne, też mnie wzmacnia. Myślę, że jest to jeden z powodów, dla których dobrze się czuję w polityce - mam wsparcie, bardzo mocne, ze strony rodziny.

*Część III*

Kilka słów o Suwerenie

1. Dryfujące elektoraty, wierni pretorianie i wielcy nieobecni.

Rozdział ten, w całości poświęcony jest próbie ustalenia pewnych prawideł zachowań wyborczych Polaków. Otóż, nawet pobieżna obserwacja różnorodnych przejawów i aspektów zachowań wyborczych, stanowić może asumpt do sformułowania roboczej hipotezy, w myśl której zachowania wyborcze Polaków charakteryzują się znaczącym brakiem stabilności. Oczywiście, chodzi w tym miejscu o skalę zjawiska, nie zaś o jego występowanie. W Polsce, tak jak i w innych krajach europejskich, występują dwa zasadnicze i zasadniczo różne typy elektoratów: wyborcy, których charakteryzuje lojalność wobec określonej partii politycznej oraz wyborcy, którzy bardzo często zmieniają swoje preferencje polityczne, nie kierując się jakkolwiek rozumianą lojalnością wyborczą. Problem polega na tym, że w Polsce zdecydowanie przeważa ten drugi typ zachowań wyborczych. Co prawda, w polskich warunkach, przy stałej dekompozycji sceny politycznej, ogromnej dynamice zmian zachowań polityków, powstawaniu coraz to nowych partii politycznych, trudno odnosić lojalność wyborczą Polaków do konkretnych partii. Stąd też, jakkolwiek jest trudne do weryfikacji empirycznej, można odnosić ową lojalność do opcji politycznej rozumianej bądź to jako klasyczna identyfikacja ideologiczna danej partii (prawica, lewica, centrum), bądź też do innych, niestety, licznych i często nieostrych „polskich” podziałów, takich jak: „obóz postsolidarnościowy”, „postkomuniści”, „liberałowie”, „socjaliści”, „kontynuatorzy III Rzeczypospolitej”, „propagatorzy IV Rzeczypospolitej”, „klerykałowie”, „antyklerykałowie” i wiele innych, często bardziej egzotycznych.

Pierwszą kategorię, najmniej liczną w polskich realiach, tworzą lojalni wyborcy, których być może nieco eufemistycznie określiłem mianem wiernych pretorian. Są to wyborcy, których stopień identyfikacji z określoną partią polityczną (także opcją polityczną) jest na tyle duży, że ich decyzje wyborcze są niemal determinowane przez lojalność wobec tej, a nie innej partii lub opcji politycznej. Owa wierność może być tzw. zmienną długofalową, bowiem często wywiera wpływ na zachowania wyborcze jednostki w ciągu całego jej życia.<sup>1</sup> Silne utożsamianie się z daną partią powoduje, że osoby, których jest ono udziałem, głosują na swoją reprezentację polityczną niezależnie od czasowej oceny jej dokonań. Jest niezwykle ważnym czynnikiem stabilności elektoratu.

Badania zachodnie pokazują, że na kształtowanie takiej postawy, ogromny wpływ posiadają dwa procesy - wychowanie i socjalizacja - które dokonują się w dzieciństwie. Innymi słowy, postawy lojalności wobec partii politycznych, są wpajane w domu rodzinnym, są niejako dziedziczone. Tak ukształtowana postawa jest niezwykle trwała i w niewielkim stopniu podlega oddziaływaniom zmierzającym do jej zmiany (np. poprzez oddziaływanie socjotechniczne). Z badań prowadzonych w Stanach Zjednoczonych wynika, że już w czwartej klasie szkoły podstawowej, prawie połowa dzieci uważa się za demokratów lub

<sup>1</sup> Por. M.G.Roskin, R.L.Cord, J.A.Medeiros, W.S.Jones, *Wprowadzenie do nauk politycznych*, Poznań 2001.



republikanów<sup>2</sup>. Oczywiście wynik ten nie oznacza, że świadomość polityczna kilkuletniego dziecka jest pełna. Trudno powiedzieć, że dziecko określające siebie mianem demokracji lub republikanina, potrafi wyjasnić znaczenie tych słów. Jednakowoż, wydaje się oczywistym znaczenie roli wzorów zachowań politycznych rodziców i ich internalizacji, dla kształtowania się postaw określających przyszłe zachowania wyborcze.

Zjawisko silnej lojalności wobec partii politycznej jest jednym z podstawowych czynników kształtujących zachowania wyborców w systemach dwupartyjnych (Stany Zjednoczone, W. Brytania) i dwupartyjnych zmodyfikowanych (Republika Federalna Niemiec, Austria).<sup>3</sup> W W. Brytanii lojalność wobec partii jest tak duża, że od zakończenia II wojny światowej do połowy lat siedemdziesiątych, przepływ głosów pomiędzy Partią Pracy a Partią Konserwatywną w wyborach ogólnokrajowych zawierał się w przedziale od jednego do pięciu procent.<sup>4</sup> W Stanach Zjednoczonych szacuje się, że przepływ elektoratu kształtuje się w przedziale do piętnastu procent.<sup>5</sup>

Nieco inaczej rzecz się ma w systemach wielopartyjnych. Dla przykładu, odsetek wyborców identyfikujących się z partią polityczną we Francji, jest o około trzydzieści procent mniejszy niż w USA, czy w W. Brytanii.<sup>6</sup>

Do drugiej kategorii, najbardziej liczebnej w Polsce, zaliczyć można tzw. dryfujące elektoraty (nielojalni wyborcy). Są to wyborcy, którzy zmieniają swoje preferencje wyborcze, a zmiany te charakteryzują się dużą dynamiką, żywiołowością i emocjonalnością, są często sprzeczne logicznie, nieprzewidywalne<sup>7</sup>.

Oczywistym jest, że w każdym społeczeństwie istnieje kategoria wyborców, którzy zmieniają swoje preferencje wyborcze. Na tej zmienności opiera się logika wyborów demokratycznych. Każde zachowanie wyborcze, ze swej istoty, ma ocenny charakter. Ocenie podlegają min. programy partii, ich działania w czasie sprawowania władzy, zachowania poszczególnych polityków. Gdyby nie istniała zmienność preferencji wyborczych to wówczas traciła by sens jakakolwiek powtórna elekcja. To jest oczywiste. **Jednak to co odróżnia występowanie zjawiska przepływu wyborców pomiędzy partiami politycznymi w Polsce a analogicznym zjawiskiem w krajach o utrwalonych wzorach zachowań wyborczych jest fakt, że w naszym kraju skala owych przepływów jest nieporównywalnie większa. Innymi słowy, wśród polskich wyborców dominują niestabilne zachowania wyborcze, a co za tym idzie, lojalność wobec partii politycznych jest zjawiskiem ograniczonym.**

Poziomą stabilność elektoratów w krajach zachodnich, warunkujący zachowania wyborcze, stał się podstawą wyodrębnienia trzech zasadniczych typów wyborów. Pierwszy typ stanowią tzw. wyborcy zachowujący się.<sup>8</sup> W wyniku długotrwałej identyfikacji z partią polityczną, przeważają stałe, stabilne i lojalne zachowania wyborcze. Zdarza się jednak, że część wyborców na trwałe zaczyna wiązać się z inną partią polityczną. Dotychczasowi wyborcy partii A, przechodzą na trwałe do elektoratu partii B. Wówczas mamy do czynienia z tzw. wyborami przegrupowującymi. I wreszcie, zmiana lojalności partyjnej może mieć charakter czasowy - wybory odbiegające. Wyborcy

<sup>2</sup> Zob. tamże, s. 294.

<sup>3</sup> System dwupartyjny zmodyfikowany, często określany mianem „dwa plus”, charakteryzuje się występowaniem dwóch silnych, dominujących partii (np. w Niemczech chadecy i socjaldemokraci) przy czym żadna z nich nie jest w stanie samodzielnie sprawować władzy i zmuszona jest wchodzić w koalicję z jednym z małych ugrupowań, które spełnia rolę „języczka u wagi” (np. Zieloni i Wolna Partia Demokratyczna w Niemczech).

<sup>4</sup> Zob. D. Butler, D. Stokes, *Political...*, op. cit.

<sup>5</sup> Por. M. G. Roskin i in., *Wprowadzenie...*, op. cit.

<sup>6</sup> E. P. Converse, G. Dupeaux, *Politicization...*, op. cit., s. 1-20.

<sup>7</sup> Szersze rozwinięcie tej tezy, czytelnik odnajdzie w rozdziale: „Gdzie bije serce Rzymu”

<sup>8</sup> Por. M. G. Roskin i in., *Wprowadzenie...*, op. cit., s. 300-303.

partii A, przechodzą podczas elekcji do elektoratu partii B, aby w następnych wyborach powrócić do „obozu: partii A. Zmiana ta jest załamaniem continuum zachowań wyborczych. Warto dodać, że pierwszy typ wyborów jest też określany mianem „normalnych”. Wynika to z faktu, że dwa pozostałe typy wyborów nie są częstym zjawiskiem w dojrzałych demokracjach. Tymczasem w Polsce, gdyby stosować ten model analityczny, wszystkie wybory po roku 1989 mają bądź to charakter przegrupowujący, bądź też odbiegający.

Istniejące koncepcje wyjaśniające i odwołujące się do zachowań wyborczych poprzez afiliację wokół partii politycznych - lub szerzej - czynników aktywności i decyzji wyborczych, w większości odnoszą się do społeczeństw o ugruntowanych mechanizmach demokracji parlamentarnej, które charakteryzują się względnie stabilnym systemem partyjnym.<sup>9</sup> Powoduje to pewne ograniczenia w zakresie stosowalności zachodnich modeli analitycznych w próbach uogólnień, odnoszących się do zachowań społeczeństw, znajdujących się w trakcie trwania procesów transformacji ustrojowych. Nie oznacza to oczywiście, że nie istnieją względnie uniwersalne teorie wyjaśniające zachowania wyborcze. Jednakowoż, należy zawsze, stosując tą czy inną koncepcję, mieć na względzie to, że jest ona wynikiem analiz przeprowadzonych w nieco innych warunkach niż polskie.

Próbując usystematyzować rozważania w omawianym względzie, niezbędnym jest wskazanie form aktywności wyborczej elektoratów oraz podjęcie próby określenia czynników o nich decydujących.

Podstawową formą aktywności wyborczej jest sam udział w procedurze wyborów. Jest ona mierzona poziomem *f r e k w e n c j i w y b o r c z e j*. Jeśliby szukać jakkolwiek rozumianych tendencji charakteryzujących poszczególne kraje demokratyczne w aspekcie aktywności wyborczej ich obywateli, to wówczas należałoby wskazać znaczące różnice występujące w omawianym względzie, pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi. Aktywność wyborcza w USA jest zdecydowanie mniejsza niż w Europie. Średnia frekwencja wyborcza w krajach UE kształtuje się na poziomie 78%, gdy tymczasem w USA oscyluje wokół 57%. Najwyższy poziom frekwencji zanotowano tam w roku 1960 i wyniosła ona 63%.<sup>10</sup> Odpowiedź na pytanie o przyczyny tych znaczących różnic aktywności obywateli USA i Europy nie jest prosta i jednoznaczna.

Część znawców przedmiotu, głównie proweniencji europejskiej, skłania się ku pogładowi, w myśl którego niska frekwencja w Stanach Zjednoczonych jest wynikiem utraty legitymacji i autorytetu przez system amerykańskiej demokracji.<sup>11</sup> Ten typ argumentacji nie jest, moim zdaniem, zbyt przekonujący. Cóż bowiem miałyby decydować o relatywnie wysokiej frekwencji (w porównaniu do USA) we Włoszech, gdzie to, co określamy kryzysem demokracji, jest zjawiskiem nieomal permanentnym.

Podobnie nieprzekonująco, brzmią głosy tych spośród badaczy amerykańskich, którzy twierdzą, że brak zainteresowania obywateli procedurami wyborczymi, jest wynikiem ich zadowolenia z funkcjonowania systemu. Skoro więc, argumentują zwolennicy tego sposobu wyjaśniania, „sprawy idą dobrze”, obywatele nie wykazują istotnego zainteresowania wyborami.<sup>12</sup>

Najbardziej prawdopodobne, wydaje się być, że omawiane różnice są wynikiem zupełnie innych procedur tworzenia list wyborców. W Europie, rejestracja wyborców ma charakter automatyczny. Każdy obywatel, który osiągnął wiek wyborczy, jest umieszczany na liście wyborców przez powołany do tego organ państwa. Inaczej niż w Europie, obywatel amerykański musi sam zadbać o umieszczenie go we właściwym spisie wyborców. Powoduje to pewne utrudnienia, co w połączeniu z rozległością terytorialną USA i dużą mobilnością

<sup>9</sup> Zob. m.in. S.Rokkan, *Citizens. Elections. Parties*, Oslo 1970; M.Delli Carpini, *Stability and Change in American Politics. The Coming of Age of the Generation of the 1960's.*, New York 1986.

<sup>10</sup> Zob. R.A.Teixera, *The disappearing American voter*, Whashington 1992.

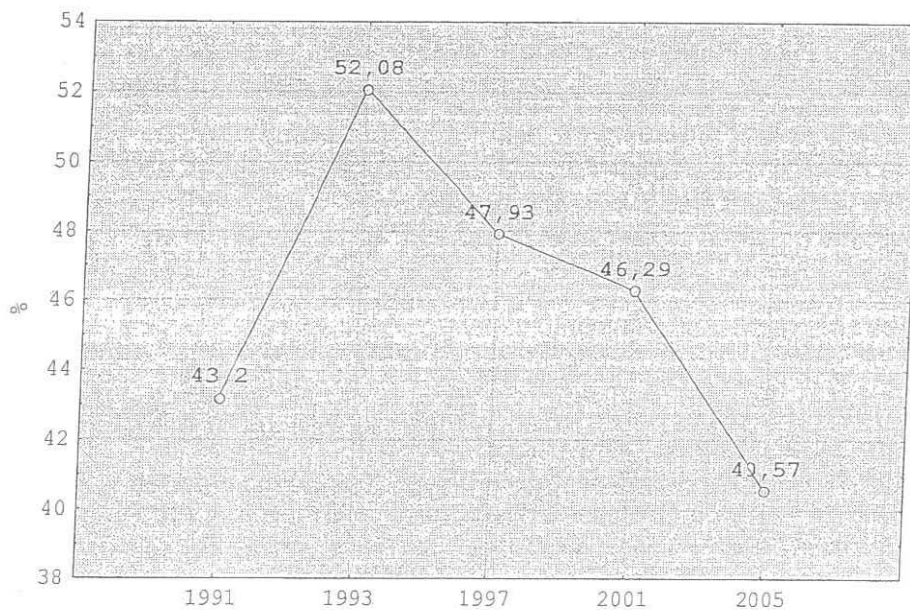
<sup>11</sup> Por. M.G.Roskin i in., *Wprowadzenie...* op.cit.

<sup>12</sup> Tamże.

Amerykanów, którzy nie w poszukiwaniu pracy przemieszczają się często i na znaczne odległości, może stanowić istotną barierę uczestnictwa w wyborach - zdarza się, że Amerykanin przez całe życie nie figuruje w żadnym spisie wyborców. Dodatkowo, wybory amerykańskie odbywają się w dni powszednie. Udział w wyborach wiąże się zatem z koniecznością absencji w pracy. Pół biedy, jeśli miejsce głosowania jest tym samym, co miejsce zatrudnienia. Jeśli jednak, wyborca pracuje aktualnie w stanie Kalifornia, a jego miejscem głosowania jest Wirginia, to wówczas akt wyborczy łączy się koniecznością odbycia dość dalekiej podróży i dłuższej nieobecności w pracy. Wyborca europejski jest i w tym względzie uprzywilejowany - w większości krajów europejskich wybory odbywają się w niedzielę.

Jak na tym tle wygląda aktywność wyborcza Polaków? Nawet, zachowując obiektywizm i „chłód badawczy”, należy stwierdzić, że nienajlepiej. Średnia frekwencja w wyborach parlamentarnych w Polsce, od 1991 do 2005 roku, wynosi zaledwie 46,01%. Najwyższy poziom frekwencji zanotowano w roku 1993 i wyniósł on 52,08%.<sup>13</sup>

Frekwencja w wyborach parlamentarnych w Polsce (1991 - 2005)

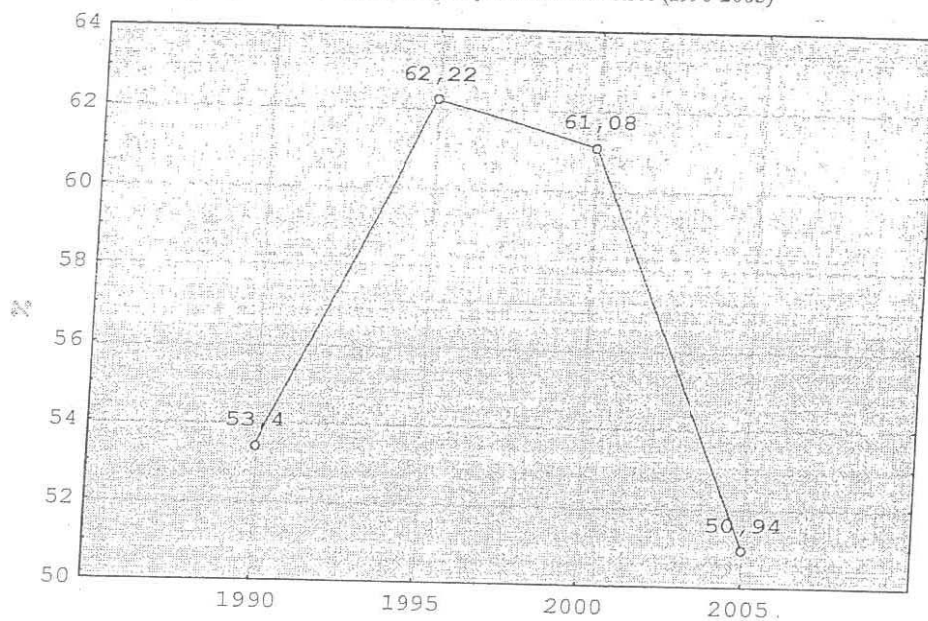


Źródło: Opracowano na podstawie danych Państwowej Komisji Wyborczej

Nieco większym zainteresowaniem Polaków cieszą się wybory prezydenckie. Średnia frekwencja w dotychczasowych elekcjach Prezydenta RP wynosi 56,91%.

<sup>13</sup> Najwyższy poziom frekwencji zanotowano podczas wyborów z 1989 roku. Trudno jednak uznać, że miały one charakter demokratyczny, uwzględniając ordynację wyborczą, która opierała się na parytetach wynegocjowanych przy „okrągłym stole”. Wybory te, odbywały się zatem, według całkowicie odmiennych zasad niż wszystkie pozostałe.

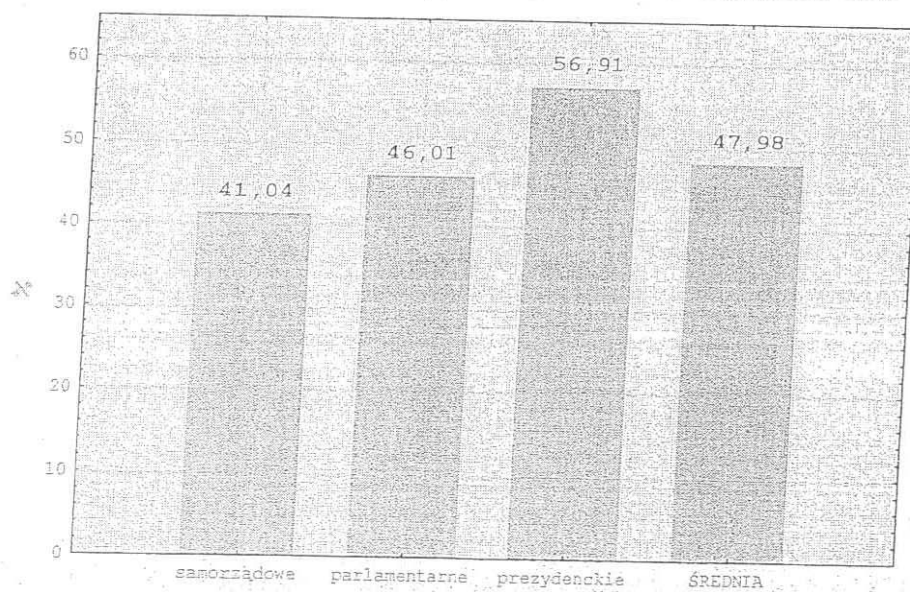
Frekwencja wyborcza w wyborach prezydenckich w Polsce (1990-2005)



Źródło: Opracowano na podstawie danych Państwowej Komisji Wyborczej

Natomiast najniższy poziom frekwencji rejestrowany jest w wyborach samorządowych (średnia 1994 - 2002: 41,04%). Swoisty rekord padł w wyborach do rad gmin 19.VI 1994 roku, kiedy to do urn wyborczych poszedł zaledwie co trzeci wyborca a frekwencja wyniosła niespełna 33,8%.

Rozkład średnich frekwencji we wszystkich wyborach w Polsce w latach 1990 - 2005



Źródło: Opracowano na podstawie danych PKW, [www.pkw.gov.pl](http://www.pkw.gov.pl)



Odpowiedź na pytanie o niską aktywność wyborczą Polaków nie jest zadaniem łatwym. Krążące w mediach, obiegowe opinie upatrujące jej przyczyn w „ogólnym upadku zaufania do polityków”, czy też spadku „zainteresowania polityką w ogóle”, są niewystarczające i noszą znamiona zdroworozsądkowych generalizacji. U ich podstaw leży błędne przekonanie jakoby politycy w rozwiniętych demokracjach byli grupą społeczną obdarzaną szczególnym zaufaniem społecznym. Owo zaufanie ma determinować „obywatelską” chęć uczestniczenia w wyborach. Nic bardziej mylnego. Z badań prowadzonych na zlecenie „New York Times” wynika, że obywatele USA posiadają zdecydowanie większe zaufanie do rządu (55,2%) niż obywatele Niemiec (40,0%) czy Włoch (30,1%)<sup>14</sup>. Nie zmienia to faktu, że frekwencja wyborcza w tych dwóch ostatnich krajach jest zdecydowanie większa niż w USA. Tak więc, niechęć do polityki i polityków może być (ale nie musi) zaledwie jednym i to nie najważniejszym z czynników decydującym o zaniechaniu, przez część obywateli, uczestnictwa w wyborach.

O zachowaniach zbiorowych, w tym również wyborczych, nie decyduje nigdy jeden, choćby pozornie, najbardziej oczywisty czynnik. Spróbujmy zatem, opierając się na dotychczasowych studiach teoretycznych i empirycznych, wskazać czynniki, które najczęściej decydują o stopniu zaangażowania obywateli w procedury elekcyjne. Jednocześnie, nie dokonując jednoznacznych rozstrzygnięć, spróbujmy pokusić się o wskazanie najbardziej prawdopodobnych czynników niskiego zaangażowania Polaków podczas elekcji.<sup>15</sup>

Poszukiwania prawidłowości zachowań wyborczych doprowadziły M. S. Lipseta do skonstruowania zespołu czynników posiadających wpływ na poziom uczestnictwa w wyborach.<sup>16</sup>

Czynniki posiadające wpływ na frekwencję wyborczą wg M.S.Lipseta

lp.	wyższa frekwencja	niższa frekwencja
1	wyższe dochody	niższe dochody
2	wyższe wykształcenie	niższe wykształcenie
3	grupy zawodowe	grupy zawodowe
	- przedsiębiorcy	- robotnicy niewykwalifikowani
	- pracownicy umysłowi	- służba domowa
	- urzędnicy państwowi	- pracownicy usług
	- producenci rolni	- chłopci uprawiający ziemię na własne potrzeby
	- górnicy	
4	biali	kolorowi
5	mężczyźni	kobiety
6	osoby w średnim wieku 35-55 lat	osoby młode poniżej 35 lat
7	wieloletni członkowie społeczności	nowo przybyli do społeczności
8	robotnicy w Europie	robotnicy w USA
9	sytuacje kryzysowe	normalne sytuacje
10	Osoby zamężne i żonate	osoby stanu wolnego
11	członkowie organizacji	osoby izolowane

Źródło: Na podstawie; M.S.Lipset: *Homo politicus. Społeczne podstawy polityki*, Warszawa 1995 s. 196.

<sup>14</sup> E.J.Dionne, *Government Trust. Less in West Europe Than U.S.*, „New York Times”, 1996 z 16.02., s. 20.

<sup>15</sup> Pewna zachowawczość prób wskazania czynników aktywności wyborczej Polaków wynika z faktu, że prezentowane modele wyjaśniające nie posiadają charakteru paradygmatu. Otóż we wszystkich próbach określenia tego co decyduje o poziomie uczestnictwa w wyborach zwraca się uwagę na fakt, że wskazywane czynniki sprzyjać mogą większej lub mniejszej frekwencji wyborczej. Od przyjętych ustaleń dotyczących np. cech społeczno-demograficznych wyborców, które mogą wpływać na poziom uczestnictwa w wyborach istnieją pewne znaczące odchylenia. Przyjmuje się np., że osoby z wyższym wykształceniem częściej biorą udział w wyborach. Jednak długofalowe badania prowadzone w USA pokazują, iż wzrastającej liczbie dobrze wykształconych Amerykanów nie towarzyszy wzrost frekwencji wyborczej, lecz jej spadek.

<sup>16</sup> M.S.Lipset, *Homo...* op. cit.

Należy wyraźnie podkreślić, że wskazanie powyższych cech nie posiada charakteru jednoznacznego i bezwarunkowego rozstrzygnięcia. Posiadanie przez wyborcę wyższego wykształcenia nie determinuje udziału w wyborach, a jedynie zwiększa jego prawdopodobieństwo. Posiadanie więc, przez określone zbiorowości wyborców, pewnych cech, może sprzyjać większemu lub mniejszemu zaangażowaniu jej członków w procedurach wyborczych. Innymi słowy, wskazane czynniki wyjaśniają jedynie to, dlaczego jedni ludzie głosują częściej niż inni. Warto również zwrócić uwagę, że współwystępowanie - względna komplementarność czynników - powodują zwiększenie prawdopodobieństwa wystąpienia zachowań wyborczych (udział lub zaniechanie udziału w głosowaniu)<sup>17</sup>.

Oczywistym jest, że nie wszystkie wskazanie przez Lipseta czynniki, można odnieść do polskich warunków (np. przynależność rasowa). Tym nie mniej, kilka przynajmniej z nich, można uznać za znaczące w kontekście aktywności wyborczej Polaków.

Analiza wyników badań prowadzonych w Polsce w omawianym względzie wykazuje, że skłonność do udziału we wszelkiego rodzaju wyborach, jest najczęściej obserwowana wśród wyborców z wyższym wykształceniem oraz wśród ludzi posiadających relatywnie wysokie dochody<sup>18</sup>. Nie są to oczywiście, jedyne cechy (czynniki) charakteryzujące najbardziej aktywnych wyborców, bowiem trzecim, niezwykle istotnym i w pewnym sensie charakterystycznym dla społeczeństwa w procesie przebudowy, jest **ocena kierunków przemian społecznych, gospodarczych i politycznych po 1898 roku. Im jest ona korzystniejsza, tym większa skłonność do udziału w wyborach.** Należy jednak zwrócić uwagę, że owa ocena jest dość silnie skorelowana z dwoma poprzednimi czynnikami. Można bowiem przyjąć, że wyborcy pozytywnie oceniający kierunki polskich przemian, to ci spośród nas, którzy odnieśli sukces ekonomiczny bądź zawodowy, bardzo często związany z poziomem wykształcenia. Wspomniane badania pokazują, że również kryteria wieku odgrywają w Polsce dość duże znaczenie w aspekcie uczestnictwa w wyborach, przy czym nasze tendencje w tym względzie nie odbiegają zasadniczo od tych, które zostały wskazane przez Lipseta.

Jednakowoż, o ile w skali ogólnokrajowej można przyjąć, że wyżej wskazane czynniki odgrywają niepoślednią rolę dla aktywności wyborczej, o tyle na poziomie regionu i społeczności lokalnej, nie jest to już tak oczywiste. Badania prowadzone przez UCBS, podczas kampanii samorządowej w Szczecinie pokazały, że wbrew ogólnym tendencjom, do II tury wyborów prezydenta miasta, poszli głównie ludzie najbardziej spauperyzowani ekonomicznie, legitymujący się niskim poziomem wykształcenia, których ocena przemian była jednoznacznie negatywna. Byli to głównie bezrobotni i emeryci. Dało to zdecydowane zwycięstwo Marianowi Jurczykowi (patrz str. 67).

W tym miejscu, zasadnym jest odwołanie się do nieco innej koncepcji odnoszącej się do problemów uczestnictwa w wyborach - koncepcji Anthony'ego Downs'a. Postawił on tezę w myśl, której ludzie głosują wtedy, gdy **zyski przewyższają straty**.<sup>19</sup> Mówiąc wprost, chodzi o to, ażeby stawka wyborów była na tyle wysoka, by przewyższała koszty wyborcy wyrażone jego czasem poświęconym na zdobycie informacji (np. o kandydatach czy przedmiocie głosowania) oraz czasem samego aktu głosowania. Spodziewane korzyści wynikające z aktu głosowania muszą być uświadomiane i spersonifikowane. **Wspomniana elekcja M. Jurczyka jest dobrym przykładem prymatu uświadamianych, indywidualnych korzyści nad innymi czynnikami powodującymi zwiększenie skłonności do udziału w wyborach.** Program tego kandydata zawierał tylko trzy punkty: sprzedaż mieszkań komunalnych za złotówkę, utworzenie banku miejskiego udzielającego pożyczek

<sup>17</sup> Względność komplementarności polega na tym, że nie potrafimy określić ilości czynników, które pozwoliłyby na prawdopodobne prognozowanie zachowań wyborczych.

<sup>18</sup> Zob. *Raporty OBOP 1989-2003*, www.obop.com.pl.

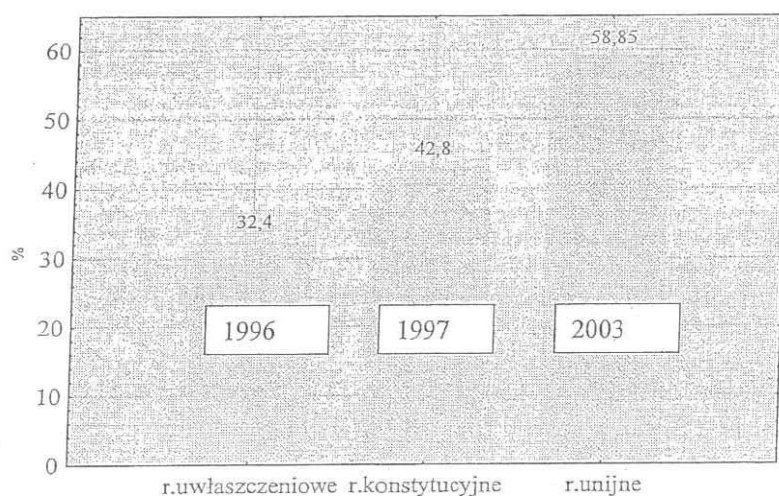
<sup>19</sup> A. Downs, *An Economic ...* op. cit.

dla bezrobotnych, oraz zamrożenie czynszów i opłat komunalnych. Korzyści dla pewnej kategorii wyborców były oczywiste.

Innym nieco przykładem sytuacji, w której stawka dokonywanych wyborów była na tyle duża - niekoniecznie w wymiarze indywidualnym - aby zgromadzić Polaków wokół urn, są wybory z 1989 roku. Frekwencja, która wyniosła wówczas w pierwszej turze 62,0%, jest jak dotąd najwyższą, zanotowaną w wyborach parlamentarnych w Polsce. Specyfika wyborów z 1989 roku polegała nie tylko na tym, że odbywały się one w oparciu o wynegocjowane przy „okrągłym stole” parytety, określające ilość mandatów możliwych do uzyskania przez opozycję, ale przede wszystkim na tym, iż definiowały one stosunek Polaków do tzw. strony rządowej. Były to więc wybory, które w większym stopniu przypominały plebiscyt koncentrujący się na dychotomicznym odniesieniu się społeczeństwa do dwóch rywalizujących ze sobą wizji porządku społecznego, niż rzeczywistą elekcję kandydatów, partii, czy też, komitetów wyborczych.

Podobnie wysoką stawkę posiadało referendum unijne i choć trudno porównywać poziom zaangażowania obywateli w „zwykłych” wyborach, z udziałem w referendum, to wydaje się, że znaczenie i waga przedmiotu głosowania zadecydowały o znaczącym, jak na polskie warunki, udziale społeczeństwa w tym akcie obywatelskiej aktywności. Frekwencja w referendum unijnym wyniosła 58,85% i była najwyższą w historii referendum w Polsce po 1989 roku.

Frekwencja referendalna w Polsce



Źródło: Opracowano na podstawie danych PKW, [www.pkw.gov.pl](http://www.pkw.gov.pl)

Napisano i powiedziano już bardzo wiele na temat czynników, które zadecydowały o relatywnie wysokiej frekwencji referendum unijnego. Wymieniano min. oddziaływanie kampanii referendalnych, zaangażowanie w nich autorytetów, dwudniowy termin referendum. Pewnie wiele w tym racji i każdy z tych czynników odegrał swoją rolę w mobilizacji Polaków. Lecz wydaje się, że najistotniejsze znaczenie dla decyzji o udziale w referendum, oraz poparciu bądź odrzuceniu członkostwa Polski w UE, odegrały dwa zasadnicze czynniki.

Po pierwsze, wyraźnie wyartykułowany apel Jana Pawła II, który jednoznacznie definiował udział w referendum jako powinność obywatelską oraz stanowił swoistą wykładnię stanowiska Papieża co do miejsca Polski w Europie. Uzasadnianie, jaką wagę posiadają słowa Jana Pawła II dla większości Polaków, byłoby nie na miejscu. Natomiast, dyskusowanie z „interpretacją” apelu, zaprezentowaną przez przeciwników naszego członkostwa w UE - zwłaszcza lidera LPR, Romana Giertycha wydaje się zbyteczne.

Drugim czynnikiem, o ogromnym znaczeniu dla frekwencji referendalnej, była obawa Polaków przed pozostawieniem sprawy członkostwa naszego kraju w UE, w rękach polityków. Gdyby bowiem, referendum nie dało rozstrzygnięcia, to wówczas decyzje podejmowałby parlament. Wydaje się, że perspektywa kolejnej „batalii sejmowej”, w której najistotniejszym dla polityków byłoby „ugranie” kilku procent poparcia, kosztem jakże istotnej kwestii, napawała Polaków obawą i stała się istotną motywacją udziału w referendum.

Z badań przeprowadzonych przez UCBS w pierwszym tygodniu po referendum wynika jednoznacznie, że dla blisko jednej trzeciej biorących udział w referendum, był to jeden (po apelu Papieża) z głównych czynników pójścia do urn. Respondenci, proszeni o uzasadnienie tego wskazania, stwierdzali najczęściej że „byłby to kolejny cyrk”, „oni nie mają prawa za nas decydować”. Można przyjąć, że owe obawy były uzasadnione. Przedsnak takiej „batalii” mieliśmy w tzw. debatach publicznych, w których ścierali się ze sobą politycy będący przeciwnikami i zwolennikami naszej akcesji.

Obok wskazanych już czynników decydujących o poziomie frekwencji wyborczej w Polsce, chciałbym zwrócić uwagę na dwa, moim zdaniem, fundamentalne powody, dla których coraz to mniej Polaków bierze udział w wyborach i referendach. Była już o nich mowa, lecz w kontekście cech elit politycznych oraz w kontekście mechanizmów uprawiania polityki w Polsce - brak identyfikacji ideowej oraz brak adekwacji politycznej.

Pierwszy z czynników - brak identyfikacji ideowej polityków - obok skutków wskazanych w pierwszej części tego opracowania, powoduje w swej istocie, brak jednorodnych, spójnych i odwołujących się do określonych systemów aksjologicznych, **wizji państwa**. Takie elementy programowe partii działających w Polsce jak: zróżnicowany stosunek do problemów społecznych i sposobów ich rozwiązywania, walka z przestępczością, ograniczanie patologii społecznych, stosunek do prywatyzacji i wiele innych cząstkowych odniesień, nie są wynikiem odwołania się do określonych wizji państwa wynikających z akceptacji względnie spójnych systemów wartości, lecz są wynikiem dostosowania programów partii do bieżących potrzeb (głównie wyborczych) i są w istocie stosunkowo **prostą transkrypcją aktualnych oczekiwań społecznych**. Dlatego też, mamy w Polsce „lewicę”, która przyspiesza procesy prywatyzacji i liberalizuje rynek pracy, wprowadza program ograniczający wydatki socjalne, a nawet myśli o podatku liniowym oraz „prawicę” głoszącą potrzebę zahamowania prywatyzacji, upaństwowienia wręcz, niektórych sektorów gospodarki, popierającą i eksponującą rolę związków zawodowych, zwiększającą wydatki socjalne i postulującą kolejną nowelizację kodeksu pracy tak, aby chronił interesy „ludzi pracy”. Gdzieś, mniej więcej, „po środku” sceny politycznej mamy partie „centrowe”, które najczęściej, będąc frakcyjnymi, usiłują łączyć w swych programach najbardziej nośne społecznie elementy programowe, czego na ogół skutkiem są dość amorficzne konstrukcje, na które składają się takie postulaty jak: „tanie i sprawne państwo”, „państwo przyjazne obywatelowi”, „przyzwoite państwo” oraz inne „odmiany” państwa.<sup>20</sup>

<sup>20</sup> Oczywiście jest, że owe postulaty są jak najbardziej słuszne, tyle tylko, że odwołując się do sfery wolicjonalnej Polaków nie odwołują się do żadnej koncepcji państwa, co wynika z braku zdefiniowania jego roli w procesach społecznych i gospodarczych.



Krajobraz polityczny uzupełniają partie odwołujące się do elektoratu wiejskiego koncentrujące się na „programach rozwoju polskiej wsi”, dopełniają natomiast, rzesze nomadów polityki, czyli tych „nazycznych” reprezentantów, którym w myśl zasady: „Tylko krowa nie zmienia poglądów”, jest blisko do wszystkich programów, partii, wizji, koncepcji rozwojowych... stanowisk i apanaży, także.

W efekcie powstaje swego rodzaju „hipermarket programowy”, w którym ktoś zapomniiał poukładać towar na półki. Powoduje to znaczącą dezorientację wyborców, którzy nie bardzo już rozumieją, co znaczą takie podstawowe terminy jak: prawica, lewica, centrum, chadecja, socjaldemokracja, konserwatyzm, liberalizm, a także niestety... populizm. Jednocześnie, zmusza to polityków do wprowadzania lub wzmacniania w społecznej świadomości sztucznych, nieadekwatnych, dychotomicznych i na ogół konfliktowych podziałów. Była już o tym mowa, lecz warto przywołać najbardziej znane przykłady tego typu zabiegów: „postkomuniści” - „postsolidarnościowcy”; „Polska liberalna” - „Polska solidarna”; „III Rzeczpospolita - IV Rzeczpospolita.

**Wszystkie tego typu podziały są w istocie substytutem identyfikacji ideowej, który ma „pomóc” zdezorientowanym wyborcom w dokonaniu „właściwego” wyboru.** Ułatwiają partiom politycznym konstruowanie programów, bowiem są na tyle pojemne, że można w ich oparciu stworzyć ofertę, o na tyle, zróżnicowanych elementach, że niemożliwe byłoby ich pogodzenie w spójnym ideologicznym programie. Mówiąc eufemistycznie, można odwołując się do sztucznych podziałów, tworzyć programy polityczne przypominające „worek św. Mikołaja”, do którego można powkładać dowolne, nieomal, „zabawki” wyborcze, nie dbając o ich jednorodny charakter.

Jednak siła perswazji i oddziaływań socjotechnicznych podziałów, które mają zastąpić identyfikację ideologiczną, słabnie. Tak stało się z możliwością wykorzystywania historycznego podziału na „postkomunę” i „obóz posierpniowy”, który tracił znaczenie w procesie mobilizacji wyborczej. Tak też, stanie się zapewne z nowymi podziałami wykorzystywanymi przez obecne elity polityczne. Spadająca frekwencja wyborcza, pokazuje, że Polacy, koncentrując się na indywidualnych wyznacznikach sukcesu życiowego, nie bardzo mają ochotę na uczestniczenie w kolejnych „reformach państwa”, „naprawach Rzeczpospolitej”, „rewolucjach moralnych”, które są głoszone najczęściej jako wynik odwołania się do kolejnych, sztucznych i często zwyczajnie niemądrych, podziałów. Odrzucenie tego typu zabiegów - kolejnego dzielenia Polaków - jest najczęściej udziałem klasy średniej oraz ludzi młodych do 30 roku życia, którzy nie znajdując dla siebie oferty programowej, zgodnej z ich oczekiwaniami wobec polityków i z ich poglądami politycznymi, po prostu nie biorą udziału w wyborach. Znamienne jest, że właśnie wśród wyborców, którzy najczęściej nie biorą udziału w wyborach, odsetek potrafiących określić swoje poglądy polityczne jest najwyższy. Być może, jest to wskazaniem w jakim kierunku winien zmierzać świat polskiej polityki, aby realnym stał się scenariusz aktywnego udziału obywateli w kreowaniu społeczeństwa obywatelskiego.

## 2. Intelktualny proletariat - rezerwowy elektorat

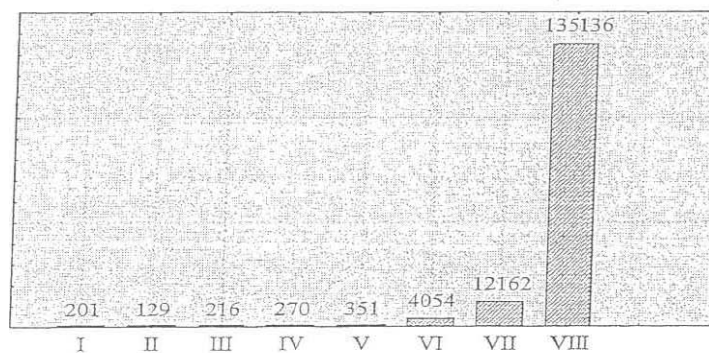
Pragne wyraźnie podkreślić, że zaprezentowany w niniejszym podrozdziale pogląd, należy traktować jedynie jako hipotezę, której przesłanką jest analiza wyników prowadzonych przeze mnie badań, których wszelako celem nie była identyfikacja przeobrażeń struktury klasowo - warstwowej w Polsce. Jest zatem, owa hipoteza, jedynie wynikiem konstatacji o występowaniu związku pomiędzy silną skłonnością do zmiany preferencji wyborczych a przynależnością do kategorii społeczno - zawodowej. Ambicją moją nie jest, jakkolwiek rozumiana, analiza struktury klasowej, lecz jedynie próba wskazania, w moim odczuciu, interesującego zjawiska, powstania dość specyficznej kategorii wyborców.

Wydaje się, że realny spadek dochodów gospodarstw domowych, pojawienie się zmarginalizowanych obszarów w przestrzeni społecznej, powodują występowanie zjawiska degradacji społecznej, znaczącej liczby kategorii społeczno - zawodowych, istotnych z punktu widzenia prawidłowości działania społeczeństwa. Towarzyszy temu, proces niczym nie uprawomocnionej supremacji najwyższej zlokalizowanych kategorii w strukturze społecznej. Można powiedzieć nieco eufemistycznie, że nożyce dyferencjacji społecznej rozwierają się coraz to mocniej.

Degradowane ekonomicznie i społecznie, są tak ważne społecznie kategorie jak lekarze, nauczyciele, ludzie nauki, policjanci, pielęgniarki. Dobrze wykształceni specjaliści z różnych dziedzin, absolwenci wyższych uczelni, zasilają szeregi bezrobotnych. Kategorie, przynależne nieomal w sposób naturalny do klasy średniej, tworzą coś na kształt rezerwowego elektoratu - intelektualny proletariat. Zawsze bowiem, można odwołać się w programie wyborczym do „sytuacji pracowników służby zdrowia”, „zarobków nauczycieli”, czy też „dramatu młodych, wykształconych Polaków, nie znajdujących swojego miejsca w kraju”. W związku z tym, że pewnej dewaluacji uległo odwoływanie się do rencistów, emerytów i bezrobotnych, dość szybko politycy znaleźli innych adresatów dla swoich programów wyborczych. Rzecz jednak nie w ocenie etycznej działań elit politycznych, lecz w ocenie ich skuteczności.

Brak powiązania pomiędzy zajmowanym miejscem w hierarchii społecznego podziału pracy, a pozycją materialną powoduje, że grupy społeczno - zawodowe spełniające wszelkie pozamaterialne kryteria przynależności do klasy średniej, tkwią zawieszona niejako w próżni społecznej.

Miesięczne dochody wybranych kategorii społeczno-zawodowych brutto w euro



Opis: I - płaca minimalna; II - zasiłek dla bezrobotnych; III - pielęgniarka; IV - nauczyciel kontraktowy; V - asystent w państwowej uczelni; VI - prezydent miasta wojewódzkiego; VII - prezes NBP, prezes PZU NFI Management (sprywatyzowana część państwowej firmy ubezpieczeniowej)

Źródło: Opracowano na podstawie danych GUS. Dane o dochodach prezesa PZU NFI - POLITYKA 2002 nr 6 str. 20.

Trudno bowiem uznać nauczycieli, średni personel medyczny, lekarzy, czy też bezrobotnych prawników i ekonomistów jako reprezentantów klasy niższej. Jednocześnie ich status materialny nie pozwala na zaklasyfikowanie ich, choćby do najniższego segmentu klasy średniej. Łączy tych ludzi relatywnie wysoki poziom wykształcenia i kompetencji, przygotowanie do zawodów o wysokim poziomie znaczenia dla prawidłowości funkcjonowania makrosystemu, dochody na poziomie poniżej średniej płacy (często, na poziomie płacy minimalnej), wysokie aspiracje społeczne połączone z poczuciem krzywdy i degradacji.

Kryteria przynależności do klasy średniej<sup>21</sup>  
(dane w%)

	2005			2001		
	I kryterium	II kryterium	III kryterium	I kryterium	II kryterium	III kryterium
Styl życia	13,5	13,8	26,4	14,1	9,7	8,5
Zawód	11,3	37,2	17,2	12,8	17,7	22,9
Zarobki	63,7	21,8	11,2	38,7	32,5	25,8
Wykształcenie	15,0	23,7	31,1	22,6	26,8	28,6
Prestiż	8,2	5,3	12,8	14,5	12,6	14,3

Źródło: Badania własne: 2001/2005. Uwaga: Dane nie sumują się do 100 - wielokrotny wybór.

Widać wyraźnie, że zmiany w sposobie postrzegania wyznaczników klasy średniej polegają głównie na dużym wzroście znaczenia **kryterium dochodowego**. Spada nieco znaczenie **wykształcenia** jako kryterium przynależności do klasy średniej, przy jednoczesnym wzroście wagi **zawodu**. W odczuciu społecznym, to co głównie decyduje o przynależności do klasy średniej, to uzyskiwanie odpowiedniego dochodu. O jakim dochodzie mówimy? W 2001 roku, badani wskazywali przedział od 2 tys. zł. do 3 tys. zł., natomiast w 2005 roku było to już od 2,5 tys. do 4.5 tys. zł netto w gospodarstwie domowym. Trudno się więc dziwić, że w przypadku sporej części kategorii zawodowych współtworzących klasę średnią, można mówić o poczuciu krzywdy, degradacji prowadzących często do frustracji i niezadowolenia społecznego.

Intelektualny proletariąt, powstaje w wyniku degradacji części klasy średniej i jest, podobnie jak ona, silnie zróżnicowany społecznie.<sup>22</sup> Tworzą go rozliczne i zróżnicowane kategorie zawodowe, nie posiadające, jakkolwiek rozumianego, wspólnego interesu. Co więcej, interesy poszczególnych kategorii społeczno-zawodowych, tworzących intelektualny proletariąt, mogą się wzajemnie wykluczać. Powoduje to sytuację, w której spora część możliwych zachowań tego elementu struktury społecznej, wymyka się spod jakkolwiek rozumianej prognozy. To prawdopodobnie miał na myśli Sigmund Neumann, charakteryzując spauperyzowaną ekonomicznie część niemieckiej klasy średniej, w klasycznej już pracy poświęconej powstaniu nazizmu:

*Stwierdzić można, że reprezentują oni współczesną „polityczną armię rezerwową”. (...) Są jak drewno unoszone na falach. Sygnalizują, jak wysoki jest przypływ, który może przerwać groblę. (...) Ich radykalizm nie ma autentycznego charakteru. Nie odnosi się do kwestii podstawowych, do źródeł społecznego i politycznego zła. Nie ma korzeni, ponieważ oni sami nie są w społeczeństwie zakorzenieni.*<sup>23</sup>

<sup>21</sup> Respondenci zostali poproszeni o wskazanie trzech najważniejszych ich zdaniem kryteriów przynależności do klasy średniej. Kolumny oznaczone cyframi rzymskimi obrazują rozkład kategorii w pierwszym, drugim i trzecim wyborze. Oba badania zostały przeprowadzone próbie ogólnokrajowej netto N=1200. Pierwszy pomiar: sierpień 2001; drugi pomiar: sierpień 2005.

<sup>22</sup> Dotyczy to głównie tej części poszczególnych kategorii zawodowych, które współtworzą tzw. sferę budżetową.

<sup>23</sup> S. Neumann, *Permanent ...*, op. cit., s. 31-32.

Oczywiście, nie mam zamiaru twierdzić, że Polska obecnie znajduje się w przededniu rebelii, rewolucji, czy też puczu. Wskazuję jedynie, że dalsze ignorowanie skutków transformacji w obszarze społecznym może urealnić każdy nieomal scenariusz wydarzeń. Postępująca dyferencjacja systemowa powoduje dychotomizację struktury społecznej. Coraz to nowe segmenty klasy średniej - naturalnego elementu stabilizującego strukturę społeczną - podlegają postępującej pauperyzacji ekonomicznej i społecznej i one właśnie tworzą intelektualny proletariatus. **Jest on niezadowolony z wyników transformacji, zdezorientowany normatywnie i politycznie, sfrustrowany, pozbawiony perspektyw, a jednocześnie - świadom swojego znaczenia, potrzeb i aspiracji.**<sup>24</sup>

Wydaje się, że nie doszło w ciągu ostatnich szesnastu lat nawet do próby zdefiniowania umowy społecznej. Brak porozumienia co do związku pomiędzy miejscem zajmowanym w społecznym podziale pracy, a pozycją materialną czy społeczną, brak konsensusu w relacjach pomiędzy rządem, pracodawcami i związkami zawodowymi, kapitalizm polityczny - to tylko kilka z wielu dowodów braku jasno sprecyzowanej umowy społecznej. Porządek społeczny w Polsce po roku 1989 jawi się raczej jako model konfliktowy, w którym alokacja środków budżetowych zależy od siły nacisku poszczególnych grup społeczno zawodowych. Protesty lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli a nawet policjantów, nie robią szczególnego wrażenia na polskich elitach władzy. Dotyczy to wszystkich rządzących w Polsce od 1989 roku. To co pobudza ich do działania, to perspektywa przyjazdu do Warszawy górników, hutników, stoczniowców lub pracowników „zbrojeniówki”. Wystarczy jedynie zapowiedź takiej „wizyty”, aby natychmiast znalazły się środki dla wybranych grup zawodowych. Potrafią one, w drodze ostrego konfliktu, wyrzucić silną presję (np. płacową) na ośrodek władzy państwowej. Problem nie polega na tym, że te grupy istnieją i działają w taki właśnie sposób. Problem polega na tym, że elity władzy w Polsce są słabe, słabością braku wizji państwa oraz brakiem myślenia wykraczającego poza czas trwania jednej kadencji Sejmu. Uciekają więc od podejmowania trudnych, niepopularnych decyzji o charakterze strategicznym, koncentrując się na d o r a ż n y c h, korzystnych dla własnego ugrupowania działaniach, które obliczone są jedynie na efekt wyborczy.

Towarzyszy temu swoista **antynomia wartości**. Z jednej bowiem strony, społecznie akceptowane cele (osiąganie wysokiej pozycji materialnej, społecznej, zawodowej i prestiżu) nie uległy, co zrozumiałe, zmianie, z drugiej zaś, odmawia się niektórym kategorią społeczno-zawodowym prawa do artykulacji i społecznego sprzeciwu wobec ewidentnej dyskryminacji materialnej twierdząc, że wykonywanym przez nich zawodom towarzyszyć winno szczególne poczucie odpowiedzialności i świadomość wypełniania misji<sup>25</sup>. Owa odpowiedzialność i poczucie misji, oznaczają tak naprawdę, konformizm wobec wyraźnej dysproporcji pomiędzy społecznie akceptowanymi celami, a zinstytucjonalizowanymi środkami ich realizacji.

Sytuacja ta spełnia, w pewnym sensie, wymogi anomii<sup>26</sup>. Należy jednak pamiętać, że konformizm jest jednym z pięciu typów adaptacji wobec stanu anomii. Najbardziej skrajnym z nich jest bunt, polegający na odrzuceniu przez jednostkę społecznie akceptowanych celów i środków ich realizacji<sup>27</sup>. Ten typ adaptacji charakteryzuje tendencja do redefinicji zarówno środków, jak i celów. Mówiąc wprost, jednostki i całe zbiorowości odrzucają podstawy

<sup>24</sup> O poziomie dezorientacji politycznej kategorii tworzących intelektualny proletariatus, mogliśmy się przekonać podczas badań przedwyborczych, których celem było min. testowanie pierwotnej, nie ogłoszonej jeszcze wersji hasła wyborczego Unii Wolności - „Silna klasa średnia, to silna Polska”. Po zastosowaniu analizy korelacyjnej, okazało się, że nauczyciele, średni personel medyczny, bezrobotni z wyższym wykształceniem i część drobnych przedsiębiorców (głównie jednoosobowe lub rodzinne firmy) uznała, że hasło to może należeć zarówno do UW (13,7%), SLD (13,5%), PO (12,9%) jak do AWS (11,3%) i PiS (8,9%). Blisko 30% wyborców należących do wyżej wymienionych kategorii, nie potrafiła w żaden sposób zidentyfikować autorów hasła.

<sup>25</sup> Dotyczy to zwłaszcza pracowników sfery budżetowej takich jak: lekarze, pielęgniarki, nauczyciele.

<sup>26</sup> Por.: R.K. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982.

<sup>27</sup> Tamże.



dotychczasowego porządku społecznego. Wydaje się zakwestionowanie porządku społecznego III RP może być jednym z przejawów wspomnianej redefinicji. Oczywiście jest, że warunkiem takiej redefinicji, jeśli nawet jest ona tylko werbalna, musi być istotny poziom legitymizacji społecznej dla potrzeby zmian w sposobie organizacji porządku społecznego. Była już o tym mowa nieco wcześniej. Można przyjąć hipotetycznie, że czynnikiem sprzyjającym takiej legitymizacji jest pojawienie się silnej skłonności do zmian preferencji wyborczych niektórych, tworzących intelektualny proletariat, segmentów klasy średniej. Owa zmienność jest zorientowana na maksymalizację spodziewanych korzyści wynikających z ewentualnego spełnienia obietnic wyborczych przez polityków. Mówiąc wprost, niektóre segmenty klasy średniej, koniunkturalnie, przenoszą swoje poparcie na te partie, które w ich odczuciu, przywrócą im należne miejsce w zhierarchizowanej przestrzeni społecznej.

Jaka jest skala opisywanego zjawiska? Posłużę się wynikami badań, które prowadziłem w latach 2001 - 2005.

Pierwszy przykład opisuje skalę zjawiska przenoszenia poparcia wyborczego w układzie: wybory do Sejmu 2001 - wybory do Parlamentu Europejskiego 2004. Badania miały charakter ogólnokrajowy i zostały przeprowadzone na próbie N=1200 w 2004 roku. Zaprezentowane wyniki odnoszą się tylko do tych respondentów, którzy byli zatrudnieni w sferze budżetowej i wykonywali następujące zawody: lekarz, pielęgniarka, nauczyciel, pracownik służb mundurowych, urzędnik administracji publicznej. Dodatkowym kryterium analitycznym było uzyskiwanie dochodów poniżej średniej płacy brutto. Zaprezentowane wyniki odnoszą się jedynie do elektoratów partii, które weszły do Sejmu w 2005 roku.

**Deklarowane poparcie dla partii politycznych  
Wybory do Sejmu RP 2001/wybory do PE**

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy Platformy Obywatelskiej w wyborach do Sejmu 2001												
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?												
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"	
0,00%	0,00%	9,52%	69,05%	2,38%	16,67%	0,00%	0,00%	2,38%	0,00%	0,00%	0,00%	

Rozkład odpowiedzi w grupie											
Wyborcy Samoobrony RP w wyborach do Sejmu 2001											
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?											
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	Jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"
0,00%	8,33%	0,00%	8,33%	0,00%	0,00%	83,33%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie											
Wyborcy Sojuszu Lewicy Demokratycznej/Unia Pracy w wyborach do Sejmu 2001											
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?											
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	Jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"
0,00%	3,33%	23,33%	13,33%	3,33%	3,33%	0,00%	3,33%	40,00%	3,33%	0,00%	6,67%

Rozkład odpowiedzi w grupie											
Wyborcy Prawa i Sprawiedliwości w wyborach do Sejmu 2001											
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?											
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	Jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"
0,00%	0,00%	11,76%	5,88%	0,00%	76,47%	0,00%	0,00%	5,88%	0,00%	0,00%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie											
Wyborcy Ligi Polskich Rodzin w wyborach do Sejmu 2001											
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?											
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	Jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"
0,00%	66,67%	0,00%	0,00%	6,67%	26,67%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie											
Wyborcy Polskiego Stronnictwa Ludowe w wyborach do Sejmu 2001											
Treść pytania: Gdyby wybory do PE odbywały się w najbliższym czasie, to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?											
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	Liga Polskich Rodzin	Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	Platforma Obywatelska	Polskie Stronnictwo Ludowe	Prawo i Sprawiedliwość	Samoobrona RP	Socjaldemokracja Polska	Sojusz Lewicy Demokratycznej	Unia Pracy	Jeszcze nie wiem	Antyklerykalna Partia Postępu "RACJA"
0,00%	0,00%	16,67%	33,33%	33,33%	0,00%	0,00%	16,67%	0,00%	0,00%	0,00%	0,00%

Źródło: Badania własne

Nie jest w tym miejscu ważny kierunek „przemieszczania się” kategorii zaklasyfikowanych do intelektualnego proletariatu, lecz skala zmian poparcia dla, jedynie, sześciu partii politycznych. Średnia arytmetyczna deklarowanej zmiany poparcia w obrębie sześciu ugrupowań politycznych wynosi 38,52% (średnia dla całego zbioru badanych: 32,34%). Oznacza to, że blisko czterdzieści procent wyborców, których dotyczą opisywane zjawiska, zamierzało oddać swój głos w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 roku na inną partię, niż tą, którą poparli w wyborach do Sejmu RP w 2001 roku.

Oczywiście, mam świadomość, że porównywanie postaw wyborczych w wyborach do PE, z postawami prezentowanymi w wyborach krajowych, nie jest do końca uprawnione. Dlatego też, posłużę się wynikami badań przeprowadzonych w roku 2005 przed wyborami parlamentarnymi.<sup>28</sup> Podobnie jak w przypadku poprzedniej prezentacji, wyniki odnoszą się tylko do tych respondentów, którzy byli zatrudnieni w sferze budżetowej i wykonywali takie zawody jak lekarz, pielęgniarka, nauczyciel, pracownik służb mundurowych, urzędnik administracji publicznej, a dotyczą jedynie elektoratów partii, które weszły do Sejmu w 2005 roku.

<sup>28</sup> Część wyników została już zaprezentowana już wcześniej wraz z opisem badań.

**Deklarowane poparcie dla partii politycznych  
Wybory do Sejmu RP 2001/2005**

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy LPR w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłyby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
70,91%	2,60%	15,09%	0,00%	8,00%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy PO w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłyby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
0,00%	73,85%	13,30%	0,77%	0,00%	5,38%

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy PiS w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłyby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
5,00%	1,85%	78,74%	0,00%	7,41%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy PSL w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłyby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
0,00%	0,00%	12,50%	77,50%	9,00%	0,00%

Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy "SAMOOBRONA" w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłyby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
0,00%	0,00%	9,00%	8,33%	81,67%	0,00%



Rozkład odpowiedzi w grupie Wyborcy SLD w wyborach do Sejmu 2001					
Treść pytania: Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, to które z ugrupowań politycznych mogłoby liczyć na Pana/i poparcie?					
LPR	PO	PiS	PSL	"SAMOOBRONA"	SLD
0,00%	20,85%	14,85%	0,00%	7,70%	43,30%

Źródło: Badania własne. Uwaga: Dane nie sumują się do 100 - w tabelach uwzględniono dane dotyczące jedynie partii, które weszły do Sejmu w wyniku wyborów z 2005 roku.

Okazuje się, że zmiana preferencji wyborczych analizowanych kategorii zawodowych, w układzie jednej kadencji Sejmu jest, co prawda mniejsza w przypadku wyborów krajowych niż wyborów do PE, lecz jest w dalszym ciągu bardzo wysoka. Średnia arytmetyczna deklarowanej zmiany poparcia w wynosi 29,01% (średnia dla całego zbioru badanych: 25,14%). Oznacza to, że nieomal co trzeci nauczyciel, pielęgniarka, lekarz, pracownik służb mundurowych, urzędnik administracji publicznej, uzyskujący dochód poniżej średniej płacy, zmienił swoje preferencje wyborcze w ciągu czterech lat trwania kadencji Sejmu.

Wspomniany wcześniej koniunkturalizm jest, jak sędzę, obserwowalny i powiązany ze sposobem postrzegania konkretnej partii politycznej jako reprezentującej interes klasy średniej. W cytowanych już badaniach 2001 roku, poprosiłem badanych o wskazanie partii politycznej, która „dba o interesy klasy średniej”. Powtórzyłem to pytanie w roku 2005. Tak jak wcześniej, tabela pokazuje odpowiedzi respondentów spełniających warunki określone hipotetycznie jako klasyfikujące do kategorii „intelektualny proletariat”. Oto wynik.

Która partia Pana/Pani zdaniem dba o interesy klasy średniej?	2001						
	PO	PiS	PSL	"Sam"	SLD	LPR	Żadne
	9,3	5,7	4,2	1,9	36,0	9,5	25,5
	2005						
	34,4	14,6	7,2	9,2	5,8	0,7	28,7

Źródło: Badania własne. Uwaga dane nie sumują się do 100 - w tabelach uwzględniono dane dotyczące jedynie partii, które weszły do Sejmu w wyniku wyborów z 2005 roku

Wydaje się, że wystarczy zmienić wizerunek partii jako reprezentującej interesy klasy średniej, aby uzyskać poparcie wyborców należących do zdegradowanych ekonomicznych segmentów klasy średniej. Warto w tym miejscu dodać, że analiza wypowiedzi tych samych kategorii zawodowych, lecz uzyskujących dochody w przedziale 2.5 tys. zł - 4,5 tys. zł netto w gospodarstwie domowym; pokazuje, że niezmiennie w obu badaniach wskazują oni PO i UW jako reprezentanta interesów klasy średniej. Jest to przejawem, co prawda względnie trwałego, zjawiska utożsamiania się z partią oraz głosowania według kryterium przynależności klasowej<sup>29</sup>.

Można zatem przyjąć, oczywiście jedynie jako tezę do bardziej pogłębionych studiów, że istnieje pewna kategoria wyborców, która spełniając wszystkie, za wyjątkiem ekonomicznego, wyznaczniki przynależności do klasy średniej, charakteryzuje się dużą, nawet jak na polskie warunki, skłonnością do zmian postaw wyborczych. Kategoria ta, którą określiłem

<sup>29</sup> Mowa w tym miejscu o pojawianiu się czynnika klasowego w postawach wyborczych, który co prawda nie jest jakkolwiek rozumianą determinanta, lecz odgrywa często istotną rolę w wyborach społeczeństw o ugruntowanych tradycjach demokratycznych. Czynniki klasowy przejawia się w tym, że przedstawiciele klasy średniej i wyższej na ogół popierają partie konserwatywne, natomiast przedstawiciele klasy niższej - socjaldemokrację. Przez badaczy zachodnich, zjawisko to jest wiązane także z wysokością dochodu.

mianem intelektualnego proletariatu, w każdym niemal wyborach, p o s z u k u j e swojego reprezentanta, który ma w jej odczuciu, zapewnić możliwość osiągnięcia należytej pozycji materialnej. Problem w tym, że owe poszukiwania są naznaczone zarówno dużą „przypadkowością”, jak i znaczącym partykularyzmem ekonomicznym, którego jedynym źródłem są deklaracje i zabiegi socjotechniczne polityków wskazywanych, przez analizowaną kategorię wyborców, jako ich reprezentacja polityczna.

Spójrzmy raz jeszcze na wyniki przytoczonych badań. Pomińmy główne wskazania (2001 - SLD; 2005 - PO) i skoncentrujmy się przez chwilę na zmianach postrzegania, jako reprezentanta klasy średniej jednej partii - Samoobrony. W roku 2001 zaledwie 1,9% badanych, zakwalifikowanych do omawianej kategorii wyborców, wskazywało Samoobronę jako siłę polityczną reprezentującą interesy klasy średniej. Cztery lata później, niemal co dziesiąty badany stwierdza, że ta właśnie partia jest reprezentacją interesów klasy średniej.

Co powoduje, że pewna część min. nauczycieli, pielęgniarek i lekarzy, znajduje w osobie Andrzeja Leppera, przywódcę partii reprezentującej ich interesy? Wydaje się, że odpowiedź jest stosunkowo prosta. Samoobrona zmieniła swój wizerunek z partii reprezentującej interesy mieszkańców wsi, na partię będącą reprezentacją wszystkich spauperyzowanych, w wyniku zmian gospodarczych, grup zawodowych. Początkiem zmiany wizerunku było, jak się wydaje, odejście przez Leppera od powtarzania zaklęcia: „Nie może być, tak, aby bezrobotni, renciści i emeryci...”, i przejście do prób rozszerzenia własnego elektoratu, poprzez włączenie do listy adresatów programu Samoobrony, pracowników sfery budżetowej. Wystarczy jedynie pobieżna analiza wywiadów prasowych przywódcy Samoobrony, aby zauważyć, że od roku 2004, w jego wypowiedziach, coraz częściej pojawiają się kategorie zawodowe z różnych segmentów klasy średniej, jako te, które wymagają pilnej pomocy państwa.

Przytoczone wcześniej badania opisujące zjawisko przemieszczania się elektoratów partii politycznych w układzie wybory 2001 - wybory 2005, pokazują, że w ciągu czterech lat Samoobrona straciła poparcie 18,33% wyborców zakwalifikowanych do spauperyzowanych segmentów klasy średniej, zyskała natomiast poparcie 32% wyborców innych partii, które weszły do Sejmu IV kadencji. Zysk netto wyniósł 13,67% głosów poparcia nauczycieli, pielęgniarek, lekarzy, pracowników służb mundurowych, urzędników administracji publicznej. Opłacało się zatem, zmodyfikować werbalnie program partii, aby pozyskać część głosów wyborców, jakże „odległych” od głównego segmentu elektoratu Samoobrony.

Przytoczone wyniki badań pokazują, jak sądzą, że pewna część wyborców - którzy w społeczeństwach opierających porządek społeczny na umowie społecznej dzięki, której ich lokalizacja w zhierarchizowanej przestrzeni społecznej nie budzi wątpliwości, stanowią relatywnie stabilny elektorat - w polskich warunkach tworzy coś na kształt r e z e r w o w e g o e l e k t o r a t u, po który mogą sięgać wszystkie, niemal, partie polityczne w okresie przedwyborczym. Wystarczy tu bowiem, jedynie artykulacja woli ulżenia doli pielęgniarek lub nauczycieli, aby uzyskać poparcie tych grup wyborców, partia wywodząca swój sukces polityczny z blokad chłopskich, którą trudno nazwać reprezentantem klasy średniej.

Mam pełną świadomość, że zaprezentowany pogląd posiada jedynie walor supozycji empirycznej i jako taki stanowić może zaledwie asumpt do dalszych, pogłębionych analiz i studiów nad zachowaniami wyborczymi niektórych segmentów klasy średniej. Gdyby jednak okazało się, że ów pogląd uzyska potwierdzenie, oznaczałoby to pojawienie się w polskiej rzeczywistości, dość niepokojącego zjawiska destabilizacji postaw wyborczych części klasy średniej. Nie chodzi w tym miejscu jedynie o fakt, że pewna część wyborców klasy średniej prezentuje zachowania charakterystyczne dla nielojalnych wyborców. Zmiany postaw wyborczych są niejako wpisane w logikę systemów demokratycznych. Problem polega zarówno na skali opisywanego zjawiska, jak i jego swoistej przypadkowości, spowodowanej przez poczucie krzywdy, niezadowolenia i frustracji będących udziałem sporej części

przedstawicieli klasy średniej, którzy niejako, desperacko poszukują swojej reprezentacji politycznej. W tych poszukiwaniach natrafiają na oferty wyborcze tych polityków, którzy w sposób w pełni świadomy i instrumentalny wykorzystują ich niezadowolenie. Są traktowani przez polityków jak „rezerwowa armia polityczna” - by raz jeszcze zacytować Neumanna. Zawsze bowiem można, poprzez odwołanie się do rzeczywistych problemów tych grup społecznych - co uwiarygodnia polityków - zmobilizować część wyborców klasy średniej do oddania głosu na tych, „którym leży na sercu los nauczycieli, lekarzy, pielęgniarek...”.

### 3. Gdzie bije serce Rzymu?

Dotychczasowe spostrzeżenia, odnoszące się do zachowań wyborczych Polaków, koncentrowały się na mechanizmach i przejawach prawideł oraz tendencji, obserwowalnych z perspektywy teoretycznej i badawczej. Nie tracąc tej ostatniej, warto podjąć próbę identyfikacji wartości przedmiotowej owych zachowań, innymi słowy, warto odpowiedzieć na pytanie o sferę wolicjonalną wyborców. Czego tak naprawdę oczekujemy od polityków i polityki? Wydaje się, że jest to w pewnym sensie, kluczem do zrozumienia przyczyn zjawisk obserwowalnych w funkcjonowaniu elit politycznych. Jakiegokolwiek byśmy bowiem, nie poddawali krytyce działania elit politycznych, jakkolwiek byśmy nie utyskiwali nad stanem kultury politycznej czy sposobów uprawiania polityki w Polsce, to jedno jest pewne. **To my, wyborcy kreujemy elity polityczne i elity władzy. O n i są nasza emanacją. To m y ich wskazujemy jako naszych reprezentantów lub przez zaniechanie wyborcze pozwalamy na ich wybór.**

Może więc warto poważnie rozważyć hipotezę w myśl, której zachowania polskich elit politycznych są jedynie wynikiem transkrypcji naszych zbiorowych cech i oczekiwań. Może jest tak, że i c h zachowania, które tak często krytykujemy, są wynikiem n a s z e g o przyzwolenia. Słowem, może elity polityczne są jedynie projekcją cech i oczekiwań Suwerena.

Jaki zatem jest ów Suwerek? Co jest dla niego ważne? Czego oczekuje od swoich reprezentantów? Jakimi wartościami się kieruje? Jakie są Jego oczekiwania? Na te i inne pytania, spróbuję odpowiedzieć odwołując się do wyników badań, których niewielką część, zaprezentowałem w dotychczasowych eksplikacjach.

Deklarowane poglądy polityczne  
(dane w%)

2005				2001			
prawicowe	lewicowe	centrowe	nie posiadam	prawicowe	lewicowe	centrowe	nie posiadam
16,7 (- 8,2)	13,3 (- 19,3)	10,5 (- 6,1)	59,5 (+ 33,6)	24,9 --	32,6 --	16,6 --	25,9 --

Źródło: Badania własne: 2001/2005

Trudno uwierzyć, że tabela opisuje deklaracje poglądów politycznych wyborców w sekwencji zaledwie czterech lat. Dynamika zmian deklarowanych poglądów jest tak duża, że każe wątpić w to, iż badani potrafią odróżnić pogląd polityczny od preferencji wyborczych. Tak z pozoru przynajmniej, wydawać by się mogło.

Jednakowoż, to co zwraca uwagę (oprócz zmian ilościowych), to brak związku deklarowanych w 2005 roku poglądów politycznych z wynikiem wyborczym. Co prawda, spadek ilości osób deklarujących poglądy lewicowe odzwierciedlił się wynikiem wyborczym SLD, lecz w odniesieniu do pozostałych deklaracji uznać należy, że stoją one nieomal w opozycji do wyniku wyborów 2005 roku. Odsetek osób deklarujących poglądy prawicowe i centrowe zmalał o ponad czternaście procent, co nie przeszkodziło partiom identyfikowanym

jako prawicowe i centrowe, właśnie, odnieść zwycięstwa w tychże wyborach. Można zatem, w pewnym uproszczeniu przyjąć, że partie prawicowe i centrowe uzyskały głównie poparcie wyborców deklarujących brak sprecyzowanych poglądów politycznych. Warto dodać, że ta kategoria wyborców jest obecnie najliczniej reprezentowana wśród Polaków, co pokazują również badania dużych ośrodków badawczych.

Jak zatem zamierzali zachować się wyborcy, którzy deklarowali brak sprecyzowanych poglądów politycznych?

Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższym czasie,  
to które z ugrupowań politycznych uzyskałoby Pana/i poparcie?  
(Wyborcy deklarujący brak sprecyzowanych poglądów politycznych - sierpień 2005)

Odpowiedź	%
Platforma Obywatelska	28,10%
Prawo i Sprawiedliwość	19,01%
Partia Demokratyczna (dawna Unia Wolności)	14,05%
Liga Polskich Rodzin	9,09%
Sojusz Lewicy Demokratycznej	8,26%
Samoobrona RP	7,85%
Socjaldemokracja Polska	5,37%
Polskie Stronnictwo Ludowe	4,13%
Krajowa Partia Emerytów i Rencistów	1,65%
jeszcze nie wiem	1,24%
Unia Pracy	0,41%

Źródło: Badania własne: 2001/2005

Którego z kandydatów zamierza Pan/Pani poprzeć w drugiej turze wyborów prezydenckich?  
(Wyborcy deklarujący brak sprecyzowanych poglądów politycznych - 2005)

Odpowiedź	%
Żadnego z kandydatów	32,67%
Jeszcze nie zdecydowałem	30,87%
Lech Kaczyński	20,49%
Donald Tusk	15,97%

Źródło: Badania własne: 2001/2005

Dla analizowanej kategorii wyborców charakterystyczny jest brak wątpliwości przy wyborze partii politycznej, przy jednoczesnym braku zdecydowania w dokonywaniu wyborów personalnych, do jakich niewątpliwie należą wybory prezydenckie. Łatwiej jest zatem poprzeć partię, niż kandydata teje na najwyższy urząd w państwie. Być może jest tak dlatego, że programy partii politycznych są mniej wyraziste i mało zróżnicowane, co wynika z braku identyfikacji ideowej. Zatem wybór partii nie zmusza wyborcy do różnego rodzaju odniesień np. światopoglądowych. Nie zmusza do auto - identyfikacji własnych przekonań, poglądów, wyznawanych wartości. Wybór jest wtedy łatwiejszy, bowiem dokonywany jest w oparciu o elementy programu wyborczego partii, w którym dominują zapowiedzi rozwiązań tyleż ważnych, co pozbawionych wyznaczników aksjologicznych. Partie bowiem, konstruując swoje programy wyborcze koncentrują się na tych elementach rzeczywistości społecznej, które posiadają znaczenie dla codziennych aspektów życia wyborców takich jak:



pomoc społeczna, problemy rynku pracy, bezpieczeństwo, podatki, budowa dróg, dostępność mieszkań a nade wszystko - podwyżki płac dla poszczególnych grup zawodowych. Partie w swoich propozycjach, o czym była już mowa, nie różnią się zasadniczo.

Jest oczywiste, że politycy koncentrują się na rozwiązywaniu problemów obywateli. Stąd też, ich programy posiadają wymiar w pewnym sensie, technokratyczny. Nie jest to w żadnej mierze specyfika polskiej sceny politycznej. Jednakowoż, to co specyficzne dla polskich elit politycznych, to fakt, że owe propozycje rozwiązań nie wynikają z przesłanek ideowych, rodowodu, światopoglądu (przynajmniej deklarowanego) polityków, lecz z uwzględnienia jedynie bieżących potrzeb wyborczych. Można byłoby stwierdzić, że jeśli podaż jest prostą odpowiedzią na popyt, to partie polityczne w Polsce dostarczają wyborcom takiej oferty, jakiej oni od nich oczekują. Być może jest tak, że Polacy nie oczekują od polityków jasnych deklaracji ideowych. Być może oczekujemy jedynie nowych dróg, podwyżek płac, zasiłków słowem, oczekujemy deklaracji osiągnięcia określonego materialnego poziomu życia z pominięciem jakościowych wyznaczników ludzkiej egzystencji. Chcemy najpierw „mieć” a być może w przyszłości „być”.

Problem naszych wyborów zaczyna się wówczas, gdy należy wybrać pomiędzy programem, który jest jaśniejszym i w większym stopniu nacechowanym wartościami. Programem, do którego można już odnosić własne przekonania i wyznawane systemy wartości, co jest szczególnie trudne przy ich braku. W przypadku jasno zdefiniowanych granicach pomiędzy kandydatami - przynajmniej jaśniej niż w przypadku partii politycznych - wyborca jest niejako zmuszony do odpowiedzi na kilka przynajmniej pytań. „Co cenię w ludziach?” „Jakimi wartościami powinien kierować się człowiek, który będzie mnie reprezentował i mój kraj?” „Czy ma być on lepszy ode mnie, czy też taki sam jak ja?” „Czy jego poglądy i uznawane wartości są zbieżne z moimi?” „Jaka jest jego biografia?” Odpowiedzi na te i inne pytania zmusza do pewnego wysiłku, lecz także do samooceny. Warto przypomnieć, że nie mówimy tu o braku zainteresowania udziałem w wyborach prezydenta RP. Wybory te zawsze cieszą się największym zainteresowaniem wyborców w Polsce. **Mówimy o swoistej projekcji cech elektoratu, projekcji, która powoduje, że elity polityczne kumulują niejako cechu wyborców.** Zjawisko to, egzemplifikuje się wyraźnie w dokonywanych przez nas wyborach głowy państwa. Dwa przykłady, moim zdaniem, są charakterystyczne w tym względzie.

Pierwszy z nich to reakcja sporej części Polaków na materiał wyemitowany w kampanii wyborczej 2000 roku. Obejrzelśmy wówczas prezydenta Polski, ślaniającego się na cmentarzu Polaków pomordowanych przez NKWD w Charkowie. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Prezydent był pijany, a jego tłumaczenia o kontuzji nogi, do złudzenia przypominały „niewyraźne” wypowiedzi z poprzedniej kampanii a odnoszące się do „nieporozumienia” związanego z jego wykształceniem. Dla większości Polaków te szokujące zdjęcia, szokującymi chyba nie były, a większość pracowni badania opinii społecznej, zanotowało wzrost poparcia dla Aleksandra Kwaśniewskiego.

Drugi przykład opisuje zmienność naszych preferencji, zmienność, która ze względu na jej dynamikę występującą w krótkim przedziale czasowym, wskazywać może na przypadkowość dokonywanych przez nas wyborów. Otóż, w czasie zaledwie dwóch tygodni dzielących dwie tury wyborów prezydenckich w 2005 roku, aż osiem procent wyborców Donalda Tuska, przeniosło swoje poparcie na Lecha Kaczyńskiego.<sup>30</sup> Cóż zatem powoduje, że odsetek Polaków zmieniających swoje preferencje w ciągu czternastu dni, jest porównywalny z odsetkiem wyborców w USA, którzy dokonują zmian preferencji wyborczych w ciągu czterdziestu lat?

Tolerancja dla pijanego prezydenta może wynikać z tego, że chyba nie bardzo lubimy, aby nasi reprezentanci różnili się od nas w jakiś szczególny sposób. Aby byli od nas lepsi.

<sup>30</sup> Wynik sondażu wyborczego, II tura wyborów prezydenckich 2005 roku: TNS OBOP; PBS.

Zdjęcia z Charkowa, pokazały „ludzką twarz” prezydenta. Stał się bliższy przeciętnemu Polakowi. Czyż sporej części z nas, nie „zdarzyło się”? Czy chcielibyśmy być surowo ukarani za taki „drobny” incydent? Nie sądzę. Wystarczy prześledzić statystyki policyjne dotyczące spraw pracowników, w tym lekarzy także, którzy podejmowali pracę w stanie po spożyciu alkoholu, aby przekonać się, jak wiele łączy nas z pijanym prezydentem. Iluż to kierowców jest zatrzymywanych za prowadzenie pod wpływem alkoholu, rankiem, w dniach po popularnych imieninach bądź świętach? Ci ludzie nie tylko łamali prawo o ruchu drogowym. Oni jechali, po prostu, pijani do pracy. Cóż więc mogło spotkać pijanego prezydenta? Jedynie współczucie rodaków.

Powyższy pogląd znajduje częściowe potwierdzenie w wynikach badań, w których respondenci zostali poproszeni o wskazanie, ich zdaniem, najbardziej pożądanых cech, którymi winien charakteryzować się polityk.

Opinie dotyczące cech, którymi powinien charakteryzować się polityk

Cecha - Sejm 2001	%	Cecha - Sejm 2005	%	Cecha - PE	%
uczciwość	89,5	uczciwość	76,8	uczciwość	69,4
znajomość problemów zwykłych ludzi	76,3	odpowiedzialność	73,6	odpowiedzialność	60,5
odpowiedzialność	73,2	znajomość problemów zwykłych ludzi	71,9	znajomość obcych języków	43,9
skłonność do spełniania oczekiwań wyborców	56,8	skłonność do spełniania oczekiwań wyborców	68,8	konsekwencja	35,5
doświadczenie	52,1	wysokie wykształcenie	56,7	wyższe wykształcenie	35,1
pracowitość	45,6	pracowitość	51,2	autorytet na arenie międzynarodowej	30,8
wysokie wykształcenie	35,8	autorytet	32,8	doświadczenie polityczne	29,2
konsekwencja	29,9	umiejętność podejmowania samodzielnych decyzji	27,8	umiejętność podejmowania decyzji	24,8
umiejętność podejmowania samodzielnych decyzji	28,5	doświadczenie	25,6	autorytet na polskiej scenie politycznej	20,6
autorytet	23,6	charyzma	14,5	elegancja	15,5
wierność swoim poglądom	19,7	lojalność wobec swojej partii	10,7	lojalność wobec swojej partii	13,4
lojalność wobec swojej partii	12,4	elegancja	9,8	charyzma	12,8
charyzma	6,3	wierność swoim poglądom	2,8	wierność swoim poglądom	11,5
elegancja	5,8	konsekwencja	2,1	----	--
opanowanie	2,6	opanowanie	1,9	----	--

Źródło: Badania własne: 2001/2005. Dane nie sumują się do 100%. - wielokrotny wybór.

Taka cecha jak „autorytet”, a szczególnie „charyzma”, nie posiadają zbyt dużego znaczenia, w opinii wyborców, dla prawidłowego wypełniania roli polityka. Natomiast jedną z najważniejszych cech polityka jest, zdaniem wyborców, „skłonność do spełniania oczekiwań wyborców”, co w połączeniu z bardzo wysoko notowaną „znajomością problemów zwykłych ludzi”, dystansuje i deprecjonuje kwalifikacje moralne kandydatów na polityków. Stwarza jednocześnie nad wyraz sprzyjające warunki dla tworzenia przez polityków programów i haseł o wyraźnie populistycznym charakterze. Wystarczy trafnie zdefiniować oczekiwania wyborców. Zapowiedzieć ich realizację, często z pominięciem racjonalnych przesłanek, a nawet zdrowego rozsądku, aby uzyskać dobry wynik wyborczy. Kwalifikacje moralne nie odgrywają tu istotnego znaczenia.

Autorytet polityka jest raczej balastem w osiąganiu sukcesu politycznego w Polsce. Świadczą o tym lata sukcesów lewicy postkomunistycznej w III Rzeczypospolitej. Czy można bowiem powiedzieć, że ówczesni liderzy lewicy, wyrastający wprost z PZPR, walczyli o niepodległą Polskę? Czy można, bez cienia wątpliwości, wskazać dawnych sekretarzy partyjnych - bez względu na ich metamorfozy po 1989 roku i rzeczywiste, bądź wymaginowane zasługi dla porozumienia Okrągłego Stołu - jako autorytety dla młodych Polaków? Odpowiedź niech należy do Czytelnika. Jednego wszelako, nie można odmówić lewicy - skuteczności rządzenia, przynajmniej w wymiarze czysto ekonomicznym. To dość dobrze wpisuje się zarówno w „znajomość problemów zwykłych ludzi”, jak „skłonność do spełniania oczekiwań wyborców”.

Być może jest tak, że Suweren nie lubi autorytetów w ogóle? Z jaką fascynacją, charakterystyczną dla średniowiecznej gawiedzi, obserwujemy publiczne egzekucje ludzi Kościoła i dawnej opozycji prowadzone w isticie jakobińskiej czystce lustracyjnej. Bardzo łatwo uznaliśmy, że można w tych publicznych linczach pominąć zupełnie, domniemanie niewinności, wiarygodność dowodów, prawo do obrony przed niezawisłym sądem. Wystarczają nam śledztwa dziennikarskie i wypowiedzi medialne historyków IPN. Natomiast sam IPN w roli „trybunału ludowego”, też nam nie szczególnie przeszkadzał.

Dlaczego dzieje się tak, że z niewiarygodną wręcz łatwością bierzemy udział w procesie niszczenia autorytetów w Polsce? Można powiedzieć, że w imię zasad moralnych, właśnie. W imię prawdy i poczucia sprawiedliwości. Wykluczyć takich pobudek się nie da. Lecz może część z nas traktuje obalanie autorytetów za pomocą lustracji, jak swego rodzaju terapię traumy postkomunistycznej. Pojawiające się teczki na hierarchów kościelnych i dawnych opozycjonistów sugerują nam, że nie byliśmy ostatecznie tacy źli w czasach PRL. Są jak usprawiedliwienie naszych zaniechań. To nic, że jedynie garstka ludzi podziemia walczyła z reżimem komunistycznym, płacąc za to bardzo wysoką cenę. Cenę, którą często było upodlenie, szykany i wreszcie, złamanie przez aparat przymusu. My wtedy, opowiadaliśmy dowcipy polityczne, słuchaliśmy RWE, odbieraliśmy talon na samochód, robiliśmy karierę naukową, wynosiliśmy cement z budowy, na której pracowaliśmy, staliśmy w kolejkach po meble w ramach „kredytów dla młodych małżeństw” lub, co charakterystyczne dla części lustratorów - zażywaliśmy wolności na Zachodzie<sup>31</sup>. Słowem, żyliśmy jakoś tam pogodzeni z PRL. Ale przecież, nigdy nie podpisaliśmy zobowiązania do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa! Nikt tego od nas, tak naprawdę, nie chciał!

Znamienne jest to, że w sondażach przeprowadzonych po ujawnieniu zawartości teczek abp Wielgusa, ponad siedemdziesiąt procent Polaków domagało się jego rezygnacji z funkcji metropolity warszawskiego. To więcej, niż frekwencja wyborcza w wyborach z 1989 roku. Mówiąc nieco eufemistycznie, łatwiej nam jest negatywnie osądzać autorytety, niż było pójść do wyborów, które otwierały nam drogę do wolnej Polski.

<sup>31</sup> Niezwykle ciekawy pogląd w tej kwestii, zbliżony do autora, prezentuje Jacek Zakowski w artykule *Dzieci rewolucji*, „Polityka”, 2007, nr 3, s. 24-26.

W losach większości Polaków żyjących w PRL nie ma wątków heroicznych. Nie ma też, wydarzeń szczególnie kompromitujących. Byliśmy niechętni władzy komunistycznej, ale też nie byliśmy skłonni stawiać na szali historii, naszej kariery, zdrowia lub życia. To przecież bardzo ludzkie. Nie rodzimy się wszyscy bohaterami. Nie pocujemy się jednak dużo lepiej, jeśli dowiemy się, że kolejny autorytet, kolejny opozycjonista, kolejny duchowny, okazał się człowiekiem słabym w obliczu działań Służby Bezpieczeństwa. My byliśmy na tyle słabi, że nikt nas nie bił, nie szantażował, nie skazywał na wieloletnie wyroki, nie próbował „łamać” w śledztwie. Po prostu, nikt nie musiał tego robić. Sami zdecydowaliśmy o swoim losie.

Drugi z przywołanych przykładów, pokazuje jak łatwo przychodzi nam zmiana naszych opinii, poglądów i preferencji wyborczych. Cóż takiego wydarzyło się w ciągu zaledwie dwóch tygodni, że spora część wyborców, którzy w pierwszej turze oddali swój głos na Donalda Tuska, w drugiej turze zagłosowała na kontrkandydata? Odpowiedź wydaje się pozornie oczywista - afera dotycząca służby dziadka Tuska w Wehrmachcie. Wydaje się, że to wyjaśnienie jest wystarczające. Pojawiają się jednak pewne wątpliwości.

Po pierwsze, atak na Tuska został w dużej mierze zdyskwalifikowany przez samego Lecha Kaczyńskiego. Okazał się być nieprawdziwy, nie udowodniony. Okazał się być pomówieniem i to jeszcze przed II turą wyborów, a kontrkandydat Tuska, publicznie przeprosił za działania swojego sztabu.

Po drugie, analizowana zmiana poparcia wyborczego, nie dotyczy zachowań osób deklarujących brak zdecydowania, czy też, elektoratów kandydatów, którzy odpadli w I Turze, a więc najbardziej na ogół zdezorientowanych wyborców II tury. Owa zmienność dotyczy tych spośród wyborców, którzy z a g ł o s o w a ł i w I turze na Tuska.

Po trzecie, sytuacja, o której mowa, powtarza się po raz kolejny. W wyborach prezydenckich 1995 roku, piętnaście procent wyborców Lecha Wałęsy z I tury wyborów, poparło w II Turze Aleksandra Kwaśniewskiego<sup>32</sup>. Warto również przywołać, omawiane już zjawisko przenoszenia poparcia dla partii politycznych w wyborach parlamentarnych, które wskazuje znaczącą skłonność - by nie powiedzieć chwiejność - wyborców do zmiany preferencji politycznych.

Być może więc, jest tak, że zmienność, niestabilność, chwiejność są głównymi cechami charakteryzującymi zachowania wyborców w Polsce, cechami, których bardzo wiele odnajdujemy wśród elit politycznych. Otóż wydaje się, że takie zjawiska jak: obserwowalna, stała nieomal dekompozycja polskiej sceny politycznej; rzesze nomadów parlamentarnych (polityków wielokrotnie zmieniających przynależność partyjną); politycy zmieniający, bez cienia żenady i to wielokrotnie swoje poglądy; zaskakujące koalicje i sojusze, są jedynie emanacją naszych cech i oczekiwań.

Ponieważ Suwerena nie charakteryzuje, lojalność, wierność swoim poglądom, stabilność przekonań i wartości, to ów Suweren nie oczekuje ich od swoich reprezentantów. Warto powrócić, w tym miejscu, do prezentowanych wcześniej wyników badań.

W 2001 roku, dziewiętnaście procent wyborców wskazywało „wierność swoim poglądom” jako pożądaną cechę polityka startującego w wyborach do parlamentu. Choć cecha ta zajęła aż jedenaste miejsce w rankingu, to jednak, co piąty wyborca uważał ją za pożądaną kwalifikację moralną polityka. Cztery lata później, jedynie 2,8% badanych (poniżej błędu oszacowania) uznało tę cechę, jako ważną. Trzykrotnie więcej wyborców, wyżej sobie ceni elegancję.

Co dziesiąty badany (w obu pomiarach) wskazywał „lojalność wobec własnej partii politycznej” jako istotną cechę polityka. W przypadku cech kandydata do PE, deprecjacja tych cech jest jeszcze bardziej wyraźna. Znajomość języków obcych i wyższe wykształcenie,

<sup>32</sup> www.old.obop.com.pl



są ważniejsze, w opinii wyborców, niż autorytet na scenie międzynarodowej, lojalność wobec partii, czy wierność swoim poglądom (ostatnie miejsce w rankingu).

Widać wyraźnie, że prawie żadnego znaczenia nie posiadają cechy, które albo są istotną kwalifikacją moralną (autorytet) - nieomal wartością autoteliczną, albo też, będąc kwalifikacją moralną, mogą decydować w sposób namacalny o stabilności polskiej sceny politycznej. Jeśli zatem, dla Suwerena, ważniejsza jest elegancja niż np. wierność wyznawanym poglądom, to trudno wymagać, aby polityk ubiegający się o mandat wyborczy, nie brał tego pod uwagę.

Następnie ów Suweren jest zaskoczony dekompozycją sceny politycznej, zmianą barw klubowych” swoich reprezentantów lub otwiera oczy ze zdziwienia oglądając „taśmy prawdy” w reżyserii Renaty Beger. Wtedy pojawiają się najczęściej stwierdzenia typu: „Oni dla stołków, dla władzy, są w stanie zrobić wszystko”. To oczywiście nieprawda. ONI zrobią tylko to, na co im pozwolimy. Politycy szybko się uczą. Wiedzą więc, że można było opuścić dwie partie odchodzące w niebyt polityczny, założyć dwie nowe partie, wejść do parlamentu, po czterech latach zwiększyć swój stan posiadania lub wygrać wybory i dalej mówić o o d p o w i e d z i a l n o ś c i oraz o innych wartościach i predyspozycjach moralnych. Można w swojej niegdysiejszej pracy naukowej wysławiać prawotwórcze walory myśli leninowskiej, a następnie zostać zwolennikiem dekomunizacji i lustracji wszystkich możliwych środowisk i współtwórcą IV Rzeczypospolitej w jednej osobie.

Za brak lojalności wobec partii, za częstą zmianę poglądów politycznych, spotyka polityków w Polsce nagroda. Zresztą, nie tylko polityków. Tylko bodaj w Polsce, można być byłym sekretarzem KC PZPR, współpracownikiem wywiadu PRL, a następnie kierować poczytnym tygodnikiem, który staje się „orzędem” walki lustracyjnej, a politycy wszystkich opcji politycznych i tak będą pokornie przychodzić i odbierać tytuł „polityka roku”.

Na pierwszym miejscu w rankingach cech pożądaných w polityce, niezmiennie lokuje się „uczciwość”. Jak zatem, w świetle tego, co zostało dotychczas powiedziane, wyjaśnić takie pozycjonowanie tej cechy, skoro przytoczone przykłady zachowań polityków wskazują, że owa uczciwość jest jednak naruszana. Jak bowiem, należy traktować uczciwość osoby, która zmieniając często swoje poglądy, opuszcza swoje środowisko polityczne, swoich współpracowników, swój elektorat, co do której pojawia się supozycja, że wygłaszane wcześniej poglądy, opinie, prezentowane postawy, były jedynie przejawem instrumentalizmu w realizacji partykularnych interesów? Pomocne w rozstrzygnięciu tych wątpliwości, może okazać się zidentyfikowanie rozumienia przez Suwerena, terminu „uczciwość”.

Podczas badań prowadzonych w 2005 roku, zadano respondentom pytania, których celem była identyfikacja sposobu rozumienia, tej właśnie, dominującej cechy, którą w ich opinii, winien charakteryzować się polityk.

#### Co Pana/Pani zdaniem, oznacza uczciwość w działaniach politycznych?

Odpowiedź	%
Dotrzymywanie obietnic wyborczych	88,4
Rozważne gospodarowanie pieniędzmi podatników	56,8
Prawdomówność	53,3
Umiejętność przyznania się do błędów	37,8
Nie nadużywanie stanowiska do celów prywatnych	36,5
Działanie zawsze w granicach prawa	28,6
Stołość poglądów, opinii, światopoglądu	7,9
Lojalność wobec współpracowników	4,5

Źródło: Badania własne: 2001/2005. Dane nie sumują się do 100%. - wielokrotny wybór.

To, co zwraca uwagę w opisie „uczciwości”, dokonany przez wyborców, to koncentracja uwagi na „spełnianiu obietnic wyborczych”, jako głównym wyznaczniku analizowanej cechy, koncentracji, która jest udziałem zdecydowanej większości badanych. Można powiedzieć, że oczekiwanie adekwacji politycznej elit, jest tak duże, że jeśli nawet stała by ona w opozycji do rozważnego gospodarowania pieniędzmi podatników, to jak tak uzyskała by priorytet.

Prymat „dotrzymanyh obietnic”, jako wyznacznika uczciwości, jest tak duży, że niespełna pięćdziesiąt trzy procent badanych uważa, iż „prawdomówność” jest elementem określającym, wartościującym uczciwość polityka. Tym, co decyduje o uczciwości w polityce nie jest stałość poglądów lub lojalność wobec współpracowników.

W pewnym uproszczeniu, rzec by można, że wystarczy przede wszystkim realizować obietnice wyborcze, aby być uznanym z uczciwego polityka. Spora część z nas, wybaczy politykowi rozmijanie się z prawdą, nierozważne gospodarowanie naszymi pieniędzmi, uparte trwanie w błędzie, a nawet - nadużywanie stanowiska do celów prywatnych i działanie z naruszeniem prawa. Stałość poglądów i lojalność wobec współpracowników, w zasadzie, w opinii Suwerena, nie posiada istotnego znaczenia dla „bycia uczciwym politykiem”. Jeśli przeanalizujemy sposób rozumienia uczciwości - jako dominującej wśród pożądanych cech polityka - w kontekście pozostałych, najbardziej oczekiwanych cech, to okazuje się, że powstaje coś na kształt, spójnego logicznie, socjotechnicznego, instrumentalnego programu działania, zapewnającego sukces w polityce:

1. poznać oczekiwania większości wyborców (patrz: „Znajomość problemów zwykłych ludzi”)
2. deklarować chęć spełnienia oczekiwań większości wyborców (patrz: „Skłonność do spełniania oczekiwań wyborców”)
3. być uczciwym politykiem (patrz: „Dotrzymywanie obietnic wyborczyh”)

W tym programie, ułożonym w pewnym sensie przez Suwerena, niewiele jest miejsca na prawdomówność, lojalność, stałość przekonań, przestrzeganie prawa, autorytet, konsekwencje, czy opanowanie.

Często, w różnego rodzaju debatach, zadajemy sobie pytanie, dlaczego politycy, którzy nie posługują się prawdą, w dalszym ciągu cieszą się popularnością i poparciem wyborców. Przykładów jest bez liku. Czyżby Suweren chciał być oszukiwany? Być może, tak. Jednak najbardziej prawdopodobne wydaje się być to, że Suweren nie ceni zbyt mocno prawdomówności jako cechy pożądanej w polityce. Być może, ceniąc prawdomówność w życiu prywatnym, uważamy, że nie jest ona konieczna w polityce, że polityka to taka dziedzina ludzkiego działania, w której nie mówienie wszystkiego, tzw. „skrótów myślowe”, odrobina manipulacji prawdą, są konieczne.

Dlaczego mielibyśmy oczekiwać stałości poglądów, skoro nasze zachowania polityczne są nieprzewidywalne, są nacechowane przypadkowością, koniunkturalizmem, zmiennością? Co musiałoby nami powodować, abyśmy uznali, że działanie polityka w ramach obowiązującego prawa, jest wyznacznikiem uczciwości. Przecież tak często zdarza się nam, na co dzień, łamać lub omijać prawo. Przepisy ruchu drogowego, bo są niezyciowe. Prawo pracy, bo ogranicza naszą swobodę działalności gospodarczej. Przepisy skarbowe, bo uznajemy arbitralnie, że podatki są za wysokie.

Dlaczego tylko, co trzeci badany uznał, że „działanie zawsze z granicach prawa” jest wyznacznikiem uczciwości w polityce. Może dlatego, że powszechnie nieomal uważamy, że nie da się żyć w Polsce, zawsze zgodnie z prawem, które jest, przynajmniej w naszej opinii, niezyciowe, skomplikowane, złe. Pewnie w tym jest sporo racji, lecz zapominamy, że przyzwolenie na nawet najdrobniejsze naruszenie normy prawnej i nie tylko prawnej, wcześniej, czy później zaowocuje zakwestionowaniem kolejnej, ważniejszej normy.

Gdybyśmy uznali, że uczciwość wiąże się zawsze z przestrzeganiem prawa, to wydalibyśmy złe świadectwo o nas samych, tak często naruszających prawo.

Z tych samych, najpewniej, powodów tylko trzydzieści sześć procent badanych uznało, że „nie nadużywanie stanowiska do celów prywatnych” jest domeną uczciwych polityków. Być może przypomnieliśmy sobie, że przecież tak chętnie prowadzimy prywatne rozmowy przez służbowy telefon, że korzystamy ze służbowych samochodów robiąc na przykład zakupy, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to bez cienia zażenowania skopujemy naszemu dziecku podręcznik na sprzęcie i papierze naszego pracodawcy.

I wreszcie, jak w świetle zaprezentowanych wyników wygląda nasze „święte oburzenie” nad stanem debaty i języka polityki. Oczywiście twierdzimy, że jest złe, lecz „chamy”, „warchoły”, „spieprzaj dziadu”, „małpa w czerwonym”, nigdy nie powodowały reperkusji w postaci spadku poparcia dla autorów tych wypowiedzi. No tak, ale „opanowanie” jako pożądana cecha u polityka, zajęła w obydwu prezentowanych badaniach, ostatnią lokatę ze średnim odsetkiem wskazań 2,25 ...

Dokonywanie, jakkolwiek rozumianego, podsumowania tej części opracowania wydaje się być, w moim odczuciu, jedynie zbędnym powtórzeniem wcześniej dokonanych spostrzeżeń oraz konstatacji i posiadałoby jedynie „walor” zbędnej beletrystyki. To, co wymaga wyjaśnienia, to to, że w całości tej części opracowania, skupiłem się na wskazaniu i eskspikacji tych zjawisk, obserwowalnych wśród wyborców, które posiadają negatywne skutki dla różnorodnych obszarów funkcjonowania elit politycznych w Polsce. Nie oznacza to, że nie dostrzegam pozytywnych, choć powolnych przeobrażeń postaw Polaków, przeobrażeń, które sprzyjają budowaniu społeczeństwa obywatelskiego.

Rosnący brak akceptacji dla korupcji, wrastająca świadomość znaczenia różnorodnych form stowarzyszania się, wzrost świadomości roli samorządności, to tylko kilka przykładów pozytywnych zmian Suwerena. Skupienie uwagi na negatywnych, czy zgoła dysfunkcyjnych, aspektach naszych zachowań politycznych, wynika z głębokiego przekonania, że nasza zbiorowa świadomość jest zarażona myśleniem - o elitach politycznych, stanie naszej demokracji i kilku innych jeszcze, ważnych kwestiach, ze swoistym dychotomizmem charakterystycznym dla społeczeństwa, jakim byliśmy w czasach totalitaryzmu. Bowiem w dalszym ciągu, nasze myślenie jest zdominowane podziałem na „nas”, czyli społeczeństwo o „ich”, czyli polityków. Zapominamy, że ONI, to już w demokratycznej Polsce - MY. Zapominamy, że nikt nam już nie narzuca „władzy”. Za nimi nie stoją czołgi i „wielki brat”, radziecki zresztą. Oni, politycy nie sprawują rządów w wyniku uzurpacji, czy zamachu stanu. Nasze elity polityczne są nasze, bo są, par excellence, naszą emanacją. Są tymi, których uznaliśmy za godnych, aby nas reprezentować. Więc jeśli, a przecież tak jest, poddajemy ich totalnej krytyce, to nie zapominajmy, że spora część tej krytyki jest skierowana do nas samych.

Nie poczyniłem, ani jednoznacznych rozstrzygnięć odnoszących się do zachowań Suwerena, ani też, nie dokonywałem jednoznacznego w swej ostrości, wartościowania analizowanych zjawisk. Nie miałem, podobnie jak w poprzednich częściach pracy, takich ambicji i nie to, było moim celem. Starałem się bowiem jedynie, postawić kilka pytań wynikających z moich obserwacji, obserwacji, popartych licznymi doświadczeniami badawczymi. Owe pytania, dały asumpt do postawienia kilku hipotez, które starałem się, mniej lub bardziej udolnie, zweryfikować.

Część czytelników może uznać, że wiele z tych hipotez, tworzy „krzywe zwierciadło” naszych zbiorowych zachowań politycznych. Jeśli jednak, choć część z tych, którzy poświęcili czas na literaturę tego opracowania, odnajdzie w tym zwierciadle samych siebie, to uznam, że narażenie się na krytykę „jednostronności analizowanych obszarów zachowań wyborczych”, było uzasadnione. Najważniejsze bowiem jest, w moim odczuciu, aby „serce Rzymu zaczęło bić w murach Senatu, a nie jak dotąd, w piasku Colloseum”.



### Zamiast zakończenia

Jako socjolog, badający rzeczywistość społeczną, wiem, że w większości opisywanych zjawisk, dokonywanie jednoznacznych w swej aprioryczności ustaleń, jest niezwykle ryzykowane, bowiem rzeczywistość dostarcza nam, coraz to nowych bodźców analitycznych, które bardzo często obalają pozornie prawomocne ustalenia prawideł ludzkiego działania. Stąd też, starałem się, aby zaprezentowany tekst był, w miarę możliwości, pozbawiony apriorycznych rozstrzygnięć. Zależało mi na tym, aby zaprosić Czytelnika do wspólnej refleksji nad stanem elit politycznych i czynników, które ów stan powodują. Stąd też, kilka przynajmniej, zawartych w tej pracy poglądów, miało charakter, rzekłbym - prowokacyjny.

Przywołana, znacząca dynamika zmienności sfery politycznej rzeczywistości społecznej, była jedną z podstawowych trudności towarzyszących powstawaniu tej książki. Gdy zapisywałem pierwsze jej strony, byliśmy na progu wejścia do UE, A. Lepper mówił do mnie podczas wywiadu „(...) przyszłość należy do „Samoobrony”, o gwałtach słyszeliśmy w programie 997, najbardziej nieparlamentarnym, znanym zwrotem były słowa: „(...) jest pan zerem (...)”, Renata Beger mówiła o sile swoich alkwianych upodobań, a prognozowanie składu obecnej koalicji rządowej, byłoby potraktowane, jako przejaw całkowitej utraty kontaktu z rzeczywistością. Gdy dopisuję ostatnie słowa do swojej pracy, nierzeczywiste jest rzeczywistością, niemożliwe stało się możliwe, a skandal jest codziennością.

W pierwszej części pracy, korzystając z różnych źródeł i opracowań, zarówno teoretycznych, jak i publicystycznych, starałem się postawić i zweryfikować kilka przynajmniej hipotez, których celem było zidentyfikowanie głównych mechanizmów wykorzystywanych w Polsce przez elity polityczne. Zaliczyłem do nich: mitologizację rzeczywistości społecznej, jej dramatyzację oraz legitymizację sondażową. Wszystkie te zjawiska starałem się przedstawić na tle głównych kierunków zmian i przeobrażeń, dokonujących się w Polsce po 1989 roku.

W tej części pracy, nie zabrakło odniesień, których celem było wskazanie przyczyn wykorzystywania przez elity polityczne, tych mechanizmów, które prowadzą do coraz to większej niechęci Polaków do polityki, przez co czynią demokrację w Polsce mało reprezentatywną. Uznałem, że główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak tożsamości ideowej elit politycznych, który to brak powoduje, że sięgają one do arsenału środków zarezerwowanego dla skrajnych, populistycznych środowisk, których jedynym elementem programowym jest odwoływanie się do fobii, frustracji, niezadowolenia i lęków społecznych. Postawiłem hipotezę, że ów brak tożsamości jest także pośrednią przyczyną takich zjawisk towarzyszących funkcjonowaniu elit politycznych w Polsce jak: dekompozycja sceny politycznej, nomadyzm polityków, dezorientacja i wycofanie się wyborców. Szczególnie dwa pierwsze zjawiska są obserwowane w tej części książki, która poświęcona jest retrospektywnej prezentacji elit politycznych w kontekście ujawniania się dramatyzacji w ich działaniu.

W drugiej części książki oddałem głos przedstawicielom elit politycznych, uznając, że niepodobna (także, z metodologicznego punktu widzenia) analizować zjawisk towarzyszących działaniu elit politycznych, bez poznania punktu widzenia, poglądu i opinii samych polityków. To co może nieco dziwić Czytelnika, to fakt, że w żaden sposób nie odniosłem się, nie poddałem analizie (np. socjolingwistycznej) materiału, zgromadzonego podczas prowadzonych wywiadów. Uznałem jednak, że Czytelnik winien mieć możliwość dokonania własnej analizy - także oceny - wypowiedzi polityków. Wywiady socjologiczne, nie będąc autoryzowane i posiadając, w tym przypadku, charakter narracyjny, są w moim przekonaniu, na tyle wartościowym źródłem informacji, że podejmowanie prób jakkolwiek rozumianej „standaryzowanej analizy materiału empirycznego”, byłoby zabiegiem mającym na celu jedynie „unaukowanie”, wykazanie, że spełnione zostały, często formalne jedynie,



wymogi wnioskowania naukowego. Z treści wywiadów, czytelnik, może inferować o zasadności, bądź jej braku, postawionych w pracy hipotez. I taka jest rola zamieszczonych w książce wywiadów. Można bowiem, odnieść wypowiedzi polityków do tezy i wnioskowania przeprowadzonego przez autora w niniejszej publikacji.

W trzeciej części książki, próbowałem skonfrontować Czytelnika z tezą w myśl, której większość zjawisk i zachowań elit politycznych jest, w dużej mierze, projekcją zachowań i oczekiwań Suwerena, czyli nas wszystkich. Oczekiwań, tych zarówno uświadamianych, jak i tkwiących głęboko w naszej podświadomości. Posługując się zebraniem materiałem empirycznym usiłowałem dociec, jak dalece elity polityczne są kwintesencją naszych zbiorowych cech. Jak dalece politycy, znając je, starają się tą wiedzę wykorzystać w definiowaniu granic tego, co dopuszczalne i tego, co nie uzyskuje przyzwolenia Suwerena. Z drugiej zaś strony, starałem się wskazać przejawy skutków działania elit politycznych, skutków, które egzemplifikują się w reakcjach wyborców. Innymi słowy, starałem się wykazać, pewnego rodzaju, sprzężenia zwrotne w relacjach zachodzących pomiędzy elitami politycznymi, a ich wyborcami.

Obraz elit politycznych, który wyłania się przed Czytelnikiem, wydaje się być jednostronnie negatywny. Nie oznacza to, że ocena polskich elit politycznych ograniczać się powinna jedynie do wskazania dysfunkcyjnych przejawów ich działania. Mam tego pełną świadomość. To właśnie elity lat dziewięćdziesiątych, wyznaczyły główne kierunki polskich przemian. To one, już wtedy, gdy większość Polaków nawet o tym nie marzyła, wyznaczyły takie cele, jak członkostwo Polski w NATO i w Unii Europejskiej. Elity lat dziewięćdziesiątych, bez względu na dzielące ich różnice, pracowały wspólnie, aby możliwa była ich realizacja. Wszyscy, kolejni premierzy, bez względu na przynależność partyjną, mogli liczyć w realizacji tych strategicznych celów, na poparcie całej niemal opozycji.

Od podstaw zostały zbudowane mechanizmy demokracji i trwa proces tworzenia dojrzałego społeczeństwa obywatelskiego. Przestrzegane są prawa obywatelskie i większość standardów cywilizacyjnych, charakteryzujących społeczeństwa o ugruntowanych mechanizmach demokratycznych i prawnych.

Te same elity polityczne zmieniły krajobraz Polski w sposób niewyobrażalny. Z kraju zacofanego, niszczonego przez dziesiątki, a nawet setki lat, niszczonego przez zabory, wojny i trwanie systemu totalitarnego, staliśmy się krajem, co prawda na dorobku, lecz należącym do grupy państw najszybciej się rozwijających.

W ciągu zaledwie siedemnastu lat zostały w Polsce zainwestowane dziesiątki miliardów dolarów przez zagranicznych inwestorów, którzy traktują nasz kraj jako bezpieczne miejsce inwestowania. Mamy silny i stabilny pieniądz, który możemy w niedalekiej przyszłości zamienić na wspólną walutę - euro.

Polskie firmy konkurują z powodzeniem na wspólnotowym rynku UE. Napływają do nas dziesiątki miliardów euro z funduszy UE, które w jeszcze większym stopniu mogą zmienić nasz kraj.

Wszystko to, nie byłoby możliwe bez mądrości, dalekowzroczności, konsekwencji i ciężkiej pracy polskich elit politycznych, głównie lat dziewięćdziesiątych. Cóż zatem zaczęło się dziać?

Co stało się, że znaleźliśmy się, moim zdaniem, w punkcie przełomowym, w którym zadecyduje się nasza przyszłość. Bowiem, albo wykorzystamy szanse, które mogą się już nigdy nie powtórzyć, szanse na jeszcze większy rozwój, albo je zaprzepaścimy. Zaprzepaścimy, przyzwalając na demontaż struktur i mechanizmów demokratycznych, który już się odbywa w trakcie trwającej lustracji, prób zmiany konstytucji, prób zawiądnienia NBP. Zaprzepaścimy, zgadzając się na to, aby o losach rządu decydowały różnie, właśnie, ambicje polityków, których szczytem kariery powinno być sołtysowanie. Polityków, którzy przegrywają wybory z „Partią krasnoludków i gamoni”.

Książka ta, jest właśnie próbą odpowiedzi na pytanie o przyczyny postępującego kryzysu elit politycznych.

*„Elita polityczna - grupa ludzi mająca wpływ i kontrolująca instytucje polityczne, charakteryzująca się działaniem w kierunku wspólnie określonych celów oraz posiadająca wspólną ideologię i tradycję.”<sup>33</sup>*

Wybór przytoczonej definicji elity politycznej, nie jest przypadkowy. Jest ona najbardziej elementarnym sposobem definiowania elity politycznej. Niech każdy z nas, odpowie na pytanie: Czy ta „grupa ludzi”, którą wyłaniamy w ostatnich latach, spełnia warunki przyjęte w cytowanej definicji, w części, która opisuje cechy elity politycznej?

Mam nadzieję, że lektura tej książki przybliżyła Czytelnika do odpowiedzi na to i kilka innych pytań, które pojawiają się w związku z działaniem polskich elit politycznych.

KONIEC

---

<sup>33</sup> K.Olechnicki; P.Załęcki, *Słownik socjologiczny*, Toruń 1999, s. 55.

## Bibliografia

1. Adamski W. i in., *Polacy '80. Wyniki badań ankietowych*, Warszawa 1981.
2. Alwin D.F., Klingel D.M., Dielman M., *International Social Justice Project. Documentation and Codebook*, Michigan 1993.
3. Arendt H., *Korzenie totalitaryzmu*, Warszawa 1993.
4. Arendt H., *O rewolucji*, Kraków 1991.
5. Aron R., *Opium intelektualistów*, Warszawa 2000.
6. Ash T.G., *We the People: The Revolutions of '89 Witnessed in Warsaw, Budapest, Berlin and Prague*, Cambridge 1990.
7. Asheri M., *The Birth of Fascist Ideology. From Cultural Rebellion to Political Revolution*, Princeton 1994.
8. Barber B., *Dżihad kontra MacŚwiat*, Warszawa 1997.
9. Bauman Z., *Intimations of Postmodernity*, London 1992.
10. Bauman Z., *Socjologia Pareto (w:) Szkoła frankfurcka*, t. 2, cz. II, red. J.Łoziński, Warszawa 1987.
11. Bender P., *Für eine gemeinsame Zukunft. Polen und Deutsche, sechzig Jahre nach dem Krieg*, „Merkur”, Stuttgart 2000, No. 611.
12. Berlin I., *Karl Marks: His Life and Environment*, Oksford 1978.
13. Berlin I., *The Crooked Timber of Humanity*, New York 1991.
14. Brun-Bronowicz J., *Pisma wybrane*, t. 1, Warszawa 1955.
15. Butler D., Stokes D., *Political Change in Britain*, New York 1976.
16. Byers S., *Uczciwy minister to były minister*, wywiad udzielony I. Kosmali „Nie”, 2003, nr 24 z 12.06.
17. Chmaj M., Żmigrodzki M., *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996.
18. Cohen L.J., *Broken Bonds: The Disintegration of Yugoslavia*, Boulder 1993.
19. *Containing unemployment in Eastern Europe. World Employment 1996/97*, International Labour Organization, Geneva 1996.
20. Converse P.E., Dupeux G., *Politicization of the Electorate in France and the United States*, „Public Opinion Quarterly”, 1962, Vol.26 No. 1.
21. Dach Z., *Bezrobocie w okresie przemian systemowych gospodarki polskiej*, Wrocław 1993.
22. Davies N., *Europa rozprawa historyka z historią*, Kraków 1999.
23. Davies N., *Boże igrzysko. Historia Polski*, Kraków 2001.
24. Delli Carpini M., *Stability and Change in American Politisic. The Coming of Age of the Generation of the 1960's.*, New York 1986.
25. Dionne E.J., *Government Trust. Less in West Europe Than U.S.*, „New York Times”, 1996, z 16.02.
26. Downs A., *An Economic Theory of Democracy*, New York 1957.
27. Dziecielska-Machnikowska S., *Dwie fale bezrobocia w Polsce*, (w): *Studia do portretu naukowego socjologa. Księga Jubileuszowa ofiarowana Profesorowi Robertowi B. Woźniakowi*, red. J.Leoński, Szczecin 2002.
28. Eisenstadt S.N., *The Breakdown of Communist Regimes and the Vicissitudes of Modernity*, „Daedalus”, 1992, nr 2.
29. Friedman M., *Mistrz pónawrócony*, Wywiad udzielony dla „Financial Times”, Przedruk: „Forum.Najciekawsze artykuły z prasy światowej”, 2003, 30.06. – 6.07.
30. Furet F., *Przeszłość pewnego złudzenia. Esej o ideii komunistycznej w XX wieku*, Warszawa 1996.
31. Handy Ch., *Głód Ducha. Poza Kapitalizm – poszukiwanie sensu w nowoczesnym świecie*, Wrocław 1999.

32. Habermas J., *Communication and the Evolution of Society*, Boston 1979.
33. Hobsbawm E., *Nations and Nationalism since 1870*, Cambridge 1991.
34. Holmes S., *Liberalism for a World of Ethnic Passions and Decaying States*, „Social Research”, 1994, nr 3.
35. Holzer J., Hozer J., Urbanik W., *Analiza, diagnoza i prognoza rozwoju społeczno-gospodarczego Polski po sierpniu 1980 roku*, Szczecin 2000.
36. Jacher W., *Badania stosunków międzyludzkich w zakładzie pracy przy zastosowaniu kategorii integracji i schematu budowy grupy*, (w:) *Metodologiczne problemy socjologii pracy*, red. W. Jacher, Katowice 1987.
37. Jacher W., *Idea regionalizacji i lokalności a przedsiębiorczość*, (w) *Spółeczności lokalne w perspektywie integracji europejskiej*, red. R.B. Wóźniak Koszalin 2000.
38. Kabaj M., *Elementy programu przeciwdziałania bezrobociu*, „Studia Bałtyckie”, Koszalin 1997, nr 2.
39. Kirchheimer O., *Germany: The Vanishing Opposition* (w:) *Political Oppositions in Western Democracies*, ed. R.A. Dahl, New Haven 1966.
40. Kuroń J., *Bush, coś ty narobił?* Wywiad udzielony P. Najsztabowi, „Przekrój”, 2003, nr 16.
41. Lipset M.S., *Homo politicus. Społeczne podstawy polityki*, Warszawa 1995.
42. Magas B., *The Destruction of Yugoslavia*, London 1993.
43. Malinowski B., *Mit, magia, religia, Dzieła t. 7*, Warszawa 1990.
44. *Mały Rocznik Statystyczny Polski 2001*, GUS, Warszawa 2001.
45. *Mały Rocznik Statystyczny Polski 2002*, GUS, Warszawa 2002.
46. Mannheim K., *Ideologia i utopia*, Lublin 1992.
47. Markiewicz W., *Stan terażniejszy kultury politycznej społeczeństwa polskiego*, (w:) *Studia do portretu naukowego socjologa*, red. J. Leoński, Szczecin 2002.
48. Markowski A., Pawelec R., *Słownik wyrazów obcych i trudnych*, Warszawa 2001.
49. Marks K., Engels F., *Manifest partii komunistycznej. Zasady komunizmu*, Warszawa 1979.
50. Marody M., *O pewnych osobliwościach polskiej klasy politycznej*, (w:) *Psychologia rozumienia zjawisk społecznych*, red. B. Wojciszke, M. Jarymowicz, Warszawa 1999.
51. Martin H.P., *Pułapka globalizacji. Atak na demokrację i dobrobyt*, Wrocław 2000.
52. Merton R.K., *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982.
53. Modzelewski K., *Quelle voie apres le communisme? La Tour d'Aigues* (w:) Editions de l'Aube, Paryż 1995.
54. Muller-Armack A., *Stil und Ordnung der Sozialen Marktwirtschaft*, Bonn 1952.
55. Nagorski A., *The Birth of Freedom: Shaping Lives and Societies in the New Eastern Europe*, New York 1993.
56. Neumann S., *Permanent Revolution: Totalitarianism in the Age of International Civil War*, New York 1965.
57. Nurek S., *Idea ewolucji społecznej*, Szczepański M.S.: *Teorie zmian społecznych*, cz. 2, Katowice 1987.
58. *Oceny zmian po roku '89. Komunikat z badań*, CBOS, Warszawa, maj 1999.
59. Olechnicki K., Załęcki P., *Słownik socjologiczny*, Toruń 1999.
60. Paradowska J., *Miasta pięciu cudów*, „Polityka”, 2002, nr 47.
61. Pareto V., *Les systemes socialistes*, Paris 1965.
62. Pareto V., *La Transforation de la democratie*, Paris 1970.
63. Pareto V., *Umysł a społeczeństwo*, (w:) *Elementy teorii socjologicznych*, red. W. Derczyński, A. Jasińska-Kania, J. Szacki, Warszawa 1975.
64. Parsons T., *Szkice z teorii socjologicznej*, Warszawa 1972.



65. Pietkiewicz B., *Wyklęte słowo eutanazja*, Raport *Prośba o śmierć*, „Polityka”, 2000, nr 46 z 11.11.
66. Piątraf Z.J., *Decydowanie polityczne*, Warszawa 1998.
67. Pipes R., *The Russian Revolution 1899-1919*, London 1990.
68. *Początki parlamentarnej elity. Posłowie kontraktowego Sejmu*, red. J.Wasilewski, W.Wesołowski, Warszawa 1992.
69. *Podstawowe dokumenty Rady Europy z dziedziny polityki społecznej*, red. J.Maciejewska, Warszawa 1997.
70. Raciborski J., *Polskie wybory. Zachowania wyborcze społeczeństwa polskiego 1989 – 1995*, Warszawa 1997.
71. Rakowski M.F., *Jak to się stało*, Warszawa 1991.
72. *Raport NIK o sytuacji w szkolnictwie wyższym, czerwiec 2000*, www.bip.nik.gov.pl.
73. *Raporty OBOP 1989 – 2003*, www.obop.com.pl.
74. Rapaport A., *Różne znaczenia „racjonalnych decyzji politycznych”*, Warszawa 1986.
75. Rokkan S., *Citizens. Elections. Parties*, Oslo 1970.
76. Roskin M.G., Cord R.L., Medeiros J.A., Jones W.S., *Wprowadzenie do nauk politycznych*, Poznań 2001.
77. Rupnik J., *The Other Europe*, London 1988.
78. Rydlewski G., *Rządzenie koalicyjne w Polsce*, Warszawa 2000.
79. Sartori G., *Teoria demokracji*, Warszawa 1994.
80. Seiler D.L., Wódz J., Wódz K., *O reprezentacji politycznej na szczeblu lokalnym*, Katowice 1997.
81. Solska J., *Słodkie życie*, „Polityka”, 2002, nr 6
82. Szczepański M.S., *Pokusy nowoczesności o polskie dylematy rozwojowe*, Katowice 1993.
83. Szczepański M.S., *Szkice z socjologii polityki*, cz. 1, Katowice 1993.
84. Szczepański M.S., *Teorie zmian społecznych*, cz.1 Teoria modernizacji, Katowice 1990.
85. Szczepański M.S., *Żarłoczna rewolucja*, (w:) *Studia do portretu naukowego socjologa*, red. J.Leoński, Szczecin 2002.
86. Sztompka P., *Teorie zmian społecznych a doświadczenia polskiej transformacji*, „Studia Socjologiczne”, 1994, nr 1.
87. Sztumski J., *Elity. Ich miejsce i rola w społeczeństwie*, Katowice 1997.
88. Teixeira R.A., *The disappearing American voter*, Washington 1992.
89. Tudor H., *Political Myth*, Londyn 1972.
90. Urbanik W., *Bezrobocie i zatrudnienie w małym mieście*, Szczecin 2002.
91. Urbanik W., *Effiekty dlitielnogo wlijanija biezroboticy na kul'turno-wospitatel'nyj aspekt siemiej biezrobotnych* (w :) *Czielowiek i obszcziestwo: tiendencii social'nyh izmienenij. Materialy miezdunarodnoj nauczno-prakticzeskoj konfierencii 24-26 sientjabrja 1997 goda*, Sankt-Petersburg 1997
92. Urbanik W., Zdaniewicz J., *Pośrednictwo i regionalne rynki pracy Polski północno-zachodniej w perspektywie europejskiej - próba diagnozy*. (w) *Spolecznosci lokalne w perspektywie integracji europejskiej*, red. R.B. Woźniak Koszalin 2000.
93. Thompson M., *A Paper House: The Ending of Yugoslavia*, New York 1992.
94. Veblen T., *Teoria klasy próżniaczej*, Warszawa 1998.
95. Verdery K., *What Was Socialism and What Comes Next?*, Princeton 1996.
96. Weber M., *The Protestant Ethic and the Spirit of Capitalism*, New York 1958.
97. Wesołowski W., *Klasy, warstwy i władza*, Warszawa 1976.
98. Wesołowski W., *Partie: nieustanne kłopoty*, Warszawa 2000.
99. Wesołowski W., *Teoretyczne aspekty badania elit politycznych*, „Studia Socjologiczne”, 2000, nr 4.

100. Wiatr J., *Spółeczeństwo. Wstęp do socjologii systematycznej*, Warszawa 1971.
101. Wolff-Pawęska A., *Rola tożsamości narodowej w procesie kształtowania się demokratycznej kultury politycznej Europy Środkowej*, „Przegląd Zachodni”, 2000, nr 2
102. Woodward S., *The Yugoslavian Tragedy*, Washington 1995.
103. Wódcz J., *Dynamika odtwarzania się świadomości regionalnej a idea państwa unitarnego, Sprzeczność realna czy pozorna*, (w:) *Jaka Europa? Regionalizacja a integracja*, red.P.Buczowski, Poznań 1999.
104. Żakowski J., *Dzieci rewolucji*, „Polityka”, 2007, nr 3.

Strony internetowe:

[www.bip.nik.gov.pl](http://www.bip.nik.gov.pl)  
[www.cbos.pl](http://www.cbos.pl)  
[www.frasyniuk.pl](http://www.frasyniuk.pl)  
[www.kprm.gov.pl](http://www.kprm.gov.pl)  
[www.kraklewski.pl](http://www.kraklewski.pl)  
[www.obop.com.pl](http://www.obop.com.pl)  
[www.pbssopot.com.pl](http://www.pbssopot.com.pl)  
[www.pentor.pl](http://www.pentor.pl)  
[www.pkw.gov.pl](http://www.pkw.gov.pl)  
[www.prawica.pl](http://www.prawica.pl)  
[www.psl.org.pl](http://www.psl.org.pl)  
[www.uw.org.pl](http://www.uw.org.pl)  
[www.wybory.bezprzedzen.pl](http://www.wybory.bezprzedzen.pl)

### Summary

This book is a sociological reflection on the functioning of political elites in the Third Republic of Poland, whose activity was confronted by the volitional sphere of the electorate. The author advances theses relating to both mechanisms of practising politics - the mythologization of social reality, the legitimization of authorities through polls, and the dramatization of political elites - and mechanisms of the electorate's actions that implicate the appearance of more and more populist elites and their manifestos. The basic theses of this study were verified by extensive empirical material that includes sociological interviews with representatives of political elites and a quantitative research on the electorates of various political parties, conducted by the author from 2001 to 2005.

Translated by Paweł Cebula